

HELENA  
KOWALIK  
WARSZAWA  
KRYMINALNA

Projekt okładki: Michał Korsun Fotografia na okładce i wewnątrz: Izabela Szymczak Radaktor prowadzący: Bożena Zasieczna Redaktor techniczny: Sylwia Rogowska-Kusz Korekta: Zespół

© tekst by Helena Kowalik  
© for the Polish edition by Muza SA, Warszawa 2010

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych i przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu bez pisemnej zgody posiadacza praw.

ISBN 978-83-7495-856-1

Książkę wydrukowano na papierze Creamy 2.0 60 g/m<sup>2</sup> dostarczonym przez Mercator Papier Sp. z o.o.

MERCATOR  
PAPIER

[www.mercatorpapier.com.pl](http://www.mercatorpapier.com.pl)

MUZA SA  
00-590 Warszawa  
ul. Marszałkowska 8  
tel. 22 6297624, 22 6296524  
e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)  
Dział zamówień: 22 6286360, 22 6293201 Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)  
Warszawa 2010 Wydanie I  
Skład i łamanie: MAGRAF S.C, Bydgoszcz  
Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnicza im. W.L. Anczyca, Kraków

Musimy być niewolnikami prawa, abyśmy byli wolni  
(Cyceron)

Bogdanowi, opoce w moim życiu

TAKIE CZASY 9 M

Sympatia z plamką krwi 11 ^

Przepraszam, udusiłem pani córkę 31

Bezpruderyjna do wykorzystania 40 W

Albo ty, albo ja 49

Prawo linczu 59 :

Mamy go! 78 H

Jedną córkę zabieram 87

OSKARŻENI V BIAŁYCK KOLNIERZYKA CE 97

Pozdrowienia z Ostrołęki 99

Motylem jestem 119

Operacja" białe fartuchy" 130

POLITYKA W TLE 145

Agent z ręką w walizce pieniędzy 147

Z kosą na lewaka 165

W imieniu „rzeczpospolitej" 176

Ubeckie donosy z sypialni 196

Agent „Collona” żąda odszkodowania	213
ZAPACE PIENIĘDZY	223
Jest cisza i krwawe niebo	225
Listy spod celi	242
Czuję jego obecność	254
Pociągnęła za sobą brata	269
Falszerzowi drgnęła ręka	288
Czyż nie dobija się socimperatorów?	303
Żerował na nazwisku legendarnego barda	317
Kochany stryjek Fredzio	332
KSYWA ZAMIAST NAZWISKA	343
Skruszony	345
Cień w lustrze weneckim	364
Za słupem stał gangster	384
Zamulone drugie dno	393
Palec na ustach, ręka na gardle	410
CZY PRZESTĘPSTWO POTRZEBUJE JEDYNNIE PRETEKSTU?	
- rozmowa B. Piwnik z prof. Gierowskim	420
Widok z ławy dla publiczności	435
Podziękowania	439
O Autorce	440

ł—I C/3

E

dyta była tego dnia bardzo niespokojna - zeznai przed sądem jej kolega z pracy Andrzej K. - Zazwyczaj bardzo uważna, konkretna, wszak robiła w finansach, co trochę odrywała się od papierów, aby zadzwonić przez komórkę. Siedzieliśmy biurko w biurko. Od razu zorientowałem się, że telefonowała do swego chłopaka Arka. Wkrótce mieli brać ślub. We Włoszech, bo tam mieszkali jego rodzice.

Andrzej K. nigdy tego narzeczonego nie widział. Ale od kilku miesięcy był mimowolnym świadkiem wybuchu gwałtownego uczucia swej koleżanki. Dzwoniąc, nie mogła się powstrzymać przed prawieniem swemu mężczyźnie czułych komplementów. K. znał też szczegóły pewnej operacji finansowej, jaką Arek - właściciel firmy zakładającej internet w biurowych budynkach - przeprowadzał z pomocą swej dziewczyny. Chodziło o kupno w Niemczech sprzętu komputerowego i natychmiastowe odsprzedanie z dużym zyskiem kontrahentowi w Polsce.

Edyta W. mówiła, że to będzie interes ich życia. Za zarobione pieniądze zamienią jej obecne mieszkanie na większe, urządzą się.

Był tylko jeden problem. Pieniądze. Narzeczonemu już przelał na konto sprzedającego sprzęt swoje 78000 złotych, tytułem kaucji. Do zapłacenia całego rachunku brakowało mu 60 000 zł. Kontrahent zastrzegł, że jeśli klient nie wpłaci całości w terminie, zaliczka przepadnie. Dziewczyna robiła wszystko, aby pożyczyc tę resztę z banku, od swej firmy, a także od znajomych. Kolega, który widział jej gorączkowe zabiegi dziwił się, że interes życia nie jest asekurowany umowami. Nie podobały mu się warunki transakcji: jeśli odbiorca sprzętu nie zapłaci umówionego dnia, kaucja przepada. Ale Edyta, absolwentka renomowanej uczelni ekonomicznej, pozostawała głucha na jego rady. Przelala zgromadzone pieniądze, ucałowała narzeczonego na drogę (elementy komputerowe miał odebrać w Kostrzynie nad Odrą) i przez pół dnia, zamiast pilnować biurowej buchalterii,

pilotowała Arka telefonicznie, wodząc palcem po mapie drogowej.

Nazajutrz, w czwartek 10 listopada 2005 r., tuż przed długim weekendem, mieli się spotkać na uroczystej kolacji. Tym razem w mieszkaniu na warszawskim Żoliborzu, które Arek wynajmował od kolegi, pracującego za granicą. Rozliczą swoje wkłady w transakcję życia, a potem... rozmarzona dziewczyna zastygała nad robotą rozłożoną na biurku.

Andrzej K. właśnie tak ją zapamiętał.

???

Trzydziestoletnia Edyta, mieszkająca w Warszawie dopiero od kilku lat, poznała Arkadiusza B. na portalu „Sympatia.pl”. To przyjaciółka Wiola poradziła jej szukać znajomości w internecie. Jej się udało, ma kogoś, poznanego właśnie tą drogą. Edyta wykupiła abonament.

Mężczyzna, który 19 sierpnia 2005 r. o godz. 13.20 odpowiedział na anons Edyty, prezentował się na zdjęciu jako luzak. Długie włosy, szeroki uśmiech, widoczne bicepsy. Twarz... Darwin określiłby ją jako typ neandertalski. Stał w samych

11

M szortach nad jeziorem i trzyma! taaaką rybę. To, jak się przedstawił, pasowało do fotografii, na którą Edyta patrzyła.

- Jestem romantycznym chłopakiem, który poszukuje odrobiny szczęścia w życiu. Mieszkam i pracuję w Warszawie. Wykształcenie wyższe. To znaczy wcześniej studiowałem na AWF, a teraz na Wyższej Szkole Prawa i Administracji. Zainteresowania: biznes i gospodarka. Nie mam problemu z brakiem pieniędzy. Marzę o wesołej, sympatycznej dziewczynie, która ceni szczerłość i czas spędzony we dwoje. Jeśli chcesz się dowiedzieć czegoś więcej, odpisz.

Ona odpowiada, podaje swój adres e-mailowy. Już po kwadransie przychodzi zwrotna poczta. Dorzucił parę informacji o sobie: wnuk kultowego reżysera, lubi spacerować w parku wilanowskim, często zachodzi do Muzeum Narodowego, ma młodszą siostrę Anię, która podobnie jak ich rodzice mieszka we Włoszech. A teraz kolej na nią.

- Co ci napisać? - odpowiada Edyta. - Jestem normalną dziewczyną, optymistycznie nastawioną do świata i otaczających mnie ludzi. Otwarta, szczerą, tego samego oczekuję od drugiej osoby. Niepoprawna optymistka, aczkolwiek ostatnio dosyć twardo stąpająca po ziemi. Chętnie pomagam innym, nie toleruję kłamstwa i obłudy. Aktualnie pracuję w zagranicznej firmie, administrującej budowę hotelu. (...).

Na koniec uwaga: - Osobiście nie jestem przekonana, że na stronach „Sympatii” można spotkać tę drugą połówkę jabłka, ale próbować nie zaszkodzi... Jeszcze tego samego dnia wieczorem on opowiada, co lubi robić: Opalać się; najlepiej było na przepustce w Chorwacji, gdy zaciągnął się do oddziałów ONZ.

Gotować; preferuje kuchnię śródziemnomorską. Właśnie w tej chwili robi pizzę ziołowo-serową. Do tego wino - chilijskie, chociaż lepsze byłoby australijskie czerwone wytrawne. Ale akurat tego nie ma pod ręką. Nienawidzi restauracji, gdyż jako dziecko spędził tam wiele godzin zabierany przez matkę, która nie potrafiła zrobić nawet jajecznicy.

Ona: - Mężczyzna swobodnie czujący się w kuchni? Chciałabym poznać takiego w realu.

On: - Może się uda.

Edyta wysyła mu swój numer telefonu

Nazajutrz rano znów do siebie e-mailują.

Ona opowiada o swojej pracy - właśnie siedzi w biurze - że jest to przedsiębiorstwo z Austrii.

On reaguje natychmiast - co za zbieżność, ta firma kiedyś chciała współpracować z jego ojcem, który prowadzi na dużą skalę inwestycje budowlane. Ale, uprzedza jej pytanie, dosyć o interesach. Wieczór, to pora na wypicie wina, zwierzenia. Ma w domu piwniczkę do przechowywania tego trunku. Zaopatruje się bezpośrednio we włoskich winnicach przy okazji odwiedzin rodziny.

- Chodziłem z pewną Anią... - zmienia temat.

12

Ale rozstali się. Ciężko to przeżył, był nawet na medytacjach w klasztorze. Już nie robi, jednakże czuje się samotny. Nawet psa Kodiego nie ma teraz przy nim. Pojechał z rodziną do Włoch. - Pokażę ci jego zdjęcie - zapowiada, na moment odchodząc od komputera - po chwili na monitorze Edyty pojawia się roześmiany pysk wilczura. •-

Umawiają się na spacer w Łazienkach.

Po powrocie do domu ona natychmiast zwierza się przyjaciółce: - Dostałam różyczkę 5j - pisze w e-mailu - którą znieca wyciągnął spod kurtki. Mówię ci, to nie jest facet, g\*J który szuka przygody. Ma bardzo poważne podejście do życia. Zapytałam, skąd jego pseudonim Atilla, którym posługiwał się na „Sympatii”. Okazało się, że to nazwa przywódcy Hunów, który rozbił Cesarstwo Rzymskie. (Ha, ha, że niby taki niepokonany?). a\*

Miesiąc później ona zaprasza go przez internet do siebie na obiad.

- Na co masz ochotę? - pyta.

as

Arek: - Tzn.? |

Edyta: - Do zjedzenia:)

Arek: - Ależ Gwiazdko. Ja żyję na batonikach, więc wszystko zrobione twoimi łapkami będzie super.

Edyta: - No nic, sama coś wymyślę :). A co robiłeś do południa? Arek: - Kablowaliśmy budynek. Została tylko informatyka i można podłączać. Edyta: - Lubisz lasagne?

Arek: - Pewnie. Wytrawne teramo z środkowych Włoch pani odpowiada? Rocznik 2002?

Edyta: - Proszę cię, żebyś nic nie przywoził ze sobą.

Arek: - Ja bardzo chcę. Specjalnie pojechałem do mieszkania, żeby zabrać to wino. Edyta: - Czekam na ciebie.

Nazajutrz rano ona do przyjaciółki: - Przyjechał z różą. No i wiesz... Został do rana. W czasie śniadania powtarzał: co ty ze mną zrobiłaś, przewróciłaś mi świat do góry nogami. Dał mi karteczkę, żebym odczytała, gdy już wyjdzie. Napisał: „Kocham cię. Chcę ci otworzyć drzwi do raju”. Boże, jaka jestem szczęśliwa. Słuchaj, pędzę, jestem cholernie spóźniona.

Ledwo usiadła przy biurku i otworzyła komputer, sypnęło listami od niego:

Arek: - Co robi teraz moja Gwiazdeczka?

Edyta: - Pije herbatkę i robi jakieś przelewy.

Arek: - A myślałaś o mnie troszeczkę?

Edyta: - Baardzo dużo. A może ty uważasz, że się zbyt pośpieszyliśmy? Arek: - Skąd. Bardzo się cieszę. Kochanie, muszę zaraz jechać na miasto. Edyta: - Cześć Słoneczko. Arek: - Cześć

Gwiazdko.

Wieczorem znów e-mailują. Kilka godzin. O północy Edyta pisze mu na dobranoc: „Śpij słodko”.

Arek: - Na pewno nie. Już ci się znudziłem.

13

Edyta: - Ale dlaczego tak mówisz?

CO

Nazajutrz w godzinach pracy:

Edyta: - Gdzie jesteś Misiaczku? Komputer milczy, telefon nie odpowiada. Stęskniłam się za Tobą.

Arek po godzinie: - Też się stęskniłem. Ale strasznie jestem zarobiony.

Edyta: - Zjawileś się tak nagle, taki cudowny, kochany, wspaniały. Boje się, żeby cię nie stracić. t—'

Arek: - Jestem jak rzep. Jak już się do kogoś przyczepię... Edyta: - Tak bardzo chciałabym się do Ciebie przytulić. Cudownie być w twoich ramionach.

Arek: - Miałbym jeszcze duuużo siły, gdybyś była obok. Edyta: - I jak ja mam cię nie kochać! Arek: - Musisz skarbie. MUSISZ.

Edyta: - Momentami myślę, że nie pasuję do Twojego otoczenia, twojej rodziny. Zwykła dziewczyna z prowincji. Z moim wyglądem...

Arek: - Co za głupoty skarbie. Ty jesteś moim otoczeniem, wszystko inne zaczyna być tłem.

Edyta: - Nie zobaczymy się w weekend? (To pierwszy sygnał, że Arkadiuszowi B. wcale nie spieszo do Edyty. W ciągu kilku miesięcy znajomości ona będzie wielokrotnie prosiła o wspólną kolację, a choćby i spacer. On się wykręci nadmiarem zamówień od klienta albo przerwie telefoniczną rozmowę w pół zdania pod pretekstem, że „padła mu bateria”).

Arek: - W weekend mam uczelnię.

Edyta: - Mimo że tak krótko się znamy, jestem Ciebie pewna. Arek: - Nie zawiodę cię nigdy.

Zakreśliłaś mnie nieźle.

29 września 2005 roku ona przepisuje do SMS-ów treść sentymentalnych piosenek, cytuje miłosne wiersze. Możliwe, że niektóre są jej autorstwa: „Czegoś mi brak/ czegoś pięknego/ dotyku Twoich warg/ uśmiechu Twego/ oczu kochanych, gorących słów/ tych pieszczot słodkich jak miód”.

Arek: - Obiecuję, że nie będę Cię długo męczył dziś wieczorem.

Edyta: - A może ja bym chciała, żebyś mnie pomógł? A co chciałbyś mi powiedzieć Słoneczko?

Arek: - Że Cię kocham.

Edyta: - Moje Ty Kochanie Najdroższe.

? \* ?

Nikt z jej bliskich nie widział Arkadiusza B. Takie było jego życzenie - chciał zrobić wszystkim niespodziankę wiadomością, że się pobierają. Spotkanie z rodzinami było planowane na 19 listopada. Arek miał wręczyć dziewczynie rodowy pierścionek, który jego matka obiecała przywieźć z Włoch.

14

Przed wizytą Edyta wymyka się na jeden dzień do rodzinnego Łowicza, aby opo- ?jjj\* wiedzieć matce o swoim szczęściu. O

- Gdy tylko stanęła w progu - zeznała w sądzie pani W. - od razu domyśli- W łam się, że coś ważnego zdarzyło się w jej życiu. Powiedziała, że poznała go przez znajomych. Trochę się dziwiłam. Ma bogatych rodziców, dobrze prosperującą fir- g mę i jeździ starym polonezem? Ale Edyta zaraz go broniła - nie przywiązuje wa- «A\* gi do rzeczy materialnych. Chciałam wiedzieć, gdzie będą mieszkać po ślubie.

W jej M3?

- Dla takiego światowca - córka śmiała się - to za mała przestrzeń. Na razie zamienią jej dwa pokoiki na większe, a potem przeniosą się do 200-metrowego miesz- H

kania jego starej ciotki, która zapisała mu ten lokal za opiekę.

Edyta nie mówi Arkowi o rozmowie z matką. Jej powiernicą jest Wiola W. Na ^

14 listopada są umówione na przymierzanie sukni ślubnej. jgj

- Chciałam Arka poznać - opowiedziała W. dwa lata później na rozprawie są- ^ dowej. -

Edyta mówiła, że on ją błaga, aby utrzymała wszystko w tajemnicy, to jest takie romantyczne. Jakoś mi to nie pasowało. Ale na sprawdzenie choćby jego firmy miałam za mało danych.

Tymczasem narzeczeni rozmawiają przez internet, jak urządzić swoje mieszkanie po ślubie.

Arek: - W domu uwielbiałem wannę - wielką, kwadratową. W naszym wolę nie wykończyć od razu paru pokoi, ale zrobię dużą łazienkę.

Edyta: - ...ale taką fajną, właściwie salon i z kabiną do masażu.

Kilka dni później Edyta „ma dola”, jak się zwierza Arkowi. Po co wysłał jej zdjęcie swojej poprzedniej dziewczyny, Ani? Tamta jest ładniejsza. - Boję się takiego porównania - wyznaje.

A on jak džentelmen: - To ty moją żoną będziesz.

Edyta: - Podejrzewam, że piszesz jeszcze z kilkoma innymi osobami.

Arek: - To mnie pilnuj i dbaj o mnie.

Edytę nadal coś dręczy. Wysyła SMS do przyjaciółki: - Czasami dziwnie ze mną rozmawia,

nienaturalnie się zachowuje. A nazajutrz jest wszystko OK.

Wiola w odpowiedzi: - Nie wiem dlaczego, ale martwię się o ciebie. To irracjonalne. Teraz lecę do Paryża, pogadamy, gdy wrócę, po 10 listopada.

???

Edyta nie ma czasu na analizę dziwnych przeczuć Wioli. Musi się sprężyć, aby doszedł do skutku ów interes życia. Bardzo stara się zdobyć potrzebne Arkowi pieniądze, ale to nie jest takie proste. Tymczasem 19 października dostaje dziwny e-mail:

„Hejka Edyta. Pewnie nie wiesz, kim jestem. Więc się przedstawiam. Nazywam się Ania. Zastanawiasz się, czego chcę od Ciebie? Otóż, jako osoba miła i wrażliwa chcę

15

Hi pomoc. Dobrze rozumiesz, pomóc. Przez przypadek wpadł mi w ręczki twój adres «aj e-mailowy. Wiem, że od dłuższego czasu spotykasz się z Arkiem, ale uwierz, to nie ma sensu. Byłam z nim dłuższy czas kilkanaście miesięcy temu i wiem, że na pewno do mnie wróci. Po prostu chcę ci oszczędzić stresu. I proszę cię, żebyś odpuściła sobie. Zapewniam cię cukiereczku, że ja nie odpuszczę. Już w tej chwili jestem Arkowi

Hi

potrzebna. To ja mu pomogę zrealizować jego marzenia i cel - mam na myśli pewną transakcję finansową. To niewygórowana cena za szczęśliwe życie, prawda? Teraz wy-jeżdżamy we dwoje na kilka dni i postaram się, aby ten weekend na długo mu zapadł w pamięci. Słę serdeczne pozdrowienia. Aneczka".

Edyta w e-mailu do przyjaciółki przebywającej w Paryżu: - Ta Ania nigdy nie zniknie z naszego życia. On wszystkiemu zaprzecza, mówi, że nie widział, jej odkąd zerwali, ale ja nie mogę spać. Że też on nie widzi jej gry i jaka jest wredna.

Dwa dni później pisze do Arka rano z biura:

- Wstawaj, mój Książę. Głęboko wierzę w miłość, która nas łączy, dlatego też nie pozwolę, by ktokolwiek stanął na drodze do naszego szczęścia. Ty jesteś Moją Po-lóweczką Jabłuszka, nikomu Cię nie oddam.

Arek: - Jak zmierzyć moją tęsknotę do Ciebie, Skarbie? Chcę zostać z Tobą na resztę życia, Gwiazdeczko. Nie przepędzisz mnie i już.

- Edyta po liście od Aneczki postanowiła uprzedzić rywalkę i wziąć kredyt pod hipotekę swego mieszkania - zeznał w sądzie jej kolega z pracy. - Ubłagała też szefa, aby poręczył za nią w kasie zapomogowej.

Arek codziennie pyta, ile zebrała, co załatwiła. Ona melduje: właśnie jest po rozmowie w PKO o pożyczce hipotecznej na jej M3.

On ją zagrzewa do starań o pieniądze, zapewniając o swej miłości. O czwartej nad ranem 22 października wysła jej e-mail: - Myślę o Tobie nieustannie. Mocno kocham.

Edyta odpowiada natychmiast (też nie śpi?): - Gdybyś był troszkę bardziej elastyczny, Kochanie moje, to nie musielibyśmy teraz rozmawiać za pośrednictwem in-ternetu. Dobrze wiesz, że mógłbyś się do mnie wprowadzić na ten czas, zanim kupimy duże mieszkanie.

Arek: - Kotuś...

Edyta: - Wiem, wiem. Dobranoc.

Nazajutrz rano wysła mu SMS-a: - Kiedy pójdziemy do USC, jeśli oczywiście nadal tego chcesz?

Arek: - Pewnie, ja jestem stały w uczuciach. Nie będę czekał, bo mi umkniesz. Edyta: - Kiedy me oczy zobaczą Ciebie? A usta odnajdą usteczka Twe? Arek: - Gdy gwiazda zaranna swe jarzmo uwolni, a bóg z morza słońcu wstać każe.

Edyta kilka dni później, 27 października: - Jakoś dziwnie ze mną rozmawiasz. Półśłówkami, jakby Cię to wszystko męczyło. O co chodzi? Ta niepewność mnie po prostu wykańcza.

16

Arek: - A bo zaczynam żałować, że puściłem klientowi ten przelew. To jednak kupa mojego kapitału. Jakby nie wyszło, wszystko stracę.

Edyta: - Ja też siedzę jak na szpilkach. Dzwoniła doradca z PKO, że wszystko na jak najlepszej drodze. Dzisiaj będzie odpowiedź i może jeszcze podpiszę umowę. Kocham Cię!!! Pójdiesz w środę, zamówić termin naszego ślubu? Już nie mogę się doczekać tego najcudowniejszego dnia. A co mi teraz odpowiesz?

Arek: - Jestem mały pyłek, a Ty całym moim światem. (Rozłącza się).

31 października. Edyta: - Nie dadzą mi na hipotekę. Za dużo wzięłam kredytów. Kochanie, co teraz zrobimy? Do kiedy musimy zapłacić za towar?.

Arek: - Do długiego weekendu muszę to zrobić.

Edyta: - Nie możemy pozwolić, aby stracić tyle pieniędzy. Ja - w przeciwieństwie do Ciebie - wierzę, że uda mi się zebrać.

Arek: - Skarbie mój, wiem, że jesteś aniołem, ale to Bóg jest wszechmogący, a nie aniołowie.

Edyta: - ..poza tym, jeszcze z City Banku będzie kredyt i teraz wystąpię o mniejszą kwotę, więc zachowam zdolność.

Arek: - Jesteś czymś najcudowniejszym, co mogło mi się w życiu przydarzyć. Edyta: - Przyjedziesz dziś do mnie?

Arek: - Kochanie, jestem padnięty. Raczej nie dojadę przed nocą, skarbie...

Edyta: - Boję się, że jakby coś nie wyszło, to mnie zostawisz. Z tym twoim klientem wszystko bez umowy, na słowo. Nie mogę przestać o tym myśleć. Jesteś tam? Hallo!?

Arek nie odpowiada, nazajutrz się wytłumaczy, że padł mu komputer.

6 listopada. Edyta: - Brakuje już tylko 10 tysięcy... Jutro zrobię przelew na twoje konto i resztę pieniędzy dam Ci w gotówce. Nie mogę się denerwować, bo za dużo jest do stracenia. Podziwiam Twój spokój.

Arek: - To próba zachowania zimnej krwi. Gdy w 1815 roku na Napoleona nacierało 20000 wojsk koalicji angielsko-pruskiej, on stał na wzgórzu niewzruszony i patrzył na zbliżającego się wroga... Wtedy marszałek de la Gardę powiedział: - Podziwiam wasz spokój, ekscelencjo. A Napoleon: - Tylko zimna krew pozwoli zachować trzeźwość widzenia całej sytuacji.

Edyta: - Ale to nie zmienia faktu, że brakuje nam 10000 złotych.

Arek: - Damy sobie radę. To tylko kilka dni (...). Pojedziemy po południu na Wileńską?

Edyta: - Dlaczego akurat tam?

Arek: - Widziałem tam u jubilera oryginalne obrączki.

Edyta: - I potem zostaniesz u mnie do jutra? Za każdym razem muszę Cię prosić.

Arek: - Mamy zostać małżeństwem i ty zadajesz takie pytanie! Waćpanna możesz tylko rozkazywać, a nie prosić.

10 listopada. Edyta zwierza się koleżdze z biura, że Arek odebrał w Kostrzynie towar, ale rozliczenie, ile na tym zarobili, przesuwają się o kilka dni po weekendzie.

17

To może i dobrze, uspokaja się, przynajmniej buchalteria nie zakióci im uroczystej kolacji, na którą narzeczony zaprasza dziś wieczorem.

Ostatnia wiadomość tekstowa od Edyty do Arkadiusza B. przysłała na jego komórkę 11 listopada o godz. 13.57. O treści: „Kocham Cię Kochanie moje najmocniej na świecie”. Policja ustaliła, że wiadomość nadano 9 listopada. To przypadek, że tak długo szła.

???

Dziesiątego listopada rodzice Edyty, jak co roku, wyjeżdżają na imieniny do teścia drugiej córki, Justyny. Podczas kolacji matka nasłuchuje dzwonka telefonu - zazwyczaj o tej porze Edyta składała solenizantowi życzenia. - Nie denerwuj się, pewnie wyjechała na weekend i nie ma zasięgu - uspokaja ją starsza córka.

- Miałam taki straszny sen - zaczyna pani B. i urywa... - Przepraszam - kręci przecząco głową



- nie chcę go opowiadać.

W poniedziałek 14 listopada już cała rodzina Edyty wydzwania na numer jej komórki. Słyszą tylko komunikat - abonent jest poza zasięgiem.

We wtorek Justyna jedzie do biura siostry. Dowiaduje się, że nie przyszła do pracy, nie zadzwoniła. Nazajutrz rodzina wraz z Wiolą, która wróciła z Paryża, jedzie pod dom Edyty. Obchodzą dookoła blok - nikt z nich nie ma kluczy - pytają dozorcę, czy na drugim piętrze nie zdarzył się pożar, może wzywano pogotowie? Nie, weekend minął spokojnie. Zatem trzeba zawiadomić policję. Gdy stoją w korytarzu, do tablicy ze zdjęciami osób poszukiwanych podchodzi młody, długowłosa mężczyzna.

- Wy jesteście od Edyty? - pyta napastliwie.

Ich milczenie wywołuje u niego agresję. - A co myślicie, że ja jej coś zrobiłem?! - krzyczy: - Ja jestem wnukiem Barei, studiuje prawo, mam alibi. Ojciec Edyty pyta mężczyznę, jak się nazywa.

- Arkadiusz B.

Nie chcą z nim dłużej rozmawiać, ściągają strażaków z drabiną. Mieszkanie obejrzone przez zamknięte okno nie budzi podejrzeń. Czysto, ład, tylko bez właścicielki. Następnego dnia drzwi otworzyła policja. Żadnych śladów włamania. Ale Justyna stwierdza brak laptopa i biżuterii.

B. znów się tam pojawia. Tym razem Wiola jest ze swoim chłopakiem i Arkadiusz mówi głównie do niego: że jego rodzina mieszka we Włoszech, matka jest lekarzem. A „ta panienka wysiadała mnie z pieniędzy, które jej pożyczyłem. I pewnie teraz się ukrywa z forszą”.

- Przecież 17 grudnia miał być wasz ślub!! - zdołała wykrztusić kompletnie zaskoczona Wiola.

Odpowiedzią jest wzruszenie ramion. On słyszy o tym po raz pierwszy. W następnych dniach Wiola upewnia się, że przyjaciółka nie była 12 listopada na przymiarce sukni ślubnej. W USC nie słyszeli o rezerwacji Arkadiusza B. na 17 grudnia.

18

Zaczął się śledztwo w sprawie zaginięcia w Warszawie 30-letniej kobiety.

Jej kolega z pracy Andrzej K. opowiedział policjantowi o dziwnej rozmowie telefonicznej, jaką miał z narzeczoną Edyty tuż po długim weekendzie. Przyszedł do ich firmy, gdy jego akurat nie było, przy biurku siedział pracownik Austriak. Nie mogli się porozumieć, więc obcokrajowiec wykręcił mu numer telefonu Andrzeja K. B. pytał, co się dzieje z Edytą, czy dała jakiś znak życia, bo od czwartku jej szuka. Jest zaniepokojony tym zniknięciem, ponieważ pożyczył jej dużą sumę pieniędzy.

- Zaskoczył mnie - zeznał przesłuchiwany. - Powiedziałem: „Przecież wieczorem byliście umówieni na rozliczenie transakcji z Niemiec”. Wtedy B. przerwał rozmowę.

Arkadiusz B. sam się zgłosił na komendę kilka dni po zniknięciu Edyty. Chciał się dowiedzieć, co policja robi w tej sprawie. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz widział zaginioną. Na pewno nie było to 10 listopada.

Pokazał umowę z której wynikało, że pożyczył Edycie 38 000 złotych.

- Mówił bardzo wiarygodnie. Uwierzyłam mu - zeznała potem przed sądem aspirant Stefania K. - Powiedziałam naczelnikowi, że prawdopodobnie ten człowiek jest ofiarą sprytnej oszustki. Puściliśmy go wolno.

Ale policja dyskretnie zbierała dane o Arkadiuszu B. Okazało się, że jest bez pracy, nie ma więzów pokrewieństwa ze znanym reżyserem, mieszka z matką, rozwiedzioną z powodu pijaństwa męża. Ich małe mieszkanie od dawna jest zadłużone w spółdzielni. (Na 1 stycznia 2005 roku - 72 000 złotych). Liliana B. stale pożyczka do pierwszego, bierze w pracy zapomogi, również na inne nazwisko. Ścigają o spłatę wysokiego kredytu Spółdzielcza Kasa Oszczędnościowo-Kredytowa. Elektrownia często odcina w tym mieszkaniu prąd.

Spółdzielnia mieszkaniowa wystąpiła do sądu o eksmisję. Pozew został cofnięty w ostatniej chwili tylko dlatego, że lokatorka z płaczem błagała o prolongatę spłaty długu z powodu nieszczęść, które na nią spadły: syn miał białaczkę i niedawno przeszedł przeszczep szpiku, ona jako pomoc

administracyjna w szpitalu zarabia grosze.

Niespodziewanie w połowie listopada sytuacja materialna Liliany B. diametralnie się zmieniła. Spłaciła wszystkie zaległości - czynszowe, za studia syna na prywatnej uczelni, kupiła samochód. Na policji podliczono, że w ciągu jednego miesiąca wydała co najmniej 35 000 złotych.

Arkadiusz też zachowywał się tak, jakby miał pełny portfel. Po listopadowym weekendzie przyszedł na uczelnię w eleganckiej skórzanej kurtce. Miał też nowe buty z renomowanej zagranicznej firmy. Koleżance Emilii Cz. pochwalił się, że został wiceprezesem firmy TCI. Mówił, że za kilka dni jedzie na Ukrainę przejąć przedsiębiorstwo budowlane ojca.

Podczas przeszukania mieszkania Liliany B. (biednie i nieprawdopodobny brud, zwłaszcza w pokoju Arkadiusza) znaleziono umowę syna pani B. z biurem nieruchomości na wynajem od 8 listopada 2005 roku kawalerki w dzielnicy Warszawa-

19

H - Żoliborz. Ponadto - karty kredytowe do siedmiu banków, pierścionki, dwie obrączki, 4 amunicję gazową oraz wojskowy nóż z ostrzem 30 cm, kupiony na Allegro 5 listopada. B miał w swoim pokoju tylko dwie książki: Kryminologię Bruna Hołysa i Anatomię człowieka Adama Bochenka.

Policja skontaktowała się z właścicielką kawalerki. Starsza pani potwierdziła, że lokal wynajął od niej Arkadiusz B. Przedstawił się jako pracownik pewnej firmy zagranicznej, oddelegowany na kilka miesięcy do Warszawy. Zapłacił z góry za miesiąc, ale są z nim pewne kłopoty: 23 listopada ktoś z bloku zauważył, że w jej mieszkaniu dzień i noc jest otwarte na oścież okno. A na dworze leje.

Zawiadomiono administrację, ta właścicielkę mieszkania, która z kolei zaalarmowała B. Nowy lokator przeprosił starszą panią, że jej nie uprzedził - jest alergikiem, dusi się przy zamkniętych oknach.

Z pomocą operatora komórki Edyty prześlędzono trasę jej ostatnich telefonicznych rozmów z Arkiem późnym popołudniem 10 listopada. Najpierw były to okolice jej biura, potem blok, w którym mieszkała, następnie bilingi wskazywały, że zbliżała się do kawalerki na Żoliborzu. Tam telefon zamilkł.

Ponownie wezwany na przesłuchanie Arkadiusz B. zaprzeczył, aby kiedykolwiek gościł Edytę w owej kawalerce. Owszem, 10 listopada widział się z nią w pobliżu wynajmowanego mieszkania, konkretnie przed sklepem spożywczym. Tam się umówili, gdyż chciał jej powiedzieć, że z zaplanowanego intymnego spotkania nici, matka miała wyjechać na działkę, jednakże w ostatniej chwili zmieniła zdanie, jest w domu.

Ale w czasie rewizji kawalerki znaleziono srebrną bransoletkę i perfumy Chanel w oryginalnym opakowaniu. Wiola je rozpoznała, jako prezenty od niej dla Edyty.

Gdy sprawę przejęła sekcja kryminologii z innego komisariatu, znów wezwano B. na przesłuchanie. Policja miała już wydruki z komputera zaginionej, nadeszły też informacje z banku o jej przelewach na konto oskarżonego. A w skrzynce pocztowej pojawiły się upomnienia z banków, aby dotrzymywała terminów spłaty kredytów.

Arkadiusz B. przedstawił śledczym nową wersję swej pożyczki udzielonej Edycie. Owszem, przelewała na jego konto dwa razy po 14000 złotych. Tak naprawdę, były to jego oszczędności i ponownie wracały do dziewczyny. To Edyta, która śledziła proces Bąsika wymyśliła, żeby pieniądze krążyły między bankami i zarabiała na sobie - taki mały oscylator. Zawierzył jej, wszak była księgową. Tymczasem oszukała go, zniknęła, gdy tylko gotówkę miała w rękach.

Wyjaśnił też, jak było z listem do Edyty od „Aneczki”. Jego była dziewczyna Ania, nie miała z tym nic wspólnego. To on napisał. Chciał w ten sposób wzbudzić zazdrość narzeczonej.

Również po tym przesłuchaniu B. nie trafił do aresztu. Jedyna nieprzyjemność, jaka go wówczas spotkała, była od właścicielki kawalerki. Starsza pani wystraszyła się przesłuchań na policji i zerwała umowę. Miała kilka pretensji do lokatora: dla-

20

czego w mieszkaniu nie ma meblościanki, w łazience są odbarwione granatowe fu- ^jj gi i ślady po zamalowaniu plam na suficie? Co on tam robił?! Przecież lokal był tuż pr} po generalnym remoncie. Poza tym - w ciągu tygodnia zamieszkiwania zużyto ty-le zimnej wody, ile u niej w ciągu roku.

<S1

Arkadiusz B. po raz czwarty został przesłuchany. Tym razem policjantów szcze- ^ golnie interesował jego związek z Edytą. B. zeznawał, że z jego strony była to mi-łość, ale boleśnie się zawiódł - okradła go. Teraz zrozumiał, że ta kobieta, dobrze ^ sytuowana, traktowała mężczyzn instrumentalnie; wcześniej była w związku z wieloma żonatymi panami. Perfumy i bransoletka znalezione w kawalerce, to podarunek Edyty dla jego mamy. Zamierzał położyć je pod choinkę. Śledczy puścił B. wolno. ^

?? ? P-i

Siódmego stycznia 2006 roku znaleziono samochód Edyty porzucony na peryferiach Warszawy. Żadnych śladów wypadku drogowego. Skrupulatne przeszukanie dało niespodziewany rezultat - w niewidocznym na pierwszy rzut oka miejscu zawieruszyła się karteczka z adresem wynajmowanej przez B. kawalerki. Grafolog potwierdził charakter pisma Edyty.

Podczas kolejnego przesłuchania B. zeznał, że w dniach 8-10 listopada 2005 roku był w wynajmowanej kawalerce, bo usuwał starą, zawadzającą mu meblościan-kę. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego w tym czasie informował zaginioną, że przejeżdża przez przejście graniczne ze sprzętem elektronicznym. W rzeczywistości telefony od Edyty odbierał w Warszawie.

Następnego dnia - 14 lutego 2006 roku - B. odmówił składania wyjaśnień na okoliczność zaginięcia Edyty. Został zatrzymany. Od tej chwili na wszelkie pytania odpowiadał: nie wiem, nie pamiętam. Mimo to w aktach śledczych zgromadzono sporo materiału o prawdziwym życiu podejrzanego:

Nigdzie nie pracował dłużej niż miesiące. To były stanowiska gońca, kuriera, zaopatrzeniowca. Szybko go zwalniano z powodu niesolidności. Nie miało to związku z rzekomą białaczką - nie chorował na nią, nie miał przeszczepu szpiku kostnego.

Arkadiusz B. był krótko żonaty, rozwiódł się. Jego była żona Ewa opowiedziała policji o tych kilku miesiącach swego nieudanego małżeństwa jako o traumatycznym przeżyciu.

Była notorycznie okłamywana. Przed ślubem powiedział jej, że nie będą musieli się liczyć z wydatkami, bo jego matka jest znanym lekarzem, z świetnie prosperującą prywatną praktyką, a ojciec ma firmę budowlaną. Gdy okazało się to nieprawdą, Arkadiusz B. postanowił zarabiać na taksówce (ona jeszcze chodziła do szkoły). Wyłudził z banku 24000 na zakup samochodu, a potem nie spłacał kredytu. Po jakimś czasie zorientowała się, że nie składał żadnych dokumentów w przedsiębiorstwie komunikacyjnym. Nigdy nie dał jej nawet grosza na życie.

u:

21

o

H

:

Wyżywaj się w psychicznym dręczeniu. Na przykład: tuż przed ślubem dostała na walentynki przesyłką kurierską orchideę. Nie miała pojęcia, od kogo. Mąż aż do rozwodu wypominał jej, że to

prezent od kochanka, taką wersję przedstawił podczas rozprawy w sądzie. Gdy się wyprowadzała, w jego rzeczach znalazła rachunek dla B. z kwaciarni wysyłkowej.

Prawdziwą twarz Arkadiusza B. pokazała też zawartość twardego dysku w jego komputerze. Policjanci znaleźli tam odpowiedź na pytanie, co tak naprawdę robił w ciągu dnia, skoro nigdzie nie pracował.

Otóż - uwodził kobiety. Kilkanaście jednocześnie. Wszystkie te znajomości pochodziły z portalu „Sympatia”. Każdej opowiadał inną historię o sobie. Jednej, że jest poważnym, bardzo zajęтым biznesmenem, innej, że nie musi pracować, bo ma bogatych rodziców; szuka sensu życia - dopiero co opuścił klasztor kamedułów, gdzie spędził miesiąc na medytacjach. Według kolejnych wersji jego życiorysu ma za sobą niebezpieczną służbę wojskową - na ochotnika - w czasie wojny na Bałkanach. To znów dopiero co wrócił ze zgrupowania kadry przed mistrzostwami Europy w kick boxingu.

Nie zadawał sobie zbyt wiele trudu z wymyślaniem oryginalnych komplementów swoim respondentkom. Zazwyczaj wysyłał im ten sam tekst. Każda była Gwiazdeczką i dostawała na dobranoc miliony całusów. Tylko ich imiona się zmieniały. I jego nicki.

Dziewiętnastego września, parę minut po wysłaniu e-mail do Edyty („Ty jesteś moim otoczeniem, wszystko inne zaczyna być tłem. Kocham cię”), pisze do jakiejś Marty: „Jestem właśnie w interesach w Warszawie i chętnie bym cię zobaczył Gwiazdeczko. Wygospodaruj dla nas wolny wieczór, przybiegnę z różą w zębach”.

Ponieważ Marta w ciągu pół godziny nie odpowiada, wiadomość dostaje Liii: „Od rana strasznie jestem zapracowany, a jeszcze muszę ustawić parę służbowych spotkań na wieczór. Wiesz, jak to jest - trzeba zjeść z nowym klientem kolację, nie obejdzie się bez trunków. Jutro wytrzeźwieję i cały jestem twój. Bo w pracy nie będę ci przeszkadzał, przeszkadzać wolę w nocy”.

Czasem szantażował pokazaniem w internecie ocierających się o pornografię zdjęć, które robił swym partnerkom w intymnych sytuacjach.

Kobiety, które wybrał do korespondencji, miały pewne cechy wspólne - wszystkie przyjechały do Warszawy, aby zrobić karierę, na którą nie miały szans w rodzinnej małej miejscowości. Były ambitne i pracowite - skończyły studia, urządziły się, niektóre zdążyły się rozwieść, zamykając w ten sposób etap młodzięcych złych wyborów.

Na portalu Sympatia zwierzały się, co je dręczy.

- Witaj Arku - pisze 14 września 2005 roku Maria, radca w korporacyjnej firmie handlowej. - Masz rację, samotność to coś okropnego, próbuję sobie z tym radzić, ale to bardzo trudne. Chyba mam pecha.

22

On: - Cześć Maria. Szansa jest zawsze.

Ona: - Jestem w tym wielkim mieście bardzo samotna. Nie mam tu żadnej rodziny, nawet kolegów z okresu studiów. Z moim wyglądem też nie jest zbyt ciekawie. Na stronę Sympatii trafiłam przypadkiem. Chciałabym kiedyś znaleźć kogoś, komu będzie na mnie zależało. Czy jest jakąś szansa? ^

On: - Marysiu. Ostatnio zauważyłem, że w codziennych prozaicznych czynnościach dnia codziennego, jak zakupy, spacer, kolacje, potwornie mi brakuje tej drugiej osoby. Oczywiście, mam przyjaciół i znajomych, ale to nie to samo, wiesz, co mam na myśli. I pomyślałem, że portal Sympatia jest miejscem dobrym jak każde inne, by kogoś poznać. Pozdrawiam. Arek.

Ten sam list posyła za pośrednictwem portalu do kilku innych kobiet. Zmienia tylko imię adresatki i swój nick. Czasem wspiera go ktoś z zarządzających portalem: - Witaj arriko. Użytkownik Doletka puścił Tobie oczko. Wygląda na to, że jest tobą trochę zainteresowany(a). Życzymy miłego dnia. Zespół Sympatii.

Reakcja jest natychmiastowa: - „Tu arrika. Dzięki, że napisałeś. Mieszkam w Warszawie od 10 lat. Skończyłam studia, mam trzydziechę na karku i pracuję w agencji reklamowej. Podobnie jak ty

szukam bratniej duszy, aby móc z nią spędzić wolny czas. Podaję ci numer na GG i e-mail. Ale chyba nie ja jedna do Ciebie piszę".

Słusznie dedukuje. Jeszcze tego samego wieczoru odzywa się Iza: - „Mimo dwóch dyplomów renomowanych uczelni nie ułożyłam sobie życia. Jestem po nieudanym małżeństwie, mam syna 4 lata, pracuję w handlu".

Magdalena: - „Jestem w trakcie szukania pracy, w moim miasteczku nawet z dyplomem magistra to bardzo trudne, zamierzam startować do Warszawy. Fajnie, że jesteś młody, nie odpowiada mi związek sponsorowany przez starszego, żonatego mężczyznę, choć moje koleżanki poszły na takie rozwiązanie".

Gabrycha: - „Witaj. Świetnie Cię rozumiem. Podobnie jak Tobie bardzo brakuje mi takiego zwykłego bycia razem. W szczególności podczas długich deszczowych wieczorów. Wtedy wolę po prostu iść spać. Nie chcę tak dłużej (...). Pracuję w agencji (...) jako new bussines manager. Osobiście na Sympatii funkcjonuję od niedawna, dotąd miałam same rozczarowania. Trafiałam na erotomanów gawędziarzy".

Aika: - „Twój zawiąski uśmiech na zdjęciu po prostu mnie zauroczył. Szkoda, że ostatnio jestem bardziej nastawiona intelektualnie, a nie seksualnie, bo wakacyjny seks z Tobą byłby fajną przygodą. A w tym zakresie mam instynkt prawdziwej samicy".

Angelika: - „Jak zapewne domyślasz się, ja już pierwszą nieudaną próbę ułożenia sobie szczęśliwego życia mam za sobą. W przeciwieństwie do Ciebie ostatnimi czasy mam sporo wolnego czasu. Jestem romantyczką i wierzę, że szczęście gdzieś na mnie czeka. Więc nie pozostaję bierna i wyciągam do niego ręce".

Amica: - „Cześć. Miło mi, że do mnie napisałeś. Wydajesz mi się interesującą osobą. Za godzinę wylatuję do Frankfurtu na krótki urlop do znajomych. Kiedyś tam

23

mieszkałam przez 2.5 roku. O mnie w skrócie: skończyłam SGH, pracuje w kancelarii audytorskiej, biegam rano prawie codziennie przez 50 minut, w weekend jeżdżę na rowerze. W Warszawie jestem od 3 lat i jakoś jeszcze nie znalazłam partnera wartego poświęcenia mu czasu. Ale trzeba próbować. Może ty nim będziesz?".

Dana: - „Jestem przekonana, że każdy, kto poznał smak miłości, będzie za nią tęsknił i do niej dążył. Spędzasz wakacje i wolne chwile we Włoszech? Rewelacja. Wiesz, ja nigdy nie byłam we Włoszech i to jest właśnie moje marzenie spędzić wakacje w Italii. Ukończyłam ochronę środowiska na UJ i chemię na Politechnice. Obecnie zastawiam się nad podjęciem studiów doktoranckich. Mam niespełna roczną córkę".

Arkadiusz B. polował też na samotne kobiety w agencjach matrymonialnych. Pisał w swej ofercie, że chce poznać dziewczynę „niekoniecznie bardzo ładną, ale aby go rozpieszczęła i obdarowywała uczuciem".

W taki sposób trafił do Katarzyny G., studentki medycyny trzeciego roku, która, jak zeznała na procesie sądowym, szukała kogoś spoza kręgu uczelnianego.

Katarzyna była czujna. Gdy przedstawił się jej jako wnuk znanego reżysera, zebrała informacje o życiu tego artysty. Nie mógł mieć takiego wnuka. Raziło ją też niechlujstwo B., jego tygodniami niezmiennie koszule (zawsze czarne), brud za paznokciami.

- Spotkaliśmy się 5-6 razy i postanowiłam się od tej znajomości odciąć - zeznała. On jednak nie dał się tak spławić. Prawdopodobnie imponował mu dom Katarzyny, która rzeczywiście miała majątnych rodziców na wysokich stanowiskach.

Ale kiedyś dowiedział się, że nie zaprosiła go na uczelnianą imprezę organizowaną z okazji zaliczenia połowy studiów. Bardzo rozżłoszczony, urażony w swych ambicjach uwodzicielskich, wysłał do niej wiadomość przez Gadu-Gadu:

Najpierw ustosunkuję się do Twojego listu. „Byłeś ostatnią osobą którą zaprosiłabym na połowinki". Hehe, ale absurd. A ile osób odmówiło Ci przedtem? Piękna dziewczyna nie ma najczęściej problemu z towarzystwem na imprezę, a kaszalot najczęściej musi prosić. A skoro tak

bardzo nie chciałaś iść ze mną, to dlaczego tak skamlałaś? Co? Telefony, SMS-y. Ale miałem jazdę. Dla mnie dziewczyna musi mieć piękną buzię i superfigurę. Jak moja obecna dziewczyna, moja królewna Ania. Nie może wyglądać jak karłowaty Eskimos z kwadratową twarzą. Uważasz, że jesteś śliczna? Haha. Masz pospolitą prawie męską twarz i krótkie grube nóżki. Zupełnie nie masz talii a tam gdzie powinna być, są jakieś wałki. Błę... Trzeba być naprawdę tłumokiem, by mając w domu lustro wierzyć w to, co mówiłem. Naprawdę uważasz, że mógłbym cię zabrać do rodziców do Włoch? Ale miałbym obciach".

- Chyba byłam nim na początku zainteresowana. Proponował, że się ze mną ożeni. Ale szybko oprzytomniałam - zeznała w sądzie Katarzyna G., na ten jeden raz odwracając głowę w kierunku oskarżonego. Szczupła, zgrabna, o buzi lalki Barbie. Pani doktor.

24

???

M Śledczych analizujących zawartość twardego dysku komputera Arkadiusza B. inter- pty resowała owa „królewna Ania”, o której informacje, opatrzone zdjęciami, raz po raz pojawiały się w korespondencji od B.

P4 NI

Raz występowała jako jego siostra mieszkająca we Włoszech, to znów aktualna ^} narzeczona lub była dziewczyna. W zależności od przypisanej roli, jej zdjęcia były -< albo grzeczne, zrobione gdzieś w plenerze, albo wręcz wyuzdane, pozowane na ho- ^ telowym łóżku.

Odnaleziono tę kobietę.

Okazała się mężatką, matką córeczki. Bardzo prosiła o dyskrecję.

Arkadiusza B. poznała w 2004 roku w sklepie, gdzie pracowała jako ekspedientka, g\_j Zaimponował jej opowieściami o tym, kim jest, zawrócił w głowie wyszukany kom- j\_jj plementami. Trafił na podatny grunt, bo właśnie dowiedziała się o zdradzie męża.

Spotykali się potajemnie.

Po kilku miesiącach Anna chciała zakończyć znajomość i wtedy zaczął ją szantażować. Groził, że się zastrzeli (nosił odznakę Legii Cudzoziemskiej; nie wiedziała, że sam ją sobie uszył), ale przedtem skompromituje, umieszczając w komputerze jej zdjęcia w intymnych sytuacjach (w czasie rewizji mieszkania podejrzanego zabezpieczono dyskietkę z takimi fotografiami).

Więc spotykała się z nim nadal, ze strachu, że dowie się mąż, z którym w międzyczasie się pogodziła.

Jedenastego listopada 2005 r. wysłał do niej SMS-a, że o godz. 22.00 czeka na nią pod marketem, w którym pracowała.

Zdziwiła się, gdy podjechał innym samochodem - prawie nowym, dobrej zagranicznej marki i zadbanym w środku. Wnętrze 10-letniego poloneza, którym do tej pory jeździł, wyglądało jak śmietnisko. Zapytała, skąd ta zmiana; wyjaśnił, że dostał od dłużnika w ramach rozliczeń.

- Na tylnym siedzeniu - zeznała potem w śledztwie - leżała damska parasolka. B. chciał mi ją podarować, ale odmówiłam. Byłam głodna, więc podjechaliśmy do McDonalda. B. cały czas miał trudności z uruchomieniem silnika.

Następną randkę - trzy dni później - wyznaczili sobie w parku wilanowskim. Tym razem B. przyjechał swoim starym samochodem. Wstąpili do kawiarni, gdzie zapewniał ją o swej miłości. W pewnej chwili odgiął marynarkę, aby pokazać dwie grube paczki pieniędzy. Pochodziły, jak twierdził, z firmy budowlanej ojca, którą właśnie przejął. Jeden z pakietów chciał dać jej na przechowanie. Nie zgodziła się.

Oznajmił, że zaczną nowy etap ich znajomości. Koniec z randkami w hotelu. Wynajął mieszkanie i to będzie ich gniazdko. Niestety, nie mogą tam iść już dzisiaj, bo coś strasznie cuchnie w tej kawalerce. - Jakby trupem - zaśmiał się. Będzie musiał przez kilka dni intensywnie wietrzyć.

CO

cc tSj

M

Przesłuchiwanej okazano samochód Edyty. Rozpoznała, że jest to ten sam, którym 11 listopada Arkadiusz B. odwiózł ją do domu. Nigdy nie słyszała o Edycie, nie wysyłała jej e-mailu z pogrózkami. Zresztą, nie umie obsługiwać komputera.

Sledztwo nabrało tempa, ale nie natrafiono na żaden ślad po zaginionej. Nic też nie dało wystąpienie do prokuratur innych krajów, o wspólne szukanie zaginionej.

Zrozpaczeni rodzice Edyty zwrócili się do jasnowidzów.

Słynny Jackowski powiedział, że dziewczyna żyje, przebywa w złych warunkach, ale na swoje życzenie. Mieszka w Warszawie przy wybrukowanej kocimi łbami ulicy w jedynym tam dużym bloku. Obok niej jasnowidz zobaczył podejrzanego partnera Edyty - to narkoman, jakiś kombinator. Dziewczyna dopuściła się oszustwa z tym mężczyzną.

Policja spenetrowała wszystkie ulice w Warszawie z przedwojennym brukiem. Nigdzie nie stał pojedynczy blok.

Kolejny jasnowidz (tym razem była to kobieta) zobaczył poćwiartowane ciało Edyty przez kilka dni leżące w łazience. Morderca wywoził zwłoki partiami, wrzucał do Wisły. Ta kobieta powiedziała rodzicom Edyty, że po trzech latach B. powie prawdę, co się wydarzyło.

Notatka policjanta: „Dobrze byłoby sprawdzić, co wcześniej dotarło do jasnowidzącej z mediów. Czy wstrzeliła się w te informacje, czy też faktycznie ma takie zdolności. Podobno występowała w telewizji japońskiej”.

W aktach prokuratorskich nie ma informacji, czy pani jasnowidz okazała się jeszcze przydatna. Śledczych bardziej zajmowała analiza prawdopodobności podejrzanego.

???

Drobiazgowo wyluskiwano wszystkie kłamstwa podejrzanego w jego listach e-mailowych, zeznaniach.

Na przykład: Na policji B. twierdził, że 17.10.2005 r. pożyczył Edycie 38000 złotych. Sporządzili wtedy umowę, którą kobieta podpisała. Tymczasem z korespondencji Edyty z przyjaciółką na Gadu-Gadu wynika, że narzeczona Arka nie widziała się z nim między 12 a 18 października. Miał w tym czasie przebywać z interesach w Białymstoku.

Pytany w śledztwie o dochody (bo skąd miał tyle pieniędzy, aby mógł je pożyczać) kłamał, mówiąc, że kilkumiesięczny etat zaopatrzeniowca-posiańca w firmie Asubo pozwolił mu odłożyć 40 000 zł. Ponadto w skupie surowców wtórnych dostawał kilkaset złotych miesięcznie za sprzedaż zbieranych pod sklepami palet drewnianych.

Skłamał twierdząc, że nie miał długów w bankach. Tylko w jednym banku PH zadłużył się na 15000 złotych. Nie spłacał też 20000 złotych kredytu zaciągniętego w 2000 roku w PKO BP na kupno poloneza.

W czasie pierwszego przesłuchania zeznał, że widział się z Edytą w czwartek |H 10 listopada o godz. 17. Mieli zjeść kolację w jego domu rodzinnym (o wynajmo- pt; wanej kawalerce policja jeszcze nie wiedziała), ale jego matka, która w ostatniej ^ chwili nie wyjechała na działkę, pokrzyżowała im plany. Rozczarowana Edyta wró- ?<>> ciła do siebie.

Justynie, siostrze Edyty powiedział, że 10 listopada miał z narzeczoną kontakt tylko przez telefon. !S3

Kłamstwa. Nie mógł umówić się z narzeczoną w mieszkaniu matki, gdyż z jego rozmów na Gadu-Gadu wynikało, że mieszka gdzie indziej, tamten lokal rodzice sprzedali, wyjeżdżając do Włoch.

CO

8.11.2005 r. miał być rzekomo w drodze do Kostrzyna nad Odrą, gdzie czekał na niego klient od „interesu życia”. O pokonywaniu kolejnych odcinków podróży szczegółowo informował Edytę. A ona swą przyjaciółkę.

Tymczasem na odnalezionej przez policję umowie na wynajęcie przez Arkadiusza B. kawalerki widnieje przy jego podpisie data: 8 listopada, Warszawa.

Twierdził też, że 11 listopada po rzekomej sprzeczce z Edytą pojechał do niej z kwiatami, ale drzwi były zamknięte. Zostawił kartkę: „Gdzie jesteś. Odezwij się...”.

Kłamstwo. 11 listopada B. był w mieszkaniu Edyty, dysponując jej kluczami, aby okraść mieszkanie. Zginął laptop, biżuteria, dokumenty. Później na te rzeczy policja natrafiła w lokalu jego matki.

Rodzina zaginionej znalazła w drzwiach kartkę, ale z informacją, że w razie niezapłacenia rachunku będzie odcięty prąd.

Czczymi przechwałkami okazały się też jego opowieści o zbrojnym uczestnictwie w wojnie na Bałkanach.

Wszystkie te poszlaki zyskały znacznie na wiarygodności rok później, gdy w rurach brodzika w kawalerce ujawniono ślad krwi. Badanie DNA wykazało, że jest to fragment tkanki organizmu Edyty, bądź osoby z nią spokrewnionej.

W czasie ponownych oględzin łazienki ujawniono kolejne ślady krwi, m.in. na uszczelkach syfonu i na ścianie kabiny prysznicowej. A także włosy. Eksperci zakładu medycyny sądowej potwierdzili poprzednie rozeznanie.

Mimo braku corpus delicti Arkadiuszowi B. został przedstawiony akt oskarżenia. Zdaniem prokuratury poszlaki ułożyły się w jedną całość.

Dowodzą, że zamordował Edytę.

Prosto z aresztu B. pojechał na obserwację do szpitala psychiatrycznego. Przez pierwsze tygodnie symulował urojenia - twierdził, że jest nieśmiertelny, bo choć w czasie wojny na Bałkanach został zraniony odłamkiem, nie doznał żadnych obrażeń. Później już nie udawał chorego na urojenia.

W opinii biegli napisali, że inteligencja B. jest wyższa od przeciętnej. Nie cierpi na żadną chorobę psychiczną, natomiast ma skłonność do urojeń wielkościowych. Ale ta cecha nie wpływa na poczytalność oskarżonego.

27

? ??

co

W styczniu 2008 roku rozpoczął się poszlakowy proces Arkadiusza B. Oskarżony nie przyznał się do zarzucanego czynu, odmówił odpowiedzi na pytania sądu i prokuratury. Zeznań świadków słuchał wpatrzony w notes, w którym coś zapisywał. Nie drgnęła mu nawet powieka, gdy ciszę sali sądowej rozerwał krzyk matki Edyty. Wskazując na oskarżonego, mówiła z płaczem: - To na pewno on zamordował! Pasożyt przylepiony do obcej skóry, który na niej żeruje. Chciał dostatnio żyć, ale się nie napracować. Zasługuje tylko na karę śmierci!

W ciągu ponad dwóch lat toczącego się procesu Arkadiusz B. raz tylko się odezwał. Był zaskoczony, gdy wezwano świadka Sylwię S. Myślałem, że to ktoś z rodziny - mruknął - ma podobnie brzmiące nazwisko.

Tymczasem młoda kobieta za barierką dla świadków okazała się jego znajomą z portalu Sympatia. Sama zgłosiła się na policję, gdy usłyszała w TVN informację o rozpoczęciu procesu B. Uznała, że ma do przekazania istotne informacje.

Oto one: Poznali się jesienią 2005 roku, gdy dała ogłoszenie w internecie, że „samotna kobieta po przejściach poszukuje swej drugiej połowy na resztę życia”. Była w trakcie rozwodu, mąż nie chciał



się wyprowadzić, nie przychodził na rozprawy. Spośród mężczyzn, którzy odpowiedzieli na jej anons, wybrała roześmianego Arkadiusza B. (jak zwykle, wysłał swoje zdjęcie w kąpielówkach, gdy łowi ryby). Umówili się na spotkanie pod halą Marymoncką.

- Rozmawialiśmy o jego wędkarstwie i o naszych nieudanych związkach - zeznała Sylwia S. w sądzie. - Oskarżony opowiedział o swej byłej dziewczynie, że zdręczała go zazdrością. Nie kochał jej, ale nadal mieszkali wspólnie w wynajmowanej przez niego kawalerce na Żoliborzu.

Gdy Sylwia S. zwierzyła mu się ze swoich problemów z mężem, napomknął, że są różne możliwości pozbycia się człowieka. Za stosunkowo drobne pieniądze można go zlikwidować i w częściach rzucić do kanałku Żerańskiego. Można też rozpuścić ciało kwasem solnym. Gdy będzie zdecydowana, pomoże jej zredagować odpowiednie ogłoszenie do gazety; na pewno odezwie się jakiś Ruski, który wykona takie zlecenie.

- Traktowałam radę jako makabryczny żart. I w tej konwencji odpowiedziałam, że przemyśle sprawę - zeznała świadek.

- Kiedy zakończyła się wasza znajomość? - zapytał sędzia.

- Na początku listopada, a spotkanie było pod koniec września. Jedno jedyne, bo przestał dzwonić, gdy mu powiedziałam, że mam dziecko.

? ? ?

Nikt dotąd z rodziny oskarżonego nie pojawił się na rozprawie. Ale z akt wiadomo, że jego matka często stoi pod murem aresztu w miejscu, skąd może zobaczyć syna za okratowanym oknem. On pisze do niej listy, opatrywane rysunkiem uśmiechniętej buźki.

28

Giównie są to prośby o pieniądze - czy już wystąpiła, dlaczego się spóźnia. Zawsze dołącza listę smakołyków, które chciałby zobaczyć w paczce - jakieś serki, batoniki. Chwali się, że intensywnie ćwiczy w siłowni, uczy się angielskiego, i w ogóle przebywa w dobrym towarzystwie: „Ja tu mam pełno kolegów, takich, jakich nigdy nie miałem i miło czas leci (...). Jest nawet wiceprezydent Warszawy i ci z Pruszkowa, wszyscy się lubimy i pomagamy sobie nawzajem. Poznałem na spacerze Sycylijską. Mieszka nad samym morzem i jak wyjdę, zaprosi mnie do siebie na całe lato. ^ Cieszę się, że budujesz domek na działce. Drugi postawimy pod Warszawą. Albo wyjedziemy do Włoch. Zadzwoni na moją uczelnię i załatw mi urlop dziekański na jeden lub dwa semestry.

Jak będziesz pod aresztem, zatrąb - długo, krótko, długo, krótko i krzyknij „pszczoła”. Ja cały dzień leżę, oglądam TVP, video, gram. Obiecuję ci, że po wyjściu szybko stanę na nogi - wiem już jak, mam dużo pomysłów. Tu trafiają ludzie z ministerstw,

banków... takie znajomości są bezcenne. Pamiętaj o pieniądzach dla mnie. Twój Arek".

? ? ?

KJ

Pięć lat po zaginięciu Edyty poszlakowy proces Arkadiusza B. dobiegł końca. Prokurator Małgorzata Mróz, uznając winę oskarżonego, domagała się dla niego najwyższej kary - dożywocia. Kilkakrotnie powtórzyła, że choć nie znaleziono ciała ofiary, brak jest jakichkolwiek przesłanek do uznania, że Edyta W. postanowiła w tajemnicy przed rodziną i znajomymi wyjechać za granicę, zniknąć. Oskarżyciel w długim wystąpieniu udowodniała, że człowieka, który wykorzystał ufność młodej kobiety, a następnie zamordował ją, należy izolować od społeczeństwa: - Edyta W. nie zdołała w porę się zorientować, z kim ma do czynienia, ale my już wiemy. Nie dostrzegam żadnej gwarancji, że w poczuciu bezkarności Arkadiusz B. nie popełni podobnego czynu.

- Nie mam pewności, że pan B. nie zamordował Edyty W. - powiedział obrońca oskarżonego, mec. Zbigniew Jewdokin - ale też nie wiem, czy mój klient ją zabił. Pani prokurator gratuluję

spokoju i opanowania w wymierzaniu najwyższej kary, mimo braku stuprocentowej pewności, że dokonał on zabronionego czynu. W procesie karnym wątpliwości są rozstrzygane na korzyść oskarżonego. Na dziś Edyta W. nawet nie została uznana za osobę zmarłą.

Mecenas układał przed sądem różne wersje odpowiedzi na pytanie, co się mogło stać z nie dającą znaku życia Edytą.

A jeśli z nieznanых powodów postanowiła odciąć się od dotychczasowego życia? Wszystkim, którzy znali tę kobietę wydaje się to nieprawdopodobne, ale w procesie poszlakowym nie można wykluczyć żadnej wersji wydarzeń. Pokłóciła się z narzeczoną i w zburzeniu wybiegła z kawalerki, na co wskazywałby pozostawiony samochód pod blokiem? A może ktoś ją porwał? W Polsce około 16 tysięcy osób rocznie ginie bez śladu. Warszawa jest oblepiona plakatami przestrzegającymi młode kobiety przed uprowadzaniem ich do zagranicznych agencji towarzyskich.

29

Gdyby przyjąć, że Edyta W. nie żyje - ciągnął swój wywód obrońca - trzeba by odpowiedzieć na pytanie, czy zmarła w sposób naturalny. Jeśli ktoś pozbawił ją życia, to czy zrobił to umyślnie, czy też zgon nastąpił w wyniku śmiertelnego pobicia. I czy sprawcą mógł być Arkadiusz B.?

Zdaniem mec. Jewdokina, mimo zakończenia procesu sądowego, wiele pytań pozostało bez odpowiedzi. Nie ma nawet pewności, kiedy dokładnie mogło dojść do zabójstwa. Co do miejsca zbrodni prokuratura tylko domniemywa.

Poszlaki wskazane w śledztwie są bardzo wątpliwe. Że Arkadiusz B. wietrzył przez dzień i noc kawalerkę, bo jak się zwierzył swojej byłej dziewczynie, miało tam śmierdzieć trupem? - Na tej sali - podkpiwał mecenas - też są otwarte okna. Czy to znaczy, że wczoraj w sądzie ktoś popełnił morderstwo?

Odbarwione fugi w łazience, zagadkowe nadmierne zużycie wody, przemalowanie sufitu tworzą tylko mit zbrodni; zwłaszcza, że prokuratura nie powołała do analizy tych śladów biegłego. Stwierdzona obecność drobinek krwi, prawdopodobnie poszkodowanej, mogła być wynikiem naturalnego krwawienia; to tylko dowód, że Edyta W. była w tej kawalerce.

Co do 80000 złotych rzekomo wyłudzonych od ofiary? Jest dowód bankowy, że przelała ona na konto narzeczonego 28000 złotych. Pozostałą kwotę miała wręczyć Arkadiuszowi B. osobiście. Ale to tylko wersja prokuratury, nikogo przy tym nie było...

A że Arkadiusz B. notorycznie kłamał? Taki miał sposób na życie i uwodzenie kobiet. To jeszcze nie oznacza, że jest mordercą.

Mecenas Jewdokin domagał się uniewinnienia jego klienta.

I tydzień później sąd uniewinnił Arkadiusza B. od zarzutu zamordowania Edyty W. Uzasadniając taki wyrok, sędzia Tomasz Grochowicz stwierdził, że brak jest w sprawie jednoznacznego i kategorycznego dowodu, iż zaginiona kobieta nie żyje. Nie udało się też ustalić - po zgromadzeniu 40 tomów akt - że zabił ją oskarżony.

B. odpowiadał też przed sądem za oszustwo, ukrywanie dokumentów Wojskowej Agencji Nieruchomości i posiadanie bez zezwolenia amunicji do pistoletu gazowego. Za te czyny został skazany na pięć lat więzienia. Na wolność wyjdzie za niecały rok, bo ponad cztery lata był w areszcie.

M

atka Iwony Rajskiej\* mówi, że coś nie dawało jej spać w nocy. Jakiś niespre-cyzowany niepokój o córkę. Od dawna ta 42-letnia kobieta nie opowiadała rodzicom, co się u niej dzieje, choć wychowywali jej dziecko - Agnieszkę. Wnuczka też miała nikły kontakt z matką. Łącznikiem między nimi był 17-letni Daniel - syn Iwony z drugiego małżeństwa. W Ząbkach mieszkał z matką, ale często przybiegał do dziadków. Nie miał daleko - to tylko kilka przecznic dalej.

Od niego Wiesława Rybak dowiedziała się, że córka dorabia w szalecie na targowisku. Podstawową pracę miała „na nocki” w wartowni zajezdni tramwajowej w Warszawie.

Rybakowa, mimo trudności z chodzeniem, podreptała na targowisko. W bazarowym WC Iwony

nie było; przy stoliku z papierem toaletowym i kubkiem na opłatę siedział nieznany jej młody mężczyzna - wysoki, wręcz chudy, o ciemnej cerze i czarnej czuprynie. Zapytała, czy tu pracuje Iwona Rajska, może ją zna? Długo wpatrywał się w nią w milczeniu, jakby nie rozumiał pytania albo go nie dosłyszał...

- Panie, kim pan jest? - natarła - tu powinna siedzieć moja córka. A wtedy on, że nie wie kim jest. I jeszcze dodał: - Nie ma ludzi do pracy, kierowniczka mnie tu ściągnęła. Może coś przekazać Iwonie?.

Rybakowa miała mętlik w głowie. - Znaczy zna ją pan, tak? - utwierdzała się. - Ale dlaczego ona, skoro dopiero co dostała robotę, nie przychodzi na czas?

Nie doczekała się odpowiedzi.

Dwa dni później odebrała telefon. Męski głos powiedział: - Przepraszam, udusiłem pani córkę. I rozłączył się.

Rozpaczliwym krzykiem wywołała wnuczkę z jej pokoju. Agnieszka wystukała numer komórki brata, który od kilku dni nie pokazywał się u dziadków; zwykle o tej porze jadł z nimi obiad.

Jakiś mężczyzna poinformował ją, że Daniel wyszedł na chwilę do sklepu i zostawił komórkę, więc odebrał. Usiłowała dowiedzieć się czegoś więcej, ale ten człowiek powiedział bez związku, że zrobił to z miłości i przepraszając przerwał połączenie.

Agnieszka i jej chłopak Sebastian natychmiast pobiegli do mieszkania Rajskiej. Dziewczyna dawno nie była u matki, nie miała też klucza do jej mieszkania. Drzwi wejściowe do bloku były zamknięte, zadzwonili więc domofonem do sąsiadki. Poradziła wezwać policję, bo w mieszkaniu już trzeci dzień pali się w ciągu dnia światło, a nie słychać, aby ktoś się tam poruszał.

Godzinę później funkcjonariusz wyważył drzwi. Trupi zapach szedł z łazienki. W wannie znaleźli ciało uduszonej Iwony Rajskiej. Na szyi miała zaciśniętą smycz od kluczy. Na podłodze leżały zwłoki również uduszonego Daniela. Kobieta była w czarnym ubraniu wyjściowym. Zsunięte trochę spodnie odsłaniały czerwone figi z napisem „I love you” i rysunkiem dwóch serc przebitych strzałą.

Policja przesłuchiwała sąsiadów. Lokatorka, która mieszkała nad Rajską zeznała, że tragicznie zmarła była spokojną sąsiadką. Gdy przed rokiem dostała przydział do

31

tego bloku, grzecznie zapukała do niej, aby się przedstawić. Najpierw mieszkała tylko z synem, często wychodzili razem. Chyba nikt ich nie odwiedzał. Któregoś dnia pojawił się młody mężczyzna - myślała, że to kolega Daniela. Ale zauważyła, że wieczorami pani Iwona idzie z nim pod rękę. I często zalotnie zagląda chłopakowi pod kaptur, który zazwyczaj nosił. A potem montowali razem przepierzenie, dzielące pokój na dwie części. Była nawet awantura z sąsiadami, bo remont odbywał się późnym wieczorem, hałas niósł się po całym bloku.

- Każden jeden układa sobie życie jak chce - zakończyła sentencjonalnie przesłuchiwana.

Nazajutrz zatrzymano 22-letniego Janusza Baszewskiego, z zawodu technika mechanika, pracującego dorywczo jako murarz. Przyznał się do morderstwa.

? ? ? ?

Do suterenu wprowadził się przed Bożym Narodzeniem. Pod koniec stycznia Iwona powiedziała mu, że ich związek nie ma przyszłości i lepiej, aby się wyprowadził.

Nie zgadzał się. - Przecież będziemy mieć dziecko - tłumaczył jej - naszego syna. Odpowiedziała mu, że poroniła w czasie świąt Bożego Narodzenia, gdy ją zostawił i pojechał do rodziny.

Rozpłakał się, potem krzyczał: - Dlaczego ja się dowiaduję o tym dopiero po miesiącu?!

Rano poszedł do pracy, wrócił około piątej po południu, w mieszkaniu nie było nikogo. Po kilkunastu minutach przyszła Iwona i tym razem już kategorycznie żądała, aby się spakował. Gdy układał na kupkę swoje rzeczy, ona siedziała na stołku w kuchni i jakby nigdy nic piła kawę. Tego nie mógł znieść, pociemniało mu w oczach. Podszedł do niej, złapał ją z przodu za szyję obiema rękami i zaczął dusić. Nie trwało to długo, ona zaraz osunęła się na podłogę. Przeciągnął ciało do łazienki i wepchnął zwłoki do pustej wanny. Jej dłoń owinał różańcem, bo często go odmawiała.

- Wydawało mi się, że jakby westchnęła, więc dla pewności założyłem jej jeszcze pasek na szyję i pociągnąłem.

Następnie przykrył zniekształconą twarz prześcieradłem.

Wkrótce potem w drzwiach stanął Daniel, wracający ze szkoły (gdy był w autobusie, zatelefonował, że jedzie do domu). Baszewski zaatakował chłopca od tyłu. Najpierw ścisnął mu krtań rękami, a gdy Daniel już leżał, zaciągnął na jego szyi pasek od spodni. - Dla pewności - wyjaśnił potem w prokuraturze.

? ? ?

Iwonę poznał w autobusie z Warszawy do Ząbek. Uśmiechała się do niego zachęcająco. A on po opuszczeniu wojska rozglądał się za kobietami. Wysiedli na tym sa-

32

mym przystanku koło kościoła, jakoś tak zderzyli się ramionami, wypadła jej torba z ręki. Podniósł, powiedział przepraszam i zaproponował, że ją odprowadzi. Ona, że chętnie, ma na imię Iwona. Nie spieszyło się jej do domu. Chodzili po mieście z pięć godzin. Potem rzeczywiście ją odprowadził do klatki bloku, gdzie mieszkała. Wymienili numery telefonów komórkowych.

Podobała mu się. Wyglądała na ciut starszą od niego, ale nigdy by nie przypuszczał, że aż o 20 lat (o tym dowiedział się dopiero od prokuratora). I była taka chętna. Gdy miała „nockę” w portierni zajezdni tramwajowej, odwiedzał ją tam wieczorem. Nieraz zeszło im do rana. Gdy dał jej swoje zdjęcie (jeszcze z wojska, w mundurze polowym), podpisała: „Kochany Januszek” i trzymała za celofanową okładką w portfelu. Wie, że chwaliła się koleżankom w zajezdni, że „teraz ma żołnierzyka”.

Na spotkania intymne umawiali się w pustych o tej porze roku domkach letniskowych w Zegrzu. Powiedziała mu, że z pierwszym mężem, za którego wyszła, mając 18 lat, miała córeczkę Agnieszkę; dziecko urodziło się martwe. Do dziś modli się do tego aniołka. Małżeństwo po roku się rozpadło. Dziesięć lat później ponownie wyszła za mąż i znowu źle trafiła, bo na alkoholika. Rozwiedli się.

On też niczego przed nią nie ukrywał.

Mieszka z dwoma braćmi w podwarszawskim Pruszkowie. Zajmują połowę domu, drugą - od lat znieawidzony (poszło o spadek po dziadku) wujek z rodziną. Rodzice zostali na wsi, prowadzą tam gospodarstwo. Bracia są ich chlubą, bo studiuja zaocznie w Wyższej Szkole Ekologii i Zarządzania w Warszawie. Pieniądze na czesne zarabiają pracując na budowach. On nie ma głowy do nauki. Wynajmuje się na pomocnika murarza. Przed wojskiem trochę rozrabiał - raz był ukarany w zawieszeniu i czterdziestoma godzinami nieodpłatnej pracy za pobicie chłopaków na zabawie. - Każdy w młodości popełnia jakieś błędy - odpowiedziała.

W grudniu intymne spotkania na działkach były już niemożliwe i Iwona Rajaska dała mu klucz do jej mieszkania. Kazała przywieźć rzeczy z Pruszkowa. Gdy wysiadł z autobusu z walizką, powiedziała, że ma w domu dla niego niespodziankę.

Był nią jej 17-letni syn Daniel, o którym wcześniej nigdy nie wspomniała. Trochę opóźniony w rozwoju, chodził do szkoły specjalnej.

Po kilku dniach zaczął do Janusza mówić: tata.

? ? ?

Czy tak naprawdę było, nie sposób sprawdzić. Wzywani świadkowie, nawet z najbliższej rodziny, wnoszą niewiele faktów z życia ofiary.

W tej rodzinie między rodzicami a dorosłymi dziećmi kontakt był bardzo powierzchowny, właściwie żaden. Nie odwiedzali się, nie zwierzali. Jak zeznała matka Iwony, „mówiło się o byle czym”.

33

Ojciec powiedział na rozprawie: - Córka miała swoje życie, my swoje. Jak trze-ba było,

pomogliśmy. Gdy się rozwodziła, bo mąż alkoholik bił ją, zamieszkała przez pewien czas z nami. No i od niemowlęcia wychowywaliśmy jej córkę Agnieszkę. Teraz to już duża panna, pracuje w zakładzie fryzjerskim.

Sędzia: - Czy pan rozmawiał z córką o jej planach życiowych?

- Gdy dorosła, to nie, jakoś nie było okazji. Ona skryta bardzo. Ale nim wyszła z domu, udzielało się wskazówek, tłumaczyło, ostrzegało. Bo zawsze szukała mężczyzn młodszych od siebie. Że niby taki będzie ją szanował. To się nie sprawdzało. Ostatni mąż był młodszy o 10 lat, miał siłę do bicia.

O oskarżonym świadek nic nie wiedział.

- Gdyby do mnie dotarło, że znów się związała z młodzikim, to bym do tego nie dopuścił. Daniel do nas często przybiegał, mógł powiedzieć, ale matka mu zabroniła.

Siostra Iwony, choć mieszka w tym samym podwarszawskim miasteczku, nie znała adresu zamordowanej. W sądzie nie potrafiła podać przyczyny, dlaczego córka Rajskej nie była z matką.

Dwudziestoletnią Agnieszkę nie zaskoczyło, gdy dowiedziała się w sądzie, że matka poinformowała Janusza o śmierci jedynej córki zaraz po urodzeniu.

- Nie miałam z mamą dobrych stosunków - zeznała. - Od pierwszych tygodni życia jestem u babci, ona mnie wychowała. W dzieciństwie nigdy nie dostałam od matki tego, czego oczekiwałam. Nie okazywała mi serca, choć słyszałam, że pomagała obcym. Znalazła do mnie drogę w chwili, gdy zaczęłam pracować. Stale pożyczła pieniądze, choćby drobne kwoty. Wówczas udawała moją przyjaciółkę. Tuż przed Bożym Narodzeniem, gdy znów czekała, abym jej coś odpaliła z wypłaty, pokazała mi w telefonie komórkowym zdjęcie swego nowego faceta; to był ten, który dziś siedzi na ławie oskarżonych.

Nowego narzeczonego Iwony widział na żywo Sebastian, chłopak Agnieszki.

- Pani Iwona stała przy stoisku z warzywami z bardzo młodym mężczyzną, który wyglądał na rówieśnika mojej dziewczyny. Gdy zrobili zakupy, on niósł torby, cały czas trzymając tę kobietę za rękę. Chciałem się uklonić, ale patrzyła w drugą stronę. Udawała, że mnie nie poznaje.

Również przed Beatą, najbliższą koleżanką z pracy, Iwona ukrywała bliską znajomość z mężczyzną młodszym od niej o 20 lat. Weszły kiedyś na siebie na ulicy, gdy młokos obejmował Rajska w pól. Speszyła się, bąknęła „cześć” i przyspieszyła kroku.

- Niepotrzebnie - mówi w sądzie ten świadek - gdyby się zatrzymała, powiedziałabym jej, że świetnie wygląda. Naprawdę nie było widać, że ma czterdzieć na karku. Przy takiej figurze zawsze sobie wyszukała w ciucholandzie coś młodzieżowego.

Bracia Janusza nie byli zachwyceni jego kochanką. Najstarszy, Szymon, ten, który kończy studia, zobaczył Iwonę na przystanku autobusowym. Powiedział rodzi-

34

com: - Taka nie bardzo, dużo starsza od Janka. Ale z daleka widać, że jemu bardziej zależy na tej znajomości, niż jej.

Nie zdziwili się, gdy kilka tygodni później Janusz zadzwonił do Szymona z prośbą, aby przyjechał po niego i pomógł zabrać rzeczy do domu w Pruszkowie. Wszystko ma już spakowane, tylko włożyć do samochodu. Bo z Iwoną koniec. Pokłócili się, pokazała mu drzwi. A sama pojechała do rodziców.

- Zaparkowałem pod blokiem - zeznał Szymon. - Janusz kazał mi poczekać, poszedł po rzeczy. Wynosił je na chodnik, a ja pakowałem do samochodu. Potem zawołał, żebyśmy razem wzięli pralkę. Nie wchodziłem do środka, bo stała zaraz koło drzwi. Brat mówił, że to wszystko co zabiera, kupił za kredyty z banku.

???

- Pożyczyłem 5000 zł, bo chciałem, żebyśmy się urządzili, jak rodzina. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że Sebastian nie żyje - powiedział oskarżony w śledztwie.

- Jaki Sebastian? zapytał zdumiony prokurator.

- Nasze nienarodzone dziecko. Iwona mówiła, że to jest syn, będzie miał moje oczy. O tym,

że jest w ciąży, powiedziała mu po dwóch tygodniach znajomości.

- Bardzo się ucieszyłem. Kochałem ją, lubię dzieci - zeznał. - Martwiła się, jak to będzie. Uspokajałem: mam dwie zdrowe ręce, nie boję się roboty. Przede wszystkim spłacimy jej długi, których się zebrało około 4000 złotych.

Natychmiast wziął 800 zł kredytu w „Providencie” na zbudowanie w pokoju ścianki działowej, aby Daniel miał swój kąpiel. Reszta pieniędzy poszła na lekarzy. Iwona musiała robić prywatnie badania, czy ciąża dobrze się rozwija...

W tym miejscu trzeba było przerwać przesłuchanie, bo oskarżony wpadł w rozpacz.

Płacząc, opowiadał o szczegółach intymnego pożycia z Iwoną. - Gdy leżeliśmy, głaskałem ją po brzuszku, całowałem, bo myślałem, że tam jest moje dziecko. Łudziłem się przez ponad 4 miesiące. A ona tamtego wieczoru, gdy kazała mi się wyprowadzać wykrzyczała, że żadnego dziecka nie ma... Oszukiwała mnie tak długo. A przecież na początku naszej znajomości obiecaliśmy sobie, że nie będziemy mieli przed sobą żadnych tajemnic. Zapewniała mnie o swej miłości.

Gdy protokołowano wyjaśnienia oskarżonego, znane już były wyniki sekcji zwłok ofiary. Nie była w ciąży, nie poroniła. Owszem, chodziła do przychodni, bo na narządach rodnych wykryto u niej guzek, na szczęście łatwy do usunięcia. Jest mało prawdopodobne, aby korzystała z porad w prywatnych lecznicach. Pieniądze od Janusza na badania płodu szły na inne wydatki. Lubiała chodzić po sklepach, kupować byle co.

A dlaczego zamordował pan Daniela? - zapytał śledczy.

- On zginął przez mamę. Kochałem go jak własnego syna. Chciałem mu pomóc. Wiedziałem, że nie przeżyje śmierci matki, miał chore serce. Nie mógł grać w piłkę. Co go czekało w tym życiu? Lepiej, aby poszedł za mamą do nieba.

35

b«4

tu

?

?

???

Prokurator zdecydował o badaniu psychiatrycznym oskarżonego.

W wywiadzie odnotowano, że kontakt z pacjentem jest niepełny, urywający się. Początkowo Baszewski nie odpowiadał na pytania psychiatry, jakby ich nie rozumiał. Następnie miał silną potrzebę zwierzenia się.

- Po tym, co zrobiłem, nie mogłem spać. Bolały mnie kolana - skarżył się. - Pewnie dlatego, że gdy kładłem Iwonę do wanny, musiałem ugiąć jej nogi, nie mieściła się. To taka jej zemsta po śmierci.

W szpitalu pisał listy do najbliższych krewnych, choć obawiał się, że nie dojdą do adresatów, bo „prokurator przechwytuje”.

„Kochani Rodzice!

W pierwszych słowach mego listu chcę was przeprosić za to, że zrobiłem coś strasznego. Ale pamiętajcie, bardzo was kocham i żałuję tego. Działalem w afekcie, nie byłem świadomy. Trudno się dziwić, przecież ja straciłem syna. Był już czwarty miesiąc, taki duży chłopak. Teraz myślę, że ta kobieta chciała mnie wykorzystać nawet kosztem życia naszego syna. Bo miała kilka długów do spłacenia, a ja jej byłem potrzebny do zaciągania pożyczek. Chciała wziąć pieniądze i później mnie zostawić.

Mam do was tylko jedną prośbę - kochajcie się. Przepraszam, że was zawiodłem. Wieczorem

odmawiam koronkę do Miłosierdzia Bożego. Modłę się codziennie o zdrowie was wszystkich, najbardziej o mamę, tyle jej zdrowia napsułem. Ja byłem ten najgorszy, ze mną było najwięcej problemów, ale to się zmieni, gdy wyjdę.

Codziennie sprzątam cełę, zmywam naczynia, a wieczorem, jak tylko starczy sił, dopóki nie zasnę, spędzam czas na modlitwie".

Do braci:

„Mamie napsułem nerwów i teraz zamiast pomagać w doczekaniu spokojnej starości, tylko dobiłem kilka gwoździ do jej trumny. A wszystko przez to, że zapoznałem Iwonę. Kiedy z nią zamieszkałem, nie byłem sobą. Strasznie się zmieniłem. Robiłem wszystko, o co mnie poprosiła. Nie miałem swego zdania i nie byłem w stanie logicznie myśleć.

Była zwykłą k..., rurociągiem, wykorzystała moją miłość do dzieci i moje dobre serce. Nie jest mi łatwo żyć, bo zabiłem k..., a będę odpowiadał za zabicie człowieka. Nienawidzę tego świata, nienawidzę siebie. Oszukała mnie, oszukała wszystkich.

Dlaczego ona to zrobiła? Ile osób w ten sposób skrzywdziła?! Przecież ten chłopak mógł żyć, gdyby nie jego zła matka, miał tylko 17 lat. Boże ratuj. Może kiedyś wyjdę, ale nie jest łatwo wiedzieć, że tyle ludzi przez nią cierpi.

Dla wszystkich ja jestem złym człowiekiem, bandytą, mordercą. A to ona była zła, przez nią teraz wszyscy cierpią. Nikt nie wie, że jestem niewinny pomimo tego, co zrobiłem.

Ja chcę być znów na wolności, tak jak ptak.

Szymek, a ty się ucz, weź przykład z Arka. Pobawimy się, jak wyskoczę stąd".

36

Pod koniec obserwacji psychiatrycznej Baszewski zgłosił lekarzowi, że ma dziw- [\*]\*

pa

o

o

ne zwidy, widzi jakąś postać z oczami kota i twarzą, która raz wygląda jak diabeł, to znów jak Chrystusa. W takich chwilach się modli i to pomaga, straszna zjawia znika. Ale nie na długo. Poza tym w nocy słyszy „nieziemskie głosy".

Z opinii psychiatrycznej: „Te informacje nie mają charakteru patologii, to postawa obrończa".

Pacjent zachowywał się agresywnie wobec oddziałowego (bił w kratę stołkiem), groził, że odbierze sobie życie (kiedyś w wojsku usiłował już to zrobić), ściągnięto JEJ więc do prokuratury jego kartę zdrowia z jednostki, w której odbywał służbę. Oka- ^  
zało się, że w wojsku podjął próbę samobójczą, połykając garść środków przeciw- W  
bólowych. Chciał w ten sposób zaprotestować przeciwko nie przeniesieniu go do jed-  
nostki bliżej miejsca zamieszkania. Q

Po odratowaniu został zapisany do poradni psychologicznej, ale nie zgłosił się na umówioną wizytę. Wojskowa pani psycholog nie zainteresowała się w jakiej kon-  
dycji psychicznej jest ten żołnierz. "=4

Ostateczne wnioski z obserwacji sądowo-psychiatrycznej nie dały nadziei oskar- ?  
żonemu na złagodzenie wyroku. Stwierdzono osobowość o cechach nieprawidło- "A wych, egocentryzm,  
słabą kontrolę relacji emocjonalnych. Zdaniem psychiatrów ten stan psychiczny nie znosi, ani nie  
ogranicza zdolności rozpoznania znaczenia M czynu.

?

???

Jego najbliższa rodzina pospłacała pilne długi, które zaciągnął. Ale nie zdecydowała się na wynajęcie adwokata (Baszewski korzystał z obrońcy z urzędu). Rodzice nie pojawiali się na rozprawach. Brat Szymon, który był przesłuchiwany jako świadek, po złożeniu zeznań usiadł w ostatniej ławce i dyskretnie czegoś się uczył z rozłożonej pod pulpitem książki. Nawet nie podał aresztantowi kanapki, co zwykle robią krewni oskarżonego.

Córka ofiary, która początkowo występowała w sądzie jako oskarżyciel posiłkowy, szybko zrezygnowała z tej roli. Odrzuciła spadek po matce, bo nie zamierzała przejąć jej długów. Bardziej wartościowe rzeczy jednak zabrała i usiłowała je sprzedać. Lokal w suterenie zajmowany przez Rajską odzyskał dawne przeznaczenie (stał się pomieszczeniem gospodarczym).

Oskarżonemu poza zabójstwem postawiono jeszcze zarzut przywłaszczenia z mieszkania swej ofiary dwóch telefonów komórkowych, telewizora marki Sharp, odtwarzacza DVD, konsoli, dwóch gier play station, pralki marki „Polar”, kuchni mikrofalowej, czajnika oraz dywanika. Wartość tych rzeczy wyceniono na 6380 zł.

Janusz Baszewski bronił się, twierdząc, że odebrał to, co zostało kupione za jego pieniądze. W aktach sądowych jest potwierdzenie, że przed Bożym Narodzeniem pożyczył z PKO 5 tysięcy złotych.

37

Prokurator żądał dożywocia. Nieprawomocny wyrok sądu brzmiał: 10 lat więzienia za zabójstwo Iwony Rajskiej, 25 lat za zamordowanie Daniela; łącznie 25 lat.

Sędzia Barbara Piwnik wskazała na trudność z właściwą oceną niewątpliwie szokującego czynu zabójcy.

- Głównie dzięki wyjaśnieniom oskarżonego można było ustalić stan faktyczny przestępstwa - podkreśliła, uzasadniając niższy niż chciał prokurator wymiar kary. Wobec kompletnego braku zainteresowania najbliższej rodziny życiem Iwony Rajskiej, morderca mógłby przepaść bez śladu. Nikt w bloku nie znał jego nazwiska, nie był tam zameldowany. Oskarżony sam zawiadomił matkę Iwony, co stało się z jej córką i wnuczką - uważał, że ofiarom należy się pogrzeb...

Bo choć nie było jakichkolwiek wątpliwości, kto jest sprawcą, należało rozważyć wszystkie okoliczności tragicznego wydarzenia, także zachowania osoby pokrzywdzonej. Zdaniem sądu w końcowym wystąpieniu oskarżyciela domagającego się najwyższej kary takiej analizy zabrakło.

A nie można w tej sprawie nie dostrzegać nagannego zachowania Iwony Rajskiej. 22-letni mężczyzna, który był dokładnie w wieku jej córki, związał się z partnerką o niewątpliwie bogatym już doświadczeniu życiowym. Miała za sobą dwa nieudane związki małżeńskie, a i potem nie stroniła od kontaktów z mężczyznami, o czym mówiła na rozprawie jej przyjaciółka. Oczywiście nie stanowi to rozgrzeszenia przestępstwa Janusza Baszewskiego, ale przy jego cechach osobowościowych spotkanie kobiety, która potrafiła go wykorzystać, mogło zapowiadać tragedię. I stanowi jakieś wyjaśnienie późniejszego zachowania oskarżonego.

Bezsporne jest bowiem, że dla wspólnej przyszłości z Iwoną poniósł nadmierne, jak na jego możliwości, nakłady finansowe, gdyż wyobrażał sobie, że urodzi ich dziecko i stworzy dom.

Tymczasem Rajska zawróciła mu w głowie, okłamała go co do ciąży, a gdy nie był już jej potrzebny, odrzuciła, nie bacząc na jego zaangażowanie.

Sędzia wskazała też na inny brak w wystąpieniu prokuratora żądającego dożywocia. - Należy sobie odpowiedzieć na pytanie - zauważyła - co by było, gdyby sam oskarżony nie zawiadomił policji o tym, co zrobił? Jaki dowód miałby prokurator na to, że jest on sprawcą przestępstwa?

Kara powinna być i słuszna, i wychowawcza społecznie. Gdyby Janusz Baszewski został skazany na dożywocie, to jak ten wyrok mieliby postrzegać ci, którzy pewnego dnia muszą zdecydować, czy się przyznać do popełnienia przestępstwa, czy też nie. Zaakceptowana przez sąd najwyższa kara w tej sprawie to sygnał dla wszystkich oskarżonych, że trzeba zaprzeczać nawet faktom oczywistym, nie warto się przyznawać, bo skrucha, chęć odkupienia winy i tak nie będą miały znaczenia.

Prokurator, domagając się dożywocia, musi sobie odpowiedzieć na pytanie, czy oskarżony jest osobą tak dalece zdemoralizowaną, że nie ma nadziei, aby kiedyś wrócił do społeczeństwa. Janusz Baszewski do tragicznego wydarzenia w mieszkaniu

58

Iwony Rajskiej żył w poszanowaniu obowiązujących społecznie zasad; skończył szko-



lę średnią, odbył służbę wojskową A gdyby popełnił takie przestępstwo w wieku lat p-; 50 - czy o taką samą karę wnioskowałby oskarżyciel?

Sędzia wyjaśniła też, dlaczego za dwa zabójstwa, choć zdarzyły się prawie jednocześnie, są tak różne kary. Q

W przypadku pozbawienia życia Daniela sąd sięgnął do kary bardzo surowej. A to -<J dlatego, że o ile zachowanie oskarżonego wobec Iwony Rajskiej może być w jakimś ^ stopniu usprawiedliwione, inaczej przedstawia się pozbawienie życia 17-letniego Da- S niela. ^jj

Według prokuratora, miała to być chęć usunięcia świadka. Zdaniem sądu jest to M mało prawdopodobne - przecież Janusz Baszewski mógł wyjść z mieszkania po udu- ^ szeniu Iwony niepostrzeżenie, potem wrócić i w obecności syna jego ofiary udawać Q zaskoczenie. Miał na to czas, bo Daniel telefonował, że jedzie do domu. Badanie daktyloskopowe nic by nie dało, w mieszkaniu było pełno śladów Baszewskiego. «g-T

Inna rzecz, że tworzenie jakichś przypuszczeń co do zamysłu oskarżonego jest "=4 prawnie niedopuszczalne. ^q

W uzasadnieniu wyroku znalazła się też ocena postępowania najbliższej rodzi- "< ny, a zwłaszcza córki Iwony Rajskiej. Sędzia nie sięgnęła po określenie „hieny", ale wymowa jej komentarza była bliska takiego pojęcia.

Bo oto córka zamordowanej, która zorientowała się, że matka miała spore dłu- pc; gi, pierwsze, co robi, to zrzeka się dziedziczenia. Równocześnie, nie będąc już spad- PM kobierczynią, potajemnie sprzedaje rzeczy z mieszkania matki dla osobistej korzyści. Nie zastanawia się nad tym, że przede wszystkim powinna zadbać o dobre imię rodzicielki w oczach jej dłużników.

Ale to już były uwagi na marginesie, bowiem postępowanie karne nie może być wydłużone o kosztą procesu cywilnego. Córka zamordowanej wystąpiła do prokuratury o wytoczenie w jej imieniu Januszowi Baszewskiemu powództwa adhezyj- nego. Z uzasadnienia: „Oskarżony mordując moją matkę i brata pozbawił mnie jakiegokolwiek oparcia finansowego. Dziadkowie utrzymują się z najmniejszej emerytury. W związku z powyższym wnoszę o zasądzenie od oskarżonego kwoty 100000 złotych tytułem doznaných krzywd moralnych".

\* Nazwiska zostały zmienione

N

a proces sądowy Barbara T. czekała w areszcie ponad rok. W śledztwie sprawiała wrażenie, jakby przesłuchanie przynosiło jej ulgę. Zeznawała chętnie, ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt na stole, wsłuchana w siebie, nieobecna duchem.

- ...Zamknęłam drzwi na klucz, który schowałam do kieszeni. Pokochajmy się ostatni raz - poprosiłam Roberta, gdy usiadł.

- Proszę dokładnie określić to miejsce - przerwał prokurator - i gdy oskarżona mówi o poszkodowanym, należy używać jego nazwiska. To idzie do protokołu.

- Znaczy na łóżku. Jak zwykle. W pokoiku jedynymi meblami był wąski tapczan i nocna szafka. Jak to w hotelu robotniczym. Na krzesło zabrakło miejsca. Pan K. już się rozbierał, gdy nagle wziął z nocnego stolika magazyn z krzyżówkami. - Weź mi tu napisz - powiedział - że już nigdy nie będziesz do mnie dzwonić i przyłączyć pod drzwi. I kazał mi się podpisać.

Potem poszła do łazienki, ale nie zamknęła dokładnie drzwi, obserwowała mężczyznę przez szparę. Gdy tylko zniknęła, zajął do jej plecaka. Przeszukał wszystkie kieszenie, nawet foliową torebkę z rajstopami. Zły, że nie znalazł pieniędzy, rzucił plecakiem o ścianę. Wtedy ona weszła rozebrana do pokoju.

Godzinę później K. chciał iść do domu na obiad. Była rozżalona, że nawet nie zapytał, czy też nie jest głodna. Poprosiła go, żeby się położył na brzuchu, bo chce się po raz ostatni przytulić...

Na tym protokołowanie tego dnia zakończono, ponieważ oskarżona dostała spazmów. Gdy nazajutrz prokurator ponowił pytanie, co działo się później, Barbara T. potwierdziła wersję poszkodowanego Roberta K.

Według jego zeznań, leżał twarzą w poduszce, ona pochylała się nad nim. W pewnej chwili poczuł silne uderzenie czymś ostrym w gardło: „Wbiła mi coś i jeszcze kilka razy przekręciła, aż zachrobotało”. Złapał za koniec, to był scyzoryk. Uciekł na korytarz, zabarykadował się, równocześnie wołając o pomoc. Przybiegł ochroniarz.

- Wywaliłem drzwi i wystraszyłem się - zeznał strażnik w prokuraturze. - Jak w rzeźni. Gdzie spojrzeć, krew. Mężczyzna na golasa krzyczy do mnie, że go zabiła. Zaglądam do pokoju. Ta kobieta ubrana po szyję siedzi nieruchomo na tapczanie, na jej ramieniu powiększająca się czerwona plama, przecieka przez materiał bluzki. Nic nie mówi, patrzy obojętnie przed siebie. Wezwałem pogotowie.

Ochroniarz twierdził, że Barbara T. nie po raz pierwszy wynajmowała w hotelu pokój na jedną dobę. Tego dnia od rana zapowiadała portierce, że czeka na narzeczonego, który przyjdzie koło dziesiątej. Mimo mrozu na dworze, wyszła po niego na ulicę w samej bluzce. Tak się jej spieszyło. On elegancki, pewny siebie. Na oko jej rówieśnik. Narzekał głośno: - Gorszej nory nie mogłaś już znaleźć?

Zostawił w portierni swój dowód osobisty na nazwisko Robert K. Gdy szli do pokoju, ona wisiała mu u ramienia, zaglądała w oczy. Kto mógł się spodziewać, że za godzinę trzeba będzie pod ten numer wzywać pogotowie ratunkowe?

40

Lekarz zabrał zranionego do karetki, a kobiecie opatrzył krwawiące ramię. Twierdziła, że sama się „pochlastała”. Nie chciał jej zabierać z ofiarą, ale płakała, że to jej chłopak i nie zostawi go. Potem czekała na szpitalnym korytarzu, aż chirurg zszyje rany dłoni Roberta K. Po wytarciu krwi okazało się, że tętnica na szyi jest tylko drażnięta, podobnie obojczyk. Najbardziej rozharatana została dłoń - od ostrza wrywanego scyzoryka.

Lekarz zauważył, że kiedy od opatrzonego już pacjenta pobierano w izbie przyjęć szczegółowe dane, do Barbary T. podeszła starsza kobieta w szlafroku i coś jej szepnęła.

- Ta pacjentka radziła - zeznała T. w czasie kolejnego przesłuchania - żeby uciekać, bo zaraz tu będzie policja. I doprowadziła mnie do drzwi wyjściowych. Prawie otarłam się o wchodzących dwóch policjantów... Ale nikt mnie nie zatrzymywał.

Szła pieszo przed siebie i po godzinie stanęła na krzyżówce przy szosie wylotowej na Gdańsk. Był już wieczór, wiał ostry wiatr, bardzo mało kursowało samochodów. Wreszcie złapała okazję.

Z zeznania kierowcy: - W szoferce było dosyć ciemno, wtedy jeszcze nie zauważyłem pokrwawionego ubrania tej autostopowiczki. Ona cały czas dygotała. Wysadziłem ją w Hławie, w pobliżu rynku. Dziwnie odpowiadała na moje pytania, z długim opóźnieniem, jakby nie rozumiała, co się do niej mówi.

Barbara T. miała już tylko kilka kroków do swego mieszkania. Wlokła się ospale, mimo lodowatego wiatru. Już miała otworzyć drzwi na klatkę, gdy cofnęła się, zdjęła dzinsową kurtkę ze sztucznym barankiem i wrzuciła ją do kosza na śmieci. W domu od razu poszła do łóżka. Matka, o nic nie pytając, wyprała zakrwawioną bluzkę córki. Policja przysłała w poniedziałek rano.

???

Rok później Barbara T. siedzi w ławie oskarżonych na sali sądowej. Ubrana jest w tani bazarowy pulower, tak rozciągnięty, że może chować dłonie w rękawach. Co też robi. Jej tlenione włosy mają już duże, ciemne odrosty. Raz po raz rozgląda się po sali, jakby kogoś szukała. Każde skrzypnięcie drzwi odwraca jej uwagę od słów sędziego; trzeba powtarzać pytanie:

- Kiedy i w jakich okolicznościach poznała oskarżona Roberta K.?

- Pod hotelem Polonia, dokładnie dwudziestego lutego 2005 roku, to był poniedziałek, przepraszam, a Robert nie przyjdzie dzisiaj?

Sędzia odpowiada, że pokrzywdzony nie miał takiego obowiązku, reprezentuje go adwokat.

-A ja myślałam... - zaczyna oskarżona, ale sędzia przywołuje ją do porządku. Ma powoli i dokładnie odpowiadać na zadane pytania.

Ona godzi się potulnie. Zeznaje, że pracowała wtedy jako kobieta bezpruderyj-na - takiego

właśnie używa określenia. Robert K. w czasie kolejnego ich spotkania

41

na parkingu zapłacił aż za dwie godziny, więc też porozmawiali. Zwierzył się jej, że nałogowo gra w kasynach.

- Co za brednie! - zeznanie oskarżonej przerywa okrzyk mężczyzny w pierwszej ławie. To ojciec Roberta.

- Panie K. - poucza świadka sędzia - proszę się powstrzymać od spontanicznych uwag.

- ...Potem spotykaliśmy się - Barbara T. mówi ze wzrokiem wbitym w podłogę - na stopie prywatnej.

- To znaczy? - dopytuje sędzia.

Oskarżona wyjaśnia, że nie płacił. Musiała oszukiwać swego opiekuna Ziuka, bo umowa była taka, że po każdej nocy oddaje mu 70 procent zarobku, a z powodu spotkań z Robertem przyjmowała mniej klientów. K. obiecywał jej, że wkrótce już nie będzie musiała stać na ulicy. Ale najpierw chciał, aby pomogła spłacić jego długi. Nadal więc zajmowała swoje miejsce pod hotelem Polonia, aż się przeziębila.

- Gdy powiedziałam szefowi, że nie mogę pracować, to jego konkubina, która miała za zadanie pilnowanie dziewczynek, dała mi taki wpier..., że o własnych siłach nie podniosłam się z chodnika.

- Zwracam uwagę oskarżonej, tu jest sąd...

- Z nerwów mi się wyrwało.

- Proszę zeznawać, co było dalej.

- Pewnego ranka, gdy już byłam po robocie, a Robert wyszedł splukany z kasyna, powiedziałam mu, że kończę z Ziukiem, mam trochę oszczędności, rok przeżyję. Zapytał: - Ile? Ja na to, że będzie około 60000 złotych.

Nic się na nie odezwał, ale następnego dnia zaprosił Barbarę w imieniu swych rodziców do jego domu na obiad. Pierwszy raz była w takiej porządnej, jak stwierdziła, i eleganckiej rodzinie. Matka lekarz, ojciec inżynier. Mówili do niej: Basieńko. Po tygodniu zaproponowali, żeby u nich zamieszkała. Jako przyszła synowa gotowała im, sprzątała. I dokładała się do wydatków. Robert pojechał do Ławy, do jej rodziców, żeby się oświadczyć o rękę córki, ustalić termin ślubu.

-I co stało na przeszkodzie zawarciu małżeństwa? - pyta sąd.

-Jakiego małżeństwa! - irytuje się na głos ojciec Roberta.

Barbara T., wpatrzona w pierwszą ławę traci wątek. Trzeba jej przypomnieć pytanie.

- Acha, przytakuje.

Było tak: Robert nie wychodził z salonów hazardowych. Jego matka robiła, co mogła, żeby wyrwać syna z nałogu. Leczył się w ośrodku odwykowym, miał prywatną terapeutkę. I nadal grał, choć nie szła mu karta. Zapożyczał się w lombardzie, pobierał zaliczki na rzekome delegacje w swojej firmie, okradł swą babcie, która już nie wstawała z łóżka. Barbara T. ubłagała księgową w jego zakładzie, aby nie mówiła o tym dyrektorowi i ratami zwracała długi.

42

- Co ona opowiada! - to znów okrzyk ojca pokrzywdzonego.

Było coraz gorzej. Robert K. przegrał mieszkanie, kupione mu przez rodziców. jgj Zapożyczy! się u mafii. Któregoś dnia ktoś zadzwonił! do drzwi. Otworzyła Barba- ^ ra i wówczas dwóch mięśniaków popchnęło ją pod ścianę, wywijając brzytwą. Us!y- co szai, że ma zapłacić za narzeczonego, bo jak nie, to już kopią mu dół, a ona bę-dzie miała pamiątkę na całe życie - szramę od ucha do ucha. Nie mogła liczyć na natychmiastową pomoc; w mieszkaniu była tylko 85-letnia babka. Wyciągnęła ^ wszystko, co miała schowane na czarną godzinę. Potraktowali to jako zaliczkę. Za- ^4 powiedzieli, że przyjdą za trzy dni. Zamknęła za nimi drzwi na łańcuch i upadła. \*\* Gdy otworzyła oczy, klęczała przy niej matka Roberta z lekarskimi słuchawkami na O piersi.

- Powiedziała, że chyba pękło mi naczynko w głowie. Nazajutrz kazali mi się wy-

prowadzić. Uznali, że jestem już nieprzydatna. 1-3

Skąd taka nagła zmiana w zachowaniu przyszłych teściów?

Miesiąc wcześniej Robert wpadł w szal, gdy powiedziała mu, że kończą się jej pą oszczędności i nie da mu na wyjazd do kasyna w Lublinie. Chciał się truc, babce zjadł wszystkie leki, które miała ułożone w pudełeczkach na poszczególne dni tygodnia, p~ Barbarze zarzucił na szyję pętlę z paska od szlafroka i dusił; cudem się wyrwała. Jesz- ^ cze tej nocy postanowiła, że odejdzie. Gdy usnął, zaczęła się pakować. Ale pani doktor błagała, żeby została, bo tylko ona ma na jej syna dobry wpływ, teraz już na ':x~\* pewno wyjdzie z nałogu, ukończy przerwane studia.

- Obejmowała mnie, całowała. Wtedy obudził się Robert i widząc jej walizkę na środku pokoju z płaczem błagał: Pomóżcie mi ! I ja, głupia, znowu włożyłam swoje rzeczy do szafy, a nazajutrz dałam Robertowi trochę pieniędzy, bo zdawałam sobie sprawę, że z nałogiem nie można zerwać od razu.

Rodzinną idylla trwała tydzień. Potem znów pojawili się dłużnicy i wszystko się powtórzyło. Robert K. dostawał napadu szału, groził, że się powiesi. Do Barbary leciał z pięściami, nie wierzył, że ma już puste konto. Któregoś dnia zwymyślana i pobita zamknęła się w pokoju. Najpierw płakała, a potem zmorzył ją w fotelu sen. W pewnej chwili poderwała się, bo drzwi wypadły z futryny, kopnięte przez Roberta. Stał nad nią i krzychał: - Wynocha, rodzice nie życzą sobie kurwy pod jednym dachem. Oni siedzieli w stołowym, wszystko słyszeli, była przekonana, że wezmą ją w obronę. Ale nie odezwali się. Nawet nie odpowiedzieli na jej dowidzenia.

Wróciła do Ziuka, kazał jej zapłacić za zdradę 15000 złotych, a gdy nie miała od razu całej gotówki, dostała nauczkę. Wywiózł ją w nocy do Puszczy Kampinoskiej i jego konkubina Mariola ogoliła Barbarze głowę za opuszczanie się w pracy. Potem odjechali, musiała pieszo iść kilkanaście kilometrów do najbliższego przystanku PKS. A następnej nocy Mariola ustawiła ją na najgorszym miejscu, w podziemiach Dworca Centralnego. I tam Robert K. odnalazł ją którejś nocy. Całą winę za wyrzucenie z domu zwał na rodziców.

43

Od tej chwili Barbara T., jak wynika z dalszych zeznań przed sądem, znów była szczęśliwa. Wynajęła pokój w hotelu robotniczym blisko domu Roberta i tam spotykali się dwa, trzy razy w tygodniu. Płaciła mu po 500 złotych za każde przyjsście. Po miesiącu znalazła w kieszeni jego spodni wizytówkę agencji towarzyskiej z Katowic. Na odwrocie był numer komórki i adres niejakiej Skarlet. Nie zdradzając się przed „narzeczonym", dotarła do tej kobiety.

- Obiecywał mi, że jak mu zapłacę, to na inne nawet nie spojrzę, a tymczasem znalazłam tę ździurę. Wyśpiewała, że ma narzeczonego w Warszawie, pomaga mu finansowo, bo on studiuje. Czyli, pan Robert złapał nową frajerkę do pokrywania jego długów... Nie chciałam go zabić - tylko, żeby się opamiętał, zmienił postępowanie. Może to pęknięte naczynko ucisnęło mi na mózg. Adwokat oskarżonej (z urzędu) zgłosił listę dodatkowych świadków.

???

Kolejna rozprawa. Barbara T. od pierwszej chwili nerwowo rozgląda się po sali. Szuka kogoś, penetruje wzrokiem ławy, każde skrzypnięcie drzwi działa na nią elektryzująco. Nieuważnie słucha mecenasa, który coś jej szepcze do ucha; tylko jeden człowiek ją obchodzi - Robert K. Ale pokrzywdzonego, choć dawno już wrócił do zdrowia, znów nie ma. Reprezentuje go adwokat. Za barierką dla świadka staje pani doktor K.

Ostre rysy twarzy, na której rysuje się nieprzejednana zaciętość. Mina matki po-krzywdzonego zdaje się mówić: sala sądowa, to nie jest miejsce dla mnie. Porządny człowiek nie roztrząsa spraw rodzinnych publicznie.

Pytanie sądu sprowadza ją na ziemię: - Czy świadkowi było wiadomo, że Barbara T. trudniła się prostytutką?

Pani doktor robi minę, jakby zrzucała z kołnierza karalucha. - Skądże - gwałtownie zaprzecza. - Ulicznica pod moim dachem! To niemożliwe! Myśleliśmy z mężem, że oskarżona zajmowała się dorywczo handlem. Nigdy też nie słyszałam - uprzedza ewentualne pytanie - żeby syn brał od tej

kobiety pieniądze. Przeciwnie, gdy mieszkała z nami, Robert oddawał jej swoją pensję na wspólne gospodarstwo.

- Kłamstwo! - krzyczy Barbara T. zza pleców adwokata. - Nie pamięta pani, jak Robert chciał mnie udusić, gdy powiedziałam, że już nie mam pieniędzy na jego hazard? Przecież odciągaliście go ode mnie!

Świadek nie pamięta. Do końca rozprawy Barbara T. mamrocze pod nosem: - Cyganią, ale cyganią. Odnosi się to też do jej ojca, który zeznał pod przysięgą, że nic mu nie wiadomo, żeby córka była taką, no, spod latarni. Zresztą, on nie jest prawdziwym ojcem oskarżonej. Żona miała ją panną i oddała do sierocińca. Gdy się pobrali, kazał wziąć dziewczynkę do domu, żeby się nie poniewierała wśród obcych.

Następnym świadkiem jest Zofia S., barmanka na Dworcu Centralnym w Warszawie. Kobieta po czterdziestce, tęga, bez śladu makijażu, cienia kokieterii. Przedstawia się

44

jako jedyna przyjaciółka oskarżonej. Sąd ma jedno pytanie: - Co świadkowi wiadomo o Barbarze T.?

Najpierw słyhać głębokie westchnienie, aż zafalowały obfite piersi, potem zaszklily się oczy, więc barmanka szuka w torbie chusteczki, i wreszcie zaczyna zeznawać. Poznała Barbarę, pracując w całodobowym drink-barze na Centralnym. O czwartej nad ranem, gdy w lokalu nie było gości, obserwowała przez szybę spacerującą po holu młodą kobietę. Jej wygląd: kusa czerwona spódnica, czarne pończochy, obcasy na 30 centymetrów - nie było wątpliwości, jak zarabia na życie. Czasem, gdy z głośnika zapowiedziano, że pociąg do Gdańska ma opóźnienie, ta kobieta wchodziła do baru i zamawiała herbatę.

- Powiem tyle, że ona nie zeszlaby na złą drogę, gdyby wcześniej ktoś jej rękę podał. Z czasem poznałyśmy się bliżej, opowiadała mi o sobie. W domu od dziecka jak ta dziczka rosła - nikt nie przypilnował, żeby odrobiła lekcje. Przybywało dwój, więc uciekała na węgry, ostatecznie z trudem ukończyła podstawówkę. Zaraz potem matka zdecydowała, że teraz córka będzie zarabiała na dom. Bo rodzicielka miała piasek w rękawach. (Poruszenie, jakieś niewyraźne złorzeczenia w ławie, gdzie siedzi matka Barbary T. z mężem).

Świadek Zofia S. opowiada, jak kilkunastoletnia Baśka jeździła wcześniej rano do Warszawy na stadion, sprzątać między stoiskami. Aż dojrzał ją pewien star-szawy Wietnamczyk, podobno inżynier, ale kto go tam wie. Postawił dziewczynie raz i drugi frytki, a gdy już mu jadła z ręki, zaprowadził w krzaki za stadionem. Skończyło się na tym, że Baśka, mając 17 lat, urodziła Patrycję. Wietnamczyk wystąpił do sądu o pozwolenia na ślub z nieletnią. Jemu to się opłacało, bo dostał przedłużenie wiza, a potem polskie obywatelstwo. Matka Baśki liczyła na przyływ gotówki. Ale się przeliczyła. Bo dziewczyna niby miała męża, ale w Ławie ani razu się nie pokazał. Tak, że trzeba było wszystko odkręcać sędownie. Po rozwodzie Baśka nie wiedziała, co ze sobą robić. Szkoła ją nie ciągnęła, roboty podpadającej nie było. I wtedy jej matka wywiedziała się na bazarze, że ktoś organizuje wyjazd dziewczyn do Dortmundu na robotę pomywaczek w restauracjach. I wepchnęła córkę w łapy sutenera.

- Mnie się widzi, że pani T. od początku dobrze wiedziała, jaka to będzie robota.

Prokurator zażądał kary ośmiu lat więzienia. Sąd był innego zdania: - Gdyby oskarżona nosiła się z zamiarem zabójstwa, nie informowałaby personelu hotelu, że oczekuje na kogoś. Na jej korzyść przemawiało i to, że nie uciekła z miejsca przestępstwa. Czuwała, aby lekarze zajęli się zranionym mężczyzną. A przecież mogła natychmiast wyjechać za granicę. Znała drogę do Niemiec.

Barbara T. została skazana na rok i 6 miesięcy.

Na manipulowanie nią przez panią doktor nie ma paragrafu.

Dwa lata później, pisząc reportaż o mityngach dla Anonimowych Hazardzistów w Warszawie, ponownie usłyszałam o Robercie K. Wybitny psycholog zajmujący się terapią dla uzależnionych opowiedział mi o losach pewnego młodego mężczyzny na dowód, że nawet stosując najbardziej

przemysłne metody walki z nałogiem można ponieść klęskę. Miał na myśli Roberta K.

Otóż okazało się, że wysłanie ukochanego syna do renomowanej kliniki w Niemczech, co zrobiła pani doktor jeszcze w czasie procesu Barbary T., nie zniechęciło go do zostawiania pieniędzy w salonach gier. W Monachium już po kilkunastu dniach przerwał opłaconą terapię i uciekł z zamkniętego ośrodka, gdzie za jego zgodą umieścili go rodzice. Na prawie rok przepadł jak kamień w wodę. Gdy wreszcie znalazła go policja, był wrakiem człowieka. Bezdomny, obdarty, odżywił się tym, co zdołał ukraść w marketach. Odpowiedzialności karnej uniknął tylko dlatego, że od dawna nie miał jakiegokolwiek dokumentu tożsamości. Aby ustalić, kim naprawdę jest, jego matka specjalnie pojechała do Niemiec.

Wrócili do Polski, po drodze syn zapewniał, że zmieni życie po tym, jak sięgnął dna. Gorąco prosił rodziców, aby go wspierali w postanowieniu.

- Chcieli mu wierzyć - opowiadał mi psycholog - tak bardzo, że w dowód swego zaufania wspaniałomyślnie przepisali mu hipotekę ich mieszkania. Żeby kiedyś, gdy umrą, nie marnował czasu na załatwianie formalności.

Po roku wyszło na jaw, że Robert przegrał równowartość prawie 100-metro-wego lokalu. Tyle wynosił kredyt hipoteczny, w tajemnicy przed rodzicami wzięty na wysoki procent w banku. Państwo K. stracili wszystko; po wielu miesiącach starań, znaleźli dach nad głową w ośrodku zdrowia na białostockiej wsi, gdzie od dłuższego czasu żaden lekarz nie decydował się na taką zsyłkę. Skruszonego syna zabrali ze sobą, bo nikt z tej trójki nie miał lepszego pomysłu, jak go ratować.

- Straciłem z nimi kontakt - wyznał psycholog - ale coś czuję, że wkrótce pani doktor odwiedzi mnie. Z płaczem.

Mój rozmówca był zaskoczony, gdy mu powiedziałam, jaki epizod z życia Roberta K. poznałam na sali sądowej. Choć podstawowym warunkiem terapii w prowadzonej przez niego przychodni jest bezwzględna szczerłość pacjentów, nigdy nie usłyszał o Barbarze T. Widocznie, gdy już nie mogła spłacać długów swego kochanka, matka i syn wyrzucili ją z pamięci.

A ona...? Wzięłam z akt sądowych adres jej matki w Łławie. Obliczyłam, że Barbara T. odsiedziała wyrok, jest już na wolności. Ale nie zastałam jej w domu; jedynie córkę, którą od pieluszek wychowuje babcia.

- Pojechała zarobić do Niemiec. Czasem dzwoni, ale nie znam jej adresu i nie wiem, kiedy wróci - powiedziała mi przez szparę między drzwiami a framugą jej matka. (Zza jej pleców wyglądała 10-letnia Patrycja).

I tyle było tej rozmowy.

46

Miałam jeszcze w notesie adres bufetowej - świadka na procesie Barbary T. Mówiła wtedy, że jest jej przyjaciółką. Któregoś dnia zajrzałam do baru na Dworcu Centralnym. Zofia S. była na swoim starym miejscu.

???

- Pojechała głupia za tym Robertem, gdy tylko dowiedziała się, że starzy wysłali go do Monachium. Pokażę pani listy, jakie Baśka pisała do mnie z Niemiec.

Z przewiązanego zieloną wstążeczką pakietu białych kopert wysypują się gęsto zapisane kartki. Mogę spokojnie czytać - barmanka pracuje do dziesiątej wieczór.

Dużo tekstu zajmują chaotyczne opisy i obserwacje z niemieckich sklepów, taniego jedzenia, jego różnorodności. - „Gdy mam wolne - pisze Barbara T. - najbardziej lubię chodzić sama po mieście i gapić się na ludzi. Wierzę, że któregoś dnia go spotkam. Znam już wszystkie adresy „czarnych szyb”. (Tak hazardziści nazywają salony gier, z powodu zaklejonych okien).

O tym, czym się zajmuje w lokalu nocnym La Mirage nie wspomina. Tylko raz wymknęło się jej zdanie, że właściciel, Turek, jest już dla niej trochę lepszy, nieraz do rana pozwala stać przy kontuarze, ona woli to, niż chodzenie z klientem za kotarę. Choć trochę szkoda zarobku; pół godziny kosztuje sto pięćdziesiąt marek, z czego dostaje na rękę jedną trzecią. Chwali się, że jest

dobra w wyciągnięciu od gościa jak najwięcej forsy za drinki. Zawsze udaje, że też pije whisky, facet zamawia, a tak naprawdę to dostaje piccolo pół na pół z wodą. Umie już zagadać, gdy się przesiądą z barowych stołków na kanapę. Niemiecki nie jest trudny, poznała sporo słów, na przykład: (podaje fonetycznie) bitte - proszę, halbestunde - pół godziny; siś-chwaszen - myć się, gummi - guma, bisbalt! - do zobaczenia wkrótce. - Miałam szczęście - pisze - bo inne dziewczynki z Polski wylądowały w lokalach brudnych, położonych w najgorszej dzielnicy, z bossem starym i śmierdzącym.

Regularnie wysyłane do Polski listy mają nagle dwutygodniową przerwę. Gdy Barbara wznawia korespondencję, okazuje się, że jest w areszcie deportacyjnym. Był nalot policji w La Mirage - wszystkie prostytutki zostały aresztowane, bo pracowały nielegalnie. - Jeśli złożą zeznania - T. powtarza przyjaciółce warunki, jakie postawiła jej policjantka - przyznają jej pobyt tolerowany, to się nazywa Duldung. W tym czasie będzie mogła mieszkać w domu dla maltretowanych kobiet. Z organizacji, która z urzędu opiekuje się takimi ofiarami, dostanie czterysta marek kieszonkowego. Ale nie wolno jej nigdzie pracować. Ona uznała, że po procesie i tak zostanie deportowana, a Turek ma długie ręce. Znajdzie ją w Polsce, pobije. Lepiej więc mundurowym odpowiadać tak, jak ją nauczył boss: Ichmachekeineaussage - nie składam zeznań. Najwyżej zawrócą do Polski.

Tydzień później deportowana Barbara T. stanęła w progu znajomego jej dworcowego baru na Dworcu Centralnym. Zrozpaczona, bo nie znalazła w Monachium Roberta.

- Miała trochę zaoszczędzonych marek - wspomina bufetowa - radziłam: kup kawalerkę w Hławie, idź do przyzwoitej roboty. Akurat w jej mieście Niemcy otwierali fabrykę, pisano o tym w gazecie. Posłuchała, ale źle wypadła w kadrach. Zapytali ją o świadectwa szkolne. Miała tylko z podstawówki. A jeszcze ten ubiór- spódnica tak krótka, że majtki widać, dekolt głęboki, buty z cholewami do połowy uda. Odprawili ją. Tyle mi jeszcze powiedziała i znów gdzieś przepadła.

- Boję się - szczerze martwiła się poczciwa pani Zofia - że ponownie przedostała się nielegalnie przez granicę do Niemiec. Miała to przećwiczone. I znów go tam wypatruje na ulicach Monachium.

P

oszedł na dworzec PKS zobaczyć, która godzina. Wałęsał się tak już od południa po ulicach podwarszawskiego miasteczka i nawet nie zauważył, że zrobiło się ciemno.

Nie miał w kieszeni ani złotówki, był głodny. Gdy mijał budkę z frytkami, starał się nie wdychać miłego zapachu przypalonego oleju, bo ssanie w żołądku nasilało się. Coraz dotkliwiej odczuwał zimno. Padał przemieszany z deszczem śnieg, marcowy wiatr raz po raz smagał go w twarz strugami mokrej ciapy. Nie uprzątnięte z chodników błoto dawno już przemoczyło adidas.

Dochodziła ósma. Za godzinę przyjedzie autobusem z Warszawy mama, która pracuje w stołecznym markecie. Może przywiezie coś do jedzenia. Zazwyczaj są to produkty lekko przeterminowane, ale za to kosztują taniej. Postanowił poczekać pod przystankową wiatą; przynajmniej nie będzie mu się lało za kołnierz.

Skulił się na ławce, przymknął oczy. Niedługo napije się w domu gorącej herbaty, może uda się obejrzeć coś w telewizji. Nie mają kablówki, ale nawet na dostępnych kanałach znalazłby ciekawy film. Rozmarzył się. Fajnie jest usiąść z bratem Mackiem i mamą na wersalce w dużym pokoju i podgryzając paluszki patrzeć w ekran. Niech sobie wtedy za oknem pada. Można też zdrzemnąć się pod kocem...

Ale za chwilę poderwała go niepokojąca myśl - a jeśli ojciec jest już w domu? A tam Maciek sam. Co ja robię, przecież obiecałem mamie, że będę się nim opiekował.

I Oskar Janicki\* zerwał się z ławki, pospiesznie opuścił dworzec PKS. Nie zważając na szarpiący nim wiatr pobiegł w stronę osiedlowych bloków.

Maciek, jego brat bliźniak, ale zdecydowanie chudszy, drobniejszy, bał się ojca jeszcze bardziej niż Oskar.

???

Maciek rzeczywiście był w domu sam, gdy usłyszał znajome ciężkie kroki ojca na klatce schodowej. Bełkotliwe „k...” wykrzykiwane z powodu trudności w trafieniu kluczem do zamka

zdradzało, że ojciec znów jest pijany. 19-letni chłopak skulił się, jakby już na jego plecy spadła pięść Henryka Janickiego. Tak znieruchomiały tkwił na krześle, ze wzrokiem wbitym w oszklone drzwi. Jeszcze miał nadzieję, że ojciec za moment w zamroczeniu alkoholowym padnie na łóżko w dużym pokoju. Wtedy w spokoju doczekałby powrotu do domu matki i brata.

Ale cud się nie zdarzył. Dwa dni później Maciek zeznał przed prokuratorem: - Ojciec ledwo przekroczył próg, zaczął rozrabiać. Zgasilem światło udając, że już się położyłem spać, ale mimo to wtargnął do pokoju. Jak zwykle, najpierw obrzucił mnie strasznymi wyzwiskami, których nie mogę powtórzyć, bo ja nie używam takich słów. Potem wrzeszczał, że mam mu oddać komputer, bo wszystko, co jest w tym mieszkaniu, należy do niego. Tylko czekał, abym zaprzeczył, przecież komputer kupiła nam mama. Ale ja się nie odzywałem, zanieśliem cały sprzęt do przedpokoju.

Wtedy zażądał, bym oddał stary zegarek, który kilka lat temu dostałem od babci na urodziny. No to zdjąłem go z ręki, mówiąc: Uspokój się, tato.

Obaj dziewiętnastoletni synowie zawsze tak się zwracali do awanturującego się ojca: - „tato”. On natomiast chyba już nie pamiętał ich imion. Jeśli chciał im coś powiedzieć, mówił: „ty ch...”. Tak było i tego sobotniego wieczoru.

Henryk Janicki wyraźnie szukał zaczepki. Nie mogąc doczekać się, aby syn dał mu jakikolwiek pretekst do awantury, z hałasem otworzył drzwi do pokoiku i uderzył Maćka. Wtedy zdarzyło się coś, co do tej pory było nie do pomyślenia - po kilku ciosach syn oddał ojcu. Pierwszy raz w życiu.

Maciek tak potem opowiadał o tym na sali sądowej: - Zaczęliśmy się szarpać. Najpierw pod drzwiami mojego pokoju, potem na korytarzu. W pewnej chwili ojciec przewrócił się, ja usiadłem na nim. Bił mnie po twarzy, to mu oddawałem. Gdy poleciała mu krew z nosa, powiedział: - Teraz masz przejebane, już nie żyjesz.

Chłopiec prosił ojca, aby się uspokoił. Trząsał się ze strachu, do przyjscia matki z pracy brakowało jeszcze co najmniej godziny. W pewnej chwili, gdy Henryk Janicki usiłował złapać nogę stoika, aby uderzyć nim syna, ten błyskawicznie się podniósł i uciekł do sąsiadki. Ojciec wybiegł za nim z przekleństwami.

- Ale ja byłem szybszy - opowiadał w sądzie Maciek. - Po chwili znalazłem się w tamtym bezpiecznym mieszkaniu, za zamkniętymi na klucz drzwiami. Do domu wróciłem dopiero wówczas, gdy upewniłem się, że przyszła mama.

W pustym mieszkaniu pijany Janicki szalał, demolując pokój syna. Rozbił biurko, tapczan, roztrzaskał komputer. Uspokoił się dopiero, gdy opadł z sił po stłuczeniu wszystkiego, co było w zasięgu jego rąk.

Beata Janicka weszła do zdewastowanego mieszkania kilka minut przed Oskarem. Gdy chłopak stanął w drzwiach, awanturnik właśnie zamierzał się „pufą” (gumową kulą na sznurze, którą zawsze nosił przy sobie) na żonę. Tego Oskarowi było już za wiele - uderzył tyrana w twarz. Podobnie jak Maciek, pierwszy raz w życiu podniósł rękę na ojca.

- K..., teraz masz przejeb... już nie żyjesz. Pójdiesz do kryminału, a tam mam kumpli i zrobią z ciebie cwela - wykrzykiwał Janicki.

Kobieta zadzwoniła po policję. Funkcjonariusze, którzy stawili się bez zbytej zwłoki, zdecydowali o zabranii pijanego awanturnika do izby wytrzeźwień. Nim go wyprowadzili, Janicka dostała do podpisania tzw. niebieską kartę. Policjant powiedział jej, że zostanie uruchomiona procedura ochraniajania rodziny przed przemocą domową.

- Od tej chwili - pouczył - funkcjonariusz wezwany na interwencję ma obowiązek wypełnić stosowny formularz karty, która trafi do dzielnicowego. Ten z kolei jest zobowiązany do założenia „teczki zagadnieniowej”, dla gromadzenia doku-

50

mentacji z interwencji. Co najmniej raz w miesiącu dzielnicowy zapuka pod ten ad- ?< res i sprawdzi, jak zachowuje się pani mąż.

Henryk Janicki zareagował na to szyderstwami. Gdy go wyprowadzali, spojrział ^



na Oskara i pokazując gest podrzynania gardła powiedział: - Albo ty, albo ja. Zagroził też Maćkowi zapowiadając, że w najbliższy poniedziałek dostanie „kosą” w drodze do szkoły. Dla podkreślenia, że nie są to słowa rzucane na wiatr, klepnął się po kieszeni, w której, jak zwykle, trzymał składany nóż typu motylek. (H ??? ?)

- Całą noc z soboty na niedzielę nie spałem, czekałem na niego - wyjaśniał w prokuraturze zatrzymany Oskar Janicki.

I dokładnie opowiedział, co czuł, o czym myślał, po wyprowadzeniu ojca przez policjantów.

Stańło mu przed oczami życie jego, brata i matki. Dokąd tylko sięgał pamięcią, budził się i usypiał w strachu. Bał się razów pijanego ojca, zwłaszcza tej ciężkiej kuli gumowej, która rozhuśtana uderzała na oślep. Nieraz z bratem tak nią obrywali, że na wuefie, wstydząc się granatowych siniaków, musieli udawać chorych.

Od czterech lat ojciec nie pracował, ale i wcześniej, gdy jego alkoholizm nie był jeszcze tak widoczny i znajdował dorywcze zatrudnienie, nie dawał pieniędzy na dom. Z pensji matki - niecałe 800 złotych - ledwo starczało im na jedzenie.

-Ja nigdy nie miałem ani ambicji, ani marzeń - powiedział Oskar prokuratorowi. - Rano, przed pójściem do szkoły, myślałem tylko o tym, aby zejść ojcu z drogi i bezpiecznie dotrzeć z bratem na ulicę.

Był też inny strach: aby nie dowiedzieli się o tym wszystkim w szkole. Na nauczycieli miał sposób - pilnie odrabiał lekcje. Jeżeli nie było spokoju w domu, szedł z zeszytami do poczekalni na dworcu PKS. Bufetowa znała go z widzenia, czasem postawiła przed nim darmowy kubek z gorącą herbatą, a nieraz i talerz fasolki po bretońsku, wykrobanej z dna garnka.

Gorzej układało się z kolegami z klasy. Oskar celowo stronił od nich, nawet za cenę nazwania go sobkiem. Uważał, że nie może postępować inaczej. Gdyby się z kimś zaprzyjaźnił, odwiedzał go w domu, musiałby z czasem tego kogoś zaprosić do siebie. A ojciec zapowiedział, że jeśli zobaczy kiedykolwiek obcego w mieszkaniu, a zwłaszcza w pokoju chłopców, wykopie intruza, jak psa.

Z tych samych powodów Oskar nie mógł mieć dziewczyny. Zrozumiał to, gdy siedemnastoletni pierwszy raz w życiu zakochał się w koleżance z równoległej klasy, Zuzie. Kiedyś przyszła pod jego blok, bo godzinę wcześniej o coś się dąsała i teraz chciała go przeprosić. Oskar zobaczył ją przez okno; wybiegł uradowany na podwórko. Serce biło mu tak radośnie... W chwili, gdy nachylał się nad Zuzią, aby mogła go na zgodę pocałować w policzek, kątem oka zobaczył „pętelkującego” na chodniku, jak zwykle pijanego ojca.

51

Brudny, w ubłoconej marynarce, z nie zapiętym rozporkiem, wracał do domu po trzydniowym picciu w melinach. Bełkotał przekleństwa, a na widok wychodzącej z klatki sąsiadki (która często dawała schronienie Maćkowi), splunął.

Na twarzy dziewczyny pojawił się grymas obrzydzenia. - Co za bydlę - powiedziała - takiego ojca mieć, to tylko się zabić.

Oskar nie podtrzymał tematu, ale już nie chciał iść na spacer. Wytłumaczył się bólem głowy i wrócił do domu. Z Zuzią zerwał, choć ona długo broniła się przed nieoczekiwanym końcem ich znajomości. Co było przyczyną ich rozstania dowiedziała się dwa lata później, gdy zeznawała jako świadek na procesie Oskara.

???

Najbardziej bał się o matkę i brata. Czuł się za nich odpowiedzialny. I zawsze ich osłaniał, gdy tyran puszczał w ruch swą gumową kulę. Sam przywykł do razów. Po raz pierwszy został skopany przez ojca, gdy miał 5 lat, bo bronił matki po uderzeniu jej krzesłem. Zakrwawiona upadła na podłogę, a on - płacząc - rzucił się z piąstkami na tatusia oprawcę.

Janicka była samą dobrocią. Zaharowywała się w warszawskim markecie za nędzną zapłatę, nie wiedziała, co to urlop, bo wtedy szła do robót polowych. Kochała synów, wystawiała się na razy pijanego męża, aby ich osłonić, ale nie potrafiła walczyć z przeciwnościami losu. Z pokorą zgodziła

się na los bitej żony i jedyne, na co nie chciała pozwolić, to, aby rodzinny dramat wyszedł poza mury ich M3.

Nie udało się utrzymać tej tajemnicy przed najbliższymi sąsiadami, bo wyrzucona przez męża z mieszkania, wielokrotnie spała z synami na klatce schodowej. Ale już dzielnicowy o niczym nie wiedział. Albo, co bardziej prawdopodobne - mógł udawać, że niczego nie widzi.

Gdy chłopcy dorośli, kilkakrotnie namawiali matkę, aby się rozwiodła, poszukała pomocy w jakiejś organizacji, która wspiera rodziny maltretowane przez alkoholików. Janicka nawet nie chciała o tym słyszeć. - Doniesiemy, gdzie trzeba, a potem on się będzie mścił, jeszcze swoich kumpli naśle, kto nas wtedy obroni?

Tymczasem ojciec stawał się coraz bardziej wyrafinowany w swym okrucieństwie. Wyraźną przyjemność sprawiało mu ogłaszanie różnych zakazów, którym pozostali domownicy musieli się podporządkować. W przeciwnym razie była awantura na całego, z wyzwiskami i biciem.

W wymyślaniu szykan Janicki przejawiał wiele pomysłowości, np.: Nie dość, że nie wolno było synom przyprować do domu kolegów, to musieli jak trusie siedzieć w swoich pokojach, gdy on był w domu. Nie pozwalał im wtedy korzystać z łazienki i zaglądać do kuchni. Telewizor, który stał w stołowym, choć kupiła go na raty Janicka, pozostawał do wyłącznej dyspozycji pana domu, który okupował duży pokój. Gdy czasem któryś z bliźniaków zatrzymał się na chwilę w przedpokoju, żeby zerknąć na ekran (ojciec często zostawiał drzwi otwarte, aby obserwować, co się

działo w mieszkaniu), natychmiast dostawał w głowę czymś, co akurat Janicki miał pod ręką. Często była to żeliwna popielniczka.

Zabronił synom korzystania z komputera, a gdy zorientował się, że włączają go, gdy są sami w mieszkaniu (przed wyjściem notował stan licznika prądu), przecinał kable, zgniótł obudowę z procesorem i wyniósł ten szmelc do piwnicy.

Sycił się strachem w oczach swych dzieci. Od wielu lat sprawiało mu to przyjemność. Byli jeszcze mali, gdy z byle powodu brał do ręki siekiere, zapowiadając, że „poodcina łąby”. Groził nożem, gdy któryś z chłopców odezwał się nie pytany.

Mówił im: - Jesteście chwastami, które trzeba wyrwać. Chyba nigdy nie zawołał ich po imieniu. Zawsze używał ordynarnych, rysztokowych słów. Najłagodniejszym było: ty bękarcie.

W czasie bezsennej nocy marcowego przedwiośnia Oskar doszedł do wniosku, że nikt poza nim nie jest w stanie uporać się z problemem ojca tyrana. Matka wprawdzie odważyła się zawiadomić policję, ale po wyprowadzeniu pijaka przez funkcjonariuszy, dostała spazmów. Była przekonana, że gdy mąż wróci z izby wytrzeźwień, z wściekłości pobije ich tak, że nie podniosą się z podłogi.

Chłopiec uświadomił sobie, że na dalszą rodzinę, która by skutecznie przemówiła ojcu do rozumu, też nie może liczyć. Ciotka Wanda zawsze broniła swego ukochanego brata, nie przyjmowała do wiadomości nawet najbardziej oczywistych faktów, natomiast babcia Zosia (ta od strony ojca) uznawała małżeństwo za związek nierozzerwalny, w którym rządzi mąż, jakkolwiek by był.

Nad ranem Oskar doszedł do wniosku, że jest tylko jeden ratunek dla jego najbliższych - on musi się poświęcić. Zmarnuje sobie życie, ale usunie ojca raz na zawsze.

Cicho, aby nie budzić śpiących, poszedł do kuchni, wyciągnął z szuflady długi nóż. Schował go w swoim pokoju pod poduszką. A potem usiadł naprzeciw coraz bardziej jaśniejącego okna i czekał, aż w zamku wejściowych drzwi zazgrzyta ojca klucz. Ciało ciążyło mu, jakby było z ołowiu.  
???

Tak siedział do godziny dziewiętej; nie był w stanie czegokolwiek przełknąć, choć matka wołała go na śniadanie. Ojciec się nie zjawił, za to niespodziewaną wizytę złożyły im ciotka Wanda i babcia Zosia. Były na mszy w kościele, gdzie modliły się o spokój w tej rodzinie. Wieczorem z izby wytrzeźwień dzwonił do nich Henryk, skarżył się, co go spotkało od najbliższych. Synowie podnieśli na ojca rękę! Pobili go. I za co! Bo sprzeciwił się oglądaniu w internecie pornograficznych filmów. A jak na to zareagowała matka świntuchów? Sprowadziła do domu policję.

Oburzone kobiety płakały, krzyczały, babcia zapowiedziała, że jej noga nigdy już nie przekroczy

progu tego mieszkania, skoro doczekała się wnuków zwyrodnialców, którzy nawet nie potrafia przyznać się do winy, tylko jakby nigdy nic siedzą sobie w swoim pokoju.

53

Była to wyraźna aluzja do Oskara, bowiem choć słyszał przez cienkie drzwi każde słowo gości, nie wyszedł, nie przywitał się. I nie przeprosił za wczorajszą awanturę. Po godzinie obie kobiety opuściły mieszkanie nadal przekonane, że Henrykowi Janickiemu stała się wielka krzywda.

Oskar wychodził ze swego pokoju tylko do łazienki. Ojca nadal nie było, panowała kojąca nerwy cisza. Janicka przestała wreszcie płakać, pozwoliła sobie nawet na odprężającą kąpiel. Właśnie leżała w wannie, gdy usłyszała trzaśnięcie wejściowych drzwi. Z hałasem i wyzwiskami wrócił jej mąż. Nawet się nie rozebrał, chciał bić Oskara. Jego wściekłość spotęgowała się, gdy zobaczył, że drzwi do pokoju syna są zabarykadowane. Stłukł szybę w drzwiach i to ostatecznie spowodowało, że Oskar wyskoczył ze swej kryjówki. Z nożem w ręku.

Zaczęli się szarpać, Maciek odciągał brata za kaptur bluzy. Henryk Janicki usiłował wyrwać nóż i skierować jego ostrze w stronę syna. Powtarzał przy tym jak man-trę: - ja cię ch... zabiję. Już nie żyjesz. Ale po chwili to on osunął się na podłogę, krwawiąc. Na krzyk Maćka wybiegła z łazienki matka chłopców. W tym momencie Oskar uderzeniem w szyję przeciął ojcu tętnicę. Śmierć przyszła bardzo szybko.

- Boże, wybac mi - westchnął już po wszystkim Oskar.

- Mama płakała - zeznał kilka godzin później w czasie przesłuchania - powiedziała, że zmarnowałem sobie życie. Gdy ojciec przestał się ruszać, poprosiłem, aby zadzwoniła na policję. Ja nie miałem wyboru. Musiałem to zrobić. Bo nie darowałbym sobie, gdyby on zabił brata albo mamę. Żałuję, popełniłem śmiertelny grzech, ale zrobiłbym to jeszcze raz.

W aktach z śledztwa pod tym wyjaśnieniem widnieje uwaga policjanta: - Podejrzany jest w stanie szoku, przesłuchanie utrudnione.

???

Z aresztu śledczego wyciągnęła Oskara Fundacja Pomoc Kobietom i Dzieciom, która wpłaciła za oskarżonego 4000 zł kaucji. Do chwili zapadnięcia wyroku szczegółową obserwacją chłopca zajął się doświadczony kurator sądowy. Później w opinii dla sądu napisze, że „jest bardzo silnie związany z matką, a wobec brata niezmiernie opiekuńczy. Zrównoważony, krytyczny wobec swego postępowania, nie przejawia cech zdemoralizowania”.

Oskarżonego poddano też kilkumiesięcznemu diagnozowaniu psychiatrycznemu. Zdania biegłych były podzielone. Jedni lekarze specjaliści stwierdzili, że gdy Oskar Janicki zadawał ciosy, był pod wpływem silnych emocji, które wymknęły się spod kontroli intelektu: „Do takiego stanu doprowadził głęboki stres, kumulujący się przez kilka ostatnich lat. Niektórzy na stres reagują ucieczką, a inni atakują. W tym przypadku atak był formą obrony”.

W opinii psychologów ostatecznym impulsem dla oskarżonego stała się sytuacja, gdy w sobotni wieczór ojciec przystawił Maciejowi nóż do szyi. Właśnie wtedy Oskar

54

doszedł do przekonania, że następnym razem może nie zdążyć. A brata bliźniaka, który od urodzenia był fizycznie słabszy, kochał nad życie. Natomiast w chwili popełnienia czynu zdolność rozpoznania znaczenia czynu i pokierowania swoim zachowaniem była u oskarżonego zniesiona.

Nie stwierdzono u młodego mężczyzny zaburzeń osobowości, ani skłonności do kłamstwa, konfabulacji. „Oskar Janicki rozumował jak zaszczute zwierzę. Uznał, że atak jest najlepszą obroną. Obecnie próbuje wypierać swoje emocje, ale widoczna jest u niego reakcja emocjonalna” - napisano w opinii.

Inni biegli uznali, że oskarżony zamordował z premedytacją, bowiem sposobił się do tego całą noc. Jego działanie było zaplanowane w każdym ruchu i nie ma mowy o morderstwie w afekcie.

???

Przyszedł dzień procesu. Rodzice Henryka Janickiego odmówili składania zeznań i zaraz wyszli. Ciotka Wanda głośno komentowała każde wypowiedziane pod przysięgą słowo obu bratanków i szwagierki. Była w tym tak agresywna, że za którymś razem sędzia zagroził nałożeniem kary za zakłócanie spokoju.

Zeznania o traktowaniu najbliższej rodziny przez Henryka Janickiego jego siostry i teściowej okazały się zupełnie odmienne.

- Brat pił - przyznała pani Wanda - ale na wesoło, nie tak, jak tu zostało powiedziane. Po kilku głębszych był jak do rany przyłóż; opowiadał kawały, rzucał pieniędzmi. To, co zeznaje na sali jego żona, jest oszczerstwem. Gdybym nie znała ofiary, pomyślałabym, że od ciosów nożem zginął nie człowiek, ale bydlak, którego nie warto żałować. A Henio przecież kochał swoje dzieci, jeżeli był dla nich czasem surowy, wymyślał różne zakazy, to z ojcowskiej troski, chciał, aby chłopcy wyrosli na porządnych ludzi.

Po namyśle świadek zauważyła ostrożnie, że możliwe, iż jej śp. brat czasem podniósł w domu głos. Od kilku lat był podenerwowany, bo nie mógł znaleźć pracy, a jego najbliżsi: żona i dzieci nie potrafili zrozumieć, co tak odpowiedzialny za rodzinę człowiek czuje, gdy nie przynosi do domu pensji. I jeśli nawet okresowo żył na koszt żony, czy był to wystarczający powód, aby syn go zabił? Z takim okrucieństwem?

- Nie chcę mieć z tą rodziną nic wspólnego - oświadczyła.

W zeznaniach Wandy Janickiej najbardziej niekorzystne dla oskarżonego było to, że zarówno w czasie śledztwa, jak i procesu twierdziła, że jej bratanek Oskar od dawna planował zabójstwo ojca. Miał się kiedyś z tymi planami przed nią zdradzić.

Ta poważna insynuacja na szczęście dla Oskara okazała się niewiarygodna w czasie przeprowadzonej przez sąd konfrontacji.

Teściowa Henryka Janickiego miała do ujawnienia wiele faktów z małżeństwa jej córki - od dnia ślubu pomagała jej finansowo i w wychowywaniu bliźniaków.

53

W przerywanym płaczem wyznaniu opowiedziała, jak zięć zmieniał się w potwora po powrocie z kontraktu w ówczesnym Związku Radzieckim.

Od młodości skłonny do picia wódki, za wschodnią granicą rozpił się na całego. To alkoholizm Henryka Janickiego był przyczyną tragedii. Po powrocie do Polski w żadnej już pracy nie mógł zagrzać miejsca. Skumplował się z takimi jak on, godzinami wystającymi w bramie kamienicy, gdzie była jedna ze znanych mu melin. Wykradał żonie z portmonetki pieniądze, a gdy ich nie znalazł, z wściekłości brał się do bicia.

Wódka - twierdziła babcia Oskara - pozbawiła zięcia uczuć do własnych dzieci. Bliźniaków traktował jako przeszkodę w wyciągnięciu od żony pieniędzy na flaszkę. Każdy zakup dla chłopców - jedzenia, ubrań, czy szkolnych podręczników, traktował, jakby go ograbiono. Z czasem złość przekształciła się w obsesyjną nienawiść. Henryk Janicki wierzył i często wykrzykiwał to w złości - że gdyby synów nie było, żona pracowałaby tylko na niego, bez słowa protestu, bo on już miał sposoby, aby zamknąć jej usta.

-Ja też się go bałam, proszę wysokiego sądu - zeznała staruszka - dlatego pożyczalam córce pieniądze, choć widziałam przez okno, że ten pijak stoi na ulicy pod moim domem i zaraz wszystko zabierze Beacie, a ona ze strachu i wstydu nawet nie piśnie.

Świadek opowiedziała, że zięć nieraz ciągnął żonę za włosy po ulicy, wykrzykiwał, że jest k..., postawi wódkę swoim kumplom, to ją zgwałcą w krzakach, gdy nocą będzie wracała z pracy.

- Serce mi się kroilo, gdy chłopcy, którzy od małego spędzali u mnie wakacje, prosili na klęczkach przed początkiem roku szkolnego, aby nie zawozić ich do domu, bo tam jest ojciec. Najbardziej drżał ze strachu Maciek; gdy wyjmowałam z kredensu talerze, wchodził pod stół i kulił głowę w ramionach.

Jego ojciec miał zwyczaj rzucania w bliźniaków talerzem gorącej zupy, jeśli któryś odezwał się w kuchni albo nie daj Boże zapłakał.

- Proszę o litość dla tego chłopca - poprosiła na koniec babcia Oskara. - Przeczytałam w gazecie, że grozi mu do dziesięciu lat więzienia. Nie zmarnujcie mu życia. To dziecko los już pokarał.

Wiele dobrego powiedziała o Oskarze jego wychowawczyni ze szkoły: Mimo braku w domu warunków do nauki, życia w ciągłym strachu, potrafił zdobywać dobre stopnie. Wzorowe cenzurki były okupione rezygnacją ucznia z jakichkolwiek kontaktów koleżeńskich, bo tego żądał złośliwy, bezwzględny ojciec. Chłopiec nosił w sobie ponurą tajemnicę, która go przygniatała. Nie szukał pomocy u dorosłych, bo wiedział, że wyciągnięciem dramatu na światło dzienne zrobiłby wielką przykrość matce, bojącej się złych języków plotkarek. Poza tym Oskar nie wierzył, że ktokolwiek może ukroci bezkarność ojca. Dramatycznie zabrzmiało jego wyznanie w czasie procesu, że nigdy nie miał marzeń.

5 6

Nauczycielka przeprosiła oskarżonego w imieniu całego grona pedagogów. Teraz wszyscy w szkole wyrzucają sobie, że nikt z nich nie zainteresował się, dlaczego skądinąd koleżeński uczeń, chętnie pomagający innym, jest taki samotny.

Rozprawie przysłuchiwał się przedstawiciel Rzecznika Praw Obywatelskich.

???

Prokurator zażądał dla Oskara trzech lat więzienia. Wyjaśnił, że obniżenie wymiaru kary do dolnej granicy przewidzianej kodeksem jest wynikiem wzięcia pod uwagę szczególnych okoliczności popełnienia morderstwa.

Adwokat przedstawił oskarżonego jako ofiarę przemocy domowej i z tego powodu wystąpił o uniewinnienie.

Obecna na procesie w charakterze obserwatora przedstawicielka Fundacji Pomocy Kobietom i Dzieciom popierała mecenasa, przekonując, że takich dramatów jak u Janickich w polskich domach jest wiele.

- Oskar nie jest urodzonym zabójcą - powiedziała. - Odkąd tylko dorósł, czuł się odpowiedzialny za rodzinę, bronił jej przed tyranem. Przez kilkanaście lat matka i synowie byli więźniami w swoim domu. W desperacji, poczuciu wyizolowania z obojętnego dla jego tragedii społeczeństwa, chłopiec uznał, że stoi przed dylematem: albo ojciec zabije mu brata, a może i matkę, albo on uniemożliwi ten atak za cenę spędzenia życia w więzieniu. Uważał, że musi się poświęcić, aby jego najbliżsi mogli wreszcie normalnie żyć.

Dramatyczny, niedobry wybór. Ale przy młodym człowieku nie było nikogo, kto by mu wskazał inne wyjście, chciał pomóc.

Przedstawicielka Fundacji podkreśliła, że z takim rozumowaniem nieraz spotykała się u ofiar przemocy domowej.

Oskar w ostatnim słowie przede wszystkim przeprosił babcie i dziadka (ze strony ojca).

- Wiem, że teraz mnie nienawidzicie, bo go kochaliście. Żał mi was, bo wiem, jak wielkie jest wasze cierpienie po utracie kogoś bliskiego. Mam nadzieję, że mi kiedyś wybaczycie.

A zwracając się do sądu, powiedział: - Żałuję, zrobiłem źle. Teraz wiem, że trzeba było szukać innego sposobu na tyranię ojca. Proszę o najniższą karę, bo chcę choć w części naprawić to, co zrobiłem.

Publiczność obserwująca proces uznała wyrok sądu za salomonowy. Oskar Janicki został uznany za winnego, ale nie trafił do więzienia. Sąd skazał go na dwa lata więzienia i zawiesił wykonanie kary na pięć lat. Przez ten czas skazany ma być pod opieką kuratora.

Wygłoszone uzasadnienie wyroku wywołało łzy u wielu przysłuchujących się. Sędzia, nie kryjąc już emocji, uzasadniał motyw, jakimi kierowano się przy orzeczeniu winy. Przed oczami publiczności jakby przewinął się film ze scenami codziennej,

nieuniknionej udreki ofiar Henryka Janickiego. Sędzia mówił o koszmarze, jaki ten człowiek zgotował swojej rodzinie. Zaznaczył jednak: - Chciałbym być dobrze zrozumiany. Nie sądzimy

tutaj Henryka Janickiego, ale to w jego życiu szukamy przyczyn tego, co wydarzyło się 26 marca.

Sąd uznał, że wymierzenie bezwzględnej kary pozbawienia wolności byłoby ukaraniem nie tylko oskarżonego, ale całej jego rodziny, przez ostatnie kilkanaście lat maltretowanej przez pokrzywdzonego.

- Syn zabił ojca - podkreślił sędzia. - Sam ten fakt jest karą, która będzie trwała w sumieniu skazanego.

Na koniec, ponieważ zakończenie procesu nastąpiło 22 grudnia, sędzia zaapelował do skłóconej z powodu zbrodni rodziny: - Wkrótce Boże Narodzenie. Przy wigilijnym stole jest czas, by pomyśleć o przebaczeniu. Potrzebne jest wam wszystkim. Sąd wyraża przekonanie, że może jeszcze nie teraz, ale kiedyś dojdzie do takiej wigilii, na której spotkacie się wszyscy razem.

Prokurator złożył apelację, ale pozostała bez rozpoznania.

???

Kilka miesięcy później Oskar przygotowuje się do matury. Jego klasa przeszła trening u szkolnego psychologa, może dlatego skazany w żadnej mierze nie odczuwa piętna zabójcy ojca. Chłopak powoli otwiera się na otaczający go świat. Do jego ławki, gdzie dotąd siedział samotnie, przeniósł się klasowy prymus. Pretekstem była konieczność pomocy Oskarowi w nadrobieniu zaległości, narosłych w czasie, gdy przebywał w szpitalu na obserwacji psychiatrycznej. Ale widać, że obu uczniów łączy już coś więcej niż podpowiedź wychowawczynie, aby wesprzeć kolegę.

Kurator, który często spotyka się ze swym podopiecznym odnotował, że zaczyna on nieśmiało snuć plany na przyszłość. Jeśli chodzi o studia, to interesuje go genetyka, co by wskazywało, że nadal myśli Oskara krążyć wokół brata bliźniaka.

Wanda Janicka też już trochę przyszła do siebie.

- Szkoda każdego życia odebranego siłą - powiedziała mi. - Współczuję teściom. Mieli jednego syna. Ale my teraz żyjemy normalnie.

\* Nazwiska zostały zmienione

czasie wizji lokalnej: - Proszę powiedzieć jeszcze raz, kto to zaplanował?

- Matka dziecka. Zawsze jej przeszkadzało. Zaraz po urodzeniu Michałka chciała zostawić go w szpitalu. W zeszłym roku latem o mało co nie wrzuciła dziecka do glinianki. Wtedy jej go wyrwałem.

- Proszę opisać spacer z chłopcem nad Wisłą.

- Obiecałem mu, że zobaczy statek. Pytałem, czy jest głodny, chciałem mu kupić hamburgera. Ale powiedział, że w przedszkolu jadł pomidorową. Potem narzekał, że bolą go nóżki...

- Co jeszcze dziecko mówiło?

- Nic. Aha, chciał wiedzieć, czy woda w rzece jest zimna.

- W jaki sposób chłopiec znalazł się w wodzie? Proszę to zademonstrować używając czarnego worka.

- Ja wziąłem Michała za ręce, Daniel za nogi, rozkołysaliśmy i na raz, dwa, trzy, rzuciliśmy jakieś dwa metry od brzegu.

- Czy od razu utonął?

- Nie, właśnie nie, leżał na wodzie i krzyczał: - Tata ratuj!

Ja uciekłem. Daniel też, tylko w drugą stronę, w kierunku Cytadeli.

???

Pracownik robót rzecznych zobaczył 20 stycznia 2001 roku na Wiśle w okolicach warszawskiego mostu Śląsko-Dąbrowskiego kołyszące się na wodzie zwłoki małego chłopca. Rączki miał odrzucone za głowę, jakby usiłował pływać na plecach. Był ubrany w ciepłą kurtkę, buty z kożuszką, czapkę. Następnego dnia 20-letnia Barbara S. z rozpaczliwym krzykiem potwierdza, że to jej syn Michałek.

W piątek 19 stycznia jak zwykle poszła o godz. 15 po syna do przedszkola. Towarzyszył jej narzeczony Robert K. Gdy wywoływała chłopca przez domofon, usłyszała, że go nie ma, zaraz po obiedzie, przed leżakowaniem, wyszedł z jej mężem

- znanym wychowawczyni, bo często przychodził razem z Barbarą S. Zdenerwowała się. - Jaki mąż, są rozwiedzeni, on dawno nie widział syna, a mieszka w okolicach Białej Podlaskiej.
  - A ten mężczyzna, który z panią stoi? - spytała zdumiona dyrektorka, gdy przyszła do szatni
  - To mój przyjaciel. Michaś mówił mu: tato.
- Barbara S. nie chciała skorzystać ze służbowego telefonu. Pobiegnęła do domu, skąd wydzwaniła do warsztatu samochodowego, gdzie kiedyś pracował jej były mąż, Piotr S. Nikt nie podnosił słuchawki.
- Przerażona, roztrzęsiona, złożyła zawiadomienie o zaginięciu dziecka na policji.
- Całe szczęście, że Robert jest przy niej.

- Nie mówiłam byłemu mężowi, że Michaś chodzi do przedszkola - uświadamia sobie na głos, gdy dyżurny policjant spisuje notatkę. Ale kto inny mógłby porwać dziecko? On jest taki nieobliczalny. Kiedyś, gdy mimo orzeczonego rozwodu jeszcze utrzymywali kontakt, obiecał wziąć synka na tydzień na Mazury. Po dwóch dniach zorientowała się, że zostawił malucha na wsi u swych rodziców i przepadł. Pojechała sprawdzić, czy Michał nie tęskni. Gdy zobaczyła synka samotnie stojącego przy płocie - brudnego, zasikanego, natychmiast go zabrała, choć trzeba było walczyć z teściową na pięści. Od tamtej pory z sobą nie rozmawiali, nie płacił też alimentów. Może teraz chciał jej zrobić na złość?

Dwudziestego pierwszego stycznia policja odnajduje zamroczonego alkoholem Piotra S. Od miesięcy nie miał kontaktu z synem. Ale podejrzewa, że była żona może mieć coś wspólnego ze zniknięciem Michała. Zawsze mówiła, że dziecko ją wykończy. Gdy Michał miał półtora roku, zadzwoniła domagając się wyższych alimentów (wtedy jeszcze pracował, więc dostawała 300 zł). Nie chciała zrozumieć jego sytuacji, dała mu trzy możliwości rozwiązania problemu: będzie więcej płacił, weźmie małego na pół roku do siebie, oddadzą dziecko do adopcji. On wybrał wariant drugi; po tygodniu była żona zabrała mu dziecko.

Sledczy upewniają się, że biologiczny ojciec nie ma pojęcia o tragicznej śmierci syna. Postanawiają przyrzeć się bliżej Robertowi K.

Lat 23, bezrobotny, z zawodu stolarz. W żadnej pracy nie udało mu się zagrzać miejsca. Z Barbarą S. zna się od dzieciństwa - mieszkają w pobliżu, w starej robotniczej dzielnicy Warszawy. Zbliżyli się do siebie, gdy już była rozwódką. Ona pracowała wtedy w sklepie. Polubił 3-letniego wówczas Michasia, ale ze względu na ciasnotę u Barbary (na 30 metrach kwadratowych siedem osób) nie mogli zamieszkać razem. Gdy narzeczona miała drugą zmianę, odbierał jej syna z przedszkola.

Co robił 19 stycznia?

Pojechał z Danielem S., kolegą z podwórka, na peryferie Warszawy do marketów w Jankach - szukać pracy. Nie dogadał się, bo wymagali wypełnienia różnych druczków, napisania podania, a to było zbyt facygujące. W południe Barbara zadzwoniła z pytaniem, czy pójdzie po dziecko. Czemu nie, ale okazało się, że Michasia już odebrał jak poinformowała go wychowawczyni, „pan z wąsami”. Od swojej dziewczyny wie, że jej były mąż Piotrek miał pokaźne wąsy.

Jeszcze tego samego dnia przesłuchiwany Robert K. przedstawia inną wersję wydarzeń: nie był w Jankach. Gdy w południe spotkał się z Danielem S., ten miał pomysł, aby odebrali chłopca z przedszkola i poszli z nim na spacer. Gdyby mały nie chciał, można go przekupić lizakiem. Zgodził się - i tak nie miał nic do roboty.

W przedszkolu Daniel wywołał chłopca przez domofon i on go ubrał. Pojechali na Dworzec Zachodni, gdzie Robert K. pokazywał bezrobotnemu koledze pewien kiosk, w którym poszukują pracownika. S. miał się zastanowić, czy by mu to pasowało.

wał. Rozstali się w podziemiu pod dworcem, około godziny 14. Daniel zamierzał jeszcze trochę pospacerować z chłopcem, po czym odstawić go do matki, z którą, jak się chwalił „kiedyś trochę

sypiał".

- Wróciłem do domu - ciągnął swą opowieść Robert K. - coś zjadłem i wtedy zadzwoniła Basia, abyśmy pojechali po dziecko do przedszkola. Nie powiedziałem, że wziął go Daniel, bo mnie postraszył, że jeśli się wygadam, będę miał do czynienia z jego kumplami nożownikami. Sądziłem że Daniel chciał jej zrobić na złość, zabierając małego.

Policja przedstawia Robertowi K. zarzut „niepowiadomienia Barbary S. o miejscu pobytu dziecka, czym spowodował - przez swoje zaniechanie - śmierć Michała S.”.

Przesłuchiwany Daniel S. twierdził, że Michasia wywołał z przedszkola Robert. Rzeczywiście, pojechali z chłopcem na Dworzec Zachodni, ale tam się rozstali. Dziecko zostało z chłopakiem Barbary S. On prawie jej nie zna, widział ją w przelocie może dwa razy w życiu.

Dwudziestego trzeciego stycznia Daniel S. oświadczył śledczemu, że chce wyznać szczerą prawdę. Otóż, nie rozstał się z Robertem i Michałem na Dworcu Zachodnim. W trójkę pojechali na Plac Zamkowy, konkubent Barbary chciał pokazać dziecku Wisłę. Szli więc wzdłuż rzeki, Robert pytał, kogo chłopiec najbardziej kocha: mamę, jego, czy pana z wąsami. Potem, czy chce hamburgera. Mały nie chciał, bo jadł w przedszkolu zupeł.

- W pewnej chwili - zeznawał Daniel S. - Robert wziął Michasia na ręce, kilka razy się zakręcił i wrzucił go do wody. Dziecko krzychało: - Tato, co robisz?! Potem słychać było tylko pisk, jakby szczeniaka. Główka wynurzała się kilka razy. Zacząłem uciekać. K. wołał za mną: - Nic nie widziałeś!

Tego samego dnia kolejną wersję wydarzeń nad Wisłą podał też Robert K. Zaklinał się, że wreszcie mówi najszczerszą prawdę: to Barbara namówiła go, aby utopił Michała, gdyż jej zawadzał. Lubiła balangować, wrócić nad ranem, a tu macierzyńskie obowiązki. Już w listopadzie 2000 roku chciała się pozbyć dziecka.

Dwa dni przed śmiercią Michała, Robert spotkał się z matką dziecka na klatce schodowej. Wywołała go telefonicznie, bo chciała porozmawiać bez świadków. Powtarzała w kółko, że wkurza ją Michał. I prosi narzeczonego, a wręcz nalega, aby wywiózł chłopaka gdzieś do lasu, przywiązał do drzewa (śledczy odnotował, że przesłuchiwany w tym momencie płacze).

Wtedy nic jej nie odpowiedział, ale gdy następnego dnia ponowiła żądania, zdecydowany był z miłości do swej kobiety „zrobić z dzieckiem porządek”. Do przedszkola wszedł Daniel, bo on sam nie miał sumienia odbierać chłopca. Zresztą Barbara poradziła mu, aby został przed furką, w szatni mogłaby go rozpoznać wychowawczyni.

Gdy byli z dzieckiem nad Wisłą, zadzwoniła Basia. Zapytała ściszym głosem, czy już wrzucili dziecko do wody. Potwierdził.

61

Na pytanie, jak wyglądało utopienie Michała, Robert K. obrazowo opisał: - Ja trzy-<sup><3</sup> miałem za nóżki, a Daniel za plecki pod pachami. Mały krzychał: tata, tata, ratuj. Po-<sup>^</sup> tern uciekliśmy. Wcześniej chciałem wskoczyć do Wisły - zeznał z płaczem - bo Michał leżał na plecach i nie znikał. Ale bałem się, że utonę, byłem po dwóch piwach.

Gdy godzinę później spotkał się z Barbarą, opowiedział jej wszystko, również o udziale Daniela. - Ją to nie zdziwiło, gdyż już wcześniej proponowała, abym wziął j?j kogoś do pomocy. Skwitowała sprawę słowami: „Dobrze, pozbyłam się kłopotu. Teraz musisz zrobić wszystko, żeby nie było na nas”.

???

Roberta K. i Damiana S. badają w areszcie psycholog z psychiatrą.

Narzeczoney Barbary S. miał nieszczęśliwe dzieciństwo z ojcem pijakiem - zapamiętał go z nożem w rękę, gdy groził matce. Potem rodzice się rozwiedli. On ukończył szkołę specjalną - posłali go tam, bo wagarował.

Psychiatra stwierdza upośledzenie umysłowe w stopniu lekkim. Psycholog - niedojrzałość emocjonalną, egocentryzm, słabą zdolność współodczuwania, podwyższony poziom agresji wobec Barbary S. Ale zaznacza, że nie wszystkie zachowania podejrzanego są psychologicznie czytelne.



Możliwe, że na podjęciu decyzji o zabójstwie Michała zaważył fakt usunięcia przez Barbarę ciąży na początku ich znajomości. Mogło dojść do takiego rozumowania (niekoniecznie w pełni świadomego): - skoro ona zabiła moje dziecko, to ja zabiję jej.

Natomiast 19-letniego Daniela S. w ocenie psychologa cechuje nieumiejętność przewidywania skutków swoich czynów, brak poczucia winy i wyrzutów sumienia. Jego aktywność jest ukierunkowana na zaspokajanie doraźnych potrzeb. Sam wyznał psychologowi, że nie miał powodów, aby zabijać Michałka. Wbrew temu co mówił Robert, Barbarę znał słabo. I nie był wtajemniczony w plany zabójstwa.

Być może nie sprzeciwił się Robertowi ze strachu.

Pierwsze przesłuchanie Barbary S. jako podejrzanej o wydanie polecenia pozbawienia życia jej syna: nie mówi nic złego o Robertcie. Planowali małżeństwo i drugie dziecko. Robert był dobry dla Michała, choć wiedział, że ona syna kocha najmocniej. Nie irytowała go jego obecność, zresztą, nie musiał z tego powodu rezygnować z wieczornych rozrywek, bo dzieckiem zawsze chętnie zajmowała się jej matka lub przyszywana ciocia Gienia.

Barbara S. na postanowienie prokuratora o przedstawieniu jej zarzutu nie odpowiada, porusza głową, jakby się dziwiła. Na pytanie, czy przyznaje się do wydania Robertowi polecenia, aby wrzucił Michałka do Wisły - przecząco kręci głową.

Uczestniczący w tym przesłuchaniu psycholog, biegły sądowy, notuje: „Kontakt utrudniony, zachowuje się demonstracyjnie, głośno zawodzi albo mówi szeptem, w zmiennym tempie kiwa się w przód i tył. Uważam, że kontroluje sytuację. Jej wypowiedzi są nieszczerze, zawierają treści wskazujące na stosowaniu silnej postawy

62

obronnej wobec własnej osoby i bliskich. Przy ocenie wartości jej zeznań należy zachować szczególną ostrożność”.

Prokurator decyduje o skonfrontowaniu zeznań Barbary S. i Roberta K. w kwestii rzekomo wcześniejszej próby matki pozbawienia życia Michałka. Oskarżał ją o to Robert, opisując sytuację, gdy latem 2000 roku wypoczywali z dzieckiem nad glinianką.

Robert K.: Barbara chwyciła Michała na rękę i biegła, aby go utopić. W ostatniej chwili zdołałem odebrać jej dziecko.

Barbara S. z płaczem: - Nad tą wodą byliśmy tylko raz i bez syna.

Robert K.: Wielokrotnie mnie namawiała, abyśmy się pozbyli chłopaka. Podsuwała różne pomysły: wrzucić go do kanałku albo wywieźć do lasu.

Barbara S.: - Nieprawda! Dlaczego go utopiłeś?!

Robert K.: - Bo mi kazałaś.

- Patrz mi w oczy! - Barbara krzyczy do swojego przyjaciela.

???

- Wyżej łby! - woła tłum przed salą rozpraw, gdy 4 grudnia 2001 roku policyjny konwój wprowadza troje oskarżonych. Idą skuleni, z widoczną paniką w oczach. Na pytanie sądu, czy jest ktoś z ich bliskich, nikt nie odpowiada. Siedzący obok prokuratora były mąż Piotr S. łapie się za głowę, gdy Barbara S. w czasie sprawdzania danych osobowych podaje, że jest bezdzietna.

Prokurator Adam Woźny zarzuca Robertowi K. i Danielowi S. zabójstwo, Barbarze S. pokierowanie zbrodnią. Oskarżonym grozi dożywocie, choć kobieta - ona jedna - w śledztwie nie przyznała się do winy.

Na sali sądowej wszyscy troje już w pierwszym słowie zaprzeczają, aby dokonali morderstwa.

- Zostawiłem go samego nad brzegiem, odszedłem za potrzebą, jakieś 30 metrów. Wróciłem, Michał był na krze, która się przechylała. Zacząłem krzyczeć i płakać... - taką wersją tragicznego wydarzenia rozpoczyna wyjaśnienia Robert K.

Zatem utonięcie chłopca to był nieszczęśliwy wypadek. Barbara nigdy nie namawiała go do pozbycia się dziecka. To, co mówił w śledztwie, policjanci wymusili na nim biciem, polewaniem wodą, straszeniem.

- Czy oskarżony chce coś jeszcze powiedzieć? - pyta sędzia Irena Nowicka-Albin.

- Tak. Jestem niewinny.

Barbara S. na pytanie obrońcy, jak wyglądało jej przesłuchanie u prokuratora wyjaśnia, że był przy tym psycholog, który ją namawiał, żeby się przyznała, wówczas dostanie 25 lat, a nie dożywocie.

- Dlatego ja strasznie płakałam. Prokurator dopowiadał, że to nie jest trudne, żeby powiedzieć „tak”. Odruchowo kiwałam głową, nie wiem, jak to zostało zrozumiane...

Po tych słowach mec. Grzegorz Lewański, obrońca z urzędu Barbary S. składa wniosek o wyłączenie obecnego na rozprawie psychologa, bowiem w gabinecie

65

prokuratora postawił się w podwójnej roli - świadka i zarazem biegłego. Procesowo sytuacja niedopuszczalna.

Na kolejnych rozprawach mają głos powołani świadkowie.

Najpierw przedszkolanki.

- Jestem tą osobą, która ostatnia widziała Michałka żywego - przedstawia się

I -?{

Wanda S. Padło wiele serdecznych słów o chłopcu: bardzo rozgarnięty, w grupie troszeczkę z boku, rzadko się śmiał. Może wrodził się w mamę, bo ona jak na młodą osobę była bardzo smutna. Wychowawczynie znała Roberta K., była przekonana, że jest ojcem małego, bo chłopczyk sporo o nim opowiadał - jak jeździli na sankach, lepili bałwana. I zawsze z radością biegł do niego, gdy zabierał go do domu.

Wszystkie przedszkolanki dostrzegały, że matka dbała o Michasia. Dlatego dziwna była jej reakcja, owego 19 stycznia, gdy po podwieczorku przyszła po Michała.

- Najpierw w jej oczach zobaczyłam zdenerwowanie, ale po chwili już rozmawiała ze mną spokojnie - przedstawia sądowi ten moment dyrektorka przedszkola. - Pani Barbara od razu zasugerowała, że chłopca porwał jej były mąż. Jednak nie chciała dzwonić do niego z mojego biura. Powiedziała, że z domu zawiadomi policję.

Następnego dnia wychowawczynie spotkały się z Barbarą S. na komendzie policji przy ul. Żytniej. Siedziały na korytarzu i już wiedziały, że dziecko jest w prosektorium. Matka nie znała jeszcze losu Michasia; czekała na wezwanie do pokoju przesłuchań. - Chodziła od drzwi do ściany zdenerwowana, z papierosem. Wreszcie ją poproszono.

- W tym pomieszczeniu były nieszczelne szklane drzwi - opowiada dyrektorka - widziałyśmy matkę Michasia. Policjanci coś jej powiedzieli, ona tak jakoś zasko-wyczała, sięgnęła po chusteczkę. Ale gdy po chwili wyszła z pokoju, oczy już miała suche, żadnej rozpacz. Jedno ją tylko nurtowało: dlaczego zamknęli Roberta?

- Czy tak zareagowałaby kochająca matka? - dziwi się sędzia, której trudno ukryć negatywne emocje wobec Barbary S. Wszyscy na sali rozpraw (może poza mec. Le-wańskim) postrzegają tę drobną dziewczynę w kajdankach jako wyrodną rodzicielkę. Raz po raz z ław dla publiczności padają wrogie okrzyki. A oskarżona, choć nie przyznaje się do przestępstwa, nie potrafi powiedzieć złego słowa o swym narzeczonym i jego kumplu.

- Wydawało mi się, że był dobry dla Michasia, kupował mu zabawki - odpowiada na pytanie obrońcy, czy dostrzegła coś niewłaściwego w zachowaniu bliskiego jej mężczyzny.

- Dlaczego zatem oskarżony K. panią obciąża? - chcą wiedzieć sędziowie.

- Nie wiem, może miał pretensję, że wcześniej usunęłam ciążę, on chciał tego dziecka - takim wyznaniem jeszcze bardziej pograża się w oczach publiczności.

Ale najbardziej szkodzi Barbarze S. zeznanie Zofii P.

Gdy oskarżona miała niespełna 16 lat, wynajmowała u świadka pokój. Wprowadziła się tam z Piotrem S., późniejszym jej mężem.

64

- Mam trzech dorosłych synów - zaczyna zeznanie 46-letnia Zofia P., która stawiała się w sądzie w głębokiej żałobie - i tę dziewczynę traktowałam jak córkę. Gdy okazało się że jest w ciąży, nie tylko nie wymówiłam mieszkania, ale pojechałam z nią do ginekologa. Byłam w szpitalu, gdy Michaś się urodził. Dzień w dzień nie oszczędzając czasu tłumaczyłam, jak powinna zachowywać się wzorowa matka i żona. Ale ona za nic miała moje rady. Zawsze była wygodna - nie sprzątała, nie gotowała. Piotr przed wyjściem do pracy w MPO robił jej śniadanie i butelkę dziecku. Bo nie chciała karmić piersią.

Z dalszych zeznań tego świadka wynika, że podsłuchiwała rozmowy telefoniczne swej lokatorki z przyjaciółką Moniką i gdy usłyszała, że używają brzydkich słów, zabroniła Barbarze spotykać się z tą dziewczyną w jej domu.

Na cenzurowanym był też stosunek młodziutkiej lokatorki do synka.

W sądzie Zofia P. miała wiele do powiedzenia na ten temat. Niestety, były to same oskarżenia.

- Zimna i wyrachowana, odpychała dziecko nawet wtedy, gdy instynktownie chciało się przytulić. Kiedyś w takiej sytuacji ze złości je uszczypnęła. Ona nawet nie wiedziała, kiedy Michałkowi wyszedł pierwszy ząbek. Przez dwa tygodnie zostawiała u mnie dziecko do południa, bo rzekomo chodziła do pracy, potem się wydało, że kłamała, łąziła po mieście. Była dobrą aktorką, potrafiła płakać na oczekaniu. W grudniu 2000 roku przywiozła mi Michałka na trzy tygodnie, gdyż znalazła pracę za ladą, ale na zmiany. Nie miałam nic przeciwko temu, traktowałam to dziecko jak własne, ale mogła mi zostawić jakieś pieniądze. Szóstego stycznia, gdy mały był już u jej matki, przyjechała z Robertem po pozostawione zabawki. Chciałam, aby spakowała też brudne rzeczy, a ona na to, że już nie będą jej potrzebne. W tym czasie Robert niespokojnie chodził od okna do lodówki - w tę i z powrotem. Mogli już wtedy planować pozbycie się Michałka, coś mi wspominali, że wyjadą do Niemiec.

- Tak - świadek odpowiada twierdząco na pytanie prokuratora. - Baśka była zdolna do popełnienia morderstwa. Opowiadała kiedyś, że pokłóciła się z bratem, bo nie pościelił łóżka, a spali w tym samym pokoju i z wściekłości doskoczyła do niego z nożem. Ja jej na to - jak mogłaś, przecież to twój jedyny brat, a ona: pani mnie jeszcze nie zna.

Od jej matki wiem, że gdy Barbara dowiedziała się o śmierci dziecka, powiedziała: „Dobrze się stało, przynajmniej nie będzie już nikomu przeszkadzał”. A po zatrzymaniu Roberta zadzwoniła do mnie przerażona i prosiła, abym mu zapewniła alibi. Wyraźnie bała się, że zacznie sypać i wszystko się wyda.

Ocierając obficie płynące łzy, świadek wylicza przed sądem pewne symptomy, które doprowadziły ją do wniosku, że oskarżona jest winna śmierci dziecka.

Znak pierwszy - otóż ostatniej zimy Michałek strasznie bał się wody, nie można go było wykąpać w wannie. A kiedyś lubił pluskanie.

63

Już po śmierci chłopca matka oskarżonego Roberta wyznała Zofii P., czego dowiedziała się od syna: latem 2000 roku Barbara chciała utopić Michasia w jeziorku na peryferiach Warszawy. Wzięła dziecko do wody, zanurzyła mu główkę. Robert nie mógł patrzeć, słuchać krzyku: „Mamo, nie rób tego”. Zaczęli się kłócić. W końcu powiedział żartem: „Jeżeli już chcesz, to zawińmy go w koc i wrzucmy”. A ona z całą powagą: - „Nie mamy sznurka, może wypłynąć”.

Znak drugi - w dniu, gdy zginął Michałek, Barbarze pękł na palcu złoty pierścionek, który dostała od męża za urodzenie dziecka.

W piątej godzinie zeznań Zofii P. oskarżona zgłasza, że chce wydać oświadczenie.

Składało się głównie z zaprzeczeń: Nie prosiła p. Zofii o alibi dla Roberta. Nikomu nie mówiła, że Michał jej przeszkadza. Nigdy zresztą tak nie myślała. Może kiedyś się wyraziła, że chłopak ma ciężki charakter, ale to w takim sensie, że gdy się przy czymś uprze, nie ustąpi. Ona mu ulegała - jak mówiła jej matka, pozwalała, aby wszedł jej na głowę. Kochała go, był dla niej najważniejszy. Nie było rozmowy z p. Zofią na temat wyjazdu do Niemiec i pozostawienia u niej Michałka na dwa

lata.

Sędzia szuka dowodów tej miłości.

- Czy syn dostał prezent na święta?

- Tak, samochodzik i lornetkę.

- Czy chodziliście do kościoła?

- Parę razy byliśmy.

- A z Michałem?

- Nigdy.

Zofia P. która po złożeniu zeznań pozostała na sali, z bolesną miną kiwa głową. Tylko matka Barbary broni ją przed publicznym potępieniem:

- W tragiczny piątek 19 stycznia - zeznaje - córka była do trzeciej po południu w domu. Umyła głowę, zatelefonowała do Roberta z pytaniem, gdzie się wałęsa. Okazało się, że kupuje z kolegą pod Pałacem Kultury dzinsy. Potem on zadzwonił, chciał wcześniej odebrać z przedszkola Michałka, ale córka się nie zgadzała. Powiedziała: „Chyba zgłupiałeś. Wiesz chyba dobrze, że odbieram go o 15.30”. Ja wszystko słyszałam, bo telefon stoi w korytarzu, a zresztą Baśka nie robiła z tych rozmów tajemnicy.

Na pytanie sędziego, czy Barbara S. miała w styczniu telefon komórkowy, jej matka stanowczo twierdzi, że nie, korzystała tylko ze stacjonarnego.

A co do Michałka, Basia kochała go, choć zdarzało się, że traktowała obojętnie, to znaczy w tym sensie, że mówiła mu, aby dał jej spokój, jest zmęczona. W piątek, gdy przybiegła sama z przedszkola, była przekonana, że dziecko zabrał jej były mąż. Od progu krzyczała: - Ten palant porwał Michasia.

???

66

Na kolejnej rozprawie mec. Grzegorz Lewański wnosi o dołączenie do akt sprawy kilku publikacji prasowych na temat procesu. Są tam zdjęcia z rodzinnego albumu oskarżonej z synem. Na każdym widać, że dziecko i matka uśmiechają się do siebie; ~j wyglądają na szczęśliwych. Wymowa tych fotografii zaprzecza sugestii o wyrodnej ^ matce w zeznaniach Zofii P.

O

Adwokat przekazuje sądowi też inne wypowiedzi prasowe m.in. rzeczników po- ^ licji oraz Ministerstwa Sprawiedliwości - świadczące o stronniczym, jeszcze przed 'fi zakończeniem czynności śledczych, urabianiu opinii publicznej w sprawie tragicz- p\_, nej śmierci Michałka. Nie ulega wątpliwości, że służyło to politykom, agitującym za przywróceniem kary śmierci.

Zdaniem obrony publikacje zamieszczone w „Życiu Warszawy”, „Twoim Imperium”, „Pani Domu” i wielu tabloidach wpływają na treść zeznań świadków w toczącej się sprawie., m.in. brat oskarżonej uległ tej manipulacji. Przeczytał w jednym z periodyków, że jego siostrę obciąża Daniel S. Uwierzył i potwierdził, że Barbara dobrze znała się z tym chłopakiem. Tymczasem nie znajduje to potwierdzenia w aktach.

Czasem świadkom mieszają się informacje z mediów z tym, o czym wcześniej wiedzieli. Genowefa M. przyszywana ciotka oskarżonej, która od lat mieszka z jej matką i często kłóci się z Barbarą, bezwiednie cytuje fragment artykułu z „Życia Warszawy”, że oskarżona planowała oddanie małego do domu dziecka.

Mecenas Grzegorz Lewański, dążąc do podważenia zeznań Zofii P. zanalizował jej sposób kreowania się w rozmowach z dziennikarzami. Otóż, występuje ona jako matka-Polka, głęboko wierząca, której życiową dewizą jest hasło: „Tylko prawda nas wyzwoli”. Ona wie, a dziennikarki (zwłaszcza plotkarskich pisemek) jej wierzą, że Barbara S. zorganizowała zabójstwo swego syna.

A jeśli miała chwilę wątpliwości, wymodliła od Opatrzności znaki. Reporterka „Pani Domu” z całym przekonaniem je opisuje.

Oto następnego dnia po utopieniu Michałka, kiedy pani P. jeszcze nie wie, co się stało z

dzieckiem, ma tylko złe przecucia, pęka rura w jej łazience i ona stoi po kolana w przybierającej z minuty na minutę wodzie.

A i wówczas, gdy tragiczna wiadomość do niej dotarła i jakoś pozbierała się po szoku (szeroko opisuje, jak przeżywała: „lecę na ścianę. Mój najmłodszy syn rzuca się z płaczem na dywan, mąż biegnie po lekarza, dzieci wołają: mamó masz jeszcze nas, nie umieraj”), nadal nie chciała uwierzyć w zbrodnię Basi.

Modliła się do Michasia: - Ty jeden wiesz jak było. Zaklinam cię, powiedz. Z artykułu w „Pani Domu”: - „I Michał przyszedł do mnie, jak co noc. Jego oczy powoli zapełniały się łzami. Coś trzymał za pleckami. Wyciągnął kartkę, podał mi płacząc. Był tam wiersz pod tytułem „Pożegnanie”. Napisałam go zaraz śmierci chłopca. To znaczy, ja pisałam, ale czułam, że on stoi obok i mi dyktuje”. Wzruszona dziennikarka przepisuje do artykułu rymowaną: „Mamo czy coś czułaś / płakałaś, gdy na własne dziecko/ Wyrok wydawałaś”.

67

Redakcja umieszcza grafomański artykuł na tzw. rozkładówce, w najbardziej eksponowanym miejscu, wzbogaca go sesją zdjęciową Zofii P. niczym celebrytki. Kobieta pozuje nad grobem dziecka - cała w czerni, z białymi liliami w ręku (podpis: Jak ja wyłam z bólu, gdy go zobaczyłam w trumnie”). Na tle ściany, wylepionej papierowymi dwoma sercami przebitymi strzałą, zdjęciem Michała i jej oraz wijącym się pod tym podpisem: „Zawsze razem”. Z pluszowymi miškami na kolanach - do tego wyznanie pani P., że nie wyprała ich, bo mają zapach Michała.

Jest jeszcze spostrzeżenie Zofii P. z sali sądowej: „Oskarżona zazwyczaj siedzi z głową spuszczoną. Ale raz podniosła oczy na mnie. Są puste jak tafla lodu. Mam grzech, że nie potrafię jej wybaczyć”.

W kolejnym artykule „Pani Domu” opiekunka Michała jest przekonana że Baśka „idzie w zaparte, ale ja wiem, że to ona była sprawczynią. Robert robił, co chciała. Niedługo osądzą tę bestię”.  
? ? ?

Po przesłuchaniach najbliższej rodziny oskarżonej (matki, rodzeństwa) sędziowie przekonują się, że osoby te niewiele wiedzą o Barbarze. Dziewczyna wyprowadziła się z domu, gdy miała 15 lat i ukończoną pierwszą klasę szkoły zawodowej. Gdy poznała starszego od niej o kilka lat Piotra S. (który też nie miał w Warszawie zaczepienia, przyjechał za pracą z małej wioski na Podlasiu), wynajęli pokój z ogłoszenia u Zofii P. Matka Barbary, z zawodu motorniczy, dotarła tam dopiero po urodzeniu Michała. W ciągu roku odwiedziła córkę dwa razy.

Nigdy nie pytała czy dziewczyna potrzebuje pieniędzy. Raz pożyczyła jej 400 zł (to już było wtedy, gdy córka po rozwodzie z Piotrem i przeprowadzce do matki związała się z Robertem), bo domyśliła się, że chce usunąć ciążę.

Najwięcej wie o oskarżonej Zofia P. Sąd ponownie wzywa ją na świadka.

Była opiekunka Michała bardzo chętnie staje przed barierką, porozumiewawczo uśmiecha się do dziennikarzy. Nie wdając się w ocenę jej ubioru, nie ulega wątpliwości, że stara się zwrócić na siebie uwagę. Ma coraz więcej do powiedzenia z jakim potworem przyszło jej mieszkać pod jednym dachem.

Przede wszystkim sąd powinien wiedzieć, że ta wyrodna matka, gdy zaszła w ciążę, krzyczała, że po urodzeniu zostawi dziecko w szpitalu. Szantażowała swoją gospodynię samobójstwem. Do porodu nie była przygotowana. - Wyprawka? To problem Piotra - mówiła. Jej niepotrzebna, bo i tak wyrąbie przerełbel w stawie (Michał przyszedł na świat w styczniu) i wrzuci tam noworodka. Odmawiała karmienia.

- Nosilałam Michasia jej do łóżka, on płakał, szukał piersi, a ta go odpychała. Nigdy nie powiedziała do niego: synku. Najczęściej - dupek. A kiedyś w telefonicznej rozmowie z koleżanką wyraziła się do koleżanki, że to dziecko wysrała. Gdy chłopczyk miał pół roku, wymknęła się z domu na całą noc. Okłamała mnie, że była u chorej matki. A żeby mogła żyć wedle zasady - hulaj dusza piekła nie ma, w pół roku

po rozstaniu z Piotrem wyprowadziła się do matki. Ale odwiedzała Zofię P. Wiosną 2000 roku przedstawiła jej swego narzeczonego Roberta K. Świadek: - Nie wzbudził mojego zaufania.

Ze zgorzaniem wylicza kochanków 17-letniej Barbary. Bo każda nowa znajomość kończyła się nieoczekiwaną ciążą. Ta lekkomyślna dziewczyna nie miała zahamowań przed aborcją.

- Gdybym uważniej wsłuchiwała się o czym rozmawiała u mnie w domu z Robertem - płacze Zofia P. - może zapobiegłabym nieszczęściu. Bo zbrodnicza para od dłuższego czasu planowała śmierć Michałka. Gdy w styczniu 2001 roku przyjechali do niej po dziecko, Robert w rewanżu za opiekę postawił na stole wino. W tym momencie Baśka zaczęła mnie przekonywać, abym nie otwierała butelki, bo jej chłopak po alkoholu gada głupstwa. Wyraźnie bała się, żeby nie ujawnił ich planów.

- Czy między panią a oskarżoną były jakieś nieporozumienia? - pyta prokurator.

- Nie. Raz ją uderzyłam, bo już nie mogłam patrzeć, jak traktuje synka.

- Jaką była matką, usłyszeliśmy, a jakim Barbara S. była człowiekiem? - chce jeszcze wiedzieć sędzia Irena Nowicka-Albin.

- Potrafiła świetnie grać. Wiedziała, że gdy mi zarzuci ręce na szyję, to wszystko wybaczę. Czułam się za nią odpowiedzialna, bo miała trudne dzieciństwo, żadnych wzorców wychowawczych. Wstydziała się swojej matki, mówiła o niej: podła suka, alkoholiczka. Poza tym była jeszcze jedna przykra tajemnica jej rodzinnego domu. Nie bez powodu w osiedlowym sklepie sąsiadki dawały do zrozumienia nastoletniej Basi, że wiedzą, co robi jej matka z rzekomą ciotką Genią, gdy zamykają się na noc w jednym pokoju. A co miały na myśli, to ja sama się przekonałam, gdy pojechałam odwiedzić Michałka i zobaczyłam w kuchni wibrator... Wtedy już nic mnie nie zdziwiło. Również to, że starsza siostra Basi jest prostytutką, a brat związał się z mafią.

- Dlaczego pani tak kłamie, nigdy w życiu nie powiedziałam złego słowa o swojej matce, moja siostra jest porządna, a brat uczciwie pracuje. Ciężę też przerywałam tylko raz. Te historie o rzekomym głodzeniu Michasia są wymyślane! - krzyczy oskarżona, zalewając się łzami. Od początku zeznań świadka broda Barbary S. drżała od wzbierającego płaczu.

Oskarżona chce szczegółowo odnieść się do sytuacji, jakie opisała jej dawna gospodyni, ale nerwy odmawiają jej posłuszeństwa. Trzeba zarządzić przerwę w rozprawie, dać dziewczynie leki uspokajające.

- Gdy tylko skarciłam Michasia - opowiada już wyciszona pół godziny później - ona zaraz brała go na ręce i mówiła: Jaka twoja mama jest niedobra". Ja nie miałam nic do powiedzenia w sprawie mojego syna. Może byłam za młoda, może za głupia, ale gdy chciałam się zająć Michasiem, wrywała mi go z rąk.

- Czy miała złe zamiary? - przerywa sędzia.

- No, chyba nie.

-

- A w czym pani przeszkadzała?

- Sądziłam, że będę mieszkała z mężem i Michasiem, ale nie z panią P. A ona nawet nie pozwoliła nam w nocy drzwi zamknąć, pouczała, w jakiej pozycji można najłatwiej zająć ciążę. Oczekiwała tego dziecka jak własnego.

Na wniosek mec. Lewańskiego, sędziowie zarządzają konfrontację Zofii P. i Mał-

W

.....

gorzaty K., matki oskarżonej.

Jak wcześniej sugerowała P., matka Barbary jeszcze przed ujawnieniem strasznej prawdy o śmierci Michasia miała się wyrazić, że to dziecko już się nie znajdzie, ona przeczuwa najgorsze. I że „gdyby to zrobiła Basia, udusiłaby ją własnymi rękami”.

- Nic takiego nie mówiłam! - zaprzecza stanowczo świadek.

Zofia P. słania się, jest bliska omdlenia. Ale jej głos jest mocny, twardy: - Zawsze miałam na uwadze dobro Basi. Kochałam to dziecko bardzo i ją kochałam... - odwraca się w stronę oskarżonej - wczoraj zamówiłam za Michasia mszę, to ostatnia rzecz, jaką mogę zrobić.

Wielu obserwatorów rozprawy ociera łzy.

Ostatniego świadka w tym procesie powołał prokurator. To Iwona S., dealerka narkotyków. Z matką Michała była przez rok w jednej celi. Obserwowała ją na polecenie wychowawcy, który zaniepokoił się, że aresztantka może targnąć się na życie.

- Baśka jest kompletnie pozbawiona uczuć - brzmi werdykt więziennej towarzyszk. Gdy przyprowadzili ją do celi, była spokojna, pogodzona z nowymi warunkami. Gdybym nie wiedziała, z jakiego jest paragrafu, pomyślałabym, że zatrzymali ją za drobną kradzież w markecie. Największym nieszczęściem było dla niej to, że kończyły się papierosy.

- Ona świetnie udaje, proszę wysokiego sądu - zaśmiała się dealerka. Gdy patrzy się na nią w telewizji - bo my w celi oglądamy relacje z procesu - widać zboląłą matkę, która się trzęsie na wspomnienie śmierci syna, płacze. Ale to tylko przedstawienie. Pamiętam, jak dwa miesiące temu wróciła z rozprawy. Jadłyśmy kolację, na Polsacie akurat pokazywano zdjęcia archiwalne z pogrzebu Michała. Każda z nas westchnęła, ona spokojnie sięgnęła po drugą kanapkę.

Sędzia uznała, że jest do wyjaśnienia jeszcze jedna tylko wątpliwość: jak to było ze zlikwidowaniem nazajutrz po śmierci Michała polisy na jego życie. Zofia P. opowiadała w sądzie o tym z wielkim oburzeniem. Dziecko jeszcze nie pochowane, a dla matki najważniejszą sprawą jest odebranie pieniędzy z PZU. Barbarze zawsze brakowało pieniędzy, możliwe zatem, że zaplanowała zabójstwo syna z myślą, że dostanie około 10000 złotych.

Ale w relacji siostry oskarżonej, odebranie składek ubezpieczeniowych nie było inicjatywą matki dziecka. Ona o tym nie pomyślała. To sąsiadka przestrzegła, że pieniądze przepadną, jeśli w ciągu trzech dni nie zgłosi się „szkody”. Wręcz zmusiły Barbarę, aby stawiała się w agencji, bo nikt inny nie mógł podpisać za nią papierów. Siostra chyba nawet nie wiedziała, dokąd jada, cały czas płakała. Podobnie przedstawia re-

70

akcję oskarżonej agent ubezpieczeniowy. Zapamiętał, że kontakt z klientką był utrudniony; szlochała, gdy trzeba było złożyć podpis, straciła na chwilę przytomność.

???

Głos zabiera prokurator Adam Woźny.

Co do winy Roberta K.: Jego ostatnia wersja wydarzeń nad Wisłą, według której Michałek wszedł na krę i ześlizgnął się do rzeki, to linia obrony „stosowna do poziomu inteligencji tego oskarżonego”. Tego dnia, jak wynika z danych Instytutu Meteorologii, na rzece nie było lodu.

Twierdzenie oskarżonego, że przyznanie się w śledztwie do zabójstwa wymuszono biciem, jest kłamstwem. Policjanci nie tylko nie znęcali się nad podejrzanym, ale nawet dwa razy w czasie wizji lokalnej bronili go przed linczem tłumu. Również wówczas, gdy był zamknięty w areszcie. W tym miejscu oskarżyciel przypominał, że niepisany więzienny kodeks mówi, iż za życie matki i dziecka odpowiada się głową.

Jeśli chodzi o Barbarę S., to jej czyn oskarżyciel nazywa zbrodnią bez precedensu, zaplanowaną na zimno egzekucją tylko dlatego, że dziecko przeszkadzało w wygodnym ułożeniu sobie życia.

-Jest jedna możliwa kara dla wszystkich trzech oskarżonych - ogłasza prokurator - dożywocie z ograniczeniem możliwości ubiegania się o warunkowe przedterminowe zwolnienie po 30 latach.

Wstaje pełnomocnik oskarżyciela posiłkowego Piotra S. Barbara S. nie zasługuje na miano matki - zaczyna.

Następnego dnia mają głos obrońcy.

Mecenas Andrzej Lewandowski, adwokat Roberta K., twierdzi, że w tej sprawie nie ma innych dowodów, niż wyjaśnienia oskarżonych. Ostateczna wersja jego klienta o niefortunnym wypadnięciu dziecka do rzeki jest logiczna i przekonująca. Adwokat prosi sąd o pominięcie „całej otoczki sprawy” i przede wszystkim kluczowego dowodu - wizji lokalnej (w czasie której Robert K. i Daniel S. przyznali się do umyślnego wrzucenia dziecka do Wisły). Nie jest to dowód rzetelny, a wyznanie spontaniczne, gdyż dzień wcześniej na polecenie prokuratora (nie zaprotokołowane), obaj oskarżeni zostali zawiezieni na próbę generalną wizji. Nazajutrz spodziewano się licznych

telewizyjnych kamer i prokurator chciał, aby wszystko wypadło sprawnie i po jego myśli. Odpowiedzialny za tę akcję funkcjonariusz skłamał w sądzie, że nic takiego się nie zdarzyło. Ale ostatecznie prawda wyszła na jaw.

- Zachodzi obawa - uważa mec. Lewandowski - że w czasie próby generalnej mój klient został pouczony, co ma mówić. Kolejna wątpliwość: Jeżeli dwoje związanych ze sobą ludzi planuje zbrodnię, po co im świadek? Co zatem robił w tym wszystkim Daniel S.?

Wobec braku dowodów na popełnienie zbrodni, mecenas prosi sąd o uniewinnienie Roberta K. Oskarżony płacze.

Wyrok: Matka Michałka i Robert K. skazani na kary po 25 lat więzienia (z ograniczeniem możliwości ubiegania się o warunkowe zwolnienie po 20 latach), Daniel S. na 15 lat.

To news dla wszystkich dzienników telewizyjnych, obowiązkowy temat dyskusji komentatorów. W TVP 1 politycy z PiS i LPR są zgodni - wyrok jest skandalicznie łagodny. Powinno być dożywocie. Wypowiedziom towarzyszy archiwalny film z prokuratorskiej wizji lokalnej. Robert K. i Daniel S. po raz kolejny demonstrują na nim pod okiem kamery jak wrzucali Michałka (zamiast dziecka trzymają czarny worek) do topieli.

???

Apelacja. Prokurator i obrońcy zmierzają do powtórzenia procesu. Oskarżyciel chce to spowodować, wycofując się z żądania kary dożywocia. Dla Daniela S. widzi jednak 25 lat więzienia.

Adwokat matki Michałka obszernie analizuje w apelacji wpływ opinii publicznej na sędziów ferujących wyrok. Politykom, policji, mediom zarzuca przeprowadzenie kampanii przeciw „wyrodnej” matce.

- To długie urabianie opinii publicznej - dowodzi - i wykorzystanie tragicznego zdarzenia na użytek wąskich interesów politycznych zwolenników kary śmierci w kampanii wyborczej 2001 roku. Naciski były stosowane przez blisko rok nie tylko na świadomość sędziów, ale przede wszystkim na ich podświadomość.

Ta sprawa była też łatwym, spektakularnym sukcesem dla policji, która miało interes w tym, aby kierować uwagę opinii publicznej na wyrodną matkę i tym samym pozostawić w cieniu głośne wynaturzenia w swym środowisku zawodowym, akurat występujące w tym czasie z dużym nasileniem.

Zdaniem obrońcy postępowanie toczyło się od początku z rażącym naruszeniem prawa na niekorzyść oskarżonej. Dowodząc tego, co nie istniało w rzeczywistości, prokurator usiłował jeszcze na rozprawie przypisać Barbarze S., że wciągnęła 19-letniego Daniela w swe mordercze plany. Sąd w ogóle nie odniósł się do tej nierzetelności.

Prokurator wykorzystał biegłego psychologa jako dodatkowego śledczego, który naciskał na oskarżoną, aby się przyznała. W czasie przesłuchania bili ją, poniżali...

Przy założonej z góry tezie o winie Barbary S., sąd wyraźnie jednostronnie dopasował treść niektórych zeznań świadków, a nie ujawnił okoliczności faktycznie przemawiających przeciwko podejrzeniu matki Michałka.

Twierdzenie, że Robert K. nie miał powodów, aby bronić się kosztem swej konkubiny jest sprzeczne z zebrany materiał dowodowy. Tym bardziej, że oskarżony także bezpodstawnie pomógł Daniela S., że działał w zмовie z Barbarą, z którą rzekomo „kilka razy się przespał”.

Mecenas Lewański precyzyjnie zanalizował i wykazał absurdalność tezy oskarżyciela, iż Robert utopił dziecko z miłości do Barbary, był wobec niej bardzo uległy,

72

ona nim kierowała. - Ten wniosek został spreparowany dla mediów - twierdził \_ którym dla wzbudzenia sensacji potrzebna była prosta, spektakularna przyczyna \_ cj bestialskiego zamordowania czterolatka. I dziennikarze ją kupili.

Nikt z nich nie zainteresował się opinią biegłych psychologów z Krakowa, któ-rzy wskazywali, że



Robert K. lubił przewodzić grupie rówieśników na swoim po-dworku, często zmieniał pracę, bo stawiał się szefowi. To właśnie Barbara, wbrew ^ przekonaniu sądu była podporządkowana Robertowi, gdyż, zdaniem biegłych psy-chologów, cechował ją syndrom samoagresji emocjonalnej i fizycznej - dwukrotnie p^J podejmowała próby samobójcze.

Brutalność i bezwzględność w postępowaniu Roberta K. potwierdzali zresztą w czasie procesu świadkowie, także oskarżony Daniel S. Ujawnił on, że Robert pod koniec 2000 roku, zirytowany brakiem, pieniędzy postanowił napaść na właściciela kiosku, gdy ten będzie wracał do domu z utargiem. Dlatego szukał u znajomych kominiarki. Barbarze było wiadomo, że uprzednio zgwałcił upośledzoną dziewczynę.

Również zaakceptowane przez sąd wyjaśnienie motywacji Barbary, że Michał komplikował jej plany życiowe, zdaniem jej pełnomocnika wydaje się oskarżeniem gołosłownym. Robert nie ponosił trudów ani kosztów wychowania chłopca.

Co do Zofii P., pełnomocnik oskarżonej ocenił ją jako niewiarygodnego świadka. Ta wścibska kobieta chciała przejąć stałą kontrolę nad małżeństwem Barbary i Piotra. Przejawiała jaskrawą apodyktyczność i poczucie władzy nad nieletnią. Zarówno w sensie psychicznym, jak i materialnym - a miała szerokie pole do wywierania nacisku. Wiedziała przecież, że Barbarze z jedną klasą szkoły zawodowej trudno znaleźć pracę, natomiast bezwolny, popijający Piotr nie ma swojego zdania. Jeśli do tego dolożyć wynaturzone zaciekawienie życiem intymnym młodej pary, trudno się dziwić, że niepełnoletnia matka Michasia czasem buntowała się i uciekała z tego piekła do koleżanki. Było to na pewno nieodpowiedzialne, ale też nie można mówić o porzuceniu dziecka, wszak Barbara S. jednego mogła być pewna - że Zofia P. nie zrobi małemu krzywdy. To raczej chęć właścicielki domu zawłaszczenia chłopca była groźna, wszak proponowała matce, gdy ta wyprowadzała się, aby Michał został u niej, aż do ukończenia szkoły. Barbara S. instynktownie czuła to niebezpieczeństwo i wróciła do ciasnego mieszkania matki z dzieckiem na rękę.

Zofia P. nie jest zbyt wykształcona, ale z wrodzonym talentem manipulowała mediami. Sąd traktowała jako nadzwyczajną okazję w życiu do odegrania solowej roli wobec licznej widowni. Gdy miała zeznawać, ubierała się na tę okazję tak, aby dostrzeżono ją z daleka: rozpuszczała włosy, szukała dziennikarzy. Kłamstwa przychodziły jej z niezmierną łatwością, tyle wkładała w nie żaru, emocji, że prawdopodobnie po kilkakrotnym powtórzeniu sama wierzyła, że to prawda.

Na którąś z rozpraw nie stawiała się, bo, jak zawiadomiła sekretariat sądu, nagle zmarł jej mąż. Gdy na kolejny termin przyszła w ciężkiej żałobie, przewodnicząca

73

składu sędziowskiego złożyła najważniejszemu świadkowi oskarżenia jak najszczerze kondolencje. W jakiś czas potem mec. Lewański przeczytał w „Przyjaciółce”, że Zofia P. adoptowała kalekie dziecko i czuje się dzięki temu spełniona jako matka. To szczęście ilustrowała fotografia dawnej opiekunki Michałka z nowym małym chłopcem na rękę i ... stojącym obok mężem. Gdy pełnomocnik Barbary S. opowiedział o swym zaskoczeniu na rozprawie, pani P. wytłumaczyła, że zaszło nieporozumienie. To matkę pochowała, a nie małżonka. A kondolencji sędzi nie dostyszała.

Z rozprawy na rozprawę nabierała rozpędu w opowiadaniu nieprawdopodobnych historii, które miały jedną cechę wspólną - przedstawiały w coraz gorszym świetle Barbarę S.

A jednak sąd uznał, że Zofia P., składając zeznania z „wielkim zaangażowaniem emocjonalnym, tym samym dała dowód swej prawdomówności”.

Mecenas Lewański podważył też wiarygodność świadka Iwony S., towarzyszkii oskarżonej z celi więziennej. Okazało się, że miała ona tego samego adwokata, co oskarżyciel posiłkowy Piotr S. ???

Pod koniec 2002 roku Sąd Apelacyjny utrzymał wyrok wobec Roberta K. i Daniela S., natomiast w sprawie matki Michałka zdecydował, że trzeba powtórzyć proces. Mimo protestu prokuratora, oskarżona została zwolniona z aresztu. W Sądzie Okręgowym pojawiła się po roku.

Przyprowadzony z aresztu Robert K. od pierwszej rozprawy zaprzeczał własnym słowom z

śledztwa. Twierdził, że Barbara nie namawiała go do zabójstwa dziecka.

- Nigdy nie było między nami takiej rozmowy. To policja kazała mi tak mówić - zapewniał. - Broń dostawili do głowy, przeładowali, polewali wodą... - To, co jest napisane, że Daniel sam wrzucił, to też nieprawda. Śledczy mi podpowiadał - wal na niego, bo on wali na ciebie.

Matka Michałka słuchała kolejnej wersji swego niegdysiejszego chłopaka z kamienną twarzą. Bardzo zmieniła się przez miniony rok. Z ładnej dziewczyny o wyglądzie nastolatki wyrosła urodziwa kobieta. Szary kostium, biała bluzka, szpilki, włosy upięte w kok, przydały jej dyskretnej elegancji. Już nie płakała, nie wyłamywała nerwowo palców - zwłaszcza w czasie zeznań pani P. Siedziała w ławie oskarżonych wyciszona, ale z podniesioną głową. Koło jej ust pojawiły się lekkie bruzdy, nadające im wyraz gorczy.

- Nie przyznaję się - oświadczyła krótko na pierwsze pytanie nowej sędzi Anieli Bańkowicz.
- Czy oskarżona ma jakiś pomysł na wytłumaczenie, dlaczego Robert K. ją pomawiał?
- To była zazdrość o moją miłość do Michała, nic innego nie przychodzi mi do głowy.

74

Przysłuchujący się tym wyjaśnieniom biegli - psycholog i psychiatra stwierdzili że „nie wniosły żadnych nowych informacji. Oskarżona ma nieprawidłową osobowość, jest niedojrzała społecznie i emocjonalnie”. Kolejny raz powołana na świadka Zofia P. konsekwentnie starała się przedstawić Barbarę w jak najgorszym świetle. W tym zapamiętaniu powiedziała trochę za dużo - że od początku usiłowała oderwać Roberta od jego dziewczyny, przekonując go, że nie warto z taką się wiązać.

Ten sam psycholog, który oceniał osobowość Barbary S., wystawił też opinię Zofii p.: „nie wykazuje tendencji do przeżywania uczuć agresywnych”.

Drugi proces o utopienie czteroletniego Michałka prokurator zakończył żądaniem kar po 25 lat więzienia dla Barbary S. i jej kochanka Roberta K. Tym razem oskarżyciel nie twierdził już, że matka dziecka pokierowała zabójstwem. Z billingów jej rozmów 19 stycznia 2001 roku nie wynikało, by łączyła się z Robertem K. tuż przed zbrodnią i tuż po niej. Prokurator mówił o podżeganiu.

Ale po dwudniowej naradzie sędziowie stwierdzili, że oskarżyciel nie podał żadnego dowodu winy Barbary S. Jediną wskazówką były słowa narzeczonego. A ten - zdaniem sędzi Bańkowicz - po prostu bronił się w śledztwie. Potem wszystko odwołał.

Z ośmiu wersji Roberta K. sąd wybrał tę, w której mężczyzna przyznał się do umyślnego wrzucenia dziecka do wody razem z Danielem S.

Zeznania Zofii P., że na dwa tygodnie przed śmiercią Michałka „Baśka zostawiła jej rzeczy dziecka, mówiąc, że nie będą już potrzebne”, sąd uznał za poszlaki. Podobnie jak zeznania aresztowanej Iwony S., która nie mogła zrozumieć, dlaczego zamknięta w celi Barbara S. nie płacze po śmierci dziecka.

- Zebraliśmy takie dowody, jakie mogliśmy zebrać - ripostował prokurator.

- Ale jaki był motyw? Przecież tego samego dnia Michałek rzucił się Robertowi K. na szyję, a ten zapinał dziecku kurtkę, poprawiał czapkę. Lubił go i wrzucił do Wisły, aby utonął? Czy wystarczyło, że Barbara powiedziała kiedyś swojemu chłopakowi, że on zawsze będzie dla niej na drugim planie, po dziecku? - pytanie sędzi pozostało retoryczne.

Sąd uniewinniając matkę nie wskazał motywu zbrodni. Obie strony zapowiedziały ponowną apelację. Bezskutecznie. Zaskarżony wyrok został utrzymany w mocy. - Nawet, gdyby prokuratura udowodniła, że Barbara S. nie była dobrą matką, to nie wynika z tego, że mogła kierować zabójstwem swojego dziecka - zauważył Sąd Apelacyjny.

Od wyroku można było wnieść jeszcze kasację do Izby Karnej. I prokurator z tego skorzystał.

W styczniu 2006 roku, cztery lata od rozpoczęcia procesu, Sąd Najwyższy skasował wyrok uniewinniający matkę Michałka (kary 25 lat dla Roberta K. i 15 lat dla Daniela S. zostały utrzymane) i sprawa po raz trzeci wróciła do Sądu Okręgowego.

Sąd Najwyższy nie zgodził się z argumentami adwokata Barbary S., który wskazywał, że

zeznania Roberta K. wymusiła i zasugerowała policja oraz prokuratura.

75

- Są bardzo szczegółowe, nie można odnieść wrażenia, że podejrzany został czegoś nauczony - podkreślono w wyroku. Ponadto - zdaniem sędziów instancji odwoławczej - zachowanie Barbary S. po utopieniu dziecka, próba skierowania podejrzeń policji na ojca dziecka, odpowiadają ściśle planom „pozbycia się” Michałka, o których mówił Robert K. Proces w Sądzie Okręgowym toczył się kolejne trzy lata.

. . :

Robert K. twierdził, że nie dopilnował dziecka i dlatego wpadło do wody. Nad Wisłą był sam. Jeszcze raz odwołał swe zeznania z śledztwa, że matka chłopca namawiała go do zamordowania dziecka. Nie jest prawdą, że powiedział Barbarze o odebraniu dziecka z przedszkola, bo mu zabronił Daniel. Kolegę to dziecko w ogóle nie interesowało. On sam natomiast nie mógłby dojść do wniosku, że Michałek przeszkadza mu w życiowych planach, bo nigdy nie zamierzał się żenić z Barbarą. Nie jest też prawdą, że matka dziecka od jesieni 2000 roku była w depresji i z tego powodu mogła przyjść jej do głowy myśl o „pozbyciu się” syna. To policja kazała mu tak powiedzieć.

Znów wezwana Zofia P. wyjęła z torby ostatni argument przeciwko oskarżonej. - kartę wypisu 15-letniej Barbary ze szpitala, w której jest informacja, że dziewczynka się truła. Ktoś taki - skomentowała świadek - jest zdolny do wszystkiego.

Ale tym razem była opiekunka Michałka nie mogła liczyć na bezgraniczną życzliwość sądu, jak poprzednio. Sędzia raczej stwierdziła niż zapytała: - Pani tolerowała współżycie nieletniej z dorosłym mężczyzną, uczestniczyła w dyskusjach z tą parą o technikach intymnego współżycia. Jak to się ma do wyznawanego przez panią modelu katolickiej matki-Polki?

Zofia P. wyraźnie straciła tupet.

Po chwili padło kolejne pytanie zza stołu sędziowskiego: Ile razy groziła Barbarze S., że pozbawi ją opieki rodzicielskiej?

- Może kilka. Uważałam, że tak będzie lepiej.

Niespodziewany zwrot: równo 7 lat po głośnym morderstwie, prokuratura uznała, że nie ma dowodów, iż matka czteroletniego Michałka poleciła utopić syna w Wiśle. Nowa prokurator, Barbara Wierzbieniec, poprosiła sąd o uniewinnienie Barbary S. - O skazaniu muszą przesądzić dowody, które nie budzą wątpliwości. Ja wątpliwości mam zasadnicze - powiedziała. Zamiast dowodów, słowa i poszlaki - za mało, aby skazać.

Sąd uniewinnił matkę nieżyjącego Michałka od zarzutu, że poleciła utopić syna w Wiśle.

- Barbara S. uzasadniała wyrok sędziego Anna Ptaszek - nie miała jakiegokolwiek motywu, by pozbyć się syna. Spisku na życie tego chłopca nie było! Niewiarygodna okazała się także świadek oskarżenia Zofia P.

- Szkoda - zauważyła na koniec sędzia - że tak niewielu dziennikarzy jest dziś na sali. Jak widać, ci, którzy wcześniej już wydali wyrok skazujący Barbarę S., nie są zainteresowani żmudną procedurą dochodzenia do prawdy.

-

76

Ale sędzia przyznała też, że nie udało się znaleźć odpowiedzi na dręczące pytanie, dlaczego czteroletni Michał, którego wszyscy (łącznie z mordercą) kochali, mu- c\_} siał zginąć.

O

Barbara ma półtoraroczną córkę. Ojciec dziecka dba o nią. Do zakończenia procesu, ^g, było to jej tajemnicą, chciała utrzymać związek w jak największej dyskrecji. Gdy tuż ^ przed wydaniem ostatecznego, uniewinniającego ją wyroku powiedziała o tym na P4 rozprawie, pierwszy raz jej oczy nabrały blasku, na białej twarzy pojawił się rumieniec.

Wreszcie coś dobrego zdarzyło się w jej życiu. A zaraz po tragicznej śmierci syna pisała z aresztu do matki: „Przepraszam, że nie chciałam cię słuchać, przysięgam, że już nigdy nie zwiążę się z żadnym facetem, zniechęciłam ich i będę ich traktować z olbrzymią pogardą”.

Pełnomocnik Barbary S. zapowiedział wystąpienie jego klientki o 200000 zł odszkodowania za areszt i niesłuszne oskarżenie.

?

Z

adzwonił do matki, że dostał w przychodni pięć dni zwolnienia z pracy na nogę (w dzieciństwie przeszedł Heine-Medine, niedowład stopy był powodem częstych urazów) i już jedzie do mieszkania brata, gdzie rodzina czekała na niego z imieninowym toastem.

Ale nie dojechał. Przez kilka godzin nie wiadomo było dlaczego - w 1987 roku mało kto miał telefon komórkowy. Tomasz Kalinowski\*, pracownik spółdzielni inwalidzkiej „Świt” (przy taśmie z dezodorantami do ust), o takim luksusowym wówczas urządzeniu nawet nie marzył.

Gdy późnym wieczorem jego matka otworzyła drzwi do ich M3 na drugim piętrze w warszawskim mrówkowcu, stanęła w progu jak wryta. Szafa w dużym pokoju otwarta, odzież wyrzucona na podłogę, pogruchotany regał na podłodze, obok turlające się butelki po winie i piwie. W pokoiku, który zajmował 19-letni Tomek, zobaczyła na wersalce ciało martwego syna - trzymał sztywnymi już placami pół bochenka chleba. Jego twarz była przysypana sztucznymi różami z przewróconego wazonu. Dywan na podłodze zaczerwienił się od spływającej z tapczanu krwi. Chłopak miał otwartą ranę w okolicy serca.

Krzyk Janiny Kalinowskiej doszedł aż do parteru - zaalarmowany dozorca wezwał milicję.

Zaczął się dochodzenie. Sumienny oficer operacyjny szczegółowo opisał i sfotografował mieszkanie, w którym znaleziono denata. Kiedy dwadzieścia lat później otwieram prokuratorskie akta, widzę na zdjęciach zajmujące całą ścianę, aż po sufit, wyszkowskie regały, na nich gramofon „Artur” i maszynę do szycia marki „Łucznik”. W przedpokoju stoi pralka „Frانيا”, w oknach wiszą lniane zasłony produkcji fabryki w Żyrardowie. Tak wówczas wyglądały typowe mieszkania w blokach. Rodzice Tomka byli robotnikami.

Na użytek śledztwa odnotowano brak długiego noża w szufladce kuchennego stołu (leżał w kącie pokoju). Z pustej cukiernicy w serwantce zniknęło 10000 zł i bon PKO wartości 20 centów.

Zrozpaczona matka przedstawiła milicjantom zmarłego jako czułego syna, nieszczęśliwego z powodu widocznego kalectwa. Jego starszemu bratu ułożyło się w życiu - ożenił się, mieszka w wynajmowanej kawalerce, stara się o przydział do bloków. Tylko Tomek - zawsze sam, bez dziewczyny, przyjaciela, ciągle odrzucany; serce jej pękało, gdy widziała, jaką niewdzięcznością odplacali ci, do których on, naiwny, wyciągał rękę. Ale nie pomagały przestrogi - nadal

przyprawiał do domu bezdomnych rówieśników, których spotkał na ulicy. Częstował herbatą, robił kanapki, zapraszał do łazienki na gorącą kąpiel, a potem do swego pokoju. Bała się, że w końcu trafi na złoczyńcę, a ona nie zapobiegnie nieszczęściu, gdyż będzie w pracy. Prosiła sąsiadkę z naprzeciwka, żeby obserwowała przez wizjer z kim Tomek wraca z miasta i w razie czego, niech do niej dzwoni. Ale akurat tego dnia, gdy Tomek zginął, sąsiadka wybrała się do przychodni.

78

Na pytanie, kto mógł zamordować jej syna, Janina Kalinowska odpowiedziała <sup>^</sup> z płaczem: - „Nie wiem”. To biedne dziecko nie miało wrogów! Wszyscy w bloku cji poświadczą, że Tomek uczynny był bardzo, gdy widział starszą lokatorkę objuczo- . ną torbami, pomagał donieść je pod drzwi mieszkania. Ona ma takie przeczucie, że JEJ zabójca przyjdzie na pogrzeb Tomka. Już poprosiła sąsiadki, aby się rozejrzały, gdy 2} staną nad grobem, może wypatrzą kogoś dziwnie się zachowującego. I niech milicja wyśle na cmentarz kogoś po cywilnemu.

Wydelegowano młodego funkcjonariusza, który po ceremonii dyskretnie wylegitymował pewnego mężczyznę, samotnie stojącego z boku. Ten żałobnik z nikim się nie przywitał, a gdy grabarze chwycili za łopaty, pospiesznie opuścił cmentarz.

Okazało się, że był kadrowym w Spółdzielni „Świt” i został wydelegowany przez dział dezodorantów.

???

W czasie kolejnego przesłuchania Kalinowska przyznała, że miała z młodszym synem trochę kłopotów - wpadł w złe towarzystwo i nawet siedział trzy miesiące w areszcie, bo obrabowali kiosk „Ruchu”. Ale to była dla niego nauka na całe życie - po wyjściu na wolność zerwał z włamywaczami, od tej pory chodził po mieście samotnie. Przez to trochę zdziwaczał. Gdy pytała go, gdzie się wałęsa przez tyle godzin, denerwował się - czyż nie może chodzić swoimi ścieżkami?

Oficer śledczy sporządzający dokumentację miejsca zbrodni zauważył jaśniejszy prostokąt na słomiance nad tapczanem. Co tam wisiało? - usiłował dociec.

Matka przypomniała sobie, że kiedyś Tomek chciał od niej pinezkę, aby przyczepić zdjęcie Kamila, z którym chodził do szkoły podstawowej i tak się skum-płowali, że mieli wspólną sprawę o włamanie do kiosku. Nawet mówiła mu, po ci patrzeć na złego człowieka, przez niego o mało co nie zszedłbyś na złą drogę; ale nie chciał jej słuchać. Była pewna, że zdjęcie wisiało jeszcze tego dnia, gdy syn zginął. Budziła go rano do pracy i ponieważ od dawna fotografia szczerzącego zęby Kamila ją drażniła, odruchowo chciała ją odpiąć z maty. Ale w ostatniej chwili zmieniła zamiar. Ten Kamil dawno już u nich nie był, syn mówił, że wzięli go do wojska.

Obraz ufego wobec obcych Tomka nie pasował do jego charakterystyki, przedstawionej przez sąsiadkę Kalinowskich. Kobieta nie zauważyła u chłopaka kompleksów, przeciwnie, zapamiętała go jako nazbyt skorego do wypicia. Nieraz słyszała przez drzwi podzwanianie butelek z alkoholem w reklamówce, z którą Tomek, otoczony podejrzanymi wyglądającymi typami wchodził z głośnym śmiechem do domu w czasie, gdy rodzice byli w pracy. Po kilku godzinach całe to towarzystwo wytaczało się z przekleństwami na korytarz, z trudem trafiając do windy. Mówiła o tym Kalinowskiej, ale daremnie, bo jej nie wierzyła. - Przesłyszała się pani, a przez wizjer twarze są zniekształcone - zwykła odpowiadać matka Tomasa.

79

Jeszcze innych informacji dostarczyło przesłuchanie Andrzeja, starszego brata Tomka. On jeden w rodzinie studiował i to handel zagraniczny. Gdy upewnił się, że nie będzie musiał zeznawać w sądzie (jako najbliższa rodzina ofiary miał do tego prawo) powiedział wprost, że domyśla się, kto mógł zabić jego brata: - „Jakiś pedał z Dworca Centralnego, gdzie Tomek często polował na partnerów seksualnych”.

- Taka jest prawda o moim młodszym bracie - zakończył z westchnieniem Andrzej. - Niemożliwe, żeby matka się tego nie domyślała, przecież wystarczyło na Tomka spojrzeć - jak się porusza,

mówi, w co się ubiera. Ona po prostu nie przyjmowała niewygodnych dla niej faktów do wiadomości. Dlatego miał prośbę do śledczych, aby uszanowali matczyne uczucia i nie zapoznawali Janiny Kalinowskiej z treścią jego zeznań.

A jeśli chodzi o Kamila, którego zdjęcie wisiało na macie, to opowieść mamy, że szczęśliwie przestał się u nich pojawiać, gdyż wzięli go w kamasze, też jest nieprawdziwa. Tomek mu kiedyś powiedział, że Kamil został aresztowany za napad i usiłowanie zabójstwa. Można to sprawdzić, przepytując bywalców szaletu „Pod Grzybkiem” przy Placu Trzech Krzyży albo na Dworcu Centralnym. Kamil był tam znany z polowania na nieletnich.

???

Milicjanci z dochodzeniówki nie zlekceważyli informacji od Andrzeja Kalinowskiego. Niechęć tego świadka do ofiary była czytelna, ale równocześnie budowana na długim, wytrwałym śledzeniu młodszego brata w jego wędrówkach po mieście. Czy student robił to z czystej ciekawości, czy też zbierał dowody, które chciał w pewnej chwili rzucić matce, aby przekonała się, kogo tak naprawdę w rodzinie obdarza największą miłością? Takich psychologicznych meandrów milicjanci nie zamierzali wyjaśniać. Co do jednego nie było wątpliwości - ambitny Andrzej, który aby zarobić na studia, nocami rozładowywał wagony z węglem, nie był w domu doceniany.

Zdjęcia z dowodu osobistego zamordowanego trafia do policjantów z obyczajówki, penetrujących warszawskie dworce, a także kultowe miejsce schadzek homoseksualistów - szalet przy Placu Trzech Krzyży. Jeden z funkcjonariuszy kojarzy twarz na fotografii z notatką, którą sporządził kilka dni przed tragicznym wydarzeniem. Wynika z niej, że w holu Dworca Centralnego podszedł do niego młody mężczyzna, jak wynikało z okazanego dowodu osobistego Tomasz Kalinowski. Powiedział, że wśród pedałów ma ksywę Niunius i tydzień temu na drugim peronie poznał chłopaka na gigancie (ucieczka z domu) bardzo już brudnego i głodnego. Wziął go do domu, aby się zabawić w „tatę z mamą”. Z łóżka wyskoczyli w dużym pośpiechu, gdyż z korytarza słychać było kroki wracającej z pracy Kalinowskiej. Godzinę później zorientował się, że nie ma w pokoju magnetofonu kasetowego. Pobiegł na Centralny, ale złodzieja już nie znalazł. Codziennie tu zachodzi z nadzieją, że wreszcie się na niego natknie. Jak dotąd, bez skutku. Dlatego prosi o pomoc milicję.

80

„Poleciałem mu, aby skontaktował się ze swoim dzielnicowym” - zapisał w raporcie z dyżuru ów funkcjonariusz.

Milicjant przesłuchujący Andrzeja Kalinowskiego dotrzymał obietnicy i w ponownej rozmowie z jego matką nie wspominał o seksualnej orientacji zamordowanego. Pytał tylko, czy na trasie wielogodzinnych codziennych wypraw Tomasza do śródmieścia Warszawy był też Dworzec Centralny.

Kobieta nie wykluczała takiej możliwości, bo choć syn się jej nie zwierzał, gdzie wychodzi, często w czasie jego nieobecności odbierała dziwne telefony - ktoś po tamtej stronie, gdy powiedziała „halo”, milczał, a w tle słychać było zapowiedzi jazdy pociągów.

M11,,1,1 M1 mM 1

W sztabie dochodzeniowym zapadła decyzja o przesłuchaniu stu trzydziestu mężczyzn, którzy w ostatnich latach zostali wylegitymowani na Dworcu Centralnym przez milicyjną obyczajówkę tropiącą pedofilów. Wszystkim pokazywano zdjęcie Tomasza Kalinowskiego - mieli odpowiedzieć, czy spotkali się już z tym młodym mężczyzną.

Plon przesłuchań okazał się bardzo obfity. Większość indagowanych na widok zdjęcia reagowała okrzykiem: - Przecież to Niunius Kulas!

I pytali milicjanta: - Co się z nim dzieje, bo przepadł jak kamień w wodę, a jeszcze niedawno wszędzie było go pełno; mimo krótszej, wykręconej nogi żwawo kręcił się po peronach i podziemnych tunelach.

Jednym z przesłuchiwanym był 19-letni Leszek Mały z Zielonogórskiego, który za namową szkolnego kolegi, Jerzego Gawlika, przyjechał z nim do Warszawy w poszukiwaniu pracy. Zgłosili

się do kadr w Kombinacie Budowlanym Zachód. W hotelu robotniczym za pierwszą tygodniówkę zrzucili się na butelkę, potem drugą, trzecią, doprawili piwem, a balanga zakończyła się zdemolowaniem pokoju. Więc - dyscyplinarka z pracy i nakaz kolegium do zapłaty za zniszczenia. Jerzy Gawlik jeszcze przez pewien czas czyścił stajnie na warszawskim Służewcu, potem wrócił do rodzinnego Lubka, gdzie zatrudnił się w kinie objazdowym.

Leszek Mały natomiast pojechał do Gdyni, aby przyjąć się do roboty w stoczni. Ale nic nie załatwił (z powodu braku zaświadczenia z gminy o zarejestrowaniu go jako poborowego) i kompletnie już bez grosza wrócił do Warszawy. Nocował na ławce na Dworcu Centralnym.

Którejś nocy, gdy się obudził, zobaczył nad sobą twarz chłopaka w damskim różowym futerku z pomponami u kołnierza.

- Wypijemy? - zaproponował ten dziwnie ubrany, wyciągając flaszkę - możesz mi mówić Niuniuś.
- Jak na ciotę za bardzo nie napierał - scharakteryzował swego nowego znajomego Mały.

81

Spotkali się też następnego dnia, w południe. Tomasz Kalinowski chciał, aby pojechali do jego mieszkania, gdzie można się wymoczyć w wannie, bo Mały już cały przeszedł smrodem dworca. No i na kuchence na pewno stoi ugotowany przez matkę obiad, która właśnie poszła na drugą zmianę.

-Ja wiedziałem - zeznał przesłuchiwany - że ta kąpiel i jedzenie nie będą za darmo, nigdy wcześniej nie robiłem tego z mężczyzną - ale nie miałem wyjścia. Na dworcu czekała mnie poniewierka, a do rodzinnego domu nie było po co wracać. Więc się nie broniłem, gdy Niuniuś robił ze mną, co chciał.

Po kilku spotkaniach Tomek posłał mnie do Tadka, wołali na niego Duża Lola, który kręcił się za małolatami na Centralnym, choć już stary był, bez zębów i śmierdział denaturatem. Lola obiecywał mi załatwienie roboty na zapleczu restauracji w Pałacu Kultury, wtedy nie miałbym problemu z najedzeniem się do syta. Ale okazało się, że on nie miał tam żadnych znajomości, tylko tak mówił, żebym się mu nie opierał. W końcu wsiadłem bez biletu do pociągu i dojechałem do Zielonej Góry, a stamtąd PKS-em do swojej wsi. Ojciec załatwił mi robotę w cegielni.

Podobnych losów przybyszów z prowincji, którzy chcieli zmienić swoje życie, jadąc w ciemno do Warszawy, milicjanci wysłuchali kilkadziesiąt. Ale żaden ze sponiewieranych chłopaków nie miał nic wspólnego z zabójstwem Tomasza Kalinowskiego.

W planie operacyjnym wydziału dochodzeniowo-śledczego milicji była też penetracja środowiska homoseksualistów w miejscach, gdzie się spotykali. W latach 80. w Warszawie poza Dworcem Centralnym był to szalet publiczny „Pod Grzybkim” przy placu Trzech Krzyży, park Skaryszewski na Pradze i łaźnia miejska przy Krakowskim Przedmieściu. Przesłuchano setki osób, temat Niuniusia drażyli tajni informatorzy milicji żyjący w tym środowisku. Dzięki tak szeroko zakrojonej operacji śledczy znali już niemal każdy dzień Tomasza Kalinowskiego z ostatnich tygodni jego życia. Mapę jego obecności w różnych miejscach Warszawy gęsto upstrzyły czerwone kropki; Niuniusia bowiem nosiło. Ciągle szukał nowych partnerów; bywało, że w ciągu doby miał ich kilku.

Policjanci tropiący pedofilów zdobyli nowe adresy mężczyzn pozostających, jak to pisano w raportach, „w kręgu zainteresowań służb porządkowych”.

Dziewiętnastoletni Niuniuś raczej nie polował na nieletnich, ale odpłatnie podsyłał wykorzystanych przez siebie chłopców starszym panom, którzy z uwagi na swą pozycję zawodową, nie mogli sobie pozwolić na samodzielne poszukiwanie nocą świeżego „towaru” na dworcach.

W takich okolicznościach zawarł bliższą znajomość z Kalinowskim 50-letni Edward P., prawnik z Izby Skarbowej. Przesłuchiwany tak bardzo się wystraszył, że może wyjść na jaw jego orientacja seksualna (miał żonę, dzieci), że wykorzystując pretekst skorzystania z toalety, targnął się na życie.

Wiele informacji znaleźli śledczy w notesie mieszkającego w pobliżu Pałacu Kultury homoseksualisty o pseudonimie Lalka. Miał on zwyczaj szczegółowego zapi-

sywania spotkań w szalecie „Pod Grzybkiem”. Język, jakim się posługiwał, był tak szczególnie wulgarny, że wymagał pomocy specjalnego „szyfranta” z obyczajówki. Ale dzięki tym notatkom prokurator wznowił dwa umorzone (z powodu niewykrycia sprawców) dochodzenia w sprawie zabójstw w środowisku pedofilskim. Jedną z ofiar był Krzysztof W., samotnie mieszkający radca w centrali handlu zagranicznego. Latem 1986 roku znaleziono go nagiego z ręcznikiem kąpielowym na twarzy. Został uduszony. Jak się potem okazało, morderca, nowy kochanek nobliwego radcy, zażądał zbyt wysokiej zapłaty za usługę seksualną i zdenerwowany odmową swego partnera, a także jego złośliwymi uwagami na temat szczegółów budowy ciała, zaciągnął mu na szyi pętlę z paska od szlafroka. Ślady swej obecności w mieszkaniu zatarł tak starannie (m.in. zniszczył pasek), że gdyby nie poszukiwania zabójcy Tomka Kalinowskiego, nie wpadłby w ręce milicji.

W miarę przesłuchiwania kolejnych świadków z tego specyficznego środowiska funkcjonariusze zorientowali się, że Niunius Kulas miał pewien talent aktorski. Lokatorzy bloku, w którym mieszkał, zapamiętali go jako pedanta w nieskazitelnie białych adidasach, zawsze starannie omijającego błoto na podwórku. Upodobanie do noszenia białych koszulek, częstego kąpania się, cenili sobie ci jego partnerzy seksualni, którzy ukrywając przed światem swoje inklinacje, żądali absolutnej dyskrecji. Takie warunki stawiał m.in. pewien inspektor, zatrudniony w centrali Spółdzielni Spożywców „Społem”.

Kalinowski nie sprzeciwiał się, ale jeszcze tego samego dnia biegi na Centralny poszukać skłonno mu ulec włóczęgi-żebraka, czy uciekiniera z domu poprawczego. Podczas penetracji ciemnych zaułków dworca wyglądał już zupełnie inaczej: w krzykliwym, damskim przebraniu, z ostrym makijażem - już z daleka wysyłał sygnały, kogo wypatruje.

Galeria świadków z dna społecznego utwierdziła śledczych w przekonaniu, że zabójcą Niuniusia Kulasa mógł być zarówno nobliwy profesor uniwersytetu, jak i cuchnący na kilometr bezdomny. Nadal było to szukanie w ciemno. Nie dało też żadnych wyników sprawdzanie osób, które w okresie, gdy doszło do mordu, były na przepustce z więzienia.

???

Po dziewięciu miesiącach bezskutecznego śledztwa prokurator postanowił je umorzyć. Janina Kalinowska pokwitowała odbiór rzeczy syna. W dokumentacji dowodów rzeczowych pozostał zabezpieczony kuchenny nóż, jako narzędzie zbrodni. Matka została poinformowana, że umorzenie nie oznacza zamknięcia dochodzenia na zawsze - w razie pojawienia się nowych okoliczności zbrodni, śledztwo będzie wznowione. Obecnie jednak nie ma żadnych przesłanek, kto mógł to zrobić. Badanie dak-tyloskopijne śladów linii papilarnych na nożu nie pochodzą od palców tych osób, których odfitki służyły jako materiał porównawczy.

Ale - na koniec prokurator pozwolił sobie na ogłoszenie przed rodziną Toma-«aj sza Kalinowskiego dłuższego wykładu - daktyloskopia oparta jest na trzech podstawowych zasadach: indywidualności, niezmienności i nieusuwalności. Nie ma zasadniczego znaczenia, kiedy ślady zostały pozostawione. Podstawową sprawą jest W prawidłowe ich zabezpieczenie. A o to funkcjonariusze zadbali. Nóż leży w folii że-iaij latynowej, posmarowany specjalnie sprowadzonym z zagranicy argenterakiem - środkiem, który w trakcie przechowywania nie zmienia konsystencji.

Słowa przedstawiciela organu ścigania o możliwości wznowienia dochodzenia okazały się prorocze. Dwa lata po śmierci Tomka jego matka została wezwana do prokuratury. Poinformowano ją, że policja (już było po przewrocie ustrojowym, organy bezpieczeństwa wróciły do przedwojennej nazwy z czasów IIRP) właśnie znalazła zabójcę jej syna. Przez przypadek.

Przylapano na sprzedaży marihuany pod szkołą 18-letniego mieszkańca Lubska - Roberta Gawlika. Powiedział, że w interes narkotykowy wprowadził go starszy brat Jerzy.

W komendzie postanowiono przyjrzeć się bliżej starszemu Gawlikowi, by sprawdzić, czy może jest dealerem narkotyków. Sprawdzono nazwisko w komputerowej bazie danych. Pojawiło się w



kontekście niewyjaśnionego zabójstwa Tomasza Kalinowskiego. Oficer z wydziału dochodzeniowego Komendy w Zielonej Górze pomyślał, że może to być jakiś nowy trop. A jeśli z Jerzym był też Robert? Trzeba go przycisnąć.

Wsadzono młodszego Gawlika do aresztu na 48 godzin. Chłopak był spanikowany. Przesłuchujący go twierdził, że mają twarde dowody na jego udział w nielegalnym obrocie narkotykami na dużą skalę. Za coś takiego idzie się do mamra na co najmniej 10 lat. Jedyne, co może go uratować, to współpraca z policją. Niech szczerze zezna, co się zdarzyło w Warszawie w 1987 roku w mieszkaniu niejakiego Tomasza Kalinowskiego.

Nie wiadomo, jak wyglądało to przesłuchanie, w każdym razie Robert Gawlik zaczął mówić. Jego wyjaśnienia do protokołu były obszernie, opowiedziane barwnie, z pewną swadą, co nie bardzo pasowało do wykształcenia przesłuchiwanego - niepełna szkoła podstawowa.

Tak, był wtedy w stolicy z bratem. Mieszkali w hotelu robotniczym, a potem w baraku dla stajennych na Służewcu. W wolnym czasie jeździli na Dworzec Centralny, bo on, podobnie jak Jerzy jest homoseksualistą.

Kiedyś w tunelu od strony kolejki podmiejskiej poznali Tomka Kalinowskiego, wziął ich obu do swego domu, kazał mówić do siebie Niuniuś. W tym mieszkaniu Jerzy za 20 000 złotych (na stare pieniądze) odbył z nim stosunek. Co działo się potem (on musiał wracać do stajni) wie od brata, który mu się zwierzył pod przysięgą, że nikomu nie powie. Było tak: gdy zostali we dwóch, Niuniuś obiecał Jerzemu, że zapłaci mu nawet dwa razy tyle, jeśli będzie robił wszystko, co on mu każe.

- Brat się zgodził - zeznał Robert Gawlik - bo nie miał ani grosza. Ale po godzinie już nie wytrzymał, wszystko go bolało, a Tomek nie przestawał, tylko wymy-

84

ślał coraz to inne ruchy (raport zawiera szczegółowy, drastyczny opis homoseksualnego gwałtu). W końcu powiedział, że zrobią przerwę i wtedy Jerzy zażądał, żeby przynajmniej pokazał, że ma te 40 000 zł. Wtedy Niuniuś uderzył go w twarz i zaczął się śmiać, że trafił na frajera; on może mu dać, ale kanapkę, bo sam też by coś przekąsił. Gdy wrócił z kuchni z bochenkiem chleba, od którego odkrajał kromkę, Jerzy chwycił za ten nóż. Chciał tylko Kalinowskiemu pogrozić, zmusić do zapłaty. Niestety, tamten zrobił z noża wiatrak i w szamotaninie ostrze wbiło mu się prosto w serce.

W raporcie znalazł się też szczegółowy opis wyglądu mieszkania ofiary, co precyzyjnie odpowiada dokumentacji zdjęciowej, wykonanej w dniu wykrycia morderstwa.

Przesłuchiwany świetnie pamiętał, że brat ukradł z szafy swej ofiary świecąca żółta bluzkę, czarne spodnie ze skóry i różową koszulę. Z pustej cukiernicy w ser-wantce zabrał 10000 zł oraz bon PKO wartości 20 centów.

W czasie kolejnych przesłuchań Robert Gawlik przyznał się do dwóch innych zabójstw na tle homoseksualnym w Warszawie.

Sukces policji w Zielonej Górze bardzo zaskoczył warszawskiego prokuratora, który zajmował się sprawą zabójstwa Tomasza Kalinowskiego. Ściągnął więc akta śledcze, przesłuchał też w areszcie podejrzanego. Odniósł wrażenie - na co potem zebrał dowody - że Gawlik nie był psychicznie zdrowy, a ponadto konfabulował ze strachu przed ponownym biciem na komendzie, co się zdarzyło w dniu jego zatrzymania. Sprawdzone, że w odróżnieniu od swego brata (który miał mocne alibi), nigdy też nie był w Warszawie.

A skąd zatem zgodny ze stanem faktycznym opis mieszkania Kalinowskiego i rzeczy z szafy? Bo przesłuchiwany zeznawał pod dyktando śledczego, pragnącego za wszelką cenę sukcesu.

Ostatecznie Robert Gawlik został uniewinniony z zarzutu popełnienia przestępstwa. Akta ze sprawą zabójstwa Kalinowskiego spoczęły w warszawskiej prokuraturze na górnej półce i tam pokrywały się kurzem aż do 2008 roku.

???

Wtedy to w ręce policji wpadł niejaki Janusz Jawor, z zawodu monter, ale trudniący się głównie okradaniem pasażerów kolei. Trzeba go było zatrzymać, bo w holu Dworca Centralnego wdał się w

krwawą bójkę z innymi złodziejczkami. Rutynowo sporządzono odcisk linii papilarnych aresztanta.

W 2008 roku laboratorium kryminalistyczne Komendy Głównej Policji dysponowało elektronicznym systemem AFIS, dzięki któremu w stosunkowo krótkim czasie można było sprawdzić, czy ślad linii papilarnych zachowany na narzędziu zbrodni jest przypisany do osoby, od której kiedykolwiek pobierano odcisk kciuka.

Przeszukiwanie przez komputer bazy systemu AFIS trwało bez przerwy piętnaście godzin. Janusz Jawor został wskazany jako ten, który zostawił swój ślad na nożu z kuchni Tomasza Kalinowskiego

83

Jawor przyznał się do zabójstwa. Wyjaśnił, że był przejazdem w Warszawie - na <3 Dworcu Centralnym czekał na nocny pociąg do Szczecina, ulubiony „doliniarzy”, bo zwykle zatłoczony i większość pasażerów spała. W pewnej chwili podszedł do niego ekstrawagancko ubrany facet i zaproponował wypicie alkoholu u niego w domu. On chętnie na to przystał. Kupili po drodze wino, konserwę i bochenek chleba. Gdy weszli do mieszkania, ten mężczyzna o imieniu Tomek kazał mu się rozgościć, nawet proponował kąpiel, a sam najpierw poszedł do kuchni przygotować coś do zjedzenia.

W tym czasie Jawor zdejmował w pokoju dzinsy, bo chciał wejść do wanny. Wtedy wszedł gospodarz z bochenkiem chleba oraz nożem w rękę i usiłował przewrócić na tapczan swego gościa, czyniąc mu niedwuznaczne propozycje. Jawor bronił się, zasłaniał (nie miał skłonności homoseksualnych), ale tamten był coraz bardziej natarczywy. Spadł na podłogę, gospodarz ręką uzbrojoną w nóż wykonywał zamaszyste ruchy. Jawor próbował uchwycić jego nadgarstek i wtedy ostrze wbiło się między żebra napastującego. Gość po wyciągnięciu noża z ciała ofiary i odrzuceniu za siebie, splądrował mieszkanie i uciekł. Wkrótce potem trafił do więzienia za inne przestępstwo. Po dwóch latach wyszedł, znów został aresztowany i tak toczyło mu się życie od wyroku do wyroku.

Na procesie w sprawie zabójstwa Tomasza Kalinowskiego rodzinę ofiary reprezentował tylko jego starszy brat Andrzej - ten, który w roku 1987 studiował handel zagraniczny. Skończył studia, został prezesem dużego przedsiębiorstwa z udziałem kapitału zagranicznego. Poinformował sąd, że rodzice zmarli.

Wobec przyznania się sprawcy i wiarygodnego wyjaśnienia okoliczności zabójstwa, proces szybko zmierzał do wyroku. Prokurator w zasadzie nie miał do Andrzeja Kalinowskiego pytań, poza jednym, które zaspokajało wyłącznie jego ciekawość: - Czy to on może zabrał szkolne zdjęcie kolegi Tomasza, które wisiało nad tapczanem?

- Nie - zaprzeczył świadek - ale wiem, że milicja długo szukała tej fotografii z myślą, że doprowadzi do mordercy. W naszej rodzinie też były podejrzenia, że może Kamil miał jakieś powody, aby zabić Tomasza. Ale on siedział wtedy za kratkami. To zdjęcie wypadło zza listwy przy tapicerce, gdy likwidowałem mieszkanie po rodzicach i wyrzucałem stare meble na śmietnik. Prawdopodobnie pinezka na śło-miance puściła, gdy Tomek szamotał się z zabójcą. Ale nikogo już to nie interesowało. Spaliłem fotkę razem z innymi papierami.

Andrzej Kalinowski wyszedł z rozprawy przed ogłoszeniem wyroku - 10 lat więzienia dla zabójcy. O tym, że sąd orzekł o oddaniu mu przez sprawcę ukradzionych z mieszkania 10000 zł (po denominacji 1 zł) i bonu towarowego wartości 20 centów, już nie usłyszał.

\* Nazwiska zostały zmienione

O

godzinie 7.35 w sobotę na komórce Mikołaja, chłopaka Agnieszki Selupy\*. wyświetlił się SMS: „Dzień dobry Słonko. Właśnie wstałam z łóżka, jestem w dobrym humorze, śliczna wiosna. Pamiętaj, że o 12.00 idziemy kupić mi szpilki na bal maturalny. Całuję. Aga”. Zapytał, czy w domu spokój. - „W porzo” - odpowiedziała, również SMS-em. O godzinie 9.58

zadzwoń. Prosiła z płaczem, aby powiadomił policję, bo ojciec szaleje.

Natychmiast pobiegł na komendę. Gdy funkcjonariusz spisywał dane, Mikołaj nerwowo wystukiwał numer komórki swojej dziewczyny. Nie mógł się połączyć, bo telefon stale był zajęty. Nie czekając, aż wyjedzie radiowóz, pędem znalazł się na podwórku koło trzypiętrowego bloku na warszawskiej Ochocie, w którym mieszkała Agnieszka. Jej okno było z daleka widoczne, bo mieściło się na strychu. Przy wejściu na klatkę stała karetki. Już ciągnęli do niej gapie.

Pobiegł na górę. Na korytarzu leżały nosze, a drzwi do mieszkania ustąpiły po naciśnięciu klamki. Najpierw zobaczył rozsypane na podłodze bułki i biały kapeć Agi z wyhaftowaną myszką Miki. Ona leżała skulona, na dywanie. Wyglądała, jakby spała - zamknięte powieki, cienie na policzkach od długich, czarnych rzęs. Przyjrzał się bliżej - z ust co kilka sekund wydostawały się krwiste pęcherzyki powietrza.

- Nie żyje - powiedział lekarz do sanitariusza. W tym momencie Mikołaj usłyszał przeraźliwy krzyk matki Agnieszki. Jej spódnicy była uczepiona młodsza córka, 9-letnia Wisia. Miała otwarte usta, jakby nie mogła złapać tchu. Patrzyła w stronę okna.

- Poszedłem za jej wzrokiem - zeznał nazajutrz do policyjnego protokołu 20-letni Mikołaj - i zobaczyłem na parapecie nogę pana Edmunda, ojca Agnieszki, który właśnie wskakiwał na dach.

Pod blokiem stało już dużo ludzi. Wszyscy naraz krzyczeli do policjantów: „To samobójca, zaraz skoczy”.

Pierwsi rozpoczęli rozmowę z desperatem dwaj psychologowie z Komendy Stołecznej Policji. Obok nich stał milczący ksiądz z pobliskiej parafii. Ściągnięto najbliższą rodzinę Edmunda Selupy.

Po dwóch godzinach negocjacje przyniosły skutek. Mężczyzna zszedł na dół i wsiadł do policyjnego radiowozu.

W tym czasie jego żona, Anna, matka Agnieszki i Wisi, w stanie silnego szoku leżała na szpitalnym łóżku. - Nie kontaktuje z otoczeniem - napisano w karcie chorej.

???

Sekcja zwłok 20-letniej Agnieszki wykazała, że śmierć nastąpiła na skutek zadania jej ran kłutych w okolicy piersi i brzucha. Narzędzie zbrodni leżało w przedpokoju - kuchenny nóż z odlamanym trzonkiem.

87

Zaprzyjaźniony lokator z piętra niżej, który pierwszy wbiegł na strych, zaalarmowany kobiecymi krzykami i wołaniem o pomoc, zobaczył taką sytuację:

Drzwi do pokoju Agnieszki były wyrwane z zawiasów, obie dziewczyny i ich matka leżały na podłodze, a na nich okraciem siedział Edmund Selupa i trzymał w rę-Pjj ce kuchenny nóż. Starsza córka była pokrwawiona, ale poruszała się, próbowała coś nieskładnie mówić. Anna krzyczała, żeby wezwać pogotowie.

- Podbiegłem do Mundka - zeznał w śledztwie ów sąsiad - i krzyknąłem: „Co robisz?!”. Wyrwałem mu nóż i odrzuciłem za siebie. Wtedy on wspiał się na parapet i mocno wychylił za okno, mówiąc coś o pożegnaniu. Próbowałem go zdjąć, ale przesunął się po gzymsie.

Po przesłuchaniu innych świadków odtworzono w śledztwie dokładny przebieg tragedii.

To była szczególna sobota - nazajutrz Wisia miała przystąpić do pierwszej komunii. Od rana awantura wisiała w powietrzu. Rodzice dziewczynki byli w trakcie od dwóch lat ciągnącego się rozwodu. Anna Selupa nie zamierzała zaprosić Edmunda na niedzielną uroczystość. Jemu bardzo na tym zależało, zwłaszcza że proboszcz wytypował go do przeczytania w czasie mszy fragmentu ewangelii.

Selupowa wstała wcześniej, bo tego dnia miała umówione klientki w jej zakładzie fryzjerskim, a potem chciała jeszcze zrobić zakupy. Od godziny ósmej do wpół do dziesiątej utrzymywała gorącą linię telefoniczną ze starszą córką. Wiedziała od Agi, że mąż zjadł z Wisią naleśniki, chwilę jeszcze poleżeli w jego łóżku, oglądając w telewizorze bajki. Potem on chciał posprzątać swój pokój i złościł się, że nie działa odkurzacz. Jak zwykle, oskarżał żonę o sabotaż, robienie mu na złość.

Tuż przed godziną dziesiątą Anna Selupa była już z zakupami pod blokiem. Wystukała numer

domofonu. Odezwała się Wisia. Z płaczem błagała matkę, aby nie wchodziła do mieszkania, spotkają się dopiero po południu, gdy trzeba będzie iść do spowiedzi.

Reakcją Anny na tę prośbę było jak najszybsze wbiegnięcie na ich strych. Już na schodach słyszała krzyk starszej córki, wyzwiska męża. Nadal zarzewiem awantury był zepsuty odkurzacz.

To co zdarzyło się później, ma dwie wersje.

Anna Selupa zapamiętała, że mąż zaczął ją bić pięściami, gdy tylko weszła, a Agnieszkę, która jak zwykle stanęła w obronie matki, szarpał za włosy. Wisia miotła się między nimi, odpychała ojca. W pewnej chwili wszystkie trzy wybiegły na korytarz, wołając o pomoc, a gdy nikt z sąsiadów się nie pojawił, ukryły się w pokoju starszej córki. Wszystkimi siłami przycisnęły drzwi do framugi, podczas, gdy z drugiej strony rozwścieczony mąż napierał z goliatową siłą. W końcu wyłamały się zawiasy i wszyscy runęli na podłogę. Selupa krzyczał: Ja was zabiję!

88

W tej kotiowaninie ciał Anna zauważyła, że mąż, który leżał najwyżej, ma w ręku nóż i celuje nim w Agę. Usiłowała zasłonić starszą córkę, ale już było za późno. Agnieszka dziwnie westchnęła, jej oczy pociemniały, z ust buchnęła krew.

Dodatkowych informacji dostarczyła przesłuchiwana w obecności psychologa Wisia. Mimo doznanego szoku zapamiętała, że gdy matka trzymała drzwi przed napierającym z przedpokoju ojcem, Agnieszka telefonowała na policję, a ona na żądanie siostry otwierała okno, aby wołać o pomoc.

- Widziałam potem - opowiedziała - jak tata trzymał nad nami nóż, gdy leżałyśmy na podłodze. Przeklinał, że zabije mamę. Uciekłyśmy obie za łóżko, Aga nie zdążyła. Pośliznęła się na jabłku. Tata podbiegł i dzióbnął ją (tak się dziewczynka wyraziła) w brzuch.

Przesłuchiwany Edmund Selupa twierdził w śledztwie, że żona prowokowała go, szydziła z niego, że jest gołodupcem, nie ma nawet kilku złotych na naprawę odkurzacza. Był przekonany, że specjalnie po raz kolejny zepsuła sprzęt, żeby nie mógł u siebie posprzątać.

Wyśmiała go, gdy powiedział, że skoro nie ma dla niego miejsca na rodzinnym obiedzie komunijnym, chciałby po południu zabrać Wisie do jego matki, też nie zaproszonej na tę uroczystość.

To żona pierwsza uderzyła go w twarz, aż spadły mu okulary. Niewiele widział, zwłaszcza, że runęły na niego drzwi od pokoju Agnieszki. Gdy ocknął się, leżał na podłodze, a starsza córka na nim. Usiłował ją zrzucić z siebie - i wtedy zobaczył, że dziewczyna krwawi. Nie wie, skąd się wziął nóż w jego ręku.

Na pewno nie atakował żony ani córek.

Fakty były jednak nieubłagane - to Edmund Selupa zabił córkę.

Odpowiedzi wymagało tylko pytanie: Dlaczego i jak do tego doszło?

Niewiele więcej można było się dowiedzieć od oskarżonego, który im więcej upływało dni od tragicznej soboty, tym bardziej usiłował sprawiać wrażenie niespełna rozumu (skierowano go na obserwację psychiatryczną). Do składania zeznań długo nie nadawała się matka ofiary, bo najpierw leżała w szpitalu w szoku, później była w stanie silnej depresji.

Ale prokurator miał dostęp do pękatych akt sądu rodzinnego w sprawie nie-ukończonego procesu rozwodowego małżeństwa Selupów.

I tam szukał owego tłącego się lontu, który doprowadził do wybuchu, pozbawiając życia Agnieszkę.

???

Przez ponad dwa lata za barierką dla świadków stanęło kilkadziesiąt osób - spokrewnionych z rozwodzającymi się albo mieszkających po sąsiedzku, czy całkiem obcych, ale z racji swego fachu mogących obiektywnie spojrzeć na małżeńskie problemy tej pary.

89

Ci, którzy znali Selupów wcześniej, zgodnie twierdzili, że przez pierwsze 10 lat było to wzorowe małżeństwo. Ona o wszystkim w domu decydowała. Zadbana, ?j z większymi aspiracjami intelektualnymi - zaraz po transformacji w 1989 roku postanowiła studiować zarządzanie, aby uruchomić własny biznes. Póki co, praco-P^j wała w dwóch miejscach - jako administratorka osiedla, a po południu we własnym zakładzie fryzjerskim.

Gdy mieli już dwoje dzieci, postanowiła poszerzyć ich skromne mieszkanie w blokach o strych. Wzięła kredyt, część robót remontowych wykonał mąż. Zyskali prawie 120 m2, każdy domownik miał swój pokój.

Niektórzy sąsiedzi zazdrościli im siły przebicia, rodzinnego szczęścia. Ale szanowali. Bo dzieci były dobrze wychowane, a cała czwórka przykładnie modliła się w niedzielę w kościele. Edmund Selupa jako troskliwy mąż zawsze wieczorem wychodził po żonę, gdy wracała z zakładu.

I nagle - jakby piorun w nich strzelił, wszystko się rozpadło. A to, dlatego, że 16-letnia wówczas Agnieszka zastała w domku na działce ojca w niedwuznacznej sytuacji z obcą kobietą. Natychmiast powiedziała o tym matce. Selupa zareagował nietypowo - nie tylko nie wypierał się romansu, jak się wydało, trwającego już dłuższy czas, ale bez zwłoki wystąpił o rozwód.

Selupowa odpowiedziała, że dostanie zgodę po jej trupie. Ona wprawdzie nie ma już męża (jeszcze tego samego dnia wyprowadziła się z małżeńskiej sypialni do innego pokoju), ale dzieci muszą mieć ojca.

Na pieczołowicie urządzonym strychu nie było już miejsca na rodzinne szczęście. Z każdego kąta wзираła nienawiść.

Ale jeszcze nikt na nikogo nie podniósł ręki, nie padały też wyzwiska. Zresztą, mało było okazji do spięć, bo Edmund od świtu do nocy handlował warzywami na rolniczej giełdzie, a jego żona też wracała do domu dopiero na kolację.

I tak to trwało ponad rok, aż nagle giełda została zamknięta (na teren wchodziło budownictwo mieszkaniowe) i Selupa stracił pracę. Zatrudnił się gdzieś dorywczo, ale i w tej robocie prześladował go pech: przewrócił się na rowerze tak niefortunnie, że uszkodził sobie poważnie kolano i jako niepełnosprawnego znów go zwolniono. Szukał roboty w całej Warszawie, ale wszędzie odprawiali go z kwitkiem. Albo brakowało mu wykształcenia, albo sprawności fizycznej. Ostatecznie musiał się zadowolić miesięcznym zasiłkiem z pomocy społecznej w wysokości 150 złotych.

Widział pewną szansę na odbicie się od dna - chciał sprzedać samochód i za te pieniądze urządzić stoisko z warzywami. To jedyne, na czym się znał. Ale na pozbycie się wozu potrzebna była zgoda żony. A ona tkwiła w swej goryczy po zdradzie męża i nie zamierzała do niego wyciągać pomocnej ręki. Zwłaszcza, że nie wyrażał skruchy.

90

Wykrzyczała mu w kuchni: - Nic nie dostaniesz, wkrótce będziesz żarł ze śmietnika!

Wtedy uderzył ją po raz pierwszy... W obronie matki stanęła Aga. Dostała silny cios w twarz, tak że pękła jej błona bębenkowa w uchu, potrzebna była interwencja lekarza.

Potem coraz łatwiej przychodziło mu podniesienie ręki na kobiety w domu; one zresztą nie starały się schodzić mu z drogi. I nieraz użyły paznokci do pokaleczenia twarzy mężczyzny. W specjalnie założonych teczkach coraz bardziej nienawidzącego się małżeństwa przybывało obdukcji do okazania na procesie rozwodowym.

Proces ciągnął się, bo strony nie mogły dojść do porozumienia co do finalnego rozwiązania konfliktu.

Anna początkowo nie wyrażała zgody na unieważnienie małżeństwa, ale gdy usłyszała na sali sądowej od pozywającego, że „spełnianie z nią obowiązku małżeńskiego było czynnością przykrą,” zażądała orzeczenia rozwodu z winy męża. Potem dążyła do tego konsekwentnie i nie bez pomocy dobrego adwokata.

Zamierzała go „puścić z torbami”. To była kilkietapowa walka. Najpierw, ponieważ nie miał pieniędzy na płacenie czynszu, czy innych rachunków związanych z mieszkaniem, przeprowadziła

rozdzielność majątkową.

Złożyła skargę do komornika o niepłacenie alimentów. Wspólny samochód poszedł na licytację za zadłużenia (potem go odkupiła za jedną czwartą wartości). Następnie zaczęła dążyć do wyeksmitowania męża z ich pięknego mieszkania. To była trudna operacja, jej powodzenie zależało od tego, czy sąd uzna, że mąż znęca się nad córkami i nie może z nimi przebywać pod jednym dachem. Sędzia uprzedził pozwaną, że tak restrykcyjne potraktowanie pozwywającego wymaga udokumentowania. Odpowiedziała, że przedstawi odpowiednie „papiery”.

???

Zaczął się wyścig, kto zgromadzi więcej dowodów. Ona raz po raz zakładała mu sprawy karne (z powiadomieniem organów ścigania) o znęcanie się nad rodziną.

Prokurator po przesłuchaniu sąsiadów, którzy niczego nie widzieli, ani nie słyszeli, umarzał dochodzenie. Bo „jeśli nawet doszło do szarpania żony, to jeszcze nie jest to znęcanie”.

Ona pisała odwołania, że jest podopieczną policyjnej „Niebieskiej Linii” dla ofiar rodzinnej przemocy. On udał się po pomoc do Stołecznego Stowarzyszenia Obrony Praw Ojca.

Coraz więcej świadków odsłaniało przed sądem małżeńskie piekło tej pary. Przyjaciółka Anny potwierdziła, że Selupowa miewała siniaki na całym ciele, podbite oczy. Często odbierała telefony i SMS-y od wystraszonej, zapłakanej Agnieszki, która alarmowała ją, że właśnie w domu trwa awantura między rodzicami i ona

^ prosi, aby sprowadzić policję. To znów żaliła się, że siedzi na lekcji w szkole, wie, •SAJ że matura za pasem, a nie może się skupić. Ciągłe myśli, co się dzieje w domu. |J „Już mi psychika siada” - kończyła SMS-a.

Zeznawały koleżanki Agi: - Mówiła mi, że ojciec bije matkę, ona też nieraz do-W stała pasem, gdy spóźniła się do domu 15 minut, bo była na różańcu w kościele. Bar-dzo bała się o matkę. Wszędzie jej towarzyszyła.

Edmund Selupa nie pozostawał żonie dłużny w oskarżeniach. Pomagała mu w tym jego rodzina. Siostra cioteczna zeznała, że Anna nie nadawała się do roli matki. Zapatrzona tylko w siebie, potrafiła nie ugotować obiadu, tylko wysłać dzieci na pizzę do McDonalda.

Na zarzut, że prowadzi podwójne życie, ma kochankę, Selupa miał gotową odpowiedź, że żona pierwsza nie dochowała wierności małżeńskiej. On wie, że od dawna ma kogoś, tylko umiejętnie ukrywa swój romans.

Gdy okazało się, że jest to wymyślona historia, Selupa usiłował przekonać sąd, że żona ma demoralizujący wpływ na dzieci, zwłaszcza na starszą córkę.

Zbierał „dowody” na złe prowadzenie się Agnieszki. Od pracownicy w zakładzie fryzjerskim żony zdobył informację, że jego córka zapisała się po poradę u ginekologa. Wywnioskował z tego, że prawdopodobnie zaraziła się wenerycznie. Inna przyczyna wizyty w przychodni nie wchodziła w grę - wszak porządna panna nie potrzebuje pomocy lekarza tej specjalizacji.

Zauważył, że dziewczyna często chodzi do kościoła na wieczorne modlitwy. - Wiem, co się za tym kryje - poinformował sąd - schadzka z młodym wikarym.

Udał się do szkoły po zaświadczenie od wychowawczyni, że Aga źle się uczy, wa-garuje. Niczego takiego nie dostał. Na żądanie sądu pedagog szkolny napisał notatkę do akt: - „Uczennica Agnieszka Selupa zgłosiła, że ma problemy w domu. Jej ojciec zawiadamia policję, że się nie uczy i źle prowadzi. Oskarżenie jest bezpodstawne i dlatego zaleca się jak najszybszą separację ojca od dziewczyny”.

Kiedy indziej twierdził, że Aga bez powodu boleśnie bije młodszą siostrę. Gdy doszło do konfrontacji córki z ojcem okazało się, że rodziciel kłamie.

Anna w rewanżu za psucie starszej córce opinii przez ojca „ujawniła” jego skłonności pedofilskie.

Opowiedziała na policji, że któregoś dnia weszła cicho do mieszkania i zobaczyła w łazience 8-letnią Wisie kapiącą się w wannie nago z ojcem - też bez żadnej bielizny.

Kłam tym słowom zadała obserwacja dziecka w Rodzinnym Ośrodku Diagno-styczno-Konsultacyjnym. Badanie odnosiło się przede wszystkim do relacji ojca z jego dziećmi.

Stwierdzono, że Selupa nie rozumie przeżyć 16-letniej córki wywołanych odkryciem, że kochany

tata ma inną kobietę. Nie zrobił nic, aby odbudować zaburzone więzi ze swoimi dziećmi. Choć twierdzi, że kocha Wisie (Agnieszkę, jak się wyraził, już przekreślił), nie ma jednak głębszego wglądu w przeżycia dziewczynki, nie chroni jej przed sytuacją rozwodową, dziecko jest świadkiem

92

przemocy wobec matki. W ocenie psychologa powoduje to u ośmiolatki dotkliwe 2\* szkody psychiczne.

Wisia ujawniła uczucia ambiwalentne - jest z ojcem związana emocjonalnie, ale W jednocześnie odczuwa lęk przed jego agresją, stara się mu podporządkować, aby nie 33 prowokować kolejnych awantur.

- Tata ma jakąś panią - opowiadała psychologowi - i chce mnie do niej zabrać, ale ja tam nie chcę jeździć. Czasem tata budzi mnie w nocy, aby porozmawiać. Jak j<sup>^</sup>f mnie budzi, to jest pijany. Ostatnio jak rzucał butem w żyrandol, to czułam, że śmierdzi wódką. Tata tylko raz się ze mną kąpał, bo chciałam, żebyśmy się poplu-skali. Cała łazienka była mokra, tata ubrał gacie jak na basen. Fajnie było, ale ta-ta nie chce pamiętać, co ma do zrobienia. Chciał mnie odbierać ze szkoły, ale nie ^ przychodził i sama siedziałam do wieczora w świetlicy. Obiecał, że będzie pielęgn; "i gnował ze mną chomika, zmieniał mu wiórki, ale tego nie robił i chomik umarł. ^ Mój tata nie pozwala przyjeżdżać rodzinie mamy ze wsi. Wcześniej mogli przyjeżdżać. Gdy się kłóca, tata krzyczy najgłośniej. Tata jest najlepszy dla mnie, najgorszy dla mamy i Agi. Uczy mnie, co mam mówić wychowawczyni o tym, co się dzieje w domu.

Poproszono dziewczynkę, aby dokończyła zdania, które ma na kartce. Wynik tego testu bardzo zaniepokoił psychologów. Wypadł jednoznacznie:

- Największym moim pragnieniem jest... żeby w domu nie było awantur. Byłabym szczęśliwa, gdyby... tata był dobry dla mamy.

Martwię się, ...co się stanie ze mną.

Najwięcej cierpienia sprawia mi ...tata, bo bije mamę.

Najtrudniejszą rzeczą jest... żyć, bo człowieka czeka tyle problemów.

\* ? ?

Psycholodzy przestrzegali rozwodzącą się parę, że obrzucając się wzajemnie kalumniami, wyrządzają krzywdę swoim dzieciom.

Ale oni oboje byli głusi na takie argumenty. Nie zamierzali ustąpić jedno drugiemu ani na milimetr. Anna miała już tylko jeden cel w życiu - doprowadzić do eksmisji niewiernego męża, aby naprawdę skończył w śmietniku.

Wiele stron w aktach sądowych rozwodzącego się małżeństwa zajmują coraz wymyślniejsze opisy wzajemnego uprzykrzania sobie życia: kosz ze śmieciami ląduje na pościeli żony, nierówno ustawione przez Agnieszkę buty w przedpokoju są wyrzucone przez okno, w pokoju Edmunda notorycznie ktoś psuje kontakt elektryczny.

Z zeznania Agnieszki w sądzie na trzy dni przed morderstwem: - „Gdy wychodzę ze śmieciami, ojciec zatraskuje drzwi, od wewnątrz wkłada klucz do zamka, abym nie mogła otworzyć. Do mojego pokoju wchodzi znienacka, bez pukania, gdy mu zwracam uwagę, obrzuca mnie najgorszymi wyzwiskami, które

9;

M o

m

H

wstydę się powtórzyć. Często na ulicy śledzi mnie. Psuje pralkę, żelazko, za-smradza lodówkę, nachodzi mamę w zakładzie i tam na oczach klientek robi jej awantury. Gdy jestem sama w domu,

mnóstwo czasu spędzam na nasłuchiwaniu, czy on nie idzie po schodach, bo jeśli tak, to aby uniknąć awantury, muszę szybko wyjść na klatkę".

Skłóceniu domownicy od dawna już z sobą nie rozmawiali, mąż mówił przy dzieciach do żony: „ty szmato”, ona rewanzowała się nazywając go śmieciem. Aga nie wyraża się o ojcu inaczej niż „ten kurwiszon”. Wszyscy się wzajemnie podsłuchiwali.

Edmunda spotkały też restrykcje ze strony własnej matki, osoby bardzo religijnej, która na wieść, że syn ma inną kobietę, zerwała z nim kontakt. Ta anatema trwała dwa lata i nie pogodziła ich nawet ciężka choroba ojca Edmunda. Odwiedzali go w szpitalu, mijając się bez słowa.

Zbliżająca się uroczystość komunijna nie wyciszyła awantur w domu Selupów. On czuł się bardziej przegrany niż zwykle, bowiem porozumienie ze starszą córką było już niemożliwe, a żona robiła wszystko, żeby dzieci odseparować od niewiernego męża. Jeszcze czasem udawało mu się przekupić małą Wisie, którą niewątpliwie kochał, ale niewiele mógł jej kupić, przecież żył z zasiłku. A żona stale wypominała mu przy dzieciach, że skoro nie chce mu się znaleźć pracy na wolności, to ona się postara, aby zarobił na alimenty w więzieniu.

Któregoś dnia ukradł żonie złotą biżuterię i rzucił podejrzenie na brata. Pierścionki znalazły się w torbie z proszkiem do prania, ale od tej chwili wszyscy w domu patrzyli mu na ręce. Ta atmosfera tym bardziej upewniła go w przekonaniu, że tylko podział mieszkania, którego wartość oceniał na 700000 zł może odmienić jego los.

Postanowił posprzątać swój pokój, aby jeszcze raz, w obecności całej zaproszonej na komunijny obiad rodziny, przedstawić swoje warunki. Z równowagi wytrącił go swąd spalonego silnika odkurzacza.

???

W badaniu neurologicznym nie stwierdzono u mordercy Agnieszki odchyień od normy. Chociaż na sali rozpraw zachowywał się tak, jakby nie rozumiał swego czynu. Usiłował odwrócić uwagę prokuratora od sprawy twierdząc, „że szwagier razem z moją żoną pierze brudne pieniądze”. W ostatnim słowie oskarżał matkę Agnieszki:

- To horror, co ona wyprawiała. Miałem propozycję od niej załatwienia mi pracy. Wiązało się to z daniem łapówki za ustawienie przetargu na lokal. Nie chciałem w tym uczestniczyć, to była prowokacja. Żona zgłosiła mnie do poradni dla alkoholików, aby mnie upokorzyć, tymczasem to ona ze starszą córką, która tak się haniebnie prowadziła, że aż musiała iść do ginekologa, urządziła libacje.

94

Niestety, za późno się zorientowałem, że żona ma coś z głową, często opada jej powieka. Przed ślubem ten fakt został przede mną i moją rodziną utajniony. Nie przypuszczałem, że kobieta, z którą żyłem 18 lat doprowadzi mnie na salę sądową, aby zaspokoić własne ego.

Wyrok sądu, podtrzymany we wszystkich instancjach, brzmiał: 25 lat pozbawienia wolności.

\* Nazwiska zostały zmienione

## OSKARŻENI V BIALICE KOŁNIERZYKACE

K

ilka minut po szóstej dr Urszula Ludwikowska ubiera się do pracy. Już nakarmiła psy, wyprowadziła samochód. W Szpitalu Psychiatrycznym w Tworkach, gdzie od lat jest ordynatorem,



będzie o siódmej, z Pruszkowa to tylko kilkanaście minut jazdy.

Słyszysz długi, natarczywy dzwonek do drzwi. Lekarka mieszka sama w willi po rodzicach, dwukrotnie została okradziona. Podchodzi więc z psami do parkanu. Stoją tam dwaj mężczyźni, pokazują jej legitymacje CBS. Są po cywilnemu, ale mają nakaz przeszukania domu.

Pani doktor ciągle w płaszczu narzuconym na ramiona bezradnie patrzy, jak cudze ręce przekopują szuflady z osobistymi rzeczami, wybebeszają zabytkowe już szafy jej „przedwojenne” urządzonego rodzinnego domu. I oto pokazuje się w dziennym świetle wciśnięta kiedyś przez nią w kącie jarmarczna ozdoba - plastikowa kiść winogron. Doktor jest zaskoczona, że coś tak kiczowatego może zainteresować funkcjonariuszy. Wyjaśnia, że dostała przed laty od wdzięcznej rodziny pacjenta. Szka-radzieństwo, ale nie chciała odmową robić przykrości prostym ludziom.

Przeszukujący rezygnują z dalszej rewizji; winogrono pokwitowane przez właścicielkę pakują do aktówki. Już wychodząc dostrzegają w holu drewnianą szkatułkę, ta też jest zarekwirowana. Doktor nawet nie pyta dlaczego.

- Pani pojedzie z nami do szpitala w Tworkach - mówią do lekarki.

- Może ja wsiądę do swojego samochodu, bo czym po południu wrócę do domu? - proponuje praktyczne rozwiązanie ordynator.

Funkcjonariusze wymieniają porozumiewawcze uśmiechy. I otwierają przed kobietą drzwi swojego pojazdu. W szpitalu kolejna rewizja jej biurka (nie ma tam nic godnego uwagi policjantów) i po dwóch godzinach dr Ludwikowska słyszy, że jest aresztowana. Pojadą do Ostrołęki.

- Dlaczego? - dziwi się ordynator - nigdy nie byłam w tej miejscowości. Ale nie usłyszysz odpowiedzi.

Na korytarzu ostrołęckiej komendy policji pani doktor widzi prowadzonego przez funkcjonariuszy kolegę z pracy, też psychiatrę, Andrzeja Szaniawskiego.

Godzinę później dowie się, że oboje są aresztowani pod zarzutem wystawienia przed sześcioma laty nieprawdziwych opinii sądowo-psychiatrycznych mafijnemu przestępcy Stanisławowi G. z Ostrołęki. Został on skazany w 1999 roku na osiem lat więzienia za spowodowanie po pijanemu wypadku samochodowego, w którym zginęło dwóch mężczyzn. G. zamiast do więzienia trafił na leczenie do szpitala psychiatrycznego w Tworkach. Tam ordynator, która jest biegłym sądowym, miała wspólnie z dr. Szaniawskim stwierdzić, że stan zdrowia Stanisława G. nie pozwala na razie skazanemu na odbywanie kary. Za sfałszowaną opinię Andrzej Szaniawski wziął 2000 zł, a Urszula Ludwikowska „antyk” w kształcie kiści winogron. I szkatułkę.

Przesłuchiwana lekarka ani przez chwilę nie ukrywa, że od żony Stanisława G., notabene żadnego tam mafiosa, zwykłego piekarza, dostała „dowód wdzięczności”

W postaci owej tandetnej ozdoby. Zaprzecza natomiast oskarżeniu o wydanie dla sądu nieprawdziwej diagnozy psychiatrycznej.

Dr Andrzej Szaniawski również odrzuca posądzenie go o branie łapówki.

Nie tylko zamknięci w areszcie lekarze, ale nawet ich adwokaci nie mają dostępu do prokuratorskich akt. Oskarżyciel tłumaczy to dobrem śledztwa, bo sprawa jest „rozwojowa”. Właśnie przygotowuje komunikat dla mediów. Jest marzec 2006 rok.

???

?;??<-.  
Ł/i

Rzeczniczka Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga ogłasza, że w Ostrołęce działa mafijna ośmiornica, której macki sięgają lekarzy i sędziów.

Sprawa ma gigantyczne rozmiary („To, co odkryto, przeraziło nawet doświadczonych policjantów”); na razie prowadzone jest śledztwo w stosunku do 40 osób, ale to dopiero początek afery. Pierwsza zatrzymana - Maria K., kierowniczką sekretariatu wydziału penitencyjnego w ostrołęckim Sądzie Okręgowym, została przekupiona za załatwienie Stanisławowi G. przerwy w odbywaniu kary. Gangstera kosztowało to połówkę świniaka. Kolejnym przestępcą w korupcyjnym łańcuszku jest ostrołęcka sędzia Aleksandra S. (26 lat w zawodzie, w tym na stanowisku prezesa). Za łapówkę - 22 000 zł - orzekła na korzyść gangstera. Prokurator właśnie wystąpił o uchylenie jej immunitetu sędziowskiego.

Dziennikarze nie mają dostępu do akt (bo sprawa jest „rozwojowa”), ale prokurator Wojciech Zdanowski z Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga chętnie odpowiada na ich pytania.

Jego wersja odbiega od tłumaczeń sędzi S. Kobieta przyznaje, że we wrześniu 2000 roku wpuściła do domu byłą salową Bożenę B. i jej konkubenta. Przyszli rzekomo po poradę lekarską do jej męża. Gdy zorientowała się, że cel wizyty jest inny (zaczęli ją namawiać, aby załatwiła odroczenie kary więzienia dla ich znajomego Stanisława G.), pokazała intruzom drzwi.

Sędzia wyjaśnia, że nie mogła wziąć pieniędzy za coś, na co nie miała wpływu, nie orzekła bowiem w tej sprawie. Uczestniczyła natomiast w posiedzeniu dotyczącym prośby skazanego o ułaskawienie. Sąd wówczas odrzucił ten wniosek.

O ile z aresztowaniem Aleksandry S. są pewne problemy (postępowanie zmierzające do uchylenia chroniącego ją immunitetu przedłuża się), to od razu udaje się wsadzić za kraty jej męża dr. Jerzego S.

- Korupcja w sądzie nie byłaby możliwa bez „podkładek”, które tworzyli lekarze - twierdzi ze szklanego ekranu szef Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga. - Trudnili się tym psychiatrzy: dwoje biegłych sądowych z Tworek, trzech z Ostrołęki (aresztowanych pod zarzutem fałszowania dokumentacji, służącej do wyłudzenia rent z ZUS) i psycholog ze szpitala w Łukowie. Tworzyli wsteczne fikcyjne historie choroby i z taką dokumentacją wysyłali pacjentów do szpitali.

100

Razem z lekarzami zatrzymane są trzy osoby, które za pomoc w załatwieniu ren- j~j  
PA

ty zapłaciły łapówki. - W tym wątku - zapowiada prokurator - w najbliższych cA>  
dniach należy się spodziewać aresztowania kolejnych podejrzanych, bo prawdziwa  
bomba dopiero wybuchnie, na razie dotknęliśmy wierzchołka góry lodowej. Z po- pq  
wodu rozmiarów mafijnej ośmiornicy, jej licznych odnóg, wątek wyłudzenia rent ^  
z ZUS został wyłączony do osobnego śledztwa. O

Póki co, wnioskiem o odebranie immunitetu oskarżonym o korupcję sędziom zajmują się sądy dyscyplinarne różnych instancji. Sąd Dyscyplinarny w Łodzi uchyla sędzi S. immunitet; jej zażalenie na tę decyzję wpływa do Sądu Najwyższego.

Prokurator jest pewien wygranej, bo wystraszeni aferą w środowisku w togach „-F  
ostrołęccy adwokaci jeden po drugim odmawiają występowania w obronie napięt- W  
nowanej sędzi. Pełnomocnictwo przyjmuje dopiero koleżanka z pracy Aleksandry S., lat  
sędzia Marzena Piekarska-Drażek. ^

I nie wycofuje się, choć tuż przed rozprawą w SN dostała propozycję objęcia sta- Q  
prezesa sądu okręgowego. Dano jej do zrozumienia, że z nominacji nici, ^ jeśli podejmie się obrony

S.

Na rozprawie opisuje metody śledczych wobec świadków: groźby aresztu lub obietnice łagodnych wyroków w zamian za „mówienie na sędziów”. Ostatnie pytanie w mowie obrończej wygłoszone przed Sądem Najwyższym brzmi: - Czy zapotrzebowanie na afery i awanse zwyciężyło ze zwykłą ludzką uczuciowością?

Sędzia zachowuje immunitet. Uzasadnienie decyzji SN w sprawie Aleksandry S. jest ostre, kwestionujące zawodowe przygotowanie prokuratora: - Prawnik, zanim postawiłby zarzut przyjęcia łapówki, zadałby sobie pytanie, dlaczego ktoś mówi o niej po pięciu, czy sześciu latach? Skonfrontowałby słowa świadków, ludzi karanych, z dokumentami sądowymi, z których nie wynika, żeby Barbara S. - ale też inni sędziowie - wydała jakąś korzystną, związaną z łapówką decyzję procesową. Zeznania pomawiających ją sędziów z Ostrołęki są niewiarygodne i interesowne. Łapówki nie było.

Obecny na rozprawie prof. Andrzej Rzepliński z Fundacji Helsińskiej jest zdania, że prokurator w ogóle nie powinien występować z tą sprawą.

Immunitetu nie traci też sędzia Ryszard W., w którego sprawie prokurator również przegrał w Sądzie Najwyższym. Okazało się, że służby śledcze posunęły się do sfalszowania opinii kryminalistycznej, na której potem opierał się prokurator. Ekspertyza dotyczyła kasety z nagraniem rozmowy byłej salowej Bożeny B. z Marią K., kierowniczką sekretariatu w ostrołęckim Sądzie Okręgowym (wkrótce pierwszą aresztowano). Nagranie odsłuchał i zaprotokołował biegły ekspert, ale oficer śledczy spisał taśmę na nowo i tam, gdzie były niewyraźne, „wykropkowane” dźwięki, wstawił nazwiska adwokatów, prokuratorów i sędziów.

Ryszard W. udowadnia, że prokuratura, oskarżając go o kupno samochodu za pieniądze pochodzące z łapówki, pominęła dokumenty transakcji - dowody jego niewinności.

101

Wskazuje też, że wszyscy pomawiający jego, a także sędzię S., byli wynagradzani zawieszeniem kary albo uchynieniem aresztu. Funkcjonariusze natomiast dostawali awans do stołecznego biura do walki ze zorganizowaną przestępczością.

Ta rozprawa przed SN okazuje się przełomowa dla losów wirtualnej ostrołęckiej ośmiornicy. Zakrojone na szeroką skalę śledztwo po roku kończy się aktami oskarżenia przeciwko kilkunastu kombinatorom z marginesu społecznego w Ostrołęce, którzy dawali pieniądze Bożenie B., rzekomo mającej dojsć do orzekających o przy-Q znawaniu renty.

Ale to się stanie dopiero po opuszczeniu przez dr Ludwikowską i dr. Andrzeja Szaniawskiego aresztu. Na razie oboje są w więzieniu i nie mają dostępu do akt prokuratorskich.

???

Nie wiedzą, że ta kobieta obciążyla ich zeznaniami. Nie tylko ich.

Napisała bowiem do policji anonim (podając się za pracownika ostrołęckiego sądu), iż znani są jej sędziowie, którzy wydają wyroki za łapówki. I nie tylko sędziowie. W korupcyjnym procederze miała też uczestniczyć kierowniczka sekretariatu wydziału sądu Maria K. To ona, zdaniem Bożeny B., w zмовie ze swą szefową załatwiła odroczenie skazanemu Stanisławowi G. odsiadanie kary.

Organy ścigania bez trudu dotarły do autorki anonimu, bowiem siedziała wów-czas w więzieniu. Bożena B. jest od lat notowana w kartotekach policyjnych. Wpływały na nią skargi od ludzi, których oszukiwała. Wyłudzała pieniądze za obietnicę załatwienia czegoś w urzędzie, sądzie. Za oszustwa, zwłaszcza powoływanie się na wpływy w ZUS, oraz oferowanie załatwienia łapówkarskich rent została skazana na trzy lata pozbawienia wolności. Po odczytaniu wyroku krzyczała do sędziów: - „Ja tego tak nie zostawię, jeszcze mnie popamiętacie!”. Tylko politycznym zapotrzebowaniem ówczesnego ministra sprawiedliwości i prokuratora krajowego na wykrycie w IV RP skorumpowanych sędziów można wytłumaczyć rozkręcenie się gigantycznego śledztwa po anonimie mszczącej się na sędziach hochsztaplerki.

Za obietnicę rewizji wyroku (kara miała być w zawieszeniu) i natychmiastowego zwolnienia jej z aresztu, była salowa chętnie dostarczała prokuratorowi wyspanych z palca argumentów na

przekupstwo wśród sędziów. Oskarżycielowi nie przeszkadzało, że wielokrotnie zmieniała zeznania, myliła daty, miejsca popełnienia przestępstwa. I że chwaliła się na mieście, ile teraz od niej zależy, kto pójdzie za kratki.

Prokuratura nie marnowała czasu. Wprawdzie sędziowie z Ostrołęki i lekarze z Pruszkowa nadal nie przyznawali się do świadczeń za łapówki, ale około trzydziestu osób z listy byłej salowej, które płaciły jej za dojścia do urzędów i pozytywne załatwienie ich sprawy stanęło przed sądem.

Większość dobrowolnie poddała się karze, godząc się na niski, uzgodniony z prokuraturą wyrok. W tej grupie była też żona Stanisława G., która już w czasie pierw-

102

szego przesłuchania w prokuraturze przyznała się, że płaciła Bożenie B. - jako po- Q  
średnicze w uzyskaniu przychylności sędziów i lekarzy dla jej męża, chcącego unik- PN>  
nąć więzienia. \*3

i ... g

CO

I--."

już ósmy miesiąc siedzą w warszawskich aresztach psychiatrzy ze szpitala specja- o listycznego w  
Tworkach. Pierwszy szok minął. Szczególnie dla dr Ludwikowskiej było to jak obuchem w głowę,  
gdy pierwszego dnia aresztu pielęgniarka, patrząc na jej kaszmirowy sweter zapytała: komu go  
ukradłaś?

Powoli znieczulają się na traktowanie ich jak przestępców (trochę pomaga wiedza psychiatryczna  
o tym, jakie są granice odporności człowieka).

Trzeba się zaadaptować do nowej rzeczywistości. Drobną, delikatną z urody ?35 i sposobu bycia  
dr Ludwikowska jakoś się dogaduje z oskarżonymi o pospolite przestępstwa towarzyszkami niedoli  
w celi. Nawet udaje się jej narzucić tym Q „dzieciom ulicy" swój styl zachowania. Gdy któregoś  
dnia oddziałowa potrakto- 'jjj wała aresztantki arogancko, młode więźniarki zwróciły jej uwagę, że  
życzą sobie puł więcej kultury. Na wspomnienie miny funkcjonariuszki pani doktor jeszcze dziś się  
śmieje.

Najgorsze jest odcięcie od jakichkolwiek informacji. Nawet nie ma komu zadać pytania: - Co  
dalej?

Prokurator przesłuchiwał psychiatrów tylko raz, przez kilkanaście minut. Nie mogą się zapoznać  
ze swoim aktami śledczymi. Lekceważone są ich problemy ze zdrowiem. Dzień przed  
aresztowaniem dr Andrzej Szaniawski tak niefortunnie się przewrócił (ma chory kręgosłup), że  
złamał szczękę. Właśnie wyjeżdżał do chirurga, kiedy został zatrzymany w swoim domu w  
Warszawie. Z aresztu skarży się siostrze, że nie może „porządnie zamknąć ust, kości wyłażą w  
dwóch miejscach". Na proste środki przeciwbólowe czeka tygodniami. Gdy wreszcie po  
interwencjach rodziny zrobiono mu operację stomatologiczną, szczęka zrosła się krzywo i trzeba ją  
było na nowo łamać. Andrzej Szaniawski cierpi na cukrzycę, która nie leczona powoduje  
nieodwracalne zmiany w organizmie. Więzienny lekarz powiedział mu, że najważniejsza jest dieta i  
przepisał pół pomarańczy dziennie. Aresztant ma objawy depresji.

Nie lepiej jest ze zdrowiem dr Urszuli Ludwikowskiej. Ordynator nosi w sobie bombę zegarową -  
tętniak w sercu. Trzeba regularnie sprawdzać, czy nie jest potrzebna natychmiastowa operacja.

Internista w areszcie lekceważy prośby pacjentki o konsultacje kardiologa. Gdy lekarka zgłasza  
bólę wieńcowe, pyta ją z udawanym zatroskaniem: - A może pani czymś się denerwuje? Któregoś  
dnia Ludwikowska czuje się tak źle, że więzienny lekarz przestaje wreszcie ironizować i zgadza się  
na przewiezienie chorej do specjalistycznej cywilnej poradni w Aninie. Podjeżdżają tam "suką",  
aresztantka jest

103

skuta łańcuchem na prowadnicy za ręce i nogi. Tak zabezpieczona przed ucieczką, idzie w obstawie

antyterrorystów długimi korytarzami przychodni pełnymi pacjentów. Założenie łańcuchów osobiście zlecił dowódca konwoju, bo wysnuł tę wniosek z faktu, że śledztwo prowadzi prokuratorski wydział przestępczości zorganizowanej.

To nie koniec upokorzeń ceniowej w kręgu psychiatrów ordynator.

Innego dnia wywołują ją rano z celi, bo ma jechać do sądu w Otwocku. Znowo o kajdanki na ręce, dobrze chociaż, że nie każą założyć czerwonego kombinezonu. Trafia na policyjny „dołek”, a potem do sali rozpraw, gdzie jako biegły sądowy ma przedstawić opinię psychiatryczną oskarżonemu, który do marca 2006 roku leżał na jej oddziale w szpitalu w Tworkach. Po napisaniu opinii jest ponownie umieszczona w tzw. sieczkarni, jak oskarżeni nazywają pomieszczenie, skąd doprowadza się ich przed sąd. Czeka tam kilka godzin, do wieczora. Współwięźniowie chcą ją poczęstować kanapką (od rana nic nie jadła), ale policjant nie pozwala.

Kiedy już po wyjściu doktor z aresztu pytam ją, jak zniosła więzienie wyznaje, że nie była tam szczególną sensacją. Wtedy siedziało w celach wiele osób wykształconych, do niedawna na stanowiskach, nie mających nic wspólnego z pospolitymi przestępstwami. Trzymały się - o ile to było możliwe razem, bo odczuwały, że są w gorszej sytuacji niż zwykli przestępcy. Ci, jeśli napadli na kogoś i obrabowali, byli szybko przesłuchiwanymi i często odpowiadali w sądzie już z wolnej stopy. Wobec takich osób jak ona stosowano tzw. areszt wydobywczy.

- Tam się wpada jak w czarną dziurę - mówi dr Ludwikowska. - Przez osiem miesięcy śledztwa przesłuchano mnie tylko raz, po zatrzymaniu. Trwało to kilkanaście minut. Moje akta prokuratorskie są chude, zbudowane głównie na kłamstwach Bożeny B.

A mimo to na wniosek oskarżyciela sądy przedłużały areszt psychiatrom z Tworek aż cztery razy, uzasadniając tym, że grozi im surowa kara, a na wolności podejrzani mogliby mataczyć. Brzmiało bez sensu, bo Bożena B., która ich obciążała, swoje zeznania już złożyła. A poza tym zostali oskarżeni o czyn sprzed sześciu lat, odpowiednia dokumentacja lekarska była zdeponowana w archiwum szpitala, prokurator w ogóle o nią nie pytał.

Natomiast w rozmowie z obserwatorami z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka asesor ze stołecznego Sądu Rejonowego dla Warszawy-Pragi tłumaczyła przedłużanie aresztu dla Andrzeja Szaniawskiego i Urszuli Ludwikowskiej tym, że prokurator prowadzący sprawę tak „ładnie ją o to poprosił, dzwoniąc na komórkę”.

Takim instrumentalnym traktowaniem przez zastosowanie najsurowszego środka zapobiegawczego jakim jest areszt zajęła się Helsińska Fundacja Praw Człowieka, która skierowała protest do Europejskiego Komitetu ds. Zapobiegania Torturom Rady Europy.

I

104

Napisano w nim, że w Polsce ludzi zamyka się na chybił trafił, wedle zasady: naj- Q pierw wsadzić, a potem poszukać dowodów winy. Nie bez powodu został ukuty pć^ przez adwokatów termin „areszt wydobywczy”, który stał się metodą na zmieć- \*•» czanie podejrzanych albo wymuszanie na nich zeznań obciążających innych.

EH

?? ? CO

O

W grudniu 2006 roku akt oskarżenia przeciwko obojgu lekarzom ze szpitala w Tworkach trafia do Sądu Rejonowego w podwarszawskim Pruszkowie. Już wiadomo, że ostrołęcka ośmiornica była wirtualna, w materiale dowodowym nie ma śladu prze- ""\*] stępczości zorganizowanej. Stanisław G. nie był żadnym mafioso, ale lubiącym zaj- JA rzecz do kieliszka piekarzem. Psychiatrzy ze szpitala w Tworkach odpowiadają z pa- [\*] ragrafu o korupcji.

Urszuli Ludwikowskiej przedstawiono zarzut, że w 2000 roku, działając „wspólnie i w porozumieniu” z Andrzejem Szaniawskim, przyjęła od Bożeny B. i Magdale- p; ny G. korzyść majątkową w postaci wyrobów artystycznych o wartości nie mniej- ^ szej niż 800 zł w zamian za

sporządzenie dla Sądu Okręgowego w Ostrołęce P-» nieprawdziwej w treści opinii o skazanym Stanisławie G. Stwierdzając, że G. nie może na razie iść do więzienia ze względu na stan zdrowia psychicznego, utrudniła prowadzone przeciwko niemu postępowanie.

W tej opinii wydanej 17 listopada 2000 roku psychiatrzy z Tworek szczegółowo opisali, że Stanisław G. po wypadku, który spowodował w 1997 roku, przez dwa tygodnie był nieprzytomny, potem leczono go na OIOM-ie, nie mógł mówić ani pisać. Następnie przeszedł wiele operacji, miał ataki padaczki, w kilku szpitalach i przychodniach leczył się neurologicznie. Od 1998 roku był pod opieką psychiatry, bo nie mógł spać, gdy usnął, budził się z krzykiem, w ciągu dnia siedział osowiały. Trzykrotnie próbował odebrać sobie życie. Te myśli zresztą go nie opuszczają. Wtedy poci się, ma przyspieszone bicie serca. We wrześniu 2000 roku pacjent został skierowany do specjalistycznego szpitala w Tworkach z powodu narastających objawów depresyjnych i dwukrotnych prób samobójczych. Napady padaczkowe były częstsze, co wymagało konsultacji neurologicznych. To rozpoznanie zostało potwierdzone w czasie hospitalizacji.

Biegli psychiatrzy uznali, że G. cierpi na zespół depresyjny reaktywny na podłożu organicznego uszkodzenia ośrodkowego układu nerwowego i wymaga dalszego leczenia szpitalnego.

W opinii uzupełniającej z 17 stycznia 2001 roku, wydanej na żądanie prokuratora, nie mogli dokładnie określić, kiedy ustąpi choroba. Ich zdaniem po pół roku należałoby ponownie ocenić stan psychiczny pacjenta.

Doktorowi Szaniawskiemu przedstawiono dwa zarzuty: że otrzymał od Bożeny B. 2000 zł za wystawienie nieprawdziwej dokumentacji lekarskiej o stanie zdrowia Stanisława G. i że następnie przyjął od Magdaleny G. 500 zł za udzielenie dwudniowej przepustki ze szpitala dla jej męża.

105

Oskarżeni czują się napiętnowani nawet w swym środowisku zawodowym; nie ujeli się za nimi koledzy po fachu ani żaden samorząd lekarski. Oboje stracili pracę i wyraźnie podupadli na zdrowiu. Doktor Ludwikowska stawia się na rozprawy wsparta o ortopedyczne kule. To odezwała się nie leczona w więzieniu osteoporo-za, powodując złamanie nogi. Doktor Szaniawski wyszedł na wolność z nadwę-żonym kręgosłupem; gdy składa wyjaśnienia, nie jest w stanie dłużej utrzymać się w pozycji stojącej.

A sędzia powołuje coraz to nowych świadków, aby wypytać o wydarzenia sprzed sześciu lat, które tak zaciążyły na życiu obojga psychiatrów. Trzeba zweryfikować to, co napisał prokurator. W relacji lekarza dyżurnego szpitala w Tworkach było tak:

Późnym wieczorem 12 września 2000 roku zgłaszają się do izby przyjęć szpitala psychiatrycznego w Tworkach Stanisław G. z - jak ją przedstawia - kuzynką Bożeną B. Mężczyzna ma na skierowaniu z przychodni specjalistycznej w Ostrołęce wypisane rozpoznanie - depresja.

Badanie pacjenta uzasadnia jego natychmiastową hospitalizację. Lekarka z izby przyjęć w historii choroby wpisuje polecenie dla pielęgniarki oddziałowej, żeby chorego obserwować, bo ma myśli samobójcze. Stanisław G. dostaje leki.

Następnego dnia rano chorego bada dr Andrzej Szaniawski. Potwierdza wcześniejsze rozpoznanie - zespół depresyjny reaktywny. Z przywiezionej dokumentacji, a także wywiadu lekarskiego wiadomo już, że nowoprzyjętego czeka osadzenie w więzieniu. Dostał osiem lat za spowodowanie po spożyciu alkoholu wypadku drogowego, w którym zginęły dwie osoby. Pacjent panicznie boi się zamknięcia go w celi; przed przyjęciem do szpitala chciał sobie odebrać życie i to było bezpośrednią przyczyną skierowania go do szpitala w Tworkach.

Dwa miesiące później z przebiegiem leczenia Stanisława G. zapoznaje się ordynator Urszula Ludwikowska, która wróciła z długiego urlopu. Wśród spraw do załatwienia czeka na nią, jako biegłą, pismo z sądu o sporządzenie opinii czy stan psychiczny pacjenta G. pozwala na osadzenie go w więzieniu po prawomocnym wyroku. Jest pytanie, kiedy konkretnie byłoby to możliwe.

Ordynator przygotowuje opinię z dr. Szaniawskim, który również jest biegłym. Istnieje zasada, że taki dokument zawsze wystawia dwóch psychiatrów (prokurator z warszawskiej Pragi chyba o niej nie wie, bo w akcie oskarżenia zarzucił ordynator, że protekcyjną opinię napisała, „wspólnie i w

porozumieniu" z kolegą).

Oskarżona wyjaśnia przed sądem: - Opieraliśmy się na obszernej dokumentacji lekarskiej z naszego szpitala i z poprzednich pobytów chorego w zakładach lecznictwa zamkniętego. W roku 2000 Stanisława G., który dwukrotnie usiłował odebrać sobie życie (na szyi miał tzw. bruzdę wisielczą), leczono w trzech różnych szpitalach, m.in. w wojskowym przy ul. Szaserów w Warszawie. Diagnozy stawiane jeszcze przed przyjazdem do Tworek brzmią: depresja na tle organicznym, padacz-

106

pourazowa, zespół lękowo-depresyjny. Gdzieś nawet rozpoznano zespół otę-pienny - takie objawy mógł sugerować stan depresyjny. Pacjent miał robione badania komputerowe.

Napisałiśmy w opinii dla sądu, że cierpi na depresję reaktywną, której podłożem są organiczne zmiany w mózgu. W tym stanie, póki nie zostanie podleczone, nie powinien być zamknięty w więzieniu.

Stanisław G. leżał w szpitalu do 14 grudnia 2000 roku, kiedy to uznaliśmy, że sytuacja jest na tyle opanowana, że można go wypisać na dalsze leczenie do domu.

W styczniu 2001 roku sąd zapytał, jak długo będzie trwała choroba skazanego z Ostrołęki. Wysłaliśmy opinię uzupełniającą (już bez badania pacjenta), że trudno określić dokładny termin. Depresję Stanisława G. pogłębiały zmiany organiczne mózgu, czego wyrazem były napady padaczkowe, stwierdzone też w innych szpitalach.

- Wnioskując depresję reaktywną - tłumaczy w sądzie drugi oskarżony - która ustąpi, gdy ustaną powodujące ją czynniki, proponowaliśmy przedłużenie leczenia w warunkach ambulatoryjnych, tak aby za pół roku powtórzyć badanie i wtedy termin bezpiecznego odbywania kary można doprecyzować.

jak wynika z akt śledczych, piekarz ponownie pojawił się w szpitalu w Tworkach 18 kwietnia 2001 roku, bo poprzedniego dnia usiłował się powiesić. Powiedział, że właśnie dostał wezwanie na rozprawę, gdyż do sądu nadeszła opinia psychiatrów ze szpitala w Gostyninie, że można go zamknąć w więzieniu. Nie mógł znieść tej myśli, zwłaszcza po artykule w lokalnej prasie, gdzie przedstawiono go jako mordercę, który powinien zgnić za kratami. W nocy targnął się na swoje życie. Odratowała go stale czuwająca żona.

Również w czasie tego drugiego pobytu inni lekarze ze szpitala w Tworkach rozpoznali to wszystko, co ordynator stwierdziła kilka miesięcy wcześniej.

Stanisław G. wyszedł 2 maja 2001 roku do domu na przepustkę (był długi weekend) i już się w Tworkach nie pojawił, bo został doprowadzony do więzienia.

???

Sąd powołuje na świadka Bożenę B. - filar wiedzy prokuratora o udziale lekarzy ze szpitala w Tworkach w ostrołęckiej ośmiornicy. B. jest przyprowadzona przez policjantów, odsiaduje bowiem wyrok za kolejne oszustwo - wyłudzenie kredytów z firmy Provident (w poprzednich, jako tzw. mały świadek koronny korzystała z nadzwyczajnego złagodzenia kary).

Kobieta wchodzi pewnym krokiem na salę rozpraw, z uśmiechem przygląda się publiczności. Tylko oskarżonych omija wzrokiem. Na stereotypowe pytanie sędziego, co świadkowi wiadomo w sprawie, odpowiada aroganckim tonem, że ma już dosyć tych wypytywań. Jak będzie chciała, to nic nie powie.

Ale mówi. Było tak: Stanisława G. poznała przez znajomego, którego matka, właścicielka sklepu spożywczego, zaopatrywała się w piekarni małżeństwa G. Gdy się

107

dowiedziała o wypadku samochodowym, postanowiła pomóc piekarzowi w uniknięciu odsiadki za kratkami.

Jej dobra znajoma Maria K., kierowniczką sekretariatu wydziału peniten-cjarnego w ostrołęckim

sądzie podsunęła pomysł - trzeba załatwić G. wariackie papiery. Ale żeby sąd odroczył wykonanie kary, skazany musi trochę poleżeć na szpitalnym łóżku w psychiatryku. I najlepiej byłoby, gdyby się targnął na swoje 3 życie.

-Ja znam wielu ludzi w Ostrołęce - chwali się świadek w sądzie po zdjęciu jej kajdanków - kiedyś, gdy pracowałam jako salowa w miejscowym szpitalu, pozna-33 łam tam doktorkę od psychiatrii, Elżbietę K. Załatwiała ludziom papiery na renty, ^ jeśli w ZUS-ie była odmowa. Byłam dla niej naganiaczem tego rodzaju interesantów. ii| Umówiłam się z nią telefonicznie, aby w przychodni przyszpitalnej przyjęła Stanisława G. Przed tą wizytą zawoziłam kilka razy Marię K. do piekarza na kolację, aby omówić całą sprawę. No i żeby dostała swoje pieniądze za fatywę. Wszyscy wiedzieliśmy, że G. był całkiem zdrowy na umyśle. Doktor Elżbieta K. też wiedziała, że będą potrzebne twarde papiery dla odroczenia kary.

- Jak wyglądało badanie tej lekarki? - pyta sędzia.

- Tak, uśmiecha się złośliwie Bożena B. - że nawet nie trzeba było mnie wy-'p3 praszać z pokoju. Doktorka rozumiała wszystko bez słów. Wypisała wsteczne papiery, bo nie może być tak, aby pacjent nigdy nie leczony od razu dostał skierowanie do Tworek. I dopiero gdy miała już zapisaną całą kartę chorobową, wystawiła skierowanie na leczenie szpitalne zgodne z naszym rejonem. Zapewniała, że wszystko pójdzie dobrze, bo ma w Tworkach znajomych psychiatrów, konkretnie doktor Urszulkę i ona już będzie wiedziała, co robić dalej. Na odchodnym pouczyła nas, że dla lekarza dyżurnego w izbie przyjęć szpitala trzeba mieć przygotowane 5000 złotych.

Następnego dnia pojechali w trójkę - małżeństwo G. i Bożena B. - do Tworek. Pod szpitalem byli późnym wieczorem.

- Weszliśmy do izby przyjęć - zeznaje świadek. - Tam powiedziało się dyżurnemu lekarzowi, że jesteśmy z prywatnego gabinetu dr K. z Ostrołęki i on bez badania skierował nas na pierwsze piętro. Piekarzowa wyjęła z koperty 5000 zł i zostawiła na biurku. (- To dziwne, że akurat ta rzekoma łapówka pozostała poza zainteresowaniem prokuratora. Nie pasowała do linii oskarżenia? - powie później pełnomocnik dr Urszuli Ludwikowskiej).

- Następnie - wyjaśnia była salowa - poszliśmy na piętro do gabinetu dr. Szaniawskiego. Tam już się rozmawiało bez owijania w bawełnę. To znaczy G. miał się nie odzywać, a ja powiedziałam wprost, że on musi udawać chorego, bo inaczej będzie siedział. Doktor na to, że pójdzie nam na rękę i nawet zrobi tak, aby G. nie musiał z tymi głupkami zbyt długo leżeć. Ale chyba zdajemy sobie sprawę, że się naraża, bo sprawa dotyczy wyroku. I jeszcze wspomniał (Bożena B. odwraca się

108

w stronę oskarżonego, który kręcąc przecząco głową ukrył twarz w dłoniach), że ma J~j wydatki na działkę, odciepli mu prąd. Tak że pieniądze się przydadzą. \$a>

Wtedy położyłam na biurku 2000 złotych w kopercie. Dałam mu do zrozumie- ^ nia, że jeszcze więcej dostanie, jeśli się postara. Doktor nie przeliczał przy nas. Po- PQ wiedział tylko, że on sam opinii do sądu nie będzie pisał, musi to zrobić z ordyna- ^ torką. Zapytaliśmy, co możemy dać dr Ludwikowskiej na prezent. o

- Kupcie jakiegoś rupiecia. Ona kocha się w antykach - poradził.

- A jak oskarżony był ubrany? - pyta adwokat

- Normalnie. W krótkim fartuchu, z tyłu rozciętym.

Doktor Szaniawski wyjaśnia, że z uwagi na trudności z dopasowaniem kitla do ją swej postury nie chodzi w szpitalu w fartuchu.

Z zeznania Bożeny B. wynika, że piekarz dostał od tego lekarza numer jego pry- |3E watnego telefonu.

W szpitalu Stanisław G. leżał do 14 grudnia 2000 roku. W czasie tej hospitaliza- Q cji sąd w Ostrołęce otrzymał opinię, której treść komentowali na sali oboje oskar-żeni. Ponowny przyjazd do szpitala w kwietniu 2001 roku to, jak zeznaje Bożena B., CM pomysł sekretarki z wydziału penitencjarnego, która pilotowała sprawę w sądzie i uznała, że skazanego trzeba jeszcze raz



położyć, aby sąd się upewnił, że wykonanie wyroku jest niemożliwe. To wtedy dr Szaniawski miał poradzić telefonicznie piekarzowi - który dzwonił na jego komórkę w czasie jazdy do Tworek - aby zrobił sobie sznurkiem bruzdę na szyi. Dla upozorowanie próby samobójstwa.

- Ponieważ wiedzieliśmy od Marii K., że przyjdzie zapytanie z sądu i dr Ur-szulka wypisze opinię - zeznaje Bożena B - kupiliśmy jej prezent. - Najpierw myśleliśmy o siedemnastowiecznym fortepianie, ale ostatecznie żona G. wybrała ozdobę na stół w kształcie winogrona. W Pułtusku w sklepie z pamiątkami kosztowało to 800 złotych. I jeszcze do tego była szkatułka, którą daliśmy za drugim pobylem.

- W gabinecie pani ordynator - świadek chętnie zeznaje, byle tylko jej nie przerywać, wtedy robi się agresywna - położyliśmy prezenty na biurku, ja przekazałam pozdrowienia z Ostrołęki i kazałam wypełnić papiery dla sądu według instrukcji od pani Marii, którą nam wypisała. W opinii musiało się znaleźć sformułowanie, że pacjentowi nie wolno przebywać w pomieszczeniu zamkniętym. Ordynator po obejrzeniu winogrona powiedziała, że bardzo ładne i teraz z pewnością pomoże. Już z jej pierwszych słów zorientowałam się, że łapie o co nam chodzi.

- Pani opisuje sytuację inaczej niż w śledztwie - irytuje się sędzia Albert Parzy-szek, wyliczając niezgodności - która wersja jest prawdziwa?

- Czy ja muszę odpowiadać na te wszystkie pytania? - Bożena B. podnosi głos - składałam zeznania dotyczące setek spraw i osób, już mi się wiele rzeczy myli, łącznie z nazwiskami. A poza tym, ja mam taką naturę, że nie przywiązuję wagi do pewnych szczegółów. Teraz wszyscy mają do mnie pretensje, ale gdy trzeba było załatwić,

109

żeby człowiek nie poszedł do mamra, to do mnie jak w dym, bo ja każdemu chciałam pomóc. Choćby z tymi rentami. Lekarze orzecznicy brali pieniądze, nie wywiązywali się z obietnicy, a ludzie mają pretensje do mnie, bo ja pośredniczyłam.

Niewzruszony tą tyradą sędzia nadal wykazuje, że świadek jest niekonsekwentna: - Z protokołu przesłuchania w śledztwie wynika, że pani w czasie pierwszego przyjazdu z małżeństwem G. do szpitala, w Tworkach dała doktorowi Szaniawskiemu 2000 złotych. W kolejnej godzinie składania zeznań pani podaje, że nie widziała wtedy oskarżonego. Następnie usłyszeliśmy, że te pieniądze wręczył doktorowi Stanisław G.

Świadek: - Przedtem mówiłam to, co zapamiętałam. Dzisiaj zeznaję samą prawdę. W dniu przyjęcia G. do szpitala, Szaniawskiego tam nie było.

Kolejny świadek - właściciel sklepu z pamiątkami w Pułtusku, u którego żona Stanisława G. kupiła „dowód wdzięczności” dla ordynatora twierdzi, że nigdy nie miał w swoim sklepie ozdoby w kształcie winogrona za 800 złotych. Bibelot okazany mu na zdjęciu z akt kupił we Francji, gdy był tam na wycieczce. Za sztukę zapłacił 10 franków, to cena paczki papierosów. Szkatułkę widzi pierwszy raz w życiu.

Biegły rzeczoznawca, który na zlecenie sądu sporządził wycenę kiści winogron stwierdza, że tego rodzaju przedmioty są sprowadzane z Chin i w roku 2001 wartość jednego egzemplarza wynosiła około 45 zł, wliczając 100 procent marży. Natomiast drewnianą szkatułkę, której zdjęcie jest w akcie oskarżenia można kupić za 55 złotych.

???

O tym, jaką rolę w sprawie piekarza odegrała oszustka B., opowiada przed sąde jego żona Magdalena:

Stanisław G. dotarł przez znajomych do Bożeny B., gdy panicznie bojąc się więzienia, szukał sposobu na pozostanie na wolności. Kobieta zapewniła go, że ma znajomości w sądzie i wśród psychiatrów, więc położyła go na łóżku w Tworkach i tam dostanie wariackie papiery.

- To wszystko kosztowało, ona w sumie wzięła od nas około 70000 złotych - zeznaje Magdalena G.

Przed wyjazdem do szpitala Bożena B. kazała jej przygotować 2000 złotych dla lekarza. Podjechali pod izbę przyjęć, piekarzowa, która została w samochodzie, dała „kuzynce” pieniądze i

oboje poszli do izby przyjęć. B. wróciła po pół godzinie z dobrą wiadomością, że Stasiak jest przyjęty.

- Zapytałam, co z pieniędzmi, a ona, że wziął taki jeden lekarz, ale nie podała jego nazwiska. Dopiero po jakimś czasie mi powiedziała, że to był doktor Szaniawski. Nie wiem, za co mu płaciła. Po dwóch tygodniach pojechałam z B. do męża do szpitala. Wtedy z tym psychiatrą się nie widziałam, dopiero po miesiącu, gdy mężowi

110

już bardzo tęskniło się za dziećmi i chciał wyjść na przepustkę. W zasadzie nie by- ^ }o przeszkód, ale z własnej inicjatywy dałam doktorowi 500 zł, choć on mówił mi, że nie trzeba. Mąż pobyl trochę w domu i wrócił na szpitalne łóżko. Gdy za drugim Jjjj pobylem wiosną 2001 roku znów dostał na niedzielę przepustkę, już do Tworek nie ct; dojechał, z domu zabrali go do więzienia.

Ni

Magdalena G. nie pamięta, czy przekazywała Bożenie B. jeszcze inne pieniądze o w związku z pobytem męża w szpitalu.

Z panią ordynator miała kontakt tylko raz, kiedy wręczyła jej winogrona. Ale bez szkatułki. Świadek nie wie, co to jest antyk - nie zna się na sztuce (czy to coś, pyta, co się mieści w reklamówce?), z zawodu jest murarzem. ?2J

W sądzie odwołuje niektóre wyjaśnienia ze śledztwa: - Powiedziałam, że oso- r—l

biście wręczyłam 2000 złotych dr. Szaniawskiemu, teraz mówię, że to nieprawda, Łapówkę dla doktora dałam Bożenie B. przed szpitalną bramą, nie wiem, co z nią zrobiła. Q

W śledztwie zeznawałam tak jak chcieli, bo bałam się, że pójde za kratki i nie ^ wiadomo, co będzie z dziećmi. Mąż już odbywał karę. Przywieziono mnie do proku- p\*» ratury i policjant straszył, że długo posiedzę. Potem zaprowadzili mnie do innego pokoju, gdzie czekał mój Stasiak w kajdankach. Płakał, błagał, żebym podpisała tak jak chcą, poddała się dobrowolnie karze, bo co będzie z dziećmi, pójda do sierocińca. A tak, to zostanę na wolności - policjant mu to obiecał. Więc przyznałam się i postawiono mi zarzut wręczenia korzyści majątkowej.

Oskarżony potwierdza, że w sprawie Stanisława G. najczęściej kontaktował się z Bożeną B. Upoważnił go do tego pacjent, przedstawiając tę kobietę jako kuzynkę i była pielęgniarkę. Bożena B. mówiła mu, że jest potrzebna opinia do sądu, prosiła, aby była życzliwa.

- Odpowiedziałem, że musi być rzetelna. Unikałem potem z nią kontaktu, gdyż ekspresyjnie skracała dystans. Za drugim razem usiłowała dać mi buzi. Nigdy nie wręczała mi pieniędzy, w ogóle nie było rozmowy na ten temat.

Doktor Andrzej Szaniawski zaprzecza też oskarżeniu, że żona Stanisława G. położyła mu na biurku kopertę z 500 zł łapówki, bo chciała, aby mąż dostał przepustkę.

- Nie było żadnych przeszkód, aby pacjent wrócił na kilka dni do domu. Rozmawiałem z nim o tym, nawet namawiałem, ale on się obawiał ojca jednej z ofiar wypadku, który spowodował. Podobno ten człowiek już na rozprawie w sądzie groził, że zastrzeli zabójcę jego syna, miał pozwolenie na broń. G. z trudem został nakłoniony do wyjścia na przepustkę, dlatego zarzut, że w tej sprawie mnie przekupiono, uważam za absurdalny.

Przed sądem staje wsparty o kule (to pozostałość po tragicznym wypadku samochodowym). Stanisław G. potwierdza, co mówił w śledztwie, że przed pobytem w szpitalu w Tworkach chciał się powiesić, nie pamięta, ile było takich prób. Gdy ponownie został przyjęty, leżał na innym oddziale niż poprzednio, nie miał kontaktu

111

ani z dr Ludwikowską, ani z dr. Szaniawskim. Nie rozmawia! telefonicznie z oskar-«s< żonym, jak ma się zachować, aby być przyjętym do szpitala psychiatrycznego. To Bożena B. instruowała

go, mówiła o tej bruździe robionej sznurkiem na szyi. Świa-  
5--I

ją dek nie pamięta, czy to było w trakcie pierwszej, czy drugiej podróży z Ostrołęki do Tworek.

Uważa, że w opinii sporządzonej przez oskarżonych napisano to, co się z nim działo. W trakcie pobytu w szpitalu i rozmów z lekarzami nie udawał, bo nie potrafi. Naprawdę po wypadku chciał się powiesić, ale żona go odratowała.

Na temat powtórnego przyjęcia Stanisława G. do szpitala w Tworkach - w kwietniu 2001 roku - zeznaje też pracująca tam od 40 lat psychiatra dr Elżbieta Małec-ka-Bańska.

- Pacjent przyjechał w późnych godzinach wieczornych ze skierowaniem psy-chiatrycznym ZOZ w Ostrołęce. Wypisane w nim rozpoznanie wstępne brzmiało: stan po próbach samobójczych, zaburzenia depresyjne reaktywne. Lekarz w izbie przyjęć potwierdził diagnozę, odnotował też bruźdę wisielczą na szyi Stanisława G.

Sąd: - Czy taka bruźda może być udawana?.

- Nie budziła wątpliwości. Ale przy ocenie aktualnego stanu zdrowia pacjenta, w momencie przyjęcia nie kierowaliśmy się tylko tym symptomem. Rozpoznanie moje brzmiało: zespół depresyjny, padaczka pourazowa. Zleciłam leki przeciwpadaczkowe.

Sędzia: - Gdyby miała pani opiniować w kwestii, czy stan, w jakim był G., pozwala na odbywanie kary w więzieniu, jaką dałaby pani odpowiedź?

Świadek zagląda do dokumentacji lekarskiej - pacjent był po trzech próbach samobójczych i miał też epizod depresyjny w stopniu umiarkowanym, co wymaga leczenia. Stan depresyjny pana G. spowodowany był groźbą odbycia kary, ale trzeba pamiętać, że dotyczyło to osoby z pourazowym uszkodzeniem ośrodka nerwowego, reagującej inaczej niż człowiek zdrowy. Dalsze leczenie mogłoby doprowadzić do stanu pozwalającego na ukaranie pozbawieniem wolności. Ale w momencie, gdy sąd domagał się opinii, uczciwość pracujących pod przysięgą biegłych kazała stwierdzić, że nie można takiego człowieka zamykać za kratami, bo targnie się na swoje życie.

Sędzia: - Czy możliwe jest, że pacjent symulował chorobę, mając instrukcję od innego psychiatry?

- Symulacje - tłumaczy dr Małeczka-Bańska - to jeden z problemów psychiatrycznych. Czasem trudno je odróżnić. Zaburzenia reaktywne trwają latami, doprowadzają do głębokiej regresji zachowań, zwłaszcza u osoby z organicznym uszkodzeniem ośrodka układu nerwowego. G. był wcześniej w innych szpitalach i tamtejsi lekarze stawiali diagnozę podobną do naszej.

Sędzia: - Inaczej: Czy to znaczy, że w sprawie rozpoznania choroby kontaktowała się pani z oskarżonymi?

Świadek: - Nawet mi to nie przyszło do głowy.

112

przed sądem staje kolejna grupa ważnych w sprawie świadków - to psychiatrzy z innych szpitali niż w Tworkach, którzy na zlecenie sądu wydawali opinie o chorobie Stanisława G. Konkretnie mieli odpowiedzieć na pytanie, czy stan zdrowia skazanego na tyle uległ zmianie, że może on odsiadywać wyrok.

W marcu 2001 roku (czyli dwa miesiące po wydaniu przez oskarżonych suplementu do swej opinii) dwoje specjalistów biegłych sądowych ze szpitala psychiatrycznego w Gostyninie, dr Beata Swendrowska i dr Ryszard Wardeński, stwierdziło, że nie ma przeszkód w odbyciu kary przez Stanisława G.

Po latach, przed sądem, psychiatrzy z tego ośrodka już nie są tacy jednomyślni jak w 2001 roku. Zmieniła zdanie dr Swendrowska.

- Potwierdzam - zeznaje - że wydając w 2001 roku opinię przeciwną do autorstwa dziś oskarżonych nie miałam kontaktu z pacjentem, opierałam się na załączonej dokumentacji. Ale ja w 2001 roku dopiero startowałam w zawodzie psychiatry. Dziś tak bym nie postąpiła, czuję z tego powodu dyskomfort. Prawdopodobnie założyliśmy, że stan pacjenta się poprawił. Od tamtej pory wystawiłam wiele opinii, ale zawsze pacjenta badałam.

-Ale państwo mieli dokumentację lekarską, która kończyła się w grudniu 2000 roku, a opinię wydaliście w marcu 2001 roku - zauważa obrońca oskarżonych. Czyli brakowało danych o pacjencie z czterech ostatnich miesięcy.

Lekarka: - Teraz zdaję sobie sprawę, że w międzyczasie mogły zajść istotne zmiany w zdrowiu badanego. Nasz wniosek był oparty tylko na jednej przesłance i nie do końca przemyślany.

- Co skłoniło panią do sformułowania opinii, że skazany G. cierpi na depresję reaktywną, wywołaną stresem po wypadku, czyli uwarunkowaną sytuacyjnie? - pyta drugi pełnomocnik oskarżonych.

Odpowiedź świadka jest szczegółowa: - Po analizie historii choroby G. nadesłanej ze szpitala w Tworkach myśmy stwierdzili, że rozpoznanie nie budzi wątpliwości. W tych dokumentach zawarto opis typowych objawów zespołu depresyjnego. Różnica polegała na tym, że wiązaliśmy depresję ze stresem przed więzieniem. A nie z wypadkiem drogowym, który zdarzył się cztery lata wcześniej. Sugerowaliśmy się tym, że udokumentowane objawy depresji nie pojawiły się tuż po kraksie na drodze, ale w miarę zbliżania się terminu przekroczenia przez skazanego bramy więzienia. W szpitalu w Tworkach jego stan się poprawił, co znaczyło, że depresja jest podatna na leczenie. W naszej opinii mogłaby ustąpić z chwilą zniknięcia czynnika reaktywnego, czyli kary pozbawienia wolności. A ponieważ było to niemożliwe, objawy depresyjne mogły się utrzymywać i nie miało sensu odwlekanie odbycia kary w izolacji.

Teraz trudno mi się zgodzić z podpisaną przeze mnie diagnozą. Dziś nie wydałabym jej bez uprzedniego osobistego zbadania opiniowanego. Prawdopodobnie

113

W stwierdziłabym mieszane przyczyny zespołu depresyjnego. Pierwsza, to organiczne podłożę, drugą byłaby utrata zdrowia w wyniku wypadku, poczucie winy, obawy o przyszłość, także przed grożącą karą. Przy tego typu objawach jak zostały opisane przez biegłych z Tworek, powiedziałabym podobnie jak oskarżeni.

W tym momencie oskarżona dr Urszula Ludwikowska oświadcza: - Mnie uczo-HŁ no, że póki pacjent żyje, trzeba przed wydaniem opinii go zbadać. Psychiatrzy \*!| z Gostynina potwierdzili naszą diagnozę. Różnimy się w konkluzji, czy można ska-O zanego w takim stanie wysłać do więzienia. Dla prokuratora był to koronny dowód, że pierwsza diagnoza, na skutek przekupstwa, została napisana stronniczo. Nic bar-?EJ dziej mylnego z medycznego punktu widzenia.

Wezwany na tę samą wokandę drugi autor opinii z Gostynina, dr. Ryszard War-deński podtrzymuje swoje orzeczenie z 2001 roku.

H

- Każdy człowiek czegoś się boi - dowodzi. - To, co odczuwał Stanisław G. nie miało cech choroby psychicznej. Zresztą, w więzieniu jest specjalistyczna opieka lekarska.

- A gdyby zmienić podstawę depresji reaktywnej - nie wypadek, ale obawa przed karą? - dopytuje sędzia.

- To byłoby tylko zaburzenie nerwicowe.

- Czy w związku z tym, że mieli państwo inne zdanie niż koledzy po fachu ze szpitala w Tworkach, nie należało zbadać pacjenta? - to kolejne pytanie zza sędziowskiego stołu.

- Nie czuliśmy takiej potrzeby, bo do wydania w tej konkretnej sprawie opinii wystarczyła znajomość kryteriów diagnostycznych. Owszem, braliśmy też pod uwagę inne depresje wynikające z uszkodzenia ośrodkowego układu mózgowego, ale ostatecznie uznaliśmy, że mamy do czynienia z depresją spowodowaną lękiem przed więzieniem.

-A dlaczego państwo wykluczyli depresję organiczną? Dysponowaliście diagnozą prof. dr. Jana Podgórskiego, neurochirurga ze szpitala wojskowego przy ul. Szaserów w Warszawie, która została wydana cztery miesiące przed wydaniem opinii w Tworkach - drąży temat sędzia.

- Aby stwierdzić depresję w wyniku uszkodzenia ośrodka mózgowego trzeba by więcej badań - broni swej opinii bardzo pewny siebie psychiatra z Gostynina.

Jeszcze pytania adwokata: - Czy można ocenić stan zdrowia psychicznego tylko na podstawie

dokumentacji lekarskiej?

- Można - pada kuriozalna odpowiedź. - Co innego sztuka lekarska, a co innego opinia biegłych sądowych. Sąd w Ostrołęce oczekiwał od nas wydania opinii na podstawie akt sprawy. I absurdalne są oczekiwania, abym dysponował wiedzą o stanie pacjenta w dniu wydawania opinii.

- Ale w opinii oskarżonych jest informacja, że w trakcie pobytu w szpitalu Stanisława G. wystąpił u niego napad padaczkowy - przypomina pełnomocnik dr Ludwikowskiej.

114

Świadek i na to ma gotową odpowiedź: - Nie wypowiadali się w kwestiach neurologicznych, bo nie było takiej potrzeby, skoro nie rozpoznali u pacjenta uszko- p qj dnia organicznego. Ich diagnoza brzmiała - depresja psychogenna sytuacyjna. A poza tym sam fakt stwierdzonej depresji organicznej nie stanowi automatycznie ct^ przeszkody do odbywania kary. W więzieniach siedzi wielu epileptyków...

Sąd powołuje też na świadków autorów badania sądowo-psychiatrycznego prze- o prowadzonego w maju 2006 roku przez psychiatrów z Łodzi, Janusza Bielę i Joannę Marchwicką. Zażądała tego Prokuratura Okręgowa Warszawa-Praga Wydział do Spraw Przestępczości Zorganizowanej. To ta placówka nadzorowała śledztwo w sprawie ostrołęckiej ośmiornicy. ją

Stanisław B. był badany w więzieniu, w którym odsiadywał wyrok. Kara kończy ^ mu się w 2011 roku, ale skazany wie, że od stycznia 2007 roku nabywa uprawnie- Jae nia do przedterminowego zwolnienia. Z opinii, jaką wydał o więźniu wychowawca ^ wiadomo, że G. bardzo się stara, aby zasłużyć na szybsze wyjście na wolność. Jest Q wielce prawdopodobne, że ta perspektywa wpłynęła w roku 2006 na jego odpo- ^3 wiedzy w wywiadzie łódzkich psychiatrów. Skazany ma przecież w celi gazety, oglą- p-\$ da telewizję, zapewne widział w telewizji reportaż o aresztowanej ordynator ze Szpitala Psychiatrycznego w Tworkach.

Nie mógł wiedzieć, że obraz jest manipulowany; jako dom dr Ludwikowskiej pokazano należąca do kogoś innego okazała nowobogacką willę. Tylko wnętrze było prawdziwe, czego nie można powiedzieć o komentarzu autora audycji. Gdy kamera najeżdżała na obrazy na ścianach, między innymi portret właścicielki z czasów jej dzieciństwa, dziennikarz mówił, że są to dowody korupcji lekarki. Bo lubiła przyjmować od pacjentów stare obrazy, antyki.

Psychiatrzy z Łodzi w swej opinii przytoczyli wypowiedź skazanego piekarza, że „całe to leczenie w Tworkach nakręciła Bożena B.", która instruowała go, jak ma się zachowywać podczas badania psychiatrycznego. Przed wejściem do szpitalnej izby przyjęć kazała mu natrzeć szyję sznurkiem, żeby upozorować samobójstwo.

Janusz Biela i Joanna Marchwicka oceniali stan psychiczny więźnia Stanisława G, a dokładniej, jego poczytalność (co jest odrębnym zagadnieniem sądowo-psychia- trycznym, nie mającym związku z wyrokiem), w sześć lat po pobycie w Tworkach i w oparciu jedynie o opinię biegłych gostynińskich z marca 2001 roku. Stwierdzili, że nie jest chory psychicznie ani otepiały. Nie ma organicznych zmian w obrębie mózgu, jeżeli w czasie leczenia w szpitalu w Tworkach ujawniło się u pacjenta jakiegokolwiek zaburzenie psychiczne, wynikało jedynie z przygnębienia, uzasadnionego toczącym się postępowaniem karnym.

W dwa lata po wydaniu opinii nadal są zdania, że jeśli G. w Tworkach przejawiał jakiegokolwiek zaburzenia psychiczne, to wynikały one z obawy przed grożącą mu karą. Nie przeszkadzało to odsiadywaniu kary w więzieniu.

115

w

V A

O

Cg M li

Są przekonani, że w 2001 roku oskarżony upozorował próbę samobójczą, wszystkie jego reakcje były wyreżyserowane. Tak przekonująco, że gdyby nie mieli informacji od lekarzy z Gostynina (którzy też przecież nie widzieli pacjenta), że G. jest świetnym aktorem, to potwierdziliby depresję.

Komentarz oskarżonej ordynator na rozprawie: - Biegli łódzcy piszą w swej diagnozie o zaburzeniach, które nazywają zespołem przygnębiennym. Ja nie znam takiego pojęcia medycznego w klasyfikacji międzynarodowej chorób. I w odróżnieniu od nas, psychiatrów z Tworek, negują organiczne zaburzenia chorobowe. Jednocześnie podają, że pacjent jest leczony przeciwpadaczkowo. Przede wszystkim trzeba by ustalić, czy mówimy o stanie zdrowia tego człowieka w maju czy jesienią 2006 roku. Od pierwszej opinii upłynęło sześć lat i stan zdrowia mógł ulec zmianie.

Sąd jeszcze sięga po opinię neurologa. Doktor Henryka Tykocka stwierdza, że Stanisław G. po wypadku w 1997 roku kilkakrotnie leżał w klinice neurologii i epileptologii, skąd wyszedł z diagnozą, że cierpi na padaczkę. W miarę upływu lat jego stan zdrowia się poprawił, ale „silna komponenta nerwowa może nasilić napady padaczkowe, więzieni musi więc przyjmować leki, które takim sytuacjom mogą zapobiec”.

?tsj

Prokuratura (na każdej rozprawie jest inny jej przedstawiciel) w obronie sypiącego się aktu oskarżenia występuje z wnioskiem o czwartą już opinię biegłych psychiatrów, tym razem z Ośrodka Psychiatrii Sądowej Szpitala Specjalistycznego im. dr. Józefa Babińskiego w Krakowie.

Pytanie brzmi: - Czy w świetle dokumentacji medycznej Stanisława G. znajdującej się w aktach sprawy opinia sporządzona przez oskarżonych jest prawidłowa i zgodna z zasadami sztuki lekarskiej, a w szczególności, czy w dniu, gdy została napisana, istniały przeciwwskazania do zamknięcia G. w więzieniu?

Biegli psychiatrzy z Ośrodka, Krystyna Sosińska-Stępniewska i Ewa Burzyńska--Rzucidło, orzekli: „Opinie z Tworek i Gostynina nie są sprzeczne, bowiem były wydane w innym czasie. Słusznie, jak wynika z analizy dokumentacji medycznej, za podłoże ujawnianych przez pacjenta objawów depresyjnych przyjęto zagrożenie karą pozbawienia wolności. Nie budzi także zastrzeżeń rozpoznanie u opiniowanego zmian organicznych ośrodkowego układu nerwowego (...). Ze względu na obecność objawów depresyjnych sytuacyjnych i współistnienie wspomnianych zmian organicznych, które mogą upośledzać zdolności adaptacyjne, wydaje się rozsądna stwierdzona niemożność odbywania kary przez Stanisława G. i kontrolna ocena jego stanu psychicznego za pół roku. Zatem opinia dr Urszuli Ludwikowskiej i dr. Andrzeja Szaniawskiego jest prawidłowa i zgodna z zasadami sztuki lekarskiej.

???

Proces w sądzie pierwszej instancji dobiegł końca. Prokurator wnosi o uznanie winy dr Urszuli Ludwikowskiej, skazanie jej na rok pozbawienia wolności oraz 50 stawek dziennych, licząc po 30 zł za jedną. Doktora Andrzeja Szaniawskiego natomiast 11f,

chce skazać na rok więzienia i 100 stawek. - Takie kary - stwierdza pod koniec lakonicznego wyводу - odzwierciedlają wagę czynu, którego się dopuściły osoby pełniące zawód zaufania publicznego.

Kolej na mowy adwokatów. Radosław Baszuk i Andrzej Tomaszewski, pełnomocnicy dr Urszuli Ludwikowskiej, przytaczają nieprawdziwe twierdzenia z aktu oskarżenia. To długa lista. Przede wszystkim akcentują, że zarzuty zostały oparte na zeznaniach niewiarygodnej kryminalistki Bożeny B.

-Jakim motywem kierowała się kilka lat temu prokuratura dla Warszawy-Pragi, wyświadczając dobrodziejstwo oszustce, aby uniknęła kary i mogła pomówić skądinąd powszechnie szanowane osoby? - zastanawia się mec. Baszuk. I daje do zrozumienia, że powody były polityczne, pod dyktando góry, czyli prokuratora krajowego.

Adwokaci wykazują, że oskarżenie dr Ludwikowskiej o sporządzenie nieprawdziwych opinii nie znajduje potwierdzenia w materiale dowodowym. Padają przykłady sprzeniewierzenia się przepisom prawa na etapie postępowania przygotowawczego. Zdaniem mecenasów nie są to tylko

przejawy niechlujstwa zawodowego. Usuwanie z akt prokuratorskich niewygodnych dla oskarżyciela zeznań świadków, szantażowanie żony pacjenta w prokuraturze przez funkcjonariusza policji świadczą o celowym kreowaniu faktów przez organa ścigania.

Mecenas Tomaszewski nie oszczędza też jednego z biegłych z Gostynina - dr. Wardeńskiego, przytaczając jego kuriozalne zdanie wygłoszone przed sądem, że „co innego sztuka lekarska, a co innego wydawanie przez lekarza opinii sądowej”. A analizując ekspertyzy psychiatrów z trzech ośrodków dochodzi do wniosku, że lekarzom ze szpitala w Tworkach wytoczono proces za poglądy medyczne, bowiem żaden zespół biegłych powołany przez prokuratora nie zakwestionował diagnozy oskarżonych.

Druzgocącą krytykę aktu oskarżenia przeprowadzają też obrońcy dr. Szaniawskiego. Ich wspólnie napisane wystąpienie liczy 30 stron. Jego generalna teza - żadne z zeznań świadków nie pozwala postawić dr. Andrzejowi Szaniawskiemu zarzutu, że wziął łapówkę. Te, które były niekorzystne dla oskarżonego, zostały wymuszone albo uzyskane za obietnicę zwolnienia świadka z ciężącego na nim zarzutu. Ze strony prokuratury nie była to uczciwa taktyka. Przemilczano też, że wielokrotnie karana oszustka B. zdecydowała się na współpracę z prokuraturą. A to w zupełnie innym świetle stawia jej wyjaśnienia. Dlatego obrońca dr. Andrzeja Szaniawskiego, Anna Czepkowska, wyznaje na koniec, że ta sprawa zachwiała jej przekonaniem o praworządności w Polsce.

???

Dwa tygodnie później zapada wyrok:

Zarówno była ordynator dr Ludwikowska, jak i pracujący z nią dr Szaniawski zostali całkowicie uniewinnieni od głównego zarzutu wydania fałszywej opinii o stanie psychicznym Stanisława G.

117

o <  
."-1  
|M ?>  
K  
M  
M  
JA  
1\*3  
O

O ># \*!

Drugi zarzut dotyczył „dowodu wdzięczności”, jaki miała wręczać lekarzom żona Stanisława G. W przypadku ordynator Ludwikowskiej sąd uznał, że nie można traktować tej rzeczy jako łapówki. I również z tego zarzutu uniewinnił oskarżoną. Inaczej natomiast został oceniony zarzut przyjęcia 500 zł przez dr. Andrzeja Szaniawskiego za wypisanie G. ze szpitala na przepustkę. Choć oskarżony zaprzeczał, aby przyjął jakieś pieniądze, sąd nie dat mu wiary i skazał na osiem miesięcy w zawieszeniu oraz grzywnę w wysokości, która już została „odsiedziana” w areszcie. Wyrok nie jest prawomocny. Doktor Szaniawski będzie się odwoływał.

„I

o

N

a fotel dyrektora naczelnego Peweksu wyniosła go zakładowa „Solidarność”. W burzliwym roku 1992 była to najlepsza rekomendacja, ważniejsza od dyplomu. Zbigniew H. skończył technikum leśne, wcześniej pracował w tartaku na Opolszczyźnie. I nagle, z dnia na dzień, awansowano go na szefa 4485 pracowników obsługujących 850 sklepów. Do majątku firmy należały też tysiące mieszkań w blokach i inne nieruchomości...

Eksponowane stanowisko w Peweksie to było jak dostanie się do raju. Nie tylko z powodu wysokiej pensji, ale również codziennego kontaktu z dobrami Zachodu. Stary dowcip o milicjancie, który wszedł do Peweksu, przeskoczył przez ładę i poprosił o azyl, dobrze oddawał atrakcyjność tego miejsca. Nie było przypadkiem, że jednym z dyrektorów centrali został słynny superszpieg Marian Zacharski, po wypuszczeniu go z rąk CIA.

Na półkach Przedsiębiorstwa Eksportu Wewnętrzznego Pewex kusily oko butelki z coca-colą, czekolada Toblerone, gumy do żucia Donald i Turbo, ananasy w puszcze, chałwa, pomarańcze, banany Chiquita, ser żółty ementaler, kawa Nescafe, tytoń Amphora, brandy Napoleon, papierosy Marlboro, Dunhill, Rothman's, Lord i Kim. W dziale gospodarczym stały komputery ZX Spectrum i Atari, magnetowidy Sanyo i Gold Star, kasety TDK, długopisy Bic, klocki Lego, dzinsy Rifle i Montana, mydło Fa, płyn po goleniu Hatrick, szminki Yardley, perfumy Wild Musk i proszek Orno. Z dobrodziejstw eksportu wewnętrznego (tym oksymoronem określano sprzedawanie za prawdziwe pieniądze, czyli walutę wymienialną, towarów, których nie można było w PRL kupić za złote) korzystali nieliczni uprzywilejowani, dysponujący dolarami lub bonami Pekao.

Zbigniew H. mógł uznać, że złapał Pana Boga za nogi. Tylko jednego nie przewidział. Tuż przed jego awansem Sejm w ekspresowym tempie uchwalił pakiet ustaw znanych jako plan Balcerowicza. I zaczęła się wielka reforma gospodarcza. Pewex nie był przygotowany do konkurencji z tysiącami obrotnych Polaków, którzy od 1990 roku zaczęli zwozić do Polski, często przemycając przez granice, wszelkie do niedawna nieosiągalne towary. Skończyło się oglądanie głodnym wzrokiem witryn Peweksu przez tych, którzy nie mieli „zielonych”. W 1992 roku straty Przedsiębiorstwa Eksportu Wewnętrznego wyniosły 41 mln zł (po denominacji). Ratowano się obniżką cen na towary przeterminowane lub uszkodzone. Do historii przeszły kraby w puszcze, które powinny być zjedzone rok wcześniej.

Wyzbycie się z magazynów nieświeżych owoców morza niewiele pomogło. Do warszawskiego przedsiębiorstwa weszła NIK. Inspektorzy Izby skrytykowali niekorzystne kontrakty, np. na sprowadzoną do Polski amerykańską rewię na lodzi, nadmierne inwestycje, niefortunnie przeprowadzoną komputeryzację w jednym ze stołecznych domów handlowych.

Po kontroli całe kierownictwo warszawskiego oddziału Peweksu dostało wymówienia.

119

Ale przetasowanie rządzącej ekipy nie powstrzymało zamówionych za granicą dostaw, rosły więc zapasy nie sprzedanych towarów.

Pewex był dłużny zagranicznym kontrahentom 70 mln dolarów.

Od października 1992 roku w centrali przedsiębiorstwa wprowadzono zarząd ko-W misaryczny. Zbigniew H. zmienił tylko wizytówkę na drzwiach swego ciągle jesz-iH cze okazałego gabinetu w hotelu Marriott. Nie był już dyrektorem naczelnym, lecz komisarzem, odpowiedzialnym za postępowanie naprawcze. Pewexowi groziła upadłość, jeśli zagraniczni wierzyciele stracą cierpliwość. Firma nie miała pieniędzy na ^ wykupienie zamówionych towarów.

Komisarz H. pytany przez dziennikarzy, czy ma jakąś koncepcję wyjścia z impasu, bez zająknięcia referował program, który rok wcześniej przedstawiało jako swój Ministerstwo Handlu.



Zgodnie z tym planem Pewex stałby się holdingiem spółek produkujących elektronikę, odzież i żywność. W małych miastach do spółki mieli dołączyć drobni hodowcy. Koniec z towarami za bony.

Iluzoryczna koncepcja Peweksu dla ubogich nie zmieniła renomy firmy z motylkiem w logo jako niesolidnego dłużnika. Z wnioskiem do sądu gospodarczego o ogłoszenie upadłości przedsiębiorstwa wystąpiła firma Masch Spitzer-Mileger z Bazylei. Pewex był jej winien prawie 3 500 000 dolarów, a razem z karnymi odsetkami - około 5 milionów. Odbyła się już pierwsza rozprawa. W kolejce czekały wnioski od następnych wierzycieli: włoskiej firmy Super Rifle, która od dwóch lat nie dostała pieniędzy za dzinsy i kurtki - z odsetkami ponad 850 000 dolarów, oraz trzy japońskie firmy: Mitsubishi (3 100 000 dolarów), Nichimen (7 700 000 dolarów) i Sony (5 500 000 dolarów).

Spitzer-Mileger, który reprezentował w Polsce interesy japońskiego koncernu Sanyo, gotów był, dla odzyskania choćby części należności, przejąć za długi pewne nieruchomości Peweksu w Warszawie. Dlatego, gdy w „Gazecie Wyborczej” ukazało się ogłoszenie o sprzedaży należącej do Peweksu bazy magazynowej „Utrata” na warszawskim Targówku, wpłynęła oferta od spółki Sanpro - przedstawiciela firmy Sanyo na terenie Polski. Sanpro proponowała zakup bazy „Utraty” za 2 790 000 nowych złotych (1 750 000 dolarów.) Innych ofert nie było.

Komisarz H. zwołał komisję przetargową, która na poczekaniu uzgodniła cenę „Utraty” na 2 689 177 zł, choć rok wcześniej biegli wyliczyli wartość tej nieruchomości na ponad 5 000 000 złotych.

Ostatecznie baza została sprzedana za 2 790 000 złotych. Nikt z Peweksu tych pieniędzy nie widział - zostały zaliczone na konto długów wobec Masche Spitzer--Mileger.

???

Trzy lata później Zbigniew H. został oskarżony o to, że w porozumieniu z Andrzejem R., głównym specjalistą do spraw inwestycji w centrali Peweksu, nie zor-

120

ganizował prawidłowo przetargu na sprzedaż magazynu „Utrata”. W ogłoszeniu zamieszczonym w gazecie nie podano ceny wywoławczej oraz warunku wpłaty wadium. Zdaniem prokuratury, w wyniku takiego zaniechania firma straciła 472 303 złotych.

Zarówno Zbigniew H., jak i Andrzej R. nie przyznali się do zarzucanej im niegodziwości. Były komisarz (odwołany przez ministra zaraz po kontroli NIK) nie potrafił wyjaśnić prokuratorowi, skąd w roku 1993 wzięła się na komisji przetargowej W taka, a nie inna wycena „Utraty”, skoro rok wcześniej była to kwota prawie dwa razy wyższa. &

W ogóle Zbigniew H. stwarzał organom ścigania sporo kłopotu. Nie stawiał się na wezwanie prokuratora, był poszukiwany listem gończym. Jego żona twierdziła, że mąż w miejscu zamieszkania przebywa sporadycznie, a ona nie zna jego aktualnego adresu. Wie tylko, że małżonek jest prezesem jakiejś spółdzielni i chcą go zwolnić, bo od miesięcy nie ma go w pracy.

Wreszcie w lipcu 1996 roku Zbigniew H. został zatrzymany. Przedstawił kartę wypisu ze szpitala psychiatrycznego w Lublińcu, gdzie leżał dwa tygodnie. Rozpoznanie choroby wiązało oskarżycielowi publicznie ręce - u pacjenta stwierdzono nawracający zespół depresyjno-paranoidalny, myśli samobójcze. Wniosek: w znacznym stopniu ograniczona zdolność rozpoznawania popełnionych czynów i kierowania swoim postępowaniem.

Nieufny prokurator chciał zamknąć podejrzanego na oddziale psychiatrycznym aresztu śledczego, ale Zbigniew H. przedstawił bardzo dramatyczną sytuację rodzinną - żona chora, czekają operacja, jeśli pójdzie do szpitala, nie będzie kto miał się zająć dziećmi. Ostatecznie pozostał na wolności.

Kolejni psychiatrzy, tym razem biegli sądowi, stwierdzili u oskarżonego zespół depresyjno-lękowy. Osobowość H. scharakteryzowali jako nieprawidłową, o zmianach charakterologicznych. W opinii przepisali też diagnozę ze szpitala w Lublińcu z zastrzeżeniem: „jak pacjent podaje w wywiadzie...”

Wysłany do sądu akt oskarżenia Zbigniewa H. zawierał istotne stwierdzenie: „W chwili popełnienia czynu w znacznym stopniu miał ograniczoną zdolność rozpoznawania jego znaczenia i kierowania swym postępowaniem”.

???

Pierwsza rozprawa przed Sądem Rejonowym Warszawa-Śródmieście odbyła się dopiero w 2003 roku.

Czas zrobił swoje. Świadkowie, którzy mieli kiedyś bardzo intratne posady, po odejściu z Peweksu zawodowo nic już nie znaczyli. - Emeryt, rencista - padały kolejne odpowiedzi na pytanie o miejsce pracy. W miarę upływu lat podupadali na zdrowiu, niektórzy kolejny raz wzywani na rozprawy mieli problemy z poruszaniem się, nawet mówieniem.

121

Trzeba było im przypominać, co mówili w śledztwie w 1995 roku. Po odczytaniu protokołu nie zaprzeczali, że mogli tak kiedyś zeznawać, ale większość nie potrafiła sobie przypomnieć dlaczego.

Oskarżony Zbigniew H. stawiał się na rozprawy bardzo rzadko. Powtarzał to, co w śledztwie: Nie wie, dlaczego w ogłoszeniu o przetargu nie była podana cena wy-M woławcza i warunek wpłaty wadium. W tak dużym przedsięwzięciu nie był w stanie sprawdzić każdego dokumentu. Zwłaszcza, że w tamtym czasie pojechał do Japonii na zaproszenie firmy Mitsubishi. Prezentował program naprawy Peweksu i negocjował spłatę zadłużenia. Sprzedażą „Utraty” zajmował się dział inwestycji kierowany przez Andrzeja R. Decyzję o wyzbyciu się bazy magazynowej na rzecz Sanyo podjęła komisja przetargowa.

Powoli z tych strzępów informacji wyłaniał się obraz głównego oskarżonego w roli zarządzającego iluzorycznie wielkim majątkiem. Główna księgowa Krystyna C. zeznała, że przed ogłoszeniem przetargu nikt się do niej nie zwracał o dokumentację finansową. Nawet wtedy, gdy powstał problem z tzw. przeszacowaniem wartości „Utraty”. To był czas wysokiej inflacji (kilkaset procent rocznie) i decyzją prezesa GUS od nowa wyceniano wszelkie majątki trwały. Baza „Utrata” należała do warszawskiego oddziału Peweksu, ale sprzedawano ją na polecenie centrali. Księgowa zorientowała się, że jeżeli do bilansu przyjmie się wartość bazy po przeszacowaniu, a nie zaksięgowaną wcześniej, Pewex będzie miał wykazane straty. A od tego tylko krok do upadłości. Wycofano się zatem z przeszacowania, co wyszło na O jaw dopiero w śledztwie, gdy dwoje pracowników Peweksu - początkująca księgowa i kierownik działu inwestycji ujawnili, jakie otrzymali polecenie.

Mimo nieprawidłowości w bilansie, kreatywni finansisci nie uratowali firmy. Sąd zresztą nie zagłębiał się w tajniki tej wirtualnej księgowości, nie było to objęte aktem oskarżenia.

Świadkowie nie pamiętali liczb, dat, ale w ich głowach pozostała bufonada dy-rektora-komisarza. Na sali sądowej nie padło ani jedno dobre słowo o oskarżonym.

Jadwiga J. - w Peweksie przez piętnaście lat dyrektor do spraw osobowych i administracji (po odejściu z firmy już tylko bezrobotna) zapamiętała oprawiony w czerwone ramki „program naprawczy”, który komisarz H. prezentował w Japonii. - To były ogólniki, nie do zrealizowania - wreszcie pozwoliła sobie na szczerść. - Nie wiem, jakie dokumenty szef zabrał do Japonii, gdzie bawił aż trzy tygodnie. (Oskarżony twierdził, że tydzień). Po powrocie z delegacji służbowej nie składał sprawozdania, powiedział tylko, że wszystko poszło dobrze. Chwalił się, że kupił sobie na pamiątkę kajdanki.

W oczach Jadwigi J. dyrektor, choć wywodził się z ruchu związkowego, miał styl pracy satrapy. Wszelkie uzgodnienia strategii przedsiębiorstwa zapadały za zamkniętymi drzwiami w gabinecie H., otoczonego zausznikami „z miasta”. Kadra kierownicza nie była dopuszczana do strategii handlowej. Również jako komisarz Zbi-

122

gniew H. nigdy nie miał własnego poglądu na temat strategii przedsiębiorstwa. Chciał tylko sprzedawać majątek Peweksu, bo póki likwidował - zachowywał stanowisko.

- Ale my nie sprzeciwialiśmy się temu - zeznała była dyrektor od kadr. - Każdy wiedział, że to wszystko i tak wkrótce się rozpadnie.

Świadek dobrze zapamiętała posiedzenie w sprawie sprzedaży „Utraty”. Zostało zwołane w trybie natychmiastowym, trwało piętnaście minut. Tym razem ją zaproszono. - H. wychodził i wchodził, kładł jakiś dokument, potem go zabierał do innego pokoju, żeby stamtąd zadzwonić. To, co mówił o przedsiębiorstwie, było niespójne, On nie miał żadnych kwalifikacji, aby być szefem. Nie umiał zorganizować pracy ani kierować ludźmi - stwierdziła była szefowa kadr.

Odczucia Jadwigi J. wsparła swymi zeznaniami Ewa S., w 1993 roku radca prawny Peweksu. Też zapamiętała, że Zbigniew H. po powrocie z Japonii nie uznał za właściwe poinformowanie jej, do jakich doszło ustaleń z Mitsubishi. Potrzebne informacje wyciągnęła bezpośrednio od japońskich wierzycieli, gdy przyjechali do Warszawy. Radca prawny nie uczestniczyła w naradzie o ogłoszeniu przetargu na sprzedaż „Utraty”. Z protokołami posiedzeń zapoznała się później. Ale nie znalazła w nich odpowiedzi na interesującą ją pytanie: Na jakiej podstawie została ustalona cena „Utraty”? Również spisanie aktu notarialnego po sprzedaży tego obiektu odbyło się za plecami Jadwigi J.

Była dyrektor oddziału warszawskiego Peweksu Alicja K. przedstawiła szefa z centrali jako zarozumiałca, który nie przyjmował cudzych argumentów. Gdy sprzeciwiła się wchodzeniu w spółkę z amerykańską firmą Western Alliance Corporation, dostała natychmiastowe wypowiedzenie. Po dwudziestu latach pracy! Wkrótce się okazało, że utworzona nowa spółka Western Group korzystała z lokali sklepowych Peweksu, nie płacąc czynszu. Zaległości urosły do miliona złotych (po denominacji). Aby odzyskać pieniądze, Pewex skierował pozew do sądu, ale Amerykanie byli szybsi i ogłosili upadłość.

Oskarżony nie doczekał się dobrego słowa nawet od wierzycieli zagranicznych, którzy na bankructwie Peweksu zrobili niezły interes.

Bernard K., przewodniczący rady nadzorczej spółki Sanpro, uczestniczył w przejęciu za długi bazy „Utrata” (Pewex był winien tej firmie 8 mln dolarów). - Dyrektor H. i jego najbliżsi pracownicy lekceważyli nas jako wierzycieli, nie dążyli do porozumienia. Tak nie postępuje menedżer - zeznał przed sądem.

???

Ale nie umiejętności w zarządzaniu przedsiębiorstwem były oceniane przez sąd. Zbigniew H. został oskarżony o sprzedaż części majątku Peweksu po zaniżonej cenie. Zdaniem prokuratury, sprawca miał w znacznym stopniu ograniczoną zdolność rozpoznawania popełnionych czynów i kierowania swym postępowaniem. Postępowanie sądowe miało to zweryfikować.

123

Nie było to proste. Specjalista od badania bilansu Władysław T. na pytanie sądu, czy kwota 2 790 000 zł (po denominacji) uzyskana za bazę „Utrata” była adekwatna do rzeczywistej wartości magazynów wraz gruntem odpowiedział, że w sytuacji, gdy wpłynęła tylko jedna oferta, nie można wysnuć wniosku, czy była korzystna.

Więcej do powiedzenia miał ten biegły w kwestii tzw. przeszacowania wartości bazy. Z jego wyliczeń wynikało, że sprzedaż obiektu według wartości przed przeszacowaniem pozwoliła wykazać zysk z tytułu transakcji - prawie milion złotych O na nowe pieniądze. Gdyby w księgowości wprowadzono kwotę po przeszacowaniu, wówczas Pewex poniósłby ponad dwa miliony złotych strat.

Zatem wycofanie się z przeszacowania, co autorytatywnie zarządził H., było celowe. Wykazywało, choć tylko na papierze, że jest skutecznym, dbającym o kondycję firmy komisarzem. Mieściło się też w granicach prawa. Bowiem konieczność przeszacowania dotyczyła tylko nowych nieruchomości, a magazyny na parceli „Utrata”, kupionej niegdyś od „Społem”, stały już od pewnego czasu.

Bardziej kategorycznie brzmiała opinia innego biegłego, Jana K., który w 1991 roku na zlecenie sądu gospodarczego ustalał wartość obiektu „Utrata”. Wtedy wycenił tę nieruchomość na ponad 51 miliardów starych zł (5,1 mln zł po denominacji), pti Skoro dwa lata później obiekt został sprzedany za 2,7 mln nowych złotych, to znaczy, że komisarz zażądał za mało. Czyli, działał na szkodę firmy, którą miał uratować od upadłości.

Sąd chciał, aby Zbigniew H. odniósł się do tych opinii, wyjaśnił, co ma na swoje usprawiedliwienie. Ale oskarżony nie stawiał się na rozprawy, przed każdym terminem wysyłając usprawiedliwienie, że przeszkodziły mu jakieś nadzwyczajne przypadłości losowe.

Tak lawirował do maja 2004 roku, kiedy sędzia uznała, że dla rozeznania sprawy nie wystarczy opinia psychiatrów z Lublińca wystawiona oskarżonemu w 1996 roku. Potrzebne jest aktualne badanie. Zwrócono się o to do biegłych psychiatry i psychologa ze szpitala specjalistycznego w Dąbrowie Górniczej.

W wywiadzie lekarskim 43-letni Zbigniew H. przedstawiał się jako człowiek od dawna mający problemy ze zdrowiem psychicznym. Ujawnił, że jest to w jego rodzinie dziedziczne. Jeden z braci był upośledzony umysłowo. Jemu, gdy był uczniem, upadła na głowę metalowa bramka na boisku.

Leczenie psychiatryczne podjął jeszcze przed 1996 rokiem (gdy trafił na obserwację do szpitala w Lublińcu) - ale nie zachowała się dokumentacja z wizyt w prywatnych gabinetach. Szukał pomocy u specjalistów, gdyż był nerwowy, rozdygotany, miewał ataki złości. Przypuszcza, że wszystko to brało się z jego problemów zawodowych. Chciał za wszelką cenę uratować Pewex od bankructwa, a nie było to możliwe. W końcu został odwołany ze stanowiska. Gdy trzy lata później usłyszał zarzuty prokuratorskie, załamała się, sam zapukał do przychodni szpitala dla nerwowo chorych w Lublińcu. Przyjęto go na obserwację. Trochę podleczonej, po dwóch

i

124

tygodniach wrócił do domu z diagnozą poważnej choroby. Od tamtej pory wielo- J krotnie zmieniał posady, na coraz gorsze. Przez siedem miesięcy był na urlopie bez-płatnym - gdy wrócił do pracy, czekało na niego zwolnienie. Wtedy zdecydował się ?jj na prowadzenie własnej firmy dystrybucji towarów. Nie wyszło, wpadł w długi, mu- p\$ siał interes zlikwidować.

Obecnie nie układa planów na przyszłość. Nic go nie interesuje. Ma problemy z koncentracją.

Biegli psychiatry z Dąbrowy Górniczej nie znaleźli u Zbigniewa H. choroby psy- JM chicznej w rozumieniu psychozy oraz niedorozwoju umysłowego. Stwierdzili natomiast zaburzenia zachowania uwarunkowane zmianami charakteropatycznymi oraz depresją lękową (nie paranoidalną) o znacznym nasileniu. Zdaniem tych biegłych zamknięcie oskarżonego w areszcie może stanowić zagrożenie dla jego zdrowia. Nie ma natomiast przeszkód, aby uczestniczył w procesie sądowym.

Ale Zbigniew H. nadal nie stawiał się w sądzie, choć zazwyczaj na kilka godzin przed rozprawą telefonicznie usprawiedliwiał swoją nieobecność. Od czasu do czasu wysyłał kserokopie wypisu z obserwacji na różnych oddziałach lecznictwa zamkniętego. Adresy wskazywały, że H. wędrował od szpitala do szpitala, nigdzie nie zatrzymywany na dłużej.

W październiku 2005 roku sąd zawiesił postępowanie przeciwko oskarżonym z Peweksu do czasu ustabilizowania się kłopotów zdrowotnych byłego zarządcy komisarycznego. Uznano za konieczne dopuszczenie kolejnej opinii biegłych lekarzy.

Zażalenie prokuratury na to postanowienie skierowane do sądu wyższej instancji zostało uchylone.

???

Na badanie przez kolejnych biegłych oskarżony przyszedł z pełną teczką dokumentacji lekarskiej. Osobny pakiet kart chorobowych tego pacjenta wysłały do sądu różne przychodnie i szpitale. Wynikało z nich, że od dnia, gdy prokurator przedstawił Zbigniewowi H. zarzuty, ciągle coś mu dolegało.

W roku 1996 w przychodni neuropsychiatrycznej w Opolu podał w wywiadzie, że ma „robaczki przed oczami, przerwy w rozumieniu, co się do niego mówi, omamy wzrokowe i słuchowe”. Gdy był dyrektorem i pracował osiemnaście godzin na dobę, lekcewał te chwilowe niedyspozycje. W 1994 roku, po zwolnieniu go z Peweksu, zgłosił się do neurologa, który zalecił rehabilitację „i takie tam rzeczy”. Pomogło, ale na krótko. Wkrótce omamy słuchowe wróciły. I lęki, co z nim będzie.

W 1995 roku miał wypadek samochodowy, na krótko stracił przytomność. Ale nie było to nigdzie odnotowane.

Rok później, gdy prokuratura poszukiwała go listem gończym, ukrył się w szpitalu psychiatrycznym w Lublińcu. Wypuszczono go po dwóch tygodniach z diagnozą: nawracający zespół depresyjno-paranoidalny, myśli samobójcze.

125

W

•CSJ

<

TO O

Z roku 2000 oskarżony dysponował kartą informacyjną pacjenta oddziału kardiologii szpitala w Tychach. Stwierdzono nadciśnienie, hypercholesterolemię, oty. łość pokarmową. Ale zdaniem lekarzy nie powinien zajmować łóżka na oddziale chorych na serce, bo EKG miał w normie, podobnie jak zastawki aortalne. W wywiadzie lekarskim zaznaczono, że chory powołuje się na diagnozę psychiatrów z Lublińca

0 przebyłym zespołem depresyjno-paranoidalnym.

W latach 2001-2004 Zbigniew H. był częstym pacjentem poradni ortopedycznych. Uskarżał się na bóle kolana, jeden z lekarzy podejrzewał uszkodzenia łąkotki. Ale rentgen tego nie potwierdził. Natomiast zdjęcie kręgosłupa ujawniło nieznaczne zwapnienie w wiązadle. W związku z widocznym płaskostopiem

1 koślawością palucha, ortopeda zalecił noszenie specjalnych wkładek do obuwia.

W tymże 2001 roku Zbigniew H. niezadowolony z diagnozy kardiologów w Tychach zwrócił się o przebadanie go do specjalistów od chorób serca w szpitalu powiatowym w Olkuszu. Rozpoznano nadciśnienie tętnicze, niedomykalność zastawki mitralnej, cukrzycę, otyłość.

Otrzymał zaświadczenie, że w ciągu najbliższych tygodni nie może uczestniczyć w rozprawach

sądowych.

W maju roku 2003 przedstawił w sądzie zwolnienie od ortopedy, który zgłaszane przez chorego dotkliwie bóle barku określił jako nieznanego pochodzenia, gdyż badanie kręgosłupa nie wykazało odstępstw od normy. Daremnie też poszukiwano zmian patologicznych w obrębie stawu kolanowego - lekarz nie dopatrzył się żadnej choroby.

W październiku 2003 roku oskarżony H. wielokrotnie był pacjentem Centrum Medycznego w Sosnowcu. Skarżył się na nadmierną potliwość, duszności. Dostawał po kilka dni zwolnienia na L-4 dla sądu, w sumie uzbierało się 180 dni.

W 2004 roku był zarejestrowany w poradni dla cukrzyków. W kartotece tej przychodni nie odnotowano ani jednej recepty na insulinę czy zmiany dawek leków, co jest zasadą w leczeniu tej choroby.

Ponowne podejście Zbigniewa H. do kardiologów również nie przyniosło oczekiwanego przez niego efektu - i tym razem stwierdzono, że układ krążenia jest wydolny, nie ma cech niedomogi wieńcowej.

Natomiast dentysta wpisał do karty choroby zaawansowaną próchnicę.

Rok 2005 - na dwa dni przed terminem rozprawy sądowej Zbigniew H. zgłosił się do przyszpitalnej poradni ortopedycznej z silnymi bólami za mostkiem i ogólnym osłabieniem. Ale nie zgodził się - co odnotowano - na hospitalizację w celu znalezienia przyczyny dolegliwości.

W roku 2006 szukał u lekarzy pomocy głównie w związku z bólami kręgosłupa. Chciał się też upewnić, czy nie ma niedokrwiennej choroby serca (nie stwierdzono jej).

Jak to robił od lat, w czasie pierwszej wizyty w kolejnej nowej przychodni przedstawił lekarzowi starą diagnozę ze szpitala psychiatrycznego w Lublińcu o stwierdzonym zespole depresyjno-paranoidalnym.

126

Tym razem w wywiadzie kardiolog zapisał: „Pacjent leczony psychiatrycznie, kontakt werbalny dobry, nastrój obniżony. Podaje, że od lat ma problemy z sercem, pą Ostatnio objawy się nasiliły. Narzeka na natłok przykrych myśli, bóle głowy, uroje-  
nia, iluzje wzrokowe. Myśli o samobójstwie”. pg

Z pytaniem, czy Zbigniew H. może uczestniczyć w rozprawach, sędzia zwróciła !\_3 się do biegłych: kardiologa, diabetologa, ortopedy, traumatologa i psychiatry. \*gj

Przyszła odpowiedź druzgocąca dla oskarżonego, który nabral wielkiej wprawy w omijaniu sądu: nie ma żadnych przeszkód zdrowotnych, aby stawiał się na we- ^-i zwaną. g

Biegli zweryfikowali stare diagnozy, którymi posługiwał się Zbigniew H. Okaza- JgJ ło się, że od dawna nie leczy się psychiatrycznie; ostatni raz był u lekarza tej specjalności przed sześcioma laty. Nie ma cukrzycy ani zmian patologicznych w kręgosłupie. Jedyne, co mu dolega, to otyłość, której nie wywołała żadna choroba, tylko nadmierna skłonność do objadania się.

Przewodnicząca składu sędziowskiego odetchnęła, bowiem wobec notorycznej, acz usprawiedliwionej zaświadczeniami lekarskimi absencji Zbigniewa H., postanowiono prowadzić dwa osobne postępowania sądowe: w sprawie byłego komisarza i byłego specjalisty od inwestycji w centrali Peweksu. Powodowało to wiele komplikacji z przesłuchaniem świadków i niepotrzebne powielanie czynności procesowych. Najnowsza opinia biegłych pozwoliła na ponowne połączenie obu procesów, ponieważ „ustały okoliczności poprzedniej decyzji”.

Z dwumiesięcznym wyprzedzeniem zawiadomiono Zbigniewa H. o terminie rozprawy. W przeddzień wokandy wysłał list: „W związku z otrzymaniem wezwania zwracam się o kopię lekarskiej opinii o stanie mego zdrowia w celu zapoznania się z jej treścią. Uprzejmie zawiadamiam, że obecnie jestem w trakcie leczenia, a ponadto nie mam jeszcze ustanowionego obrońcy. Na obrońcę z urzędu nie wyrażam zgody. Proszę o przełożenie rozprawy o 2-4 tygodnie w celu dokonania koniecznych ustaleń z adwokatem”.

Rozprawę przełożono.

H. odczekał, aż zbliżył się termin i wysłał do sądu dalekopis: - „Uprzejmie informuję, że doznałem urazu stopy (zaświadczenie w załączeniu) w związku z czym nie mogę się stawić na rozprawę. Zobowiązuję się dołożyć wszelkich starań, aby być obecnym w następnym terminie”.  
???

Los mu sprzyjał. Ten następny termin okazał się odległy o prawie dziewięć miesięcy. Zaistniała bowiem konieczność prowadzenia sprawy od początku, gdyż z przyczyn losowych zmienił się zespół orzekający.

W sierpniu 2007 roku nowa przewodnicząca składu sędziowskiego Dorota Radlińska poleciła, aby wezwanie na rozprawę wręczył Zbigniewowi H. osobiście

127

funkcjonariusz policji. Oskarżony pokwitował urzędowy druk i odwrotną pocztą przesłał zwolnienie L-4 do końca miesiąca oraz kserokopię skierowania do szpitala. Uprzedził, że z uwagi na trwające akcje protestacyjne w służbie zdrowia uzyskanie C<3 dodatkowych zaświadczeń może się okazać niewykonalne. Sędzia wyznaczyła kolejną rozprawę za dwa tygodnie.

Oskarżony przyjechał z nowym adwokatem. Ponieważ wcześniej prosił \*\*| o obrońcę z urzędu, na sali sądowej doszło do nerwowej sytuacji. Desygnowana O przez sąd adwokat z urzędu poczuła się zlekceważona, bo nikt jej nie uprzedził, że nie będzie już potrzebna. Drugi mecenas wnosił o odroczenie rozprawy, gdyż nie miał okazji zapoznać się z aktami. Sędzia nie miała wyjścia, musiała wniosek uwzględnić.

Na następnej rozprawie (pod koniec października 2007 roku) znów zaszła zmiana - tym razem adwokat z wyboru złożył wypowiedzenie pełnomocnictwa Zbigniewowi H. Jak zwykle w takiej sytuacji przyczyna została określona enigmatycznie: „konflikt interesów”.

Luty 2008. Ponieważ proces toczył się od nowa, oskarżony Zbigniew H., który z zawodu już nie był technikiem leśnikiem, ale pedagogiem z dyplomem szkoły wyższej (omamy i paranoje nie przeszkodziły mu studiować) musiał ponownie odpowiedzieć sądowi, czy przyznaje się do zarzucanych mu czynów.

Otóż nadal się nie przyznawał. - Uważam - wyjaśnił do protokołu - że wszystkie decyzje na stanowisku dyrektora i komisarza Peweksu podejmowałem właściwie, konsultując je z ministrem handlu. Korespondencja między Peweksem a organem założycielskim szła na bieżąco. Również program naprawy firmy, w tym sprzedaży Japończykom bazy „Utrata” za 1 750 000 dolarów był zaakceptowany przez szefa resortu. Nikt z członków komisji przetargowej nie składał zastrzeżeń. Podpisanie aktu notarialnego też odbyło się jednomyślnie.

Na tym oskarżony zakończył składanie wyjaśnień. Uprzedził, że w dalszym zakresie odmawia odpowiedzi na pytania stron.

Przez kolejne miesiące w sądzie go nie widziano - wysyłał faksem własnoręcznie napisane usprawiedliwienia. Raz bolały go zęby, to znów nałożyły mu się terminy rozpraw, bo miał jeszcze jedną sprawę karną o niegospodarność w Peweksie, która toczyła się przed sądem w Krakowie.

Sędzia Radlińska niezmiernie kwitowała w protokole te czasami irytujące wybiegi i tak proces zmierzał do finału.

Niewiele już jednak sąd dowiedział się od ponownie wezwanych świadków. Prawie piętnaście lat, które upłynęło od sprzedaży bazy „Utrata” zatarło w ich pamięci okoliczności tego wydarzenia. Zeznania brzmiały podobnie do złożonych przez Elżbietę Sz.: - Mało co pamiętam. W Peweksie byłam chyba specjalistką do spraw majątku. Zajmowałam się księgowaniem dokumentów, obliczaniem umorzeń długów, sprawdzałam inwentaryzację. Hasło „Utrata”? Nic mi to nie mówi.

128

Wielu świadków nie mogło się stawić z powodu ciężkiej choroby albo wyjazdu na stałe do

rodziny za granicą.

Natomiast wezwani specjaliści od tak zwanego operatu szacunkowego nieruchomości, podkreślali w swych opiniach, że to, o co oskarżono byłego komisarza Peweksu zdarzyło się w szczególnym okresie transformacji. Wtedy firmy państwowe masowo plajtowały, na rynku pojawiło się wiele nieruchomości, na które nie było chętnych. Umowa z 1993 roku o sprzedaży „Utraty”, z dzisiejszego punktu widzenia może i niekorzystna dla Peweksu, wtedy mogła być uważana za koło ratunkowe dla tonącego w długach przedsiębiorstwa.

Zbigniew H. nie miał okazji usłyszeć tych argumentów, bo z zimną krwią recydywisty nie stawał się na rozprawach. Gdy wreszcie się pojawił, miał z sobą wniosek o zmianę obrońcy z urzędu. - Moja obrona dokonywana przez adwokatów z urzędu jest jedynie formalna i ogranicza się do uczestniczenia pełnomocnika w rozprawie. Obecny mecenas nie kontaktuje się ze mną w żadnej kwestii - wyjaśnił.

Zmiana adwokata nie poprawiła jednak absencji oskarżonego na rozprawach. I tak zeszło do stycznia 2009 roku.

Zadzwoił wówczas, że nie stawi się na rozprawie, bo są zasy, pociągi z Opoła, gdzie obecnie mieszka, mają opóźnienie.

W tym czasie sędzia zabiegała o opinię kolejnego rzeczoznawcy wartości rynkowej nieruchomości. Jedyne w Warszawie biegły sądowy, który gotów był przyjąć zlecenie, wyznaczył termin za trzy miesiące. Nie dotrzymał go, ostatecznie sporządził ekspertyzę z półrocznym opóźnieniem, pod koniec września 2009 roku.

Była korzystna dla komisarza H. Biegły oszacował wartość nieruchomości w dniu jej sprzedaży w lutym 1992 roku na 3,2 miliona zł, licząc w złotych po denominacji. Przed sądem zaznaczył, że jest to najbardziej prawdopodobna cena, jaką może było wówczas uzyskać. Nie uwzględniała preferencji ani gustów indywidualnych. Zatem kwota, za którą działka została przekazana nabywcy mieściła się w granicach ceny rynkowej.

Gdy w listopadzie 2009 roku sędzia ogłosiła, że zamyka przewód sądowy, oskarżonego na sali nie było. Wszedł później, przepaszając za spóźnienie. Zdażył usłyszeć, że prokurator, a następnie obrona wnoszą o uniewinnienie. I sąd wydał taki wyrok.

Zbigniew H. wyszedł z gmachu różnym krokiem. Żeby dostać się na pobliski Dworzec Centralny, musiał przejść podziemne skrzyżowanie ul. Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi. Tam, jak co dzień, przy schodach stały kobiety z torbami foliowymi na sprzedaż. Wśród reklamówek z krzykliwymi portretami Madonny i innych celebrytów zawieruszyły się archiwalne „foliówki” ze skromnym malunkiem motylka w trzech kolorach i logo Peweksu. 10 złotych - to cena wywoławcza kompletu pięciu sztuk.

Nie wiadomo, czy lekki jak motylek Zbigniew H., uniewinniony od brzemienia przestępcy, wydał te 10 zł na pamiątkę swego dyrektorowania w stolicy...

P

roszę nie stawiać inicjałów w miejscu mego nazwiska - powiedział prof. dr Jan Podgórski do dziennikarzy tuż przed rozprawą - chcę się bronić z otwartą przyłbicą.

Proces byłego szefa Wojskowego Instytutu Medycznego przy ul. Szaserów (dawniej Centralnego Szpitala Klinicznego WAM), kierownika Kliniki Neurochirurgia oskarżonego o łapówkarstwo i fałszowanie dokumentacji medycznej toczył się przed Wojskowym Sądem Okręgowym w Warszawie.

Akta prokuratorskie sprawy profesora otwiera 20-stronicowy, napisany zapewne przez psychopate, anonimowy donos z początku 2006 roku, poświęcony „nieprawidłowościom w szpitalu przy Szaserów”, w najmniejszym stopniu (!) dotyczący gen. Podgórskiego. Jednak minister Ziobro polecił żandarmerii oraz innym służbom rozpocząć akcję wyłącznie przeciwko profesorowi... Ówczesny szef CBA Mariusz Kamiński oświadczył na konferencji prasowej, że generał Jan Podgórski „organizował najgroźniejszym przestępcom w Polsce dokumentację medyczną, którą się posługiwali, aby uniknąć więzienia”.

Znanemu neurochirurgowi prokuratura postawiła siedem zarzutów. Najważniejsze, to fałszywe



zaświadczenia lekarskie dla gangstera Andrzeja Z. ps. Słowik, bossa pruszkowskiej mafii. A także dla Patryka W. oskarżonego o przestępstwo gospodarcze.

Generała nie aresztowano - czego domagała się Wojskowa Prokuratura - gdyż sąd, nie przekonany do rzetelnego udokumentowania zarzutów, nie chciał wydać na to zgody. Jan Podgórski został natomiast pozbawiony funkcji szefa kliniki w szpitalu przy ul. Szaserów. I zwolniony z wojska. Jako cywil pracuje w prywatnym gabinecie.

Poza profesorem zarzuty postawiono czterem lekarzom ze szpitala przy ul. Szaserów i Wojskowego Instytut Medycyny Lotniczej. Ponadto dwóm pacjentom, którzy wspierając się diagnozami ze szpitala MON usiłowali wyłudzić w ZUS świadczenia pieniężne oraz byłej żonie „Słowika”. Oprócz pieniędzy, korzyściami uzyskiwanymi od pacjentów były - według aktu oskarżenia - remont domu i obietnica nabycia samochodu na szczególnie ulgowych warunkach.

Profesor i pozostali oskarżeni lekarze z WIM nie przyznali się do winy w żadnej mierze. Jedynie współpracujący blisko z CBA oraz żandarmerią płk Robert J. - były kierownik Zakładu Rehabilitacji w Wojskowym Instytucie Medycyny Lotniczej, nie zaprzeczał aktowi oskarżenia. Obciążył też byłego szefa WIM oświadczeniem, że profesor za obejrzenie i zaopiniowanie dokumentacji medycznej starających się o rentę w ZUS w dwóch przypadkach przyjął kwotę 300 zł.

Poza podpułkownikiem J. na niekorzyść profesora zeznawał w śledztwie m.in. Jarosław R., znany gangster z Suwałk. Twierdził on, że w 2006 roku za przyjęcie do kliniki, wystawienie zaświadczenia o leczeniu i przyspieszenie operacji zapłacił łącznie 4000 złotych.

130

???

M

Nad tym procesem, nim się zaczął, już wisiał medialny wyrok, że w szpitalu przy Szaserów dekowali się przed więzieniem przestępcy mafijni. Nie jest możliwe, twierdzili dziennikarze, aby doktorzy z tego - trudno dostępnego w latach 90. dla pacjentów „z ulicy” szpitala - nie wiedzieli, kto ukrywał się na łóżku chorego. Z docho- P^< chodzenia CBA wynikało, że za miejsce dla poszukiwanego gangstera lekarz otrzymywał nawet kilkadziesiąt tysięcy dolarów... ^

W tle rysował się horror z 1994 roku, kiedy do Centralnego Szpitala Klinicznego MON w Warszawie, trafił postrzelony Andrzej F. ps. Florek, ochroniarz bossa „Pruszkowa” o pseudonimie Pershing. Był on traktowany szczególnie - leżał w jednoosobowej sali. Wkrótce potem znalazł się tam inny przestępca z pruszkowskiej mafii - Jerzy W. ps. Żaba. Nic mu nie dolegało; ukrył się za szpitalnym parawanem, by uniknąć udziału w procesie gangu tzw. Rympałka. (Na warszawskim Ursynowie ze swoją bandą napadł na konwój z pieniędzmi i zrabował 1,2 mln zł).

Była też nagłośniona w mediach sprawa „Słowika”. W roku 2002, w czasie procesu gangu pruszkowskiego, przypadkowo wyszło na jaw, że chroniony przez antyterrorystów Andrzej Z. nie może się doczekać wyroku od dziewięciu lat. Oskarżony już nawet nie pamiętał, co mu niegdyś, w roku 1993, zarzucano. (Chodziło o handel przemycanym z zagranicy spirytusem „Royal”).

Prokurator domagał się odpowiedzi, dlaczego ta sprawa nie została osądzona. Okazało się, że najpierw trafiła do Sądu Rejonowego w Nowym Dworze. Absurdalny powód: świadkowie z okolicy mają lepsze połączenie komunikacyjne z tym miasteczkiem niż z Warszawą. Pierwszy termin procesu został wyznaczony na początek 1994 roku. Ale do rozprawy nie doszło, bo „Słowik” nie stawił się w sądzie.

Mineły dwa lata. Na ponaglenia z prokuratury sąd odpowiadał, że sprawdza miejsce pobytu oskarżonego. W 1996 roku akta sprawy przemytu spirytusu wypożyczyła prokuratura w Łodzi. Następnie tę samą operację powtórzyły organy ścigania w Szczecinie. I nadszedł 2000 rok. Zimą wybuchła afera z przedawnieniem sprawy o paleniu akt SB. Rozeźlony minister sprawiedliwości

zarządził w warszawskim sądzie generalny remanent pod kątem, jakie jeszcze zalegają akta, bliskie przedawnienia. Postanowiono dla nich tzw. szybką ścieżkę. „Royalu” na tej liście nie było. Sprawa nadal więc nie trafiała na wokandę. W lutym 2001 roku akta powędrowały do prokuratury warszawskiej, bo toczyło się śledztwo przeciwko „Pruszkowowi”.

Gdy w czerwcu 2002 roku wróciły do sądu, okazało się, że wkrótce nastąpi przedawnienie. Szybko wyznaczono termin procesu. Ale znów nie udało się zapełnić ławy oskarżonych - „Słowik” siedział w areszcie ekstradycyjnym w Hiszpanii. Poza tym, gdzieś przepadł jeden tom akt; trzeba było go odtworzyć. Nim to się stało, prokurator wystąpił o umorzenie głównych zarzutów...

W czasie procesu „Pruszkowa” słynny już skruszony przestępca świadek koronny Jarosław S. o ksywie „Masa” zeznał, że mafia, do której należał, miała też

131

przekupionych lekarzy, przygotowujących fikcyjne historie chorób lub też stawiających diagnozę, że podejrzanego nie można aresztować, bo tak jak np. herszt „Wołomina” N. pseudonim Dziad, cierpi na klaustrofobię. Gangsterom służyli ordynatorzy i biegli sądowi. W Warszawie zwłaszcza dwa szpitale miały się cieszyć wzięciem symulantów z „Pruszkowa” - wojskowy przy ulicy Szaserów i psychiatryczny w Tworkach.

„Masa” zeznał do protokołu sądowego: - „Słyszałem, że stan zdrowia „Słowika” jest dobry, a zaświadczenie lekarskie zostało kupione. Bolo (jeden z gangsterów „Pruszkowa”) mówił, że załatwienie dla „Słowika” zaświadczenia lekarskiego u doktora z Szaserów kosztowało nas 600000 dolarów”.

Wracam jednak do dramatycznych wydarzeń w szpitalu wojskowym. W październiku 2000 roku leżał tam na oddziale rehabilitacji chirurgicznej Andrzej C. pseudo Kikir. Herszt gangu z podwarszawskich Marek. Wracał z żoną z imprezy pod Wołominem, gdy jego bmw zostało ostrzelane z pistoletu maszynowego. Cudem uniknęli śmierci.

„Kikir” doskonale wiedział, że jest ofiarą mafijnych porachunków. Jego gang napadał na tiry, ścigał haracze, porywał dla okupu. Dwa miesiące wcześniej przestępcy uprowadzili 17-letniego Kamila, syna przedsiębiorcy z okolic Wyszkowa. Za jego uwolnienie zażądali od ojca chłopaka miliona dolarów. Porwanie było czynem, którego „żołnierze” „Kikira” dopuścili się na własną rękę. Ich herszt, gdy dowiedział się od policji o tej niesubordynacji, wpadł w szał. Gang się rozpadł. Ci, którzy się odłączyli, mieli uzasadnione obawy, że „Kikir” wkrótce ich pozabija.

Postanowili go uprzedzić, wrzucając granat do sali chorych, gdzie gangster leżał. Ale okazało się, że materiał wybuchowy był wadliwy i ostatecznie wyrok wykonał płatny zabójca „Alik” z Ukrainy - za 100 000 złotych. W sali, w której leżał samotnie Andrzej Cz., pojawił się w przebraniu księdza, oddał sześć strzałów. W drzwiach zderzył się z pielęgniarką.

Po dziewięciu latach przed Sądem Okręgowym Warszawa-Praga rozpoczął się proces o tę zbrodnię. Bez udziału bezpośredniego zabójcy, który wkrótce po wykonaniu wyroku na „Kikira” został zastrzelony przez nieznaną sprawców.

Są to dwa różne procesy, ale pewne wątki dotyczące systemu opieki nad chorymi w wojskowym szpitalu się nakładają.

???

W procesie lekarzy ze szpitala przy ul. Szaserów prokurator usiłował podeprzeć akt oskarżenia zeznaniami, a właściwie pomówieniami, słynnego świadka koronnego „Masy”. Jako wieści z drugiej ręki, ogólnikowe i zasłyszane od innego gangstera, nie mogły stanowić dowodu. Sądowa weryfikacja poszczególnych zarzutów prokuratorskich wykazała, jak bardzo były niesprawdzone. Po wysłuchaniu świadków i wyjaśnien oskarżonych padały jeden za drugim.

132

Zdaniem szefa CBA, prof. Podgórski sporządził dla „Słowika” sfałszowaną doku- 8^ mentację

medyczną, aby ten uniknął więzienia. Motorem oszustwa była rozwiedziona z Andrzejem Z. Monika B. i z tego powodu postawiono jej zarzut. Ale była żona „Słowika” od początku twierdziła, że naprawdę szukała w szpitalu przy ul. Szaserów pomocy dla osadzonego w areszcie ojca jej dziecka.

Tę wersję potwierdzało zeznanie Joanny P. Kobiety poznały się w latach 1998- p: -2000, gdy przychodziły na widzenia z ich osadzonymi w areszcie mężami.

- Monika zwierzała mi się - powiedziała w sądzie świadek - że gdy „Słowik” wyszedł z aresztu na przepustkę, był w takim stanie, że „robił pod siebie”. Załamana, szukała dobrego lekarza. Dałam jej numer telefonu dr. Andrzeja M. ze szpitala przy ul. Goszczyńskiego. Nie wiem, czy Monika wręczała mu pieniądze. Pamiętam tylko, że gdy się umawiała na wizytę, to nie chcąc ujawnić głośnego już wtedy nazwiska męża powiedziała, że potrzebuje konsultacji do swojej chorej babci.

Dr Andrzej M. był także oskarżonym w tym procesie. Nie stawiał się na rozprawie z powodu depresji.

Został natomiast doprowadzony z więzienia - w charakterze świadka - Andrzej Z. pseudonim Słowik. Groźnego przestępcę w czerwonym kombinezonie otaczało kilku uzbrojonych po zęby antyterrorystów, co wywołało spore zamieszanie na wąskim korytarzu wojskowego sądu. Więcej było przygotowań zabezpieczających niż samej obecności świadka na sali rozpraw. Andrzej Z. skorzystał bowiem z prawa odmowy zeznań, jako były mąż oskarżonej.

Nie stronił natomiast od odpowiedzi prof. Jan Podgórski.

- W 1998 roku - wyjaśnił w pierwszym dniu sądowego przesłuchania - wydałem Andrzejowi Z., zgodnie z prawdą, jedynie zaświadczenie, iż był przeze mnie leczony ambulatoryjnie. Nie wziął za to żadnych pieniędzy. Później, gdy pacjent znalazł się w więziennym szpitalu, na prośbę jego rodziny i lekarza więziennego, uczestniczyłem w konsultacji medycznej. Orzekłem wtedy, że Z. kwalifikuje się do leczenia operacyjnego z powodu dyskopatii lędźwiowej, co potwierdziło kilku innych konsultantów, zaś pacjenta zoperowano w CSK MSWiA dopiero kilka lat później.

Znany neurochirurg twierdził, że dopiero w areszcie przy ul. Rakowieckiej dowiedział się, że jego pacjent jest gangsterem z pruszkowskiej mafii. Nie miał też pojęcia, że inny młody mężczyzna, który zgłosił do niego z bólami krzyża to poszukiwany przestępca z Suwałk.

Ten pacjent - Jarosław R. - ani razu nie stawiał się na wezwanie sądu. Nie jest znany jego adres zamieszkania. Wiadomo tylko, że po złożeniu w prokuraturze zeznań obciążających lekarzy ze szpitala przy ul. Szaserów, a zwłaszcza ordynatora neurochirurgii, szybko opuścił zakład karny. Z trzyletniego wyroku odsiedział tylko pół roku. Obecnie jest poszukiwany listem gończym, ale do innego postępowania.

Zeznawali inni świadkowie, a nawet współsprawcy pomówienia profesora.

133

Stawia się Barbara T. lat 50, drobna, schorowana. Na rutynowe pytanie sędziego, co wie o sprawie, w której zeznaje, najpierw wymieniła szereg swoich poważnych dolegliwości, od lat leczonych w warszawskim szpitalu na Bródnie. Potem uprzedziła, że nic nie będzie mówić, bo już raz prokuratorzy z niej wyduszali in-jgj formacje, grożąc długoletnim więzieniem (siedziała wtedy w areszcie w związku HH z inną sprawą) i o mały włos nie przypląciła tego życiem. Z nerwów zapomniała wziąć insulinę, spadł jej cukier we krwi, była półprzytomna.

Zatem sędzia odczytał protokół przesłuchania Barbary T. w śledztwie: Z Jarosławem R. poznał ją jej ówczesny partner Marek M. To był rok 2006. Jarek zwierzył się, że jest na przepustce z więzienia, ma jeszcze kilka lat do odsiadki. Nie chce wracać za kraty, chciałby sobie zorganizować papiery ze szpitala, najlepiej z neurochirurgii.

Wtedy Marek powiedział, że on zna dr. Podgórskiego, który za pieniądze napisze Jarkowi, że niby miał operację i nie może leżeć w celi na pryczy. Żeby nie było podejrzeń, Jarek zarejestruje się w przychodni przyszpitalnej, a ordynator trochę przetnie skórę podstawionemu chłopakowi, który będzie podobny do R. i będzie nosił takie samo imię. Za fatygę poszukania zmiennika Marek dostał

od Jarka pfi 20000 złotych.

- Moja rola - zeznała w śledztwie Barbara T. - miała polegać na tym, że pojedę z Jarkiem na Szaserów i pokażę mu, gdzie przyjmuje prof. Podgórski.

- Nie potwierdzam wyjaśnień składanych w prokuraturze - zeznała na rozprawie Barbara T. - Nie wiem, dlaczego opowiadałam takie głupoty. Nie znam dr. Podgórskiego, w ogóle żadnego z lekarzy na ławie oskarżonych. Marek M. krótko był moim partnerem. Siedziałam z nim przy kawie, gdy podjechał R., przedstawił się jako Jarek. Nie było rozmowy o załatwianiu dokumentów ze szpitala. Marek powiedział mi, że Jarek nie jest z Warszawy i chciałby zapisać się do neurochirurga w przychodni szpitalnej przy ul. Szaserów i zapytał, czy mogłabym mu w tym pomóc, przecież wiem, jak się poruszać w szpitalu. Zgodziłam się. Później jeszcze raz spotkałam się z R., bo pożyczył mi 400 złotych. Oddałam, gdy tylko przyszła renta z ZUS.

Nie mam pojęcia, skąd się wziął w moich zeznaniach przed prokuratorem ten chłopak, że niby był operowany zamiast R. Ja choruję na cukrzycę, jak nie wezmę w porę proszku, nie wiem, co mówię. Mam zaburzenia świadomości, teraz też muszę bardzo się skupić, aby odpowiedzieć na pytania. Nieprawda, że Marek dostał od R. 20 000 złotych. Ja go nie bronię, bo mnie zostawił, wyjechał za granicę i nie daje znaku życia, po prostu teraz mówię prawdę.

Zeznania Barbary T. uzupełnił przed sądem inny świadek, niegdyś kolega Jarosława R., twierdząc, że „historię z podstawionym rzekomym pacjentem Jarek wymyślił na czyjeś polecenie”.

Z kolei powołany na świadka dr Maciej Rz. z kliniki neurologii WIM opowiedział, jak to było z przyjęciem na jego oddział Jarosława R. W relacji tego świadka w lip-

i 134

cu 2006 roku podeszła do niego, wówczas lekarza o niewielkim stażu, pielęgniarka «<sup>^</sup> z informacją, że telefonuje dyrektor szpitala prof. Podgórski. <sup>^</sup>

Dr Rz. usłyszał, że zgłosi się pacjent Jarosław R., który cierpi na bóle krzyża i po- <sup>^</sup> winien być zdiagnozowany na neurologii. Ale nie ma skierowania do szpitala. Proś- ba profesora była taka, aby lekarz wypisał choremu to skierowanie. - Nie badałem W pacjenta - zeznał Rz. - Polegałem na wiedzy profesora. Weryfikowanie rozpozna- nia tak wielkiego autorytetu medycznego byłoby nietaktem. Ale w czasie rozmowy », z pacjentem coś mnie zaniepokoiło. Nim chorego przejął lekarz dyżurny Ryszard J., R. poprosił mnie o wypisanie zaświadczenia dla sądu w Suwałkach, że leży w szpi- j^j talu wojskowym. On mówił, że czeka go operacja na neurochirurgii, a ja odniosłem cA wrażenie, że wyolbrzymia swoje dolegliwości. Dr Ryszard J. też uważał, że wystar- czy leczenie zachowawcze. Dlatego w zaświadczeniu dla sądu nie podałem infor- \*4 macji o stanie zdrowia pacjenta, a jedynie o jego pobycie w klinice. c\_j

- Czy zauważył pan oznaki bliższej znajomości między moim klientem a tym pa- "JJ cjentem? - zapytał świadka mecenas Marian Hilarowicz, obrońca oskarżonego Ja- pą na Podgórskiego:

- Nie. Profesor wykazywał dużą życzliwość wszystkim chorym. Taką też miał w szpitalu powszechną opinię.

Po tym zeznaniu oskarżony skorzystał z prawa do złożenia oświadczenia. Wyjaśnił, że Jarosław R. przez kilka miesięcy umawiał się z nim w kwestii ewentualnej operacji - twierdził, że ma obszerną dokumentację swojej choroby.

- Ciągłe zmieniał termin, a ja tylko przeklejałem kartkę w kalendarzu przyjąć do kliniki. Gdy wreszcie się stawił, poprosiłem go o pokazanie aktualnych badań - przede wszystkim zdjęcia rezonansu magnetycznego, wykonanego w Szpitalu Bródnowskim, o którym mi wcześniej mówił. To, co zobaczyłem na kliszy, było nieadekwatne do skarg pacjenta, rzekomo cierpiącego na „straszliwy ból”. Nie mając podstaw, by go przyjąć do kliniki na operację, dla spokoju sumienia poszedłem poradzić się ordynatora neurologii prof. Adama Stępnia. On uznał, że skoro człowiek tak cierpi, trzeba go przebadać na neurologii... I dlatego zadzwoniłem do dr. Macieja Rz.

W tym momencie emocje oskarżonego wzięły górę nad jego opanowanym sposobem bycia. Profesor wyrzucił z siebie: - Przyszedł do mnie chory prosić o ulgę w cierpieniu, a potem okazało

się, że to cwaniak, kryminalista.

Ryszard J., lekarz, który na neurologii prowadził Jarosława R., zeznał w sądzie, że rutynowo skierował chorego na zabiegi rehabilitacji i fizykoterapii. Tymczasem...

- Pacjent uprzedził mnie, że dostanę pismo z sądu w Suwałkach w jego sprawie i będę musiał na nie odpowiedzieć. Rzeczywiście, przyszedł taki list z zapytaniem, jak długo skazany Jarosław R. pozostanie na szpitalnym łóżku i od kiedy może kontynuować odbywanie kary pozbawienia wolności. Odpowiedziałem sądowi jakie jest rozpoznanie (dyskopatia lędźwiowa i rwa kulszowa) i że nie wykluczam operacji,

135

!•

O

O

M

W

-CSŁ

C/3 O

bo chory miał takie kwalifikacje z neurochirurgii. To pismo pokazałem szefowi naszej kliniki, który na obchodzie doszedł jednak do wniosku, że chory symuluje i kazał go jak najszybciej wypisać. Na wszelki wypadek zrobiliśmy badania wykluczające dyskopatię i rwę kulszową. Jarosław R. za zaświadczenie do sądu wręczył mi w kopercie 400 zł. Ze słowami: - „Nie wiem, co pan doktor pije, proszę samemu sobie coś kupić. Żałuję, że wziąłem te pieniądze...

Gdy sędzia odczytał Ryszardowi J. jego zeznania w śledztwie, świadek zaprzeczył niektórym słowom z protokołu. Przede wszystkim stwierdzeniu, że dr Podgórski pomagał Jarosławowi R. uniknąć odpowiedzialności karnej.

- Chciałem powiedzieć, że oskarżony profesor został zmanipulowany przez gangstera. Gdyby naprawdę zamierzał ułatwić Jarosławowi R. uniknięcie więzienia, to by go operował bez odsyłania na konsultację neurologiczną. Potem mogłyby wystąpić rzekome powikłania, następnie pół roku rehabilitacji i ewentualnie znów silny zespół bólowy, trudny do wykrycia. Mówiąc w śledztwie o Jarosławie R. - jako protegowanym profesora - wyraziłem się nieprecyzyjnie. Fakt, że ordynator neurochirurgii dzwonił i prosił o przyjęcie tego pacjenta na nasz oddział, znaczy tylko tyle, że miał wątpliwości, czy operacja jest potrzebna. Na neurologii wielokrotnie zdarzają się dyskwalifikacje pierwotnej decyzji położenia pacjenta na stół.

Świadek zaprzeczył też, jakoby sugerował w śledztwie, że żona profesora pracująca w szpitalu przy ul. Szaserów jako radiolog, mogła podmienić klisze.

- Zapytali mnie - wyjaśniał na rozprawie - czy na radiologii można sfałszować opis rezonansu

magnetycznego. Odpowiedziałem, że wszystko można sfalszować. A czy np. żona prof. Podgórskiego, która tam pracuje, mogłaby podstawić klisze innego pacjenta? Odpowiedziałem, że każdy mógłby to zrobić, ale ja nikogo nie podejrzewam.

W chwilę później oskarżony profesor zaprzeczył, by wspomniana lekarka była jego żoną.

Adwokaci wypytywali świadka, skąd u niego taka znajomość procesu tworzenia fikcyjnej dokumentacji lekarskiej. - Z życiowego doświadczenia - twierdził dr J. Z taką praktyką spotkał się szczególnie w sytuacjach, gdy potrzebne były zaświadczenia lekarskie dla ZUS lub na prawo jazdy. Miał też do czynienia z czymś przestępczym podmiiany nazwiska na kliszy z rezonansu. To było zrobione w celu uniknięcia poboru do wojska. Akurat w tym przypadku fałszerz wpadł, bo podstawił zdjęcia 70-lataka ze zmianami zwyrodnieniowymi.

Prokurator usiłował uratować wiarygodność zeznań swego świadka w śledztwie, ale Ryszard J. z uporem twierdził, że nie tak zeznawał. A dlaczego podpisał protokół? Bo czytał po łebkach, gdyż zapomniał wziąć okulary. I szczegółowo opowiedział, w jakich okolicznościach był przesłuchiwany: jeszcze nim doszło do formalnego spisania protokołu, poproszono go wraz z trzema innymi lekarzami, też z neurologii, na „prywatne” spotkanie z podpułkownikiem Żandarmerii Wojskowej

136

51a Womirem Nowakiem w warszawskiej kawiarni „Wiedeńska”. Po podaniu kawy, oficer wyciągnął kodeks karny i kazał im przeczytać przepisy dotyczące składania fałszywych zeznań. Mówił, że wie dużo, ale jeszcze nie pora, aby to ujawnić. Jego pytania dotyczyły różnych pacjentów, m.in. chodziło mu o leczenie głośnego aferzysty Bogusława B.

- Gdy tłumaczyłem się niepamięcią - zeznawał Ryszard J. - pułkownik dał mi trzy dni na przypomnienie sobie, w przeciwnym razie zostaną wezwani na przesłuchanie do żandarmerii. Zostawił numer swojego telefonu komórkowego, gdyby mi coś przyszło do głowy; radził, żeby tak to się skończyło.

Na drugi dzień koledzy w klinice przypomnieli mu o sprawie pacjenta Jarosława R., więc zadzwonił. Wtedy pułkownik zaprosił go do hotelu Belweder. Odhaczył nazwisko R. w swoim notesie i zaraz potem padła ksywa „Słowik”.

- Zadrzałem, bo gdy powiedziałem, że nie znam nikogo takiego, widziałem po jego twarzy, że mi nie wierzy. Ten funkcjonariusz groził, że będę zatrzymany w szpitalu i wyprowadzony na oczach pacjentów. Wtedy szybciej sobie wszystko przypomnę.. . Nie wiem czy był to szantaż, czy może taki żart.

???

Podobnej treści zarzut spreparowania fałszywej dokumentacji lekarskiej, aby zamknięty w celi więzień mógł wyjść na wolność, prof. Podgórski otrzymał w związku z aresztowaniem Patryka W.

Profesor znał tego pacjenta od 1986 roku. Wówczas ośmioletni Patryk doznał poważnych obrażeń w wypadku samochodowym. Chłopiec wracał z ojcem i kolegą z wakacji na Mazurach. Doszło do zderzenia pojazdów. Tak się złożyło, że neurochirurg ze szpitala przy ul. Szaserów był pierwszym, który ratował ofiary tej katastrofy. W szpitalu w Nidzicy Patryk przeszedł operację nogi - niestety, nieprawidłowo zrekonstruowano kość udową. Miał niedowład stopy, a jego współtowarzyszowi z wypadku operowano krwiak wewnątrzczaszkowy. Zrozpaczony ojciec chłopca Krzysztof W. szukał ratunku dla swego dziecka. Dowiedział się, że w szpitalu MON przy ul. Szaserów pracuje wybitny neurochirurg prof. Jan Podgórski. W. był szczęśliwy, gdy po konsultacji w szpitalu w Nidzicy profesor zajął się poszkodowanymi chłopcami. To była długa walka o odzyskanie sprawności nóg - z uwagi na wadę serca ponowna operacja nie wchodziła w rachubę. Leczenie zachowawcze w szpitalu trwało prawie rok, a potem przez wiele lat już w prywatnym gabinecie profesora.

W 2002 roku 24-letni Patryk W. został aresztowany. Prokuratura w Bielsko-Białej postawiła mu zarzut wyłudzenia podatku VAT. W więzieniu nasiliły się dolegliwości związane z wypadkiem w dzieciństwie. Jak twierdził przed sądem Krzysztof W., jego syn krzyczał z bólu, a lekarz więzienny

uważał, że to symulowanie choroby.

Ojciec aresztowanego postanowił uzyskać od prof. Podgórskiego zaświadczenie o długoletnim leczeniu Patryka w szpitalu przy ul. Szaserów i w ten sposób

137

U)

wyciągnąć aresztanta do domu. Pojechał do profesora, ale wstydził się przyznać po co mu taki dokument.

zaświadczenie nie zapłaciłem ani grosza, nie sugerowałem też jego treści, pamiętam, jak wybrnąłem z odpowiedzi na pytanie lekarza, po co mi taka do-acja. W każdym razie dostałem opinię, choć szczerze mówiąc, byłem trochę rozczarowany zbyt lakoniczną treścią. Profesor powiedział, że nie może napisać więcej o pacjencie, którego nie widzi - zeznał Krzysztof W.

enie o chorobie nie przyniosło oczekiwanego skutku. Patryk W. odpowiadał z wolności - j

P3 O

03

H

M O

Py do Plero PO wpłaceniu 200 000 złotych kaucji, wie 1 k ykolwiek zastanawiał się pan, dlaczego przesłuchiowano pana w spra-Mo'Z^ 2 Szaserow? 1 to pięciokrotnie? - zapytał świadka mecenas Hilarowicz. winien01lh ZC'an\*em postanowił kogoś skrzywdzić, kogoś, kto niczemu nie jest łapówki Al 1 W^mus^ na mme> abym powiedział do protokołu, że profesor brał kuratur ^ ^ moS\*ern tego poświadczyć za żadną cenę. Ani w CBA, ani w pro-

Adwokat. - pan u^yj sjow. ^ wszeiką cenę". Jak mamy to rozumieć?

darcze 1 mi w CBA: „Nie jesteśmy w stanie posadzić cię za zarzuty gospo-

na znal ° ^oii^2^esz Udziec za wojsko". Bo podczas przeszukiwań mieszkania sy-orzeczenie komisji wojskowej o jego niezdolności do służby i prze-Strasznie °^Cer us^owai mi wmówić, że załatwiłem taki papier na lewo. chliwy al^1116 Wa^0wau> az w końcu odmówiłem wizyt w CBA. Nie jestem stra-funkcjon ' ^ teiTOr Psycmczny miał takie natężenie, że zacząłem się bać. Kiedyś powiedział mi: - Jedno moje pstryknięcie i drzwi się przed tobą otwo-melulwi W°Iny na miast0-Tylk0 Potwierdź-

e u świadków mówiło w sądzie o nakłanianiu ich przez CBA do oskarżenia prof. Podgórskiego.

???

Zeznawali też pracownicy ZUS w związku z zarzutem fałszowania dokumentacji lekarskiej w celu otrzymania zasiłków zdrowotnych. W tej sprawie przed sądem stanęło dwóch oskarżonych rzemieślników - Mieczysław W. i Mirosław S. Pierwszy zdaniem ZUS wyłudził 4000 złotych. Drugi - 12000 zł. Gdy dostali decyzję odmowną, złożyli odwołanie, wsparte dokumentacją o uszczerbku na zdrowiu otrzymaną od dr. Roberta J. (obciążył prof. Podgórskiego twierdząc, że zapłacił dyrektorowi WIM za konsultację wyników badań właśnie tych dwóch pacjentów, ubiegających się o świadczenie z ZUS). W śledztwie oskarżeni twierdzili, że płacili ppłk. Robertowi J., a o udziale prof. Podgórskiego w fałszowaniu dokumentacji lekarskiej nie mieli pojęcia.

- Nie musieli - pieczętka wojskowego instytutu nadawała dokumentom rangę, a nazwisko profesora budziło respekt - replikował przed sądem Robert J. 138

- Dlaczego dr Robert J. pana oskarża? - sędzia Jacek Gurbierz zapytał profesora już na pierwszej rozprawie.

- Nie wiem - odparł Jan Podgórski. - Nigdy nie brałem od ppłk. J. pieniędzy, choć przez wiele lat bezpłatnie pomagałem mu w stawianiu diagnozy. Nigdy też nie poświadczyłem nieprawdy w dokumentacji medycznej. Chyba nikt nie potrafi wytłumaczyć zachowania dr. J.

Znalazł się jednak na sali sądowej ktoś, kto twierdził, że zna odpowiedź. To obrońca oskarżonego profesora, znany adwokat Marian Hilarowicz. Zapowiedział, że wszystko się wyjaśni po powołaniu świadków, których CBA usiłowało nakłonić do złożenia zeznań godzących w profesora. I wystąpił o przesłuchanie byłego funkcjonariusza policji Pawła K., który powiedział w programie TVN Superwizjer, że w marcu 2007 roku funkcjonariusze Centralnego Biura Antykorupcyjnego w Warszawie nakłaniali go do wręczenia kontrolowanej łapówki prof. Janowi Podgórskiemu. Wcześniej K. zeznał to w białostockiej prokuraturze.

Mecenas Hilarowicz domagał się też przesłuchania ppłk. Sławomira Nowaka, o którego metodach zastraszania świadka mówił na rozprawie świadek dr Ryszard J.

Obrońca prof. Podgórskiego zwrócił uwagę Sądu, że w aktach prokuratorskich jego klienta znajduje się informacja o powiązaniach oskarżonego profesora z pracownicą służby zdrowia Stanisławą P. (nie występującą w tym procesie) w rzekomym wyłudzeniu 1300 000 zł od chorej na raka Elżbiety L.

Przeciwko Stanisławie P. toczyło się postępowanie karne. Na skutek wniesionej przez nią apelacji od wyroku Sądu Rejonowego w Otwocku sprawa została przekazana do Sądu Okręgowego Odwoławczego Warszawa-Praga.

CBA dwukrotnie zwracało się do tego sądu o wydanie zezwolenia dwóm funkcjonariuszom Biura na widzenie z tymczasowo aresztowaną Stanisławą P. W uzasadnieniu służby śledcze podawały, że chodzi o przesłuchanie P. w charakterze świadka do sprawy Jana Podgórskiego, prowadzonej wówczas przez Wojskową Prokuraturę Okręgową w Warszawie.

Policjanci dostali taką zgodę. I niewątpliwie widzieli się z aresztowaną, o czym świadczy wystąpienie obrońcy Stanisławy P. na rozprawie apelacyjnej, który wnosił, aby funkcjonariusze CBA nie otrzymywali dalszych zgód na widzenia z jego klientką, gdyż skarży się ona, że jest przez nich „naciskana”.

CBA nie odstąpiło jednak od nękania Stanisławy P. i miesiąc później ponowiło wniosek tej samej treści, co poprzednio. I znów dostało zgodę na widzenie.

- W aktach sprawy przekazanej przez prokuraturę wojskową do tutejszego sądu - mówił zdecydowanym tonem mecenas Marian Hilarowicz - brak jakichkolwiek protokołów z przesłuchania Stanisławy P. przez CBA. Czy zatem, zbierając materiał dowodowy przeciwko profesorowi Janowi Podgórskiemu, nie naruszano obowiązującego prawa, a konkretnie - czy organa prowadzące postępowanie karne uwzględniały okoliczności przemawiające na korzyść tegoż oskarżonego? I, w konsekwencji,

139

czy przestrzegano kardynalnej zasady procesu karnego, aby w jego wyniku osoba niewinna nie ponosiła odpowiedzialności?

Mecenas domagał się odpowiedzi na te istotne pytania również z uwagi na to ^ że do akt Jana Podgórskiego dołączono notatki oraz karty choroby pacjentów profesora nie mające żadnego związku z prowadzonym postępowaniem. Natomiast zachodziło podejrzenie, że nie włączono dokumentów procesowych przemawiających na korzyść oskarżonego.

Kolejny wniosek mecenas Hilarowicza dotyczył odtworzenia przebiegu konferencji prasowej 23 sierpnia 2007 roku z udziałem ministra Zbigniewa Ziobro i ówczesnego szefa CBA Mariusza Kamińskiego.

R 5

M

Wydarzenia toczyły się następująco: Profesor został zatrzymany 22 sierpnia o go-^| dzinie 6.55. Przez cały dzień czekał na przesłuchanie. Wreszcie jego adwokat uzy-2 skał informację, że podejrzany stanie przed prokuratorem następnego dnia o 7 rano. Ale nic takiego się nie zdarzyło, przesłuchanie zaczęło się dopiero o godzinie 15.35, czyli po 32 godzinach od zatrzymania. Wtedy zarzuty postawione profesorowi 20 sierpnia zostały poszerzone o poświadczenie nieprawdy w opinii lekarskiej dla słynnego gangstera Andrzeja Z. pseudonim Słowik.



Na konferencja prasowej, która odbyła się tego samego dnia, szef CBA oświadczył, że „generał Jan Podgórski organizował najgroźniejszym przestępcom w Polsce dokumentację medyczną, aby mogli uniknąć więzienia”.

- Nie wymaga uzasadnienia - mówił w sądzie mecenas Hilarowicz - iż uzupełnienie zarzutów już po zatrzymaniu profesora o jego przestępcze współdziałanie z Andrzejem Z. miało na celu uprawdopodobnienie przed dziennikarzami zasadności sporządzonego następnie wniosku o tymczasowe aresztowanie.

Sąd wniosku obrońcy o przesłuchanie dodatkowych świadków nie przyjął, chciał natomiast wiedzieć, czy w szpitalu wojskowym często zdarzały się takie konsultacje, jakie prof. Podgórski świadczył np. koledze z WIML.

- To były i są powszechne praktyki - twierdził świadek prof. Krzysztof K., ortopeda ze szpitala przy ul. Szaserów - bo tylko w telewizji może występować dr Ho-use, specjalista w każdej dziedzinie medycyny. Ja też przychodziłem z moimi pacjentami do profesora. O pieniądzach za wystawioną po koleżeńsku diagnozę nie było mowy.

Prokurator: - Konsultacje dotyczyły pacjentów ze szpitala, czy też tych z ambulatorium?

Świadek: - Takich i takich.

Sędzia: - Czy pan słyszał, aby którykolwiek lekarz WIM płacił profesorowi Podgórskiemu za konsultacje?.

Świadek: - Nie słyszałem. Znam profesora od dawna i nie wyobrażam sobie takiej sytuacji.

Sędzia: - Czy jest panu znana opinia, że profesor przyjmował każdego chorego?

140

Świadek: - Tak. Ja zachowuję się podobnie. Obowiązkiem lekarza jest reagować na sytuację, gdyż człowiek cierpi.

Sędzia: - Czy zdarzały się przypadki odsyłania pacjenta na inny oddział? Świadek: - Wielokrotnie.

Również neurochirurg Andrzej K. potwierdził, że były dyrektor WIM, z którym pracował na oddziale szesnaście lat, nie odmawiał pomocy żadnemu choremu. I nigdy nie słyszał, aby profesor przyjął od lekarza pieniądze za udzielone mu konsultacje. To byłoby pogwałcenie zasad obowiązujących w środowisku medycznym, a dr Jan Podgórski jest z rodziny lekarskiej.

Mogło się natomiast zdarzyć wydanie opinii bez oglądania pacjenta, tylko na podstawie dokumentacji.

???

Już na jednej z pierwszych rozpraw lekarzy ze szpitala przy ul. Szaserów świadek Wojciech F., fizjoterapeuta w Wojskowym Instytucie Medycyny Lotniczej, podważył wiarygodność oskarżonego dr. Roberta J. Opowiedział przed sądem o pewnym wydarzeniu z okresu śledztwa:

Funkcjonariusze CBS odwiedzili zakład rehabilitacji, w którym F. był kierownikiem i zażądali dokumentacji lekarskiej Andrzeja Z. „Słowika”. Fizjoterapeuta przejrzał zawartość komputera swego szefa, ale tego, czego szukał, nie znalazł. Nie pamiętał też, aby zajmował się pacjentem o takim nazwisku.

Zatelefonował więc do dr. J., który był na urlopie, ale nie wyjechał z Warszawy. Przełożony uspokoił go, że wie, o kogo chodzi i zaraz odpowie śledczym, musi tylko coś sprawdzić w komputerze.

- Nazajutrz - zeznał świadek - mój szef bardzo wcześnie rano przyjechał do swego gabinetu. Po pewnym czasie wyszedł stamtąd z papierami „Słowika”. Zauważyłem, że ikony na pulpicie monitora były poprzestawiane. Zameldowałem o wszystkim dyrektorowi szpitala.

Fizjoterapeuta powiedział też na sali sądowej, że po jego zabiegach rehabilitacyjnych niektórzy pacjenci wchodzili jeszcze do gabinetu dr. Roberta J. - „Ich zachowanie, wygląd, ubiór mogły sugerować, że są z grupy przestępczej. Odnosiłem wrażenie, że prowadzą z moim szefem jakieś interesy”.

Oskarżony J. zareagował na to zeznanie oświadczeniem. Wyjaśnił, że wprawdzie Wojciech F. dysponował kluczem do gabinetu, gdzie stał komputer, ale ponieważ nie był lekarzem, nie miał

dostępu do dokumentów medycznych. Zostały one ukryte w specjalnym folderze. I dlatego nie mógł ich znaleźć.

A dlaczego kopie papierów „Słowika” znaleziono w mieszkaniu oskarżonego?

- Bo wtedy w moim gabinecie w szpitalu wymieniano wykładzinę i istniała obawa, że karty mogą zaginać - tłumaczył oskarżony. - Ponadto potrzebowałem dokumentację medyczną na wykłady dla studentów.

141

|

142

???

s  
przewód sądowy nie potwierdził zarzutów wobec większości oskarżonych. Sąd całkowicie i jednoznacznie uniewinnił prof. Jana Podgórskiego, wykazując m.in. rażąco błędy i zaniedbania prokuratury. Robert J. otrzymał wyrok - rok i sześć miesięcy pozbawienia wolności oraz grzywnę. Sędzia - płk Jacek Gurbierz - uzasadniając wyrok, zauważył, że był to proces skomplikowany, wielowątkowy. Sąd musiał się wypowiedzieć m. in. w kwestiach karnych dotyczących ustawy o zawodzie lekarza, a takich kwalifikacji przecież nie posiada.

^  
g~i  
Pj  
jł,  
^

H

PQ

R

O

M

Ph O

U

palne lato 2006 roku. Na kortach we Wrocławiu biega z rakieta tenisową Andrzej K. - radca prawny, od paru miesięcy wiceprezes Telefonii Dialog, spółki należącej do kontrolowanego przez państwo KGHM. Właśnie wygrał tie break'a z Tomaszem Kurzewskim, prezesem firmy ATM Grupa, produkującej seriale telewizyjne, m.in. Świat według Kiepskich. Andrzejowi K. imponuje towarzystwo znanego w medialnym świecie biznesmena. - Lubił szpanować - zezna dwa lata później w sądzie prezes ATM Grupa - kreował się na osobę wpływową, chwalił się, że pracował w kancelarii Lecha Kaczyńskiego (w rzeczywistości K. był szeregowym radcą prawnym w wydziale oświaty w warszawskim ratuszu).

Prawnika interesuje ziemia w pobliżu Wrocławia, którą można by „odrolnić”. Przekwalifikowanie na działki budowlane daje wielokrotne przebicie za hektar - zapewnia prezesa ATM Grupa. Gdyby więc słyszał o takich terenach, prosi o wiadomość. Prezes odpowiada, że to nie jest biznes, w którym on się porusza z biegłością. Ale wskazuje pewien trop: jego druga spółka o nazwie „Topacz” zajmuje się między innymi nieruchomościami. I daje swemu tenisowemu partnerowi

adres znajomego dewelopera Jacka W.

Do spotkania ze specjalistą od obrotu nieruchomościami dochodzi we wrześniu. Jacek W. odradza Andrzejowi K. interesy z odrołnieniem. Stosowną decyzję uzyskuje się w Ministerstwie Rolnictwa, wcześniej potrzebna jest zgoda gminy i marszałka województwa - za dużo starań. Sam też nie zamierza w to wchodzić.

Przy najbliższej wymianie setów na korcie prezes ATM słyszy od swego partnera wymówkę, że polecił mu kogoś niepoważnego.

Andrzej K. nie rezygnuje - przedstawia ofertę jeszcze kilku innym osobom. Wszystkim mówi o nadzwyczajnej okazji do zarobienia pieniędzy. Skąd taka pewność? Ma powody sądzić, że się uda, choć nie ujawnia tego potencjalnym współnikom. Otóż zatrudnił u siebie na dyrektorskim stanowisku (ds. logistyki i zakupów) Piotra R. byłego dziennikarza lokalnego radia Dialog, a wcześniej TVP. Wprawdzie zrobił to niejako przymuszony przez Jarosława Chmielewskiego, senatora rządzącej partii PiS, ale po rozmowie z protegowanym doszedł do wniosku, że kukułcze jajo jest złote. R. ma też dobre układy z władzami Samoobrony, konkretnie z Lepperem, choć nie jest członkiem tej partii. Warto było się z nim zaprzyjaźnić - to ktoś, kto może załatwić odrołnienie. Trzeba tylko znaleźć chętnego do wyłożenia pieniędzy na koszty interesu życia. Andrzej K. nadal szuka.

Tymczasem komplikuje mu się sytuacja w Dialogu. Jesienią 2006 roku traci pracę Piotr R., podejrzany o wymuszanie obietnicy łapówek od firm stających do przetargu na wyposażenie Telefonii. Dyrektor ds. logistyki i zakupów nie przyznaje się do winy. Dwa miesiące później musi się rozstać z fotelem Andrzej K. - Sprawa jest rozwojowa - zapowiada prokuratura.

W środowisku wrocławskich biznesmenów to sensacja. Nic więc dziwnego, że o tropach śledztwa rozmawiają prezes ATM Tomasz Kurzewski i nowy szef

147

Dialogu Andrzej Olewnik, gdy 6 grudnia przypadkowo spotykają się w warszawskim hotelu Marriott.

Producent „Kiepskich” wspomina, jaką ofertę złożył mu latem na korcie Andrzej K. Dla prezesa Dialogu to kolejny dowód kombinowania na boku. Przez znajomego ministra z kancelarii premiera Jarosław Kaczyńskiego zawiadamia szefa CBA Mariusza N Kamińskiego. Służby śledcze zajmują się sprawą za wiedzą i poparciem ówczesnego prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry. Jest nadzieja na złapanie w zastawione sidła nie tylko jakiegoś prawnika-kombinatora, ale samego wicepremiera

I

ministra rolnictwa Andrzeja Leppera - niewygodnego koalicjanta partii Kaczyńskich, skompromitowanego aferą pracy za seks w Samoobronie i tzw. taśmami Beger.

Namawiają dewelopera Jacka W., aby przed Andrzejem K. odegrał rolę zainteresowanego odrołnieniem ziemi za łapówkę.

Kilka dni później obaj panowie spotykają się na korcie. Ukryty magnetofon dewelopera nagrywa zwierzenia radcy prawnego, że interesują go tylko grube sprawy. Na takie, na których mógłby zarobić zaledwie kilkadziesiąt tysięcy złotych, nie marnuje czasu. K. jeszcze raz powołuje się na znajomości w resorcie rolnictwa. Ale nie wymienia żadnych nazwisk. Powtarza tylko: „Mamy taką możliwość”.

Deweloper obiecuje, że znajdzie kogoś zainteresowanego odrołnieniem.

Nie musi nikogo szukać. CBA ma już takiego człowieka - to podstawiony funkcjonariusz służb, który będzie udawał biznesmena z Austrii. Dostanie dowód tożsamości na nazwisko Andrzej Sosnowski. Agent specjalny powie figurantowi Andrzejowi K., że jest właścicielem 80 ha ziemi nad jeziorem w gminie Mrągowo. Potrzebuje decyzji o jej odrołnieniu, bo chce tam budować hotel. Jeśli wszystko pójdzie dobrze (to znaczy, będzie zgoda MR na przekwalifikowanie gruntu), na samym odrołnieniu zarobią 3,5 mln zł.

Nim dojdzie do pierwszego spotkania, CBA pozakłada podsłuchy wszystkim uczestnikom

provokacji: Andrzejowi K., Piotrowi R., Andrzejowi Lepperowi i posłowi Samoobrony Januszowi Maksymiukowi.

???

Czternastego stycznia 2007 r. Sosnowski po raz pierwszy spotyka się z Andrzejem K. w warszawskiej restauracji Chianti przy ul. Foksal. Jedzą obiad. Ich rozmowa jest nagrywana dzięki małemu urządzeniu w kieszeni agenta.

Andrzeja K.: - Akcja jest taka, że ja co prawda nie osobiście, bo broń Panie Boże, choć niektórzy mówią, że szkoda, że nie jestem członkiem Samoobrony, natomiast mam bezpośrednie, śmiem twierdzić, że nie wiem, czy nie najlepsze, powiązanie z osobą, która to podpisuje po prostu, czyli z Lepperem, on o tym decyduje. Ja proszę pana, mam bezpośrednie dotarcie face to face zarówno do Leppera, jak i Maksymiuka. Ja więcej panu powiem, ja to mam z nimi uzgodnione.

148

Kolejne spotkanie wyznaczają sobie cztery dni później we wrocławskim hotelu H gest Western. Zaraz po wyjściu z Chianti Andrzej K. dzwoni do Piotra R. Opowiada mu o spotka-

I—I  
niu z biznesmenem z Austrii, ale przede wszystkim żali się, że po aferze w Dialogu zo- J25  
stał na lodzie. Choć „wszystkie siły wyteża”, uruchomił znajomości w Prokuraturii Ge- W  
neralnej, w Kancelarii Prezydenta, nie ma konkretnej propozycji etatu. - „Obiecują, że  
zadzwońią i przypomną, że tak powiem, o mojej osobie, a potem cisza”. ^

Również R. po zwolnieniu z Dialogu nie ma pracy. - „Zakopali nas w piasku” O - mówi o ich  
ustosunkowanych znajomych.

Obaj przyjaciele widzą ratunek dla siebie w załatwieniu interesu z Sosnowskim. >~3  
To ich ustawi na kilka lat. ^

Do restauracji hotelu Best Western we Wrocławiu Andrzej K. przychodzi więc  
z konkretną odpowiedzią: może załatwić decyzję o odrobnieniu, rozmawiał z kim  
trzeba. Pytanie agenta, kto za nim stoi, zbywa żartem: „Baterie z komórki wyjąłeś?”,  
jeszcze nie mówi, ile to będzie kosztować. p^>

Prawnik piętrzy trudności w załatwieniu sprawy - twierdzi, że wymaga to nad- ^ zwyczajnego  
obiegu papierów w Ministerstwie Rolnictwa. On jest w stanie uporać JSJ się z takimi trudnościami:  
- Po prostu moi ludzie uderzą wprost do właściwej oso- p..s by. Ale ten tryb nadzwyczajny jest do  
zrobienia tylko jeden raz. W związku z tym |2j szkoda by marnować takiej okazji, chyba że jest  
wyjątkowo opłacalny zysk.

Blefuje - normalny tryb jest taki, że dokumenty składa w ministerstwie gmina ""N wraz z opinią  
samorządu województwa. Resortowy departament gospodarki ziemią bada wnioski pod kątem  
formalnym, decyzję podejmuje kierownictwo ministerstwa, ostateczny podpis składa Lepper.

Sosnowski przytakuje prawnikowi ze zrozumieniem, równocześnie wyjmując z portfela 10 000 zł  
na pierwsze drobne wydatki przy załatwianiu sprawy. K. ochoczo je bierze. Ze słowami: - Ja jestem  
poważnym człowiekiem i zakładam, że to się uda zrobić, ja te dziesięć wezmę w depozyt. Moje  
słowa to nie wiatr, szacuję ryzyko pro-milowo, nawet nie procentowo, jeżeli nie wyjdzie, to ja panu  
te pieniądze oddam.

Agent: - Nie było sprawy.

Andrzej K.: - Dokładnie.

Podczas kolejnego spotkania z agentem pada cena za odrobnienie - 7-8 mln zł (taką kwotę kazał  
podać Piotr R., który nawiasem mówiąc odebrał Andrzejowi K. owe 10000 zł jako „honorarium za  
usługę”). Pieniądze byłyby podzielone na cztery części - dla Leppera (który, jak twierdzi prawnik,  
„poniżej dużej bańki nie chce rozmawiać”), Piotra R., Andrzeja K. i kilku urzędników ministerstwa.  
K. podkreśla swoje poświęcenie: - Nie ukrywam, że ja niestety nie mam z tego tyle, ile bym chciał,  
tak to bywa, natomiast liczy się załatwienie pewnej sprawy i robienie kontaktów po obu stronach.  
Biznesmen tego nie komentuje, prosi o trzy dni do namysłu. Chce się naradzić ze swymi

wspólnikami.

149

Andrzej K. obniża cenę do 6,8 mln. Sosnowski nadal się waha. - Zadzwoń - mówi na odchodnym.

W umówionym terminie odpowiada, że znalazł tańsze dojście do ministerstwa. Powołuje się na pewnego działacza Samoobrony (co jest blefem).

K. zaniepokojony dzwoni do R., który nie traci zimnej krwi, mówiąc: - Ja mu to storpeduję, porozmawiam z Lepperem.

Ale nie trzeba niczego torpedować, bo po tygodniu droczenia się, a właściwie gry operacyjnej, agent wraca do rozmów z figurantem.

K. zapewnia go, że w resorcie wszystko już dopięte: - Byłem dzisiaj w Ministerstwie Rolnictwa, trochę poczekałem i uzgodniliśmy całą strategię, rozmawiałem też z pewnym działaczem z Samoobrony, z dwoma nawet, jeszcze na popołudnie mam jedno spotkanie, żeby nie było jakichś niedomówień. Rozumiem, że całość na warunkach, o których mówiliśmy...

Agent jakby zmartwiony: - 6,8 mln zł to jednak kawał grosza jest.

Andrzej K. daje mu nadzieję, że może jeszcze trochę zejść z kosztów.

Po czym panowie zastanawiają się, jak załatwić przekazanie pieniędzy. Radca prawny nie chce, aby wszystko szło przelewem, część niech będzie gotówką, „znajdziemy na to podkładkę”.

Rozstają się z serdecznym uściskiem dłoni. K. w najbliższej bramie wystukuje numer komórki Piotra R. Wszystko mu na gorąco relacjonuje. Nie ma między nimi niedomówień, wszak są przyjaciółmi.

???

Kolejne spotkanie K. z agentem. Jak zawsze w restauracji. Biznesmen Sosnowski namawia prawnika (figuranta, jak określa go w raportach), aby poznał go z tym kimś, kto ma bezpośrednie „przełożenie” na najważniejszą osobę w ministerstwie: - Jest możliwość, na przykład jakieś takie zaaranżowane spotkanie z tym panem? On nie musi mi w oczy powiedzieć, że to jest do załatwienia, tylko...

Andrzej K.: - Pan próbuje mnie weryfikować?

Agent: - Nie no, od weryfikacji jest Macierewicz (śmiech ...).

Andrzej K.: - Proszę pana, ja jestem bardzo poważnym człowiekiem. Ja się bardziej boję, że pan mnie wystawi, niż ja pana...

Agent już pojednawczo: - Jedziemy na jednym wózku.

- W związku z tym powiem w ten sposób: ja, żeby jeszcze była pełna jasność, takie coś mam za sobą z innymi, może na mniejszą skalę, ale identyczne. I są ludzie, którzy wiedzą, że u mnie słowo jest słowem - łagodzi śpięcie prawnik.

Naciskany przez rzekomego biznesmena K. dzwoni jednak do Piotra R.: może spotkają się w trójkę. Ale przyjaciel odmawia. Chce pozostać anonimowy. W tej sytuacji prawnik sam zapewnia biznesmena z Austrii, że własną głową gwarantuje powodzenie operacji. - Mogę dużo, póki jest obecny układ. Jedyne moment, za który nie

150

chęć, to gdy się rozpadła koalicja. No, bo tego już nie przeszkodzi, nie będzie miał ^  
kto podpisać i wtedy szkoda czasu. Ale na razie jest wszystko ładnie, grzecznie...

Agent: - Mhymm (...).

Przy deserze zmieniają temat. pa

- A co pan robi, tak formalnie rzecz biorąc na przykład, jakąś firmę pan reprezentuje, czy co? - dopytuje prawnik. PU

- Handel stalą. Ogólnie import-export - pada wyczerpująca ten temat odpowiedź. Tego samego dnia wieczorem Piotr R. dzwoni do Andrzeja K.: -1 co, mów, udało ci się spotkać z nim

dzisiaj?

- Tak, tak, udało się. Do piątku ma być odpowiedź, czy wchodzi w to. Szacuję >-3 szanse na 95%. Reszta szczegółów nie przez telefon. jżj\*

- Aha. Wszystko jasne.

Ale nie wszystko. Bo agent specjalny zaczyna targować się o cenę łapówki. Stało na 3000000 zł gotówką lub 3300000 min przelewem. Jeśli pieniądze pójdą przez bank, te 300000 jest potrzebne na wypranie milionów. Mimo że kwota spa- C?p dla do połowy, Lepper i tak dostanie milion, bo, jak zapewnia prawnik, z „niższymi ^ kwotami się do niego nie podchodzi”.

- Z poważnych osób - K. wyjaśnia Sosnowskiemu - które naprawdę chcą dużych pieniędzy, to na dobrą sprawę są trzy. Wymienia nazwiska znanych polityków Sa- jf§ DO

moobrony: Leppera, Maksymiuka i Filipka. Reszta „albo się obejdzie smakiem, albo dostanie ochłapy, łącznie ze mną w pewnym sensie, ale to nieważne, kontakty z ni-mi są ważne”.

Bo obiecali mu pracę - może wybierać w kierowniczych stanowiskach w NBP, Agencji Rolnej lub w TVP.

Ale jest moment, gdy K. wypada z roli pośrednika nie zainteresowanego walizką pieniędzy. To zdarza się wówczas, gdy agent daje mu do zrozumienia, że interesów załatwianych za łapówki może być w przyszłości więcej.

Pada bowiem pytanie: - Kwota do zapłaty jaka by była?

Andrzej K. przypomina: - Trzy miliony złotych.

- Czyli my na pierwszym etapie nic nie zarobimy - zauważa jakby od niechcienia rzekomy biznesmen z Austrii.

Wtedy radca prawny z ożywieniem: - Pierwszy etap? Ja pana źle zrozumiałem prawdopodobnie.

Agent: - Odrolnienie tylko 12 ha z linią brzegową podniesie wartość gruntu o trzy miliony złotych.

- My jesteśmy w stanie załatwić całe 80 hektarów - prawnik łapie przynętę. Agent: - ...no to wtedy jest już zupełnie inna rozmowa...

K. wyjmując kalkulator, liczy: - Myślę, że jestem w stanie wyszarpnąć dla pana...

???

151

I

EH

•a:

O

Operacja specjalna CBA nabiera rumieńców. Pod koniec lutego Sosnowski i Andrzej K. często dzwonią do siebie. I spotykają się co kilka dni - zawsze przy obficie zastawionym stole. Najczęściej w restauracjach hoteli sieci Gromada. Czują mikrofon ukrytego magnetofonu wychwytyje każde słowo biesiadników. Oprócz zapisu magnetofonowego z każdego takiego spotkania agent przygotowuje raport. Pierwszego marca donosi: „W hotelu Gromada przy ul. Żwirki i Wigury figurant powiedział, że odrolnienie załatwia mężczyzna o imieniu Piotr. Mówił też, że ten Piotr może mi załatwić wylot z delegacją Ministerstwa Rolnictwa do Chin. Figurantowi spodobał się mój telefon Nokia z tytanu, wartości 4 tysiące złotych. Wziął, nie mówił, że chce za niego zapłacić (...).

Zamówiliśmy befszytk tatarski, pieczoną kaczkę i butelkę Finlandii.

Jak zwykle płaci agent i jeszcze bawi swego gościa anegdotami. Między innymi wyciągniętą z lamusa historyjką o pewnym profesorsie z AGH, który w latach 80. protekcyjnie załatwiał miejsca na liście przyjętych na studia:

Agent: - Wie pan, było 15 czy 10 na jedno miejsce, jeszcze jakieś punkty chore, takie historie. I on zbierał od wszystkich kasę, nie pamiętam, ile to było, na pół malucha, czy jedną trzecią malucha... I kto zdał...

Andrzej K.: - ...to przepadało.

Agent: - Okej, a kto nie zdał, profesor zwracał mu kasę i mówił, że się nie dało załatwić.

Andrzej K. śmiejąc się: - Cwaniak, świetnie się urządził, zawsze ktoś zdał, nie? Agent: - Właśnie (...).

Ale nie robi dalszych aluzji do interesu, jaki ubija z prawnikiem.

Dwa tygodnie później panowie przechodzą na „ty”. Zamawiają alkohol. Andrzej K.: - No nie wiem, czy dam radę pół butelki, ale trochę sobie drinknę.

Agent, pozornie wstawiony: - Mnóstwo jest ludzi ze świetnymi pomysłami, na których można fajnie zarobić. Do banku nie pójda.

Andrzej K. nastawia ucha.

- Bo ich wyśmiejają - zarzuca „wędkę” Sosnowski - powiedzą: no nie, panowie, potrzebne są jakieś gwarancje, depozyty.

-Jasne - przytakuje czujnie figurant.

- My już na tyle, że tak powiem, nabraliśmy do siebie zaufania - szepcze agent - że jakby jakiś przedstawiciel komisji sejmowej coś pomógł, coś tam podpowiedział. Ale zrobimy to właśnie w ten sposób, że od twojej strony wszystko idzie przez ciebie, a od mojej strony wszystko przeze mnie. Wtedy jest bezpiecznie.

K. łapie haczyk, chwali się: - Mam w Sejmie znajomości, kilka ustaw mojego pióra jest, żeby było śmieszniej (...).

Agent: - Czyli, żeby coś gdzieś przepchnąć...

Andrzej K.: - ... jeśli są takie klimaty, można ze mną rozmawiać. Procentują lata pracy. Żona się na mnie wkurwiała, że chodziłem po różnych zebraniach, ludzi

152

poznawałem. Człowiek bidował i nic z tego nie miał. Tylko że teraz ci, których ja H  
poznałem 15 lat temu, są na górze. O, na przykład, taki przewodniczący komisji sejmowej, to mój kumpel. Q

Agent: - Kto konkretnie? ^

- Artur Z. (w oryginale pada nazwisko posła), ja z nim chlałem, różne rzeczy robiłem... fX,

Mimo że K. wypił z Sosnowskim bruderszaft, Piotr R. nadal odmawia pokazania „biznesmenowi” swej twarzy. Ale przyjaciele utrzymują gorącą linię telefoniczną. O  
Między 6 a 14 marca 2007 r. CBA zarejestrowało 913 rozmów i SMS-ów z aparatu Q  
piotra R. Często też korzystają z budek telefonicznych. H3

Agent przekazuje 6 kwietnia Andrzejowi K. rzekomy wniosek Urzędu Gminy ^ w Mrągowie wraz z załącznikami potrzebnymi do odrolnienia (CBA sfałszowało te dokumenty, ale okaże się wkrótce, że nie wszystkie podrobiło). Prawnik ma te papiery położyć na odpowiednim biurku w ministerstwie. Uzgadniają, że tydzień przed ^ wydaniem decyzji biznesmen dostanie „cynk, żeby dobrze zorganizować finał”. Gdy tylko zostaje sam, Andrzej K. dzwoni radosny do Piotra R., który jest we Wrocławiu.

- Wszystko okej, szczegóły opowiem, gdy przyjedziesz do Warszawy, teraz tyl-ko rzucam hasło: jak wypłacasz pieniądze z banku, to czego oni używają?

R.: - Nie, nie wiem.

K.: - No, liczarki. Takie coś bardzo by się nam przydało. cjj

R.: - Aha. <

K.: - Bo bez tego ciężko będzie.

Mija jednak 20 dni i decyzji z ministerstwa nie ma. Zaniepokojony K. dzwoni do przyjaciela Piotra: - Słuchaj, on się dopytuje, kiedy sprawa będzie orientacyjnie. Czy ja mogę powiedzieć, że decyzja do 20 maja?

R.: - Wolałbym się tak nie wiązać terminowo. Powiedz mu, że wszystko jest pod kontrolą.

Ale agenta nie zadowala taka odpowiedź. Sosnowski straszy, że jego wspólnicy zażądają zwrotu kosztów idących w setki tysięcy złotych.

K. staje się nerwowy. Na domiar złego nadal jest bez pracy, znów coś nie wypaliło w układach, mimo obietnicy. Żali się przyjacielowi przez telefon (co służby CBA natychmiast nagrywają), że dają mu w zamian „dwie rady nadzorcze farmaceutyczne, ewentualnie rada nadzorcza w telewizji, ale niczego na papierze”. - A tak chciałoby się iść do przyzwoitej roboty - Andrzej K. wzdycha do słuchawki.

- Nie do przyzwoitej, tylko dobrze płatnej - poprawia go Piotr R.

Jest jeszcze jedna przyczyna, że K. wysiadają nerwy. - Miałem nieprzyjemne informacje z Dialogu - zwierza się przyjacielowi. - Ci z zarządu rozsiewają o mnie plotki. Zapewne dlatego żaden headhunter się do mnie nie zgłosił.

R.: - Ale co, że oszust jesteś?

Andrzej K.: - No, same kłamstwa, że były jakieś nieprawidłowości.

153 ;

"W

H

O 04

R.: - OK... . Dobra, kończymy, bo od razu scyzoryk mi się otwiera w kieszeni. Nieprawidłowości. Najpiękniejsze słowo IV RP.

Andrzej K.: - Muszę się jakoś ratować. Przecież ten skurczybyk pedał to nawet nie odebrał telefonu, gdy mu wysłałem SMS-a, że ja go pierdolę. No, nie mogę się doczekać, kiedy skończą się nasze wyboje i dostaną niektórzy w zęby, dosłownie.

W rozmowie z żoną Andrzej K. stara się natchnąć ją optymizmem, że wkrótce ich sytuacja finansowa znacznie się poprawi.

- Załatwiłem sprawę tej ziemi, finalizujemy.

Pani K.: - Ale powiedz, będą z tego jakieś pieniądze?

- Przecież inaczej bym tego nie pilnował. Spłynie powiedzmy kilkadziesiąt tysięcy złotych, chyba się opłaca, prawda? (Jak słyhać, przed małżonką znacznie zaniża wysokość swych zysków z odrolnienia ziemi na jezioro). Chciałbym jeszcze ze dwie rady nadzorcze, najlepiej w zdrowiu i w telewizji i pieniądze by były. Rada nadzorcza TVP to przecież jest superprestżowe stanowisko. Bardzo bym chciał. I tego pilnuję. Tylko że to jest skomplikowane, pewno wyrwę dopiero za pół roku, takie jest życie.

???

Andrzej K. cieszy się podarowaną mu bajerancką komorą, a tymczasem urzędnicy w Ministerstwie Rolnictwa pochylają się nad wnioskiem Urzędu Gminy w Mrągowie w kwestii odrolnienia prawie 40 hektarów nad jeziorem w Muntowie.



Podrobione przez CBA papiery już sporo się nawędrowały. Najpierw dostał je od agenta Sosnowskiego Andrzej K. Przekazał - jak wyjaśni potem w śledztwie - Piotrowi R. za pośrednictwem posłanki z Samoobrony. Jego przyjaciel pilotował papiery z dużym zaangażowaniem. Wkrótce oddał mu je z informacją, że są niepełne, nie ma wniosku podpisanego przez wójta gminy Mrągowo.

Sosnowski informuje o przeszkodzie CBA; tam fabrykują stosowny dokument, ze sfalszowanym podpisem wójta Jerzego Krasińskiego.

Uzupełniony wniosek o odrolnienie 39,75 ha w Muntowie ostatecznie został zarejestrowany w ministerstwie w maju 2007 roku. Trafia na biurko Agnieszki Z. 25-letniej urzędniczki, pracującej dopiero trzy miesiące. Ona przegląda, radzi się starszego kolegi, bo ma wątpliwości. Za mało załączników. Przede wszystkim brakuje wykazu właścicieli „odrolnianych” działek z informacją, czy grunt został nabyty od Skarbu Państwa. Dwa miesiące wcześniej minister Lepper wydał decyzję o niezbędności tego rodzaju dokumentu we wnioskach. Agnieszka Z. dzwoni więc do Urzędu Gminy, aby uzupełnili brakujące dokumenty. Ale wójt nie przypomina sobie, aby wysyłał takie papiery do Warszawy. Prosi o przefaksowanie wniosku. W chwilę potem z osłupieniem patrzy, co mu spływa na biurko: jest to wniosek o odrolnienie z jego podpisem.

Z zeznania przed sądem Agnieszki Z.: - Prowadziłam tę sprawę jak każdą, ale wszystko, co się działo obok niej, nie było normalne, zgodne ze standardami. Inter-

II!

154

weniowano z gabinetu politycznego ministra Jabłońskiego, stanem sprawy bardzo interesowała się dyrektor departamentu obrotu ziemią. ^

Również świadek Maciej Jabłoński potwierdzał w sądzie, że miał od Andrzeja W1 Leppera kilka pytań w ciągu tygodnia o to odrolnienie. Wicepremier przedstawiał mu Piotra R. jako przedstawiciela gminy Mrągowo. Lepper zaprzeczył tym ze- W znaniami. fi\* ^

jest natomiast niepodważalnym faktem, że wbrew wszelkim procedurom urzęd- ^ niczym na nazwisko Agnieszki Z. przysłała z biura nadawczego duża biała koperta bez nadawcy z uzupełnieniem wniosku o odrolnienie (przyniósł ją do resortu An- ^ drzej K., o czym stażystka nie mogła wiedzieć - nigdy nie widziała oskarżonych.) \*-3

???

5\*  
\*3t

Telefony wysokich urzędników z Ministerstwa Rolnictwa do małej gminy niepoko- ją autorów intrygi w CBA. Może się wszystko wydać, przecież w Mrągowie nie wie- j^jj\* dzą o siłach zastawionych na Leppera. Denerwuje się Sosnowski. Piotr R. okazuje pś?" złość - jak twierdził w śledztwie Andrzej K. - domaga się, żeby wszystko, co doty- ^ czy gminy załatwiać przez niego. (R. temu zaprzeczył). fSł

K. powie później w sądzie, że gdy zrobiło się gorąco, chciał się ze wszystkiego wycofać, ale po rozmowie z Sosnowskim doszedł do wniosku, że ma do czynienia z mafią. Ze strachu już się nie stawiał.

Agenci CBA postanawiają zapobiec katastrofie, wyprawiając się do gminy w Mrą-gowie. Jest początek czerwca 2007 roku.

Przedstawiają się Krasińskiemu jako funkcjonariusze CBS, prowadzący tajne śledztwo. Chcą, żeby poinformował ich, co Urząd Gminy zamierza odpowiedzieć na wniosek o odrolnienie gruntów w gminie Muntowo, który 25 maja 2007 r. wpłynął do Ministerstwa Rolnictwa. Po co ta

mystyfikacja? Bo agentom CBA potrzebne są dodatkowe dane do uzupełnienia wniosku, który już leży w departamencie gospodarki ziemią. A mianowicie: nazwiska właścicieli działek w Muntowie oraz informacja, kiedy ta ziemia przeszła w ręce prywatne.

Wójta J. Krasieńskiego dziwi prośba stołecznych policjantów „pod przykryciem”. Ich akcja nie budzi jego zaufania. Dzieli się swymi obserwacjami z najbliższymi urzędnikami. Z każdej wizyty sporządza notatkę.

18 czerwca. Żywo zainteresowana skompletowaniem dokumentów do wniosku o odrolnienie dyrektor departamentu obrotu ziemią konstatuje, że po ingerencjach w gminie jest już komplet. Kładzie teczkę z tymi papierami na biurko Agnieszki Z. i każe jej szybko sporządzić wniosek o pozytywne załatwienie sprawy. Stażystka nie jest zachwycona - właśnie kończy inną, pilną robotę. Ale z poleceniami przełożonej się nie dyskutuje. Już po godzinach pracy znosi wniosek do gabinetu wiceministra Kowalczyka (któremu z urzędu podlega departament gospodarki ziemią). Drzwi otwiera jej kluczem sprzątaczką.

155

Z Drzwinała w sądzie, że nie było w ministerstwie zwyczaju, aby dyrektor nosił g-t za pracownikiem dokumenty. Ani żeby doradcy wicepremiera osobiście dzwoniли do gminy z prośbą o uzupełnienie wniosku.

Tymczasem Andrzej K. wraca w rozmowie z rzekomym biznesmenem do owych „klimatów” w robieniu pokątnych interesów. Widzi możliwość kupna za bezcen państwowej ziemi, która ze względu na swoje położenie w niedługim czasie będzie warta wielokrotnie więcej. Dokładniej - jego koledzy z Agencji Nieruchomości Rolnych mają na dyskietce wykaz dzierżawców gruntów z całej Polski, którzy nie płacą czynszu. - p., Tę ziemię można przejąć po zerwaniu umów.

- Powiedziałem im - K. szepcze Sosnowskiemu między jednym a drugim daniem przy restauracyjnym stole - że jestem zainteresowany gruntami na obszarach o niekorzystnych warunkach zagospodarowania. To powinny być arealy do stu hektarów, bo wtedy przez 7 lat nie płaci się podatku rolnego. Cena ziemi z łapówką nie może przekroczyć 7000 zł za hektar. Do takich gruntów przysługuje wyższa dopłata unijna. Chyba nie muszą dodawać, że trzeba mieć w resorcie zaufanych ludzi, z ulicy nikt tego nie załatwi.

Cisza. Biznesmen milczy.

-Jeżeli zabezpieczycie interes finansowo - sonduje go prawnik - to myślę, że się dogadamy. Tak, żeby obie strony były zadowolone. Pytanie wstępne: czy macie kapitał? Bo nam tego potrzeba.

Wreszcie pada odpowiedź: - Z tym nie ma problemu, może w każdej chwili dojechać.

- Jeżeli w to wchodzić, to ja muszę w przyszłym tygodniu, po sfinalizowaniu sprawy w Mrągowie, umówić twoje spotkanie z człowiekiem, którego oficjalnie nie ma na liście płac w Ministerstwie Rolnictwa, natomiast tak naprawdę jest prawą ręką głównego szefa od takich nieoficjalnych rzeczy.

Agent: - Jakiś deser?

K. po oddaniu karty kelnerowi: - Teraz widzę, że nam wychodzi, jestem zainteresowany kontaktem z tobą, na rozmowy mogę przyjechać do twojej firmy w Łodzi, korona z głowy mi nie spadnie, he he. A co do przejmowanej ziemi...

Agent: - ...znajdź mi słupa, który od razu podpisze wszystkie kwity. Masz problem, jak to załatwić?

Naradzają się jeszcze, jak będzie wyglądało przekazanie pieniędzy za Mrągowo.

Agent: - Dwóch gości przywiezie kasę. Ja wezmę w hotelu apartament, wiesz, parę godzin trzeba spędzić przy liczeniu. Oni wnoszą walizkę, pójdą sobie, potem ty się zgłaszasz. Sam. Ewentualnie może ktoś po ciebie przyjść, ale pod drzwiami, niech nie wchodzi do pokoju. Ja ich nie oglądam, a oni nie oglądają mnie.

Zaraz po rozstaniu z Sosnowskim prawnik telefonuje do swego przyjaciela Piotra:

-Jest jedna rzecz ważna, która nie może czekać...

- No, wal.

- Bo ja mu powiedziałem, że dzisiaj lub jutro podam konkretny termin podpisania decyzji w sprawie Mrągowa. pi

- Kurwa. Dobrze, zrobimy tak: Podjadę w jeszcze jedno miejsce i spróbuję za- W1 sięgnąć języka. To wszystko jest niestety na niedoczasie. j2|

- Przy następnych sprawach, o których wstępnie gadaliśmy, to już - niestety - sam W będziesz musiał przejąć pałeczkę. Bo w jego mniemaniu wychodzę na pośrednika, który niewiele może i jest niepoważny - zastrzega na koniec rozmowy Andrzej K. ^

Jeszcze przez chwilę rozmawiają o kobietach, z którymi, gdy zadać się bliżej, jest O tylko kłopot. Bo „to k... rasa jakaś pojebana”.

Minęło zaledwie kilka dni, a nastroje obu panów sięgnęły dna. W rozmowach telefonicznych przekrzykują się, że „wszystko zupełnie się rozjechało”. Andrzejowi K. ^ znów nie wypaliło z objęciem jakiegoś lukratywnego stanowiska, gdzie jako prezes „trzymałby długopis”. Żali się przyjacielowi: - Prawdopodobnie nie uda im się mnie wepchnąć, ponieważ tam jest jakiś komunista (...). Podobno wiceminister, gdy usłyszał moje nazwisko powiedział: „O kim wy mówicie, przecież on ma zarzut prokuratorski!”.

Nadal nie ma też decyzji ministerstwa w sprawie Mrągowa. Andrzej K. musi się CS1 z tego tłumaczyć przed Sosnowskim. Dzwoni do niego wieczorem:

- No wykrakałeś, sytuacja oczywiście wygląda nie najlepiej... Agent: - Co się stało?

-Ja to chromo. Już wiem, że jutrzejszy termin nie wypali. Nie wiem, co zdecydujesz, ale zobligowali mnie, żebym ci powiedział, że są dwie opcje do wyboru. Pierwsza taka, że kończymy sprawę, zamykamy temat, mów, jakie jest rozliczenie. Powiedziałem im, że pewno właśnie tak zdecydujesz. A oni, że jeszcze jest druga opcja, bo co z tego, że się przesunęło o trzy dni, urzędnicy tak działają... Ja to pierdołę, w ogóle już nie komentuj, bo jestem tak wkurwiony, że ręce mi się trzęsą... Nic już nie mów, po prostu zdecyduj...

Agent: - Odezwę się do ciebie jutro, dobra? Muszę się naradzić ze współnikami... Na razie. K. natychmiast dzwoni do Piotra R.

- Przedstawiłem mu sytuację, powiedziałem, żeby w ogóle już mi nie komentował, bo jestem tak wkurwiony i w ogóle ręce mi się trzęsą... Czekamy.

Piotr R.: - Mhmmm.

O północy telefon od Sosnowskiego. Jeszcze raz namawia Andrzeja K., by poznał go z człowiekiem, który bezpośrednio załatwia sprawę Mrągowa w ministerstwie. Skoro są takie trudności.

Prawnik ma gotową odpowiedź: - Też chciałem tak zrobić, ale sobie zastrzegłem, że owszem, spotka się z tobą dopiero, gdy to wyjdzie. Ci, z którymi on współpracuje, boją się - nie wiem czego. CBA, prowokacji... Może i tak, bo jeżeli ty jesteś z CBA, to ja już siedzę.

Agent: - No dobra. Ja ci oddzwonię.

Nazajutrz uspokaja prawnika, że te kilka dni mogą jeszcze poczekać. Piotr R. ma także dla przyjaciela dobre wieści: - Wygląda na to, że wszystko jest OK. Jutro powinno się wydarzyć. Musimy grać va banque.

???

- Dziewiętnastego czerwca 2007 r. - wyjaśniał w śledztwie Andrzej K. - Piotr R. powiedział mi, że dziś Lepper podpisze decyzję. Umówiliśmy się na godzinę 17.00 w restauracji w pobliżu Ministerstwa Rolnictwa. Czekałem tam na dokument, który R. miał przynieść. Ale nie przyszedł. Jak mi później tłumaczył, sprawa stanęła w miejscu, bo na Wiejskiej ktoś z PiS zapytał Leppera czy to prawda, że puszcza bokiem odrolnienia.

Czy rzeczywiście tak to wyglądało? Agent zeznał, że tego dnia rano figurant Andrzej K.

zadzwoił do niego spod Sejmu z prosbą, żeby włączył telewizor, bo jak Lepper skończy przemawiać, przyjedzie do Ministerstwa Rolnictwa i podbije decyzję. Czekali na tę pieczętkę w pubie koło ministerstwa do godziny 17.00. Wtedy K. odebrał telefon, prawdopodobnie od Piotra R., że Lepper się przestraszył i wniosek musi przejść normalną procedurę.

Dwudziestego czerwca. Wójt Mrągowa znów ma wizytę dwóch panów z CBS. - Poprosiłem ich o pokazanie legitymacji i identyfikatorów - zanotował w swym kalendarzu Jerzy Krasieński. - Poinformowałem o moich wątpliwościach co do autentyczności podpisów i pieczętek. Nie chcąc być później posądzonym o zatajenie tego faktu, zapytałem, czy wystarczy, że zawiadomiłem ich o podejrzeniu popełnienia przestępstwa.

Ledwo agenci zapewnili, że wszystko mają pod kontrolą, z ministerstwa zadzwonił kolejny urzędnik informując, że we wniosku o odwołanie brakuje map. Wójt poczuł się zupełnie skołowany. Zapytał agentów (ciągle wierząc, że są z CBS), co ma robić? A oni na to, że dla dobra śledztwa trzeba poczekać jeszcze kilka dni, ponieważ cała sprawa zakończy się najpóźniej 6 lipca.

Krasieński następnego dnia zawiadomił prokuratora rejonowego, że nachodzą go oszuści podszywający się pod CBS.

Tymczasem Piotr R. znów robi przyjacielowi nadzieję, że mimo kłopotów wkrótce będzie decyzja. Z podsłuchu CBA: - Słuchaj, puszczają papiery w obieg. Teraz Lepper jedzie do Barcelony na jakąś wystawę, a ja do Hiszpanii. Po powrocie podaję w przybliżeniu termin.

Andrzej K. upewnia się: - Znaczy, mam im zadzwonić, że jest prawie gotowe, czekamy koło siedmiu dni, tak? To ustalmy jakiś hotel, w miarę sensowny. Nie ma sensu w mieście, a nuż coś nagrają, a w motelu na obrzeżach to wątpię, aby była jakaś kamera. Aha, to będą cztery walizeczki, żeby ktoś na nas kurwa nie napadł. Jak byś to widział?

Piotr R.: - Powiem ci tak. Nie będę ciągał ze sobą nikogo. Ty chcesz z kimś to odbierać?

158

- Znaczy, ja bym tak zrobił. Drugie auto by przyjechało, ale tak, żeby oni nie wi- ^ dzieli-1 później jednak ktoś by za mną szedł te 20 metrów dalej...

Radca prawny dzwoni do „biznesmena”, że załatwianie troszkę się przeciągnie. Prze- j^J\* prasza go, że to tak długo trwa. Tłumaczy: - Oni się boją CBA, cholera wie kogo. Jakieś ją podpuchy, rozumiesz? Że wystarczy taka sprawa jak ze szpitalem na Wołoskiej i tym W doktorem jakimś tam, rozumiesz? Że nagle cała ekipa się zwali i będzie wielka afera.

Agent: - Ale przecież ja, też nadstawiam dupy, nie? ^

Andrzej K.: - Tak naprawdę to ty i ja nadstawiamy najbardziej.

Agent: - Oni to, kurwa, niczym nie ryzykują.

Andrzej K.: - No, ale chcą mieć zgodnie z procedurą, że jakby co, to pokażą, że »—1 przecież lege artis. Ale wiesz, co? Dla nas lepiej. Ja sobie to przemyślałem jako praw- ^ nik. Jeżeli cokolwiek i kiedykolwiek się stanie, jakaś NIK np., czy inna kontrola wkroczy, to nie będą mieli się do czego dopierdolić. Rozumiesz, o co chodzi?

Agent rozumie i wychodzi mu naprzeciw, decydując: - Ten tydzień jeszcze prze- j^j\* labujemy, ale po nim kończymy rozmowy. ??J>

Uradowany K. natychmiast dzwoni do Piotra R.: - Wkurwiony, pluje jadem, jednak wyduślił z siebie, że jeszcze przedłużą termin, ale to już naprawdę ostatni raz. tsl Ale powiem ci, wszyscy wasi urzędnicy nadają się do zwolnienia, co za nieudolność! g\_j

- Masz rację, przekażę to do góry - Piotr R. nadal trzyma fason prawej ręki Leppera. j~j W prokuratorskich aktach jest też poufne nagranie z 27 czerwca 2007 r. telefo- <- tj nicznej rozmowy R. z wiceministrem Jabłońskim:

- Cześć, cześć, Piotr z tej strony. Tam już wszystko jest dostarczone na biurko, a powiedz mi, wiesz już, kiedy macie wasze zebranie?

- Na pewno nie jutro.

- Mhmmm. A kiedy będziesz wiedział? Dzień wcześniej, czy...

- W tym tygodniu. Weź mi dzisiaj albo jutro przypomnij czymś, e-mailem albo SMS-em. Ja

się tutaj zorientuję, czy to może już stać. No, najlepszego, trzymaj się.

Andrzej K. wyjeżdża z rodziną na wakacje do Kołobrzegu, Piotr R. ma 6 lipca wylecieć do Chin z rządową delegacją. A sprawa odrolnienia nie jest zamknięta.

Prawnik dzwoni do przyjaciela: - Prawda jest taka, że jestem w tej chwili pod ścianą... Pracy nie mam, znów mnie wyrolowali, a to się wlecze...

Piotr R.: - Więc tak mu powiedz: wszystko jest według starych ustaleń, a pisma idą, bo są gdzieś urzędnicze hocki, dobra?

Andrzej K.: - Ale ja jestem autentycznie pod ścianą, oczywiście to ciebie nie interesuje. Przyczyną jest moja naiwność, ale w takim razie muszę cię prosić przed wyjazdem do Chin o rozliczenie ze mną, bo to przynajmniej zapewnia mi mniejsze siniaki na dupie.

Prawnik, chcąc uratować interes życia, proponuje „biznesmenowi”, że jego grupa zapłaci umowną karę za spóźnienie. Dają sobie 10 dni na załatwienie sprawy. Każdy następny dzień opóźnienia to 100000 mniej z obiecanej łapówki.

159

- Możesz też zejść z trzech (w domyśle milionów złotych), jestem w stanie prze. forsować, że nie dostanę tyle, tylko np. 2,7; 2,8, coś takiego. Mnie jest ganc porna-da, i tak nic z tego nie mam - usiłuje załagodzić pretensje agenta.

Agent: - Yhmmm.

Andrzej K.: - Chyba, że chcesz mi chociaż stówkę odpalić, to też będę zadowolony Agent: - No dobra, idę rozmawiać.

Następnego dnia informuje radcę, że współpracownicy przyjęli propozycję.

???

Piątego lipca dokumenty w sprawie Muntowa są wreszcie w komplecie. Dyrektor departamentu gospodarki ziemią i wiceminister Kowalczyk podpisuje pod wnioskiem „załatwić pozytywnie”. Jeszcze tylko parafka ministra, co jest już właściwie formalnością... Ścisłe kierownictwo zbiera się nazajutrz, 6 lipca.

- R. kilkakrotnie pytał mnie o ten termin. Ale nie domagał się umieszczenia sprawy odrolnienia w porządku obrad. Zresztą, nie miał na to wpływu. Ona toczyła się normalną ścieżką urzędową - zeznawał potem w sądzie wiceminister Jabłoński.

Owego 6 lipca 2007 roku działy się rzeczy dziwne w gmachu Ministerstwa Rolnictwa.

Świadek Andrzej Lepper opowiedział o tym na sali sądowej: - Ja wstaję wcześniej, już koło godziny 6.30 byłem w biurze Samoobrony. Zadzwonił domofon - ktoś prosił, aby go przyjąć, bo ma bardzo ważną wiadomość. Spojrzałem przez wizjer - dobrze ubrany mężczyzna, krótko ostrzyżony. Wpuściłem. I ten człowiek mówi od progu: - Panie premierze, wobec pana jest szykowana prowokacja, oni chcą pana wykończyć, proszę uważać. Wychodząc, podał mi dłoń.

-Ja nie jestem strachliwy - skomentował to wydarzenie były wicepremier na procesie. - Z biura mojej partii jak zwykle pojechałem do ministerstwa. Było po siódmej. Tam czekali na mnie posłowie i przewodniczący Samoobrony. Po kolei wszystkich przyjmowałem. W pewnym momencie odezwał się telefon, jedna z moich siedmiu komórek. Ten sam głos, który mnie ostrzegł wcześniej rano, przypomniał o przygotowywanej prowokacji. Wtedy to już się zdenerwowałem.

Lepper wzywa oficera BOR, nakazuje mu przeszukanie gabinetu. Niczego nie znaleziono. Komendant BOR chce go ubrać w kuloodporną kamizelkę, ale wicepremier odmawia. Potem odwołuje wszystkie zaplanowane na ten dzień spotkania, również z Piotrem R. (Oskarżony R. wyjaśnił w śledztwie, że umówił się z wicepremierem, bo chciał mu przypomnieć o obowiązku zaszczepienia się w związku z wyjazdem do Konga. O żadnym odrolnieniu nie zamierzał rozmawiać. Prokurator w tę wersję nie uwierzył).

Lepper jedzie do Sejmu, gdzie musi być na głosowaniu kandydatury prezesa NIK. Stamtąd szybko wraca na ul. Kruczą, do resortu rolnictwa, na zaplanowane kolegium, na którym - jak przewidywali autorzy operacji CBA - ma dojść do podpisania wniosku o odrolnienie gruntu nad jeziorem w Muntowie.

Ale nie dochodzi. Z powodu wyjazdu wiceministra Kowalczyka do Brukseli sprawa nie widnieje w porządku obrad. Q

Kolegium jeszcze trwa, gdy w jednym z pokoi hotelu Fort na peryferiach Warszawy witają się Andrzej K. z agentem Andrzejem Sosnowskim. Mają tu umówione spotkanie. Ledwo usiedli, wchodzi z walizką rzekomy kierowca rzekomego biznesmena z Austrii, w rzeczywistości też agent CBA. Kładzie bagaż na szafce i znika.

Z zeznań agenta (jako świadka incognito): - W pokoju hotelowym Andrzej K. przebrał pieniądze i zadzwonił do mężczyzny, który miał na imię Piotr. - Podbite? - za- O pytał. Z rozmowy wynikało, że ten ktoś nie ma teraz czasu, żeby sprawdzać, bo szykuje się do zagranicznego wyjazdu. Panowie nie mogli się dogadać, jak mi udowodnić, że papier jest gotowy. W końcu doszli do wniosku, że sam pojedę do Ministerstwa Rolnictwa i tam zobaczą podpisany wniosek... Nagle K. przerwał telefoniczną rozmowę i bez słowa szybko wyszedł z pokoju hotelowego. Walizka z pieniędzmi została.

Andrzej K. wyjaśnił w śledztwie: - Przeliczyłem, zgadzało się: 2,7 mln zł w paczkach banknotów po 50, 100 i 200 zł. R. chciał, aby w związku z tym, że akurat wyjechał do Chin, jego pieniądze zostały w sejfie hotelu Ford. Ale nie potwierdził, że na pewno wszystko jest załatwione. Uznałem go za niepoważnego, postanowiłem zerwać kontakt z obiema stronami.

Ale agent nie odpuszcza. Na polecenie przełożonych jeszcze tego samego dnia, około godz. 17.00 telefonuje do K. z dobrą nowiną: - Jest decyzja Leppera. Skąd się o tym dowiedział? Po prostu - wziął numer do ministerstwa z internetu i zadzwonił. Jakaś urzędniczka potwierdziła. Zatem proponuje spotkanie w klubie „6/12” przy ulicy Żurawiej. Walizka z zawartością będzie do odbioru.

Sosnowski blefował. Ale radca prawny nie mógł sprawdzić u R. prawdziwości słów „biznesmena”, bo ten nie odbierał telefonu, był już z delegacją ministra budownictwa na lotnisko. Pojechał więc do klubu i przed wejściem o godzinie 17.15 został zatrzymany w swoim nissanie x-trail. Pięć minut później taki sam los spotkał na lotnisku Piotra R.

Andrzej K. tuż po zatrzymaniu napisał w wyjaśnieniu złożonym naczelnikowi wydziału II zarządu operacyjno-śledczego CBA, że chodziło mu tylko o „usprawnienie procedury administracyjnej pewnego wniosku o odrobnienie, żeby ta sprawa nie utknęła u jakiegoś urzędnika”. Przyznał, że jest oszustem, bo biznesmenowi Sosnowskiemu obiecywał „złote góry”, sugerował, że w sprawę zaangażowany jest sam Andrzej Lepper; zrobił tak dla zdobycia i trzymania klienta.

Ale następnego dnia zatrzymany prawnik uraczył funkcjonariuszy CBA inną wersją zdarzeń. Łapówka naprawdę była dla wicepremiera. Miał mu ją zanieść Piotr R.

Trzy dni później premier Jarosław Kaczyński ogłosił na konferencji prasowej, że Andrzej Lepper złożył dymisję, bo „znalazł się w kręgu podejrzeń”. Chodzi o wielomilionową łapówkę. To sukces akcji CBA. - Prawdziwej pięści władzy państwowej w walce z korupcją - dodał szef Biura Mariusz Kamiński.

???

Jeszcze rok temu byli przyjaciółmi. Teraz, na ławie oskarżonych Sądu Rejonowego dla Warszawy-Śródmieścia siedzą odwrócenymi do siebie plecami. 36-letni Piotr R. bliżej sędziów. Starszy o cztery lata Andrzej K. dalej, tyłem do publiczności. Pierwszy chętnie rozmawia na korytarzu sądowym z dziennikarzami; chce, aby pisano o nim z podaniem pełnego nazwiska, bo domaga się procesu przy odsłoniętej kurtynie. Drugi przeciwnie - tylko inicjały, a proces powinien się toczyć z wyłączeniem jawności. I żadnych wywiadów - Andrzej K. ucieka od kamer. Oskarżeni odpowiadają z art. 230 k.k. - płatna protekcja, choć ostatecznie łapówki nie wzięli. Oskarżenie o powoływanie się na

wpływy nie wymaga dowodu, że rzeczywiście mieli takie układy. Prokurator Arkadiusz Dura napisał w akcie oskarżenia: „Nie ustalono przyczyn, dlaczego nie doszło do przekazania K. pieniędzy”.

Od początku wiadomo, że raczej nie zapadną wysokie wyroki. Dziennikarzy przyciągnęło co innego - perspektywa obnażenia prowokacji Centralnego Biura Śledczego, które, aby skompromitować Andrzeja Leppera, wymyśliło akcję z protekcyjnym odrolnieniem ziemi na Mazurach.

Andrzej K. na pierwszej rozprawie chciał się wycofać z procesu, przyznając się do winy i prosząc o dwa lata więzienia w zawieszeniu oraz grzywnę. Gdy sąd odrzucił taką możliwość, oskarżony prawnik odczytał z kartki: „Jeśli chodzi o podstawowy zarzut, przyznaję się do jego popełnienia, lecz działa się to inaczej niż opisano w akcie oskarżenia. W moim przekonaniu sprawa miała być legalna i zgodna z procedurą. Byłem pewny, iż w wyłączenie gruntów z produkcji rolnej na Mazurach są zaangażowane inne osoby, z którymi bezpośrednie kontakty utrzymywał Piotr R.”.

Obciążał swego dawnego przyjaciela: - Gdy powiedziałem Piotrowi, że jest taka osoba zainteresowana odrolnieniem, on na to, że załatwienie będzie kosztowało 7-8 milionów zł. Pieniądze miały być podzielone na cztery części. Lepper, ja, R. i jeszcze ktoś. O podziale miał decydować R.

Andrzej K. nie wyjaśnił przekonująco, dlaczego nie wziął walizki z 2,7 mln zł łapówki. Czy Piotr R. ostrzegł go, że Sosnowski jest agentem, czy też wystraszył się czegoś innego?

Piotr R. sugerował podczas procesu, że K., który w latach 1990-1991, pracował w UOP i ponoć przeszedł słynną szkołę agentów wywiadu w Kiejkutach, usłyszał od Sosnowskiego: „Ty jesteś ze służb, my służby, dogadajmy się”. A jeśli jego były przyjaciel nie jest agentem, to nikczemnikiem i kłamcą. „Bo albo uczestniczył w tej akcji służb specjalnych, albo został złamany i za cenę swojej wolności niegodną mężczyzny, przyłączył się do nich”.

R. twierdził, że żył w przekonaniu, iż radca prawny K. ma klienta Sosnowskiego, zainteresowanego legalnym odrolnieniem. Chciał pomóc koledze, obiecał tylko dopytywać się o jego sprawę w ministerstwie. - Moja rola sprowadzała się do sprawdzania, czy wniosek zawiera wszystkie niezbędne dokumenty. W rozmowie telefo-

162

nicznej z K., który stawiał się coraz bardziej nachalny, mówiłem, że zobaczę, co się da j\*\* zrobić, ale tak naprawdę, nic nie robiłem. Owszem, padały z jego strony propozycje Q pieniężne - kosmiczne sumy, ale ja nigdy nie mówiłem, że oczekuję jakiejś kwoty.

Aż do końca procesu były dziennikarz, który nie przyznał się do zarzucanych mu ją czynów, trzymał się następującej linii obrony: padł ofiarą swojej naiwności. K. wy- W korzystał go, jako stojącego blisko Samoobrony. Nie bez powodu powiedziano mu w śledztwie, że to nie on sam jest celem, tylko Lepper, którego „trzeba zatopić”. ^

Wezwany na świadka Mariusz C, były więzień, który w areszcie przy ul. Rako- O wieckiej pracował w magazynie i odbierał od więźniów ich cywilną odzież, zeznał, jfff że gdy wydawał więzienne sorty Piotrowi R., ten miał do niego prośbę. Chciał, aby >-3 zatelefonował do pani Eli (chodziło o posłankę Samoobrony Elżbietę Wiśniowską) i przekazał taką wiadomość: „Chcę, żebym zaj... Leppera, zrób wszystko, aby mnie stąd wyciągnąć, a ja będę dalej wiedział, co z tym zrobić. Ostrzeż Andrzeja”.

Mariusz C. zanim zadzwonił, skontaktował się jednak z CBA. (A może to CBA go 3 wynajęło, aby udawał życzliwego wobec nowego aresztanta? Ten świadek wkrót- pq\* ce wyszedł na wolność, a gdy stanął w sądzie za barierką, zastrzegł, że na niektó- " re pytania nie będzie publicznie odpowiadał. Sąd wyłączył jawność rozprawy). iSj

R. zaprzeczył, aby prosił magazyniera o pomoc. Dał mu tylko kontakt do posłanki. I podarował rzeczy, które musiał zdjąć z siebie: garnitur, koszulę, buty, a nawet spin- j2§ ki, gdyż więzień pożalił się, że wkrótce pojedzie na rozprawę i nie ma w co się ubrać. .3

<

???

Mimo dość długiego procesu wiele zadanych pytań - zwłaszcza w mediach - pozostało bez odpowiedzi. Nie dało się ustalić, czy Piotr R. i Andrzej K. byli w zмовie z wysokimi urzędnikami w Ministerstwie Rolnictwa. Sąd uznał za wiarygodne wyjaśnienia Andrzeja K., gdy ten twierdził, że Piotr R. powoływał się na wpływy u Leppera. Wynikało to też z zeznań świadka Jabłońskiego. W trakcie procesu zostało udowodnione, że Piotr R. interweniował u wicepremiera w sprawie odrolnienia gruntów w Muntowie. I że Andrzej Lepper interesował się tą sprawą szczególnie. Lepper zdaniem sądu nie mówił jako świadek całej prawdy. Zeznał, że Piotr R. przyszedł do niego z interwencją w sprawie zbyt słamazarnego załatwiania sprawy mazurskiej. Wtedy on poprosił ministra Jabłońskiego o zajęcie się tą sprawą, jeśli rzeczywiście coś się zatarło w biurokratycznych trybach. Ale świadek Jabłoński przedstawiał tę rozmowę w gabinecie wicepremiera inaczej. Twierdził, że szef rekomendował mu Piotra R. jako pełnomocnika gminy Mrągowo, co przecież było nieprawdą.

Sąd nie przyjął jako wiarygodnych wyjaśnień Andrzeja K., że był szantażowany przez agenta Sosnowskiego w celu kontynuowania transakcji odrolnienia gruntów.

Nie wiadomo też, czy doszło do ostrzeżenia Leppera przed prowokacją CBA. Czy w ogóle zdarzył się taki przeciek, bo może szef Samoobrony nie wiedział, że za wnioskiem o odrolnienie kryje się korupcja (Janusz Kaczmarek, ówczesny szef MSWiA

165

publicznie i bardzo spektakularnie oskarżony przez zastępcę prokuratora generał-nego Jerzego Engelkinga, o to, że zdradził Lepperowi akcję CBA, został w końcu unie-winniony).

Warszawski sąd zajął się tylko tymi, którzy siedzieli na ławie oskarżonych.

Sędzia Dorota Radlińska szukała też odpowiedzi na pytanie - czy oskarżeni dopuściliby się przestępstwa korupcji bez interwencji CBA? Zdaniem sądu - tak. Andrzej K. szukał osoby, która byłaby zainteresowana odrolnieniem za odpowiednią łapówkę przed poznaniem rzekomego biznesmena, mając informacje od Piotra R. że wiele może załatwić u Leppera. Ani Piotr R., ani Andrzej K. nie byli kuszeni przez służby specjalne do popełnienia przestępstwa.

Na 2,5 roku więzienia skazano w Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Śródmieścia Piotra R. (od połowy procesu przeprowadzany był z aresztu, gdzie osadzono go w innej sprawie), a Andrzeja K. na grzywnę 54000 zł.

W przypadku radcy prawnego tak nadzwyczajne złagodzenie kary to nagroda za współpracę z prokuraturą - wyjaśnienia Andrzeja K. były oprócz materiałów z kontroli operacyjnej CBA i zeznań agenta kanwą oskarżenia. Poza tym Andrzej K. przyznał się i ujawnił korupcję we wrocławskiej spółce Telefonía Dialog, gdzie z rekomendacji PiS został wiceprezesem.

Wyroki są nieprawomocne. Ale niezależnie od tego, czy dojdzie do apelacji, nieudanej akcji CBA na Mazurach nie odłożono do archiwum.

W dwa miesiące po ogłoszeniu wyroku prokuratura w Rzeszowie zarzuciła Mariuszowi Kamińskiemu, wówczas szefowi CBA, nadużycie władzy, gdy decydował o operacji specjalnej w sprawie afery gruntowej. Chodziło o stosowanie na szerszą skalę, nie tylko wobec osób później oskarżonych, różnego rodzaju podsłuchów. W kilku przypadkach odbyło się to nawet bez zgody prokuratora i sądu.

Ponadto funkcjonariusze CBA podrabiali też podpisy osób publicznych, np. wójta Mrągowo. A decyzja o odrolnieniu, która miała zapaść w oparciu o spreparowane dokumenty naruszyłaby prawa właścicieli działek upatrzonych przez CBA.

Prokuratura w Rzeszowie odniosła się też do faktu kontrolowanego wręczenia łapówki. Prawo zakazuje funkcjonariuszom organów śledczych testowania ludzkich skłonności do popełniania przestępstw. Zatem tego rodzaju działania operacyjne za zgodą byłego szefa CBA były podżeganiem do przestępstwa.

T



rzydziestoletni Maciej Dowhyluk idzie po pracy - jest grafikiem komputerowym - ulicą Tamka do domu. To już bardzo blisko. Nagle zza rogu kamienicy wyskakuje dwóch zakapturzonych mężczyzn. Przewracają Dowhyluka na chodnik, kopią podkutymi glanami.

„Ty lewacka kurwo, zabijemy cię!” - krzyczy jeden z napastników. Ofiara zasiania oczy, bo czuje na twarzy strumień gazu łzawiącego. To ruchliwa ulica na warszawskim Powiślu - w miejscu napadu natychmiast robi się zbiegowisko. Ktoś krzyczy: - On ma nóż! Grafik już tego nie słyszy - zwiija się z bólu. Leży w coraz bardziej powiększającej się kałuży krwi. Ktoś zawiadamia pogotowie, w szpitalu już się szykują do operacji - ostrze noża przebiło płuco. Jest wieczór 16 maja 2006 roku.

- Pacjent miał szczęście - mówi po trudnym zabiegu chirurg. - Niewiele brakowało, aby cios okazał się śmiertelny.

Dwa dni później na stronie internetowej Redwatch info pojawia się informacja: „Teraz Maciej Dowhyluk, jutro cały lewacki pomiot”. Ekipa policyjna, która szuka sprawców napadu, analizuje treści pojawiające się w tej witrynie - wizytówce neonazistowskiej organizacji „Blood and Honour” (Krew i Honor). Publikowane są tam zdjęcia, adresy i informacje o aktywistach organizacji i mediów lewicowych, osób ze środowisk anarchistycznych, gejowskich, a także działaczy na rzecz praw człowieka. Wśród tak napiętnowanych jest m.in. znany pisarz z Gdańska Paweł Huelle, a na drugiej pozycji Maciej Dowhyluk jako: główny szef warszawskiej antify, pseudonim „Chirurg”, wzrost 185 cm. Dłuższe, przetłuszczone włosy, mieszka w okolicy Tamki. Nie jest punkiem, jest lewakiem. Może być groźny w starciu.

Internauci odwiedzający tę witrynę czytają szczególny apel: Zapamiętaj miejsca, twarz zdrajców, bo oni wszyscy zapłacą za swe zbrodnie. Niech tylko zaczną swoją propagandową szopkę w obronie lewaka, który jest współodpowiedzialny za morderstwo Adama. Sympatycy Redwatch info wiedzą, że jest to nawiązanie do tragicznej śmierci w 2001 roku na warszawskiej Starówce 18-letniego Adama Kuszewskiego. Barbakan to tradycyjne miejsce spotkań subkultur młodzieżowych. Śmiertelnie pobity Kuszewski był skinheadem. Według aktu oskarżenia, tego tragicznego wieczoru grupa punków zaatakowała skinów - swych ideologicznych wrogów. Jeden z nich podczas bijatyki rzucił butelką po piwie. Tak nieszczęśliwie, że rozprysła się na głowie Adama, który upadł na granitową kostkę i już nie odzyskał przytomności. Po trzech dniach zmarł. W śledztwie policja wytypowała sprawcę - to Mirosław B. Punk, a może raczej anarchista. Przyznał się. Jednak przed sądem odwołał wcześniejsze wyjaśnienia i stwierdził, że do obciążenia się został namówiony przez przesłuchujących go policjantów.

Świadkowie obrony forsowali całkiem odmienną wersję zdarzenia. Ich zdaniem było na odwrót - to skini, dokładniej grupa „wolnościowców”, bojówka warszawskiej antify, otoczyli Barbakan, szukając okazji do starcia z punkami. Ich przywódcą jest Maciej Dowhyluk.

165

Strona internetowa Redwatch info chętnie udziela gościny ideologom Nrjp - Narodowego Odrodzenia Polski. To ich sympatycy odbijają nocą na murach w podziemnych przejściach szablony z hasłami: Polska dla Polaków, White Proud albo Jude raus!. Często pojawia się rysunek zgiętej ręki, która dzierży miecz „Miecz - można przeczytać na Redwatch info - ma przeciąć zło i zgniliznę, toczące naród. Symbolizuje walkę z wrogiem: z komunizmem, nasilającą się imigracją obcych nam narodowo i rasowo elementów i masońsko-żydowskim spiskiem przeciwko narodowi polskiemu. Na razie zdobywamy siłę, to znaczy młodzież. Treścią naszego życia jest czyszczenie ulic z brudu. Brud: to Rumun, Murzyn, żółty, punk i anarchista. Tylko prawo pięści i system totalitarny zrobią w kraju porządek”.

Przesłanie na stronie Redwatch info skłania niektóre media do zainicjowania dyskusji na temat subkultur. W „Gazecie Wyborczej” wypowiada się znany psycholog Wojciech Eichelberg. Twierdzi, że do tego typu subkultur najczęściej dołączają młodzi ludzie, którzy mają problemy z własną tożsamością, dzieci wychowywane w chaosie wartości i relacji. „Dlatego pociągają je grupy i środowiska, gdzie panują jednoznaczne cele, wyraźna hierarchia podległości i wartości, nawet jeśli są to wartości wątpliwe. W takich grupach próbują się jakoś określić, dowiedzieć, kim są i ile są

warte. Skinheadzi, przesiąknięci ultrapravicową ideologią są w stanie zabić żebraka, bo jest brudny i przynosi wstyd ojczyźnie. A przynajmniej święcie wierzą, że robią to z takiego właśnie powodu".

Dyskusja wybucha w gazetach gwałtownie i równie szybko zamiera, zasłaniają ją inne tematy. A sprawcy napadu na Tamce nadal pozostają nieznani, choć zatrzymano 40 osób pod zarzutem publicznego nawoływania do ksenofobicznych nienawiści... W tej grupie jest 24-letni Marek B., syn warszawskich dziennikarzy, rozwiedzionych. Chłopak przez pewien czas mieszkał z ojcem, potem z mamą, to znów z babcią. Ostatnio, od dłuższego czasu, z matką i jej nowym mężem. Podczas przesłuchania na policji powiedział, że jest zdecydowanym subkulturowcem, jednak nie skinheadem. Nie pracuje, nie uczy się.

- W tej chwili odpoczywam - wyznaje - miałem zapalenie wątroby typu C. Czytam książki historyczne, interesuje mnie „ciężkie” granie, a ponieważ mam dużo czasu, jeżdżę na koncerty muzyki rockowej. Surfując po internecie sporadycznie wchodzę na stronę zawierającą treści faszystowskie.

O Macieju Dowhyluku nigdy nie zamieszczał żadnych tekstów. Nie zna dziewczyny o imieniu Julia, kastet owszem, posiada, ale kupił go do obrony. Nie chodzi po ulicach z nożem. Przyznaje, że był legitymowany po picciu alkoholu, zażywał marihuanę i amfę. Na pytanie, co robił 16 maja 2006 roku na Tamce, odpowiada, że szukał apteki, chciał kupić hepatil. Zaznacza, że jest pod opieką psychiatry; leki, które brał na zapalenie wątroby mają skutki uboczne, wywołują depresję. -Jest pan wolny - słyszy od przesłuchującego go policjanta.

166

???

Trzy miesiące później wcześniej rano pod ośrodek kolonijny „Marina Templariusz” «ą w Czaplunku nad jeziorem Drawsko podjechały samochody z warszawską rejestracją- Wskoczyli z nich ubrani na czarno policjanci w kominiarkach z okrzykiem: „Na ^q ziemie!”- Obudzone dzieci z przylepionymi do szyb buziami zobaczyły, jak terrory- ^ ści wyprowadzają skutego pana Marka, który w ośrodku naprawiał im huśtawki, czy ?2J uszkodzone zamki. Niektóre płakały. Uspokoili się dopiero w czasie śniadania, gdy ^ wychowawczyni powiedziała, że to takie ćwiczenia policji w łapaniu bandytów, czy- W li na niby. ^

W rzeczywistości aresztowano Marka B., o którym od tej chwili gazety często będą pisały per nożownik z Tamki. Bardzo to zabolę rodzinę podejrzanego.

Śledczy wiedzą już znacznie więcej o tragicznym wydarzeniu na Powiślu. Zgłosiło się wielu świadków. Widzieli, że temu z dwóch napastników, który kopał leżącego mężczyznę, w pewnej chwili zsunął się kaptur i odsłonił ogoloną na лыso głowę. Okazało się, że za uciekającym z miejsca wypadku pojechali kierowcy znajdujących się w pobliżu samochodów. Zobaczyli w biegu wyrzucany nóż, a następnie lateksowe rękawiczki.

Ranny Maciej Dowhyluk pierwszy wskazał, że mógł to być Marek B. Gdy tylko jako tako wrócił do siebie po operacji - powtarzał, że padł ofiarą nienawiści faszystów. Napad kojarzył mu się ze stroną internetową Redwatch info.

A dlaczego Marek B.? Bo jest wyznawcą tej ideologii, kiedyś z tego powodu doszło między nimi do spięcia. B. wiedział, gdzie mieszka Dowhyluk. A poza tym chodzi o dziewczynę. Julia, narzeczona Macieja, zna Marka B. jeszcze ze szkoły podstawowej. Kiedyś byli parą.

Przeszukano mieszkanie podejrzanego B. Policja zarekwirowała m.in. twardego dysk z komputera, koszulkę z napisem „Skrewdriver”, „Blood Honor”, autorską płytę zespołu Awantura, grającego muzykę street punk, gazetę „Skinhead Magazine”, kastet z kolcami. Przełomem w śledztwie stało się odczytanie rozmowy Marka B. na Gadu-Gadu z zarejestrowanym jako Janek lub Misiek. Oto niektóre jej fragmenty, włączone do akt prokuratorskich:

25.12.2005 r. Marek B.: - „Wyczailem »Chirurg«, ale on się bał wyjść przed budynek. Ale jeszcze kurwę złapiemy (...)"

Kilka dni później B. chce, aby Misiek doradził mu w zakupie dobrego noża. W dalszej

korrespondencji sugeruje konieczność „przygazowania Taliba”. „Myślałem też o takiej opcji, żeby jakiegoś cwela oblać podpałką do grilla i zajarzyć (...). Jak wreszcie ubijemy tego pedała, to urośniemy do rangi bogów”.

W kolejnej rozmowie B. wspomina o potrzebie „dojechania kogoś na ostro”. Tak, „by poszła fama, że jesteśmy świrusami. Na tej opinii będzie można długo jechać”.

Wkrótce potem B. chce pożyczyć od Janka samochód na „akcję bojową”, skierowaną przeciwko niejakiemu „Koskowi”, którego można dopaść na warszawskim

167

i

Dworcu Zachodnim, gdzie myje szyby. Z korespondencji wynika też, że na stronie internetowej Redwatch info umieszczono zdjęcie „Koska”. B. i Janek rozważają ewentualność przeprowadzenia „akcji na Żyda” [„Koska”? - H.K.) i Taliba, czyli Macieja Dowhyluka ps. Chirurg.

Czternastego stycznia 2006 roku B. chwali się Jankowi, że chłopcy namierzyli na Allegro „Chirurga”, który podaje tam adres swojej firmy. Ale dochodzą do wniosku że najpierw muszą się rozprawić z „Koskiem”. Sugestia Marka B.: - Najlepszymi dniami do ataku byłyby wtorek i czwartek. Bo wtedy on chodzi do szkoły.

Szóstego kwietnia B. opowiada Jankowi o akcji, jaką zamierzał przeprowadzić w rejonie klubu „Dwa Kotły”, gdzie miał się odbyć koncert lewaków. Jednak w ostatniej chwili się wycofał z uwagi na to, że „w rejonie klubu było zbyt dużo psów...”.

- W każdym razie - decydują już grubo po północy - nadal aktualny jest plan, żeby „jedna fura czekała na Żyda, druga na Taliba, gdy będą wracali zmelanzowa-ni z imprezy. Wtedy się natną”.

- Skąd będziesz wiedział, kiedy? - upewnia się Janek.

- Przeważnie taka impreza zdycha koło dwudziestej czwartej.

Jeszcze Janek: - Ostatnio z trzech różnych źródeł słyszałem, że lewaki z kosami biegają.

Te obawy tylko rozgrzewają Marka B.: - „Ja mam już włączoną opcję, ostatnio chciałem łąć pod kerfurem. Kurwa, jak „Koska” dorwę, to mu mamką łapy poobcinam. Albo jakąś inną kurwę lewacką, wszystko jedno”.

Pod koniec tej rozmowy B. narzeka, że od roku nikogo nie pobił (leżał w szpitalu) i ma nieodpartą potrzebę odrobienia straconego czasu. Chce rozpocząć rok od „mocnego pierdolnięcia”. Ostrzega Janka: gdyby złapała go policja, to w razie pytań z kim się koleguje ma mówić, że poznali się w czasie egzaminu na historię na uniwerku. Uspokaja, że „psy” się do niego nie przyczepią, bo w ewentualnym wywiadzie środowiskowym wyjdzie, że jest z dobrej, inteligenckiej rodziny, żadna patologia.

Trzy miesiące później Marek B. żali się Jankowi, że zmarnował wieczór, bo okolica „Kotłów” „była obstawiona, tam ich w pi... dę stało przy wejściu, na oko 60 sztuk, więc uderzyliśmy do centrum, gdzie pełno psów z okazji rocznicy śmierci papieża, ale wyczailiśmy trzech na przystankach, wysiedliśmy, żeby ich zrobić, a te kundle do autobusu, no i ch... Przejeżdżaliśmy obok przystanku, a tam 3 mordy stały, między nimi „Chirurg” i jakaś dupa. Jak tylko zobaczyli, że biegniemy w ich stronę, to spierdalali, jeszcze frajerzy dupę zostawili, czaisz? Goniliśmy ich kawałek, ale te pedały pobiegły w stronę „Kotłów”, jak wróciliśmy do fury, zapadła decyzja, że jedziemy do ch... do domu. Do pełni szczęścia brakowało złapania tej wszy, ale śmiechu było co niemiara, jak się domyślasz. ...(W oryginale słowa wulgarne są w pełnym brzmieniu).

Innego wieczoru analizują na Gadu-Gadu zdjęcia ze strony internetowej Redwatch info. Upewniają się, że jest ona aktualizowana. Janek informuje, że dał

168

komu trzeba cynk, aby na stronie znalazło się zdjęcie Macieja Dowhyluka. Przeglądają inne fotografie „zdrajców”.

- Tego cwela obczajam - pisze Marek B. - z oczu mu patrzy takim sowieckim tłukiem. Paru gnojom pewnego dnia z przyjemnością wskoczą na łeb. Chociaż wolę białą broń.

- Zależy, co chcesz zrobić - zauważa Janek.

- Dorwać paru patałachów i uszkodzić ich konkretnie.

- Myślałem bardziej o cięciu i łamaniu, ale szkło w dupsko też można wsadzić. W innej rozmowie obaj stwierdzają, że „Chirurg stał się częścią ich życia” Janek: - Będzie smutno, jak się go pozbedziemy.

Marek: - Zostanie w mej pamięci. Będę tęsknił, ale tylko trochę, bo znajdę następnych.

Mają pewne obawy, czy aby po ich bojowej akcji „Chirurg” jako męczennik antify nie znajdzie się „over the top”. „A to przestaje być śmieszne”.

Tak rozmawiają noc w noc, do 17 maja 2006 roku, czyli następnego dnia po zaatakowaniu Dowhyluka na Tamce. Ostatnie słowa Janka na Gadu-Gadu: - Przypominam, jak by co, to żeśmy się nie widzieli, a poznaliśmy się na egzaminie na studia. Wtedy już w ich telefonach komórkowych był wysłany przez anonimowego nadawcę SMS: „Chirurg został śmiertelnie pchnięty dziś nożem pod swoim domem. Jeśli to wasza robota, to możecie sobie pogratulować”.

Kilka godzin później Janek przyszedł do domu Marka B. - Nie wiem, jak ty - powiedział - ale ja wyjeżdżam za granicę, nie ważne dokąd. Od tej chwili wszystkie moje telefony są nieaktualne.

Do dziś dokładny adres drugiego napastnika z ulicy Tamka jest policji nieznan. Podobno mieszka w Anglii.

???

W czasie drugiego przesłuchania doprowadzony z aresztu Marek B. od razu przyznał się do napaści na Tamce. Żałował tego, co zrobił - wbrew temu, co wypisywał na czacie, nie miał morderczych planów.

- Gdy zobaczyłem Dowhyluka, powiedziałem do Janka: Dobra, psiknij gazem, a ja go dziabnę w dupę. To by go skompromitowało w lewackim środowisku. Ale tylko tyle.

Gonili swą ofiarę, Janek użył gazu pieprzowego. W wytworzonej chmurze widać było tylko zarys męskiej sylwetki i chybiony cios noża podszedł pod płuco. B. nie pamiętał, aby potem kopali ugodzonego.

- Co podejrzany miał do Dowhyluka? - chciał wiedzieć śledczy.

- To są stare porachunki - wyjaśnił B. - W 2005 roku bojówka lewaków od „Chirurga” zaatakowała mój zespół muzyczny koncertujący w klubie „Dwa Kotły”. Napadli na nas z kijami bejsbolowymi, kastetami; kilku kolegów miało rany. Mnie udało się zabarykadować w jednym z pomieszczeń.

169

-Jednym z atakujących był Maciej Dowhyluk? - upewniał się prokurator.

B. nie miał wątpliwości, choć dokładnie nie widział napastników. W lokalu po-wietrze zgęstniało od zapalonych świec dymnych. Ale to „Chirurg” pisał na czatach w internecie: „Pojawiajcie się na koncertach, a wyjdziecie brzydca”.

Marek B. na pytanie, jakie ma poglądy odpowiadał, że patriotyczne, jest „dużym wielbicielem prezydenta i premiera” (wtedy rządzą bracia Kaczyńscy). Dlatego nienawidzą go anarchiści i lewacy. A on nienawidzi komuny. Na jego płycie z muzyką rockową znajduje się „Piosenka o ofierze czerwonych skurwys...”. To stary człowiek, który przeharował całe życie w PRL-owskiej hucie, a obecnie jest nikomu niepotrzebnym biedakiem.

Prokurator doszedł do wniosku, że zranienie Macieja Dowhyluka ma luźny związek z neonazistowską stroną Redwatch info. Głównym motywem napadu była zemsta. W akcie oskarżenia wyeksponowana została opinia biegłych z zakładu medycyny sądowej, że gdyby ofierze nie udzielono szybkiej pomocy, straciłaby życie. Marek B. musiał zdawać sobie z tego sprawę, bo jak wynika z opinii psychologów, ma ponadprzeciętną sprawność umysłową. Ten komplement, o paradoksie, uwypuklił niekorzystne cechy osobowościowe oskarżonego: niedojrzałość uczuciową, egocentryzm, labilność emocjonalną, agresywność w trudnych dla niego sytuacjach. Podczas

obserwacji psychiatrycznej stwierdzono też „objawy niepożądane występujące w trakcie leczenia wirusowego zapalenia wątroby typu C za pomocą interferonu alfa i rybawiryny”. Ale zdaniem biegłych wszystko ustąpiło po zakończeniu kuracji, czyli na ponad miesiąc przed tragicznym wydarzeniem na Tamce. Dlatego prokurator uznał, że ma do czynienia z planowaniem morderstwa i nie zgodził się, aby Marek B. odpowiadał z wolnej stopy.

Swoje 23 urodziny B. spędza w celi. Zrozpaczona matka pisze mu list: „(...) Wczoraj układałam na półce twoje płyty, przedmiot naszej dumy. W moim przekonaniu jest to muzyka społecznie ważna dla Twojego pokolenia i dla wielu młodych pogubionych, których życie tak się ukształtowało, że prawo pięści wydaje im się jedynym, które obowiązuje. A tak nie jest synku.

Wiem, że nie umiałam uchronić Cię przed światem, poznaniem wielu jego złych stron. Ale wiem też, że w tym, co robisz, jest wiele dobra, miłości i wiary w siłę słońca, wiatru, przyrody. Wiele szczytów jeszcze możesz zdobyć. A twój społeczny pazur obecny w twych piosenkach, brak zgody na szaleństwo Europy, może się przydać innym.

Jesteś potrzebny synu po tej stronie. Masz obowiązek wobec własnego talentu. Brakuje ci synku tylko wiedzy duchowej, niekoniecznie religijnej, ale duchowej samoświadomości. Przypominam dekalog. Czcij ojca i matkę swoją - podkreślam. Mam sobie za złe, że nie dbałam wystarczająco o Twoje duchowe wychowanie, ale Ty mi zawsze umykałeś. Chodziłeś od najmłodszych lat swymi ścieżkami, aż znalazłeś się na jakichś strasznych peryferiach. Myślałeś, że zmieniacie świat, a jesteście w rękach manipulatorów, którzy świadomie napuszczają jedną grupę zdesperowanych

170

na drugą, bardziej zdesperowaną. Filozofia przemocy może być czymś pasjonującym, ale warto najpierw poznać jej mechanizmy (...). Niestety, w twoim życiu puszczały nerwy"- g ^ <<^

W tej korespondencji matka przedstawia dzieje ich rodziny. Nie wiadomo, czy jest to pierwsze odsłonięcie rodowych tajemnic przed dorosłym już synem, czy też autorce listu chodzi bardziej o poinformowanie prokuratora (wszystko, co przychodzi z zewnątrz do aresztanta, jest czytane), że jej dziecko z oczywistych powodów nie może się podpisywać pod ksenofobią witryny Redwatch info. ^ ^

Pisze do syna - „Jakbyś tego nie chciał, bardzo jesteś powiązany węzłami krwi także z innymi niż polska narodowościami”. Dalej wymienia, kto z najbliższej rodziny był starozakonnym, kto Polakiem, a kto Ukraińcem. - Ja wiem - kończy swój list pani B. - że Twoje poglądy dotyczyły niezgody na pewną intelektualną magmę, na brak zasad, na chwiejność poglądów itd. Że są polityczne? Właśnie dlatego bardzo dla Ciebie niebezpieczne".  
? ? ?

Przed salą sądową tłum młodych ludzi. Właściwie są to dwie, wyraźnie odstające od siebie grupy, których członkowie patrzą na siebie nienawistnie. Wolna przestrzeń między nimi jest na tyle mała, że słowa z jednego zbiorowiska łatwo przelatują do drugiego. Słowa wzgardliwe, wrogie.

Wygląd młodych już na pierwszy rzut oka określa, do której z grup należą. Jedni mają papuzie irokezy albo skołtunione dredy, charakterystyczne dla punków. Na bawełnianych koszulkach noszą napisy: You don't halfi dread to be rasta, co by wskazywało, że ich właściciele należą do ruchu rastafarianów, walczących o równouprawnienie, również pod względem rasowym. To towarzystwo otacza wysokiego mężczyznę z półdlugimi ciemnymi włosami, obok którego stoi ładna dziewczyna.

Druga grupa, podpierająca ścianę po przeciwnej stronie sądowego korytarza, wyróżnia się ogolonymi na łyso głowami mężczyzn w czarnych spodniach bojówkach. Większość ma podkute buty, tzw. glany i luźne bluzy z kapturami. Tak zazwyczaj ubierają się skinheadzi.

Za chwilę wszyscy wejdą na salę. Zaczyna się proces Marka B. - skina-nazisty, jak już go zaszufładowały niektóre media.

Proces obserwuje przedstawiciel Fundacji Helsińskiej, który siedzi obok tego wysokiego, teraz widać, że schorowanego mężczyzny, który na korytarzu stał z punkami. Na sali sądowej zajął

miejsce dla oskarżyciela posiłkowego. To Maciej Dowhyluk.

Ławę po drugiej stronie - tam, skąd najbliżej do oskarżonego, wypełniła rodzina Marka B. Jest matka, ojciec, ojczym, dziadek (niegdyś znany reżyser), babcia, ciocia. Wszyscy starają się bodaj spojrzeniem, dyskretnym gestem wesprzeć bladego chłopca w otoczeniu policjantów, który czasem uśmiecha się do nich, jakby

171

mi

EH

Hi

!»,,,}

O

PH

zawstydzony. Gdy się patrzy na jego inteligentną, wrażliwą twarz, trudno sobie wyobrazić, że rok temu ogolony na zero, w glanach, biegał z nożem po ruchliwej ulicy, szukając swej ofiary.

Sąd ma - wydaje się - ułatwione zadanie. Jest ofiara, jest sprawca, który się przyznał do użycia noża. Nie ma tylko oczywistej odpowiedzi na pytanie, dlaczego. Czy to były porachunki ideologiczne?

Dowhyluk twierdzi, że napad na niego nie był powiązany ze stroną Redwatch info. Protestuje przeciwko przypisywaniu mu poglądów ugrupowań punkowych - Organizacja antifa w Warszawie nie istnieje - twierdzi. - To media umieściły mnie pod tym hasłem, aby wskazać ofiarę ekstremy skinowsko-nazistowskiej.

Przypomina, że po awanturze w klubie „Dwa Kotły” na anarchistycznej stronie Centrum Niezależnych Mediów pojawiło się jego oświadczenie, że nie pobił Marka B. Choć zna osobiście swego wroga, a także jego demonstrowane poglądy rasistowskie. Kiedyś, podczas koncertu zwrócił mu uwagę na niestosowne zachowanie, bo wykonywał gest Heil Hitler. Marek B., powtarza za prokuratorem Dowhyluk, należy do grupy skinheadów faszystów, której członkowie napadali na koncerty rockowe. Co drugi koncert był rozbijany przez ludzi w kominiarkach i z kijami bejsbolowymi.

Ale na pytanie obrońcy oskarżonego, czy wśród napastników dojrzał Marek B. odpowiada, że nie wie, bo wszyscy byli zamaskowani.

Powołana na świadka Julia, niegdyś dziewczyna Marka B., dorzuca złowieszczo brzmiącą informację: - „Ktoś mi powiedział, że Marek dał swemu kotu na imię Hitler” (naprawdę ten kot nazywa się Thorgal).

Dodaje, że jej dawny chłopak ubierał się jak skin. Ale nie wie, czy działał w jakiejś bandzie. Jej to zresztą nie interesuje. Ona teraz boi się o narzeczonego Maćka, który figuruje na liście do sprzątnięcia, nie wiadomo, za co.

W ideologicznej otoczce wydarzenia na Powiślu o wiele bardziej zorientowany jest świadek, którego z racji jego zainteresowań nazywano na sądowym korytarzu etnologiem.

- Miałem kilka incydentów z oskarżonym - powiedział przed sądem. Dane mi było odczuć, jakie reprezentuje poglądy. Ja jestem członkiem Polskiej Partii Pracy, wcześniej PPS. Rzadko bywałem na koncertach muzyki rockowej, ale kiedyś mi się zdarzyło (podaje adres klubu). Zostałem tam rozpoznany jako element wrogi ideologicznie. W pewnym momencie zauważyłem szarżującego na mnie człowieka, który chciał mnie uderzyć w głowę, to był Marek B. Krzychał: - „Ty jebany lewaku, czerwona k... Na szczęście uchyliłem się, nie zostałem uderzony. Między mnie a

oskarżonego wpadło kilka osób.

- Ile pan ma wzrostu? - szybko przerwał tę dramatyczną opowieść adwokat Marka B.

- Około dwóch metrów.

- Oskarżony, proszę wstać - żąda sąd.

-

172

Wszyscy obecni na sali patrzą na niewysokiego chłopca, który uśmiecha się kpiąco z tylnych ław, gdzie siedzą irokezy, głośne, zjadliwe komentarze. Aż sąd musi przywołać publiczność do porządku.

\_ To wszystko miało ciąg dalszy - zeznaje niespieszony etnolog. W następny piątek znów obrzucili mnie stekiem wyzwisk. Jeden z nich miał nóż i się nim bawił. ^ Tam też był B. Oni zasadzali się nie tylko na mnie, również na moich kolegów. Mó- |2\$ wili o sobie, że są nazi.

- Czy jest pan osobą afiszującą się z poglądami lewicowymi? - pyta sędzia.

- Nie, ale nie ukrywam tych poglądów. Pojawiam się na manifestacjach, dysku- ^ tutaj z ludźmi.

^

Oskarżony prosi o głos: - Ja tego świadka widzę po raz pierwszy. „Etnolog”: - Być może oskarżony bije wiele osób i akurat tego incydentu nie pamięta.

???

Na kolejnych rozprawach sąd usiłuje rozszyfrować, dlaczego Maciej Dowhyłuk ma ksywę „Chirurg”. Świadek obrony Karol G. twierdzi, że ma to związek z brzytwą, której Dowhyłuk używa podczas bójek na koncertach dla grup subkulturowych:

- Słyszałem, że pociął inne osoby nożem. Ale ja nie uczestniczyłem w tych akcjach - zastrzega się.

Dalsze zeznania Karola G. w kwestii ksywy tracą na procesowej wartości, raz po raz powołuje się on na opinie innych z drugiej ręki. - Mówiono mi o „Chirurgu”, że jest szefem bójówek lewicowych w Warszawie. Głośno zrobiło się o nim w 2001 roku, po śmierci skinheada Kuszewskiego na Starym Mieście. Podobno Dowhyłuk nasłał na niego bojówkarzy.

Również na pytanie sądu, czy w słynnej już bójce w „Dwóch Kotłach” jednym z atakujących był oskarżyciel posiłkowy, świadek odpowiada, że nie wie. - Na pewno stał na czele 50-osobowej grupy, która chciała wejść na koncert. Uzbrowili się w kije, butelki.

Kto z nich konkretnie, Karol G. nie widział, bo w sali było pełno dymu, lała się krew. On też dostał czymś w głowę, ukrył się za sprzętem muzycznym.

Sugerowany sądowi obraz Dowhyłuka wymachującego brzytwą rozpada się na kawałki po zeznaniach świadka Roberta P.

Młody mężczyzna zaczyna od wyznania, że jest pierwszy raz w sądzie. Nawet się nie orientuje, kto jest pokrzywdzonym. Nie mieszka w Warszawie, nie czytał w gazetach o procesie. Z osób na sali zna tylko Dowhyłuka. Maciek, którego nie widział od dziesięciu lat, miał przydomek Chirurg, tak się na niego mówiło od podstawówki. Wzięło się to stąd, że dzieciom na podwórku trudno było poprawnie wymówić nazwisko Dowhyłuk, Robert P. radził sobie w ten sposób, że mówił „doktor chirurg” z czasem tylko „chirurg”.

173

Kolejny świadek oskarżyciela prosi o wyłączenie jawności rozprawy. Boi się. W czasie przerwy grupa na tyso ogolonych mężczyzn robiła z telefonów komórkowych zdjęcia poszkodowanemu i jego świadkom. Fotki mogą się znaleźć na stronie internetowej Redwatch info albo posłużyć skinom do zaatakowania namierzonej osoby.

Sąd przychyła się do prośby, publiczność musi opuścić salę rozpraw. Rodzina Marka B. jest oburzona - przecież na korytarzu nic się nie działo, ktoś błysnął komórka, bo odbierał SMS-a.

Stwarzanie aury zagrożenia, to celowe działanie oskarżyciela posiłkowego, aby podgrzać atmosferę, stworzyć sugestię, że koledzy Marka są agresywni, mogą zaatakować.

Ale sąd decyzji o utajnieniu części procesu nie zmienia.

???

„Ogłoszenie wyroku w sprawie...” (sygnatura akt, pełne nazwisko Marka B.) - taka informacja widnieje na kartce przyklepionej do drzwi sali sądowej.

Już po wystąpieniu prokuratora i mowach obrońców. Oskarżyciel uznał, że przewód procesowy potwierdził słuszność postawionego Markowi B. zarzutu zaplanowania morderstwa:

- Usytuowanie rany, jej głębokość wskazują, że Maciej Dowhyluk został ugodzony z dużą siłą - stwierdził prokurator - i gdyby nie natychmiastowa pomoc lekarska, już by go nie było wśród żyjących. Tłumaczenie oskarżonego, że cios był przypadkowy, nie jest dla oskarżyciela wiarygodne. Sprawca, jako osoba o ponadprzeciętnej inteligencji musiał wiedzieć, że rozerwana tętnica wykrwawia się szybko. Mimo to nie tylko nie pomógł rannemu, ale szybko uciekł, wyrzucając po drodze rękawiczki.

Prokurator poświęcił wiele uwagi zeznaniom tych świadków, którzy bali się oskarżonego. Uznał, że mieli powody, bowiem Marek B. traktował ludzi jak rzeczy, z wrogością odnosił się do wszystkich, którzy deklarowali inne poglądy polityczne niż on. Uważał ich za coś gorszego. Dlatego chciał wyeliminować człowieka, który był mu wrogi pod względem politycznym. Atak przygotował z premedytacją, na zimno, w rok po bójce w klubie „Dwa Kotły” (w której udziału Dowhyluka nie udowodniono). - W dzisiejszym świecie nienawiści politycznych, rasowych, państwo ma obowiązek napiętnować takie postawy. To próba zabójstwa z pobudek, które nasze społeczeństwo odrzuca - zakończył prokurator.

Jeden z dwóch obrońców jako podstawową kwestię wyeksponował pytanie, czy Marek B. działał z zamiarem zabójstwa. Dowodził, że na sali sądowej nie uzyskano na nie odpowiedzi. Nie wyjaśnione okoliczności powinny działać na korzyść oskarżonego.

Zdaniem obrony, Marek B. chciał dać Dowhylukowi tylko nauczkę na oczach przechodniów, przez „dziabnięcie” go w pośladek. To miało być odpłacenie się za pobicie członków punkowego zespołu Awantura w klubie „Dwa Kotły”. Przypisywanie B. poglądów faszystowskich, jako pobudek działania, nie ma uzasadnienia.

174

Drugi adwokat oskarżonego odniósł się do skandalicznej rozmowy Marka B. z ko-legą na internetowym Gadu-Gadu. - To taki sposób młodzieńczego kreowania się

\_ przekonywał sąd. Mamy do czynienia z dużymi emocjami Marka B. One są za- jjj\*  
chwiane przez kurację, jaką przeszedł po wirusowym zapaleniu wątroby.

Na spustoszenie emocjonalne wywołane chemioterapią powoływał się też oskar- ^  
żony: - Cieszę się, że widzę pokrzywdzonego w dobrej formie. Nie jestem takim po- ?2\$  
tworem, jak mnie przedstawiano. ^

Ponad godzinne oczekiwanie na orzeczenie sądu. Na korytarzu spekulowano: C/5  
dwu - czy jednocyfrowy wyrok. Matka Marka B. przyszła tego dnia na rozprawę z to-

rnikiem Herberta pod pachą. Miała w nim założony wiersz o procesie sądowym, w którym publiczność została przedstawiona jako gawiedź żądna krwi.

Wreszcie wezwano nas na salę sądową. Znow, jak na rozprawach, młoda publiczność swym wyglądem podzieliła się na dwie, wrogie sobie grupy.

Gdy sędzia odczytała wyrok - 10 lat więzienia, po prawej stronie sali, gdzie stali koledzy Marka B., rozległ się pomruk oburzenia. Ale nie towarzyszyła temu satysfakcja obserwatorów procesu po drugiej stronie, tej życzliwej poszkodowanemu. Zaraz po wyjściu na korytarz mec. Mikołaj Pietrzak, który z ramienia Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka wspierał Dowhyluka, zapowiedział apelację.

- Naszym zdaniem w uzasadnieniu sądu za mały nacisk położono na światopoglądowe tło zbrodni



- twierdził.

Matka Marka B. nie powiedziała już ani słowa - w czasie odczytywania wyroku zemdląca. Gdy również sąd apelacyjny utrzymał wyrok - 10 lat odosobnienia - wysłała do gazet obszerny list, zapowiedź złożenia skargi w Trybunale w Strasburgu. Informowała w nim, że nie została dopuszczona przez sąd jako świadek, a tylko ona wie, jak reagował syn na zastosowaną po zapaleniu wątroby typu C kurację interferonem i rybawiryną. Mimo nalegań rodziny, pod koniec kuracji, a działo się to na miesiąc przed napaścią na Tamce, nie skierowano chorego na solidną obserwację psychiatryczną. Był on wprawdzie na lekach osłonowych, antydepresyjnych, ale samowolnie przerwał ich stosowanie krótko przed tragicznym zdarzeniem. To, co Marek wypisywał na komunikatorze Gadu-Gadu, czynił w stanie depresji polekowej.

-Sądy - informowała media zrozpaczona matka - konsekwentnie oddalały wszystkie dowody naukowe obrony, że w trakcie tak drakońskiej kuracji interferonem i rybawiryną mogą pojawić się myśli o popełnieniu morderstwa. W cywilizowanych państwach chorzy, którzy pod wpływem tego typu leków wchodzą w konflikt z prawem, nie są traktowani jak przestępcy.

List nie znalazł odzewu w żadnej z gazet. Matka Marka B. twierdzi, że byłoby inaczej, gdyby rodzice, niewinnie jej zdaniem skazanego, nie byli dziennikarzami.

CS)

R

anek 26 czerwca 2001 roku. Do gabinetu wiceministra obrony narodowej Romualda Szeremietiewa zagląda jego rzecznik prasowy z pytaniem, czy szef mógłby przyjąć dziennikarzy Rzepy (tak potocznie nazwany jest dziennik „Rzeczpospolita”).

- Nagle, bez uprzedzenia? - dziwi się wiceminister, ale gdy rzecznik dwa razy powtarza, że mają ważną sprawę, zgadza się: dobrze, niech wejdą. Szeremietiewa nie na darmo żołnierze nazywali familiarnie Szarym Mietkiem. To człowiek pogodny, powszechnie lubiany, także przez podwładnych, co nie jest częste w relacjach pra-cownik-szef. Cztery lata przeżyte w więzieniu, gdzie trafił w styczniu 1981 roku, skazany w głośnym procesie kierownictwa Konfederacji Polski Niepodległej za „próbę obalenia ustroju przemocą”, nie zniszczyło jego wrodzonej życzliwości do ludzi.

Wchodzą reporterzy śledczy z „Rzeczpospolitej” Anna Marszałek i Bertold Kittel. Mają dla wiceministra bulwersującą wiadomość: w jego pionie biorą łapówki. Czy on coś o tym wie?

Wiceminister jest zaskoczony, mówi, że to niemożliwe. Wtedy pada nazwisko jego doradcy Zbigniewa Farmusa. - Bo my mamy taką informację - oświadcza twardo znana dziennikarka - że Farmus bierze od firm ubiegających się o kontrakty dla armii.

Szeremietiew kręci niedowierzająco głową. - Niemożliwe - przekonuje dziennikarzy. - Farmusa widzę na co dzień w pracy i znam od wielu lat. A w resorcie jest od maja 1998 roku. Żyje skromnie, nawet nie ma samochodu, mieszka w lokalu komunalnym. Gdyby brał, gdzieś by te pieniądze wypłynęły...

- A czy pan wie, że Wojskowe Służby Informacyjne odmówiły mu wydania certyfikatu bezpieczeństwa?

Znów zaskoczenie, bo wiceminister nie dostał takiej informacji drogą służbową. Wyjaśnia dziennikarzom: - Sprawa dostępu do informacji niejawnych wygląda tak, że po zmianie ustawy, osoby dysponujące wcześniej dopuszczeniami musiały powtórnie wystąpić o certyfikaty. Nakazałem Farmusowi złożenie ankiety w WSI i równocześnie poleciłem wstrzymać mu dostęp do dokumentów niejawnych. Za to, czy siłą rozpędu nie wpadł w jego ręce jakiś dokument poufny, oczywiście nie ręczę, bo w trakcie zmiany przepisów przecież nie siedział beczynnym, pewne zlecone mu zadania powinien był dokończyć. Ale to chyba nie problem, wielu wojskowych, również pracujący w otoczeniu ministra Bronisława Komorowskiego nie ma aktualnego certyfikatu bezpieczeństwa. To dotyczy osób, które były sprawdzane i wydanie nowych certyfikatów jest sprawą techniczną. Nie ma w tym żadnych zagrożeń.

Tłumaczy dziennikarzom, ale równocześnie w jego głowie pulsuje myśl - reporterzy mają tajne

informacje, których on nie zna. W jaki sposób dotarli do nich, kto im je dostarczył?

Jest pewny uczciwości doradcy, prywatnie przyjaciela. Poznali się w Kanadzie w 1986 roku, gdy Szeremietiew pojechał do USA na stypendium naukowe. Jako niedawny więzień polityczny był rozchwytywany przez tamtejszą bardzo żywo

reagującą na wieści z kraju Polonię. Między innymi dostał zaproszenie z Kanady Od Grażyny i Zbyszka Farmusów, którzy opuścili Polskę w 1966 roku. W Toronto prowadzili dobrze prosperującą firmę wydawniczą, wspierali Solidarność. Zbi- J^j gniew Farmus był publicystą, aktywnym działaczem polonijnym i członkiem Ra-dy Narodowej na Uchodźstwie.

Romuald Szeremietiew po powrocie do Polski utrzymywał z nim kontakt.

Gdy w 1992 roku został wiceministrem obrony narodowej w rządzie Jana Olszew- ^skiego, mógł się zrewanżować za gościnę w Toronto, gdyż Farmus przyjechał do War-szawy wraz z prezydentem RP na obczyźnie Ryszardem Kaczorowskim. Na Zamku Kró- ^lewskim uczestniczył w uroczystym przekazywaniu przechowywanych w Londynie csi insygniów władzy państwowej nowo wybranemu prezydentowi Lechowi Wałęsie. ^

i :

W czasie tego pobytu zdecydował, że na dobre wraca do Polski. Sprzedał swój reprezentacyjny dom w Toronto, samochody, ale z powodów rodzinnych nie zupu- jf| ścił w kraju korzeni. Żona i dzieci nie zdecydowały się na powrót i pozostały w Ka- ^2\$ nadzie. Dysponował jednak sporą kwotą pieniędzy i zastanawiał się, jak je zainwe- ^stować. Gdy Romualdowi Szeremietiewowi brakowało na kupno działki pod budowę JEJ własnego, wymarzonego domu, zaproponował mu pożyczkę 200 tysięcy złotych. Spisali umowę i Szeremietiew zarejestrował ją w urzędzie skarbowym w styczniu 1999 roku.

???

Ton pytań dziennikarzy śledczych z „Rzeczpospolitej” (znanych z odkrywania afer, w środowisku cieszących się sławą „kilerów”) zmienia się, jest ostrzejszy.

-Skąd miał pieniądze na kupno drogiego samochodu? A na budowę domu w atrakcyjnej podwarszawskiej miejscowości? Co ma na wytłumaczenie, że Fundacja Niepodległości Polski, w której zasiada, jest miejscem dokonywania nielegalnych operacji finansowych?

Szeremietiew próbuje wyjaśniać, ale w odpowiedzi słyszy, że to nieprawda, „kilerzy” są coraz bardziej napastliwi. Od stwierdzenia, że Farmus być może bierze, przez pewność, że na pewno bierze, doszli do oskarżenia, że wiceminister na pewno z tego korzysta, skoro kryje swego doradcę. Zdenerwowanie Szeremietiewa wzrasta, gdy słyszy poufałą radę od dziennikarza, który wiekowo mógłby być jego synem: - Dla pana będzie lepiej, jeżeli pan nas przekona, trzeba się postarać, panie ministrze.

Wróciło wspomnienie przesłuchań przez SB. Wtedy też słyszał takie słowa o przekonywaniu.

- Won! - mówi do wysłanników dziennika.

Wyszli. - Nie ma zgody na publikację wywiadu - wiceminister uprzedza swego rzecznika.

Artykuł pojawia się kilka dni później, w dużym nakładzie wydania weekendowego, pod tytułem „Kasjer z Ministerstwa Obrony”.

177

1-3

Szeremietiew czyta: „Wiceminister w ciągu czterech lat urzędowania poczynił inwestycje, na które nie ma pokrycia w dochodach”. Z tekstu wynika, że prawdopodobnie pieniądze pochodziły z przestępczej działalności Farmusa. Anonimowy przedstawiciel „znanej polskiej firmy handlującej bronią” oświadcza w tekście: - „Dałem Szeremietiewowi pieniądze na kampanię AWS. - Ile? — Kilkadziesiąt tysięcy złotych. Kiedy jednak już jako wiceminister chciał ode mnie pieniędzy na poczet przyszłych kontraktów z MON, odmówiłem”.

Pierwsza reakcja spotwarzonego: - Co za bzdury! Nie ma się czym przejmować 0\*J - mówi zdziwionej i poirytowanej żonie - co pewien czas wybuchają tego rodzaju afery, a potem wszystko

okazuje się wysrane z palca.

Dwa dni po głośnej już publikacji Szeremietiew wie, że sprawa jest poważna. Wysła list z wyjaśnieniami do premiera Jerzego Buzka, prosi o spotkanie. Premier nie reaguje, jego urzędnicy mówią, że nie ma czasu na rozmowę z wiceministrem. Gdy milczenie szefa rządu jest dostatecznie wymowne, Szeremietiew pisze do ministra sprawiedliwości Stanisława Iwanickiego. Też nie otrzyma odpowiedzi. Wreszcie dostaje pismo informujące o powołaniu przez premiera komisji do sprawdzenia zarzutów dziennikarzy. To mu w pewnym stopniu wiąże ręce. „Gazecie Wyborczej”, która zgłosiła się po wywiad, tłumaczy, że z dymisją czeka na wynik pracy komisji premiera. Nie chce odchodzić z MON z opinią łapownika.

Twierdzi, że artykuł w „Rzeczpospolitej” wkomponował się w tajne działania przeciwko niemu, a ich celem jest opóźnienie przetargu na samolot wielozadaniowy.

- „Kończy się kadencja i nastąpi zmiana ekipy. Można przypuszczać, że ktoś ten przetarg chce opóźnić lub storpedować, by robili to już inni”.

I nadal konsekwentnie broni swego przyjaciela Zbigniewa Farmusa: - „To są absolutne bujdy, że w czasie przetargu na haubicę pan Farmus domagał się łapówki. Pochodzą od przedstawiciela koncernu, który przegrał przetarg, bo jego oferta była droższa, nie dawała prawa do sprzedaży haubicy do państw trzecich, ani możliwości współpracy z przemysłem obronnym”. Podejrzewa (potem okaże się, że niesłusznie) firmę niemiecką, która przetarg przegrała.

Wykazuje, że w artykule nie zgadzają się daty - przetarg skończył się w lipcu 1998 roku, a autorzy „Rzeczpospolitej” donoszą, że na przełomie września i października 1999 r. ktoś domagał się łapówki za rozstrzygnięcie sprawy. Są też w tekście błędy, które mogą być korektorską pomyłką, ale też służyć „podkreśleniu” atmosfery oskarżenia o korupcję - ot, choćby wartość kontraktu wyceniono na 500 mln dolarów, gdy w rzeczywistości jest to około 50 milionów.

Wywiad z Romualdem Szeremietiewem został przeprowadzony o godzinie pierwszej w nocy 9 lipca. Następnego dnia w południe wiceminister odmówił jego autoryzacji, powołując się na prośbę premiera o zachowanie ciszy w mediach. Mimo to artykuł się ukazał.

178

Dwa dni później wybucha afery z Farmusem.      «?

W relacji Romualda Szeremietiewa było tak: gdy otrzymał pismo WSI odmawiające Farmusowi dostępu do informacji tajnych, polecił mu udać się na urlop na czas wyjaśnienia tej sytuacji. Okazało się, że Farmus miał zaplanowany wcześniej urlop. „Jaw” planach był wyjazd do ośrodka czasowego nad Bałtyk. Zbigniew Farmus nie miał zakazu opuszczenia kraju, nie było prowadzone przeciwko niemu żadne śledztwo, c/j prokuratura nie interesowała się nim. Był tylko ten artykuł w „Rzeczpospolitej”. Ustalili, że gdyby okazało się, że będzie potrzebny do wyjaśnienia czegoś przed komisją premiera lub w prokuraturze, bezzwłocznie zjawi się w Warszawie.

Wkrótce potem do Szeremietiewa zadzwonił minister Komorowski z pytaniem, „J gdzie jest Farmus. Indagacjom towarzyszyła tak nieprzyjemna, nerwowa atmosfera (wiceminister usłyszał od szefa, że go oszukuje), że Szeremietiew uznał za konieczne wydanie oświadczenia do PAP: doradca jest na terenie kraju i stawi się na każde wezwanie.

ja

Dziś myśli, że była to pułapka zastawiona przez ministra, aby jego zastępca okazał się niewiarygodny i zaistniały powody do usunięcia go z MON. Bo gdy pisał oświadczenie, nie wiedział, że Zbigniew Farmus jest na promie płynącym do Szwecji. Komorowski już miał takie informacje. Na ten statek wsiedli też funkcjonariusze 3\* tajnych służb, aby namówić Farmusa do oskarżenia swego bezpośredniego zwierzchnika. Jeśli to zrobi, spokojnie dopłynie do Szwecji, gdzie był umówiony z córką. Ale doradca Szeremietiewa nie zamierzał wyjeżdżać z Polski i nie chciał oczerniać Szeremietiewa. Odmówił. I wtedy zapadła decyzja o aresztowaniu go na Bałtyku.

Zgodę na taką operację musiał wydać premier. Minister Obrony Narodowej udał się do Jerzego Buzka i oświadczył, że Farmus jest szpiegiem i lada moment będzie poza granicami Polski.

Premier dał zgodę na zatrzymanie uciekającego za wszelką cenę. Przyjął też wniosek ministra o

dymisję jego zastępcy. Zaraz po tym odbywa się spektakularna, nagrywana przez telewizję akcja aresztowania Farmusa. Ponieważ prom pływał pod obcą banderą i już był na wodach Królestwa Szwecji, z UOP-u zatelefonowano do kapitana statku, który był polskim obywatelem, aby zawrócił na wody międzynarodowe.

Nad statkiem zawisł śmigłowiec. Opuszczono liny i komandosi UOP-u wciągnęli Farmusa ubranego w czerwony kombinezon, jak dla niebezpiecznych przestępców, do śmigłowca. Odlecieli na lotnisko Marynarki Wojennej. Akcja została określona przez szefostwo UOP jako sukces w stylu Jamesa Bonda.

Tego samego dnia odbyło się pierwsze przesłuchanie Farmusa. Przed gmachem sądu (gdzie wydano nakaz tymczasowego aresztowania „uciekiniara”) zgromadził się tłum fotoreporterów. UOP wyszedł im naprzeciw. Gdy podejrzanego wywożono do aresztu, samochód tych służb gwałtownie przyhamował i dziennikarze dostrzegli przez szybę Farmusa nakrytego kurtką. Można było robić zdjęcia.

179

Wydarzenia toczyły się bardzo szybko. Romuald Szeremietiew został odwołany ze stanowiska sekretarza stanu. Poinformowano go też o odsunięciu od przetargu na samoloty wielozadaniowe (był przewodniczącym komisji mieszanej, która negocjowała kontrakt), bowiem dwie prokuratury, wojskowa i cywilna, prowadzą

O

śledztwo w sprawie podejrzenia korupcji w Ministerstwie Obrony Narodowej.

Anna Marszałek i Bertold Kittel napisali, że przy Farmusie znaleziono cztery paszporty, a następnie dodali piąty, szwedzki, skoro płynął do Szwecji. Informowali, że w służbowym sejfie jego syna Miłozsa (również zatrudnionego w MON) znaleziono dużą kwotę pieniędzy. Były starannie poukładane w kopertach z nazwami różnych firm.

Zdymisjonowany wiceminister zwołał na swój koszt konferencję prasową, podczas której zapewniał, że nic nie wiedział o licznych paszportach swego doradcy. Co do dostępu do tajnych informacji, to WSI powinny zadbać o to, by ktoś bez certyfikatu nie miał z takimi papierami kontaktu. Wychodząc z sali na pożegnanie rzucił dziennikarzom: - Ja do MON jeszcze wrócę.

W tym samym czasie w Urzędzie Skarbowym w Piasecznie zaczęło się sprawdzanie PIT-ów byłego wiceministra za ostatnie lata; poszukiwano przychodów ze źródeł nieujawnionych. W „Rzeczpospolitej” redaktor Marszałek napisała, że Szeremietiew zarejestrował umowę o pożyczce 200000 zł od Farmusa dopiero po ukazaniu się jej głośnego artykułu z lipca 2001 roku. Nie dość, że była to nieprawda, to jeszcze zawierała bardzo szkodliwą dla pomówionego sugestię o jego lewych dochodach (w domyśle z łapówek), które chciał ukryć za zasłoną rzekomej pożyczki od podległego mu pracownika.

Kolejny artykuł znanych już Szeremietiewowi dziennikarzy śledczych miał jednoznaczny tytuł - „Korupcja w MON”. Zaraz po nim ukazał się następny, z małym, ale istotnym sprostowaniem: „W sobotniej »Rz« przedstawiliśmy fragment stenogramu rozmowy z przedstawicielem zagranicznego koncernu. Jak wynika z jego wypowiedzi nagranej na taśmie, jesienią 1998 roku (w tekście błędnie pojawił się rok 1999) Zbigniew Farmus, asystent Szeremietiewa, żądał od niego 100 tysięcy dolarów łapówki za wygranie przetargu na haubice, wartego oczywiście 50 mln dolarów, a nie 500 mln dolarów, jak przez pomyłkę napisaliśmy. Szeremietiew ręczy za swojego asystenta, tymczasem sam w ciągu kilku lat dokonał inwestycji, na które nie ma pokrycia w dochodach”.

Niby sprostowanie wytkniętych przez Szeremietiewa nielogiczności w stawianych zarzutach, ale i

uderzenie w wiceministra.

To dopiero początek nagonki. „Rzeczpospolita” wspiera się artykułem prof. Andrzeja Kojdera z Uniwersytetu Warszawskiego, przewodniczącego Polskiego Towarzystwa Socjologicznego, który już wie, że: „Nad sprawą zdymisjonowanego niedawno wiceministra obrony i aresztowaniem jego asystenta unosi się aura korupcji sięgającej najwyższych piętér władzy (...). Argumentacja [Szeremietiewa]

180

przypomina tłumaczenie rabusia, który winą za dokonaną kradzież obarcza kieszonkowe zamki w drzwiach oraz domowników śpiących zbyt mocnym snem”. pą

Zdymisjonowanego wiceministra niepokoi jeszcze jedno: w nocy poprzedzającej pojawienie się w MON słynnych reporterów śledczych, ktoś włamał się do jego biura poselskiego i mieszczącego się pod tym samym adresem lokalu Fundacji Niepodległości Polski (był członkiem rady Fundacji). Po wyjściu policji urzędniczka porządkując rzeczy stwierdziła, że złodzieje wynieśli teczkę z dokumentami Fundacji, w której znajdowały się rozliczenia finansowe. jsg

Gdy dziennikarze wtargnęli do jego gabinetu, Szeremietiew jeszcze nie miał informacji o włamaniu. A Marszałek z Kittlem już wiedzieli, pytali bowiem: - „Co ma pan na wytłumaczenie, że Fundacja Niepodległości Polski, której przewodniczy [nie przewodniczył] jest miejscem dokonywania nielegalnych operacji finansowych?”.

Wkrótce potem dowiaduje się, że wszczęto śledztwo w tej sprawie. Podejrzany o sfałszowanie podpisów na dokumentach FNP i defraudację 70000 złotych są 52\$ on i doradca Farmus.

H

Śledczy dziennikarze z „Rzeczpospolitej” nie ustają w atakach. W artykule pt. „Polityczny parasol nad myśliwcem” (10 lipca 2001 roku) red. Marszałek donosi, że po zdymisjonowaniu swego zastępcy minister MON unieważnił przetarg dla firm konsultingowych, które miałyby zapewnić obsługę prawną zakupu samolotu wielozadaniowego. Wśród zgłoszonych firm była bowiem taka, która doradzała przy kontrakcie na zakup armato-haubicy.

Szeremietiew wie, że jest to nieprawda. Ale nie ma siły protestować. Nie widzi też sensu w zwoływaniu na własny koszt konferencji prasowych. Dziennikarze nie słuchają jego wyjaśnień, już wydali wyrok. Gdy na spotkanie z mediami w Centrum Monitoringu Prasy podwiózł go znajomy swoim mercedesem, odbyło się istne polowanie, aby sfotografować byłego wiceministra w luksusowym samochodzie. Nie udało się - Szeremietiew, widząc o co chodzi, odjechał taksówką. ???

Chwila satysfakcji, takie małe zyg-zyg natrętom i znów psychiczna zapaść. Przed nowym domem byłego wiceministra, jeszcze posła (ciągle nie ma zarzutów prokuratorskich) w podwarszawskiej miejscowości koczują stacje telewizyjne. Zdjęcie domu jako dowód skorumpowania wiceministra pokazało się na łamach „Rzeczpospolitej”.

- Czuliśmy się z żoną napiętnowani, zaszczuci - Romuald Szeremietiew wspomina po latach tamten fatalny okres w jego życiu. - Nie byłem w stanie wyjść za bramę. Nocami nie spałem, szybko chudłem. Bałem się włączyć telewizor. Miałem ogromne poczucie krzywdy. Wiedziałem, że jestem niewinny, ale to wszystko uderzało w moją żonę. Była kierowniczką publicznej biblioteki i do tego radną, twórczynią chyba jedynej w kraju komisji etyki samorządu. W lokalnej gazecie napisano,

181

ze przewodnicząca komisji etyki ma „skompromitowane nazwisko”, jej mąż robił lewe interesy.

Z nas dwojga to moja żona okazała się silniejsza, bardziej zdeterminowana w odpieraniu napaści.

- Nie będę się kryła za zaciągniętymi zasłonami - zdecydowała

"=4

któregoś dnia. I od tej chwili zachowywała się tak, jakby nic się nie zdarzyło. Szyb-M ko przekonaliśmy się, że mieszkańcy naszej miejscowości są nam życzliwi. Ksiądz w czasie mszy niedzielnej powiedział od ołtarza: - „Kochani, nie wiercie w winę naszego parafianina Romualda Szeremietiewa, tak jak ja nie wierzę”. Moja żona wywodzi się z zasiedziałej tam, szanowanej rodziny. Znający ją od dziecka mieszkańcy mówili: - To niemożliwe, ona by nie wyszła za złego człowieka.

Ta przyjazna atmosfera łądziła zdymisjonowanemu gorycz z powodu zamknięcia telefonów od prominentnych osób. A znał chyba wszystkich, na ty był z całą plejadą polityków od prawa do lewa. Gdy po artykułach w „Rzeczpospolitej” - ciągle ukazywały się nowe z oskarżeniami - dzwonił do biura kogoś dobrze mu znanego na ważnym stanowisku - sekretarka odpowiadała, że szef jest zajęty, ale się skontaktuje. I nie kontaktował się.

Przestał więc nasłuchiwać dzwonka telefonu. Inna rzecz, że coraz mniej miał na to czasu. Kursował między domem a prokuraturą. Był przesłuchiwany w charakterze świadka w kilkunastu toczących się śledztwach. Ciągle jeszcze nie miał postawionych zarzutów.

Tymczasem skończyło mu się posłowanie, o następnej kadencji nawet nie miał co myśleć. Przed dostaniem się na Wiejską był adiunktem w Akademii Obrony Narodowej. Po oddaniu mandatu poselskiego wrócił na uczelnię, gwarantowała mu to ustawa. Ale słusznie nie liczył na przyjazne przyjęcie, mimo habilitacji. Nie dostał żadnych zajęć, choć płacili mu niedużą pensję; przy pierwszej okazji, gdy minął okres ochronny, został zwolniony. Potem obszedł większość warszawskich uczelni i wszędzie usłyszał, że nie widzą możliwości.

- Znalazłem się w trudnej sytuacji - wspomina - bo dom trzeba utrzymać, a żona jako bibliotekarka zarabiała niewiele.

Nieoczekiwanie wyciągnęli do niego pomocne ręce profesorowie Maciąg i Maj-chrowski z krakowskiej Szkoły Wyższej im. Frycza-Modrzewskiego. Szeremietiew, działacz prawicowy, został profesorem wydziału prawa uczelni uważanej za bastion lewicy. Miał ponad trzystu studentów i kilkudziesięciu, którzy pisali u niego prace magisterskie, licencjackie. Na pierwszym wykładzie przedstawił się kim jest i co ostatnio wydarzyło się w jego życiu. Powiedział: - Jeżeli ktoś z państwa nie chce uczestniczyć w tych zajęciach, proszę bez skrępowania wyjść... . Nikt nie wyszedł. To mu dodało sił.

Dwa lata później został dyrektorem Instytutu Prawa w filii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego w Stalowej Woli.

???

182

nadal był wzywany do warszawskiej prokuratury apelacyjnej.

- Od samego początku tej afery twierdziłem - wyjawia mi w 2010 roku - że pa-dłem ofiarą prowokacji zorganizowanej m.in. przez Wojskowe Służby Informacyj- EH ne. podałem śledczym nazwiska dwóch podległych mi oficerów, którzy do tego przy- ,\_q łożyli ręki. Przedstawiłem oświadczenie jednego ze współpracowników, opisującego, O jak usiłowano go szantażem zmusić do złożenia obciążających mnie zeznań. Mimo ?/} notatki służbowej i powiadomienia przez niego o wszystkim przełożonych, nikt nie O chciał badać sprawy. Kilka lat zabiegałem, aby wszczęto śledztwo.

Wreszcie prokuratura, po interwencji Rzecznika Praw Obywatelskich, zajęła się ^ sprawą. Stwierdziła, że istnieje podejrzenie popełnienia przestępstwa. A ponieważ jsj w sprawie występował wojskowi, przekazano ją do wojskowej prokuratury. Ta badała zarzut prawie dwa lata i w końcu umorzyła postępowanie z powodu niemoż ności ustalenia prawdy, gdyż jeden z oskarżanych przez b. wiceministra oficerów jfj WSI zniszczył dokumenty będące dowodami w sprawie. Po pewnym czasie Szere- jaj mietiew ustalił, że dwaj pomawiający go wojskowi to byli ci

sami, którzy wprowa- Jjfj dzili mu do gabinetu niezapowiedzianych dziennikarzy z „Rzeczpospolitej”.

Pod koniec kwietnia 2004 roku ta para tryumfalnie informuje czytelników: „Szeremietiew oskarżony o korupcję. Prokuratura Apelacyjna w Warszawie postawiła mu zarzuty: działania na szkodę interesu publicznego, przekroczenia uprawnień, ujawnienia informacji niejawnych osobom nieuprawnionym oraz żądania i przyjmowania korzyści majątkowych. Byłemu wiceministrowi grozi do 10 lat więzienia”. Śledztwo w sprawie korupcji w MON - przypominają autorzy artykułu - zostało wszczęte po naszej publikacji z lipca 2001 roku.

Na konferencji w Centrum Monitoringu Prasy red. Anna Marszałek wygłasza opinię, że uczciwy dziennikarz śledczy nie może drukować niesprawdzonych wiadomości.

Romuald Szeremietiew odrzucił stawiane mu zarzuty działania na szkodę interesu publicznego, co m.in. miało się przejawiać w uproszczonym trybie zakupu centralk telefonicznych dla wojska. Z punktu widzenia podejrzanego wyglądało to tak: w połowie 1998 roku austriacka firma zaproponowała zakup swoich centralk telefonicznych. Dostawca, chcąc zachęcić klienta, zaproponował, że może za darmo wstawić urządzenia we wskazanych przez MON obiektach i pozostawić je do testowania. Propozycja brzmiała atrakcyjnie; ustalono dwa adresy do instalacji.

Używane centralki zyskały bardzo pochlebne oceny; odpowiedzialny za zakupy sprzętu łączności generał przekonywał wiceministra, że warto je kupić. Problemem było, co zrobić z urządzeniami zainstalowanymi. Zgodnie z przepisami należało je zdemontować, oddać właścicielowi, rozpiścić przetarg i z racji dobrej ceny zapewne ponownie kupić. Szeremietiew wybrał prostszą drogę - MON nabyło bez przetargu dwie używane centralki, uzyskując bardzo dogodną cenę, dużo niższą niż rynkowa.

183

Mimo to zdaniem prokuratury wiceminister, podejmując decyzję, działał na szkodę budżetu państwa. Szeremietiew dostaje więc zarzut, ale o dziwo karząca ręka sprawiedliwości nie dosięgła generała, szefa zarządu łączności, choć to on występował do wiceministra z wnioskiem o kupno centralk. Sprawę przeciwko generałowi umorzono z uzasadnieniem, że nie doszło do popełnienia przestępstwa.

Drugi zarzut korupcyjny dotyczył przyjmowania korzyści majątkowej w postaci nadzwyczaj korzystnie wycenionego samochodu w salonie dealera Fiata.

Wiceminister kupił samochód Lancię pod koniec 1998 roku za 30888 zł.

Tę markę sprzedawano wówczas po około 98 000 złotych. Ale samochód Szeremietiewa nie był fabrycznie nowy. Dealer przez ponad półtora roku używał go jako tzw. demonstracyjnego.

Zdaniem zaprzysiężonych biegłych z listy PZMot, takie samochody tracą na wartości około 35 proc. po roku używania. Zatem rzeczywista wartość samochodu wiceministra to 64 000 złotych. W rozliczeniu Szeremietiew wstawił do komisji dealera swojego fiata Bravo, który został przez dealera sprzedany za 33 500 zł. Łącznie więc dealer uzyskał za lancję 64 388 złotych.

Na zdrowy rozum Szeremietiew specjalnego interesu nie zrobił, ale prokurator widział to inaczej - były wiceminister od właściciela salonu, który startował w przetargu na dostawy dla MON, przyjął łapówkę w naturze wartości ok. 40000 złotych.

Tyle, że ten dealer nie uczestniczył w przetargu. Inna firma wygrała.

Jak się potem okazało w czasie procesu sądowego, jedyną podstawą, na której sformułowano zarzut, była opinia biegłego ze skarbówki, który nie miał pojęcia, jak się szacuje wartość pojazdów demonstracyjnych (początkowo twierdził, że „łapówka” wynosiła 60 000 i uważał, że w takim przypadku klient mógł dostać 300 zł upustu).

Inny zarzut korupcyjny dotyczył rzekomego domagania się od dyrektora Wojskowych Zakładów Lotniczych w Bydgoszczy, aby ten nawiązał współpracę z firmą Małgorzaty S., handlującą częściami do samolotów. Pani S. była działaczką AWS i z tej racji znała Szeremietiewa. Wiceminister miał liczyć na prowizję z transakcji. Prokuratora zapewniała, że został pomówiony przez byłego dyrektora WZL, którego zwolnił po wykryciu nieprawidłowości przy dostawach z

Białorusi części do samolotów MiG-29 i Su-22.

Spośród kilku umorzonych postępowań było jedno, o którym warto wspomnieć. Za kraty usiłował wsadzić swego niedawnego szefa jego rzecznik prasowy, który w lipcu 2001 roku tak usilnie nalegał na przyjęcie niezapowiedzianych dziennikarzy z „Rzeczpospolitej”. Ów oficer w stopniu majora złożył zeznanie, że był obecny przy rozmowie Szeremietiewa z pewnym prawnikiem lobbystą z Poznania, podczas której wiceminister negocjował wysokość łapówki za to, że kancelaria lobbysty będzie obsługiwała kontrakt na samolot. Rzecznik twierdził, że przebijanie ceny zaczęło się od półtora miliona dolarów, a skończyło na ośmiu.

184

-Wezwany na przesłuchanie zaprzeczałem, pomówienie było absurdalne wspomina Romuald Szeremietiew - ale prokurator nie dawał mi wiary. Wtedy ziriieniłem taktykę obrony. Założmy - powiedziałem, że zarzut jest prawdziwy. Gdyby jednak kancelaria chciała dać mi tak wysoką łapówkę, to musiałyby te pieniądze skądś wziąć. Zatem jest pytanie - skąd?

Wnioskowałem, aby wezwano szefa logistyki wojsk lotniczych i zapytano go, ile pieniędzy z budżetu na obsługę kontraktu miał dowódca wojsk lotniczych. Przesłuchano generała, wymienił kwotę 20 mln złotych na wszystko. Z tego firma prawnicza mogła zarobić maksimum milion złotych - zatem 8 mln dolarów łapówki zabrzmiało groteskowo. Postępowanie zostało umorzone.

Kolejny zarzut prokuratury brzmiał: - Ujawnianie informacji niejawnych osobie nieuprawnionej - czyli Farmusowi - mimo że ten nie miał certyfikatu wydawanego przez WSI. Również w odpowiedzi na ten zarzut oskarżony przedstawił w prokuraturze wiele dowodów na swą obronę.

Nie mógł wyjść z nimi do mediów, bo obowiązywało go zachowanie tajemnicy w toczącym się postępowaniu. To ograniczenie nie dotyczyło dziennikarzy „Rzeczpospolitej”, którzy bez przeszkód nadal przedstawiali go na łamach swego dziennika jako łapownika.

???

Akt oskarżenia został przesłany do Sądu Rejonowego dla Warszawy-Śródmieścia. Szeremietiew, aby mógł odpowiadać z wolnej stopy, musiał wpłacić 100000 zł poręczenia majątkowego. Ponieważ takich pieniędzy nie miał, została ustanowiona hipoteka kaucyjna na jego domu.

Wcześniej w urzędzie skarbowym zakończyły się wszczęte zaraz po pierwszym głośnym artykule w „Rzeczpospolitej” postępowania „w sprawie określenia przez podatnika Szeremietiewa zobowiązania w podatku dochodowym za lata 1996-2000” oraz „ustalenia wysokości przychodów nie znajdujących pokrycia w ujawnionych źródłach lub pochodzących ze źródeł nie ujawnionych”.

Po dwóch latach prześwietlania PiT-ów i innych dokumentów fiskus wydał postanowienie o umorzeniu obu postępowań „z uwagi na ich bezprzedmiotowość”. Potwierdziło się to, co wiceminister tłumaczył już dziennikarzom z „Rzeczpospolitej” - że pożyczkę 200000 zł od swojego przyjaciela (później przyznał, że Farmusa) na zakup działki pod dom zarejestrował w Urzędzie Skarbowym i zapłacił należny podatek. Redaktor Marszałek kwestionowała ten fakt w kolejnym artykule. W rezultacie także Mazowiecka Izba Skarbowa, a następnie prokuratura apelacyjna badały rzetelność decyzji skarbowej i nie znalazły niczego nagannego. Została również zweryfikowana informacja tej dziennikarki w Radiu Tok-FM, że kierowniczką urzędu skarbowego w miejscu zamieszkania Szeremietiewa jest znajomą jego żony - co miało mieć zasadniczy wpływ na korzystną dla byłego wiceministra decyzję urzędu. Znajomości takiej nie potwierdzono.

185

Ale to nie była jeszcze pora na odetchnięcie z ulgą, że najgorsze minęło. Szeremietiewa czekał proces sądowy. Prawie półtora roku wypatrywania listonosza z wezwaniem na pierwszą rozprawę.

Wszystko szło jak po grudzie. Po roku procesowania (z nierychliwą częstotliwością raz na miesiąc) przewodnicząca składu sądu poszła na urlop macierzyński i sprawa stała w miejscu przez dwa lata. Zmieniali się też prokuratorzy (podobnie zresztą jak w postępowaniu przygotowawczym, które prowadziło aż pięciu śledczych). Większość dyżurnych oskarżycieli nie



znała akt sprawy.

Romuald Szeremietiew miał więc dużo czasu na zastanawianie się nad przyczynami wybuchu afery, której został głównym, negatywnym bohaterem.

Przed oczami stało mu pewne wydarzenie z początku 1998 roku w jego ministerialnym gabinecie (trzy miesiące wcześniej został wybrany do parlamentu z listy AWS). Oto jeden z jego najbliższych współpracowników przekazał mu zaproszenie na spotkanie z kierownictwem WSI. Kierowca zawiózł go jednak nie do biura WSI, ale do jakiegoś mieszkania, które musiało być tzw. lokalem operacyjnym. W środku przy zastawionym stole siedzieli wpływowi oficerowie wojskowych spec służb. Wiceminister nie zgodził się, aby rozmawiać w takich „nieoficjalnych” warunkach. Zbeształ szefa WSI i lokal opuścił. Od tej chwili lista jego wrogów poszerzyła się o kilka wpływowych osób. Latem 2001 roku, po wybuchu afery w MON, członkowie sejmowej Komisji Obrony Narodowej sięgnęli do tajnych dokumentów, z których wynikało, że przez kilka lat wpływowi oficerowie WSI próbowali wszelkimi metodami odsunąć Romualda Szeremietiewa od wartych wiele milionów przetargów na dostawę sprzętu dla wojska.

Szeremietiew miał też inne powody przypuszczać, że stał się ofiarą służb specjalnych. Było znamienne, że Zbigniewa Farmusa zatrzymali na promie funkcjonariusze Urzędu Ochrony Państwa, choć w myśl przepisów powinna to była zrobić Żandarmeria Wojskowa. Jednak operacją dowodził zastępca szefa WSI do spraw kontrwywiadu, wcześniej oficer krakowskiego UOP. Całą akcję nadzorował osobiście szef WSI. Do akcji na promie użyto śmigłowca wojskowego. Nigdy wcześniej ani później nie zdarzyło się, aby w takim celu wykorzystano wojskową maszynę. Mógł więc ułożyć sobie listę nazwisk wrogów.

Zdawał sobie też sprawę, że jego dymisja latem 2001 roku, gdy już zaczynała się kampania wyborcza, spowodowała odłożenie kilku ważkich dla MON decyzji. To już nowy rząd (tym razem SLD) rozstrzygnął konkurs na samolot wielozadaniowy, kupiono amerykański F-16 za 18 mld zł, decyzją SLD-owskiego premiera zakupiono od izraelskiej firmy Rafael pociski Spike (blisko 2 mld zł) i to już nowy rząd ostatecznie rozstrzygnął wart blisko 5 mld zł przetarg na kołowe transportery opancerzone dla wojska.

Szeremietiew zabiegał o interesy polskiego przemysłu, preferował zakup technologii i licencji, a nie gotowych produktów. Był nastawiony na właściwe negocjo-

186

wanie tzw. offsetu. Przy zakupach broni offset powinien dać polskiej gospodarce « równe wartości inwestycje. Zatem, jeśli planowane przetargi miały jednak dojść do skutku, to taka postawa wiceministra mogłaby komplikować te zamiary. Musiał tualne opinie nie brzmiały wiarygodnie. p\$ &^

???

więc być od nich skutecznie odsunięty. Musiał odejść w niesławie, aby jego ewen- ^  
O P-ł

03 O P4

po końca grudnia 2006 roku z listy liczącej siedemdziesiąt siedem nazwisk, sąd prze-słuchał zaledwie dziesięciu świadków. Wnioski oskarżonego do prokuratury, sądu ^ i ministra sprawiedliwości o odtajnienie rozprawy nie odnosiły skutku. Odmowy mo- ?S3 tywowano względami bezpieczeństwa państwa. Nie było zgody nawet po trzech la- ^ tach procesu, gdy z misternie ułożonej intrygi przeciwników Szeremietiewa pozostało, jak to mówią adwokaci, siano.

Szeremietiewowi wytoczono dwie sprawy. Drugi proces dotyczył zdefraudowa- 53\$ nia pieniędzy Fundacji.

Zarzut został postawiony w 2004 roku, oskarżonemu groziło pięć lat wiezie- 55 nia. Przez następne dwa lata akta leżały w sądzie, choć zaszły nowe okoliczności: W trakcie porządkowania biura likwidowanej przez założycieli Fundacji odnaleziono oryginały rachunków opiewających łącznie na ponad 80000 zł (okazało się, że włamywacze skradli teczkę z

kserograficznymi odbitkami tych rachunków). Cenne dowody uczciwości swego klienta obrońca Szeremietiewa natychmiast złożył w sądzie. Mimo to przez następne sześć miesięcy nie został wyznaczony termin rozprawy głównej. Tylko dziennikarze „Rzeczpospolitej” opisywali (artykuł „Przez fundację do sądu” z 31.03.2006 r.), jak to wiceminister ukraść społeczne pieniądze.

Zbulwersowany tą publikacją Szeremietiew napisał do Zbigniewa Ziobry, ówczesnego ministra sprawiedliwości:

„W dniu dzisiejszym red. Anna Marszałek na łamach dziennika «Rzeczpospolita» napisała o zarzucie, jaki wobec mnie i p. Zbigniewa Farmusa wysunęła prokuratura apelacyjna, a odnoszącym się do działań Fundacji Niepodległości Polski. Skoro zarzut przedstawiono na łamach ogólnopolskiego dziennika, to wymaga on pilnego wyjaśnienia. Zwłaszcza, że wg mnie sprawa nie jest trudna procesowo - wystarczy zbadać wiarygodność dowodów świadczących o niewinności oskarżonych. Tymczasem z przyczyn niezrozumiałych sąd od czerwca 2004 r. nie podjął żadnej decyzji. Proszę Pana Ministra o interwencję w tej sprawie. Z poważaniem”.

Jesienią 2006 roku w Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Śródmieścia rozpoczął się wreszcie ten proces w sprawie przywłaszczenia pieniędzy Fundacji.

???

187

Po siedmiu latach, trzech miesiącach, dwóch tygodniach i dwóch dniach - jak obli-

-  
czyi Szeremietiew, Sąd Rejonowy dla Warszawy-Śródmieścia ogłosił wyrok uniewinniający go z oskarżeń korupcyjnych. Prokuratura nie złożyła odwołania.

Natomiast zarzuty przekroczenia uprawnień związane z wpływaniem na procedury przetargowe w MON, dotyczące zakupów central telefonicznych i samochodów zostały umorzone z powodu przedawnienia (ale toczące się w tych sprawach postępowanie dowodowe przed sądem nie potwierdzało oskarżeń prokuratora).

Uznano winę Szeremietiewa co do bezprawnego dopuszczenia Farmusa do czterech - a nie 50, jak chciała prokuratura - tajnych dokumentów. Orzeczono za to karę 3000 zł grzywny.

Szeremietiew przed ogłoszeniu wyroku powiedział dziennikarzom: - Zacząć od obalania ustroju PRL, skończyć oskarżeniem, że się jest złodziejem - coś takiego nie mógłbym wyobrazić nawet w złym śnie.

Ale raczej nie znalazł współczucia w oczach sprawozdawców sądowych.

Wspierali go natomiast anonimowi internauci wpisujący się na jego blogu. Jak np. (mag): „Sprawa, która zajmowała wszystkie media w 2001 roku, doczekała się swojego finału. Mimo to większość mediów milczy. Najwyraźniej wyrok, który zapadł, jest dla większości polskiego środowiska dziennikarskiego bardzo niewygodny. Milczenie mediów nakłada na nas obowiązek: zrobić wszystko, aby w oczach opinii publicznej zrehabilitować Romualda Szeremietiewa”.

Inny wpis: - „Nie udało się złamać Szeremietiewa, bo to postać wyjątkowa. Człowiek niezłomny i silny w dążeniu do wolnej i niepodległej Polski, za co niejednokrotnie siedział w więzieniu. To wielki mąż stanu i będzie ponownie ministrem obrony narodowej, bo tego chcą Polacy”.

- „W tej sprawie nie było najważniejszą sprawą udowodnienie winy panu ministrowi R. Szeremietiewowi, lecz jedynie uwikłanie Go w ten temat. Zostało to bardzo zręcznie zrobione, za co rozdano już nagrody. Całkowite oczyszczenie w świetle prawa pana ministra czyni z niego dla pewnych środowisk zagrożenie. Wypuszczono więc nowe pieski do obszczekiwania”.

Na forum znalazły się i takie wpisy: „Fakt, że Szeremietiew nie zgnił jeszcze w więzieniu, potwierdza tylko, przynajmniej częściowo, teorię Kaczyńskich o »układzie«. Ciekawe, kto dopuścił do przedawnienia w sprawie «przekrętów przetargowych»? „Pani Annie Marszałek należy pogratulować wytrwałości w śledzeniu tej sprawy”. (Makarow9mm)

Zdecydowanie jednak przeważały słowa wsparcia i to obligowało bohatera wydumanej afery do informowania na swej stronie internetowej, co dalej dzieje się z jego procesem.

Pewnego dnia wyznał: - Nie mogę złożyć odwołania od grzywny, jaką ukarał mnie sąd rejonowy. Przewodnicząca składu sądu nie napisała uzasadnienia do wyroku, a bez tego odwoływać się nie można. Tymczasem zajęty sprawami na uczelni

188

nie zauważyłem, że ktoś znowu „zagrał do tańca” dedykowanego mojej osobie. Oto 6 stycznia br. na łamach „Dziennika” pojawiły się teksty o zatrzymaniu kogoś określanego mianem „kasjer Pruszkowa”. Redaktorzy Robert Zieliński i Leszek Kraskowski w artykule pt. „Kasjer Pruszkowa zatrzymany i zwolniony” umieścili coś takiego: „Biznesmen dotąd unikał prawdziwych problemów z wymiarem sprawiedliwości. Sam przechwalał się, że pożyczał pieniądze na sfinansowanie okazałej willi Romualdowi Szeremietiewowi, byłemu wiceministrowi obrony narodowej. Doskonale znał również asystenta wiceministra Zbigniewa Farmusa”.

Informację o finansowaniu mojego domu przez gangstera redakcja wydrukowała pogrubioną czcionką. Zaraz też smakowity temat rozwinęła znana specjalistka od „kasjerów” (przypominam jej tekst „Kasjer z MON”) obecnie publicystka „Dziennika” Anna Marszałek. Objaśnia ona tak osobę „drugiego kasjera”, zresztą lniempla tego pierwszego z MON: „P. nie gardził żadną stroną sceny politycznej. Oficjalnie i półoficjalnie doradzał ministrom. »Byłem kimś« - mówił. To on także umówił słynne spotkanie Zbigniewa Farmusa, asystenta Romualda Szeremietiewa z przedstawicielem koncernu zbrojeniowego z RPA, podczas którego miało dojść do żądania łapówki za przetarg na armato-haubice (...). »Pożyczyłem Szeremietiewowi pieniądze, bo płakał, że nie ma na spłatę długów za ten swój dom« - chwalił się nam na korytarzu sądowym. Szeremietiew twierdził natomiast, że nazwisko P. nic mu nie mówi”.

Szeremietiew odpowiedział na swojej stronie internetowej: - W świecie ciemnych interesów działają osobnicy nazywani cynglami, którzy za odpowiednie wynagrodzenie likwidują osoby przeszkadzające opryszkom w interesach. W mojej ocenie red. Marszałek może być takim medialnym „cynglem”, likwidującym wskazane osoby „wystrzałowymi” artykułami. Mam też powody, by sądzić, że funkcjonariusze tajnych służb dostarczyli „amunicji” do jej rewolwerowego tekstu „Kasjer z MON” („Rzeczpospolita” z 7 lipca 2001 roku). Nie wiem, w jak zażytych relacjach pozostaje red. Marszałek z „kasjerem Pruszkowa”, że ten zwierzał się jej o rzekomo pożyczanych mi pieniądzech. Zastanawia mnie jednak, skąd Marszałek wie, że tej sprawy nie badały organa śledcze? Od „kasjera Pruszkowa”, czy może od gen. Hu-ni, czy jakiegoś innego dysponenta tajnych wiadomości? No i to: „W sądzie P. był jednak świadkiem obrony Farmusa”. Otóż świadka P. w sądzie nie zgłaszała obrona, lecz oskarżyciel. Tyle tylko, że nie potwierdził prasowych doniesień red. Marszałek o „negocjacjach” łapówkowych dotyczących armato-haubicy. Rekapitulując - mój „kasjer”, i ja sam, zostaliśmy uniewinnieni, ale że pojawiły się spekulacje o moim powrocie do polityki, więc może nadszedł czas, by wskazać nowego „kasjera”.

Odwołanie pełnomocnika Szeremietiewa mec. Bonifacego Bąka od kary grzywny (w procesie nie wykazano, by Farmus otrzymywał dokumenty, będące tajemnicą państwową. Tego się już niestety nie dowiedzie, bo dokumenty zostały

189

zniszczone) - spowodowało uchylenie wyroku. W październiku 2009 roku sprawa wróciła do Sądu Rejonowego.

W tymże 2009 roku Sąd Okręgowy w Warszawie utrzymał wyrok uniewinniający Szeremietiewa wraz z Farmusem z zarzutu przywłaszczenia pieniędzy Fundacji Niepodległości Polski.

Pół roku później były wiceminister, broniąc się przed sądem w sprawie, w której został nieprawomocnie skazany na grzywnę dowodził, że to ówczesny szef MON odpowiadał za ochronę tajemnic w resorcie, bo jemu bezpośrednio podlegał kontr-wywiad WSI. - Dopiero minister mógł mi wskazać, że pojawiają się nieprawidłowości; jeśli nie wydawał zaleceń w tym zakresie, miałem

prawo przypuszczać, że obieg dokumentów odbywa się zgodnie z prawem. Podkreślał też, że sprawa nie naraziła na szwank bezpieczeństwa narodowego.

Proces jeszcze się toczy, Szeremietiew liczy na uniewinnienie. Na swoim blogu zaczyna już umieszczać komentarze do publikacji w „Rzeczpospolitej”, które wyróciły całe jego życie. Trudno mu ukryć gorycz: - „Okazało się, że świadkowie oskarżenia kłamali, dowody były fałszywe (wadliwa ekspertyza wartości mojego samochodu), a oskarżyciele stronniczo i nieprawdziwie interpretowali fakty. I to tyle.

Są jednak sprawcy medialni wywołania tej „afery”, którzy otrzymali prestiżowe nagrody i cieszą się do dziś sławą dociekliwych dziennikarzy śledczych. Anna Marszałek z dziennika „Rzeczpospolita” otrzymała Grand Press i tytuł dziennikarza roku w konkursie miesięcznika „Press”. Nagrodzona statuetką Złotej Stalówki oraz 10 tysiącami dolarów. Została też wyróżniona unijnym tytułem Journalist of the Year.

Nie gorzej wypada Bertold Kittel - także zyskał laur Grand Press, dostał Główną Nagrodę Wolności Słowa SDP i dwa razy nagrody Fundacji Stefana Batorego promującej reportaże o wykrytej przez dziennikarzy korupcji.

I trzeba przyznać - ironizuje Romuald Szeremietiew - że oboje zapracowali na te zaszczyty. W archiwum „Rzeczpospolitej” znalazł 37 tytułów ich tekstów dedykowanych „łapownikowi Romualdowi Sz.”.

Były wiceminister wylicza koszty postępowań wywołanych „śladem publikacji”: lotniczo-morska operacja porwania Zbigniewa Farmusa z promu, wyjazd UOP do RPA w celu przesłuchania świadka, kilkuletnia inwigilacja jego osoby i licznych znajomych, sprawdzenie dokumentacji z kilku tysięcy przetargów w MON, tłumaczenia z języków obcych, odzyskiwanie danych komputerowych, no i pensje kilkunastu prokuratorów, trochę większej liczby funkcjonariuszy UOP, oficerów WSI... A przy tej okazji zniszczono życie osobom, których te aferalne zarzuty dotknęły...

- Ciekawi mnie - zastanawia się po ogłoszeniu wyroku o uniewinnieniu - jak się czuje autor z naukowym tytułem, przewodniczący Polskiego Towarzystwa Socjologicznego, który gdy „myśliwi” zaczęli polowanie, ochotniczo dołączył do nagonki na mnie.

190

Po oświadczeniu Rady Etyki Mediów zaniepokojonej kolejną kompromitacją dziennikarstwa śledczego uprawianego w „Rzeczpospolitej”, Anna Marszałek pozostała przy swoim zdaniu: - W sprawie Szeremietiewa, jako dziennikarze, zrobiliśmy wszystko, co można było w tamtej chwili, żeby zweryfikować materiał - oświadczyła. - Nigdy nie odbył się żaden proces, który dotyczyłby tego artykułu. Romuald Szeremietiew nigdy nas nie pozwał, żaden sąd nie uznał, że popełniliśmy jakikolwiek błąd, że postąpiliśmy nierzetelnie lub stronniczo. Możemy z czystym sumieniem powiedzieć: żaden sąd nigdy tak nie powie, bo tekst „Kasjer z Ministerstwa Obrony” został napisany z zachowaniem najwyższych standardów dziennikarskich.

## CZEŚĆ DRUGA - SPRAWA FARMUSA %

W finale głośnej akcji na promie, minister sprawiedliwości Stanisław Iwanicki powiedział do zgromadzonych dziennikarzy: - Nikt nie będzie drwił z państwa polskiego. Śledztwo w sprawie zamówień w MON jest rozwojowe, a korupcja to tylko jeden z wątków. Chodzi również o zagrożenie bezpieczeństwa państwa. Towarzyszący mu minister Pałubicki dodał, że akcja na Bałtyku pokazała, iż dla rządu nie ma kolegów. J3\*

Zbigniew Farmus trafił do aresztu. W jego sprawie zgromadzono kilkanaście tomów akt, z których większość, to powielona dokumentacja z pionów podległych Szeremietiewowi, opisy stosowanych w MON procedur przetargowych itp. Kilkakrotnie zmieniano zarzuty. Z czasem ich liczba topniała. Ostatecznie otrzymał trzy.

Po pierwsze - brał łapówki.

W tym celu ukrył kilku niejawnych dokumentów, m.in. wystąpienia do MON firmy Fiat Auto Poland, która skarżyła się na nierówne warunki konkurencji w przetargach na samochody dla wojska. Ujawnił jednemu z klientów oceny ofert w przetargu na armato-haubice. Miał za to żądać 120000 dolarów łapówki.

Zarzuty pokrywały się z postawionymi w lipcu 2001 roku w „Rzeczpospolitej” w artykule „Kasjer z Ministerstwa Obrony”. Dziennikarze powoływali się w swym tekście na rozmowę z przedstawicielem zagranicznego koncernu, który był nagabywany przez Farmusa o łapówkę. Twierdzili, że nagrali wywiad na taśmę. Ów biznesmen zobowiązał się do powtórzenia swoich słów przed sądem.

W artykule jeszcze inne osoby potwierdzały, że Zbigniew Farmus chciał pieniędzy od firm handlujących bronią. Niektórym proponował płacenie łapówki pod pretekstem wspierania Fundacji Niepodległości Polski.

We wszystkich tych przestępczych działaniach Farmus miał się powoływać na Szeremietiewa i twierdzić, że pieniądze są przeznaczone dla wiceministra.

Drugi zarzut dotyczył tego, że asystent wiceministra obrony, nie mając certyfikatu bezpieczeństwa w okresie wrzesień 2000 roku - styczeń 2001 roku, korzystał z informacji opatrzonej klauzulą „tajne”.

191

Oskarżony wyjaśniał, że właśnie wtedy skończyła mu się ważność tego rodzaju dokumentu, który miał od 1998 roku. Wówczas był zatrudniony w gabinecie politycznym Ministra Obrony Narodowej. Do wiceministra Szeremietiewa przeniesiono go 15 lutego 2001 roku. Oczywiście wystąpił, choć przyznaje, że z opóźnieniem, o nowy certyfikat. Nie dostał go, ale o tym Szeremietiew dowiedział się dopiero pod koniec czerwca od dziennikarzy „Rzeczpospolitej”.

Ani wiceminister, ani jego doradca nie widzieli w tym alarmującego problemu; byli przekonani, że wszystko się wyjaśni po powrocie Farmusa z urlopu. Wszak w okresie, gdy nie miał certyfikatu, uczestniczył w trzech tajnych naradach natowskich i za każdym razem otrzymywał specjalny certyfikat bezpieczeństwa WSI. Poza tym kontrola prawidłowości obiegu dokumentów w pionie wiceministra za czwarty kwartał 2000 roku potwierdzała, że wszystko jest w porządku. Podobnie brzmiało podsumowanie następczej, z marca 2001 roku.

Trzeci punkt oskarżenia dotyczył znalezionych w sejfie Farmusa dwóch dokumentów, których nie powinien tam trzymać. Była to wspomniana skarga koncernu Fiat Auto-Poland, ale ona nie miała klauzuli tajności. Drugi dokument, rzeczywiście tajny, dotyczył wydarzenia (pewnej konferencji rozbrojeniowej) już nieaktualnego.

Prokuratura nie przedstawiła Farmusowi zarzutu próby ucieczki z kraju.

Wersja UOP, że asystent wiceministra uciekał do Szwecji przed aresztowaniem została obalona już podczas pierwszych dni śledztwa. Okazało się, że chciał przepłynąć Bałtyk, aby spotkać się w Sztokholmie z córką, która po jego przeprowadzce do Polski pozostała w Kanadzie.

Nie miał, jak doniosła „Rzeczpospolita”, pięciu paszportów. Nieprawdziwe okazały się również informacje o wielkich pieniądzach znalezionych w jego sejfie w kopertach z nadrukami nazw różnych firm. Zagraniczne banknoty (w przeliczeniu na złote wartości około 1000 zł) były własnością syna Farmusa - Miłosa, również pracującego w MON, gdzie był bardzo przydatny z uwagi na znajomość języka angielskiego na najwyższym poziomie „native” i ukończony kierunek studiów na uniwersytecie w Toronto.

Te pieniądze to resztki z diet na służbowe delegacje zagraniczne - młody człowiek był bardzo skrupulatny i oszczędny. Owe guldeny, marki oraz liry układał w zużytych już kopertach po starej, nieaktualnej korespondencji.

???

Proces (tajny) Farmusa rozpoczął się 14 lutego 2003 roku. Oskarżony miał szanse odpowiadać z wolnej stopy, gdyby zgodził się na obciążenie swego szefa.

Romuald Szeremietiew dobrze pamięta ten moment: - Na samym początku procesu zostałem

wezwany na świadka. Mimo smutnych dla nas okoliczności cieszyłem się, że zobaczę przyjaciela. Stawiłem się w sądzie i wtedy okazało się, że Zbyszka nie przywieziono z aresztu. Nie wiadomo było, dlaczego. Potem dowiedziałem

192

I

się. że rano, przed wyjazdem na rozprawę przyszedli do niego funkcjonariusze ABW i powiedzieli, że natychmiast wyjdzie na wolność, jeśli obciąży mnie na sali sądo-wej, gdzie będę przesłuchiwany. Odmówił, więc „za karę” zostawili go w celi.

Słynni śledczy „Rzeczpospolitej” (gdy Anna Marszałek została wybrana Dzienni- \\_ą karzem Roku, udzieliła mnóstwo wywiadów gazetom i wiele pouczających rad na ^ gościnnych wykładach dla studentów uczelni dziennikarskich) obwieścili 26 marca 03 2003 roku w swym dzienniku, że potwierdziły się ujawnione przez nich zarzuty o ko- ^ rupcji w MON. Podkreślali, że z akt prokuratorskich wyziera wstrząsający obraz pa- ^ tologii i korupcji w pionie MON kierowanym przez Szeremietiewa. ^

Tymczasem na zamkniętych dla publiczności rozprawach coraz trudniej było oskarżycielowi utrzymać zarzut żądania przez Farmusa łapówki od biznesmenów. ^

Świadek Bogdan L. z koncernu Denel (RPA) zeznał, że spotkał się z Farmusem we wrześniu 1998 roku w warszawskim pubie Harenda. Rozmowa dotyczyła przetar- ^ gu na armato-haubicę, w którym brał udział koncern Denel. Za udostępnienie taj- ^ S25 nych dokumentów Farmus chciał ponoć 20000 dolarów. Biznesmen z Afryki miał ^ przekazać pieniądze przez pośrednika. Gdy sąd poprosił o wyciąg z konta, L. stwierdził, że nie jest w stanie go dostarczyć. Wskazany pośrednik nie dość, że nie przy- \* \* znał się do przekazania łapówki Farmusowi, to stanowczo zaprzeczył, aby dostał pie- niądze od biznesmena, którego nazwał wariatem.

Według L. doradca wiceministra przy kolejnym spotkaniu podbił stawkę i zażądał 100000 dolarów bez gwarancji wygrania przetargu.

W sądzie głównymi świadkami oskarżenia mieli być informatorzy „Rzeczpospolitej”. Jeden z nich - przedstawiony w artykule jako „doradca prezesa jednej z największych firm handlujących bronią” - mówił dziennikarzom: „Farmus zna w naszej branży niemal wszystkich. Słyszałem, jak od szefów konsorcjum francuskiego domagał się 200000 zł dodatkowo, bo wiceminister jest niezadowolony, że dostał tak mało”.

Jednak w czasie śledztwa nie znaleziono żadnego takiego „doradcy prezesa”, który potwierdziłby słowa opublikowane w dzienniku.

Poza tym nie zgadzały się daty. Przetarg na wieże do armato-haubic zaczął się w 1996 roku i był prowadzony przez Hutę Stalowa Wola, a nie przez MON. Został podpisany w lipcu 1999 roku - wynikałoby z tego, że Farmus żądał łapówki za przetarg już rozstrzygnięty! W którym zresztą nie uczestniczył producent z RPA.

Inny świadek - przedstawiciel holenderskiej firmy Signall miał powiedzieć red. Marszałek, że rozmawiał z Farmusem w jego biurze przy ul. Klonowej w Warszawie, gdzie asystent żądał od niego 50 000 dolarów za ustawiony przetarg. Ale gdy sędzia kazał wstać oskarżonemu, aby świadek mógł mu się przyjrzeć, okazało się, że widzi go po raz pierwszy w życiu.

- Tamten człowiek wyglądał zupełnie inaczej i miał inny głos niż oskarżony - powiedział zaskoczony.

193

A Farmus nigdy nie miał biura przy ul. Klonowej.

W innym miejscu dziennikarka przytaczała rzekomą rozmowę posła AWS z wiceministrem Szeremietiewem: - „Powiedziałem Romkowi o docierających do nas sygnałach, że Farmus domaga się od zakładów zbrojeniowych łapówek, a bierze pieniądze nawet za umówienie z nim spotkania”. W aktach sprawy nie ma zeznań H ^ żadnego posła AWS.

Ani cytowanego w artykule „przedstawiciela znanej polskiej firmy handlującej bronią”, który miał powiedzieć, że po tym, jak dał Szeremietiewowi kilkadziesiąt tysięcy złotych na kampanię AWS, on ponownie, już jako wiceminister, próbował wyciągnąć od niego pieniądze na poczet przyszłych kontraktów z MON, (wtedy „przedstawiciel znanej polskiej firmy handlującej bronią” odmówił).

Nie potwierdziły się informacje o rozmowie dziennikarki z pewnym politykiem, współpracownikiem Lecha Wałęsy (znów w tekście anonimowym), który słyszał od biznesmenów na Śląsku, że przekazywali Szeremietiewowi pieniądze na kampanię Wałęsy. W aktach sprawy nie ma zeznań na ten temat żadnego „współpracownika Wałęsy”.

Nie wytrzymał konfrontacji sądowej kolejny fragment artykułu („Kasjer z MON”): „Znany poseł SLD przedstawił „Rzeczpospolitej” inną historię: - Szef jednego z zagranicznych koncernów, które przegrały przetarg w MON, mówił mi, i to w obecności dyplomatów ze swego kraju, że kupował od Farmusa dokumenty. W tym celu umówił się z Farmusem w jego gabinecie w budynku przy alei Niepodległości. Wymiana odbywała się niemal bez słów. Farmus przynosił żądany dokument i wychodził na pół godziny, a przedstawiciel w zamian przekazywał kopertę. Za każdy dokument dawał 10000 dolarów. Miał w ten sposób zdobyć trzy dokumenty i zapłacił 30 000 dolarów. Kiedy mówiłem, że to niemożliwe i zapytałem o dowody, pokazał mi mikrofilm”.

Jedynym posłem SLD zeznającym w sprawie był Janusz Zemke. Pod przysięgą zaprzeczył doniesieniom red. Anny Marszałek.

Proces dowiódł, że Zbigniew Farmus nie miał przypisywanego mu wpływu na przetargi. Jego i szefa rozmowy z przedstawicielami koncernów na temat przetargów odbywały się w budynku MON; wejścia gości były dokumentowane.

???

W grudniu 2006 roku po blisko czterech latach utajnionego procesu Zbigniew Farmus został uniewinniony z zarzutów żądania i przyjmowaniu łapówek w łącznej kwocie 170000 dolarów.

Jednak za ujawnianie tajnych informacji o przetargach skazano go na 2,5 roku więzienia - tyle, ile odsiedział w areszcie i na co skarżył się w Strasburgu (skarga została uznana za zasadną.) Obie strony procesowe odwołały się od wyroku sądu pierwszej instancji.

194

Sąd Okręgowy uniewinnił Farmusa z zarzutu bezprawnego korzystania z tajnych\* informacji, za co go skazano na 2,5 roku więzienia. Nakazał Sądowi Rejonowemu Warszawa-Śródmieście jeszcze raz zbadać jeden zarzut, 20 000 dolarów łapówki, która miała dotrzeć do Farmusa z RPA. Proces jest tajny, więc trudno powiedzieć, czy udało się znaleźć jakieś dowody na istnienie tej łapówki. Szeremietiew uniewinniony prawomocnie z zarzutów korupcyjnych dochodzi przed sądem rejonowym zasadności wymierzonej grzywny. Wskazuje, że został ukarany za zdarzenie, które przestępstwem nie jest, o czym świadczy uniewinnienie Farmusa z zarzutu korzystania z tajnych dokumentów. Proces trwa. Mięło dziewięć lat od dnia, gdy Anna Marszałek i Bertold Kittel donieśli o wielkiej aferze korupcyjnej w MON. PI

P^J

J^J

^

^

^

JSJ

HI SA PS

H

:

M

H T\ YR ęczyzna w średnim wieku, zaciśnięte usta, niespokojne spojrzenie, przez ca-ia rozprawę ucieka wzrokiem od patrzącej na niego powódki. - Ja już swoje powiedziałem wcześniej - odpowiada mrukliwie na pytanie sądu, aż trzeba go zdy-"j"\* scyplinować.

JT\* - To znaczy - niechętnie wyjaśnia - zrzekam się praw wydawniczych do książek Pawła Jasienicy, które należą mi się w spadku po matce. Nadal nie patrząc na powódkę, szybko opuszcza gmach warszawskiego sądu.

O

Nazywa się Marek Obretenny, jest synem Zofii Neny O'Bretenny-Beynar, drugiej JS^J żony Pawła Jasienicy. Jego sądowy spór z córką pisarza wyniknął stąd, że zdaniem powódki nie żyjąca od 1997 roku Zofia O'Bretenny-Beynar, jest niegodną dziedziczenia po mężu; odkąd poznała Pawła Jasienicę, aż do jego śmierci, szpiegowała go C/3 jako TW (tajny współpracownik) Ewa-Max, pisała na niego raporty do UB. Konsekwencją takiego stanowiska córki pisarza jest odmowa podpisywania z Markiem Obretennym umów wydawniczych na wznowienie książek Pawła Jasienicy. Oto powód tego, że twórczości historyka od lat nie można było spotkać w księgarniach.

Proces ciągnął się prawie cztery lata. Gdy wydawało się, że córka Jasienicy już nie ma szans na wygraną (jej roszczenia z prawnego punktu widzenia uległy przedawnieniu), Marek Obretenny wycofał się walkowerem.

H

B<H ???

O

P^JJJ - Wystąpiłam o teczkę ojca z IPN - mówi Ewa Beynar-Czczott - bo chciałam wie-PR^ dzieć, co naprawdę kryło się za słowami Gomułki, że w latach 50. Jasienica został Ł) wypuszczony z aresztu „z powodów, które są mu znane”. Przywódca PZPR wykrzyczał to publicznie w 1968 roku na zjeździe aktywistów partyjnych, wyraźnie sugerując, że mój ojciec doniósł na swoich towarzyszy broni od Łupaszk.

Córkę Pawła Jasienicy poraziła skala donosicielstwa - w IPN przyniesiono jej na biurko kilkanaście tomów. Z ich lektury wynika, że tajniacy otaczali pisarza wszędzie - w kościele, w kawiarni, we własnym mieszkaniu. Nawet na cmentarzu. Tak było przez całe jego życie w PRL, z krótkim wyciszeniem w 1956 roku. Osiem lat później inwigilacja z siłą lawiny osacza pisarza w związku z Listem 34.

To Antoni Słonimski przyniósł pewnego marcowego przedpołudnia 1964 roku do kawiarenki PIW-u na Foksal (mała kanciapa, ale słynna; przesiadywali w niej opozycjoniści: Paweł Hertz, Jan Kott, Leszek Kołakowski) kartkę z tekstem: „Ograniczenie przydziału papieru na druk książek i czasopism oraz zaostrenie cenzury, stwarza sytuację zagrażającą rozwojowi kultury narodowej. Niżej podpisani, uznając istnienie opinii publicznej, prawa do krytyki, swobodnej dyskusji i rzetelnej informacji za konieczny element postępu, powodowani troską obywatelską, domagają się zmiany polityki kulturalnej w duchu praw zagwarantowanych przez Konstytucję i zgodnych z dobrem narodu”.

Dziś nie pobrzmiwa w tym nic bulwersującego. Ale w tamtych latach...

196

Słonimski informuje stałych bywalców kawiarni, że Andrzejewski zaprosił kil- [~j  
loinastu twórców, aby wspólnie zastanowić się, w jakiej formie zaprotestują prze- j\_ą  
ciwko temu wszystkiemu, co władza wyprawia z kulturą. Przyszli m.in. Maria Dą- J^J  
browska, Paweł Jasienica, Zygmunt Mycielski, Jerzy Zawieyski. Słonimski sam napisał CM  
projekt oświadczenia.

- Popadłeś pod zły wpływ Jana Józefa Lipskiego. Ale niech będzie - ocenia Hertz w pIW-owskiej kawiarni. I obiecuje, że pomoże w zbieraniu podpisów.

Wkrótce mają autografy: Jasienicy, Wańkowicza, Stanisława Cata-Mackiewicza, M Turowicza. Uzbierało się 34 znanych sygnatariuszy. Antoni Słonimski idzie do kan- ^  
celarii premiera i w sekretariacie składa List 34 za pokwitowaniem. Gomułka wpadł 3  
w pasję: - „Wszystkim - powiedział - dać paszporty zagraniczne i wyrzucić z Pol- Q  
ski”. Po kilku dniach milczenia, władza zatrzymuje na 48 godzin Jana Józefa Lip-  
skiego. Sprawę nagłośnią Radio Wolna Europa. Wtedy włączają się studenci UW, de- j~| monstrując



poparcie dla sygnatariuszy listu na wiecu.

Do siedziby władz ZLP osobiście udaje się, po raz pierwszy w życiu, Władysław pgl Gomułka. Prezes Jarosław Iwaszkiewicz czapkuje I sekretarzowi od progu, od razu 2J dystansując się od kolegów - sygnatariuszy Listu 34. Ocenia ich wyskok jako wysoce nierozsądny i niepolityczny. Ale Gomułce to nie wystarcza. Przyjechał, aby oskarżać.

Nazajutrz zaczyna się wzywianie pisarzy na czerwony dywanik do KC PZPR. Przesłuchują Cyrankiewicz i Kliszko. Sygnatariusze Listu 34 słyszą polecenie: - Oddajcie, towarzyszu, partyjną legitymację. Jesteście zawieszoni w prawach członka. Tak potraktowani Marian Brandys, Julian Strykowski i Wiktor Woroszyński urządzają sobie na pocieszenie - akurat zaczął się karnawał - huczny Bal Powieszonych.

???

Ale wkrótce nie jest im do śmiechu. Bo oto został aresztowany 72-letni Melchior Wańkowicz. Podstawą aktu oskarżenia, jak wyjaśnia Jasienica w liście do córki mieszkającej wówczas w Bieszczadach, jest fotokopia brudnopisu przemówienia w sprawie Listu 34, przygotowywanego przez pisarza na zebranie w ZLP. Maszynopis wysłał przez „okazję” do córki w Ameryce. Tekst został odczytany w Radiu Wolna Europa. Wyrok - trzy lata więzienia, zredukowane na podstawie amnestii do połowy. Sąd po naradzie uchylił areszt. W środowisku literackim szerzy się bunt przeciwko zniewoleniu. Śledzący Jasienicę TW „Konrad” nagrał mowę pożegnalną pisarza nad grobem Stanisława Cata-Mackiewicza: „Ostatnie lata, czas od chwili podpisania Listu 34 spędził w nieustającym zatargu. Żył w walce i płacił za to”.

W raporcie tajniaka znalazło się ostrzeżenie: figurant zamierza kolportować swoje przemówienie. Po śmierci Cata-Mackiewicza, z którym figurant był związany, przejął jego kontakty z Londynem i paryską „Kulturą”; zamierza tam przesłać pozostałe po Mackiewiczu listy, w celu ich opublikowania.

197

Z każdeo posiedzenia, odczytu, spotkania w kawiarni z udziałem pisarza, fabrykowano doniesienie TW, zakończone „zadaniami” i „przedsięwzięciami”, jakie wyznaczał agentowi prowadzący go oficer MSW. Śledzących Jasienicę było co najmniej trzydziestu. Zdarzali się nadgorliwcy, którzy pisali nie tylko to, co wiedzieli, ale i to, czego się domyślali.

- Około roku 1965 - opowiada w sądzie Ewa Beynar-Czczott - wśród donosi-cieli pojawia się kobieta o pseudonimie Ewa. Bardzo pracowita agentka. Raporty pi-sze nawet dwa razy dziennie. Zorientowałam się, że to „Macusia”, bo tak nazywaliśmy w rodzinie drugą żonę ojca, Zofię Nenę z Darowskich primo voto O'Bretenny. W jej pierwszych raportach bardzo dużo było o „zacieśnianiu się znajomości wokół obiektu zainteresowań”. Że nie chce go zrazić. Wiele razy powtarzała się uwaga: „O więcej nie pytam, ażeby nie wzbudzić podejrzeń i nie spłoszyć”.

Ewa była wytrawną, sprawdzoną TW. Wcześniej mieszkała na Wybrzeżu, prawdopodobnie rozpracowywała tam m.in. Leonida Teligę (jak dotąd, dostęp do jej teczki ma tylko jej syn). W Warszawie UB załatwił jej etat w dziekanacie Uniwersytetu, aby mogła rozpracowywać środowisko studenckie i naukowe. Przychodziło jej to łatwo; była miła, komunikatywna, potrafiła dużo wypić i nawet gdy się jej plątał język, wiedziała, co mówi.

Pomysł osaczenia Jasienicy był istic szatański: Agentka ma chodzić na wszystkie spotkania autorskie, siadać w pierwszym rzędzie i zwracać na siebie uwagę prelegenta nie tylko atrakcyjnym wyglądem, ale i inteligentnymi pytaniami, świadczącymi o znajomości tematu. Nad zestawem pytań pracowali historycy, pozostający na usługach MSW. Jasienica musiał się złapać na ten haczyk.

???

Oficjalną wersję, jak doszło do bliższego poznania pisarza, Zofia Beynar przedstawiła w 1991 roku w wywiadzie Marty Miklaszewskiej dla tygodnika „Kobieta i Życie”. Dziennikarka - żona mecenasa Jana Olszewskiego, przyjaciela Pawła Jasienicy, znała Nenę z towarzyskich spotkań. Nie miała pojęcia, że również na nią pisze raporty dla bezpieczeństwa.

- Paweł Jasienica - zwierza się w wywiadzie Zofia Beynar - miał prelekcję w Klubie Księgarza na rynku Starego Miasta. Pamiętam dobrze datę - 19 maja 1966 roku. Szukałam materiałów do książki o najbardziej głośnym XVII-wiecznym romansie - chodziło mi o amory Halszki Ostrogskiej. Nie przypuszczałam wtedy, że to spotkanie stanie się początkiem największego romansu w moim życiu. Po wieczorze autorskim podeszłam do niego na ulicy, uśmiechnęłam się, powiedziałam dzień dobry, nazywam się tak i tak, ja w sprawie romansu. Czy był zdziwiony? On nigdy niczemu się nie dziwił.

Z wycinków prasowych zachowanych w bibliotece Domu Literatury wiadomo, że tego wieczoru Jasienica wyjaśniał, dlaczego piastowski król Bolesław nazywał

198

się Wstydlivy. - Słuchacze reagowali żywo - pisze dziennikarz „Życia Warszawy”, ukrywający się pod inicjałami agp. Może miał na myśli tę elegancką młodą kobietę w pierwszym rzędzie, która zasypała Jasienicę pytaniami. Sporo wiedziała. Na przykład, że Bolesław Wstydlivy pojął za żonę Kingę - córkę węgierskiego monarchy Beli IV z możnego rodu Arpadów, gdy miał trzynaście lat. A oblubienica cztery.

- Podobno zapalali do siebie płomienną miłością - mówiła z wielce obiecującym uśmiechem wielbicielka piarstwa Jasienicy. - Czyż nie mamy do czynienia z nad- M dunajską wersją Tristana i Izoldy?

- Porzućmy - odpowiedział na to autor Polski Piastów - romantyczną opowieść o miłości po grób. Dla Bolesława małżeństwo z Kingą było szansą wywyższenia się ponad ciżbę walczących ze sobą piastowskich książątek i przywrócenia blasku księstwu krakowskiemu.

- Owszem - na to atrakcyjna pani z pierwszego rzędu - ale i dla Beli IV małżeństwo córki było ważne strategicznie. Spadkiem po Piastach interesowali się zarówno Węgrzy, jak i Czesi.

Jasienicy musi być bardzo przyjemnie, bo w wypowiedzi słuchaczki znajduje cytaty z Polski Piastów. Autorski wieczór przekształca się w dyskusję z jedną osobą, siedzącą naprzeciw. Ta pani chce wiedzieć, czy hagiografowie Kingi mieli rację, twierdząc, że księżniczka od początku wyznaczyła sobie jeden cel: chciała zostać świętą. Od dnia ślubu co roku, przez ponad 50 lat, ponawia prośby do małżonka, aby uszanował jej dziewictwo.

- Dlaczego Bolesław nie użył siły w skonsumowaniu małżeństwa? - pyta długonoga, najbardziej elokwentna uczestniczka wieczoru autorskiego. A może Kinga, za którą stała potęgą Węgier i 40 000 grzywien złota posagu po prostu onieśmiała księcia? Jasienica traci głowę.

- Zaprosiłam go na kawę - opowiada Zofia Beynar red. Miklaszewskiej z „Kobiety i Życia”. - Powiedział, że wpadnie na pół godziny i ...został na całe życie.

Tego pierwszego wieczoru mogło być tak: on chce wiedzieć o niej jak najwięcej. Ona jest na to przygotowana. W każdym szczególe. Na palcu nosi sygnet, twierdzi, że rodowy. Pokazuje zdjęcia kobiety w wieczorowej sukni i mężczyzny we fraku w pałacowej sali lustrzanej - to moi rodzice, wyjaśnia, na raucie u Mościckiego. Ojciec, kresowy ziemianin, popełnił mezalians, żeniąc się z kasjerką. Biedną jak mysz kościelna, ale bardzo ładną.

Gość spieszy z komplementem o genetycznej sukcesji urody. Ona śmieje się, dorzuca uwagę, że brak talentu do pomnażania majątku, a wręcz pozbywanie się go, jest przypadłością klanu Darowskich. Czy słyszał o Marcelinie Darowskiej? Tak, tej z Jazłowca, założycielce zakonu Niepokalanek.

- Była moją ciotką.

199

Paweł Jasienica rewanżuje się swoją rodzinną historią. Też, co za zbieg okoliczności, z rubieży.

Oto z Ekaterynburga, dzisiejszego Swierdłowska, jego rodzice stopniowo przesiedlali się, jako bieżący, coraz bardziej na zachód. Na tej drodze najpierw było Maksatische w guberni Kwerskiej. Tam zastała ich rewolucja, zwana u nas październikową. Z burzliwego okresu został mu w oczach, jako dziecku przecież, powidok rodziców, gdy pochyleni nad jakimś papierem, czy gazetą, dyskutują zawzięcie.

- Zahaczyły mi o pamięć ich słowa, dotyczące tajemniczych spraw: zamrznięta rzeka, czyżś kalosz porzucony na lodzie... Łatwo mi dziś rozszyfrować owe urywki wspomnień. Był to po prostu sam początek 1917 roku. Moi rodzice roztrząsali świeżo przyniesioną wiadomość o gwałtownej śmierci Grzegorza Rasputina.

Opuszczają spokojne jeszcze miasteczko, ciągnie ich, polskich bieżących, w kierunku Polski. Zatrzymują się w Taraszczy na Ukrainie. - Pobiegłem na rogatki miasta - pisarz opowiada Nenie - pogapić się na pobite oddziały Denikina, cofające się na południe. Deptały im po piętach obdarte oddziały Armii Czerwonej. Na murach pojawiły się bolszewickie afisze. Ze zgrozą oglądaliśmy plakaty, na których widniały kolumny ludzi rozstrzelanych bez sądu, poradkiem krasnowo terrora.

Ale nie mówią przecież tylko o powstaniach, rewolucjach. Niedawno owdowiały Jasienica wreszcie dostrzega weselsze strony życia; jego atrakcyjna znajoma lubi wypić, pośmiać się. Opowiada jej pyszną anegdotę z lat studenckich, jeszcze z Wilna, o znanym w mieście hm... pensjonacie - tak go nazywa - Cioci Rózi przy Rajskim Zaułku. Właścicielka, posadzona na ławie oskarżonych pod zarzutem ciągnięcia zysków z nierządu, miała podobno przerwać prokuratorowi słowami: „Wysoki Sądzie! Jaki nierząd? Co nierząd? A pan wojewoda to rząd, czy nierząd? A pan starosta to rząd, czy nierząd”.

Klientami Cioci Rózi bywali również przybrani w dekle [czapki - H.K.] polityczni stróże cnoty. Miarodajną dla nich gazetą był endecki „Dziennik Wileński”, mieszczący się w rokokowej oficynie przy ulicy Mostowej. W drugiej, również stanowiącej własność redaktora, miała kwatery konkurentka Cioci Rózi. Zdarzało się, że jej klienci przez omyłkę pukali do drzwi redakcji. - Niech będzie pochwalony... Czy tu dom publiczny? - Na wieki... Nie, naprzeciwnie. - Zostańcie z Bogiem. - Idźcie z Bogiem.

???

Młodsza od Jasienicy o 15 lat Nena ma też w swym życiorysie patriotyczny rozdział. Walczyła w Powstaniu Warszawskim, była w AK (płk. Jan Rzepecki, przyjaciel pisarza z czasów wojny sprawdził zasłyszane nazwisko w archiwum Armii Krajowej - mówiła prawdę). Po powstaniu wywieziono ją do obozu w Rzeszy, gdzie poznała Irlandczyka, nazywał się O'Bretnny. Pobrali się, po wyzwoleniu wrócili do Polski, z tego związku jest syn Marek, następnie się rozwiedli, jak opowiadała Nena, z hukiem. Pisarz nie chce już mieć przed tą wpatrzoną w niego kobietą żadnych tajemnic.

200

Tajne. TW Ewa 3 maja 1966 roku. „W ciągu ostatnich dni widziałam się parokrotnie z Jasienicą. Rozmowy miały charakter dość osobisty: zwierzenia, w których opowiadał mi o własnych przeżyciach z okresu okupacji, czasów partyzantki u Łu-paszki, następnie dość szczegółowo opisywał swój pobyt w areszcie na Mokotowie, przesłuchiwanie przez Różańskiego i tym podobne historie”.

Jasienica zrzuca przed rozumiejącą go w pół słowa przyjaciółką kamień z serca, który od dawna mu ciąży: Musi cofnąć się do roku 1944, gdy na okupowaną przez Niemców Wileńszczyznę wkroczyła armia polsko-radziecka. On, jako Leon Lech Ber-ner, służy w sztabie AK. Ma pseudonim Nowina. Gdy do Wilna wchodzi Armia Czerwona, ucieka do puszczy. Postanawia dołączyć do ukrywającego się tam Zygmunta Szendzielarza ps. Łupaszko, dowódcy V Brygady Wileńskiej AK. W tej brygadzie są jego ziomkowie, wilniuchy, którym po wcieleniu Wilna do ZSRR, odebrano ojczyznę. W połowie listopada 1944 dochodzi do wsypy, trzeba uciekać. Wkrótce są po polskiej stronie linii Curzona. W pobliskim Bielsku Podlaskim stacjonuje prawie 900 enkawudzystów. Niektórzy są w zażyłej komitywie z tubylcami. Właśnie na skutek donosu

mieszkańców Narewki, Rosjanie rozstrzelali w Siemianówce grupkę polskich dezertersów z wojska. W tej białoruskiej wsi, bazie wypadowej NKWD, są osoby na stanowiskach, które wystąpiły do władz radzieckich o przyłączenie ich terenu do ZSRR. Łupaszka zna nazwiska zdrajców Polski od oficera zatrudnionego w konsulacie radzieckim w Białymstoku.

- Śmierć - zdecydowali przełożeni Łupaszki. W kwietniu 1945 roku brygada wileńska na rozkaz komendanta obwodu zabija w Narewce czterech konfidentów wskazanych przez miejscową organizację AK - AKO.

- Nie ja dowodziłem tą akcją w Boćkach i w Siemiatyczach. Nie spaliłem żadnej wioski białoruskiej, czy innej - zwierza się Nenie Jasienica.

Przy zabitych Białorusinach - PPR-owcach: wójcie, nauczycielu Aleksandrze Woł-kowyckim, gajowym i sekretarzu gminnym partyzanci Łupaszki zostawiają kartkę: „Rozstrzelani za zdradę ojczyzny”.

Szpica kolumny prowadzona przez Nowinę wchodzi 8 sierpnia 1945 roku do puszczańskiej wsi. Z zabudowań sypie się grad pocisków. Nowina strzela stojąc. W pewnej chwili kula przebija mu udo. Druga przechodzi przez pelerynkę, przecinając na piersiach rzemyk od pistoletu. Upada. Spod ciągłego ognia wyciągnęła go sanitariuszka. Rannego przerzucono za Bug, do miejscowości Jasienica, na probostwo księdza Stanisława Fałkowskiego. Gdy pewnej nocy partyzanci napadli na posterunek milicji i księdzu groziły rewizje, Beynar postanowił wyjechać do Krakowa. Zamierzał pisać w „Tygodniku Powszechnym” pod pseudonimem przybranym od nazwy miejscowości, gdzie uratowano mu życie.

- Drugiego lipca około godziny 21.00 - Jasienica tłumaczy bliskiej mu kobiecie, która uważnie słucha jego zwierzeń - poszedłem do mieszkania siostry Wiktora, mojej koleżanki uniwersyteckiej i tu wpadłem w kocioł, założony przez UB. Tę noc już

201

spędziłem w areszcie. Dwa miesiące później wezwai mnie z celi dyrektor Departamentu Politycznego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i oznajmił: „Wyjdzie pan na wolność, zobaczymy, czy to się ojczyźnie opłaci”.

Dopiero po opuszczeniu aresztu dowiedział się, że o wypuszczenie z aresztu zabiegał Bolesław Piasecki, przywódca wspierającego rząd PRL katolickiego stowarzyszenia PAX. - Doceniał moje związki z hierarchią kościelną i liczył na organizacyjną współpracę - tłumaczy Jasienica Nenie, która w tamtych czasach była dzieckiem. - Nie mogłem okazać się niewdzięczny, przecież uratował mi głowę. Do połowy 1956 roku pisywałem do PAX-owskiego tygodnika „Dziś i Jutro”. Tuż przed październikiem uznałem, że spłaciłem swój moralny dług.

???

Zadanie oficera prowadzącego TW Ewę 19.02.1968 r.: „W dalszym ciągu obserwować, kto odwiedza P. Jasienicę. Jakie tematy są poruszane w czasie rozmów. Czy i jakie plany działania przewiduje się na najbliższy okres. Wykorzystując fakt odwiedzania Jasienicy przez J. Olszewskiego i M. Miklaszewską, dążyć do ich bliższego poznania, zaprzyjaźnienia się z Miklaszewską”.

To, co zdarzyło się w marcu 1968 roku, narastało przez kilka miesięcy. Po zerwaniu przez Polskę stosunków z Izraelem, Gomułka mówi o działającej w kraju „izraelskiej piątej kolumnie”. Zaczyna się „czyszczenie etniczne” inteligencji. W wydawnictwach umowy na nowe książki Słonimskiego, Brandysa, Dygata są odłożone - do wyjaśnienia - na górną półkę. Dziwne telefony odbiera Holoubek. Anonimowy głos radzi mu odliczać na palcach dni, dzielące go od nagłej śmierci. Ponieważ aktor chodzi na próby „Dziadów” do Teatru Narodowego, do domu odprowadzają go studenci PWST. Słonimskiemu podobną obstawę organizuje student historii Adam Michnik.

Premiera „Dziadów” Adama Mickiewicza w Teatrze Narodowym odbyła się 25 listopada. Po czterech dniach reżyser Kazimierz Dejmek jest wezwany do Ministerstwa Kultury, gdzie otrzymuje na piśmie polecenie, by to przedstawienie grać tylko raz w tygodniu, młodzieży szkolnej nie sprzedawać więcej, aniżeli w sumie 100 biletów i to wyłącznie po cenach normalnych. Wieść o

absurdalnych ograniczeniach rozchodzi się pocztą pantoflową - coraz więcej ludzi chce zobaczyć ten inkryminowany dramat. Tuż po Nowym Roku Wydział Kultury KC zawiadamia Dejmka, że sztuka ma spaść z afisza 30 stycznia.

Ostatnie przedstawienie. Rozgorączkowany tłum tarasuje schody, hall. Młodzież siada na schodach, balustradach balkonów, a niektórzy nawet przykucnęli na krawędzi sceny. Ostatni dzwonek, gasną światła. Aktorzy grają w zupełnej ciszy, ale wydaje się, że powietrze drga od ukrywanego napięcia widzów. Taki splot emocji musi się w pewnej chwili rozerwać. W akcie trzecim, gdy Mistrz Ceremonii mówi: „Kto długo był w więzieniu,/ widział, słyszał wiele/ - a rząd ma swe widoki, ma

202

głębokie cele, /które musi ukrywać...", okrzyki: „Racja!" spadają na scenę z zapełnionych młodzieżą balkonów. Po chwili, gdy Dama, przechylona w stronę pier- ^ szych rzędów, pyta: „Czemu to o tym pisać nie chcecie panowie!?” - reaguje już cała widownia. Drżą od oklasków kryształowe żyrandole. Okrzyki: „Dobrze mówi! towarzyszą kwestii - „Cóż my tu pocznem,/ patrzcie przyjaciele,/ Otóż, to jacy stoją na narodu czele". A potem - po słowach Oficera rosyjskiego: - „Nie dziw, że nas tu przeklinają/ Wszak to już mija wiek/ Jak z Moskwy w Polskę nasyłają/ Samych łajdaków stek" - oklaski i głośnie, szydercze śmiechy.

Sekretarz Gomułki Zenon Kliszko już tego nie widzi, bo ostentacyjnie wyszedł po II akcie. I tylko od swych zauszników dowiaduje się, że na ostatnim przedsta- : \* wieniu Gustaw Holoubek - Konrad - na życzenie reżysera nie wygłosił już wiersza „Do przyjaciół Moskali": „Gorycz wyszana ze krwi i z łez mej ojczyzny,/ Niech zrze ^ i pali,/ nie was, lecz wasze okowy".

Aktor po prostu stanął niemo na środku sceny. A ręce ma skute kajdanami. Gdy kurtyna opadła, przez kilka sekund trwa martwa cisza, a potem w to purpurowe suk- pą no uderza ogromna fala braw, krzyków, szlochania, gwizdów. Od balkonów po par- JJŻJ ter ludzie skandują: „Niepodległość bez cenzury!". Tej nocy śródmieście Warszawy nie śpi. Prosto z teatru tłum ze studentami na czele idzie na Krakowskie Przedmieście, pod pomnik Mickiewicza. Nad głowami ludzi chyboczą transparenty: „Żądamy więcej przedstawień Dziadów".

Przyczajone w bramach kamienic policyjne suki rozwożą prowodyrów do komisariatów.

Co myśli o tym wszystkim władza, przekazują służbowe gazety. Władysław Ma-chejek, redaktor naczelny „Życia Literackiego", pisze: „Okłaskująca spektakl klaka opozycjonistów i frakcjonistów miała charakter antyradziecki i prosyjonistyczny. Syjoniści to byli dzierzymordy, wyobcowani z narodu, czapkujący do obrzydzenia, chełpili się tym, że rządzą wbrew narodowi". Na popołudnie 29 lutego, w warszawskim oddziale Związku Literatów zapowiedziane jest nadzwyczajne zebranie. Jasienica jedzie rano na Cmentarz Powązkowski, aby w samotności rozmyślać o tym, co może się zdarzyć wieczorem. Postanawia, że złoży wniosek o tajne głosowanie nad rezolucją, potępiającą restrykcje władz wobec studentów.

- Zobaczyłem go pod ścianą - wspomina zebranie u literatów Marian Brandys w książce Jasienica i inni. - „Stał w uroczystym, czarnym garniturze i czarnym krawacie. Szykował się do wystąpienia i wyraźnie widać było, że jest zdenerwowany. Co chwila ocierał pot z czoła dużą, białą chustką".

Jasienica był przede wszystkim zdeterminowany. Przeczytał na głos antysemityczny wierszyk, rozrzucany przez prowokatorów w formie ulotki na terenie uniwersytetu. Trzasnął kartką o mównicę. - Dzisiaj, jakkolwiek akcent antysemityzmu, tego rodzaju wystąpienia, czy coś, co może być o to podejrzane, jest wiązaniem sobie kamienia młyńskiego na szyi, niczym więcej. Bo wystarczy rozejrzeć się po świecie,

203

żeby się zorientować, że odbywa się wielki proces zdejmowanie odpowiedzialności za zbrodnie hitlerowskie i przerzucania na nas. Hańba!

Kilka osób na sali odkrzyknęło: - Hańba! Zerwał się z krzesła Putrament, woła. jąc, że to

provokacja. Jasienica: - Tak, provokacja, ale czyja!?. Na co Putrament-- Widzę mnóstwo brudnych rąk. I wtedy Kisielewski wygłosił słynne potem zdanie o dyktaturze ciemniaków...

Tydzień później, 8 marca, na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego nacierają na studentów uzbrojeni w pałki ORMO-owcy i partyjni aktywiści z fabryk. Aresztowania, relegowanie z uczelni, natychmiastowe powołania do wojska.

Kilka dni później dziennik telewizyjny pokazuje masówki w zakładach pracy. W FSO robotnicy skandują: „Studenci do nauki, literaci do pióra”, w Hucie Warszawa: „Mosiek - agresor”. Spiker czyta listę oburzonych załóg; wygląda to tak, jakby miał przed sobą książkę telefoniczną firm. W „Kurierze Polskim” jego czołowy publicysta Ryszard Gontarz ogłasza, że na zjeździe literatów doszło do „skandalicznych ataków na władzę ludową. Szczególną aktywność wykazywali: Paweł Jasienica, Andrzej Kijowski, Antoni Słonimski, Stefan Kisielewski, Jerzy Andrzejewski, Leszek Kołakowski (...). Zwłaszcza Paweł Jasienica, pochwalając działanie wichrzycielskich elementów na uniwersytecie, nawoływał do rozszerzenia awantur”.

Mimo surowych restrykcji, studenci reagują na takie publikacje, demonstracyjnie paląc na ulicach dopiero co kupione egzemplarze gazet i skandując: „Prasa kłamie!”. Ale partia dopiero czai się do skoku „na rozrabiaczy”. Kilka dni później znów odzywa się Gontarz. Píše o Jasienicy, jako o zaciekle wrogu Polski Ludowej, który w sierpniu 1944 roku zdezerterował z Wojska Polskiego i wstąpił do grasującej na Białostocczyźnie bandy zbrojnej, dowodzonej przez Zygmunta Szendzielarza ps. Łupaszko. Zagrzewał bandytów „Łupaszki” do mordowania białostockich chłopów, palenia wsi, grabieży. Nie unikał „mokrej” roboty, m.in. we wsi Narewka.

Tym artykułem dwa dni później wymachuje z wściekłością Edward Gierek na wiecu partyjnym w katowickim Spodku. I sekretarz KW PZPR krzyczy: - Owi Zambrowscy, Staszewscy, Słonimscy i spółka w rodzaju Kisielewskiego, Jasienicy i innych, to pogrobowcy starego ustroju, rewizjoniści, syjonisci - sługusy imperializmu (...). Śląska woda nie była i nigdy nie będzie wodą na ich młyn”.

Paweł Jasienica ogląda w telewizji rozkręcającą się spiralę pomówień. Jest przerażony. A przecież najgorsze dopiero ma nadejść.

Dziewiętnastego marca do Sali Kongresowej PKiN zwieziono 3 tysiące partyjnych aktywistów. Bojówki wchodzi na widownię z transparentami: „Precz z agenturą imperializmu - reakcyjnym syjonizmem!”. Na znak niewidzialnego dyrygenta hasła to podnoszą się, to opadają - w zależności od słów przemawiającego Gomułki. I sekretarz już w drugim zdaniu atakuje Jasienicę, „ujawniając”, że naprawdę nazywa się on Leon Beynar. Następnie powtarza to wszystko, co już napisał Gontarz. Od siebie dodaje, że w śledztwie prowadzonym w 1948 roku, Jasienica przyznał się do

204

zbrodni. Kary uniknął „z powodów, które są mu znane”. Tym sformułowaniem, a także odpowiednią mimiką, owym „ujawnieniem” prawdziwych danych osobowych (a przecież od dawna widniały w leksykonie pisarzy), sugeruje, że Jasienica wydał w śledztwie ludzi Łupaszki i w nagrodę za to uniknął losu swego zwierzchnika, czy-| kary śmierci.

Brutalne pomówienia powtarzają gazety, prześcigając się w nadgorliwości przyklaskiwania pierwszemu sekretarzowi.

Na swój rachunek intensywnie pracuje w tragicznym 1968 roku agentka Ewa. We wspomnianym wywiadzie dla „Kobiety i Życia” (1991 rok), notabene jedynym, jakiego udzieliła w swym życiu, opowiada, że wówczas była recepcjonistką w stołecznym „Grand Hotelu”: - Ktoś z gości powiedział mi, że przyjeżdżają do Warszawy autobusy ze wzburzonymi mieszkańcami białostockiego. Mają oni likwidować fizycznie tych, którzy pod koniec wojny napadali na miejscową ludność. Zadzwoiłam do brata, aby przywiózł Pawła Jasienicę do mojego mieszkania (...). Wieczorami wychodziłam na Poczta Główną i wysyłałam osobom prywatnym i instytucjom napisany przez niego „Fragment życiorysu” - prawdziwą wersję wydarzeń sprzed 23 lat.

Zteczki IPN wiadomo, że owo „likwidowanie fizyczne” Nena wymyśliła, aby ściągnąć zdesperowanego pisarza do siebie.

Tajne. Źródło TW Ewa. 18 marca 1968 roku. „Od 15 bm. mieszka u mnie Paweł Jasienica. Nie wychodzi. Zofia Bartoszevska powiedziała mi o wiadomości, która przyszła z PIW-u - wycofuje się z bibliotek publicznych na prowincji książki pisarzy niebezpiecznych, jak Andrzejewski, Jasienica, Kijowski, Kisielewski. Niestety, powoduje to często wręcz odwrotny skutek, a mianowicie umacnia ich popularność”.

Głęboki stres po oszczerstwach Gomułki Jasienica przyplaca chorobą. Unieruchomionego w łóżku odwiedzają przyjaciele.

Tajne. Źródło TW Ewa. 25 kwietnia 1968 roku. „Byli u mnie wieczorem Jan Olszewski, Marta Miklaszewska i Jan Konopka. Nastrój przygnębiający, bo Olszewski i Konopka zostali zawieszeni w swych czynnościach adwokackich. Olszewski, widząc się ostatnio w więzieniu na Mokotowie z J. Szpotańskim przyniósł stamtąd - nie na piśmie, tylko w głowie - tekst nowej ballady o krwawym Bednarze. Zaczyna się tak: ...M. Miklaszewska zapowiedziała, że od maja urzędza w każdą drugą sobotę spotkania towarzyskie”.

Tajne. TW Ewa. 28 kwietnia 1968 roku. „P. Jasienica zatelefonował ode mnie z domu do Stefana Kisielewskiego, zapraszając go do siebie na wtorek 29.04. na godzinę 18.00 po odbióry książek i małą wódkę. Postaram się w miarę możliwości dokładnie przytoczyć wypowiedzi Kisielewskiego”.  
???

- Partia ma długie ręce - pogroził Gomułka w Pałacu Kultury i Nauki. Z Uniwersytetu Warszawskiego odchodzi z wilczym biletem sześciu profesorów, m.in. Leszek

205

<<  
:\*

t.  
;•

żeby się zorientować, że odbywa się wielki proces zdejmowanie odpowiedzialności za zbrodnie hitlerowskie i przierzucania na nas. Hańba!

Kilka osób na sali odchrząknęło: - Hańba! Zerwał się z krzesła Putrament, wołając, że to prowokacja. Jasienica: - Tak, prowokacja, ale czyja!?. Na co Putrament: - Widzę mnóstwo brudnych rąk. I wtedy Kisielewski wygłosił słynne potem zdanie o dyktaturze ciemniaków...

Tydzień później, 8 marca, na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego nacierają na studentów uzbrojeni w pałki ORMO-owcy i partyjni aktywiści z fabryk. Aresztowania, relegowanie z uczelni, natychmiastowe powołania do wojska.

Kilka dni później dziennik telewizyjny pokazuje masówki w zakładach pracy. W FSO robotnicy skandują: „Studenci do nauki, literaci do pióra”, w Hucie Warszawa: „Mosiek - agresor”. Spiker czyta listę oburzonych załóg; wygląda to tak, jakby miał przed sobą książkę telefoniczną firm. W „Kurierze Polskim” jego czołowy publicysta Ryszard Gontarz ogłasza, że na zjeździe literatów doszło do „skandalicznych ataków na władzę ludową. Szczególną aktywność wykazywali: Paweł Jasienica, Andrzej Kijowski, Antoni Słonimski, Stefan Kisielewski, Jerzy Andrzejewski, Leszek Kołakowski (...). Zwłaszcza Paweł Jasienica, pochwalając działanie wichrzycielskich elementów na uniwersytecie, nawoływał do rozszerzenia awantur”.

Mimo surowych restrykcji, studenci reagują na takie publikacje, demonstracyjnie paląc na ulicach dopiero co kupione egzemplarze gazet i skandując: „Prasa kłamie!”. Ale partia dopiero czai się do skoku „na rozrabiaczy”. Kilka dni później znów odzywa się Gontarz. Píše o Jasienicy, jako o zaciekle wrogu Polski Ludowej, który w sierpniu 1944 roku zdezerterował z Wojska Polskiego i wstąpił do grasującej na Białostocczyźnie bandy zbrojnej, dowodzonej przez Zygmunta

Szendzielarza ps. Łupaszko. Zagrzewał bandytów „Łupaszki” do mordowania białostockich chłopów, palenia wsi, grabieży. Nie unikał „mokrej” roboty, m.in. we wsi Narewka.

Tym artykułem dwa dni później wymachuje z wściekłością Edward Gierek na wiecu partyjnym w katowickim Spodku. I sekretarz KW PZPR krzyczy: - Owi Zambrowscy, Staszewscy, Słonimscy i spółka w rodzaju Kisielewskiego, Jasienicy i innych, to pogrobowcy starego ustroju, rewizjoniści, syjoniści - sługusy imperializmu (...). Śląska woda nie była i nigdy nie będzie wodą na ich młyn”.

Paweł Jasienica ogląda w telewizji rozkręcającą się spiralę pomówień. Jest przerażony. A przecież najgorsze dopiero ma nadejść.

Dziewiętnastego marca do Sali Kongresowej PKiN zwieziono 3 tysiące partyjnych aktywistów. Bojówki wchodzą na widownię z transparentami: „Precz z agenturą imperializmu - reakcyjnym syjonizmem!”. Na znak niewidzialnego dyrygenta hasła to podnoszą się, to opadają - w zależności od słów przemawiającego Gomułki. I sekretarz już w drugim zdaniu atakuje Jasienicę, „ujawniając”, że naprawdę nazywa się on Leon Beynar. Następnie powtarza to wszystko, co już napisał Gontarz. Od siebie dodaje, że w śledztwie prowadzonym w 1948 roku, Jasienica przyznał się do

204

zbrodni. Kary uniknął „z powodów, które są mu znane”. Tym sformułowaniem, a także odpowiednią mimiką, owym „ujawnieniem” prawdziwych danych osobowych (a przecież od dawna widniały w leksykonie pisarzy), sugeruje, że Jasienica wydał w śledztwie ludzi Łupaszki i w nagrodę za to uniknął losu swego zwierzchnika, czyli kary śmierci.

Brutalne pomówienia powtarzają gazety, prześcigając się w nadgorliwości przyklaskiwania pierwszemu sekretarzowi.

Na swój rachunek intensywnie pracuje w tragicznym 1968 roku agentka Ewa. We wspomnianym wywiadzie dla „Kobiety i Życia” (1991 rok), notabene jedynym, jakiego udzieliła w swym życiu, opowiada, że wówczas była recepcjonistką w stołecznym „Grand Hotelu”: - Ktoś z gości powiedział mi, że przyjeżdżają do Warszawy autobusy ze wzburzonymi mieszkańcami białostockiego. Mają oni likwidować fizycznie tych, którzy pod koniec wojny napadali na miejscową ludność. Zadzwońłam do brata, aby przywiózł Pawła Jasienicę do mojego mieszkania (...). Wieczorami wychodziłam na Poczta Główną i wysyłałam osobom prywatnym i instytucjom napisany przez niego „Fragment życiorysu” - prawdziwą wersję wydarzeń sprzed 23 lat.

Zteczki IPN wiadomo, że owo „likwidowanie fizyczne” Nena wymyśliła, aby ściągnąć zdesperowanego pisarza do siebie.

Tajne. Źródło TW Ewa. 18 marca 1968 roku. „Od 15 bm. mieszka u mnie Paweł Jasienica. Nie wychodzi. Zofia Bartoszevska powiedziała mi o wiadomości, która przyszła z PIW-u - wycofuje się z bibliotek publicznych na prowincji książki pisarzy niebezpiecznych, jak Andrzejewski, Jasienica, Kijowski, Kisielewski. Niestety, powoduje to często wręcz odwrotny skutek, a mianowicie umacnia ich popularność”.

Głęboki stres po oszczerstwach Gomułki Jasienica przyplaca chorobą. Unieruchomionego w łóżku odwiedzają przyjaciele.

Tajne. Źródło TW Ewa. 25 kwietnia 1968 roku. „Byli u mnie wieczorem Jan Olszewski, Marta Miklaszewska i Jan Konopka. Nastrój przygnębiający, bo Olszewski i Konopka zostali zawieszni w swych czynnościach adwokackich. Olszewski, widząc się ostatnio w więzieniu na Mokotowie z J. Szpotańskim przyniósł stamtąd - nie na piśmie, tylko w głowie - tekst nowej ballady o krwawym Bednarze. Zaczyna się tak: ...M. Miklaszewska zapowiedziała, że od maja urządzi w każdą drugą sobotę spotkania towarzyskie”.

Tajne. TW Ewa. 28 kwietnia 1968 roku. „P.Jasienica zatelefonował ode mnie z domu do Stefana Kisielewskiego, zapraszając go do siebie na wtorek 29.04. na godzinę 18.00 po odbiór książek i małą wódkę. Postaram się w miarę możliwości dokładnie przytoczyć wypowiedzi Kisielewskiego”.  
???



- Partia ma długie ręce - pogroził Gomułka w Pałacu Kultury i Nauki. Z Uniwersytetu Warszawskiego odchodzi z wilczym biletem sześciu profesorów, m.in. Leszek

205

Kołąkowski. Kilka dni później Tadeusz Konwicki traci posadę kierownika literackiego w Stowarzyszeniu Filmowców. Wymówienie z zespołu „Kadr” przyniesiono mu do domu o wpół do dwunastej w nocy. Na drzwiach jego mieszkania ktoś maże smołą słowo „huj”. Wielu naukowców i ludzi kultury pochodzenia żydowskiego decyduje się emigrować. Opuszczają kraj z tymczasowym dowodem tożsamości ważnym w jedną stronę. Pożegnania z przyjaciółmi odbywają się zazwyczaj na Dworcu Gdańskim. Słonimski rzuca w obieg kolejne skrzydlate zdanie - „Trzeba będzie na Gdańskim wywiesić szyldzik: Ostatni gasi światło”.

Tajne wytyczne KC PZPR roku mówią wprost o „demaskowaniu i izolacji wrogich, opozycyjnych polityków w środowisku literackim”. Lista twórców na indeksie wydłuża się.

Tajne. Źródło TW Ewa. 1 czerwca 1968. „W piątek 30 maja dowiedziałam się od P. Jasienicy, że był u niego z wizytą płk. Jan Rzepecki i zreferował następującą sprawę: w ostatnich dniach na granicy czesko-enerdowskiej zatrzymano samochód, którym wracała do kraju para młodych Polaków przebywających na stypendium w Paryżu. W samochodzie znaleziono większą ilość wydawnictw »Kultury« oraz bibułę przedwyborczą wraz z imiennym wykazem, do kogo ma być dostarczony materiał. Powyższe wiadomości przyniósł Rzepeckiemu jego znajomy i współpracownik z okresu okupacji z komendy Głównej AK, który obecnie od szeregu lat jest pracownikiem Prokuratury (...). Na liście osób, do których miały dotrzeć wydawnictwa »Kultury« jest Jasienica z dodatkowym dopiskiem: »Ostrożnie z podchodzeniem«”.

Aresztowani: Maciej Kozłowski, Jakub Karpiński, Maria Tworkowska oraz Krzysztof Szymborski, należeli do grupy tzw. taterników. Sąd uzna ich winę, wymierzając wyroki od trzech do czterech lat pozbawienia wolności.

- Wyglądało na to - powiedziała mi po latach Ewa Beynar-Czczott - że ojciec też trafi do więzienia. Odbieraliśmy wredne, anonimowe telefony. Tatę najbardziej dręczyło to, że nie mógł publicznie odpowiedzieć na oszczerstwa. Rozesłał do różnych redakcji oświadczenie, ale było to jak wrzucenie w głęboką studnię. Nic nie wypłynęło na wierzch.

Nena wywozi sfrustrowanego Pawła Jasienicę do Kazimierza. Niech odetchnie innym powietrzem. Naprawdę chodzi o to, że w ślad za pisarzem do miasteczka zjeżdża kilku opozycjonistów. Wszyscy chodzą tą samą trasą - wąwozy, kawiarnie, restauracja w Domu Architekta. Jest materiał na donosy. Wystarczy nie tylko dla agentki Ewy.

Doniesienie X (w materiałach IPN nazwisko agenta zamazane): „Kawę wypiliśmy w Domu Architekta, do którego J.P. zgodził się pójść dopiero wówczas, gdy ZO [Zofia O'Bretenny - H.K.] sprawdziła, że nie ma tam żadnych „wrogów”. J.P. nie chce nikogo widzieć (...). Nawiązując do rozmowy o Wańkowiczu, opowiedział o tym, jak Wańkowicz był u Gomułki i w rozmowie z nim wspomniał nazwisko Jasienicy. Gomułka zachnął się i nazwał go obraźliwym rosyjskim określeniem. Potem rozmowa

206

zeszła na temat Szpotańskiego i jego słynnej opery. J.P. recytował jej fragmenty”. ?j Zadania: „Pogłębienie przekazanych informacji w odniesieniu do osoby Z.O”. Przed- ^ sięwzięcie: „Uzyskane informacje przekazać zainteresowanej jednostce operacyjnej”, J^J

Tajne. TW Ewa. 1 października 1968. „Na rynku w Kazimierzu spotkaliśmy 21 września mec. Siłę-Nowickiego (...). Będąc z nami na kawie stwierdził, że towa- ^ rzystwo w Warszawie nie dzieli się teraz na partyjnych i bezpartyjnych, lecz na ludzi potępiających agresję w Czechosłowacji i uważających tę interwencję za słusz- ^ ną. Spytałam, do jakiej grupy on się zalicza. Natychmiast zerknął na zegarek \$>?\* i oświadczył: znam panią tylko pół godziny, to za mało na szczerłość. Przed samym Q wyjazdem do Kazimierza PJ był u Władysława Bartoszewskiego, który dostał 1000 S2\$

dolarów nagrody im. Irzykowskiego od Polonii amerykańskiej. 13 września wyjechał Q on z żoną do Wiednia na miesiąc, będzie mieszkał (tu adres). Spodziewa się spotkać ^ w Wiedniu z ambasadorem Izraela i innymi wpływowymi Żydami (...). Wspomnę j—j jeszcze, że w czasie spotkania we wrześniu PJ z gen. Borutą-Piechowiczem ten ostat- ^ ni oświadczył Jasienicy, że jego zyciorys przesłał do Londynu. Jaką drogą, jeszcze pą nie wiem, ale się dowiem".

Zadania: Uzgodniłem, aby w toku rozmów ze znanymi jej osobami dążyła do rozeznania zamierzeń oraz podejmowanych kroków przez literatów, znanych nam z negatywnego stosunku do naszego ustroju. Przedsięwzięcia: Jeden egzemplarz doniesienia zamierzam przekazać do wydziału IV dep. III MSW do wiadomości i wykorzystania z tego powodu, iż większość osób pozostaje w zainteresowaniu tego wydziału.

UB nadal grzebie w szufladach pisarzy. Adresy wskazują tacy gorliwi donosiciele, jak agentka Ewa.

Tajne. TW Ewa. 17.10.1968 roku. „Byli u mnie Jan Olszewski i Paweł Jasienica. Omawiali stosunki obecne między kościołem a państwem (...). Jasienica był na kolacji u posła Stommy. Stomma ludzi Piaseckiego nazywa pałkarzami, zdolnymi do wszystkiego za odrobinę władzy".  
? ? ?

W donosach TW Ewy od połowy 1969 roku pojawiają się informacje o piętrzeniu się trudności w jej dążeniu do zawarcia ślubu z Jasienicą. Bo najpierw nie zgadza się na to córka pisarza, potem jego matka.

To nie była prawda - prostuje Ewa Beynar-Czeczott - ojciec miał 60 lat, był wdowcem, dlaczego miałybyśmy się wtrącać w jego życie? Zwłaszcza, że wybranka robiła na nas dobre wrażenie. Gdy ją poznałam, a był to rok 1967, pracowałam w Instytucie Techniki Budowanej, po powrocie z budowy zapory wodnej w Solinie. Pewnego dnia tata uprzedził, że do mojego biura przyjdzie, żeby mi się przedstawić, bliska mu kobieta. No i pojawiła się. Przystojna, z tą szczególną zdolnością przystosowania swego zachowania do oczekiwań osoby, której względy chciała pozyskać.

207

1

»»?-\*

Ojciec byi chyba zagubiony po napaści Gomułki na niego, może nie dość go wspieraliśmy. Ja ciągle w biegu, bo praca, małe dziecko... On też nie skłaniał się przed nami do wynurzeń. TW Ewa, pisząc o przeszkodach do małżeństwa, po prostu podbijała jako agentka swoją stawkę u przełożonych. Chciała, żeby uznali, że potrafi pokonać trudności, jest nie do zastąpienia. Co akurat, zważywszy na jej nadgorliwość, było zgodne z prawdą. Na przykład, w październiku 1969 roku jednego dnia napisała aż 3 raporty. Jeden dotyczył dopiero co zjedzonej kolacji u Marty Miklaszewskiej.

Doszło więc do ślubu, w grudniu 1969 roku, z którego безпеaka otrzymała szczegółowy raport. Przede wszystkim spis gości, a były to nazwiska z pierwszej półki, jeśli chodzi o związki z opozycją, m.in. Jerzy Turowicz, Melchior Wańkowicz, Stanisław Stomma, Rzepeccy, Olszewski z Miklaszewską, Jerzy Mikke, Bogdan Cywiński. Ten szczególny donos - łącznie z menu - nie wyszedł spod ręki Ewy, notabene od dnia ślubu przemianowanej w kartotece na „Maxa"; na miodowy okres bezpieczeństwa dała jej tydzień urlopu. Raport napisał KO (kontakt obywatelski) Andrzej.

-Moje drugie małżeństwo było wspaniałe i tragiczne - zwierza się w 1991 roku na łamach „Kobiety i Życia" Nena Beynar. - Paweł po ślubie pokazał mi, gdzie są pieniądze i zapytał: - Czy

nie masz nic przeciwko temu, żebym brał stąd drobne kwoty na gazety, kawę i koniak? W pozostałe domowe zakupy nie będę się wtrącał.

Kazał mi jednak złożyć uroczystą przysięgę: mam ich obu - Pawła i Jerzego Andrzejewskiego, wykupywać z knajpy, gdy zajdzie taka potrzeba. A piło się wtedy dużo. I w ogóle życie towarzyskie kwitło.

???

Były trzy znane stoliki w Warszawie. W stołówce wydawnictwa „Czytelnik” przy ulicy Wiejskiej miał swoje stałe miejsce Gustaw Holoubek. W drugim końcu tej sutereny, przeznaczonej na stołówkę dla pracowników „Czytelnika”, zorganizował konkurencyjny stolik Paweł Jasienica, który swoich fanów, a raczej fanki, rekrutował głównie wśród redaktorek wydawnictwa. Po którejś przerwie wakacyjnej oba stoliki się połączyły.

Był jeszcze stolik w piwnicy PIW-u, przy ulicy Foksal, z urzędującym przy nim Antonim Słonimskim. Zestaw gości ten sam, co na Wiejskiej, tylko u Słonimskiego bardziej politykowano, natomiast w „Czytelniku” niezrównany w opowiadaniu kawałów G. Holoubek i sekundujący mu ze zwodniczo ponurą twarzą T. Konwicki raz po raz wywoływali wśród przysłuchującym się im salwy śmiechu. Opowiadano, że czasem śmiali się nawet udający klientów księgarni tajniacy, którzy z obowiązku pełnili tam dyżury.

TW Ewa nie musiała wcielać się w rolę mola książkowego. Oficjalnie występowała przy boku Jasienicy, jako kochająca żona, wielbicielka jego książek. Możliwe, że w pewnej chwili, co prawda na krótko, odezwało się w niej sumienie. Wskazywałby

208

na to jeden z raportów, w którym jakby osłania męża i jego przyjaciela przed wszech- ^ władną bezpieką, sugerując, że „oni teraz żałują swoich karygodnych czynów”.

Służby specjalne nie wierzyły Ewie do końca, czy aby jako żona, nie przejdzie na stronę męża. Złapały ją na pewnym kłamstwie: P4

Tajne spec. znaczenia. Naczelnik wydziału III Komendy Stołecznej MO 24 grud- ^ nia 1969: „Posiadamy sprawdzoną informację, z której wynika, że pozostająca w waszym zainteresowaniu Nena Darowska-Beynar w styczniu 1969 roku poinformowała ^ Pawła Jasienicę, że w czasie, gdy mieszkał u niej po wydarzeniach marcowych, by- M la czterokrotnie wzywana do MSW, gdzie musiała podpisać zobowiązanie, że dokąd Jasienica będzie przebywał w jej mieszkaniu, nie będzie się kontaktował z korespondentami agencji zagranicznych. Powiedziała też Jasienicy, że podczas którejś Q wizyty w MSW powiadomiono ją, że jeśliby miał zostać aresztowany, to ona zosta- ^ łaby o tym uprzedzona - tak, by zatrzymanie Jasienicy nastąpiło w jego mieszka- h-4 niu (...). Te insynuacje wysuwane przez Darowską pod adresem MSW o prowadzo- ^ nych z nią rzekomo rozmowach nie polegają na prawdzie i mają charakter wyłącznie pą spekulatywny. Można mniemać, że Jasienica podzielił się ze swymi przyjaciółmi in-formacjami uzyskanymi od Darowskiej, gdyż po pewnym czasie w jego otoczeniu różnie to komentowano”.

Wiedziano o tym z nasłuchu telefonicznego. Tego rodzaju kilkuletnia operacja w mieszkaniu Jasienicy nosiła kryptonim „Kołodziej”. Protokół zniszczenia taśm z 1970 roku, po śmierci pisarza, podaje, że w ciągu jednego roku podsłuchano 299 rozmów.

- Nena chyba czuła, że coś się koło niej dzieje - mówi Ewa Beynar-Czeczott. Kiedyś, płacząc, zwierzyła mi się, że ma wrogów, którzy robią jej gębę donosiciela na UB. Nie przywiązywałam wagi do tych słów. Ona łatwo rozczułała się nad sobą, łyż zawsze miała na poczekaniu. O tym, że jest agentką, nikomu w naszej rodzinie nie przyszło do głowy.

Krystyna Goldbergowa, która przez wiele lat zajmowała się w wydawnictwie „Iskry” przygotowaniem do publikacji reportaży, jest zdumiona niewiedzą córki Jasienicy na temat podwójnej roli Neny. O tym, że druga żona Jasienicy jest agentką, Goldbergowa wiedziała od Melchiora Wańkowicza.

Tymczasem pisarz zaszywa się w swym dawnym mieszkaniu, które otrzymał jeszcze w latach 50.

z kwaterunkowej puli ZLP. W kuchni obok krząta się żona. Wie, że aż do popołudniowej drzemki męża nie można mu przeszkadzać. Odpowiada jej to - też potrzebuje spokoju, aby produkować donosy. Stała się wygodna - po ciepłutkie jeszcze raporty oficer prowadzący przychodzi do domu inwigilowanego. Mężowi przedstawiła go jako kolegę ze studiów. Jasienica nie jest podejrzliwy, jego głowę zaprzatają inne myśli. Pisze:

- „Poniedziałek, 5 stycznia 1970 roku. Rozpocząwszy przed dwoma miesiącami siódmy krzyżyk, zasiadłem do pisania mej dwudziestej pierwszej książki -Pamiętnika.

209

O wydaniu go nawet nie marzę. Nie jestem panem mojej szuflady i własnego biur-  
JM

ka (...). Minie wkrótce 24 lat mej pracy literackiej (...). Ileż wysiłku włożyłem w poniżającą czynność wymijania przewidywanych zahaczeń".

Ale czytelnicy, zwłaszcza ci nastawieni antyrządowo, byli zachwyceni. Zyg-munt III Waza, określany przez Jasienicę w Polsce Jagiellonów jako „ideologiczne tępogłowie", „siugadoktryn", kojarzył się ze zmieniającym polityczny kurs Gomułką Najbardziej wyrazistym przykładem biegłości Jasienicy w stosowaniu ezopowego języka są pisane pod koniec życia, a wydane 14 lat później, rozważania o wojnie domowej - esej o kontrrewolucji w Wandei. Rzecz dotyczy doktrynerskich rządów jakobinów i okrucieństwa ich terroru, co doprowadziło do powstania partyzantki chłopskiej. Wedle Jasienicy chłopci z Wandei zbuntowali się, bo nie chcieli słuchać namiestników przysyłanych z Paryża, którzy swoje porządki zaprowadzali kosztem setek tysięcy zamordowanych, utopionych, spalonych i rozstrzelanych.

- Każda wojna domowa - dochodzi do wniosku w pisanym Pamiętniku - ma to do siebie, że z biegiem czasu staje się coraz bardziej okrutna. Historia nie zna wyjątku od tej reguły. Ale przekonanie władzy, że się posiada prawdę absolutną, musi skłaniać do sięgania po środki skrajnie radykalne, rozgrzeszać z ich użycia.

Ta książka jest odpowiedzią Jasienicy na atak Gomułki i zakłamaną kampanię prasową na temat losów polskiego podziemia. I historiozoficznym testamentem.

???

Stres, jaki przeżywał, paczkami palone papierosy, przyspieszyły rozwój choroby nowotworowej płuc. Pisarz zmarł 21 sierpnia 1970 roku. Wdowa w głębokiej żałobie stała nad grobem, obok matki zmarłego i jego córki. Podobnie jak w dniu zaślubin, była zwolniona z pisania donosu. Urząd Bezpieczeństwa wydelegował na Powązki samego dyrektora departamentu III MSW. Jego ludzie zrobili 124 zdjęcia. Choć w prasie nie było żadnej informacji o pogrzebie, w kondukcje szło około tysiąca osób. Bardzo wiele literackich sław. Byli pułkownicy i generałowie AK. Redakcja „Życia Warszawy" odmówiła zamieszczenia nekrologu Pawła Jasienicy od przyjaciół i towarzyszy broni, odrzucono również nekrolog PEN-Clubu. W Miażdze Jerzego Andrzejewskiego jest reporterski opis pogrzebu: „Kondukt długo i bardzo wolno się posuwający, ponieważ trumnę nieśli przyjaciele i towarzysze broni. Ogromne tłumy wzdłuż całej trasy konduktu (...). Po Parandowskim mówił Stanisław Stomma, potem ja". Przemówienie Andrzejewskiego odczytano w Radiu Wolna Europa. Oto jego fragment: „Nie od dzisiaj znamy gorzką prawdę, iż polskie groby bywają niezmiernie ciężkie, bowiem ciężar śmierci, który się na nie kładzie, pomnożony bywa ciężarem życia. Grób, przy którym stoimy, jest dla nas szczególnie dręczący, spocznie w nim człowiek, którego życie ułożyło się według miary własnej, lecz również według kondycji narodu, jego walki, twórczej chwały i niestety, również według jego krzywdy i poniżenia. Gdzież, jeśli nie tu, nad tym grobem, powiedzieć

210

należy, iż za swoje przekonania, za odwagę ich wypowiedzania, Paweł Jasienica zapłacił wysoką cenę. Oskarżony o czyny, których nie popełnił, i przewinienia, których nie dokonał, znieważany i

poniżany, nie miał żadnej możliwości obrony, odjęte mu zostało prawo druku, jego stare książki wycofano z księgarń, nowe nie mogły się ukazać (...) został z początkiem roku 1968 z dnia na dzień zepchnięty na margines życia publicznego, skazany na śmierć cywilną. Z bólem żegnam Cię Pawle. Wiemy, że twoje dzieło pozostanie trwałe i żywe. Ale pozostaje również twoja krzywda, ponieważ nie była i nie jest tylko twoją krzywdą, przerosła ciebie samego, stając się krzywdą najcenniejszych wartości narodowych. Reszta niech pozostanie milczeniem".

Odśpiewano hymn narodowy. Ci, którzy stali blisko rodziny zmarłego, pamiętają, że w tym momencie wdowa załkała.

-Jako wdowie - mówiła Zofia Beynar w 1991 roku - trudno mi było nieść podwójny ciężar: swoją własną samotność i moralną odpowiedzialność za literacką spuściznę po Pawle Jasienicy.

Dziś wiadomo, że w tydzień po śmierci pisarza spotkała się z oficerem bezpieczeństwa i ustalali, jak przeciwdziałać wydostaniu się maszynopisów zaczętych książek na Zachód.

- W pierwszych tygodniach po pogrzebie - opowiada bohaterka wywiadu Miklaszewskiej - była to ciągła ucieczka od śmierci, od wspomnień. Dlatego wyjechałam do Paryża, tam spędziłam 6 lat, opiekowałam się pewnym bogatym właścicielem kilku drukarni we Francji. Był samotny, wiekowy i częściowo sparaliżowany. Lato spędzaliśmy w jego willi w Saint Tropez. Tam umarł.

- Nie ma wprawdzie na to twardych dowodów (dotychczas przepisy ustawy o IPN nie pozwalają osobom postronnym zajrzeć do teczki tajnego współpracownika), ale pisarze, którzy wówczas kontaktowali się z „Kulturą” Giedroycia, są przekonani, że słynna Nena została oddelegowana nad Sekwanę, aby śledziła tam rodaków z politycznej opozycji. Służba u miliardera to mit.

Wiadomo na pewno, że do Polski wraca w 1979 roku. Od swego oficera dostaje kolejne zadanie - wejść w struktury KOR-owskie. Najlepiej przez zbliżenie się do Wojciecha Ziemińskiego. Nie będzie niczego podejrzewał, bo przyjaźni się z Janem Olszewskim, jest to dawny krąg Jasienicy.

I rzeczywiście, długo nie podejrzewał. Ziemiński to dla bezpieki doskonały adres. Może nawet tak dobry, jak przed laty Jasienica. Kilkakrotnie aresztowany, wymyślił Komitet Obrony Robotników. Założył też Ruch Wierności Rzeczypospolitej, aby mógł powstać Pomnik Poległych i Pomordowanych na Wschodzie. Na sekretarza Komitetu Budowy powołał wdowę po człowieku, którego bardzo szanował - Pawle Jasienicy. To Zofii Beynar zwierzał się, opowiadał o swej wizji pokazania miejsc martyrologii: Agentka Ewa-Max, nieutulona w żalu wdowa po wybitnym pisarzu (gdy w 1990 roku pokazano w telewizji film o Jasienicy, wystąpiła w głębokiej żałobie,

211

w doborowym towarzystwie Gieysztora, Turowicza i Stommy), donosiła o wszystkim UB i służby wiedziały, jak uniemożliwić Ziemińskiemu realizację przedsięwzięcia. Jeszcze w roku 1991 aktywnie działała w Komitecie Budowy Pomnika. W końcu Ziemiński zaczął coś podejrzewać i odsunął ją pod jakimś pretekstem. Ale nie był pewien, czy postąpił słusznie.

- Byłam przy jej ostatnich dniach - mówi Ewa Beynar-Czczott. - Nena umierała w hospicjum Ojców Orionistów w Wołominie, w 1997 roku. Wcześniej zachorowała na raka piersi, potem dopadł ją wylew, paraliż, odjęło jej mowę. Jeździłam do niej z moją najstarszą córką. Kiedyś do szpitalnej sali, gdzie leżała Nena, zajął szpitalny kapelan. Wzrokiem, zamykaniem powiek, odwracaniem głowy, dała mi znać, że nie życzy sobie takiej posługi. Pochowaliśmy ją w Alei Zasłużonych na Powązkach. Bo tam spoczywał jej mąż, o co zresztą osobiście zadbała.

W teczce z IPN ostatni donos o Pawle Jasienicy pochodzi z 1972 roku - z wieczoru pamięci o zmarłym. Odnotowano, że miłośnicy jego esejów narzekali, że nigdzie nie można kupić Polski Piastów i Polski Jagiellonów.

Po wygranej procesie córki pisarza z Markiem Obretennym o prawa autorskie te książki zostały wznowione.

U

schyłku mego życia chciałbym, aby mnie w obecnej Polsce, niekomunistycznej, zrehabilitowano. W październiku 1947 r., już po raz trzeci od wejścia Armii Czerwonej, zostałem aresztowany przez

Urząd Bezpieczeństwa. W latach najsroźszego stalinizmu skazano mnie na karę śmierci. To, że żyję, zawdzięczam amnestii 1956 roku" - napisał Andrzej Miłosz Światopełk Colona-Walewski jesienią 1991 roku do sądu warszawskiego. To był długi list. Oto jego fragment:

„W 1948 roku odbyła się rozprawa przed Sądem Apelacyjnym w Kielcach, prowadzona przez krwiożerczego sędziego Górskiego. Oskarżali mnie, że wydałem komunistów, napadałem na Żydów. UB przerobiło mi datę urodzenia tak, abym był starszy, pełnoletni i mógł otrzymać wyższy wyrok. Podczas strasznych tortur wypominano mi, że jestem hrabią i synem przedwojennego prokuratora. Nie wiem, co mi dali do podpisania, tak byłem udręczony nieprzespanymi nocami, wylewaniem na mnie wiader zimnej wody. Skazano mnie na karę śmierci. Dziś domagam się uniewinnienia oraz rehabilitacji. Zamierzam wystąpić o odszkodowanie”.

Sądy dwóch instancji odmówiły powodowi prawa do rehabilitacji. Wtedy ówczesny minister sprawiedliwości spowodował, że sprawą zainteresowała się Prokuratura Generalna. Założono rewizję nadzwyczajną. Akta, przesłane do Sądu Najwyższego, znalazły się w rękach sędziego Bogusława Nizieńskiego, żarliwego zwolennika zmian politycznych w Polsce. Nad rozsypującymi się już teczkami pochyliło się sześciu doświadczonych sędziów.

Hrabia co kilka tygodni przypominał listownie, że niecierpliwie oczekuje na werdykt.

Tymczasem sędziowie karta po karcie zapoznawali się z curriculum vitae człowieka, którego tylko amnestia z 1956 roku uratowała od kary śmierci. Ale i tak młodość zmarnował w kryminale. ???

Władza ludowa tropiła herbową rodzinę Colona-Walewskich już w 1946 roku. Mieszkali wtedy pod Kielcami. W grudniu instruktor powiatowego komitetu PPR w Tuczębach Jaworski wysłał poufny list do sekretarza gminy w Staszowie: „Prosimy o wiadomość w sprawie Colona-Walewskiego, obecny adres Staszów, wcześniej Rzędów. W 1939 roku, gdy wkroczyli Niemcy, syn tego hrabiego był w gestapo”.

Miesiąc później mjr Kula, były dowódca 13 okręgu GL i sekretarz PPR w Staszowie, pisze meldunek: „Ob. Stanisław Colona-Walewski i jego syn Miłosz byli na liście AL do likwidacji, bo obaj współpracowali z Niemcami [w pierwszych latach po wojnie słowo Niemcy pisano z małej litery - H.K.]. Wiosną 1943 roku jako bojówka AL poszliśmy wykonać wyrok, ale ani ojca, ani syna nie zastaliśmy w pałacu. Młody Miłosz zachowywał się jak gestapowiec. Kilka razy zbił gumą mego sąsiada, bo

213

tamten odpowiedział coś, co paniczowi się nie spodobało. Nie dość, że skatował starego człowieka, to jeszcze zawiózł go na posterunek gestapo”.

Józef Mazur, wójt Rzędowa, zeznał, że hrabia załatwił dla swego syna powołanie do Wehrmachtu na usilne życzenie chłopaka. Gdy Miłosz powrócił z wojska, zaczął prześladować okolicznych mieszkańców.

- Widziałem na własne oczy - przysięgał Mazur w UB - jak młody hrabia z kolegą Filipowskim zatrzymali Żyda na furmance i zbili go rzemiennym batem. Zabrali wszystko, co wiózł na handel do miasta.

Natomiast Stanisław Wójcicki, rymarz ze Staszowa, którego szwagier służył u hrabiostwa, opowiedział bezpiece taką historię: - Pewnego razu przyjechał do jego wsi panicz Miłosz. Żeby coś wywęszyć (na przykład tajny ubój) i donieść na posterunek gestapo. Wieczorem okazało się, że nie ma już pociągu, którym mógłby wrócić do domu. Przyszedł więc do Wójcickiego, aby go przenocował. - Gdy gość położył się spać, moja kobieta - zeznał rymarz - obejrzała jego marynarkę i pod klapą zobaczyła swastykę. Wcześniej szwagier mi mówił, że do majątku Colona-Walewskich gestapowcy przyjeżdżali na kolacje.

W styczniu 1948 roku Miłosz został aresztowany. Postawiono mu zarzuty: działał na szkodę Polaków, członków organizacji politycznych. Wstąpił do przestępczej organizacji Sicherheitsdienst (niemiecka służba bezpieczeństwa powołana do ścigania ruchu oporu na okupowanych ziemiach), wymuszał od obywateli polskich różne świadczenia.

Przed sądem PRL stanął też ojciec Miłosza oskarżony o wydanie w czasie okupacji Niemcom członka podziemnej GL, niejakiego Pałki, w następstwie czego ten człowiek został zamordowany. Ponadto hrabia miał odpowiadać za pisanie donosów do gestapo na Jana Bednarskiego, że uchyla się od kontyngentu. Było to pomówienie służące zagrabieniu gospodarzowi jego majątku, który następnie zawłaszczył donosiciel.

Stanisław Colona-Walewski wszystkiemu zaprzeczał, a prokurator nie dysponował dowodami przestępstwa. Podczas rozprawy ujawniono list hrabiego do niemieckiego prokuratora i sądu specjalnego w Kielcach, napisany w 1940 roku. Brzmiał on następująco: „Mój syn Miłosz Andrzej został aresztowany i ma odpowiadać za przestępstwo przeciwko własności i stosunek do żydów. Wiadomość ta porusza mnie do głębi. Chłopiec od dzieciństwa wychowywał się w otoczeniu kulturalnych i inteligentnych ludzi. Jestem przedstawicielem jednego z najznakomitszych najstarszych rodów szlacheckich, spokrewniony z najznakomitszymi niemieckimi i włoskimi rodami: von Frankesteinem, Sidorini Barberini, von Rudiger, von Kurst. Od najwcześniejszego dzieciństwa syna kładłem nacisk, aby uczył się niemieckiego. On zawsze odznaczał się nienawiścią do żydów; już jako dziecko płał im figle. Ta pogarda dla obcej rasy leżała mu we krwi. Dla mojego syna parę miesięcy aresztu oznacza więcej, niż dla przestępcy kilka lat więzienia. Proszę o wypuszczenie go na wolność i uniewinnienie”.

List niewątpliwie kompromitował oskarżonego, ale nie był to jeszcze powód, aby go skazać. Za hrabią ujął się płk Maślanka, poseł i AL-owiec. Stanisław Colona-Walewski został uniewinniony.

Jego syn, który przez miesiąc siedział w aresztanckiej celi był w gorszej sytuacji. UB znanymi metodami wydusiło z niego, że wiosną 1940 roku spotkał się z Janem Prakszą współpracującym z Sicherheitsdienst w Busku. Otrzymał od niego propozycję inwigilowania członków nielegalnych organizacji.

Wkrótce potem młody hrabia napisał swój pierwszy, żarliwy raport: „Mam w Kielcach znajomego z czasów szkolnych o nazwisku Jeremi Nowak. Gdy ostatnio go odwiedziłem, zauważyłem, że przechowuje on ulotkę podjudzającą przeciwko Niemcom. Ponieważ pochodzę z rodziny folksdojczów, zainteresowałem się tym. Po trzech tygodniach obserwowania wywiedziłem się, że Nowak dostał gazetkę od mojego dawnego nauczyciela Chmielewskiego. Żeby zdobyć jego zaufanie powiedziałem, że ja też jestem Polakiem-patriotą, jak to oni mówią”...

Z donosu wynika, że Miłosz zrobił wszystko, aby zadencjonować swego nauczyciela. Wynajął pokój obok inwigilowanego, świadczył mu drobne przysługi, aby wkraść się w łaski. Równocześnie zawiadomił gestapo, że ponosi nieprzewidziane koszty i w związku z tym potrzebuje stałego miesięcznego ryczałtu od swych niemieckich mocodawców.

W kolejnym raporcie donosi o regularnych, trzy razy w tygodniu, spotkaniach Chmielewskiego z młodzieżą szkolną. Informuje, że jest to nie tylko tajne nauczanie, ale i podburzanie uczniów do nieuznawania oficjalnej władzy. Bierze w tym udział Nowak. Ale nie tylko on spiskuje. „Informuję, że tych z podziemia Chmielewski zazwyczaj przyjmuje w nocy, między godziną jedenastą a pierwszą. Kiedyś zaszedłem tam później niż byliśmy umówieni i zastałem Stachowskiego oraz Firmana, podaję ich adresy (...). Chmielewski wyprosił mnie z pokoju. Z podsłuchanej rozmowy zorientowałem się, że zamierzali prędko zrobić powstanie, bo jak mówili, Niemcy są już słabi. Cieszyli się, że niedługo przyjdzie polskie wojsko”.

Kilka dni później agent „Collona”, bo taki pseudonim przyjmuje Miłosz, informuje gestapo w Busku, że ponownie odwiedził swego nauczyciela, zapytał, co słyhać. A ten ufnie włączył przy gościu angielską radiostację.

„Gdy wyszedł na chwilę z pokoju - pisze informator - znalazłem tam ulotkę i gazetkę pt. „Walka”. Ulotkę zabrałem, żeby ją dołączyć do raportu. Muszę ją szybko otrzymać z powrotem, aby nie ściągnąć na siebie podejrzeń. Chmielewski prosił mnie, abym przetłumaczył mu z niemieckiego pewną książkę. Zgodziłem się, bo będę miał pretekst, aby częściej do niego zachodzić i to o różnych porach”.

W marcu 1941 roku (wiadomo to stąd, że Niemcy, uciekając z Buska przed Rosjanami, pozostawili w siedzibie gestapo pełną szafę papierów) „Collona” donosi, że niejaki Orzeł

przechowuje w domu nielegalne czasopisma. Raport jest zaopatrzony

215

W uwagą SS Scharfuhrera Rennau: „Dalsze szczegóły są konfidentowi nieznane. Wykorzystać kartotekę III c”.

3

FEH F—Ł

-

???

Dwa miesiące później panicz Miłosz jedzie do majątku swej ciotki, położonego pod Łodzią. Pisze stamtąd do swych niemieckich chlebodawców: „Ciotka Stanisława Kir-stowa zabrała mnie z Kielc, ażeby, jak mówiła, zrobić ze mnie przyzwoitego Polaka. Ja nie miałem zamiaru jechać, ponieważ w Kielcach miałem obiecaną kartę folks-dojcza, na którą moi rodzice wyrazili zgodę (...). Od początku noszę się z zamiarem ucieczki z majątku. Dziś składam następujący meldunek:

Do ciotki przyszedł niejaki Geniusz, polski oficer, który nie spełnił obowiązku zameldowania się władzom, że przebywa na tym terenie. Po obiedzie przekazywał wiadomości, pochodzące z nieprzyjacielskich radiostacji. Wyjął z torby nielegalne gazetki, które dawał ciotce. Nadmieniam, że moja ciotka jest zaprzysiężona w AK. Te nielegalne gazetki traktowały o siłach lotnictwa niemieckiego i angielskiego, ponadto zawierały odezwę do narodu polskiego, aby wziąć udział w ruchu oporu. W konspiracji Geniusz ma pseudo Adolf. Podaję jego adres i opis: lat 35, stale nosi pierścionek z trupią główką, zalutowaną od środka, niewidoczną na zewnątrz. Buty długie, bryczesy. Żeby ukryć swe prawdziwe działanie, przebiera się za handlarza starzyzną i w tym charakterze jeździ do różnych miast. W Warszawie spotyka się z kierowniczką Polskiego Przysposobienia Kobiet i od niej otrzymuje nielegalne gazetki. Jej nazwisko Zofia Prus. Ona często bywa u nas; ciotka mówi, że jest poszukiwana przez gestapo. Raz w tygodniu ciotka bierze udział w nielegalnych zebraniach odbywających się zawsze w innej miejscowości. Na swoje urodziny dostała od miejscowych podarunek z napisem: „Dla dobrej Polki”. Ciotka postanowiła wystawić mi dowód osobisty, nie powiadamiając o tym władz niemieckich. Dowód ten ciotka schowała, bo obawiała się, że jej ucieknę. Często zachodzi do niej wysiedlony z poznańskiego niejaki Szulczewski. Nie mogę z całą pewnością podać, czy jest on oficerem. Ale chyba tak, bo podlega mu trzech oficerów kurierów. Wiem, że poszukuje go policja niemiecka. Szulczewski mieszka w majątku Ossowiec. Słucha radiostacji angielskich i wiadomości powtarza ciotce. W Rawie 20 km od Tomaszowa pracuje telefonistka (tu nazwisko) ściśle współpracująca z Szulczewskim. Ona podsłuchuje rozmowy telefoniczne władz policyjnych. Wszystkie meldunki przekazuje do Ossowca.

Co do innych osób przyjeżdżających do ciotki - to informuję o sekretarzu gminy Holewińskim, który stale wydaje Polakom fałszywe dowody osobiste, Siennicy, ma kontakt z Intelligence Service i przywozi nielegalne gazetki i służącej Sereadowej, łączniczce AK. Wiadomo też mi, że w ruchu oporu pracuje niejaki Mościcki, oficer WP zamieszkały w Mogielnicy. Jest zaprzyjaźniony z Geniuszem”.

216



???

Wkrótce po wysłaniu tego raportu nastąpiły aresztowania. Gdy dworek opustoszał, 2i-letni Miłosz wrócił do rodziców. Ciotka przeżyła obóz koncentracyjny i dopiero przed śmiercią, a były to lata 60., dowiedziała się, kto ich zdradził. ^jj  
ją

Miłosz zaraz po wyzwoleniu wyjechał na ziemie zachodnie. Tam często zmieniałQ adres, zawód. Żył z tego, co zdobył szantażem. W knajpach podchmielonym bie-Q siadnikom przedstawiał się jako oficer AK. Upijał ich do nieprzytomności, a następ- ^ nie dawał do podpisania oświadczenie następującej treści: „Ja, niżej podpisany, na- ^ leżę do Podziemnej Organizacji Wywrotowej Mikołajczykowskiej". Gdy człowiek, p który złożył swój cyrograf, wytrzeźwia, gotów był zapłacić każdą cenę, aby tylko ^ szantażysta nie złożył donosu do UB.

Zdarzało się też, że udając pijanego, opowiadał w znanej mu knajpie, że zbiera ^ pieniądze, potrzebne podziemnej AK, bowiem w pobliskich lasach wylądowali lu- «CS3 dzie Andersa i trzeba ich wesprzeć. I podchodził z czapką do stałych bywalców, a oni, 55 patriotycznie nastawieni, wrzucali datki.

Colona-Walewski wpadł przez młodą żonę jednego z naciągniętych klientów wiejskiej gospody pod Wrocławiem. Gdy mężczyzna wytrzeźwia, przyznał się w do- mu, gdzie stracił pieniądze i rozzłoszczona kobieta doniosła o wszystkim na poste- Q runek milicji. Śledztwo przejął UB. Podczas rozprawy sądowej przewinał się ko- Q^ H

rowód ofiar oszusta. Jedni nabrali się na rzekomo wysoką funkcję oskarżonego w podziemiu AK, drudzy na to, że jest szefem Urzędu Bezpieczeństwa we Wrocławiu albo prokuratorem wojskowym.

Rok spędzony za kratkami niczego szantażystę nie nauczył. Zaraz po wyjściu na wolność postarał się o pismo z Ministerstwa Obrony Narodowej do burmistrza Oleśnicy, który nie chciał mu przydzielić mieszkania.

„Takie postępowanie - napisał do władz miasteczka sam minister - jest niedopuszczalne. Obywatel Colona-Walewski przeszedł w czasie wojny z Niemcami cały szlak bojowy, aż do Berlina. Jest odznaczony najwyższymi medalami wojskowymi i ma piękną kartę walki o niepodległość. Sposób, w jaki potraktowaliście zdemobilizowanego żołnierza może was narazić na przykre konsekwencje".

W 1947 roku Miłosza Colonę-Walewskiego, wówczas już właściciela największej willi w Oleśnicy, rozpoznał na stacji kolejowej jego sąsiad z rodzinnych stron, Jan Praksa. „Panicz" próbował unieszkodliwić świadka jego kolaboracji z Niemcami i doniósł UB, że Praksa współpracował z okupantem, ale ten jakoś się wybronił. Natomiast w teczce rzekomo walecznego żołnierza zaczęło przybywać coraz więcej dowodów na to, co robił w czasie okupacji.

Przesłuchano m.in. gestapowca Ottona Bussingera, który za zbrodnie hitlerowskie odsiadywał wyrok w więzieniu w Kielcach. Okazano mu oryginały raportów konfidenta „Collony". Oświadczył, że złożony na nich podpis funkcjonariusza jest autentyczny.

???

217

Wielu mieszkańców Kielecczyny zeznawało w 1948 roku na procesie znanego w oko-licy potomka hrabiowskiego rodu. Właścicielka zakładu fotograficznego w Kielcach Stefania Bonikowska opowiedziała, że pewnego dnia 1942 roku przyszedł do niej młody mężczyzna w butach z ostrogami i w zielonym mundurze niemieckiej służby ie. śnej. Chciał, aby zrobiła mu zdjęcie w dość osobliwym przebraniu. Wyjął z walizki wojskową pelerynę i zawiesił ją sobie na ramieniu. Do boku przypiął rewolwer, g}0. wę okrył stalowym hełmem z pikielhaubą. Do munduru

miał wpięty znaczek ze swastyką, a na rękawie opaskę z takim samym symbolem, budzącym strach u Polaków Zapamiętała nazwisko osobliwego klienta - Andrzej Miłosz Colona-Walewski.

Chyba najbardziej obciążęły oskarżonego zeznania adwokata z Sępólna Krajeńskiego, Jana Ornesa. W roku 1940 był on tłumaczem na procesie, jaki toczył się przed niemieckim sądem specjalnym w Kielcach za ograbianie z żywności Żydów, którzy usiłowali sprzedać na targu kupione we wsiach produkty. Tym, który prześladował „pachciarzy”, jak określał swe ofiary, był młody Colona-Walewski. Ornes zapamiętał z procesu, że oskarżonemu zarzucano, iż przedstawiał się jako członek NSDAP, choć do tej zbrodniczej organizacji nie należał.

Przed sądem Colona-Walewski przyjął szczególną linię obrony. Tłumaczył, że pomyłono go z inną osobą, bowiem w czasie okupacji w okolicy, gdzie mieszkał, grasował bandyta, noszący pseudonim dokładnie tak brzmiący jak jego nazwisko. Człowiek ten potem wyjechał na Zachód i wszelki ślad po nim zaginął. Były hrabia rzucił też cień podejrzenia na swoich krewnych.

- Nie mogę gwarantować - pisał z aresztanckiej celi do sędziego - również za swoich kuzynów, którzy w czasie okupacji nie cieszyli się dobrą opinią. Jeden nawet uciekł do Anglii, widocznie miał coś na sumieniu.

Te i inne kłamstwa były szyte grubą nicią - nic więc dziwnego, że oskarżony raz po raz dawał się złapać w krzyżowym ogniu pytań. Udowodniono mu, że to on napisał do gestapo donos na Chmielewskiego i Nowaka, co spowodowało wywiezienie ich do hitlerowskiego obozu, a tam śmierć.

Broniąc się, Colona-Walewski uchwycił się jeszcze jednego pomysłu. Twierdził, że był niepełnoletni, kiedy wpadł w sidła gestapo, nie wiedział, co czyni. Jego metryka zawiera zasadniczy błąd - wpisano w niej rok urodzenia jego starszej siostry.

Kobieta wezwana na świadka potwierdziła słowa brata. Ale już pierwsze podchwytliwe pytanie sędziego wywołało u niej takie zdenerwowanie, że zemdląca. W dokumentach UB, który interesował się hrabiowską rodziną od zakończenia wojny i zbierał o niej różne informacje, a także w księgach meldunkowych konsekwentnie przewijała się data 12 grudnia 1920 roku. Tylko jeden świadek obrony, poseł Maślanka, który był zaprzyjaźniony z ojcem Miłosza zeznał pod przysięgą, że hrabia junior urodził się w 1925 roku. Ostatecznie sąd odrzucił wątpliwości, związane z datą urodzenia oskarżonego. Uznał, że gdy zdecydował się na współpracę z Niemcami, był już pełnoletni.

218

A jego wina jest udowodniona.

W uzasadnieniu wyroku nie obyło się bez ideologicznej wykładni, typowej dla lat 50. w Polsce: „Mając na względzie sposób i okoliczności działania skazanego w czasie okupacji, jego postępowanie po wyzwoleniu, pochodzenie społeczne, należy dojść do wniosku, że był rzadkim okazem zepsucia i degeneracji moralnej, produktem rozkładu pewnych klas społecznych”.

Prosto z sali rozpraw przewieziono skazanego do ciężkiego więzienia we Wronkach.

Po roku, gdy na skutek rewizji Sądu Najwyższego nie groziła mu już kara śmierci, jego żona napisała do prezydenta Bieruta: - Zwracam się do Towarzysza jak do naszego Przyjaciela i opiekuna młodzieży z usilną prośbą, aby wszedł w moje ciężkie położenie, moje łzy i to, co się dzieje w moim sercu schorowanej, słabej kobiecie. Jestem od dłuższego czasu zetempowską córką szarego robotnika i z trudnością, ze względu na stan zdrowia, pracującą społecznie oraz zawodowo. Mój mąż popełnił przestępstwo w rzeczywistości nie mając 18 lat (to sprawa sfalszowanej metryki). Czy tak już musi być, aby on całkowicie stracił życie w więzieniu? Przecież w ukochanej naszej ojczyźnie wychowuje się ludzi, a on był w Partii od 1946 roku. Wiem i ufam, że Ojczyzna Ludowa jest silna, bo wspólnie budowaliśmy ją i budujemy. Wiem, że hojność jej, dobroduszość i humanitaryzm nie zna granic, bo ma budującą spółdzielnię produkcyjną. Dlatego jeszcze raz proszę o ulaskawienie schorowanego męża”.

List, podobnie jak i inne skierowane do prezydenta, pozostał bez odpowiedzi. Nie PGJ odniósł też

skutku (zmniejszenie wyroku) donos Colona-Walewskiego na współ- ^JJ więźnia, który „szkaluje obecne władze”. Nie pomogła skarga na miejscowego prokuratora: „Raz wszedł do mej celi ob. Inspektor nazwiska nie znam. Powiedział, że w dużej mierze jestem ofiarą Światły i jego popleczników, którzy wyzbywali się naszych ludzi”.

Nie pomogło dołączenie listu od siostry: „Kochany Braciszku. Zmarł ojciec. Zostałyśmy z mamą same - zrozpaczone, bezradne, pogrążone w długach. To dlatego nie wysyłam Ci tych kilku złotych, które dotąd otrzymywałeś (...). Nie mamy domu ani majątku, ani wszystkiego, co stanowiło kiedyś treść naszego życia. Lepiej, że Ojciec zakończył swoją wędrówkę ziemską, bo cierpiał bardzo. Był człowiekiem honoru, kochał swój zawód, a stracił wszystko (...). Dla nas życie stało się koszmarem. Zostałyśmy w ciasnym pokoiku, w którym wszystko na każdym kroku przypomina nam Ukochanego Złoźnika”.

Amnestia z roku 1956 skróciła skazanemu wyrok do siedmiu lat. Miłosz Colona--Walewski nadal występował do Prokuratora Generalnego i Rady Państwa o darowanie mu kary. Pisał, że występek, który zaprowadził go do więzienia, zdarzył się, gdy miał lat 16. Czy powinien odpowiadać za bezmyślność wieku dziecięcego? To ciotka sfalszowała metrykę, gdy wyrabiała mu dowód osobisty. A czyny, które mu zarzucono w ogóle nie miały miejsca.

219

I I

? ??

I -4

Na starość Miłosz Colona-Walewski zamieszkał w Warszawie. Po wyborach 1989 roku stał się gorącym orędownikiem nowego ustroju. Zapisał się do „Solidarności” i Światowego Związku Żołnierzy AK. Jego wniosek o rehabilitację i odszkodowanie, żarliwie poparty przez lokalnych szefów obu organizacji, wpłynął do sądu nazajutrz po uchwaleniu ustawy.

Ponieważ autor wniosku usilnie zaznaczał, że w czasie dochodzenia UB sfalszowało mu metrykę, sędzia Nizieński postanowił ostatecznie tę kwestię wyjaśnić.

Napisał do parafii Świętego Krzyża w Warszawie, gdzie Miłosz był chrzczony. Niestety, wszystkie dokumenty spłonęły w czasie powstania. Z pytaniem, jaka jest prawdziwa data urodzenia zdemobilizowanego żołnierza Miłosza, sędzia zwrócił się o pomoc do Centralnego Archiwum Wojskowego MON. Poprosił też o informacje, jaki stopień wojskowy ma autor wniosku. Własnoręcznie pisane życiorysy Miłosza zawierały na ten temat różne dane; skala wojskowych dystynkcji była rozległa - od szeregowego do pułkownika.

Odszukano wszystkie osoby w całej Polsce, które miały jakąś wiedzę na temat okupacyjnego i powojennego życia byłego panicza. W miarę, jak zwiększała się wiedza przewodniczącego składu sędziowskiego, zainteresowanie Miłosza Colony-Walewskiego zrehabilitowaniem go wyraźnie malało. Na ogłoszeniu wyroku już się nie pojawił.

Sąd ostatecznie odrzucił wniosek o uznanie wyroku z 1948 roku za bezprawny.

- Choć był to czas stalinowskiego terroru - przypomniał sędzia Bogusław Nizieński - nie wszystkie orzeczenia sądowe wydawano z pogwałceniem prawa. Wina Miłosza Colony-Walewskiego jest udowodniona. Można tylko żałować, choć nie zmienia to kwalifikacji czynu, że nie zostały w odpowiednim czasie ustalone losy wszystkich osób, wydanych przez Miłosza gestapo. W świetle dochodzenia, przeprowadzonego w roku 1992, autor wniosku o rehabilitację, amator wysokiego odszkodowania za uwięzienie jawi się - stwierdziło dziesięciu sędziów - jako człowiek podły, który jeszcze raz, u schyłku życia, wykorzystując postępowanie przed Sądem Najwyższym, oczernił matkę chłopca z jego winy zakatowanego przez gestapo. Jako oszust, który nie tylko kłamał w roku 1948, podając nieprawdziwą datę swych narodzin, ale również w późniejszych latach bezkarnie zmieniał w swej metryce dane i tak sfalszowanymi dokumentami posługuje się do dziś.

? ??

W chwili ogłoszenia wyroku w ławach dla publiczności stałam tylko ja. Postanowiłam wtedy, że

pojadę do Rzędowa, gdzie w czasie okupacji żyła familia Colona-Wa-lewskich. Może to, co nie udało się sądowi - ustalenie losów ofiar autora wniosku o rehabilitację - uda się mnie reporterce.

220

Jednakże w miarę zbliżania się do opłotków wsi, odpowiedź nasuwała się sama. Daremnie byłoby szukać świadków. W latach 70., gdy panowała prosperita na siarkę i kopalnie tego surowca pojawiły się pod Tarnobrzegiem, wysiedlono cały Rzędów. Mieszkańcy rozproszyli się w miejskich blokach lub wyjechali w rzeszowskie, gdzie jeszcze można było kupić kawałek ziemi. Wielu przedwcześnie zmarło, bo nim doszło do zaorania ziemi, kopalnia zniszczyła im zdrowie, codziennie sypiąc siarką w oczy. Majątek hrabiego już nie istniał. Wprawdzie ominęła go nacjonalizacja, bo był na to za mały, ale stary hrabia po wyjściu z więzienia sprzedał go po kawałku.

Z

imowy wieczór 2005 roku. Godzina 21.30. Krzysztof K. akurat jest w łazience, gdy w przedpokoju odzywa się dzwonek telefonu. - Gdy wyszedłem - zeznał potem w prokuraturze - zobaczyłem na komórce dwa nieodebrane połączenia od pana Zdzisława. Próbowałem oddzwonić, ale już nie odbierał. Trochę mnie to zaskoczyło.

K. mieszka w Wołominie. Od ponad dziesięciu lat jest „złotą rączką” dla znanego malarza Zdzisława Beksińskiego. Czasem pomaga w zakupach. Żona K. co tydzień sprząta u artysty. Klient dobrze im płaci.

Krzysztof K. dokładnie zna rytm dnia Beksińskiego. Musiało się zdarzyć coś nadzwyczajnego, że o tej porze malarz sięgnął po telefon.

Zaniepokojony, dzwoni do szwagra malarza. Umawiają się, że mimo późnej pory, ciemności i mrozu na dworze, spotkają się pod blokiem, gdzie mieszka Beksiński. K. musi przedtem wywołać przez komórkę 19-letniego syna Roberta, któremu pożyczył nowy samochód na krótką przejażdżkę. To dobre dziecko - posłusznie odstawia wóz i obiecuje, że przed północą pójdzie na stację kolejową po matkę, która wraca z pracy podmiejskim pociągiem.

W tym czasie Krzysztof K. naciska dzwonek w zamkniętych na klucz drzwiach malarza. Cisza. Wystukuje numer jego telefonu. Razem ze szwagrem artysty słyszą melodyjkę komórki - dźwięki dobiegają z wnętrza mieszkania. Ale żadnego odzewu. Jest godzina 23.15. K. postanawia wykuć w ścianie otwór i wczougać się do mieszkania. Walenie młotkiem w ścianę budzi lokatorów bloku.

Obaj mężczyźni dostają się do przedpokoju. Na czystej, jeszcze wilgotnej od zmywania podłodze widzą odciski męskiego obuwia. Poza tym wszystko jest po staremu. Żadnych śladów walki, włamania. Wiszą obrazy. Również te dwa ulubione przez gości artysty. Na jednym, mrocznym, z wysokiego wzgórza błotna apokalipsa wypłukuje cmentarz. Szkielety, trupie czaszki. Pęknięte grobowce płyną prosto na widza. Wydaje się, że słyhać huk toczących się kamieni. A obok stoi inny obraz, jakby dzień po eksplozji. Jest cisza i wielkie krwawe niebo, na którym kołysze się balon z napisem „never more”. W dole, na topniejącym śniegu, pod którym oddycha step, stoją dwa chude, żarłoczne wilki.

Nie ruszono drogich komputerów, książek. Na półce bieleje koperta. Jak od trzech lat. Jest tam testament Beksińskiego. „Złota rączka” zna jego treść: „Będąc w pełni władz umysłowych na wypadek śmierci czynię jedynym swym spadkobiercą Muzeum Historyczne w Sanoku”.

Jedyne, co nie leży na swoim miejscu, bo na zlewozmywaku, to komórka.

Właściciela mieszkania nie ma.

- Sprawdźcie jeszcze balkon! - radzi ktoś z korytarza. Idą tam.

- O Boże! - slychać drżący głos Krzysztofa K. - on nie żyje. Trzeba zawiadomić policję.

225

Ciało malarza jest prawie nagie. Kilka godzin później biegły od medycyny sądowej policzy rany od noża - siedemnaście.

???

Śledczy rozglądają się po mieszkaniu ofiary. Marszand Dmochowski zauważył, goszcząc kiedyś u Beksińskiego, że tak tu chyba mieszka technik budowlany, a nie artysta. Bo jego klient był perfekcjonistą w pracach ręcznych. Potrafił godzinami budować skomplikowaną sztalugę, a potem niszczył ją i zaczynał wszystko od początku tylko dlatego, że w jednym miejscu powstała 1,5-milimetrowa szparka.

- W końcu z wykształcenia jestem inżynierem - tłumaczył.

Podobało mu się, gdy pewien reżyser telewizyjny porównał wnętrze tego mieszkania do architektury łodzi podwodnej: nie ma w nim rzeczy zbędnych. Jest za to sporo dziwnych urządzeń, bo Beksiński uwielbiał eksperymenty techniczne. Kiedyś obliczył, że aby nawilżyć zimą nagrzaną powietrze w mieszkaniu (gdy wilgotność spadała do 11%, dostawał swędzącej wysypki) musi wpompowywać w ten lokal codziennie 14 litrów rozpylonej wody ze specjalnym zmiękczaącym proszkiem. I zrobił taki eksperyment. Niestety, minerały wytrącające się z wody z kranów wywoływały u artysty zapalenie spojówek. Ostatecznie zrezygnował z tej metody i założył specjalną klimatyzację.

Swoje fascynacje techniką określał tak: - „Czuję w sobie potrzeby małego chłopca. Chciałbym mieć w mieszkaniu migające wszędzie diody, syntetyczne głosy, skomputeryzowane gadające roboty i automaty do granic możliwości. A w kranach cołą, dostarczaną rurami wprost z wytwórni. Podobnie hamburgery. Dobry Boże, jak byłoby fajnie!”

Policja przeprowadza wywiad środowiskowy, zbiera wszelkie informacje o ofierze. Obraz, jaki się z tego wyłania, nie tylko nie przystaje do upiornej tematyki obrazów, ale w ogóle do stereotypu artysty.

Zdzisław Beksiński prowadzi bardzo regularny, wręcz monotony tryb życia. Wstaje zawsze o godzinie 7, włącza na cały regulator radia we wszystkich pokojach. Po śniadaniu mierzy sobie ciśnienie (zapisuje pomiar w notatniku), potem siada do komputera, odpowiada na nocne e-maile. Następnie schodzi po gazety do kiosku. Kupuje „Newsweek”, „Wprost”, „Forum”, „Politykę” i „Przekrój”. Dzienników nie uznaje. Nie ogląda też telewizji.

- Ostatni raz - napisał w e-mailu do Liliany Śnieg-Czaplewskiej, dziennikarki „Vivy”, który znaleziono w komputerze artysty po jego śmierci - oglądałem Wiadomości, EuroNews i CNN oraz czytałem „Gazetę Wyborczą” jeszcze za życia mej żony i robiłem to tylko dla towarzystwa.

Nie koloryzował. Naprawdę był głuchy na wszelki szum informacyjny. Gdy w korespondencji z dziennikarką (wymienili ponad 600 e-maili) pojawiło się nazwisko Hausnera - wówczas wicepremiera, zapytał, czy chodzi jej o nieżyjącego austriackiego malarza o tym nazwisku, reprezentanta neomanieryzmu.

Ale wracając do jego rytmu dnia. Po powrocie z kiosku Beksiński zabierał się do malowania. Ku utrapieniu sąsiadów nie mógł tworzyć bez głośnej, ostrej muzyki. Cichło dopiero w porze obiadowej.

Posiłki artysty nie były wyszukane - zazwyczaj składały się z ugotowanej torebki ryżu, wołowiny z puszki i sosu Uncle Ben's. Do tego garść pieprzu i sporo gałki muszkatołowej. Wołowinę kupował hurtowo z rocznym terminem ważności (nie cierpiał robienia zakupów) i cały zapas trzymał w trzech ogromnych lodówkach,

Czasem zamawiał danie na wynos z Pizzy Hut. Zawsze to samo, bo nie znosił nowinek kulinarnych. Nie rozumiał, jak można jeść kraby, ostrygi, a nawet ryby. - „Zwykle, gdy na jakimś filmie widzę to na straganie lub na stole, zamykam oczy i czekam, słuchając dźwięku, czy przestaną pokazywać. Do tego stopnia budzi moją odrazę - napisał w jednym z e-maili - wzdragam się na

samą nazwę kuchni francuskiej. To jedna z przyczyn, że nie lubię turystyki".

Wśród jego znajomych krążyła anegdota, jak zamawiał stek w pewnej wykwintnej restauracji: Poprosił kelnerkę, by kucharz smażył mięso tak długo, aż zobaczy na patelni szerniałą, twardą podszewę i będzie się wstydził podać coś takiego na stół. Najprawdopodobniej dopiero wtedy on da radę zjeść to ze smakiem. W przeciwnym wypadku zostawi na talerzu.

- „Wiem, że mam gust prymitywny, zwierzał się dziennikarce z „Vivy” - ale nie pretenduję do znawstwa w tym zakresie. Przykrą i upokarzającą czynność jedzenia lubię odwalić jak najszybciej i z jak najmniejszym wysiłkiem”.

O godzinie 23.30 Beksiński brał kąpiel. To też rytuał. Bez polewania się na przemian zimną i gorącą wodą (w salonie powiesił 200-litrowy zbiornik podłączony do instalacji z napisem: „Na wszelki wypadek, gdyby zabrakło w rurach”) oraz intensywnego przewietrzenia mieszkania nie mógłby położyć się do łóżka. Sen przychodził zawsze dokładnie o północy.

Ten rytm dwa razy w tygodniu zakłócała młoda rehabilitantka, której masaże pomagały na bóle kręgosłupa. Bardzo zaprzyjaźniona z artystą. Tak bardzo, że Beksiński, który nie znosił psów, pozwalał jej przychodzić z kundlem. Ale to nie były relacje damsko-męskie. Artysta cenił sobie uzdrowicielskie ręce, a mimo to skarżył się znajomemu, że gdy ta kobieta go dotyka, sztywnieje, poci się. - „Czuję, jakbym miał niewidoczne kolce (jak u jeża) na długość około 1 metra i gdy ktoś narusza tę granicę, robi się to uciążliwe”.

Sledczy przypuszczają, że zabójca musiał być dobrze znany Zdzisławowi Beksińskiemu, skoro wpuścił go do domu. Jeden z przyjaciół artysty przedstawił policji rytuał przyjmowania gości w tym mieszkaniu: Wizytę zawsze zapowiadało się telefonicznie, potem rozmowa przez domofon, następnie Beksiński sprawdzał tożsamość danej osoby w kamerze (pokazywała tylko tego, kto naciska dzwonek. Nie miała rejestratora do zapisywania obrazu na taśmie) i dopiero wtedy decydował, czy otworzy ciężkie, antywłamaniowe drzwi.

227

-? '

Ludzie, którzy chcieli z artystą nawiązać znajomość, często zwracali się najpierw do jego nielicznych dobrych znajomych, bo bali się kontaktu z Beksińskim sądząc, że to dziwak. Niepotrzebnie. - On w gruncie rzeczy był dla wszystkich bardzo życzliwy - twierdził Wiesław Banach, dyrektor Muzeum Historycznego w Sanoku - i sta-

U I

rał się nikogo nie urazić. Nie było w nim też żadnego artystowskiego pozerstwa. Tylko źle znosił wszelką wścibskość. Gdy pewnego dnia zaczął go na przystanku autobusowym młody człowiek, chwając się, że wie, co mistrz aktualnie maluje, bo obserwuje go przez lornetkę z sąsiedniego budynku, Beksiński następnego dnia obudował swój balkon do sufitu.

T<3

???

Policjanci podejrzewają, że morderca był już kiedyś w mieszkaniu swej ofiary. Prawdopodobnie ścierał ślady krwi z podłogi mopem, który, jeszcze mokry, bezbłędnie odłożył potem na swoje miejsce.

Czy motywem mógł być rabunek? Po bliższych oględzinach mieszkania stwierdzono, że zginęły dwa aparaty fotograficzne warte około 4000 zł.

Ale sejf, w którym leżało 100000 zł pozostał nienaruszony. Zatem to chyba nie złodziej był mordercą.

Rozważa się też powód homoseksualny - w chwili, gdy ktoś zamierzył się na Beksińskiego nożem, artysta miał na sobie tylko krótkie spodenki. Może napastnikiem był zazdrosny kochanek?

Po rozmowach ze znajomymi Beksińskiego trzeba ten trop odrzucić. Malarz zwykł pracować w temperaturze 28 stopni. Żeby obrazy lepiej schły, zamontował dodatkowe ogrzewanie. Z

nawilżaczem. To dlatego do znajomych wychodził ubrany jak na plażę. Zdarzało się, że mężczyźni szczególnie z nim zaprzyjaźnieni, jak np. szwagier, po przekroczeniu progu tej sauny zrzucali spodnie, pozostając tylko w bieliźnie.

Jeśli nie homoseksualista, to może zazdrosna albo odrzucona kobieta? Beksińskiego, odkąd został wdowcem, nękały panie, chcące się nim zaopiekować do końca życia. Gdy się od nich opędał, wyznawały miłość przez telefon, nagrywały się na automatyczną sekretarkę. Przekonywały go, że źle się odżywa, za dużo używa cukru; słowem, potrzebuje kobiety, która by się nim zajęła.

Były w różnym wieku, również bardzo młode. 76-letni Beksiński nie miał złudzeń, że to, co najbardziej pociągało admiratorki jego skromnej osoby, to konto bankowe. Napisał kiedyś w e-mailu do Liliany Śnieg-Czaplewskiej: - „Znajoma panienska, od roku pracownik naukowy, dzwoniła wczoraj, że chciałaby dostać ode mnie obraz, bo mam już 75 lat i mogę nagle umrzeć. Jeden już ma - dostała go jako nagrodę pocieszenia przed dwoma laty, gdy nie przyjąłem jej oświadczyn... .A ostatnio pewna młoda, nawet atrakcyjna dziennikarka z telewizji regionalnej zapowiedziała, że po wizycie w mojej pracowni chce wydzierać na własnej dupie mój obraz. „Ja poniał waszu tionkuju aluzju, ale nie mam ochoty na współpracę - odpowiedziałem” .

228

^ ^ ^

Mógł też stać się ofiarą swojej twórczości. Malował sceny z obsesyjnymi motywami: czaszki, szkielety, ukrzyżowania, rozkład ciał. Latami obcował z pokazywaną na sztalugach śmiercią. Na jego obrazach szkielety spółkują, pelzają, zalegają na pobojuwiskach. Ludzkie twarze są zdeformowane bólem, często mają rysy autora. Widać wiele symboli samotności - jak choćby wieże z wizerunkami twarzy rozplywające się w dziwnym, onirycznym krajobrazie. - Taka sztuka działa na chorych ludzi, schizofreników, nadwrażliwców - zauważył malarz Edward Dwurnik. - Może się z kimś takim zaprzyjaźnił? Otworzył przed nim drzwi?

Przeanalizowano w szczegółach artystyczną drogę malarza.

Zaczął od fotografii. Pierwsze prace pokazał w warszawskiej galerii „Krzywe Koło” w czerwcu 1958 roku. Już wtedy uważał, że aparat fotograficzny nie służy tylko do rejestrowania pięknych plenerów. Razem z dwoma innymi fotografikami

- Lewczyńskim i Schlabsem - grali z widzem w skojarzenia, posługując się często obrazami codzienności: rozbebeszonego zegarka, szkolnego zeszytu, czyjś zdjęcie portretowego.

Jeśli zabłąkały się w tym fotografie realistyczne, to widoki ruin budowli czy pejzaż ogołoconych z liści drzew, wśród których błąka się widmowa ludzka postać. Twórcza grupa rozpadła się, gdy Beksiński wyprowadził się z rodzinnego Sanoka do Warszawy; wówczas jego wyobraźnią zawładnęło malarstwo abstrakcyjne. - „Zapytywanie mnie - wyznaje w jednym z wywiadów - co znaczą sytuacje anegdotyczne na niektórych moich pracach, mija się z celem. Sam po prostu tego nie wiem, co więcej, zupełnie mnie to nie interesuje. Moim celem nie jest ani straszyć, ani niczego przepowiadać. Malarstwo służy do oglądania, tak jak książki są do czytania, a muzyka do słuchania i tak należy je traktować”.

Szybko zyskuje rozgłos w świecie. Jako jedyny Europejczyk ma stałą ekspozycję w muzeum sztuki w Osace.

Nie zamierzał objaśniać tematyki swych obrazów, wręcz irytowały go takie pytania, ale nie uciekał od ujawnienia swych poglądów na temat ludzkiej egzystencji:

- Zdaję sobie sprawę z nicości wszelkich naszych poczynań i myśli w stosunku do ogromu wszechświata. To wszystko jest bez znaczenia. Bo już teraz jest tak, jakby mnie w ogóle nie było.

Brzmiało to nihilistycznie, ale z drugiej strony miał dystans do swej twórczości: w korespondencji e-mailowej z zaprzyjaźnioną dziennikarką (ostatni list napisany w dniu śmierci) pisze: „Dla mnie ten typ pozy na obrazach, zainspirowany ruchem Nike z Samotraki jest czymś, co nazywam «wieszakiem». Wielokrotnie używałem i używam tego samego wieszaka, tylko każdorazowo wiem na nim nieco inną formę. Krzyż, katedra, morze, obłoki, to tylko kilka innych wieszaków”.

A innego wieczoru: - „Ja nie daję w ogóle tytułów. Co to jest za zwierzę, ta forma. Trudno w paru zdaniach wyjaśnić. Wisi u mnie obraz, który był w założeniu

229

N :.,  
I—4 W  
• :  
M

O •< O\*  
i-i

krzyżem, ale w trakcie walki o formę, poziome ramię okazało się zbyt przytłaczające dla delikatnej roślinności u dołu, po prostu zamykało sztywno przestrzeń u góry, więc je w końcu zamalowałem. Po ukończeniu obrazu i powieszeniu, zacząłem zbierać pochwały w stylu uczonych bredni o kompozycji fallicznej”.

Miał uczniów. Najwyraźniej to widać u Tomasza Bagińskiego w jego oscarowej Katedrze. Ale walczył z zasufladkowaniem do malarzy posepnych, zafascynowanych rozkładem materii, śmiercią, barokowym przesłaniem vanitas vanitatum (marność nad marnościami).

W e-mailu do red. Śnieg-Czaplewskiej opowiedział anegdotę o tym, jak papież wzruszony sonetami Petrarke, postanowił zwolnić jego wybrankę ze ślubów zakonnych, aby miłość się dopełniła. Wtedy poeta napisał do papieża, żeby się wstrzymał z decyzją, bo on ma pomysły na jeszcze kilka innych sonetów. Jednym słowem

- skomentował to Beksiński - utwór jest dla twórcy czymś milion razy ważniejszym niż jakaś tam idea, której rzekomo służy.

W ostatnich latach fascynowały go cyfrowe fotomontaże, grafika komputerowa. Inna technika, ale motywy przeniesione z dawnych płócien: senne koszmary architektoniczne, płonące katedry, zdeformowane dzikie zwierzęta, bestie.

Z jego korespondencji komputerowej: „Jestem facetem, który maluje dla siebie. Z czego bierze się to, że ludzie w moich obrazach widzą czaszki i kości? Może stąd, że maluję głowy bez włosów, ale robię to dlatego, że występują tu pewne problemy techniczne. Włosy maluje się bardzo łatwo, ale przy zastosowaniu innej formy kładzenia farby”.

Śledczy rezygnują z dalszych konsultacji z historykami sztuki. Beksiński nie miał zdeklarowanych zawistników; jeśli już szukać wrogów, to raczej wśród tych krytyków, którzy dopatrywali się w dziełach malarza ewidentnego kiczu. Ale nie zabija się z tego powodu.

???

Kolejny trop mimochodem wskazuje Wiesław Banach, dyrektor Muzeum Historycznego w Sanoku. Panowie byli zaprzyjaźnieni od lat, Banach wiedział, jak mocno Zdzisław Beksiński przeżył śmierć żony i samobójstwo syna.

- Może - sugeruje śledczym - w chwili załamania sam odebrał sobie życie, pozorując zbrodnię? Wcale bym się nie zdziwił - dodaje.

Ten tok rozumowania uznaje jednak za zupełnie nieprawdopodobny Grzegorz Gajewski, szkolny kolega syna artysty. Po tragicznej śmierci Tomasza Beksińskiego

- dziennikarza radiowego, tłumacza Draculi Coppoli i wszystkich filmów o Jamesie Bondzie, często odwiedzał ojca utraconego przyjaciela. Z czasem był traktowany jak ktoś z rodziny.

Gajewski wysłuchał wielu zwierzeń artysty, również wypowiedzianych w chwilach największej rozpacz. - Pan Zdzisław by tego nie zrobił - zdecydowanie zaprzecza sugestii o samobójstwie. - Po śmierci syna powiedział, że nic gorszego nie



może go już spotkać. - „Teraz mogę tylko żyć” - powtarzał. Również przesłuchiwany jako świadek Piotr Dmochowski, wieloletni marszałek i przyjaciel Zdzisława Beksińskiego zwrócił uwagę oficera dochodzeniowego, że Beksiński miał obsesyjny lęk nieistnienia. - Jego pogodne usposobienie było tylko maską człowieka, który dygoce z lęku przed śmiercią. Na pewno nie popełniłby samobójstwa - zeznał do protokołu.

Ale prowadzący dochodzenie nie od razu odrzucają ten trop. Są powody, by twierdzić, że w ostatnich tygodniach przed śmiercią malarz miał nastroje depresyjne. W opublikowanym już po pogrzebie Beksińskiego w „Tygodniku Powszechnym” wywiadzie z artystą znalazło się takie wyznanie: - „Sądzę, że jeżeli miałyby być coś po śmierci, to znaczy, że to coś jest teraz. Nie ma przed i po, jest tylko czas, który pożeramy. Ale może się mylę i się okaże, że nagle po śmierci zobaczą swoich bliskich i wszystko będzie tak samo fajne...”

Będzie fajnie. A jeśli nasza go taka mroczna chwila, że sam sięgnął po nóż? Bo poczuł się nieodwracalnie samotny? Mógł tak myśleć. Najpierw odeszła na zawsze żona Zofia. Wierna towarzyszka, która jak nikt inny rozumiała, co przeżywał, gdy jedyny, ukochany syn raz po raz zapowiadał, że popełni samobójstwo. To na jej prośbę co wieczór Zdzisław Beksiński wchodził na dach bloku, w którym mieszkali i przez lornetkę obserwował mieszkanie syna. Czy pali się lampa. Tomasz zwykł nazywać swoją kawalerkę na dziesiątym piętrze wielkopłytowego wieżowca kryptą i zapowiadał, że jeśli zdecyduje się na ostateczny krok, na pewno pogasi światła.

Tomek zdecydował się w wigilię Bożego Narodzenia 1999 roku. Zdradził się ze swymi planami przed bliską mu kobietą, ta zadzwoniła do malarza. Po złożeniu tradycyjnych życzeń powiedziała: - „Proszę tam pójść. To chyba dzisiaj”.

Ale Beksiński nie mógł znaleźć kluczy od mieszkania syna, więc spanikowany, pobiegł tam, aby tylko zapukać do drzwi. Nikt mu nie odpowiedział. Starał się odgonić paralizujący lęk. Dlaczego miałyby się coś stać? - pocieszał się. - Przecież syn odwiedził go poprzedniego dnia, zostawił płytę, aby ojciec mu nagrał telewizyjną audycję. Pewnie teraz pije wino u znajomych. To przecież dorosły mężczyzna, zbliża się do czterdziestki. Albo poszedł do swojej dziewczyny, ostatnio coś się między nimi psuło, może z okazji świąt się pogodzili.

Zdzisław Beksiński spędził wigilię samotnie. Obsesyjnie myślał o swoim dziecku. Jaki był szczęśliwy w Sanoku, gdy mieszkali w drewnianym domu dziadków. Sięgnął do szafy po amatorsko nakręcony w tamtym czasie film. Uruchomił terkoczący projektor. Na czarno-białych klatkach pojawiła się ładna buzia kilkuletniego chłopczyka, który całuje trzymanego na ręku pieska.

Kolejne wspomnienie: jak mały Tomek prosi ojca, by namalował mu skrzydlatego smoka. Pokazuje pierwowzór z książeczki dla dzieci. Beksiński bierze deskę i pod dyktando juniora szkicuje długi i gruby dziób, wystające zęby, potężne pazury jak u pterodaktyla, wampiryczny wzrok. Chłopczyk nie czeka, aż farby wyschną, zabiera smoka do swego pokoju.

Nigdy się z nim nie rozstanie, mimo przeprowadzek z miasta do miasta.

- To od tego potwora wszystko się zaczęło - zapisał w swych notatkach malarz W w samotny wigilijny wieczór.

Ostatnim obrazem, jaki przed snem przywołała wyobraźnia, było tragiczne wspo-W mienie dnia, gdy znalazł 17-letniego Tomka w mieszkaniu pełnym gazu z odkręconych kurków w kuchni. Tym razem udało się samobójcę uratować. Ale syn nadal igrał ze śmiercią. W rok później - jeszcze mieszkali w Sanoku - zamówił w drukarni klepsydry ze swoim imieniem, nazwiskiem, datą pogrzebu. Rozwiesił je w całym miasteczku i patrzył, co się dzieje: bardzo go to wszystko bawiło. Kondolencje składne rodzicom, wieniec pogrzebowy od klasy (te szarfy!) zamówiony w kwaciarni. Ale w zeszytach-pamiętniku chłopiec zapisał już bez wygłupiania się: „We mnie leży martwy anioł,

jedynie diabeł zna moje myśli. Tak! Ta nicość mnie pociąga. Starych biorę jednak pod uwagę".

Dla udręczonego ojca jedyną pociechą, że Tomek nie zrobi TEGO było przeświadczenie, że tak naprawdę, syn boi się śmierci. Kiedyś leciał „Antonowem” z Warszawy do Rzeszowa. Samolot miał krakę, zginęła pasażerka. Młody Beksiński nigdy później nie wsiadł do żadnego samolotu.

Nazajutrz rano poszukiwane klucze do kawalerki syna same weszły malarzowi w ręce. Od razu pospieszył pod znany adres. Za późno. Tomasz Beksiński nie żył od kilku godzin.

Na biurku leżał list do ojca: - „Nie wiem jak zacząć. Od przeprosin nie wypada, bo zabrzmiałoby to idiotycznie. Choć właściwie chcę Cię przeprosić za wszystko. A już w szczególności za swój parszywy egoizm i brak zrozumienia dla Ciebie. Twój Ust z sierpnia wisi w tej chwili nad moim sumieniem jak topór... ale niestety, jestem zbyt słaby, aby poradzić sobie z nim i ze sobą. Żywię głęboką nadzieję, że już się nie zbudzę (...)"

W komputerowej poczcie pozostał wysłany o drugiej w nocy e-mail do przyjaciela w Krakowie: - „Zrób dla mnie jedną rzecz. Powiedz wszystkim, że po prostu nie widziałem siebie w XXI wieku i czułem, że urodziłem się 100 lat za późno, więc po prostu postanowiłem wyrównać rachunki. To dziwne, ale naprawdę czuję, jakby nie było jutra. Tak, jakby droga tutaj się kończyła. Boję się, bardzo się boję (...). Wierzę, że to naprawdę koniec. Tego właśnie pragnę. Tomek".

Śledczy liczy lata, które upłynęły od pogrzebu Tomasza Beksińskiego. Ponad pięć. Po takim czasie już chyba nie przeżywa się intensywnie żałoby? Trzeba szukać innych tropów.

Ekipa dochodzeniowa jest poinformowana, że Beksiński był swego rodzaju guru dla satanistów. Zespoły heavy-metalowe umieszczały na okładkach swoich płyt fragmenty obrazów artysty. Ponoć nie przestrzegano praw autorskich, szykował się proces, ale ostatecznie malarz wycofał pozew.

Sataniści co jakiś czas wykonują rytualny mord na guru. Ofiarę zabija się nożem, im więcej cięć, tym lepiej. To może być kolejna poszlaka - wszak na jednym z ob-

232

Liliana Snieg-Czaplewska udostępnia policji wszystkie e-maile od artysty. W jednym z nich Zdzisław Beksiński wspomina o pewnym pijaczku, mieszkańcu jego bloku. Wyraża się o nim per „śmierdziel".

Ten mężczyzna często puka do drzwi artysty z prośbą o 20 zł, rzekomo na chleb, CJJ - Widzę go w monitorze kamery, zaplutego, jak się chwieje. Boję się go - pisze Bek- Ljl siński do dziennikarki. Ale „śmierdziel" ma alibi.

Jednakże trop - wyłudzenie pieniędzy od artysty - jest wart zainteresowania. Janina B. dobra znajoma ofiary zeznała, że wyznawał on pogląd, iż skoro jest człowiekiem majątnym, nie może odmówić komuś, kto potrzebuje pomocy. Artysta regularnie, od 10 lat, wspierał kilka fundacji charytatywnych. Raz w roku wręczał obraz śpiewakowi operowemu Wiesławowi Ochmanowi, aby go sprzedał na aukcji dla sierot. Od 16 lat przekazywał swoje prace na aukcje „Bliźniemu swemu" Towarzystwa Brata Alberta. Przesłuchiwany jako świadek Emil Jurkiewicz, prezes Towarzystwa zeznał: - Pan Beksiński pozwalał zdejmować ze ścian te prace, które mi się podobały. Kiedy ostatnio dzwoniłem do niego w grudniu, zapewniał, że ma przygotowane nowe obrazy na kolejną naszą aukcję.

Stosunek artysty do pieniędzy był znany jego przyjaciółom. Generalnie nie przywiązywał większej wagi do stanu posiadania. Twierdził, że pod tym względem usiłuje sprostać pewnej idei z dzieciństwa, gdy myślał, że całe zasoby finansowe ojca znajdują się w jego niezgłębionej - jak mu się wydawało - portmonetce. Gdy raz zapytał, ile pieniędzy ma w pularesie, rodziciel odpowiedział, że nie wie. - Stało się to moim cichym marzeniem - powtarzał - nie wiedzieć, ile ma się forsy. Ale ten luzacki stosunek do własnego konta to pozory.

W gruncie rzeczy Beksiński panował nad swymi rachunkami i nawet usiłował wyprowadzić w pole urzędników skarbowki. „Używając niepowtarzalnego stylu księdza Jakuba Wujka - pisał w e-mailu - położyłem nieprzyjaźń między mną a fiskusem, między nasieniem moim a nasieniem jego. On pragnie zetrzeć głowę moją, a ja czyham na jego. Amen. W związku z powyższym, odliczenia od podatku tak wykorzystuję, że moje roczne dochody są 5 razy niższe niż działalność

charytatywna. Jak to możliwe? W końcu to Polska wydała na świat matematyka Banacha".

233

Był też bardzo oszczędny w zakupach odzieży. Twierdził, że jeśli dzinsy mają za- ledwie 10 lat, to absolutnie nadają się do noszenia. I nie ma co myśleć o nowych. Co innego, gdyby w jakimś sklepie ukazał się zegarek na rękę, będący zarazem, jak sobie żartował, telefonem, radiem, urządzeniem radiolokacyjnym, komputerem do W ściągania i odtwarzania plików MP3 i aparatem fotograficznym. Tak, żeby zorien- towanie się, która jest godzina, wymagało sporej sprawności manualno-intelektu- alnej i orlego wzroku, a zaprogramowanie całości zajmowało cały dzień. Wtedy na-

L

tychmiast by to cacko nabył.

Czasem naciągano go i on o tym wiedział. Skarżył się w e-mailu przyjaciółce-- Wczoraj telefonicznie molestował mnie pewien staruszek, że koniecznie chce 35 zł na prezenty dla jakichś sierot. Cały dzień ukrywałem się za sekretarką, a on dzwonił raz po raz.

Oburzał się, ale w końcu ulegał. Taka sytuacja: zatelefonował malarz bardzo średniej klasy z warszawskiego Ursusa. Zaczął, płacząc rzewnymi łzami, od kondolen- cji w związku z samobójstwem syna (rychło w czas, pięć lat po tej tragedii). I następnie poprosił, aby Beksiński kupił od niego - po raz kolejny - obraz za 5000 zł. Po targach stanęło, że dostanie tysiąc złotych. Zjawił się natychmiast (jakby już stał pod drzwiami) i na odchodnym wyłudził dodatkowo 50 zł na taksówkę do Ursusa.

Ktoś inny, o nieznanym nazwisku, przedstawił się jako młody historyk sztuki i naciskał, aby artysta podarował mu pieniądze na bilet do Nowego Jorku, bo chce tam napisać książkę o malarzach abstrakcjonistach, m.in. o Beksińskim.

To znów zwrócił się o bezzwrotną zapomogę w wysokości 60 000 zł mąż zmarłej kuzynki artysty. O dziwo, dostał te pieniądze.

Tylko ofiarodawca, patrząc na siebie z dystansem, pytał zdumiony - Cóż to ja jestem, muchołapka dla nieudaczników?

I usprawiedliwiał się, że widocznie taki się urodził. Wspominał, jak w jego rodzinnym Sanoku koło domu rosła grusza. Latem dzieci przystawały przy płocie i prosiły, aby poczęstował je owocami. On biegał z gruszkami od drzewa do ogrodzenia szczęśliwy, że może obdarowywać. A gdy zabrakło owoców, poleciały w jego stronę wyzwiska i ogryzki.

Niczego go to nie nauczyło. - Wobec tych, co mają ode mnie gorzej - powiedział po przekroczeniu siedemdziesiątki - czuję się winny. I nie oczekuję wdzięczności za wsparcie.

Byłby chyba zdumiony, gdyby się dowiedział, że to podopieczni schroniska w Sanoku, które też wspomagał, zaciągną ostatnią wartę przy jego trumnie.

???

Temat - pieniądze, pożyczki, zwraca przez moment uwagę śledczych na Krzysztofa K. „złotą rączkę" i jego żonę. Wieloletni znajomy zamordowanego malarza ujawnił, że małżeństwo K. niedawno pożyczycyło od Beksińskiego kilkadziesiąt tysięcy zło-

234

tych na nowy samochód. Dług miała odpracować pani K., która za 250 zł tygodniowo sprzątała malarzowi mieszkanie. Czasem wyręczała się w tej robocie 19-letnim synem Robertem, ale młody człowiek irytował gospodarza. Odkąd zaczął się pojawiać, z mieszkania ginęły drobne pieniądze, która zwykle leżały w koszyczku, aby Beksiński, amator pizzy, miał je na podorędziu, gdy przychodziła zamówiona dostawa. Ostatecznie problem rozwiązano w ten sposób, że Krzysztof K. (który nie wiedział, że malarz podejrzewa o kradzież Roberta) zamontował w ścianie sejf.

A może morderca pochodził z Sanoka, gdzie malarz spędził dzieciństwo? I po latach stał się ofiarą jakichś sięgających pokoleń porachunków z jego rodziną?

Policja zebrała wywiad środowiskowy. Nic nie wskazywało na to, żeby Beksińscy mieli w miasteczku wrogów. Dziadek artysty był właścicielem firmy autobusowej, późniejszego, po upaństwowieniu, Autosanu. Zdzisław na żądanie ojca skończył architekturę w Krakowie. Przez jakiś czas zatrudniony był na pół etatu w Autosanie, zaprojektował dwa autobusy, prawie całe przeszklone. Nigdy nie weszły do produkcji, ale pozostawił po sobie opinię zdolnego pracownika. Po kolei wszystkie te tropy uznano na policji za fałszywe.

I wtedy sąsiadka Beksińskiego przypomniała sobie, że tragicznego wieczoru widziała na klatce schodowej młodego mężczyznę w niebieskiej kurtce, który chował przed nią twarz. To nie był mieszkaniec tego bloku.

Niebieską kurtkę ma Robert, syn Krzysztofa K. Przesłuchują go. Chłopak początkowo twierdzi, że od południa był u swej dziewczyny. Ale ona zaprzecza - już się nie spotykają, zerwali ze sobą. Nazajutrz 19-latek przyznaje się do zabójstwa. Opowiada, jak do tego doszło.

Beksiński wpuścił go, gdy przez domofon powiedział, czym jest synem. Ledwo wszedł do mieszkania, wyjawiał cel niespodziewanej wizyty. Chce pożyczyć pieniądze, dużą sumę. Malarz ponoć zareagował gniewnie: - Co ty sobie szczeniaku wyobrażasz, twój ojciec wie o tym? Zaraz się z nim skontaktuję. I wystukał w swojej komórce numer telefonu do Krzysztofa K. Ale nie zdążył się porozumieć, choć prawdopodobnie słyszał dzwonek z tamtej strony. Umierał od ciosów noża napastnika.

Robert ujawnia, że do Zdzisława Beksińskiego pojechał z 16-letnim kuzynem Łukaszem K., który został na dole. Po zamordowaniu malarza przywołał Łukasza SMS-em. Kazał mu chwycić ofiarę za nogi tak, aby mogli przenieść ciało na balkon. Beksiński był swoim zwyczajem tylko w krótkich spodenkach i Łukasz początkowo wzbierał się przed dotknięciem zakrwawionego ciała. Potem, pod dyktando kuzyna, który nazwał go mięczakiem, ciotą, wytarł mopem zakrwawioną podłogę.

Robert ukradł z mieszkania dwa aparaty fotograficzne i kilkadziesiąt płyt CD. Po powrocie do Wołomina zakopał ten sprzęt w pryzmie śniegu na podwórku domu Łukasza. Bez jego wiedzy.

???

235

Na co potrzebna 19-latkowi duża kwota pieniędzy? Początkowo twierdzi, że nie miał konkretnego celu. Trzy miesiące później pisze z aresztu list do matki, w którym wyjaśnia, że był szantażowany. Korespondencję ujawniono podczas rozprawy:

- „Mamo! Teraz b. żałuję tego, że wam nie powiedziałem. Wtedy na pewno nie doszłoby do tego, co się stało (...). Gdy w II klasie nie zdałem poprawki z polskiego, to zawałił mi się świat. Wtedy wiedziałem, że zawiodłem wasze oczekiwania i wtedy siadła mi psychika, ale przenieśliem się do drugiego liceum i poznałem nowe osoby.

Poznałem wiele osób, ale też i takie, przez które zacząłem mieć problemy. Wcześniej nie mogłem tego powiedzieć, bo się bałem i nadal się boję, bo w dzisiejszych czasach samemu nic nie zdziałasz. Przemyślałem to wszystko i doszedłem do wniosku, że nie chcę teraz siedzieć w więzieniu i dlatego chcę o wszystkim opowiedzieć wam. Lecz i tak nie wiem, czy to coś pomoże.

Na imprezie w Wołominie od poznanych tam chłopaków pożyczyłem 200 zł. Tydzień później czekali na mnie. Powiedzieli, że przyjdą po pieniądze, ale to nie będzie 200 tylko 500. Przychodzili pod szkołę. Chciałem im oddać 200 zł, bo udało mi się wygrać w zakładach sportowych, ale gdy im dawałem 200, to walnęli mnie w twarz. Wzięli ode mnie pieniądze, a jeden z nich powiedział że brakuje 2800 zł. Mijały miesiące, wcześniej powiedzieli mi, że mam siostry i oni się zemszczą na moich siostrach. Miałem czas do końca lutego, namawiali mnie, abym kogoś okradł. Płakałem w nocy, bo suma urosła do 10000. Pomyślałem, że może pan Beksiński mi pomoże, ale on nie chciał słuchać, chciał o tym powiedzieć tacie. Chciałem popełnić samobójstwo. Proszę was, zróbcie wszystko, żeby mnie stąd wyciągnąć. Proszę!!! Ja nie chcę siedzieć tyle lat, nie wytrzymam. Ja nie jestem taki zły, jak przebywające tu niektóre osoby. Nie chcę iść na badania psychiatryczne, bo tam są świry".

Oskarżony K. twierdzi, że po przyjeździe do Warszawy przez półtorej godziny krążyli z Łukaszem pod domem malarza i planowali, co zrobią. Prokurator uznaje, że Robert bez pomocy 16-letniego Łukasza nie dopuściłby się zbrodni. Są jeszcze inne fakty obciążające nieletniego: po powrocie do Wołomina użył Robertowi swojej czystej kurtki, przechował zakrwawione ubranie kuzyna, ukrył narzędzie przestępstwa. A ponadto - od chwili, gdy dowiedział się o zabójstwie, aż do zatrzymania nie wydał Roberta. Milczał dwie doby.

Chłopcy są skierowani na obserwację psychiatryczną.

Z badań Roberta wyłania się obraz osoby rzeczowej, zamkniętej w sobie. Popelnione morderstwo ocenia słowami: - „Wyszło, jak wyszło”. Ale mówi też, że żałuje. W schronisku dla nieletnich, gdzie początkowo przebywa, chętnie zgłasza się do różnych zajęć. M.in. jest tzw. korytarzowym. Za tę aktywność dostaje regulaminowe nagrody.

Nad czytanie książek, od czego zdecydowanie stroni, przedkłada gry komputerowe. Po dziewięciu miesiącach aresztu pisze do prokuratora prośbę o zwolnienie go do domu: - Jest pani kobietą, może matką (nie wiem), ale na pewno wie pani, jak

236

taka roziątka między dzieckiem a rodzicami wpływa niekorzystnie na człowieka. Gdyby chciała się pani ze mną spotkać i porozmawiać, to jestem do pani dyspozycji. I niech się Pani nad tym zastanowi, o co proszę”. Prośba nie zostaje uwzględniona.

Łukasz wypada w opinii psychiatrów na chłopca wrażliwego, bojaźliwego, skłonnego do zmiennych nastrojów, niepewnego siebie, łatwo ulegającego wpływom. Ma niewielkie oczekiwania wobec życia, dlatego podporządkowuje się życzeniom innych, za wszelką cenę unikając konfliktów. Z wywiadu wynika, że bez wiedzy rodziców nie dołączał do kolegów. Nie chodził do dyskoteki, nie palił. Chętnie pomagał matce, opiekując się niepełnosprawną małą siostrą, dużo rozmawiał z ojcem. Ale o tym, co zdarzyło się w mieszkaniu Beksińskiego, nie powiedział rodzicom ani słowa. Zamknął się w swoim pokoju, udawał, że bołą go zęby.

W schronisku często płacze, trzęsą mu się ręce, ogryza paznokcie. W czasie rozmowy z wychowawcą wykręca palce.

???

Dochodzi do procesu.

- Przerazające, że życie człowieka stanowiło dla oskarżonych równowartość kilku drobiazgów - podsumowuje mowę oskarżycielską prokurator. Dla Roberta K. za zabójstwo z premedytacją żąda 25 lat więzienia. Dla Łukasza - 5 lat. Uznaje go winnym „pomocnictwa psychicznego”, przejawiającego się nie tylko w tym, co zrobił w mieszkaniu malarza, ale i w jego wcześniejszej odzywce w samochodzie. - „No co, stchórzysz?” - miał zapytać Roberta, gdy waha się, co robić.

Obrońca Roberta żądanie kary 25 lat ocenia za rażąco surowe ze względu na wiek, dobrą opinię i skruchę oskarżonego.

- Nie ma dowodów, że oskarżony planował zabójstwo - przekonuje sąd. Pełnomocnik Łukasza prosi o uniewinnienie dla swego klienta. Przypomina, że gdy Robert powiedział kuzynowi w samochodzie, że jadą „kropnąć Beksińskiego”, ten nie uwierzył. Myślał, że to taki szpan starszego krewniaka. Zabrał się z nim, bo w domu nic się nie działo. Nie obchodziło go, po co jadą do malarza. Nie wiedział, kto to jest. W drodze do Warszawy grała głośno muzyka, Robert się wygłupiał. Owszem, widział u niego nóż, ale specjalnie go to nie zdziwiło, różne rzeczy trzyma się samochodzie.

Zdaniem obrońcy, Łukasz, zahukany nastolatek, który dopiero drugi raz w życiu był w stolicy odległej o 30 km od Wołomina, został zabrany tylko do towarzystwa. Nie zawiadomił potem policji o zbrodni, której był świadkiem, bo sparaliżował go strach. To przerażenie nadal go nie opuszcza, choć od tragicznego wieczoru minęło wiele miesięcy. Po każdej rozprawie wyrzuca ubranie, w którym stawał przed sądem; wydaje mu się, że dzięki temu będzie mniej rozpoznawalny w rodzinnym Wołominie.

W ostatnim słowie Robert przeprasza, wspomina o wyrzutach sumienia i zagadce zabójstwa, której nie potrafi wyjaśnić. - Więzienie nie zmienia ludzi na lepszych, chciałbym jak najszybciej opuścić to miejsce i pomagać innym - mówi. - W areszcie codziennie modliłem się, przepraszałem Boga i pana Beksińskiego, żeby mi wybaczył i pozwolił zrozumieć, dlaczego to się wydarzyło. Teraz wiem, że aby być dobrym, trzeba do tego dążyć. Chciałbym po odbyciu kary pomagać mamie i tacie, bo oni mają coraz mniej siły i tak przeze mnie cierpią. Tym słowom towarzyszy rozpaczliwy płacz rodziny oskarżonych.

Łukasz do pomocy w zbrodni się nie przyznaje. - Bardzo wszystkiego żałuję - to jego ostatnie słowo.

Wyrok w pierwszej instancji: 25 lat więzienia dla Roberta, 5 lat dla Łukasza, który do uprawomocnienia się wyroku pozostanie na wolności. Sąd nie jest jednomyślny w kwestii młodszego oskarżonego. Różne zdania dotyczyły kwestii, czy nieletni świadomie pomógł w zabójstwie, czy też pod wpływem kuzyna brał udział tylko w zacieraniu śladów. Obydwaj obrońcy składają apelacje.

W sprawie faktycznego mordercy jest ona nieskuteczna. Sąd apelacyjny orzeka, że sam młody wiek sprawcy nie jest okolicznością, która nakazywałaby wymierzać łagodniejszą karę. W tym przypadku motyw zabójstwa (pieniądze), sposób zachowania się po zbrodni, nie równoważą tego, że Robert K. się do niej przyznał.

Więcej wątpliwości nasuwa zachowanie Łukasza.

Adwokat zarzucił sądowi rejonowemu, że wyrok skazujący w tej sprawie w znacznej mierze oparty jest na jedynym dowodzie - wyjaśnieniach Roberta. Nie przeanalizowano treści opinii biegłego psychologa. Łukasz nie uciekł z bloku, gdy zorientował się, że uczestniczy w zabójstwie, tylko dlatego, że pierwszy raz w życiu był w Warszawie, bez rodziców, nie miał pieniędzy nawet na bilet autobusowy do Wołomina, nie wiedział, gdzie są dworce. A wokół ciemna, zimowa noc. Nie jest prawdą, że czekał pod blokiem na sygnał od Roberta, aby pomóc mu w morderstwie. Na górę wjechał z kilkuminutowym opóźnieniem. Wskazuje na to analiza bilingów rozmów telefonicznych obu oskarżonych.

- A może - sugeruje pełnomocnik nieletniego Łukasza - Robert celowo obciąża swego kuzyna, bo jest to zemsta na wujku skonfliktowanym z jego ojcem?

Sąd apelacyjny uchyla wyrok w sprawie Łukasza i przekazuje ją do ponownego rozpoznania przez sąd okręgowy.

Na ponownej rozprawie Robert występuje jako świadek, choć w kajdankach. Z o wiele większym zdecydowaniem niż w czasie śledztwa i na pierwszych rozprawach, zrzuca winę na kuzyna.

- Wziąłem nóż, bo Łukasz tak kazał.

- W trakcie jazdy Łukasz zapytał mnie, czy mam nóż i gdzie go trzymam. Powiedziałem, że w kurtce. Łukasz wyjął go, aby sprawdzić. Wychodząc z samocho-

du włożyłem obie ręce do kieszeni kurtki i wtedy okazało się, że jest w niej nóż. Nie wiedziałem, że Łukasz tam go schował.

- Mówił, że chce ze mną wejść do Beksińskiego. Nie wiem, po co. Jakby Łukasza tam nie było, to bym nie wszedł do tego mieszkania.

- Pan Beksiński sam przewrócił się na krześle, ja mu ciosów nie zadawałem. To policja mi sugerowała, że uderzałem po skosie.

- Mówiąc przedtem na rozprawie, że chodziliśmy pod blokiem i planowaliśmy, jak dokonać zabójstwa, to nie wiem, czy to odpowiada prawdzie.

Zapytany, dlaczego w śledztwie mówił co innego, Robert twierdzi, że policja go biła, założyła mu worek na głowę. Więc wyjaśniał tak, jak chcieli. Łukasz powtarza to, co w śledztwie.

Adwokat dołączył nową opinię biegłego: chłopiec zrezygnował z nauki, bo wstydzi się wyjść z domu. W relacjach społecznych zawsze się podporządkowuje. Osobie dominującej ufa, że będzie torować drogę. Nie nauczył się w swym środowisku, że mogą być ludzie nielojalni, wykorzystujący go. Z psychologicznego punktu widzenia źle to rokuje w przyszłości; gdy będzie sytuacja krytyczna, załamie się. Jest to bardzo nieszczęśliwy człowiek, w stanie wymagającym terapii. Palce ma nadal obgryzione, poszarpane, w czasie rozmowy narasta drżenie rąk i mięśni szkieletowych.

Sąd Okręgowy w Warszawie zmienia 12 grudnia 2007 roku wymiar kary dla młodszego oskarżonego na łagodniejszy - 4 lata pozbawienia wolności. Jego pełnomocnik ponownie składa apelację, zaskarżając wyrok, jako oparty na jednym dowodzie - zeznaniach Roberta. Ale te składane pod koniec procesu były zasadniczo odmienne od wyjaśnień w postępowaniu przygotowawczym. I tak: w pierwszych wyjaśnieniach Robert stwierdza, że zaplanował zabójstwo. Potem - przyznał się do morderstwa, bo był przerażony, że podejrzania są kierowane na jego ojca, a poza tym liczył na to, że gdy się przyzna, będzie mógł odpowiadać z wolnej stopy.

Również udział Łukasza w przestępstwie jest różnie przedstawiany przez zabójcę Beksińskiego.

Najpierw Robert twierdzi, że jego kuzyn wiedział o planowanym zabójstwie. Na kolejnych rozprawach, gdy się zorientował, że obciążając Łukasza wiedzą o zbrodni, tym samym wskazuje na siebie, jako co najmniej uczestnika zabójstwa, zmienia wyjaśnienia: nie planował zabójstwa, a kiedy do niego doszło i wezwał na górę Łukasza, którego zabrał do Warszawy dla towarzystwa - ten był zaskoczony i spanikowany. Innym razem informuje sąd: - Ja tylko powiedziałem Łukaszowi, że dźgnąłem Beksińskiego nożem i nie opowiadałem mu szczegółów. Ustaliliśmy, że nie będziemy na siebie kapować. Nie wiem, dlaczego wziąłem nóż. Chyba, żeby zabłysnąć przed Łukaszem. Ale wcześniej twierdził, że młodszy kuzyn nigdy mu nie imponował.

239

Rozbieżność dotyczy też rozmowy, którą obaj oskarżeni mieli prowadzić przed wyjazdem. Raz Robert twierdzi, że zabójstwo zaplanował z kuzynem. Potem, że „gadka była taka, żeby coś wziąć. Ja nie mówiłem, że mam dług do oddania”.

Kiedy indziej: „Nic nie mówiłem przed blokiem, że wejdę do Beksińskiego i użyję wobec niego przemocy”.

W kolejnych zeznaniach: - „Chodziliśmy koło bloku godzinę i zastanawialiśmy się, jak zdobyć pieniądze”.

Tymczasem, jak wynika z analiz bilingu ich rozmów przez komórki - do takiego spaceru na dworze w ogóle nie doszło. Zatem, która z wersji Roberta jest prawdziwa?

Pełnomocnik Łukasza nie godzi się też z twierdzeniem sądu, że brak jest podstaw, by Robert celowo obciążał Łukasza. A jeśli oskarżony opowiedział się po stronie konfliktu jego ojca z rodzicami Łukasza? Sąd pominął kwestię przerwania aparatu na posesje kuzyna. W jakim celu oskarżony chciał skierować podejrzenie na krewnego?

Ponowna apelacja nie została jeszcze rozpatrzona.

???

Na ścianie bloku, w którym mieszkał Zdzisław Beksiński, powstał mural, upamiętniający słynnego artystę. To jakby komiksowy tryptyk, składający się z portretu Beksińskiego, profilu jego sylwetki przy sztaludze i obrysowanej białym konturem ręki, jak to zwykle robi śledczy, zaznaczając położenie zwłok.

Obrazy Zdzisława Beksińskiego pojechały, zgodnie z testamentem twórcy, do Muzeum Historycznego w Sanoku.

I zaczęła się walka dyrektora Banacha o część tej spuścizny z Piotrem Dmochowskim, który od lat mieszka we Francji.

Wystawca twórczości tragicznie zmarłego artysty twierdził, że wprawdzie od dawna nie doszło między nimi do żadnej transakcji, ale nadal dużo korespondowali. Wymieniali e-maile. Beksiński wysyłał mu fotografie swoich nowych obrazów.

I właśnie ta internetowa korespondencja stała się podstawą pozwu Dmochowskiego przeciwko

muzeum. Były marszand domagał się, aby sanockie muzeum sprzedało mu z kolekcji dzieł Beksińskiego dwa obrazy za 22000 zł każdy, czyli za cenę, jaką osiągały za życia artysty. Uważał, że ma na to zgodę autora, zawartą w korespondencji e-mailowej. Wiesław Banach sprzeciwił się, twierdząc, że jest to niezgodne z testamentem zmarłego.

Sprawa trafiła na wokandę Sądu Rejonowego w Sanoku. Ale tego samego dnia wpłynął przeciwko Dmochowskiemu pozew z muzeum. Bowiem w internetowej korespondencji zmarłego malarza z francuskim marszandem, którą znany ze skrupulatności artysta zachował na osobnym dysku, znalazła się wzmianka o obrazie z 1989 roku. Wynikało z niej, że przesłał on swe dzieło Dmochowskiemu, ale ten odpisał, że obraz mu się nie podoba i go nie chce. Nigdy go jednak nie oddał.

240

Marszand podwójnie przegrał przed polskim sądem. - Wymiana e-maili to nie umowa - stwierdzono w orzeczeniu. Dwa obrazy Beksińskiego, o które walczył autor pozwu, wiszą więc w sanockim muzeum. Drugi pozew został z sądu wycofany, gdy Piotr Dmochowski dobrowolnie wysłał do Sanoka obraz, który rzekomo mu się należał.

I tak Zdzisław Beksiński z za grobu pomógł wypełnić swój testament do końca.

B

ędę wieczorem, szkoda, że Paweł nie ma czasu - powiedział dr Waław Januszewicz\* do żony w niedzielę o piątej rano. Był już gotowy do drogi. Z pod-warszawskiego miasteczka, w którym mieszkali, do wsi na Mazurach, gdzie często <sup>^</sup><sup>^</sup> spędzał z wędką weekendy, było około stu kilometrów. Nie zatrzymywała go, choć C-<sup>^</sup> wolała, gdy na ryby wybierał się z przyjacielem.

q Mąż miał upatrzone miejsce, na którym łowił - małe jezioro, z dala od głównej

H

\*-3

p j turystycznej trasy. Mógł tam napawać się kojącą ciszą, gdy godzinami sam jeden 02 tkwił w plastikowej łódce. Wraz z cichym pluskiem fal odpływały problemy, z którymi codziennie musiał się zmierzyć, gdy brał do ręki skalpel. Doktor Waław Januszewicz miał opinię lekarza, który walczył o cudze życie do końca. Rodziny cięż-EH ko chorych uważały go za cudotwórcę. Zasłużona sława napędzała pacjentów C/2 zdarzało się, że w czasie jednego dyżuru przeprowadzał aż trzy operacje, po których dosłownie ślaniał się na nogach. Wyjazd w weekend na ryby to było ładowanie „akumulatorów” na cały tydzień.

Pani Januszewiczowa rozumiała potrzebę takiego odpoczynku męża, nie musiał jej o tym mówić nie tylko dlatego, że byli udanym, kochającym się małżeństwem. Sama również pracowała jako lekarz i podobnie jak mąż ordynator miała na głowie cały szpitalny oddział.

Jezioro leżało na skraju popegeerowskiej wsi Zakole. Januszewicz od lat był mu wierny. Miejscowi wiedzieli, że w razie choroby pospieszy z pomocą, ułatwi przyjęcie do szpitala, położy na operacyjny stół. Doktor, chcąc nie chcąc, znał ich życie od podszewki. Był świadkiem upadku PGR, bezradności pozostawionej samej sobie załogi, która nie potrafiła odnaleźć się „na swoim”. Widział, jak z roku na rok dawni robotnicy coraz bardziej zatracali się w picu i na taki los skazywali swoje dorastające dzieci. Gdy wieczorem przyplływał do brzegu, aby rozpałić ognisko, zazwyczaj czekało na niego kilku wyrostków chętnych do skoczenia po piwo. Wiedzieli, że to się opłaci, bo „doktorek”, jak między sobą nazywali potężnej postury Januszewicza, dawał zwykle 20 złotych i nie żądał reszty. Co śmielsi, bardziej wycwa-nieni, przymawiali się do zapłaty (wedle stawki: „jak tam pan uważa”) za pilnowanie samochodu. Naciągali go, wiedział to, ale miał dla chłopaków miękkie serce. Nie dostawali od swych notorycznie pijanych ojców kieszonkowego, a przecież ciągnęła ich sobotnia zabawa w remizie strażackiej.

Smażąc ryby na ognisku, wdawał się z nastolatkami w pogawędkę. To były kalekie rozmowy; kawalerka starała się nie używać przy „doktorku” za często słowa na k..., ale bez tego wytrychu nie



potrafili się wysłowić. Czasem, w bluzgu przekleństw zaplątała się wiadomość, że ojciec, dawny oborowy z pegeerowskiego majątku, zapił się na śmierć, a inny skończył życie na suchej gałęzi. Doktor dowiadywał się też, która z panien urodziła bękarta i kogo zszywano na pogotowiu po dyskotecę w pobliskim miasteczku. Słuchał tego z kamienną twarzą, bez komentowania, bo nikt nie oczekiwał jego rad. Był z innego świata, nie tylko z powodu

242

dobrego samochodu. A ponieważ nie mógł pospieszyć z żadną praktyczną radą, nigdy nie pytał siedzących z nim przy ognisku o plany na przyszłość. Zjadali usmażone ryby, zasypywał piachem ognisko i ruszał na szosę warszawską. W domu żalił się żonie: nie dają mi spokoju. Ale co robić? Przegonić? A cóż oni winni, tak ich wychowano, potrafią tylko wyciągnąć rękę po cudze. Jedyne sposobem na intruzów to tkwienie przez cały dzień na łódce pośrodku jeziora. Ale kiedyś trzeba dopłynąć do brzegu.

?        ??

Tamtej tragicznej niedzieli też długo zwlekał z powrotem na ląd. Ale nie z powodu spodziewanego na brzegu nieproszonego towarzystwa. Szło na burzę i ryba świetnie brała. Przestał zarzucać wędkę, gdy wodę osrebrzył księżyc.

Nie był zaskoczony, gdy ciągnąc łódkę po trawie usłyszał w ciemnościach czyjeś kroki. Po chwili zza krzaków wyłoniły się dwie męskie sylwetki. Zaświecił w ich stronę latarką. Nie mylił się w przypuszczeniach - to miejscowi chłopcy. Stare, wytarte dżinsy, tandetne bluzy z bazaru. Wyższy, o kościstej twarzy częściowo zasłoniętej kapturem zapytał ochryplym głosem, czy ryba brała. Doktor odpowiedział mu zdawkowo: - „Na patelnię wystarczy”. Nie chciało mu się gadać, spieszył do samochodu.

- Może pomóc? - znów odezwał się ten wyższy i nie czekając na odpowiedź chwycił za bok łódki, którą Januszewicz już wciągał na bagażnik auta.

Z wyjaśnień w prokuraturze niższego chłopca o imieniu Bartek: - Nad jezioro poszliśmy z Jarkiem. On miał za paskiem siekiere, którą wcześniej kazał mi przynieść z chlewika. Gdy doktorek już włożył łódkę na dach samochodu, Jarek zamachnął się obuchem. Doktorek chyba nie wiedział, co się dzieje, bo gdy upadł i próbował się podnieść, powiedział do nas: „Co jest, panowie”. Jarek drugi raz się zamachnął. I jeszcze kilka razy, nie zawsze trafiał, bo było zupełnie ciemno. Ja chciałem uciekać, w butach chlupotała mi krew, ale Jarek krzyknął: Wróć! Miał taki głos, że się go wystraszyłem.

Potem łódkę i siekiere wrzuciliśmy do wody. Przeszukaliśmy kieszenie doktorka, znaleźliśmy kluczyki do samochodu. W portfelu było prawie 300 złotych. Jarek przeliczył i ucieszył się, że tyle pieniędzy. Ciało dociągnęliśmy do krzaków. Gdy przysypywałem go liśćmi, słyszałem, że jeszcze trochę oddychał, jakby chrapał. Ale nie było czasu na zastanawianie się, Jarek już odpalał samochód doktorka, to było audi. Po drodze powiedział, że jeśli go wydam, to mnie zabije.

?        ??

Januszewiczowa była coraz bardziej zdenerwowana. Dochodziła północ, a mąż nie wrócił z ryb. Jego komórka milczała. Takie spóźnienie nigdy mu się nie zdarzyło; przecież w poniedziałek o siódmej rano zaczyna odprawę w szpitalu. Nie chcąc

243

denerwować dzieci - córka mieszkała osobno, syn student akurat był w Warsza-wie, zadzwoniła do przyjaciela domu - Pawła. Uprosiła go, aby jeszcze tej nocy pojechali nad jezioro; może Wackowi coś się stało, potrzebuje pomocy?

Godzinę później byli na miejscu. Paweł znał dojścia do wody, bo wielokrotnie łowił razem z Januszewiczem.

Wołali, świecili latarką, rozpalili ognisko, przeszukiwali przybrzeżne krzaki. W pewnej chwili kobieta dostrzegła na trawie brunatne plamy.

- Co to? - szepnęła wystraszona, dotykając lepkiej mazi z białymi kłaczkami.

- Pewnie tutejsi sarnę skłusowali. Żyją z zasiłku, pieniędzy nie mają, to szukają mięsa w lesie - pospieszył z wyjaśnieniami jej towarzyszy. Ale uważnie rozejrzał się wokół, aby zapamiętać to miejsce. Ślady krwi bardzo go zaniepokoiły. Obszedł jeszcze okoliczne krzaki, niczego jednak nie zauważył.

A ciało doktora, przysypane liśćmi, leżało kilka kroków dalej.

Prosto znad jeziora pojechali na posterunek policji. Już dniało.

O tej samej godzinie z popegeerowskich bloków wyszła z wiklinowym koszykiem matka Jarka. Zamierzała nazbierać grzybów i stanąć z nimi na skraju szosy, może ktoś kupi. Była zła na syna, że jak poszedł w sobotę na wesele kuzynki, to jeszcze nie wrócił. Liczyła na to, że zajmie się sprzedażą, może będzie miał większe szczęście i zatrzyma się przy nim samochód. Nie zabierałaby mu tych paru złotych, niechby sobie uskładał na rower, stary nadawał się już tylko na złom. Ale Jarek nie wrócił na noc.

- Pewnie zapił i śpi gdzieś pod drzewem, żeby się tylko nie przeziębził - martwiła się, chodząc po lesie. Z synem od kilku już lat były same kłopoty - marnie się uczył, ledwo dociągnął do ostatniej klasy podstawówki. Do roboty miał dwie lewe ręce; gdy przez znajomości dostał się na pomocnika tynkarza do firmy budowlanej, po tygodniu urwał się, nawet dniówki nie odebrał. Chciała jakoś na niego wpłynąć, przekonać, że życie sobie marnuje, ale nie dopuszczał jej do słowa; co zaczęła, to odpowiedzią było trzaśnięcie drzwiami i już go w domu nie było.

Gdyby jej Józek żył, zmusiłby syna do roboty; Jarek bał się jego ciężkiej ręki. Chociaż, ostatnio coraz mniej. Chłopak zorientował się, że od czasu, gdy zamknęli PGR, ojca nic już nie obchodziło. Od rana pił, a gdy kończyły się pieniądze z zasiłku, brał na kreskę w spożywcym. W końcu w pijackim zamroczeniu zawiązał pętlę na gałęzi i się powiesił.

Maria Pacułowa westchnęła ciężko - ile jeszcze lat będzie dźwigać ten krzyż? 19-letni Jarek najstarszy, jeszcze dwie córki ma na wychowaniu. Dobrze, że chociaż one chętne do nauki, zwłaszcza Julka, może nawet pójdzie do liceum?

Uzbierała głównie maślaków, bo na prawdziwki było w lesie za sucho. Żeby stanąć na warszawskiej szosie, musiała przejść przez wieś. Spieszyła się, aby zająć najlepsze miejsce, za zakrętem, ale raz po raz zatrzymywał ją jazgot koguta na milicyjnym wozie.

244

- Utonął ktoś, a może pobili się na weselu u kuzynki? Żeby tylko Jarek coś nie narozrabiał, družbą był, pewnie wypił sporo, a wtedy nosi go, wszystkich by po kątach rozstawiał - nagle się zaniepokoiła.

Podeszła do sklepu, koło którego, choć jeszcze zamknięty, stała grupka ludzi. Niektórzy, ci z dalszych okolic, mieli ze sobą rowery. Zapytała, co się stało.

- Letnik zaciukany leżał nad jeziorem. Ten doktor, co tu stale przyjeżdżał - powiedział dawny kumpel jej męża. - Wszystkich chłopaków we wsi przepytują, bo samochód też przepadł. Twój Jarek w domu?

- A gdzie ma być? Wesele u Jadźki odsypia - udała zdziwioną i szybko chwyciła za kosz. Nie pójdzie na szosę. Pośle z grzybami Julkę. Dręcząca myśl o nie wiadomo gdzie pętającym się Jarku kazała jej wracać do domu.

Syna nadal nie było, choć od weselników po sąsiedzku goście dawno wyszli. Pojechała rowerem nad jezioro, ale niczego się nie dowiedziała. Wszystkie dojścia do wody obstawiała policja; mundurowi przeganiali gapiów.

Tej nocy nie zmrzyła oka. Cały czas nasłuchiwała, czy nie trzaśnie furtka przed domem, nie zazgrzyta klucz w drzwiach. Ale nie doczekała się powrotu syna. W poniedziałek o wpół do ósmej rano zadzwoniła do Roksany Bieluch, dziewczyny Jarka, mieszkającej w sąsiedniej wsi - może ona wie, gdzie jest teraz.

Niczego się nie dowiedziała. Roksana na każde pytanie odpowiadała w kółko tak samo - od wakacji nie spotyka się z Jarkiem, bo rodzice jej nie pozwalają. A teraz przeprasza, musi kończyć, bo zaraz ma autobus do szkoły.

Pacułowa domyśliła się, że dziewczyna nie jest sama w domu i dlatego kłamie. Widziała ją przecież kilka dni temu na przystanku autobusowym, jak całowała się z Jarkiem.  
???

Roksana rzeczywiście nie powiedziała prawdy. W nocy z niedzieli na poniedziałek dostała SMS-a od Jarka. Żeby wyjrzała przez okno. Natychmiast uchyliła firankę - pod furtką na zgaszonych światłach stał, jak zeznała potem, wypasiony samochód, a o jego maskę opierał się jej chłopak.

- Taką bryką pojedziemy do Olsztyna - ponownie wysłał jej na komórkę wiadomość. I jeszcze: „Pa pa pa, całusów sto dwa”.

„A ja tysiąc dwa” - odpisała i pomachała mu na pożegnanie.

Rano była zaspana i jeszcze ten kłopotliwy telefon do Pacułowej, odebrany w kuchni, pod surowym spojrzeniem matki. W przelocie chwyciła naszykowane kanapki do szkoły, przepędziła od furtki psa Puszka, który chciał ją odprowadzić na przystanek. Goniło ją pytanie matki, ile ma dziś lekcji, bo nie wie, na którą robić obiad.

Nie poszła do szkoły. Nie miała takiego zamiaru - w jej plecaku nie było ani jednego zeszytu. Włożyła tam kilka bluzek, 160 złotych i wszystkie swoje zdjęcia,

245

jakie znalazła w domu. Co do fotografii, był to pomysł Jarka. - Mogą wysłać za nami listy gończe - powiedział jej w dniu, w którym zaplanowali ucieczkę. - Niech więc sobie rysują portret z pamięci.

W poniedziałkowy rano Roksana wysiadła z autobusu naprzeciw swego liceum ale zamiast kierować się w stronę bramy, skręciła za róg, gdzie już czekał Jarek w sa-fx, mochodzie.

- Chwila - powstrzymała go, gdy zapalał silnik. Pobiegła do sklepu po drugiej stronie ulicy, kupiła cztery pączki. Ekspedientka знаła ją, jak większość uczniów z pobliskiej szkoły. Gdy kilka dni później pojawili się w sklepie funkcjonariusze policji i wypytywali o zaginioną Roksane, od razu przypomniała sobie te pączki. Dokładnie też opisała wygląd samochodu marki Audi, do którego biegła dziewczyna. Bo wyszła na próg, gdy powietrze rozdarł ryk startującego na najwyższych obrotach auta. Jedyne klient w sklepie, który też obserwował „rajdowy” popis, zaklął ze zdenerwowania, życząc szalonemu kierowcy, aby za najbliższym zakretem nadział się na drogówkę.

Nie, nie przyjrzeni się twarzy kierowcy. To wszystko działo się tak szybko.

???

Żona zamordowanego chirurga zeznaje w prokuraturze, że z palca prawej dłoni męża ktoś zdarł obrączkę. Nie ma też zegarka, portfela, dokumentów.

Przyjaciel domu ułożył listę mieszkańców Zakola, którzy kręcili się, koło samochodu Januszewicza, gdy lekarz przyjeżdżał nad jezioro. To były głównie nastolatki, polujące na kilka złotych za pilnowanie rzeczy wędkarzy pozostawione na brzegu. Na liście nie ma chłopca o wyglądzie Jarka Pacuły; widocznie nie rzucił się warszawiakom w oczy.

Policja podąża tym tropem, który, jeśli chodzi o nazwiska, okazuje się mylący. Ale w ostateczności pożyteczny; do akt śledczych trafia wiele informacji o wałęsających się młodych mężczyznach z okolicznych wsi. Takich, którzy nie chodzą do szkoły, a przysłowiowy piasek w rękawach, uniemożliwia im zabranie się za jakąkolwiek robotę.

- A skąd pieniądze na dyskoteki? - docieka policjant przesłuchujący jednego z wyjątkowo rozgadanych chłopaków.

- Mało to w okolicy daczy, altanek? - dziwi się 16-latek - pójdzie się, coś zwędzi i opyli na bazarku. Na piwo wystarczy.

- A policja was nie łapie? - wypytuje młody funkcjonariusz, który w tej pope-geerowskiej wsi jest po raz pierwszy.

- Frajerów czasem łapie - odpowiada ze wzruszeniem ramion przesłuchiwany. Taki Jarek od Pacułów na przykład wpadł za trzecim razem i teraz pójdzie siedzieć. Jak nie ucieknie - chłopak dodaje z cwany uśmiechem.

Posterunkowy, zapisując nazwisko Jarka, stawia przy nim wykrzyknik. Jeszcze tego samego dnia

puka do drzwi mieszkania Pacułowej.

O

A tam płacz matki i jej dwóch córek: jak wyszedł dwa dni temu na wesele, ^ jeszcze nie wrócił, może się utopił albo spotkało go inne nieszczęście? Pacuło-wa już obesza wszystkich jego kolegów, nikt nic nie wie. Teraz cała nadzieja w policji.

PM

Funkcjonariusz zakłada arkusz przesłuchań świadka Marii Pacuły. Spisuje wszystkie informacje o weselu kuzynki Jarka - kto się tam bawił, kto ostatni go wi- CO dział. Te zeznania to początek nitki z kłębka. Kilka godzin później śledczemu jest już wiadomo, że w niedzielę wieczorem młody Pacuła wszedł do mieszkania świeżo poślubionej kuzynki, gdzie w kuchni ostatni goście zapijali klinem weselnego kaca. Przy stole kiwał się smętnie drużba, 17-letni Bartek Józefiak.

- Chodź ze mną - powiedział do niego Jarek. I chłopak posłusznie wyszedł z izby.

- Przynieś mi z chlewika siekiere, leży na pieńku - padło kolejne żądanie. To też zostało spełnione, bez wścibskiego pytania, po co w dzień poprawin siekiera.

???

Bartek Józefiak śpi, gdy matka potrząsa jego gołym ramieniem, krzyząc mu do ucha: wstawaj, policja do ciebie.

Jeszcze nie całkiem obudzony otwiera jedno oko i widzi tłum przy swoim łóżku. Siedmioro młodsze rodzeństwa, a nad tym drobiazgiem górującego policjanta.

- Całą poprzednią noc nie mogłem usnąć, tak się bałem, co teraz będzie - to pierwsze słowa podejrzanego 17-latka, jakie zapisano na posterunku, gdzie prosto z łóżka zawiózł go milicyjny radiowóz.

Przesłuchiwany grzecznie i gorliwie odpowiada na pytania śledczego. Potwierdza, że w niedzielę był na poprawinach razem ze swoją dziewczyną - Elą Pacułą, siostrą Jarka. Potem poszedł z Jarkiem w kierunku jeziora.

- Zapytałem, gdzie idziemy, a on, żeby ukraść samochód. Bo chce wyjechać z Polski, nim mu przywałą więzienie za włamanie się do domu wczasowego po sezonie. Ukradł rower, taczkę i jakieś meble. Prokurator powiedział, że teraz już nie będzie wyroku w zawiasach - recydywiście odroczenie nie przysługuje.

Józefiak twierdzi, że mieli tylko pobić „doktorka”. Do nieprzytomności, żeby dało się obszukać kieszenie i wyciągnąć z nich kluczyk do samochodu.

- Na samochód nie liczyłem, bo Jarek chciał go zabrać, żeby uciec z Roksana, ale mogły trafić się pieniądze albo rzeczy, które da się sprzedać.

Jakkolwiek Józefiak nie przyznał się do udziału w morderstwie Januszewicza, prokuratura postawiła mu taki zarzut.

Następnie policja dociera do domu Roksany Bieluch. A tam rozpacz - jedyne dziecko uciekło z domu.

- Dlaczego nam to zrobiła? - płacze matka - kto ją zbałamucił? Przecież była dobrą uczennicą, chcieli, aby poszła na studia. Pierwsza w rodzinie.

247

a

Nie zostawiła żadnego listu pożegnalnego, z domu zabrała wszystkie swoje zdję. cia. Dlaczego?  
Aby wymazali ją z pamięci?

Policjant pyta, jak dziewczyna była ubrana w dniu, gdy rzekomo pojechała autobusem do szkoły. Matka pamięta każdy szczegół garderoby: bawełniany sweterek w niebiesko różowe poprzeczne pasy, biała spódniczka, podkolanówki w różyczki, srebrzyste adidas. Na lewym uchu dwa kolczyki, na prawym cztery. Krótka, postrzępiona grzywka. Włosy Roksanka ostatnio tleniła na blond, z rudymi pasemkami. Tak, wzięła ze sobą komórkę na kartę, ale jej numer nie odpowiada.

- Błagam - prosi Bieluchowa - szukajcie mojego dziecka. Policjant pyta o najbliższą przyjaciółkę zaginionej. Owszem, jest taka, ma na imię Monika, chodzą do jednej klasy.

Dziewczyna jest wystraszona, pierwszy raz zeznaje przed umundurowanym funkcjonariuszem, ale ostatecznie okazuje się gadatliwa. Tak, widziała, kto zajechał pod szkołę zielonym audi. To był Jarek od Pacułów. Nawet zdziwiła się, bo on dotychczas poruszał się rozklekotanym rowerem, nawet pedały w nim odpadły. I rzecz jasna, nie miał prawa jazdy. Żadnego chłopaka w ich wsi nie stać na prawo jazdy. Pod liceum przyjeżdżał codziennie, Roksana nawet się denerwowała, że jeszcze ktoś doniesie do jej rodziców, którzy zabronili jej spotykać się z Jarkiem.

- Czy Roksana mówiła, gdzie jadą?

- Nie, tylko, że zaczyna nowe życie. Była bardzo szczęśliwa, odjeżdżając posłała mi całusa, takiego filmowego, co to niby sfruwa z dłoni.

Policja gubi trop. Po tygodniu chybionych poszukiwań Roksany i Jarka pojawiają się listy gończe. Drukuje je kilka gazet, pokazuje też regionalna telewizja.

W tym czasie zakochana para zamyka się w kawalerce na olsztyńskim osiedlu mieszkaniowym. Roksana już wie, że jej chłopak jest mordercą. Dowiedziała się o tym pół godziny po opuszczeniu Zakola. Zjedli pączki, nastawili z kasety 0arek zabrał z domu wszystkie, jakie miał) ostrą, rąbaną muzykę rodem z heavy metal i nagle chłopak, przekrzykując ulubionych Scorpions wyznał, że zabił człowieka.

Ona najpierw oniemiała, potem zaczęła płakać, ale gdy powiedział, że to niechcący, musiał zdobyć samochód, aby mogli uciec w świat, zdecydowała, że od tej chwili są ze sobą na dobre i na złe. Razem będą się ukrywać. Więcej do tego tematu nie wracali.

Jak zeznała potem na policji, lokum w nieznanym im Olsztynie znaleźli od razu. Ledwo wjechali na rynek, podszedł do nich, „mężczyzna o wyglądzie dopiero co wypuszczonego z więzienia” i zaproponował użyczenie swej kawalerki - za pomalowanie jej. Farbę miał dostarczyć właściciel.

Od razu się zgodzili, ale przez cały tydzień nie zabrali się do roboty, bo ten człowiek się nie pokazał. Gdy wreszcie przyszedł, miał w rękę miejscową gazetę z wydrukowanymi listami gończymi. Kazał im natychmiast się wynosić. Ledwo wyszli na ulicę, zatrzymała ich policja.

Taka była wersja Roksany pierwszego dnia przesłuchań. Wtedy jeszcze twierdziła, że przyjechali samochodem wujka Jarka, co się o tyle zgadzało, iż zielone audi doktora zostało znalezione pod blokiem na olsztyńskim osiedlu, w którym mieszkał ów krewny Pacuły.

Dziewczyna początkowo usiłowała wybielać swojego chłopaka. W pierwszych godzinach po zatrzymaniu twierdziła nawet, że przypadkowo spotkała go w Olsztynie, a uciekła z domu z kimś innym, poznanym w internecie. To kłamstwo było jednak tak nieporadne, szyte grubymi nićmi, że po kilku nieudanych próbach odbijania krzyżowych pytań śledczego z płaczem przyznała się do konfabulacji. Okazało się, że ów nieznajomy dobroczyńca z olsztyńskiego rynku był dobrym znajomym wujka Jarka, i to on przygotował bratankowi ucieczkę z Zakola.

Inaczej wyglądało przesłuchanie Jarosława Pacuły. Z początku stawiał się, zaprzeczał

wszystkiemu, twierdził, że o morderstwie lekarza usłyszał po raz pierwszy od policjantów. Stanowczo domagał się oddania mu pieniędzy - 248,85 zł - które zostały zarekwirowane, jako prawdopodobnie ukradzione doktorowi.

Po nocy spędzonej w areszcie przyznał się do morderstwa. Potem usiłował zbiec z komendy, funkcjonariusze użyli siły. Tę sytuację opisał później z aresztu w liście do kolegi: „Na policji na samym wejściu dostałem gnatem od tego rozjechała mi się szczeka i kichawa”.

Roksanę z kilkudniowego uwięzienia odebrał ojciec. Była przerażona. Już w obecności policjantów przepraszała go za to, co zrobiła.

Jarek został w celi, skąd pilnie wysyłał listy do mieszkańców rodzinnej wsi.

???

Prokurator potraktował tę korespondencję jako materiał dowodowy; w czasie procesu listy zostały odczytane w sali sądowej.

Jarosław Pacuła do Marcina, kolegi z jego wsi:

„Siemka ziomo.

Na początek pisania wyjeżdżam ci z ręką do przywitania. Zostałem zatrzymany i przebywam w pierdlu. Jestem oskarżony o zajebanie jakiegoś doktora z Warszawy i wypożyczenie jego audicy. Zagonił mnie ta k... Bartek który zeznał że zabiłem i nawet nakręcił wizje lokalną. Ja do niedzieli byłem na wolności i zajebisty był ten tydzień na wolności. Sam na sam ze swoją panienką na swoim kwadracie z kasitą też nie było problemu. Miałem zajebiście. Byle czego to ja nie jadłem. Westy się paliło, browary codziennie, bo było mnie na wszystko stać. Brakowało to się wyskoczyło do sklepu. A tak, to cały czas leżałem z kobitą (...) było 15 razy dziennie na wesoło i w nocy jak się przebudziłem. Teraz wszystko się urwało ale biorę to lajto-wo. Nie wiem czy czytałeś o mnie w gazetach chyba we wszystkich i w szkiełku. Byłem sławny”. (W oryginale wyrazy wulgarne w pełnym brzmieniu i liczne błędy ortograficzne, dotyczy to wszystkich cytowanych listów).

Kartka jest upstrzona rysunkami potwora z wilczymi kłami. Przypomina to mazanie sprayem w mrocznych tunelach dworcowych. Do Roksanę:

i—ł

Siemka mała

?X3

-5J\*

Na początek mego pisania przesyłam uściski do przeczytania. U mnie to co dzień pobudka apel śniadanie później leżę do obiadu a po obiedzie leżę do kolacji. Teraz jest trochę, przejebane, bo chcieli mnie zawiesić po tym buncie. Ta k... Bartek mnie wrobił i na razie mu się udaje. Ale mam nadzieje ze sąd będzie po naszej stronie i uważaj to on zabił człowieka. Ja robiłem różne rzeczy nieraz kolegów pobiłem nieraz coś skradłem, ale nie byłbym zdolny do zabicia człowieka i nawet na komendzie powiedzieli, że Józefiak to zwyrodnialec.

W piątek graliśmy w d... jeb... przegrałem parę szlucgów a w sobotę biłem się z tym, który mi się naraził. Teraz mam zakaz wychodzenia na spaceriak. Ale to nie szkodzi leżę w koju i patrzę na ciebie zdjęcie mam z gazety tej, w której psy wypuściły za nami listy gończe. Pa, pa, pa, całusów sto dwa. Do matki:

Siemano. To, co piszą w tej gazecie to nieprawda, to pierdolony Józefiak zabił a mnie w ogóle nie było tam. Ja tylko jeździłem samochodem, bo mi go dat. Powiedz małej niech się przyzwyczaja do mojej nieobecności, bo tak szybko to nie będę. Pokoik może se wziąć i niech się opiekuje szcurkiem. Powiedz jej niech wyjmie moje zdjęcie z wycieczki z ramki, bo nie chce być razem z tą parową Bartkiem. Powiedz jej że żeby nie ta k... to bym nie siedział.

„Mała” z listu, to młodsza siostra Ela, dziewczyna Bartka Józefiaka. Jarek wyróżniał ją spośród swego rodzeństwa, ona ani przez moment nie uwierzyła, że brat ma na sumieniu morderstwo. Zarówno w czasie śledztwa, jak i na sali sądowej Ela broniła oskarżonego. Gdy któryś ze świadków powiedział, że młody Pacuła kolekcjonował różnego rodzaju noże i zawsze miał jakiś przy sobie, dziewczyna wyjaśniła, że „tak mu się zrobiło” po samobójczej śmierci ojca. Bardzo przeżył tragedię, przez tydzień nie wychodził z domu, głównie leżał na łóżku i patrzył w sufit. A potem

ubzdurał sobie, że musi chodzić z nożem, aby w razie czego zdążyć z odcięciem jakiegoś niedoszłego samobójcy.

Inna rzecz, że w Zakolu kilku byłych pegeerowców odebrało sobie w pijanym widzie życie.

-Jarek w głębi duszy był całkiem inny niż na wierzchu - przekonywała sąd Ela - miał czułe serce, opiekował się szczurkiem hodowanym w klatce. Nawet z aresztu pisał do mnie, abym nie zapomniała nakarmić zwierzaka. A gdy malował coś w zeszytce, często puszczał sobie kasetę z bajkami.

???

250

po oskarżeniu brata o najcięższe przestępstwo Ela musiała wybierać - albo uwięzić - albo prokuratorowi, albo Jarkowi. Brat wbrew temu, co zeznał na policji, pisał do siostry, że nie miał nic wspólnego z morderstwem. Całą winę zrzucił na Józefiaka.

Dziewczyna uwierzyła bratu. W miesiąc po zabiciu doktora napisała do swego chłopaka zamkniętego w areszcie: ^

Siema! CO

Nie spodziewałabym się tego po tobie to wszystko przez ciebie chciałeś bronić swojej dupy i myślałeś że ci się uda a tu nicy z tego każdy to powie. Nie pisz więcej listów, EH bo cię znienawidziłam za to co zrobiłeś mojemu bratu a po drugie mam już chłopaka który od dawna za mną szalał na pewno będzie lepszy od ciebie o 100 procent.

Na końcu listu narysowała czerwoną szminką krwawiące serce, które przekreśliła na krzyż. I jeszcze słowa: Kiedyś byłeś w moim sercu ale już nie jesteś.

Bartek na list nie odpisał. W tym czasie spotkało go jeszcze jedno nieszczęście - był dręczony przez współwięźniów w celi. Zrobili z niego tzw. cwela. Miał w tym udział wujek Jarka, aresztowany pod zarzutem pomagania bratankowi w sprzedaniu samochodu zamordowanego lekarza.

Wkrótce po osadzeniu w celi - w tej samej, w której siedzi Józefiak, przemyca Jarkowi gryps:

Siema. Bartek to k... ty weź on nam wszystkim ubliża. Pier... o naszych sprawach klawiszom Ja tego k... nie daruję, napisz mi czy jechać mu przez lipę nie zrobię tego sam tylko porozmawiam z chłopakami tu jest kilku ziomali.

W grypsie wujek radzi też Jarkowi, aby przed prokuratorem udawał psychicznego („cały czas świruj”).

Jarek daje wujkowi zgodę na pobicie Bartka i zapowiada, że jego też on popamięta: „Teraz tylko jedno myślę i nie mogę się doczekać spotkania z tą parową a dlaczego to pomyśl. Nawet i po ćwiarze dopnę swego”.

„Ćwiara” - to w więziennej mowie 25 lat za kratkami. W miarę zbliżania się procesu, Pacuła przypuszczał, że w najgorszym razie może otrzymać taki wyrok.

Bartek do maltretowania go w celi przyznał się dopiero na sali sądowej. Wcześniej, w listach wysyłanych z aresztu, udawał przed kolegami, że wszystko w porządku. Zdawał sobie sprawę, że nikt mu nie będzie współczuć. W jego środowisku bohaterem był twardziel. Najlepiej po wyroku. Jego korespondencja z rówieśnikami była oszczędna i do wszystkich taka sama, jak przez kalkę: Do Rafała:

„Co tam porabiasz Hary, bo ja jakoś żyję. Chyba wiesz że ten ch... Jarek wszystko chce na mnie złożyć zwać że to wszystko zaplanowałem. Hary co tam u ciebie słyhać, bo u mnie same nudy. Teraz musieliśmy oddać telewizor jedyne co zostało to radio. Co pewnie chlejesz co Hary?. Będę powoli kończył ten krótki list Hary. Odpisz szybko. Pozdrów chłopaków.

251

Co innego Pacuła. W areszcie wiele czasu spędzał nad kartkami wyrwanymi ze szkolnego zeszytu. Najwięcej listów dostawała Roksana. Najmniej miał do powiedzenia matce. Zazwyczaj korespondencja ograniczała się do upominania się o paczkę. Zawsze kończyło ją polecenie: „I utrzymuj kontakt z Roksana bo ja jeszcze chce ją zobaczyć”.

Matka swoje listy do syna komuś dyktowała - może starszej córce? Wyzierała z nich nieporadność w wyrażeniu uczuć i jakby lęk przed rozmową z Jarkiem. Powtarzała się prośba, aby chciał zeznawać przed prokuratorem. Bo milczenie nic tu już nie da, tak jej powiedział adwokat. W każdym liście zapewniała, że przypominała Roksanie, aby wiernie czekała.

O sobie Pacułowia nie wspominała ani jednym słowem. Choć miałyby do przekazania synowi szczególną nowinę - oczekiwała narodzin dziecka. Jego ojciec, mieszkaniec pobliskiej wsi, właśnie się do niej przeprowadził. Może wstydziła się późnego macierzyństwa, zwłaszcza, że we wsi gadali: jeden syn jest już na zmarnowanie, to sobie drugiego zrobiła.

Jarek czas za kratkami mierzył swoją miarą. W listach do Roksany roztaczał przed nią plany, co będzie, gdy wyjdzie na wolność:

Na początku mego listu pragnę ci przesłać cmokasa wielkiego. Wiesz słonko że cię kocham tęsknie za tobą. Pójdę do ciebie i nie będę zwracać uwagi na przeszkody jak poniesiony byk. Nie martw się o to, co ci teraz mówią. To się zmieni. Jak wyjdę będą z daleka do ciebie krzyczyć dzień dobry pan... A jak zobaczą że idę to wszystkie te k... będą spier... do swoich bud jak psy.

Możesz być ze mnie dumna słonko mnie tu szanują a największy szacunek bierze się stąd, że ja grypsuje. Moja cela jest najgłośniejsza śpiewamy jabu daba da, dostałem za to już drugi kwit ale mam przejebane. My tu razem z innym więźniem znęcamy się nad dwoma frajerami. Jedne skur... siedzi za pobicie żony a ja jestem uczulony na takie rzeczy. Ten drugi za znęcanie się nad rodziną przez niego 15-let-nia córka się truła.

Roksana odpisywała, że będzie czekać na „swojego misia” nawet 25 lat. On miał chyba jednak chwile zwątpienia, bo po którymś takim zapewnieniu dziewczyny odpowiedział, że na „wszelki wypadek jak k... wyjdę a ty będziesz miała męża i dzieci, to wymyśliłem już co zrobię, jak tak będzie. Bo ja mam zrytą psychikę na twoim punkcie”.

Chyba to był przełomowy moment, aby 17-letnia Roksana uświadomiła sobie, że jest dziewczyną mordercy. Zaczęła się go bać. I zaprzestała pisanie listów. A na widok Pacułowej przechodziła na drugą stronę ulicy.

Wieści o tym szybko rozniosły się wśród młodzieży Zakola i do aresztu na adres Pacuły zaczęły napływać miłosne listy od jego koleżanek. Wszystkim adresat jawił się jako macho; chciały z nim chodzić, gdy tylko wyjdzie na wolność, a póki co, obiecywały przyjeżdżać na widzenia.

Z lawiny ofert Jarek wybrał Milenę.

Na początku mojego pisania przesyłam ci moc uścisków do przywitania. Nie gniewaj się że cię zapomniałem ale ja mam taką kur... pamięć. Co jak co ale muszę ci napisać, że zajebiście wyszłaś na tym zdjęciu. Teraz mam je przyklejone koło koja. jylam już kilka zdjęć na ścianie same dziewczyny z Zakola. No widzisz nie przysłałaś mi w zeszłym roku zaproszenia na urodziny to nie pojechałem, bo mówię nie będę się wpraszał. Teraz żałujesz, bo ze mną byłoby fajnie. Ale nie kumam... Raz przeczytałem, że ciągle mnie wspominasz ale wszyscy wiedzą jaki jest powód drugi raz wypytujesz się Roksany. Ch... wie o czym ona ci gada. Weź i dopier... jej tak żeby wyglądała jak jej kolega, z którym się puszcza. Jej kolega Andrzejek ma już na ryju pamiątkę to i tyją potnij. Ale wyjebane mam. Ja nie chcę jej oglądać i żadnych listów od niej niech się dyma, blać.



Ostatnio tego frajera Bartka przerzucali tam gdzie siedzą moi ziomkowie i mają razem spacer. Powiedziałem jednemu żeby kazał tej parowie spać na kiblu. Nie pisz do tej k... y bo nie warto to będzie cwel a z cwelem nikt nie będzie się zadawał.

Co mi dziękujesz że zacząłem mówić do ciebie Mileńko ja to się dziwie że wcześniej mnie nie zjebałaś za to że wcześniej tak nie mówiłem. Narysowałaś mi kon-dona i podpisałaś nie pękaj. Jesteś zajebista.

???

W czasie rozprawy Jarosław Pacuła zachowywał się butnie. Dogadywał świadkom, na pytania prokuratora odpowiadał: - Panu to ja już podziękuję.

Roksana Bieluch wezwana jako świadek na widok oskarżonego zemdląca. Na korytarzu sądowym troskliwie opiekował się nią jej nowy chłopak.

Sąd wymierzył Pacule karę dożywocia; z warunkowego odbycia kary może skorzystać po 40 latach. Jest to wyrok prawomocny. Józefiak został skazany w pierwszej instancji na 25 lat. Tę karę w sądzie apelacyjnym zmieniono na 12 lat.

Ostatni list Jarka do Roksany:

Siemasz

Słyszałem że ładnie się bawisz. Od początku wiedziałem że pójdziesz się jeb... Teraz nienawidzę cię najbardziej na świecie. To ty mnie namówiłaś, byłem gotowy wszystko dla ciebie zrobić. I dlatego tu się znalazłem. Ale na każdego z nas czeka wyrok. Odsiedzę swoje i wyjdę a ten wyrok, co zapadł na ciebie jest nie do zmiany. Muszę widzieć strach w twoich oczach. Pozdrów Milenę ona jest 1000 razy lepsza od ciebie.

\* Nazwiska i nazwa miejscowości zostały zmienione

Jadę dorobić klucze - powiedział Waław Sikorski\* do żony Krystyny, właśnie obie rającej ziemniaki. - Poczekaj trochę ze wstawianiem kartofli, wrócę za pół godziny

O "C/3

~~ , T — t— 6"v!Łuiy.

"~ Już był w drzwiach, gdy przypomniał sobie, że nie wziął pieniędzy. - Daj mi ja-i\*i kiś grosz - zawołał.

Wyciągnęła z portmonetki 100 złotych.

J2 - Coś ty taka skąpa, na dziewczynki nie starczy - zaśmiał się i pocałował żonę w policzek.

Stała przy oknie, gdy wyszedł z klatki bloku. Spojrzał w górę, w kierunku ich mieszkania na pierwszym piętrze. Pa, pa, pomachał ręką. Patrzyła, jak wsiada na poc2) bliskim parkingu do samochodu. Nie od razu zapalił. Odkręcił szyby, pootwierał drzwi; w ten upalny dzień wóz był mocno nagrzwany. Na kuchence bulgotało, ale nie odchodziła od okna.

Wreszcie zapaliły się światła cofania, potem lewy kierunkowskaz. Ruszył. I w tym momencie rozległ się huk, błysnęły płomienie, ktoś na ulicy krzyczał, coraz więcej ludzi biegło w stronę parkingu.

?^ Zamknęła okno, zdjęła kuchenny fartuch. Zosia, 14-letnia córka, wyszła ze swego pokoju. - Idziemy - powiedziała matka. - Chyba, że nie chcesz oglądać.

^Jj Sikorski zdołał wyczołgać się z płonącego samochodu. I zaraz upadł. Był żywą pochodnią. Parkingowy odciągnął mężczyznę od płomieni, usiłował zerwać z niego ubranie. Niestety, koszula ze sztucznego tworzywa wtopiła się w skórę. Poparzony jęczał, prosił o wodę. Nim ją przyniesiono, przyjechało pogotowie. Na pytanie sanitariusza do zgromadzonych gapiów, czy jest ktoś z rodziny ofiary, nikt się nie odezwał.

Sikorski zmarł w szpitalu trzy godziny później. To było 20 czerwca 1995 roku.

Wieczorem do drzwi jego mieszkania zapukała sąsiadka Elżbieta Butek. Znali się od kilkunastu lat. Samotnie żyjąca Elżbieta uznała za swój obowiązek pocieszyć wdowę. Siedziały do trzeciej nad ranem. Krystyna płakała i martwiła się, jak sobie teraz poradzi z dwójką dzieci. Nie miała wykształcenia, ukończyła tylko szkołę podstawową. Dom utrzymywał mąż; od lat wyjeżdżał ze

swoim przedsiębiorstwem budowlanym na kontrakty do Niemiec.

Był wykwalifikowanym spawaczem, dobrze zarabiał w markach, które miały w Polsce bardzo korzystny przelicznik. Krystyna zastanawiała się, czy ten wybuch nie wiązał się z faktem, że kilka miesięcy wcześniej wykupili na bazarze budkę do handlowania wędlinami. Ale interes nie szedł, szybko się wycofali. Może mąż się z kimś nie rozliczył?

Ojciec Sikorskiego chciał pochować syna w rodzinnej wsi na Mazowszu. - Zgódź się, Krysiu - prosił. - Ja ledwo chodzę, do Warszawy mi za daleko, nawet nie będę się mógł pomodlić nad grobem jedyne go syna. Tobie łatwiej do nas przyjechać, przy okazji wnuki nam przywieziesz.

Obruszyła się: - Jakby to wyglądało, tato. Przecież tu wszyscy w bloku nas znają, jakie ja bym sobie świadectwo wystawiła!

254

Niczego nie załatwił, a jeszcze wyciągnęła od teścia całą emeryturę, którą dopiero ^ co odebrał od listonosza. Płakała, że nie ma za co pochować Wacka. Wszystkie o oszczędności włożyli na przedpłatę za nowy samochód; jeśli teraz wyjmie, prze- Q padną procenty. pą

Na pogrzeb przyszło bardzo dużo ludzi. Chyba pół warszawskiego osiedla - koledzy Sikorskiego z pracy, delegacja ze szkoły. Krystyna bardzo rozpaczała. Ani na moment nie ustawało jej łkanie dochodzące spod czarnego welonu zarzuconego na 5^ twarz. Trząsał się od płaczu 10-letni Michaś, syn zmarłego. Tylko Zosia nie uroniła ani jednej łzy; gdy otwarta jeszcze trumna była wystawiona w kaplicy, nawet nie podeszła do niej. Cały czas stała w drzwiach.

- Biedne dziecko, zamknęła się, nie wiadomo, jak do niej dotrzeć - szeptały do ;~ siebie w drodze na cmentarz kobiety z bloku, w którym mieszkał Sikorski. Wszyscy CNJ wspominali go jako czynnego, pogodnego lokatora. I w takich męczarniach zginął!

Policja odczekała taktownie dwa dni i przesłuchała wdowę. Było już wiadomo, że w samochodzie została podłożona bomba. Nieznany tylko pozostawał sprawca. ???

Krystyna Sikorska wskazała na pewien trop. Zaraz po wyjściu męża zadzwonił telefon. Ktoś powiedział: „Zginiesz k.. marnie”. Nie zdążyła zareagować, gdy połączenie zostało przerwane. Nigdy nie słyszała takiego głosu. Wystraszona, podeszła do okna, chciała zawołać męża, aby wrócił, ale on już był przy samochodzie. Wykipiała jej zupa na płytę kuchenki, zajęła się wycieraniem. I w trakcie sprzątania usłyszała huk.

-Jestem przekonana - powiedziała - że śmierć męża ma związek z napadem z bronią na nasze mieszkanie w nocy z 15 na 16 czerwca. Mnie przy tym nie było, pojechałam z dziećmi do moich rodziców. Poprzedniego dnia parokrotnie odezwał się głuchy telefon. To, co zdarzyło się później, w szczegółach wiem od męża.

I opowiedziała o tej napaści: Wacław Sikorski drzemał przy włączonym telewizorze, gdy usłyszał chrobot klucza w drzwiach. Wiedział, że żona z dziećmi jest na wsi, dopiero co telefonowała stamtąd. Nie zapalając światła, poszedł na palcach do przedpokoju i w tym momencie drzwi na klatkę schodową otworzyły się. Zobaczył dwóch młodych mężczyzn, nie byli zamaskowani. Jeden z nich włożył stopę w szparę między framugą a drzwiami i zaczął strzelać.

Sikorskiemu udało się ukryć w kącie. Starał się nie wpuścić napastników, a równocześnie wołał o pomoc. To wystraszyło bandytów, uciekli. Szybko przyjechała wezwana policja.

- Właśnie po napadzie - wdowa zaniósł się płaczem - mąż zmienił zamki na solidne, patentowe. Chciałam, aby dorobił jeszcze jedną zapasową parę kluczy, ale to można było wykonać tylko w Śródmieściu. Dlatego poszedł na parking.

W notiesie policjanta jest jeszcze jedna informacja związana z napadem. Zaraz po ucieczce napastników w mieszkaniu Sikorskiego odezwał się telefon. Obecny tam

255

policjant podniósł słuchawkę i usłyszał: „Wiem, kto tu był przed chwilą, możemy się dogadać, mam na ciebie zlecenie”. - Ale kto mówi? - zapytał funkcjonariusz. I wtedy połączenie zostało przerwane.

Sikorska nie wspomniała w czasie przesłuchania o tej dziwnej propozycji.

???

Policja szuka wśród osiedlowych meneli osób, mogących mieć coś wspólnego ze śmiercią spawacza. Może skusił ich wypchany portfel ofiary?

Pierwszym zatrzymanym jest Eugeniusz Rączka. Rencista, stale przesiaduje w barze „Uroczy zakątek”. Przepytywany, co robił 15 czerwca, w Boże Ciało, odpowiada, że jak zwykle. Spotkał znajomego na Dworcu Południowym PKS. Kupili kilka piw, dwa wina owocowe i pojechali nad Jeziorko Czerniakowskie. Wypili, wrócili na osiedle, posiedzieli na ławce, trochę drzemiac. Wieczorem, gdy upał zelżał, poszli na piwo do „Uroczego zakątka”. O północy właściciel kazał im wychodzić.

- Czy zauważył pan może w barze jakichś dziwnych gości? - wypytuje śledczy.

Nie zauważył. Chociaż, chwileczkę, jednego. Pierwszy raz go widział. Taki ciemnawy, wyglądał na Araba. Prawie wbiegł tuż przed zamknięciem baru, od razu kupił wódkę, całą butelkę.

-Ja też się chciałem napić - opowiada Rączka - ale już nie miałem za co. Podeszedłem do tego gościa i mówię: postaw kolego na zapoznanie się. Ale on twardy, spier... mówi. Spróbowałem jeszcze raz go namówić, ssało mnie, może i byłem trochę namolny. Złapałem go za rękę. On się wtedy szarpnął, odwinęła mu się kurtka i zobaczyłem pistolet z kaburą. Zaraz potem wybiegł. Ja się teraz panie władzo przyznam, że wzięłem do kieszeni jego butelkę ze stolika, niedopita była. Opróżniłem ją w drodze do domu.

- A co z butelką? - zainteresował się policjant.

- A leży u mnie pod zlewem. Jak się uezbiera worek, zaniosę do punktu skupu.

Zbadano odciski palców na szkle. Jedne z nich należały do karanego już Palestyńczyka o ksywie „Ciemny”. W Polsce jest od kilkunastu lat, skończył studia na Uniwersytecie Warszawskim. Nie wiadomo, z czego żyje. Można go spotkać na stadionie 10-lecia.

Policja przesłuchuje też sąsiadów Sikorskich. Najwięcej do powiedzenia ma Elżbieta Butek, która z wdową po tragicznie zmarłym mieszka drzwi w drzwi.

Pięćdziesięcioletnia pani Elżbieta od kilkunastu lat prowadzi pamiętnik. Bardzo regularnie - wieczorem, w porze dziennika telewizyjnego (którego mimo włączonego odbiornika nie ogląda) notuje, co wydarzyło się w ciągu dnia. Ponieważ w jej samotnym życiu nie dzieje się nic ciekawego, Butek opisuje w 60-kartkowych zeszytach wszystko, co wie o sąsiadach. To okazuje się bardzo przydatne w czasie niespodziewanej wizyty policjanta w jej mieszkaniu.

Na pytanie, jak było z małżeństwem Sikorskich, Elżbieta Butek potrafi nie tylko wyrazić swoje zdanie („jak to w małżeństwie, raz lepiej raz gorzej, ale to był dobry

256

mąż, zawsze kupował jej róże na 8 marca”), ale i precyzyjnie podać, że trzy razy w ciągu minionych kilkunastu lat była u sąsiadów awantura. Ma to zapisane z datą i godziną.

I tak - 23 listopada 1990 roku o godz. 22.05 Sikorski, który tego dnia wrócił z zagranicznego kontraktu, wpadł w szal i siekierą poodcinał na korytarzu sąsiadom kable do dzwonek. - Poszło o to - tłumaczy przesłuchiwana - że w czasie jego nieobecności dorobiliśmy drzwi do części korytarza i jakoś tak wyszło, że akurat ten lokator miał zapłacić za większość robót.

Zrobiło się wiele krzyku; tym bardziej że oboje Sikorscy byli po kielichu („owszem, przy uroczystych okazjach lubili sobie pociągnąć z butelki”), ale następnego dnia on wszystkich przeprosił i do tego trochę niesprawiedliwego rachunku już nie wracał.

Kolejne dwie awantury - w odstępie kilku lat - kończyły się ostentacyjnym wyprowadzaniem się pani domu. Pakowała walizki, ściągała dzieci ze szkoły i fru... do rodziców na wieś. Raz nawet wóz meblowy zamówiła. Ale zawsze przedtem, żeby mężowi wstydu narobić, chodziła z płaczem po klatce i pytała sąsiadów, kto mógłby dać jej schronienie na jedną noc, bo ona progu własnego

mieszkania już nie przekroczy.

- Trochę narwana jest - zauważa Butkowa - lubiła, żeby ją na oczach wszystkich przeproszał.

A Sikorski już następnego dnia jechał po żonę na wieś, nigdy z pustymi rękami: a to futro miał na pogodzenie się, to znów coś od jubilera. Wrócili, trzymając się za rączkę. Potem on na kontrakt do Niemiec, a pani Krystyna zapraszała sąsiadki z piętra na kawkę z czymś mocniejszym, żeby prezenty pokazać.

- A czy po śmierci męża przyjmowała kogoś? - wypytuje funkcjonariusz.

Butkowa waha się, czy odczytać, co tam ma zapisane w zeszycie. Ale dobrze, powie całą prawdę. Wdowa już trzeciego dnia po pogrzebie balowała. Wieczorem odwiedził ją taki młody, chudy mężczyzna, z kobietą i dwuletnią dziewczynką. Pani Elżbieta pierwszy raz go widziała, ale widać znajomy, bo sobie „na ty” mówili. Koło pierwszej w nocy ze śmiechem wszyscy wytoczyli się do windy, jeszcze 14-letnia Zosia była z nimi. Ale małego dziecka nie zabrali. Zamówiona taksówka czekała pod blokiem. Nie minęła godzina, a do drzwi Butkowej zapukał wystraszony Michaś. Obudził go płacz tej dziewczynki w ich sypialni. Nie wiedział, co robić, a mamy i starszej siostry nie ma.

Pani Elżbieta wstała z łóżka i poszła do mieszkania Sikorskiej. Siedziała z dziećmi do czwartej nad ranem, póki nie przyjechała, podpita zresztą, gospodyni. Z gośćmi. I nawet nie powiedzieli jej dziękuję.

Policjanci depczą Palestyńczykowi po piętach. A on, nie domyślając się, że jest śledzony, nie zmienia rytmu dnia. Zawsze w południe zachodzi do pubu piwnego nad Wisłą i tam spotyka się ze znajomymi, dobija interesów. Ostatnio - zdradza właściciel knajpki - najczęściej czasu spędza z niejakim Saturninem Hardym. Niezły nygus

257

z tego Hardego; w ciągu całego swojego życia jednego dnia uczciwie nie przeprosił. Ma kilkaset złotych renty, nie wiadomo, z jakiego powodu. Gdy wpadnie mu trochę lewego grosza, lubi się zabawić; mogą być panienki, ale do chłopców też go ciągnie.

Przesłuchiwany Hardy nie ma nic do powiedzenia. Palestyńczyka, owszem zna ale dawno go nie widział, o bombie podłożonej w samochodzie wie tylko z telewizji. Pytany o innych znajomych wymienia m.in. nazwisko swej dawnej przyjaciółki Barbary Zaremby. Nie chce odpowiadać na dalsze pytania, jest bardzo zdenerwowany. - Myślicie - krzyczy - że jak człowiek raz siedział pod celą, to już ma na sumieniu każde przestępstwo w tym mieście! Okazuje się, że jako 19-latek dostał wyrok za zbiorowy gwałt.

U Barbary Zaremby policja zjawia się rano, gdy młoda kobieta jeszcze śpi. W czasie jej pospiesznego ubierania się z szafy wraz z kłębem pogniecionych ubrań wypada kilka pistoletów.

- Nie moje - gorączkowo wyjaśnia Zaremba. - To Hardego. Już kilka razy mówiłam mu, żeby zabrał żelastwo, ale on nie ma czasu, bo gzi się tą k... Bożeną, podobno ślub biorą.

I kobieta wybucha płaczem. Ledwo otarła łzy, oświadcza, że teraz powie coś bardzo ważnego. Otóż dziwkarz Hardy jest płatnym mordercą. Sam jej to powiedział w ubiegłym tygodniu, kiedy jeszcze mieszkał u niej.

Policjanci zamieniają się w słuch.

- Mówię szczerą prawdę - zarzeka się dziewczyna. - Pytał mnie, czy widziałam w telewizyjnej Panoramie wybuch na Mokotowie; chwalił się, że to jego robota. I że przedtem mieli z „Ciemnym” zastrzelić gościa, ale nie wyszło, więc Saturnin podłożył bombę.

???

Śledztwo nabiera tempa. Prokurator wydaje nakaz aresztowania Hardego - niestety, podejrzany ukrywa się. Wysłane są za nim listy gończe. Jeden z takich listów Krystyna Sikorska widzi w dzienniku telewizyjnym.

Wkrótce potem znów puka do niej funkcjonariusz z wydziału śledczego policji.

Pokazuje jej tablicę pogładową ze zdjęciami różnych mężczyzn, m.in. Hardego. Może któregoś z nich widziała? Ona stanowczo zaprzecza. Wtedy policjant informuje ją, że z jej mieszkania w

drugiej połowie czerwca ktoś wielokrotnie łączył się telefonicznie z Saturninem Hardym. Świadczą o tym bilingi.

Sikorska zaczyna płakać. Szlochając wyznaje: - Do tej pory mówiłam nieprawdę, bo prosił mnie o to świętej pamięci mąż. On dobrze znał Hardego, ale zapowiedział, że jeśli kiedykolwiek powiem o tym policji, skróci mnie o głowę.

Przesłuchiwana nie wie, jakie robili interesy. Gdy mąż z nim rozmawiał, kazał jej wyjść z pokoju. Ona od dawna podejrzewała, że chodziło o nielegalnie sprowa-

258

dzane z Niemiec samochody i handlowanie nimi („Mówiłam: człowieku, co ty robisz, a on - pilnuj swojego nosa”). Pan Saturnin mógł być pośrednikiem. Nazajutrz znowu przesłuchanie.

- Jeszcze raz powie nam pani dokładnie, powtarzam - dokładnie - wszystko, co wie o Saturninie Hardym - żąda śledczy.

- Czyli, jaka była ostatnia nasza rozmowa?

- Nie tylko ostatnia. Od początku, kiedy pani pierwszy raz zobaczyła Hardego.

- Po raz pierwszy na początku czerwca. Przyprowadził go do domu mój mąż. Po prostu powiedział: - Krysiu to jest mój serdeczny kolega i masz go przyjąć, jak byśmy się znali od dłuższego czasu. Wypili po kawie, potem postawiłam pół litra. Rozmawiali po prostu cicho w drugim pokoju i potem Hardy poszedł. Po kilku dniach spotkali się na parkingu samochodowym. Ostatni raz dwa dni przed tym wypadkiem. Po prostu ja podejrzewam, że łączył ich nielegalny handel złotem i samochodami. Dlatego w czasie rewizji znaleźli panowie u nas dużo umów samochodowych typu kupno-sprzedaż.

- Ale to są papiery z lat 1992 1993, a teraz jest rok 1995. Według pani Hardy ponownie pojawił się w życiu pani męża w ostatnim czasie? - Tak, w tym roku.

- Jakie teraz mąż robił interesy z Hardym?

- Wiem tylko tyle, że gdzieś szli. Czasem na całą noc. Gdy pytałam: - Gdzie idziesz, odpowiadał, że to nie moja sprawa. Po prostu. Zaraz po tym napadzie na nasze mieszkanie mąż kilkakrotnie dzwonił do Hardego, co jest przecież udokumentowane w bilingach, które policja zamówiła.

- Po co telefonował?

- Chciał się zorientować, czy on nie ma coś wspólnego z tym napadem. Mąż bał się, bo miał pewne niezłatwione sprawy.

- Czy mam rozumieć, że był zadłużony?

- Musiał być komuś winien pieniądze. Ale nie wiem komu. Po prostu nie chciał takich tajemnic zdradzić. Kilka razy, gdy siedzieliśmy wieczorem, ja mówię: „Wacek, może ty masz jakieś zobowiązania?. W końcu ktoś przyjdzie i nas powystrzela. Tu są dzieci na wychowaniu”. „Nie wtrącaj się w moje sprawy, ja wiem, co robię” - taka była odpowiedź. I jeszcze jak to się pospolicie mówi, obrywało mi się za ciekawość.

- A czy Hardy odezwał się po śmierci pani męża?

- Tak. Powiedział: pamiętaj, żebyś na policji nie wymieniała mojego nazwiska, bo możesz być skrócona o głowę.

- I pani nie jest mu winna jakichś pieniędzy?

- Żadnych, nawet złamanej złotóweczki.

- Czy to przestraszenie skutkowało tym, że pani na początku przesłuchania twierdziła, że nie zna Hardego?

- Właśnie.

259

- Czy nie sądzi pani, że jak na osobę zastraszoną, to dziwne, że pani po śmierci męża gościła Hardego? I jego narzeczoną?

- Ja? Jak Boga kocham, nigdy...

- To było wtedy, gdy pani Butek zaopiekowała się w nocy płaczącym dzieckiem w pani mieszkaniu. Ona rozpoznała na tablicy pogładowej Saturnina Hardego jako pani gościa.

- Przyznaję, to był Hardy, ale gdy wróciliśmy z nocnego sklepu, ja powiedziałam do niego: „Słuchaj, w tych okolicznościach, gdy zginął mój mąż, ojciec moich dzieci, żadnych kontaktów bliższych z tobą nie chcę”.

-I CO?

A on na to, że kontakty będą i jak powiem na policji, to zostaną skrócona o głowę.

Wtedy ja zapytałam: „Saturnin, dlaczego chcesz mnie pozbawić życia i dzieci zostawić sierotami?”. On się tylko zamyślił. Potem wszyscy poszliśmy spać. Przysięgam, że teraz powiedziałam prawdę. Najprawdziwszą.

???

Trzy tygodnie później policja zatrzymuje ukrywającego się Hardego. On od razu zgłasza chęć współpracy z prokuratorem. Twierdzi, że zrozumiał, jak głupie, przestępcze prowadził życie, chce je zmienić. Zwłaszcza, że niewiele już mu zostało. Od dziesięciu lat jest nosicielem wirusa HIV. Zamierza w areszcie wziąć ślub z kobietą, z którą był u Krystyny Sikorskiej. Przyjmie też jej nazwisko.

Dwudziestopięcioletni Hardy zasypuje śledczego zeznaniami. Gdy funkcjonariusz milczy, podpowiada, o co jeszcze można go zapytać.

W jego wersji z zabójstwem Sikorskiego było tak:

Przed sklepem spożywczym spotkał się z kolegą jeszcze z podstawówki, Jaśkiem Zubą. Też chwilowo niepracującym. Wypili po kilka piw i Zuba, trochę już niewyraźny, zapytał, czy nie zna kogoś, kto by zabił za pieniądze. Jest zlecenie od pewnej kobiety.

- Mnie to tak zaskoczyło, że się nie odezwałem - wyjaśnia Hardy. Następnego dnia kolega ponowił pytanie. Hardy akurat szukał okazji, by kogoś naciągnąć na forszę, miał długi. Powiedział Jaśkowi, że chce z tą kobietą porozmawiać. Umówili się na osiedlu przy piekarni. Okazało się, że zna ją z widzenia, kiedyś sprzedawała na bazarze. Zaraz przeszli na ty. Ona się skarżyła, że mąż pijak bije ją i dzieci. Po prostu potwór. Powiedział, że jej pomoże, bo jest na te sprawy uczulony. Ale tak naprawdę, to myślał, że naciągnie kobietę na zaliczkę i koniec sprawy.

Sikorska obiecała 5000 dolarów, z tego tysiąc „przed wykonaniem roboty”. Dała mu zdjęcie męża. Miała już je przygotowane, wydarte z dowodu osobistego.

Na następnym spotkaniu opisała samochód, czerwone renault, którym mąż jeździ po mieście. Chciała, aby zrobić tak, że w samochodzie włączy się fałszywy alarm, najlepiej na jakiejś bocznej uliczce. Sikorski zatrzyma się, wyskoczy z wozu i wtedy „można go załatwić”.

260

Saturnin Hardy szybko wydał zaliczkowe tysiąc dolarów („pobawiłem się trochę ^ na mieście”) i zapomniał o sprawie. Ale nie zleceniodawczyni. Wydzwaniała z pytaniem „kiedy to zrobi”, on ją zwodził. Z czasem nie miał gdzie się ukryć przed coraz bardziej namolną kobietą, zwłaszcza gdy dowiedziała się, gdzie mieszka. Poza tym - znów brakowało mu pieniędzy. Pomyślał o „Ciemnym”.

Q>  
jf3  
f^j

Palestyńczyk chwalił mu się kiedyś, że przed laty, w miasteczku na północy Polski miał knajpkę i zabił kogoś z mafii, gdy przyszli po haracz. Poza tym Hardego z „Ciemnym” wiązała pewna tajemnica: kilka miesięcy wcześniej napadli nocą na arabskiego współwłaściciela śródmiejskiej kawiarni. W

Czekali na niego w ciemnym (wykręcili żarówki) korytarzu budynku, w którym mieszkał. Hardy miał przy sobie pistolet gazowy, ampułkę z eterem i kawałek materiału do nasączenia. Arab wrócił o godzinie pierwszej w nocy. Wyskoczyli do niego. Hardy usiłował przyłożyć mu do twarzy szmatkę z eterem, ale w szamotaninie wszystko upadło na podłogę. Poza tym napadnięty zdołał im zerwać kominiarki, głośno wzywał pomocy. Usłyszeli tupot nóg na schodach, złapali torbę i uciekli. Były w niej klucze do samochodu marki BMW, notes elektroniczny, księga rachunkowa i 6000

złotych.

Hardy bał się, że okradziony rozpoznał go - czasem zachodził do tej kawiarni, zaczepiał młodych mężczyzn. Po dwóch dniach jako anonim zadzwonił do Araba z informacją, że torba jest w skrytce na Dworcu Centralnym. Podał jej numer i szyfr. Właściciel odzyskał wszystko, poza pieniędzmi. Wobec niewykrycia sprawców prokuratura umorzyła dochodzenie.

- Zapytałem „Ciemnego” - zeznał Hardy śledczemu - czy zabije za cztery tysiące dolarów? Powiedział, że nie ma sprawy, jak kupię pistolet. Spotkałem się ze swoją ciotką, która handluje na Stadionie 10-lecia. Załatwiła pistolet od Ruskich, kosztował 450 dolarów...

Pozostało już tylko uzgodnienie z Sikorską terminu. Ponaglała - nie ma na co czekać, mąż szykuje się do wyjazdu na kolejny kontrakt.

Hardy uprzedził ją, że przyjdzie ze współnikiem.

Spotykają się na schodach stacji metra „Politechnika”. Sikorska jest z 14-letnią Zosią, która wie o wszystkim. Dała im klucze do mieszkania. Sama zamierza pojechać do znajomej, poprosić ją, aby mogły tam przenocować, bo pijany mąż wyrzucił ją z domu razem z dziećmi. Zatem - jutro po południu. Akurat szykuje się mecz w telewizji, mąż, zapewnia Krystyna Sikorska, na pewno będzie oglądał, upije się, uśnie. Raz dwa uwiną się z robotą.

???

Jadą do tego bloku. Ale przedtem za dużo wypili w pubie nad Wisłą i nie mogą sobie dać rady z otwarciem zamków. Sikorski słyszy, że coś się dzieje za drzwiami,

261

!T3

otwiera je. Zaskoczeni usiłują wepchnąć go do mieszkania. „Ciemny” strzela na oślep, Sikorski głośno woła o pomoc. Napastnicy uciekają, każdy w swoją stronę.

Saturnin Hardy ma jeszcze jeden pomysł na łatwe zdobycie pieniędzy - dzwoni z budki telefonicznej do Sikorskiego. - „Wiem, kto dał zlecenie...” - zaczyna mówić. Telefon odbiera mężczyzna, który przedstawia się jako funkcjonariusz policji. Hardy w panice rzuca słuchawkę.

Następnego dnia spotkał się z „Ciemnym”, Palestyńczyk powiedział mu, że gonił go policjant, więc wyrzucił pistolet. Ale to nie była prawda. On sprzedał broń za 600 dolarów.

A zaraz potem do Hardego zadzwoniła p. Krystyna z pretensjami, że zdemolowali mieszkanie, a mąż żyje. Ale zlecenia nie cofnęła. Przeciwnie, ponaglała, żeby coś wymyślić, bo termin wyjazdu męża tuż, tuż. Hardy zaproponował bombę, podłożoną w samochodzie. - Szkoda wozu - ona na to. Ale ostatecznie się zgodziła.

Ciotka, która miała budkę na stadionie, chciała za ruską bombę zegarową 1400 złotych. Ze zdalnie sterowanym pilotem kosztowałyby to o trzysta złotych więcej. Sikorska wybrała wersję droższą.

Był problem z zamontowaniem urządzenia. Wtajemniczona handlarka podała kontakt do kogoś, kto zna się na tym i za pieniądze pomaga w wykonaniu zlecenia.

Ten fachman skompletował części: detonator, pilot, przewody. Pokazał, co i jak trzeba podłączyć. Zaproponował, że za 10000 dolarów dopilnuje wszystkiego do końca. Ale Hardy nie chciał się dzielić pieniędzmi z kolejnym współnikiem.

Na generalną próbę Sikorska przyjechała renaultem z Zosią. Bomba tkwiła pod tylnym fotelem.

Pojechali w odludne miejsce, kobieta wysłała sygnał uruchamiający ładunek wybuchowy (miała

też możliwość natychmiastowego wyłączenia tej funkcji), ale nie zadziałało. Próbę zdetonowania ładunku podejmowali jeszcze kilka razy. Bez skutku. Trzeba było ponownie sprowadzać specja od wybuchów. Okazało się, że gąbka izolowała sygnał z nadajnika. Za dodatkowe 500 złotych powiedział, jak zamontować ładunek bez użycia pilota. Umieścił go w lewym kierunkowskazie. Sikorska wróciła samochodem na osiedlowy parking. Przez całą drogę jej córka pilnowała, aby matka nie użyła w czasie jazdy niebezpiecznego migacza.

Nazajutrz Wacław Sikorski zginął.

Koperty z kolejną ratą za wykonanie zlecenia przywoziła Hardemu Zosia. Dostał też nowy samochód osobowy fiat 125, który wdowa kupiła już po śmierci męża.

Byli więc rozliczeni i zaczęli spotykać się jako dobrzy znajomi. Którejś soboty Saturnin wyciągnął Krystynę i 14-letnią Zosię na dyskotekę. Okazał się świetnym kompanem. Gdy Sikorska miała urodziny (skończyła 40 lat), zaprosiła Hardego z narzeczoną i jej dzieckiem na kolację. To wtedy w środku nocy pojechali po alkohol na miasto i płaczącą dwuletnią dziewczynką zaopiekowała się Elżbieta Butek.

262

Hardy wesoło spędzał czas nie tylko z wdową po Sikorskim. Ciągłe jeszcze mając wypchany portfel (starych długów nie pooddawał), przenosił się z lokalu do lokalu; w ciągu jednej nocy potrafił ich zaliczyć sześć.

- Po pijaku trochę gadałem przy barze, że mam coś wspólnego z wybuchem na Mokotowie. Powiedziałem też rodzinie. Krystyna zrobiła mi awanturę, że mam za długi język. Zażądałem 10000 złotych za milczenie. Pokłóciliśmy się, nie chciała mnie znać.  
???

Następnego dnia po zatrzymaniu Saturnina Hardego do aresztu trafiła Krystyna Sikorska.

Tym razem w czasie przesłuchania przyznała się do współudziału w zbrodni, choć twierdziła, że pomysł wyszedł od Hardego. Przedstawiła motyw - chęć uwolnienia się od męża, który znęcał się nad nią i nad dziećmi i nie zgadzał się na rozwód.

Szeroko cytując rzekome wypowiedzi jej dręczyciela, opisała prokuratorowi, jakie zgotował jej piekło.

- A ch... mnie obchodzie, masz tak zapier..., żeby nie musiał na was tyrać - zwykł odpowiadać, gdy prosiłam go o pieniądze na jedzenie. Któregoś dnia klęknęłam i modliłam się: - Panie Boże, proszę, zabierz go, dłużej już nie wytrzymam.

Przesłuchiwana Zosia nie powiedziała ani jednego dobrego słowa o ojcu. Zeznała, że ojciec pił, często tygodniami. Nienawidził syna, raz chciał go udusić, przyciskając do ściany tapczan, na którym chłopiec spał. Kiedy indziej gonił Michała z nożem, krzycząc, że poderżnie mu gardło. W ostatnią Wigilię ojciec przyszedł pijany i zamierzał wyrzucić z balkonu ukochaną morską świnkę dzieci.

- Naprawdę nie było innego wyboru, jak zlikwidowanie takiego ojca - orzekła 4--latka. - Pojechałam z mamą na spotkanie z tym Hardym, żeby było jej raźniej.

Obraz ojca tyrana w żaden sposób nie pokrywał się z zeznaniami innych świadków. W opinii rodziny i sąsiadów było to zgodne małżeństwo (ona może trochę histeryczna), a Michał nie mógł się doczekać przyjazdów ojca z zagranicy. Jeśli ktoś w tej rodzinie podnosił rękę na dzieci, to matka. Ale to z powodu porywczego charakteru; gdy mijała jej złość, zaraz potem przytulała, dopieszczała.

Nadal więc nie było odpowiedzi na pytanie, dlaczego Krystyna Sikorska postanowiła zabić męża.

Oskarżona konsekwentnie trzymała się wersji - miała okrutnego męża. Z każdą nową jej korespondencją do prokuratora przybywało barwnie opisanych przykładów znęcania się okrutnego ojca i męża nad rodziną:

Biegał za nią z nożem, wielokrotnie zmuszał do picia jego moczu, gdy broniłam się, wylewał mi na twarz.



Straszył brzytwą.

w  
H aa  
?

m

Córkę chciał wyrzucić przez balkon.

Molestował ją (ze strachu nie zawiadamiła policji).

Każdy list kończył się prośbą oskarżonej - chciałyby odpowiadać z wolnej stopy, jest przecież matką wychowującą samotnie dwoje dzieci. Gdy ona siedzi w celi, synek zrywa się w nocy, wykrzykuje: „Gdzie jest moja mama, którą tak bardzo kocham”.

Pisze też do prokuratury Zosia: „Spotkała nas wielka niesprawiedliwość. Nagle została zatrzymana nasza kochana mamusia. Tylko powrót najukochańszej mamusi do domu może mnie powstrzymać od próby samobójczej”.

Prokurator zarządza środowiskowy wywiad kuratora. Raport nie potwierdza alarmujących wieści w listach od oskarżonej i jej córki. Dzieci mają zapewnioną opiekę - są u dziadków, stosunkowo jeszcze młodych, samodzielnych finansowo. W tym samym siedlisku mieszka z rodziną brat oskarżonej. Wszyscy oni są wobec Zosi i Michasia bardzo serdeczni.

Nie ma zgody na zmianę środka zapobiegawczego.

Krystyna Sikorska wysłała też prośbę o zwolnienie z aresztu do Ministra Sprawiedliwości.

W jej opisach eskaluje doznane w małżeństwie cierpienie: mąż kopał ją po głowie i gonił po mieszkaniu z naładowanym pistoletem. Dzieci były zrywane w nocy, aby pokazały zeszyty, a on je rwał i kazał przepisywać do świtu. Gdy syn otrzymał negatywną ocenę, ojciec chciał go powiesić na linie od bielizny. Kilka razy potłukł na twarzy Sikorskiej butelki po alkoholu, żeby nie mogła wyjść z domu.

Wielokrotnie próbował zadać synowi cios nożem. Gdy Michaś płakał z przerażenia, jego ojciec krzyczał, że powinien zdechnąć. - Dziecko potem mnie pytało - pisze oskarżona - dlaczego tato nie weźmie mnie na kolana, nie przytuli, tylko każe umierać.

Ostatnio mąż pił od rana do wieczora, miał po tym przywidzenia, że chodzą mu po nogach robaki.

W tej korespondencji podaje wyjaśnienie, dlaczego nie szukała pomocy na policji. To pytanie zadał jej wcześniej śledczy, ale zbyła go wzruszeniem ramion. Teraz ma gotową odpowiedź:

Nie widziała znikąd pomocy. Gdy domowy tyran pierwszy raz wyrzucił ją z dziećmi na mróz, zadzwoniła na komisariat z budki na osiedlu. Kazali czekać, aż zgłoszenie będzie przyjęte. Trzy godziny stała w zimnej piwnicy, nikt nie przyjechał. Prosiła też o pomoc swoich rodziców, ale bezskutecznie. Matka odpowiadała: - Skoro sobie takiego męża wybrałaś, to cierp. Ja cię do Warszawy nie wyrzucałam. Mogłaś zostać na gospodarstwie.

- A w ostatnie Boże Narodzenie - pisze do ministra Krystyna Sikorska - mąż pił od rana i potem powiedział słowa, których nie zapomnę do końca życia. Brzmiały one tak: „W dniu dzisiejszym nadeszła godzina waszej śmierci. Pozabijam was wszystkich”. Przystawił mi pistolet do głowy.

264

Po tej awanturze poszła do Hardego. Zapytała, czy może wynająć jakiś skromny pokój oraz zwrócić pożyczone wcześniej pieniądze. On na to: - Po co ci mieszkanie, nic innego nie wypada zrobić, jak zabić takiego iobuza.

- Przecież to jest człowiek.

- W każdej chwili może cię pozbawić życia.

Po tej rozmowie, „nie zdając sobie sprawy, co może się stać później”, wyraziła zgodę.

„Szanowny Panie Ministrze. Otworzyłam przed Panem serce i napisałam swój problem. Chciałabym przebywać z rodziną do uprawomocnienia się wyroku”.

? ??

Sikorska i Hardy zostali przebadani przez psychiatrów-biegłych sądowych.

Opinia o oskarżonej: Osobowość ekstrawertyczna o cechach nieprawidłowych, typu psychopatycznego. Jej patologiczny charakter nasila się w sytuacjach o dużym ładunku emocjonalnym, których racjonalne rozwiązanie jest dla badanej za trudne ze względu na możliwości intelektualne. Wysoki stopień samozadowolenia i samooceny ma wyraźnie nieprawidłowy charakter. Zaburzenie uczuciowości wyższej - konsekwencje wynikające z naruszania norm wzbudzają u niej poczucie krzywdy, co uruchamia takie mechanizmy obronne jak kłamstwo, zaprzeczenie. Niedostatek uczuciowości wyższej również w kontaktach interpersonalnych.

O Hardym: Iloraz inteligencji odpowiada przeciętnej umysłowości. W czasie pobytu w areszcie truł się lekami, zaprószał sobie oczy szkłem, ogłaszał głódówkę. Ma liczne tatuaże: na ramionach „wydziergane” dystynkcje podpułkownika, świadczące o przynależności do subkultury więziennej, kropki w okolicy lewego oka, a na czole i klatce piersiowej widnieją miłosne zwroty.

W celi siedzi z narkomanami; nie zgadza się na takie sąsiedztwo. Domaga się pojedynczej celi, bo „w sytuacji, gdy ktoś jest oskarżony o artykuł 148 kk, powinien być traktowany poważniej niż byle gigant, znajdujący się tu z powodu ukradzonej paczki kawy”.

Grozi, że jeśli jego żądanie nie zostanie spełnione, „odejdzie z tego świata, zabierając ze sobą tych, którzy mu tu przeszkadzają”.

Stwierdzono encefalopatię z zaburzeniami charakterologicznymi, ale to nie znosi ani nie ogranicza zdolności rozpoznania znaczenia czynu, o który jest podejrzany.

? ??

Podczas procesu sądowego wyrok pierwsza wydaje publiczność: oskarżona cały czas kłamie. Takie głośne uwagi słyhać na każdej rozprawie.

Sikorska chętnie odpowiada na pytania sądu, chce też polemizować z zeznaniami świadków. Od czasu śledztwa przypomniła sobie wiele przykładów na okrucieństwo

265

męża, choćby taki: bił ją również dlatego, że chciał, aby wzięła od brata spłatę za przejęte przez niego rodzinne gospodarstwo.

- Co ty opowiadasz?! - wola z ostatniego rzędu matka Sikorskiej. - Przecież do-  
H

stałaś ode mnie pieniądze na „malucha”, a kto ci kupił meble?

Oskarżona nie reaguje na te odzywki, wylicza kolejne winy męża: raz syn był tak siny po pobiciu, że szkoła wezwała rodziców, grożąc zawiadomieniem policji. Ojciec dziecka nie stawiał się na rozmowę, wolał się upić.

Sąd postanawia zwrócić się o wyjaśnienia do szkoły. Na następnej rozprawie zostaje odczytane oświadczenie dyrektorki gimnazjum: Krystyna Sikorska była wzywana z powodu bardzo złych ocen Michała i Zofii. Dzieci często bez usprawiedliwienia opuszczały lekcje, matka nie reagowała na alarmujące listy od wychowawcy. Ponadto zaniedbywała obowiązkowe szczepienia. Rozmowa z nią „sprawiała wrażenie nieszczerzej”.

Sikorska słucha tego z nieruchomą twarzą. Myślni jest gdzie indziej. Podnosi rękę na znak, że chce coś powiedzieć. Sąd pozwala.

- Mam takie uczucie, że mąż chciał sobie ułożyć życie z inną kobietą... Gdy dochodzi do wyliczeń, ile razy oskarżona uciekała z domu z dziećmi przed mężem, „bo chciał ją udusić”, słyhać głosy tych osób, które rzekomo udzielały maltretowanej

schronienia.

- Kłamstwo. Takiej sytuacji nie było. Jak można poniewierać pamięć człowieka, który już się nie obroni - oburza się znajoma Sikorskich, powołana na świadka.

Pomruk dezaprobaty dochodzący z ław dla publiczności wzmacnia się, gdy oskarżona mówi, że córka była molestowana przez ojca. Kilka osób wychodzi z sali, trzaskając drzwami. Na twarzy Zosi, która cały czas przysłuchuje się rozprawom, nie widać żadnego uczucia. Patrzy tylko na matkę. Skorzystała z prawa do odmowy składania zeznań i konsekwentnie milczy. W czasie przerwy stoi na korytarzu osobno, całą sobą zdaje się mówić - nie podchodźcie do mnie.

Z akt wiadomo, że dziewczyna mieszka na wsi z babcią i chodzi do szkoły zawodowej, uczy się na kucharkę.

Trzy lata po wybuchu bomby na Mokotowie zapada nieprawomocny wyrok w sądzie rejonowym: Krystyna Sikorska - 25 lat więzienia, tyle samo Saturnin Hardy. Palestyńczyk - 12 lat.

W uzasadnieniu wyroku dla wdowy sąd stwierdził: „Pewne negatywne zachowania Wacława Sikorskiego wobec rodziny nie mogą w istotny sposób usprawiedliwiać zachowania oskarżonej, zwłaszcza gdy się zważy, że nie była osobą mało zaradną życiowo. Mąż często był za granicą i to dawało jej możliwości rozwiązywania problemów małżeństwa zgodnie z prawem (...). Trzeba też zważyć na takie okoliczności popełnienia przestępstwa, jak brak skruchy ze strony osoby skazanej, jej udana rozpacz, utrzymywanie kontaktów towarzyskich z osobą, która spowodowała śmierć męża”.

266

Sąd Apelacyjny zmniejszy! karę - do 17 lat - tylko Hardemu. A to z powodu jego aktywnej współpracy z organami śledczymi, dzięki czemu udało się szybko wyjaśnić okoliczności popełnienia przestępstwa. Q

Kasacja wyroku w Sądzie Najwyższym została odrzucona. 5^

Krystyna Sikorska opuściła warszawski areszt na Rakowieckiej, osadzono ją w zakładzie karnym dla kobiet w Grudziądzu. ^

Nigdy nie była tam karana dyscyplinarnie. Pomagała w kuchni, potem została szwaczką. ^

Z opinii wychowawcy: - Nie chce być objęta programem kształcenia zawodowego, mówi, że jest to jej niepotrzebne. Liczy na ulaskawienie. Na temat popełnionego przestępstwa wypowiada się niechętnie. W ^

Próśb do kolejnych prezydentów o prawo łaski Sikorska napisała siedem. Ostatnie podanie nosi datę 20 czerwca 2008. Jest to kolejna rocznica zamordowania Wacława Sikorskiego. We wszystkich podaniach skazana szeroko opisuje, jakim potworem był mąż. I że nie miała wyjścia, musiała go zlikwidować. tS5

W 2001 roku odwołuje się do właśnie przeczytanego artykułu w „Gazecie Wyborczej”, że prezydent ulaskawił zabójcę kochanki w ósmym miesiącu ciąży. - Gdzież więc jest sprawiedliwość? - pyta. Morderca pozbawił życia dwie istoty ludzkie, a ona tylko dała się oмотać pewnemu pozbawionemu skrupułów narkomanowi. Czy jako samotna matka nie powinna mieć większych praw do darowania jej kary?

W trzeciej prośbie o ulaskawienie - rok 2005 - zwierza się prezydentowi, że poślubiła w więzieniu byłego skazanego, zmieniła nazwisko. Chciałaby wyjść przed terminem na wolność, głównie z uwagi na schorowanych, starych rodziców. Dozgonna opieka nad nimi to jej obowiązek.

Biuro prezydenta zleca sądowi wywiad środowiskowy. Nie jest dla skazanej korzystny. Zarówno matka, jak i ojciec Krystyny są przekonani, że córka nie wywiąże się z deklarowanych obietnic. Oni zresztą mają opiekuna - mieszkającego na tym samym podwórku syna. Nie liczą też na pomoc dzieci Krystyny. Wnuczka, gdy tylko dostała dowód osobisty, opuściła dom dziadków bez słowa pożegnania, nawet nie znają jej obecnego adresu. A przecież zajmowali się nią troskliwie. Są prostymi ludźmi, ale czują, że to dziecko nie potrafi odróżnić zła od dobra. Coś strasznego dzieje się w jej głowie, każde widzenie z matką tylko pogarsza ten stan. Już i nauczycielka mówiła, że to

jest sprawa dla psychologa. Z wnukiem też są problemy.

Sąd negatywnie zaopiniował prośbę o ułaskawienie.

W podaniu z roku 2007 skazana pisze: „Pomimo krzywdy, jaką mi mąż wyrządził, bardzo go kochałam. Często odwiedza mnie w snach i niejednokrotnie czuję jego obecność. Wiem, że mnie nie wini za to, co zrobiłam, bo u mnie wzięła górę strach”.

Również Zofia prosi prezydenta o łaskę dla matki. Informuje, że wyszła za mąż, ale wzięła tylko ślub cywilny, z kościelnym poczeka na mamę. „Aby mogła mnie pobłogosławić”.

267

- Pańska żona mówi świętą prawdę - pisze do prezydenta - mamy nikt nie zastąpi.

Ostatnia prośba o ułaskawienie Krystyny Grzeleckiej (dawniej Sikorska) jest z kwietnia 2008 roku.

Pisze, że od podpisu prezydenta zależy jej życie. Czeka ją operacja gardła, ale ona nie zgadza się na wykonanie jej w warunkach więziennych. Gdyby darowano jej resztę kary, miałyby pewność, że gdy obudzi się po narkozie, koło jej łóżka będą stali mąż i córka.

Odpowiedź brzmi: - Skazana nie zasługuje na prawo łaski.

W tym samym czasie służby policyjne zwróciły się do sądu o odebranie z parkingu depozytowego wraku samochodu renault stojącego tam od 1995 roku. Koszty przechowywania są już bardzo duże. Sąd odpowiada, że nie jest władny do podejmowania takich decyzji.

\* Wszystkie nazwiska zostały zmienione

N

a salę sądową wchodził szybko, z rękami w kajdankach, nie oglądając się na boki. Chyba nie łudził się, że wśród publiczności jest ktoś z rodziny czy znajomych. I miał rację. Po zakończeniu rozprawy był wyprowadzany przez milczących, uzbrojonych policjantów i nikt nie biegł za nim na „dołek”, gdzie oskarżony zwykle zamienia kilka słów z bliską mu osobą. On od razu lądował w policyjnej „suce”.

Jego samotność na ławie oskarżonych. Mało rozmawiał ze swoim adwokatem; jeśli nie składał wyjaśnień, z bolesnym wyrazem twarzy nieruchomo patrzył przed siebie. Ale tak, aby ominąć wzrokiem siedzące po przekątnej trzy kobiety: matki ofiar i żonę jednego z zamordowanych. To nie było łatwe, bo w lawach dla publiczności znajdowało się zaledwie kilka osób, a zdarzały się dni, gdy tylko jedna, którą przypadkowo zainteresowała akurat ta wokanda.

Może się nawet dziwił, że jego los nie budzi medialnego szumu. Ponad 10 lat temu, gdy sądzona była jego siostra, prowadzono ją w szpalerze uzbrojonych anty-terrorystów. Na rozprawę została wyznaczona największa sala sądowa, a i tak trudno było domknąć drzwi.

???

W 1998 roku była to sprawa bardzo głośna w Warszawie. Na ogłoszenie wyroku przyszło nie tylko kilkaset osób z miasta, ale i sędziowie z innych wydziałów karnych. Przed gmachem sądu rodziny ofiar wywiesiły transparent: „Polska stała się krajem mordu i bezprawia, żądamy kary śmierci dla zbrodniarzy...”. Obok stały, zrobione ze styropianu, jakby tablice nagrobne dwóch ofiar: 31-letniego Pawła Suli-kowskiego i 25-letniego Piotra Aniołkiewicza, dealerów PTC Era GSM.

Tłustym drukiem biło w oczy nazwisko głównej oskarżonej Małgorzaty Rozu-meckiej (sąd zgodził się na ujawnienie wizerunku oraz danych osobowych jej i innych oskarżonych).

Rozumecka została skazana na dożywocie i ten wyrok podtrzymały sądy kolejnych instancji, z Sądem Najwyższym włącznie. Ten ostatni odrzucił kasację jako „oczywiście bezzasadną”. Kary więzienia dla pozostałych oskarżonych zmniejszyły się w miarę składanych apelacji. Najmłodszy, Krystian M., został po czterech latach więzienia uniewinniony.

Przez cały czas trwania procesu prokurator twierdził, że na ławie dla oskarżonych brakuje jeszcze jednego sprawcy - brata Małgorzaty Rozumeckiej, Pawła.

Kilka miesięcy po ujawnieniu zbrodni wyleciał on legalnie do Meksyku. Wcześniej był

przesłuchiwany w prokuraturze, ale został wypuszczony bez stygmatu podejrzanego. Listy gończe rozesłano za nim znacznie później, gdy jeden z oskarżonych, Marcin T., powiedział, że „to chyba strzelał Paweł”.

Rozumecki twierdzi dziś, że nic o listach gończych nie wiedział.

Wkrótce po opuszczeniu Polski osiadł z matką w Nowym Jorku. Miał legalną pracę (hydraulika), udzielał się w parafialnym środowisku miejscowej Polonii. Mijały

lata. Gdy poszedł do ambasady polskiej odnowić paszport na wjazd do Polski, dowiedział się, że jest poszukiwany.

Został deportowany pod zarzutem współudziału w morderstwie dealerów Ery. Jego proces w roku 2007 wymagał szczegółowego odtworzenia, z udziałem sprawców i świadków tragicznych wydarzeń w podwarszawskim Komorowie 18 czerwca 1997 roku.

? ??

Piotr Aniołkiewicz znał 22-letnią Małgorzatę Rozumecką z miejsca pracy. - Przez krótki czas była zatrudniona w PTC Era GSM, ale szybko się z nią rozstali. Aniołkiewicz właśnie wrócił ze służbowego stażu w Ameryce, rozsadzała go energia, potrzeba bycia przedsiębiorczym. W tym stanie euforii spadła na niego niecodzienna propozycja Małgorzaty - Dyskusyjny Klub Filmowy, któremu patronuje mieszkający w Komorowie aktor Bogusław Linda, chce kupić dla swych członków 32 telefony komórkowe. Jeśli Aniołkiewicz wystąpi w tej transakcji w roli dealera, może liczyć na dużą prowizję. Aparaty były warte ponad 53 000 zł (w 1997 roku posiadanie w Polsce telefonu komórkowego jest jeszcze luksusem).

Aniołkiewicz wciąga do interesu kolegę z pracy Pawła Sulikowskiego. Biorą z magazynu firmy kartony z „komórkami”, jadą do zalesionego Komorowa, do willei Lindy. Nigdy do niej nie trafiają. Aktor o niczym nie wiedział, taki klub w ogóle nie istniał, rzekoma transakcja, to była przynęta, aby zwabić ich do lasu z atrakcyjnym towarem.

Obaj mężczyźni wpadli w zasadzkę zastawioną przez Małgorzatę Rozumecką. Czekal już na nich wykopany dół na polanie. Zostali zastrzeleni. Przystępcy prosto z miejsca zbrodni pojechali pod Pałac Kultury, gdzie handluje się na całego, również towarem trefnym. Sprzedali „komórki” za 36000 złotych, podzielili się pieniędzmi. O wszystkim decydowała Rozumecką.

Zabójstwo zostało odkryte kilka godzin później dzięki przypadkowemu świadkowi (w procesie będzie występował jako incognito). Zawiadomił policję i na drodze do zakopanego dołu z ciałami ofiar ułożył z patyków strzałkę. Miejsce zbrodni łatwo odnaleziono również dlatego, że mordercy zakamuflowali je bardzo niestarannie. Gołym okiem było widać świeżo kopaną ziemię, na niej ślady krwi. Kilka metrów dalej leżały przeciwsłoneczne okulary i kluczyki do samochodu.

Podczas sekcji zwłok nie udało się rozpoznać, z jakiej odległości celowano do ofiar. Nie znaleziono też broni.

? ??

Na procesie Pawła Rozumeckiego świadkowie niewiele pamiętają z tragicznych wydarzeń sprzed ponad dziesięć laty. Gdy sąd odczytuje ich zeznania w śledztwie, zazwyczaj mówią: - Możliwe, że tak powiedziałem, ale dziś nie wiem, dlaczego.

270

Niegdyś skazani (poza Rozumecką wszyscy już wyszli na wolność), a dziś w roli świadków, odnoszą się do pytań sądu z wyraźną niechęcią, a często i nonszalancją. Całym swym zachowaniem zdają się mówić: - Dosyć się nacierpiałem, nie będę sądowi pomagał w rozstrzygnięciu wątpliwości, to już nie moja sprawa.

Wszyscy czekają, co powie Małgorzata Rozumecką. Gdy rozpoczął się jej proces, uparcie twierdziła: - Ja na pewno nikogo nie zabiłam. To nie było w planach. Chcieliśmy tylko przewalić Piotra Aniołkiewicza.

„Przewalić” - znaczy w złodziejskim żargonie obrabować. Jako zabójcę wskazała niespełna 17-letniego wówczas Krystiana M.

- „Usłyszałam dwa strzały, a potem jeszcze jeden, gdy podbiegłam, Piotrek i Paweł leżeli twarzą do ziemi. Krystian miał w ręku broń” - mówiła o samym momencie zabójstwa. Potem pomogła zasypać zwłoki.

W połowie 1999 roku, tuż przed zakończeniem procesu o zabójstwo dealerów Ery, Rozumecką nieoczekiwanie złożyła sensacyjne oświadczenie: - Krystiana M. nie było na miejscu zdarzenia, w ogóle nie było go z nami.

Wszyscy śledzący proces znieruchomieli.

- A kto był zamiast niego? - zapytała szybko sędziego.

- Nie będę odpowiadała na to pytanie. Dealerów zabito na zlecenie, na miejscu zabójstwa był ktoś trzeci.

Trzy lata później (proces wrócił z sądu apelacyjnego do okręgowego - chodziło o wyjaśnienie, czy Krystian M. brał udział w zabójstwie) Małgorzata Rozumecką nawet nie chciała się odnieść do swoich wcześniejszych zeznań, odczytywanych przez sędziego.

- Niczego nie potwierdzam, niczemu nie zaprzeczam, nie zamierzam brać udziału w tym procesie. Nawet nie mam ochoty tego słuchać - powiedziała i zrobiła w tył zwrot, w kierunku drzwi. Antyterrorysty zagrodzili jej drogę.

Zamieszanie wykorzystał adwokat Krystiana M. - Apeluję do pani sumienia

- krzyknął - jaka jest prawda?!

- Nie można apelować do mojego sumienia, bo ktoś stwierdził, że go nie mam

- odparowała.

Pytanie - kto strzelał, pozostało otwarte.

Prokurator konsekwentnie wskazywał na Piotra Rozumeckiego. Nadal były aktualne wysłane za nim w 1997 roku listy gończe. Gdy na początku 2007 roku został złapany i deportowany do Polski, nie przyznawał się, odmówił też składania zeznań. Wyjaśnienia złożył pod koniec września 2007 roku, gdy już była przesłuchana w tej sprawie siostra.

Nie widział jej równo 10 lat.

???

271

Zapewne docierały do niego informacje z jej procesu. Prokurator w mowie końcowej charakteryzował oskarżoną jako „władczą, egocentryczną, nie liczącą się z innymi, predestynowaną do przeprowadzenia przestępczej grupie”.

Od ciężko pracujących rodziców dostała pieniądze na zaoczne, prywatne studia

0 kierunku resocjalizacja. Ale jej było tego za mało. Szukała znajomości ze światem przestępców z grubymi portfelami. Uważała, że do takich świat należy.

Lubiła prowokować skandaliczne sytuacje, aby o niej mówiono. Miała niespełna 19 lat, gdy oskarżyła o próbę gwałtu jednego z szefów pruszkowskiej mafii. 40-letni P., dobrze znany policji, ale zawsze cało wychodzący z opresji, na skutek doniesienia Małgorzaty trafił do aresztu. Kilka dni wcześniej widziano go, jak niczym sztubak czekał w swoim bajeranckim samochodzie na maturzystkę Rozumecką pod jej technikum.

Sprawa gwałtu szybko trafiła na wokandę. Oskarżycielka przez miesiąc chodziła tryumfująco z policyjną obstawą. A gdy doszło do procesu, odwołała swoje zeznania - żadnego gwałtu nie było. P. został skazany na grzywnę. Częściowo ją odsiedział. Małgorzata odwiedzała go w więzieniu.

Dwa lata później, gdy jako oskarżona była na obserwacji psychiatrycznej w szpitalu w Tworkach, usiłowała stamtąd uciec pilnującym ją policjantom. To był „numer” godny opowieści wśród pruszkowskich gangsterów.

W sądzie jej wersja odbiegała od tego, co zeznał pomagający w ucieczce ojciec, Jan Rozumecki. Twierdziła, że to ona namówiła go, aby skontaktował się z pewnym mieszkańcem Ożarowa, który podrabiał paszporty. Gdy dokumenty były gotowe i bilet wykupiony, wcześniej rano wyszła ze strzeżonego oddziału przez drzwi ewakuacyjne, do których poprzedniego dnia ów tajemniczy

znajomy dostarczył jej klucz.

Właśnie przechodziła przez dziurę w parkanie, skąd tylko kilka kroków dzieliło ją od czekającego samochodu, gdy została zatrzymana przez policjantów.

Jej ojciec twierdził, że najpierw znalazł w skrzynce anonimowy list z informacją, że „jest szansa na uwolnienie Małgorzaty, zgłosi się do ciebie człowiek”. Charakter pisma sugerował, że mogła to napisać żona, mieszkająca wówczas z synem Pawłem w Meksyku.

Zgodnie z instrukcją nawiązał kontakt z owym łącznikiem, który przygotował fałszywe papiery dla córki. On też wyznaczył dzień ucieczki.

Rozumecki nie wierzył w przypadek, jak to przedstawili w sądzie policjanci: owej nocy po cywilnemu patrolowali tę część Tworek, wypatrując włamywaczy. Zwróciła ich uwagę rozerwana siatka w ogrodzeniu szpitalnym. Zaczaili się przy dziurze i... w ręce wpadła im Rozumecką. Potem zrewidowali czekający na nią samochód

1 znaleźli tam paszport na fałszywe nazwisko ze zdjęciem oskarżonej oraz bilet na samolot do Meksyku.

Sprawozdawcy sądowi okrzyknęli tę 22-letnią wówczas kobietę królową zbrodni. Chyba jej to pochlebiało - na rozprawy wchodziła majestatycznie (mimo skucia

272

rajkajdankami), wachlując się aktem oskarżenia. Silna, posągowo zbudowana, w dniu ogłoszenia wyroku zarzuciła na ramiona koronkową czarną chustę. Żegnając się z płaczącym ojcem (wkrótce zmarł na zawał), po matczynemu głaskała go po policzku.

Osiem lat później na procesie jej brata już nie ułatwiała fotoreporterom zadania, pochyliła głowę w taki sposób, że fala gęstych, ciemnych włosów zasłaniała prawie całą jej twarz.

- Mój brat - powiedziała, nie patrząc na Pawła - nie jest winien tamtej śmierci, ja jestem odpowiedzialna za to, co się stało. Wymyśliłam scenariusz nie do końca prawdziwy. Do dziś nie wiadomo, kto strzelał, ja tego nie wyjawię.

Prokurator naciskał: - Czy pani brat był na miejscu, gdy padły strzały? Kto tam mógł być? Jak to wyglądało?

Rozumecką: - W czasie oddawania strzałów były trzy osoby. Dwie wymienię - ja i Marcin T. Osoba, która strzelała, miała na twarzy kominiarke, więc nie ma możliwości, aby została rozpoznana. Mój brat przyjechał, gdy Paweł i Piotrek już nie żyli.

Gdy wyprowadzali ją z sali, jej oczy zatrzymały się na kredowobiałej twarzy brata. On też utkwił w niej nieruchome spojrzenie. Ale po chwili zrobił taki ruch ramionami, jakby ciążyła mu marynarka. Nerwowo przy tym tarł czoło ręką. Siostra zniknęła za drzwiami, otoczona fotoreporterami. Usiłowała ich wyminąć - ciężkim krokiem (w więzieniu przytyła), z całkowitą obojętnością.

Różnie komentowano na sądowym korytarzu to zeznanie. Przeważał pogląd, że Małgorzata Rozumecką postanowiła osłonić brata. Adwokat Jacek Brydak, obrońca Pawła Rozumeckiego uważał, że taką wypowiedzią siostra tylko zaszkodziła oskarżonemu. Uchylając się od odpowiedzi kto zabił, wmawiając sądowi, że na miejscu zbrodni był tajemniczy ktoś trzeci w kominiarce, dawała do zrozumienia, że nie może jej przejść przez gardło imię brata, ale właściwie, to o niego chodzi. Pomówiła go - uważał mecenas Brydak.

Trudno odmówić racji wytrawnemu adwokatowi. Na sali sądowej odnosiło się wrażenie, że Rozumecką skazana na niebyt, po 10 latach więzienia chciała jeszcze raz wystąpić w roli rozdającej karty; osoby, od której wiele zależy. I zrobiła to. A przy okazji pociągnęła za sobą brata...  
???

Równie ważnym świadkiem na procesie Pawła Rozumeckiego był Marcin T. W roku, gdy zginęli dealerzy, miał 20 lat. To z powodu jednego zdania, które powiedział w śledztwie („Chyba strzelał Paweł Rozumecki, ale nie jestem pewien”), prokuratura wysłała za bratem Małgorzaty listy gończe. Zeznał też, że na miejscu zbrodni „Paweł był bardzo zdenerwowany. Gośka głaskała go po głowie, chciała go uspokoić”.

.  
w  
M CM  
O  
<

W 1998 roku, gdy doszło do procesu, rozdygotany Marcin T. nie mógł wykrztusić jednego całego zdania. Z ulgą na twarzy przyjął decyzję sędzi, że będzie czytała na głos jego zeznania, a on potwierdzi lub zaprzeczy. Po każdym fragmencie automatycznie kiwał potakująco głową. Aż sąd musiał go pouczyć, że na rozprawie odpowiada się werbalnie.

W pewnej jednak chwili - było to już po konfrontacji z podejrzanymi Adamem B. i Krystianem M. zdecydowanie zaprzeczył temu, co mówił w śledztwie. Teraz twierdził, że „ten drugi nie brał w całej sprawie udziału”, a to, co on powiedział na początku śledztwa, wymusiła na nim policja. - Zmieniłem zeznania - wyznał - bo miałem wyrzuty sumienia.

To wywołało poruszenie na sali sądowej, bo oskarżenie opierało się głównie na wyjaśnieniach Marcina T.! Zdenerwowany prokurator nazwał go wówczas „człowiekiem słabym, ulegającym wpływow”. Dodał, że gdyby T. wytrwał przy pierwszej, oskarżycielskiej wersji, mógłby liczyć na nadzwyczajne złagodzenie kary. W nowej sytuacji prokuratura żądała dożywocia. Sąd wymierzył T. karę 12 lat więzienia. Wyrok został podtrzymany w kolejnej instancji.

Na procesie Pawła Rozumckiego świadek Marcin T. nie krył niezadowolenia, że go wezwano do sądu. - Odsiedziałem pod celą 8 lat z zasądanego mi wyroku, chciałem już to wszystko wymazać z pamięci, a tu każą mi przypominać sobie wszystko od początku.

Sędzia: - Czy był pan obecny przy strzelaniu do Aniołkiewicza i Sulikowskiego?

Świadek: - To bodajże będą ci zastrzeleni, tak? Byłem na miejscu zbrodni, bo później zawiozła mnie tam policja. Z tego, co sobie przypominam, to wcześniej nie.

W odpowiedzi na kolejne pytania też zasłaniał się niepamięcią.

Sędzia nie bez irytacji podyktowała do protokołu: „Wobec wyraźnej niechęci świadka do składania zeznań sąd odczytuje jego wyjaśnienia z akt śledczych: - „W mojej wcześniejszej rozmowie z Rozumcką nie było mowy o zabójstwie - wyjaśniał przed prokuratorem Marcin T. - Małgorzata mówiła, że chce tylko tych z Ery zwabić do lasu i zastraszyć ich pistoletem. W lesie zobaczyłem dwie osoby w kominiarkach, to był Krystian i Paweł. Stali w krzakach”.

Na pytanie śledczego jak ich poznał, skoro byli zamaskowani, podejrzany odpowiada, że Krystian trzymał w ręku kominiarkę.

- Czy pan to dzisiaj potwierdza? - chciała wiedzieć sędzia w 2008 roku.

Świadek wzruszył ramionami: - Te wyjaśnienie przed policją, to stek bzdur. Krystiana tam nie było. Policjanci namówili mnie, żebym tak gadał, to nie pójdę siedzieć. Dlatego skłamałem. Na sali sądowej odwołałem wyjaśnienia.

Sędzia czytała dalej ze starych akt: - „Po zdenerwowaniu Pawła wydawało mi się, że on strzelał, ale pewności nie mam. Paweł słuchał się Małgorzaty we wszystkim, był u niej na posyłki. Po tym zajściu na działkach ja, Paweł i Krystian zmieniliśmy buty, aby nie było zapachu”.

- Czy pan potwierdza czytany protokół?

- Do dziś nie wiem, kto strzelał. Nie pamiętam, kogo wtedy wskazałem jako uczestnika zajścia. Skoro tak jest napisane, to możliwe, że Pawła. Nie chcę tu mówić o jego roli.



Prawdopodobnie strzelał. Nie chcę odpowiadać na pytania sądu.

- Czy świadek ma spokojne sumienie? ^

- Mam, bo na chwilę obecną mało pamiętam. O

- Ale czy pan wie - to pytanie adwokata oskarżonego - że dzisiejszym zeznaniem może pan zaszkodzić Pawłowi Rozumeckiemu?

- Jeszcze raz powtarzam, nie wiem, kto strzelał. Nie przypominam też sobie, że- ^ bym zobaczył dwa trupy.

Włączył się prokurator: - Czy jest pan pewien, że w miejscu zdarzenia była Rozumecka i jej brat?

- Tam mogły być inne osoby. Chociaż wydaje mi się, że jednak oni. <^ Sąd pyta: - Czy pan brał dziś jakieś środki farmakologiczne?

- Nie. o

PS

???

Kolejny świadek na procesie Pawia Rozumeckiego jest najstarszy spośród stających przed barierką. To były taksówkarz z Pruszkowa, dziś 40-letni Adam B. On również całą swą postawą, tonem głosu, protestuje przeciwko pytaniu go o „tamte sprawy”, jak powiada. W pewnej chwili wyrzuca z siebie swą gorycz: przez Marcina T., który go obciążył kłamliwymi sugestiami, niewinnie odsiedział za kratami 5 lat. Prokurator chciał go nawet skazać na 25 lat. A co on był winien? Został wmanewrowany. Zawiózł z Komorowa stałą klientkę z jakimiś pudłami na bazar w centrum Warszawy. Skąd mógł wiedzieć, że w kartonach były telefony komórkowe ukradzione zamordowanemu? Konsekwencje tego najdłuższego, jak mówi świadek, kursu w jego życiu, odczuwa do dziś - jako karany nie może znaleźć pracy w swoim zawodzie.

Nie chce odpowiadać na pytania prokuratora, oskarżyciela posiłkowego, sądu. Wszystko wymazał z pamięci.

Sędzia: - Nic pan nie pamięta?

- Nic a nic - upiera się świadek.

- Czy pan bierze może jakieś leki, które mają wpływ na stan umysłu? -Nie.

Odczytano wyjaśnienia Adama B. z akt sądowych sprzed dziesięciu lat. Pada rutynowe pytanie, czy świadek potwierdza to, co kiedyś zeznał?

-Ja mam dosyć tego! - krzyczy B. - ja nie słyszałem żadnych strzałów. W taksówce była włączona muzyka. Rozumecką z T. wyszli z lasu, wsiedli do mojego samochodu. Tyle wiem o sprawie, w której skazano mnie na 5 lat!

Świadek chce już wyjść z sali rozpraw, ale sędzia się nie zgadza, ma dalsze pytania.

275

- Czy Rozumecką była zdenerwowana?

- Tak, gdy rozmawiała z kimś przez telefon.

- Czy pan widział Pawła Rozumeckiego?

- Tak sobie kojarzę, że on podjechał białym samochodem, nie pamiętam, czy była z nim Rozumecką. Z tego samochodu Paweł przeniósł paczki do mojej taksówki. Potem odjechaliśmy.

- Czy oskarżony Rozumecki zachowywał się nietypowo?

- Nie zauważyłem nic szczególnego. Może trochę go złościło, gdy ten biały samochód nie chciał odpalić. Chcę oświadczyć, że nic mnie nie łączy z tym zabójstwem. To wszystko, co mam do powiedzenia.

Ale sąd jeszcze nie rezygnuje z tego świadka. Odczytuje kolejne strony ze starych akt. Jest widoczne, że w miarę rozwoju śledztwa, pruszkowski taksówkarz zmieniał wersję swych zeznań. W jednym był konsekwentny: gdy sugerował, że zamordowany Piotr Aniołkiewicz robił w Erze „przekręty”, a zabójstwo odbyło się na zlecenie. W jego obecności Rozumecką odebrała telefon, którego treść potem mu powtórzyła: „Gośka, odwaliłaś kawał dobrej roboty, firma będzie ci wdzięczna”. Ona zresztą jeszcze przed zabójstwem mówiła o Aniołkiewicz, że to „jedyny

człowiek, z którym się robi dobre interesy".

B. potwierdził tę informację na rozprawie sądowej w 1998 roku. Ku oburzeniu rodzin ofiar. Dodał też, że po zabójstwie Krystian M. powiedział: Jedyna dobra rzecz z tej sprawy, to dwa miliardy dla nas" (na stare pieniądze). Obciążył tym samym najmłodszego z oskarżonych, jak się później okazało, skazanego niewinnie, bo w ogóle nie było go na miejscu zbrodni.

Kolejne kłamstwo taksówkarza wydało się, gdy na świadka, że to on, a nie Marcin T. mówi w tej sprawie prawdę, wezwał Adama M., też pruszkowskiego taksówkarza.

M. w krzyżowym ogniu pytań obrońców całkowicie się pogubił, w końcu zeznał, że powtarza tekst, którego nauczył go szwagier Adama B. Tak naprawdę, to on o zabójstwie dealerów dowiedział się na postoju taksówek.

???

Krystian M. - najmłodszy z oskarżonych, o twarzy dziecka - w czasie pierwszego procesu niespełna siedemnastolatek, już na procesie Rozumeckiej nie przyznawał się do niczego. Początkowo, gdy musiał wyjaśniać na sali sądowej, był tak roztrzęsiony, że aż się jąkał. Powiedział, że Małgorzatę Rozumecką poznał półtora miesiąca przed zbrodnią w Komorowie. Właśnie rzucił szkołę, całymi dniami szlifował pruszkowskie bruki, wałęsając się po mieście i z nudów czasem wpadał na „trawkę" do Małgorzaty. Kiedyś mu się zwierzyła, że zamierza odebrać komuś siłą większą partię telefonów komórkowych i sprzedać je na bazarze. Byłaby z tego niezła kasa. Namawiała go, żeby jej pomógł. Ale M. to nie interesowało. Mimo to, gdy na

276

pruszkowskim osiedlu rozniosło się o aresztowaniu Rozumeckiej, uciekł z domu. Ze strachu, że po niego też przyjdą, przez cztery miesiące się ukrywał.

Wytropiony, z uwagi na młodociany wiek, zamiast do aresztu, trafił na prawie rok do schroniska dla nieletnich. Objęty ścisłym dozorem nie mógł się tam ani uczyć, ani pracować („Bardzo butny wychowanek" - napisano mu w opinii na odchodne). Gdy po tej izolacji składał wyjaśnienia na sali sądowej, prokurator nie krył zdziwienia, że oskarżony co do szczegółów pamięta, co robił 18 czerwca 1997 roku.

- To też niedobrze? - zapytał zaczepnie chłopak, wyraźnie buntowniczo nastawiony do wszystkich, którzy uważali, że jest jednym z zabójców.

Twierdził, że choć widział jak Małgorzata spod swego domu wsiada wraz z dwoma dealerami do białego samochodu Ery, nie tylko nie przyłączył się do nich, ale nawet nie podchodził bliżej.

- Jak oskarżony zatem wytłumaczy, że zebrano w aucie jego indywidualny ślad zapachowy? - napierał prokurator.

- Nie znam się na wytłumaczeniach - usłyszał odpowiedź.

Obrońca Krystiana M. usiłował zachęcić swego klienta do większej rozmowności. Zapytał: - Dlaczego Rozumecką twierdzi, że był pan na miejscu zdarzenia? I to z bronią?

Siedemnastolatek wzruszył ramionami: - To jest jej problem.

Pod koniec tamtego procesu - w listopadzie 1998 roku, Krystiana M. obciążyły zeznania dwóch nowych świadków, u których Małgorzata kilka tygodni przed zbrodnią chciała zamówić broń. (W śledztwie twierdzili, że „palną", przed sądem mówili o „gazowce"). Gdy nazajutrz po zbrodni spotkali się z oskarżoną na stacji benzynowej, była z jakimś chłopakiem. W śledztwie wydawał im się podobny do Krystiana M. Na rozprawie sądowej w 1998 roku przypuszczali, że mógł to być brat Małgorzaty - Paweł.

Ostatecznie, co do winy M. (prokurator nie miał wątpliwości, żądał 25 lat więzienia) przekonała sąd ekspertyza zapachu w samochodzie, którym sprawcy odjechali po zbrodni. To był zapach tego Krystiana M.

Obrońca oskarżonego nastolatka kwestionował wyniki ekspertyz osmologicznych

Sąd nie uznał tych argumentów. Sugerował się zeznaniami świadków incognito. Od jednego z nich M. miał pożyczyć w przeddzień zabójstwa łopatę, potrzebną do wykopania dołu. Drugi świadek - określony jako „nr 5" widział i rozpoznał Krystiana M., jako uczestnika egzekucji. Podał

wiele szczegółów dotyczących przebiegu zabójstwa, które obserwował ukryty w wysokiej trawie na łące.

Zeznania „numeru 5” podważył jednak obrońca oskarżonego i wymógł wizję lokalną. W terenie opinie przewodniczącej składu sędziowskiego i adwokata były krańcowo rozbieżne. Zdaniem mecenasa świadek znajdował się zbyt daleko, a widoczność ograniczały mu krzaki. Sąd uznał, że wizja lokalna przemawia na korzyść zeznań tego świadka incognito.

Do tej wersji wydarzeń nie pasował obraz zdarzeń przedstawiony przez świadka incognito nr 2, który twierdził, że widział mężczyzn wyższych od Rozumieckiej tymczasem nastoletni Krystian był od oskarżonej niższy o pół głowy. Sąd orzekając w 1999 roku o winie nie uwzględnił tych zeznań. Skazał 17-letniego wówczas Krystiana na 15 lat więzienia. Choć w chwili zbrodni do skończenia 17 lat brakowało mu dwóch miesięcy, sędzia tłumaczył surowy wyrok m.in. tym, że oskarżony jest „osobą wysoce zdemoralizowaną”.

Obrona złożyła apelację. - „Wszystkie nieusunięte wątpliwości sąd rozstrzygnął na niekorzyść oskarżonego. Tajnemu świadkowi, który wskazał Krystiana M., nazwisko zasugerował sąd”.

Sąd Apelacyjny zdecydował o zwróceniu sprawy do pierwszej instancji. Proces zaczął się od nowa. W najbardziej bulwersującej i kluczowej kwestii śladów zapachowych w samochodzie starli się wybitni biegli: Gwidon Sutowski, ekspert policyjny, autor ekspertyzy (na psi nos) sprzed pięciu lat i profesor kryminologii Tadeusz Tomaszewski, dziekan Wydziału Prawa UW. Profesor zdecydowanie podważył opinie Sutowskiego. Twierdził, że „nie jest do końca naukowo zbadane, jaka jest natura fizyczna i chemiczna śladu zapachowego; nie wiadomo, czy ludzki zapach spełnia kryteria śladu kryminalistycznego, to znaczy, czy jest niepowtarzalny i niezmienny. Nauka nie dysponuje narzędziami, które pozwalałyby obiektywnie identyfikować zapach - szkolone psy, które są do tego wykorzystywane, to narzędzie niedoskonałe”.

W tym drugim procesie sąd uniewinnił Krystiana M.

Za 4 lata za kratami niewinnie skazany w pierwszej instancji i potem przetrzymywany w areszcie dostał 180 000 zł odszkodowania (zamiast żądanych 500 000 zł). Ale dorastanie w celi, wśród zdemoralizowanych przestępców nie minęło bez echa. W 2008 roku Krystian M. wezwany na proces Pawła Rozumieckiego jako świadek, został wprowadzony na salę w kajdankach.

Sąd niewiele się od niego dowiedział.

- Chciałbym rodzinę Rozumieckich wymazać z pamięci - zeznał. - Wydaje mi się, że Małgorzata usiłowała odwrócić oskarżenie od brata lub od jej współnika i kryjąc kogoś, rzuciła podejrzenie na mnie. Ale to tylko moje przypuszczenia. Nie mam wiedzy na temat tego zajścia, bo mnie tam nie było.

Sąd nie uzyskał też wiążącej opinii od biegłego w kwestii oddanych strzałów.

- W trakcie badania nie ustalono modelu broni - zeznał specjalista od balistyki. Nie można wykluczyć sytuacji, że była w użyciu broń automatyczna. Strzały w klatkę piersiową Aniołkiewiczca całkowicie wykluczają zadanie ran jedną serią.

Na pytanie adwokata, czy mógł paść przypadkowy strzał, biegły odpowiedział:

- Często w swojej praktyce spotykam się z takimi przypadkami.

???

278

Wersja Rozumieckiego w wyjaśnieniach złożonych na sali sądowej wyglądała następująco:

Marcin T. przyszedł rano do Małgorzaty, zamknęli się w pokoju. Gdzieś telefonowali, chyba palili marihuanę, w mieszkaniu czuło się słodkawy zapach tego narkotyku. Potem odezwał się domofon, oboje wyszli na podwórko, przed blok. Piotr Rozumiecki widział przez okno, że siostra z jej kolegą Marcinem wsiadają do białego samochodu.

- Wcześniej Małgorzata pytała mnie - wyjaśnił oskarżony - czy bym jej nie pomógł w sprzedaniu większej partii telefonów komórkowych. Powiedziała, że gdy zakończy jakieś

transakcje, pojedziemy do Warszawy, aby sprzedać ten towar. Miałem czekać w domu na jej telefon, potem wziąć taksówkę i przyjechać w okolice działek pracowniczych w Komorowie. Znałem to miejsce, urządzaliśmy tam kiedyś grillowanie.

Gdy podjechałem na działki, zobaczyłem znajomego B. w jego taxi. Usiadłem na chwilę koło niego, żeby zapytać, co tu robi. Powiedział mi, że czeka na moją siostrę, są umówieni. Widział ją, jak jechała samochodem Ery. Wysiadłem z wozu, bo taksówkarz zapalił papierosa, a jestem uczulony na dym nikotynowy. Przespacerowałem się w stronę do lasu i gdy wychodziłem, zobaczyłem siostrę przejeżdżającą tym samochodem, którym odjechała spod domu. Nie zatrzymała się, ale B. dostał telefon, że widziała nas i chce, abym na nią poczekał. W chwilę potem padły dwa strzały, a następnie jeszcze jeden z kierunku, w którym jechała siostra. B. poszedł zobaczyć, co się stało, ja też pobiegłem w tamtą stronę. Zobaczyłem, że Małgorzata w pośpiechu wsiada do tego białego samochodu, a zza trawy widać stojącego Marcina T.

Podszedłem do wozu. Siostra była za kierownicą, próbowała zapalić silnik. Nie widziałem u niej broni.

- Stało się nieszczęście - powiedziała mi - pomóż Marcinowi. Nie wiedziałem, w czym. Ale gdy wyszedłem na polanę i zobaczyłem leżących na trawie dwóch nieżywych mężczyzn, zrozumiałem, że mam pomóc T. w zakopaniu ciała. Podbiegłem do siostry, niemal z płaczem, że nie chcę, nie mógłbym dotknąć zmarłego. Wtedy oni oboje zabrali się za zakopywanie. Ja od razu odjechałem w kierunku, gdzie stał Adam B. Przeładowałem te telefony do bagażnika taksówki. Następnie pojechałem samochodem ofiar na teren działki i kilka minut czekałem na siostrę przy bramie. Myślałem, że wrócimy do domu. Ale Małgorzata kazała taksówkarzowi wziąć kurs na Pałac Kultury w Warszawie. W czasie jazdy wykonała kilka telefonów. „Komórki” kupili umówieni handlarze z bazaru.

W trzy tygodnie później Paweł Rozumiecki został o świcie zatrzymany. Na początek dostał cios w twarz, bo wchodząc do policyjnego samochodu zaśmiał się, że jak tak można jeździć, ze stłuczoną lampą. Wsadzono go na kilka godzin do metalowej szafy, śledczy czekali, aż zmięknie. Mimo że miał 16 lat, był przesłuchiwany bez udziału rodziny, psychologa. Nazajutrz wypuszczono go, bez postawienia

Ci,

<

zarzutu. Dziewiątego października 1997 roku legalnie wyleciał samolotem do Meksyku, gdzie czekała matka.

Kilka miesięcy później, po przesłuchaniu Marcina T., który powiedział, że wydaje mu się, że to Paweł strzelał, wysłano za Rozumieckim listy gończe. Poszukiwany mieszkał już wówczas w Nowym Jorku. Nie ukrywał się. Wielokrotnie dzwonił do najbliższej rodziny w Pruszkowie. Małgorzata, gdy została zatrzymana podczas nieudanej ucieczki z Tworek, miała przy sobie amerykański adres matki i brata.

- To, co teraz mówiła moja siostra na temat jakiegoś tajemniczego zabójcy, to bzdury - powiedział na rozprawie Paweł Rozumiecki.

???

Mowa obrończa mec. Jacka Brydaka była wnikliwą analizą całego procesu rodzeństwa

Rozumeckich.

- Akt oskarżenia jest nieporozumieniem, zawiera niedopuszczalne domniemania, domysły - powiedział. - Potwierdza klęskę wymiaru sprawiedliwości w tej sprawie. Choć od zdarzenia minęło 11 lat, nadal niewiele wiemy. Sprawa była dwa razy w sądzie okręgowym, dwa razy w apelacyjnym, raz w najwyższym. Obecny sąd nie miał szans dojścia do prawdy.

Obrońca Pawła Rozumeckiego przypomniał, że również na poprzednim procesie obrońcy kwestionowali logikę wyводу prokuratora, podkreślali ten sam słaby punkt oskarżenia - nie ustalono, kto strzelał, jak przebiegało zabójstwo. Na sali sądowej upadały kolejne wersje śledczych. Oskarżeni pomawiali się nawzajem, przedstawiali fałszywe alibi, zmieniali zeznania, bądź korzystali z prawa do odmowy składania zeznań.

Nie udało się ustalić, czy z premedytacją zamierzali zabić swe ofiary, czy może chcieli je tylko postraszyć wykopanym dołem? Może na skutek kłótni na polanie, którą ponoć widział jeden ze świadków incognito, doszło do popełnienia czynu nieplanowanego, nie objętego wcześniejszym zamiarem?

Mecenas Jacek Brydak skłania się do tej ostatniej wersji. Prawdopodobnie miał to być rabunek. Przecież ktoś, kto od kilku dni planuje zabójstwo, nie wybiera na dokonanie takiego czynu miejsca widocznego z daleka, koło którego przechodzi wielu działkowiczów. Zazwyczaj zaciera się ślady morderstwa - a tam na trawie była niestarta krew, leżały kluczyki do samochodu i inne przedmioty. Przy zmarłym pozostawiono kilkaset złotych w portfelu (na nowe pieniądze) i drogi zegarek, wartości jednej piątej tego, co zarobili, sprzedając zrabowane „komórki”. To jak wizytówki dla policji. Wszystko więc wskazuje na to, że sprawcy wpadli w panikę.

Nie wiadomo, kto miał broń i jaką - wywodził adwokat. - Małgorzata Rozumecką została prawomocnie uniewinniona od tego zarzutu. Biegły uznał, że możliwy był każdy z rodzajów broni. Nie zostało ustalone, w jakich okolicznościach oddano strzały. Wiadomo, że nie padły z bliska, bo na ciałach zabitych nie znaleziono śladu pro-

I 280

chu. Łuska, która wylatuje na odległość 1,20 m leżała 1,40 m od dołu, do którego wrzucono ofiary. Z tego faktu prokurator nie wysnuł wniosków.

Mecenas wyliczył inne, poważne zastrzeżenia do prowadzonego śledztwa:

Na miejscu zbrodni znaleziono niedopałki papierosów, ale nie badano ich DNA.

Małgorzata Rozumecką została zatrzymana po kilku godzinach od przestępstwa pod zarzutem udziału w zabójstwie dwóch osób. Trzymano ją w areszcie 16 godzin, aby skruszała, jak to się mówi w policyjnym slangu. Każdy specjalista od kryminalistyki wie, że jeśli w niedługim czasie po oddaniu strzałów włoży się rękę podejrzanego w parafinę, można uzyskać odpowiedź, czy strzelała. Ale w przypadku Rozumeckiej tego nie zrobiono.

Zamiast zadbać o dowody pomocnicze dla sądu, sięgnięto po tzw. chwyt niekonwencjonalny. Pod zarzutem zabójstwa zostało zatrzymanych 9 osób. Nieletni Paweł Rozumecki był przesłuchiwany bez rodziców i psychologa. Marcin T. zeznał, że policja mówiła mu, co ma mówić. Aby wymóc na 17-letnim Krystianie M. przyznanie się do morderstwa, policjanci wrzucili go do dołu, gdzie leżały zwłoki. Był bity, poniżany.

Rzekomo zabezpieczono ślady zapachowe, jednakże te badania to fałszywy trop. Znalazł się tam zapach Krystiana M., którego, co zostało udowodnione, nie było wśród sprawców.

-Jak można bazować na twierdzeniu oskarżonego T., któremu się wydaje, iż strzelał mężczyzna, bo „zwykle strzelają mężczyźni?” - dziwił się mecenas.

Podważył też wiarygodność świadków incognito. Jeden z nich, oznaczony numerem 5 twierdził, że obserwował zabójstwo z odległości 500 m i dostrzegł tam Rozumeckiego oraz ... Krystiana M. W czasie wizji lokalnej okazało się, że w tym miejscu trawa dochodzi do 1,80 m - jak zatem z półkilometrowej odległości można rozpoznać rysy człowieka?

Również wyjaśnienia Marcina T., który rzekomo widział strzelającego Pawła Rozumeckiego na

polanie, są zdaniem mecenasa niewiarygodne. Nie pamięta, czy zakopywał zwłoki, nie słyszał strzału, nie widział zabitych. - Czy to są dowody - pytał mecenas Jacek Brydak, na których można opierać wyrok? Ten człowiek szydzi z sądu albo przeżył ogromny stres i nie bardzo wie, co mówi.

- Akt oskarżenia jest grubymi nićmi szyty, prokuratura nie przedstawiła ani jednego wiarygodnego dowodu. Oparła się na pomówieniach Marcina T. i skazanej siostry - mecenas domagał się uniewinnienia. Nic nie wskazuje na Pawła Rozumeckiego, jako współsprawcę morderstwa. Nawet nie ma poszlak.

Prokurator od początku miał tego świadomość. To dlatego nie aresztował go kilka lat temu, gdy w kieszeni Małgorzaty, próbującej uciec z obserwacji psychiatrycznej za granicę, znaleziono kartkę z adresem brata w Nowym Jorku.

Oskarżony w ostatnim słowie również prosił o uniewinnienie. Jak zwykle, na sali sądowej nie było nikogo z jego rodziny, przyjaciół. Naprzeciw siedziały matki

281

zamordowanych i żona Sulikowskiego. Choć występowały w roli oskarżycieli posilkowych, nie miały pytań.

???

Sędzia odczytała wyrok: 25 lat więzienia.

Z oskarżonym działo się coś dziwnego: gwałtownym ruchem zdjął odświętną marynarkę, rozpiął kołnierzyk od koszuli, jakby mu brakowało powietrza. Jego ruchy były nieskoordynowane, chaotyczne. Poruszał barkami, jakby opadło go coś gryzącego. Bardzo zbladł.

Sędzia ogłosiła, że wbrew ocenie procesu przez obronę, sąd poradził sobie z ustaleniem stanu faktycznego. Zeznania świadków incognito są wiarygodne, choć słowa tego z nr 5 trzeba było potraktować wybiórczo, bo fantazjował mówiąc, że na miejscu zbrodni widział Krystiana M.; zdaniem sądu mogło to wynikać stąd, że ów świadek miał jakieś porachunki z oskarżonym. Natomiast świadek nr 2 zasługiwał na pełne zaufanie; zauważył, że strzelała osoba najwyższa, czyli to był Rozumecki.

Podnoszenie przez obronę okoliczności, że T. nie jest pewien czy strzelał Rozumecki, sędzia uznała za chybione. „Prawdopodobnie ten świadek kierował się jakąś solidarnością w stosunku do oskarżonego” - oceniła.

Gdy sędzia przeszła do kolejnych zarzutów obrońcy (manipulacje z próbkami zapachowymi) stwierdziła, że sąd wobec popełnionych nieścisłości te dowody pominął. Wtedy ktoś z tylnych ław powiedział półgłosem: „Wszystkie wątpliwości na niekorzyść Pawła”.

W chwilę potem Rozumecki zerwał się ze swego miejsca z okrzykiem do sędzi: - „Wychodzę...”. I padły obelżywe słowa, niezwykle w ustach tego młodego mężczyzny, za którym z Nowego Jorku przyszła opinia kulturalnego, aktywnego parafianina we wspólnocie katolickiej miejscowej Polonii, odpowiedzialnego ojca małego syna.

Oskarżony prosto z sali sądowej trafił do karceru - na siedem dni. Mecenas Jacek Brydak zapowiedział apelację.

???

Podniósł w niej, że sąd okręgowy założył niejako a priori, że Małgorzata Rozumecką i Marcin T. nie strzelali do pokrzywdzonych, gdyż takie były ustalenia sądów, które poprzednio orzekały w sprawie. Ale to nie powinno być wiążące dla aktualnego składu sędziowskiego.

Sąd okręgowy nie uwzględnił wniosków dowodowych obrony o przesłuchanie osoby, która miała być bezpośrednim obserwatorem zdarzenia oraz dokonania oględzin miejsca, gdzie zginęli dealerzy. Tymczasem przeprowadzenie wizji było wręcz niezbędne do oceny zeznań podstawowego zdaniem Sądu Okręgowego dowodu, dostarczonego przez świadka incognito nr 2. Podał on, że zza krzaków skąd obser-

282

wowai wydarzenia na polanie, dobrze widział, kto strzelał. Ale świadek ma 170 cm. wzrostu;

natomiast krzaki, które tam rosły były co najmniej tej samej wysokości, a nawet, jak wynika z przedstawionych sądowi zdjęć, w niektórych miejscach górowały nad mężczyzną. Niewiele mógł więc zobaczyć, a na pewno nie miał możliwości rozpoznania twarzy strzelającego.

W obszernym uzasadnieniu apelacji obrońca Pawła Rozumeckiego twierdził, że w zgromadzonym materiale dowodowym nie znajduje się ani jeden pełnowartościowy dowód, a nawet poszlaka, które by pozwoliły na stwierdzenie, że oskarżony strzelił do Pawła Subkowskiego i Piotra Aniołkiewicza. O pełnowartościowym dowodzie winy oskarżonego można mówić dopiero wtedy, gdy na jego podstawie wyklucza się inne wersje zdarzenia.

Sąd okręgowy nie mógł dojść do prawidłowych wniosków - twierdził adwokat - bowiem w wielu istotnych miejscach sprzecznie kojarzył okoliczności, a odczytując dowody, popełniał błędy w zakresie logicznego rozumowania. A mianowicie, wynikającą z nich rzeczywistość zastępował interpretacjami nie znajdującymi odzwierciedlenia w faktach. Oto przykłady: w plany zabójstwa i kradzieży M. Rozumecką wtajemniczyła brata Pawła, Marcina T. i Adama B.

Wszyscy temu zaprzeczyli.

Zdaniem sądu na polanie mieli oczekiwać na przyjazd M. Rozumeckiej z dealerami Marcin T. i Paweł Rozumecki. Zarówno siostra, jak i brat zaprzeczyli temu, natomiast Marcin T. przyznał, że jechał wraz z M. Rozumecką oraz pokrzywdzonymi jednym samochodem na miejsce przestępstwa.

W samochodzie zidentyfikowano ślad daktyloskopijny palca Marcina T. Jednak sąd nie wysnuł z tego faktu wniosku.

Sąd odmiennie ustalał wykonanie czynności przenoszenia telefonów z samochodu ofiar do taksówki. Najpierw sędzia napisała w uzasadnieniu wyroku, że telefony przepakował Paweł Rozumecki (co jest zgodne z jego wyjaśnieniem i Adama B.), po czym na dalszych kartach pojawia się stwierdzenie, że gdy z lasu wyszli M. Rozumecką i Marcin T. wszyscy wspólnie zaczęli przenosić te aparaty.

Paweł Rozumecki miał się odłączyć od zakopujących zwłoki i odjechać samochodem pokrzywdzonych. Ustalenie to sąd czyni na podstawie zeznań jego siostry. Tymczasem Małgorzata nie stwierdziła, aby brat brał udział w tej czynności. Podobnie zeznawał Marcin T.

Dalej, z treści ustaleń sądu wynika, że Rozumecki jednocześnie był w dwóch miejscach, tzn. w samochodzie oraz przy zakopywaniu zwłok. Zauważyć należy, że tę samą czynność sąd przedstawia odmiennie, w zależności od potrzeby:

Raz sprawcy „szybko i nerwowo” zaczęli zakopywać zwłoki, a ponadto P. Rozumecki „szybko, bardzo nerwowo” odjechał samochodem. Te stwierdzenia miały wykazać, że z uwagi na ogromne zdenerwowanie, sprawcy pozostawili na miejscu przestępstwa drogie przedmioty i dowody dokonanego przestępstwa oraz ślady

263

pozwalające na natychmiastowe ustalenie tożsamości ofiar. Natomiast w dalszej części uzasadnienia, gdy sąd omawia najsurowszy wymiar kary, określa zachowanie sprawców jako bezwzględnych w działaniu, skrupulatnie realizujących plan nawet ją w pewnym rozluźnieniu...

Jedynym dowodem służącym do ustaleń sądu było zeznanie świadka incognito nr 2 jako obserwatora zdarzenia. Sąd kilkakrotnie stwierdzał, że świadek ten bardzo dobrze widział, że na pewno strzelał najwyższy wzrostem mężczyzna.

- Tymczasem - dowodził w apelacji mecenas Brydak - gdyby sąd przeanalizował ten podstawowy dla swoich ustaleń dowód, musiałby dokonać całkowicie innej oceny: Świadek nr 2 nie mógł widzieć z całą pewnością osoby strzelającej, bowiem sam zeznał: ... „nie widziałem, kto strzelał. Ja zwróciłem uwagę na nich po strzałach. Mogę się domyślać, że to chłopak strzelał... Ale nie mogę powiedzieć na 100 procent”.

Tenże świadek incognito wskazał na istotną okoliczność, której sąd nie zauważył. A mianowicie stwierdził, że „w momencie zajścia nie było białego samochodu. Nadszedł kiedy już nie było osób, które coś zasypywały”.

Białym samochodem odjechał P. Rozumecki - to okoliczność nie budzącą niczyich wątpliwości.

W tej sytuacji z zeznań świadka nr 2 wynika w sposób oczywisty, że w chwili oddawania strzałów oskarżonego nie było na miejscu zdarzenia.

Również kilkakrotnie powtarzane ustalenie sądu, że strzelał najwyższy wzrostem mężczyzna nie znajduje potwierdzenia w zeznaniach świadka nr 2 (tak na marginesie, należy dodać, że P. Rozumecki nie był najwyższym wśród osób na polanie).

Konkluzja adwokata: Nie sposób zrozumieć, jak w takich warunkach dowodowych Sąd Okręgowy potrafił z całą pewnością ustalić, że Paweł Rozumecki strzelał do pokrzywdzonych. Równie trudno zrozumieć argumenty, że „bezsprzeczną taktyką siostry w kolejnych procesach była ochrona brata przed odpowiedzialnością karną”. Sąd nie dostrzegł, a więc i nie wysnuł wniosków z faktu, że między rodzeństwem Rozumeckich istniał poważny konflikt. Natomiast przedstawił oskarżonego w jak najgorszym świetle, co zapewne miało potwierdzać jego udział w popełnionym przestępstwie.

Obrońca zauważył też wewnętrzną sprzeczność w ustaleniach sądu: Z jednej strony sędzia przyznaje, że Rozumecki nieprzeczuwający niczego złego, a na pewno nieświadomy tego, że przed laty wysłano za nim list gończy zwrócił się do Konsulatu Generalnego RP w Nowym Jorku o wydanie nowego paszportu (chciał odwiedzić Polskę z żoną i malutkim dzieckiem). Z drugiej, sędzia uzasadniając wyrok zadaje pytanie: - Jeśli nie jest winien, to przed czym się ukrywał i to skutecznie przez 10 lat?

Zdumienie adwokata budziły ustalenia dotyczące wykorzystanie broni palnej w przestępstwie. Zdaniem mecenasa Jacka Brydaka sędzia w sposób mechaniczny i bez zrozumienia balistyki powieliła pewne stwierdzenia o locie kuli. - Sąd zdaje  
284

się opierać swoją wiedzę na faktach filmowych, a konkretnie na westernach - do- |5j szedł do wniosku obrońca Pawia Rozumeckiego po wnikliwej i bardzo fachowej ana- ^ jjzie kwestii balistycznych w uzasadnieniu wyroku.

Podsumowując: permanentnie naruszana była zasada in dubio pro reo, ponieważ wszelkie nie dające się rozstrzygnąć wątpliwości sędzia rozstrzygała zawsze na niekorzyść oskarżonego. O

Rok później sąd apelacyjny w całości zgodził się z argumentami obrońcy i zwró- ^ cił sprawę do ponownego rozpatrzenia przez sąd niższej instancji. Uzasadnienie wy-roku było druzgocące dla sędzi XVIII wydziału Sądu Okręgowego w Warszawie. ^ Stwierdzono dowolne ustalanie pewnych faktów, wiele sprzeczności w wykorzystaniu materiału dowodowego i rażące naruszenie prawa oskarżonego do obrony.

???

Minęły kolejne dwa lata. Przed salą rozpraw Sądu Okręgowego tłoczą się dziennika- ^ rze, jest kilka kamer. Konwojenci wprowadzają na salę skutego Pawła Rozumeckiego - będzie ogłoszony wyrok po ponownym rozpatrzeniu sprawy w wyniku apelacji.

Sędzia każe wstać... Padają najważniejsze dla oskarżonego słowa: 15 lat więzienia oraz pozbawienie praw publicznych.

Z uzasadnienia: „Postępowanie nie pozwoliło na ustalenie, kto oddał strzały do dealerów Ery i w jakim momencie Paweł Rozumecki w tym uczestniczył. Nie wiadomo, od kiedy oskarżony miał świadomość, że dojdzie do zabójstwa i na czym polegało konkretne działanie oskarżonego”.

Tych niewyjaśnionych okoliczności w uzasadnieniu wyroku jest tak dużo, że mecenas Jacek Brydak zapytany przez dziennikarzy, co sądzi o wyroku, komentuje krótko: „mój klient dostał 15 lat za to, że był świadkiem morderstwa”.

I zapowiedział ponowną apelację.

Adwokat wnosil w niej o uniewinnienie Pawła Rozumeckiego. Wskazywał w niej sprzeczne z logiką fragmenty uzasadnienia wyroku Sądu Okręgowego:

- „Zgromadzony materiał dowodowy nie pozwolił na ustalenie, jakie czynności sprawcze wykonywał oskarżony. Paweł Rozumecki miał jednak pełną świadomość, w jakim przestępstwie uczestniczy, skoro pokrzywdzeni zostali zwabieni w miejsce, gdzie zostały wykopane uprzednio



doły (sąd nie zdołał ustalić przez kogo), których wielkość jednoznacznie musiała wskazywać z jakim przeznaczeniem je wykopano".

- „Z dowodów ujawnionych na rozprawie wynika, iż nie można jednoznacznie określić, jaki był zakres czynności sprawczych poszczególnych uczestników zdarzenia".

- „W przedmiotowej sprawie okoliczności zdarzenia wskazują jednoznacznie, iż oskarżony, jego siostra i nieustalony sprawca działali w bezpośrednim zamiarze pozbawienia życia (...)"

285

- ... podnieść należy, że Paweł Rozumecki wypełnił znamiona rozbojów w DO stacji kwalifikowanej, choć postępowanie dowodowe nie pozwoliło na ustalenie, które konkretnie osoby oddały strzały do Piotra Aniołkiewicza i Pawła Subkowskiego"

- „Przeprowadzone postępowanie nie pozwoliło jednakże na ustalenie w jakim zakresie oskarżony uczestniczył w przygotowaniach do przestępstwa. W ocenie Sądu oskarżony obejmował wszystkie znamiona przypisanych mu czynów i chciał ich popełnienia".

-Niektóre istotne ustalenia Sądu Okręgowego, na których oparto wyrok - stwierdził mecenas Brydak - są wręcz niezrozumiałe.

Brak jest np. jakiegokolwiek przekonującego dowodu, że Paweł Rozumecki wiedział o wykopaniu dołów i ich przeznaczeniu.

Z tych, którymi dysponował sąd wynikało, że Małgorzata Rozumecką wciągnęła 16-letniego brata w tragiczne wydarzenie w ostatniej chwili, w momencie, gdy odjeżdżała samochodem swych ofiar wraz Marcinem T. W tych warunkach nie mógł być informowany o zamiarze zabójstwa, nie mógł wiedzieć o wykopaniu dołu. Oskarżony konsekwentnie wyjaśniał, że siostra poprosiła go o pomoc w sprzedaży telefonów i poleciła, żeby przyjechał do niej na łąkę obok działek. Trudniła się sprzedażą „komórek" - nie miał więc powodu zastanawiać się nad tą propozycją.

To Marcin T. brał udział w przygotowaniach, pojechał samochodem z M. Rozumecką i dealerami na miejsce przestępstwa, widział dół, musiał być przy zabójstwie, z Małgorzatą Rozumecką zakopywał zwłoki, otrzymał od niej po sprzedaży telefonów 10000 zł. I wobec takich faktów Sąd Okręgowy przyjął, że tego oskarżonego należy skazać tylko za zabór mienia. Paweł Rozumecki włączony w zbrodnię siostry w ostatniej chwili, dostał od niej tylko 2500 zł. Czy tak by wynagrodziła udział w morderstwie?

Sąd Okręgowy uznał, że nie jest możliwe, aby oskarżony Rozumecki pojawił się na miejscu zdarzenia w kilka sekund po strzałach. Zatem - „z całą stanowczością", był jednym z zabójców.

Tymczasem pomiary dokonane na podstawie skali zamieszczonej na policyjnym szkicu po znalezieniu zwłok wskazują, że odległość, jaka dzieliła go od miejsca śmierci pokrzywdzonych wynosiła 80 m. Taki dystans sprawny 16-latek potrafi pokonać w kilkanaście sekund. Sąd pierwszej instancji dowodu tego nie rozważył. Jak również zeznań świadków nr 2 i 5, którzy twierdzili, że obserwowane przez nich osoby pod lasem po strzałach zachowywały się bardzo nerwowo. Zatem podbiegnięcie tam jeszcze kogoś nie musiało być zauważone - szczególnie, że ci świadkowie incognito nie mieli zbyt dobrej widoczności. Zresztą w kolejnych zeznaniach zmieniali liczbę dostrzeżonych osób.

Konkludując: pomimo że Sąd Okręgowy czterokrotnie rozpoznawał sprawę przeciwko Małgorzacie Rozumeckiej, nie wiadomo, kto i dlaczego strzelał do pokrzywdzonych, nie zostali ustaleny wszyscy sprawcy, nie wiadomo kto wykopał dół i w jakim celu, nie znaleziono broni palnej i nie wiadomo, jaka była to broń, dlaczego

286

sprawcy zostawili dokumenty pozwalające na natychmiastowe zidentyfikowanie pokrzywdzonych, nie zabrali samochodów i innych wartościowych przedmiotów - nawet gotówki i drogiego zegarka.

W procesie Pawła Rozumeckiego dodatkowo nie ustalono: w jakim zakresie uczestniczył on w przygotowaniach do przestępstwa, czy w ogóle brał w tym udział i co konkretnie wtedy zrobił.

- Tego rodzaju sytuację procesową - dowodził w apelacji obrońca Pawła Rozumeckiego - należy

uznać za stan „niedających się usunąć wątpliwości”, do którego musi być zastosowana reguła określona w art. 5 § 2 kpk. (Wątpliwości na korzyść oskarżonego). Dlatego domagał się uniewinnienia.

W chwili oddania książki do druku ponowna apelacja nie została jeszcze rozpatrzona.

-

"^J "NTie od razU poszli do sądu; myślen. że zaszło nieporozumienie, które zapewne W IN samo się wyjaśni. Wszyscy lokatorzy z kamienicy przy ul. Tykocińskiej 40 pa miętają, że Irena Krzeszewska była w karakułach. Może dlatego, że oni bez płas2 czy, w kapciach, marzli na strychu, gdzie ich zgoniła, aby od drzwi wykrzyknąć, że j jest właścicielką tej kamienicy, dotychczas komunalnej, a przed wojną należącej do Florentyny i Rocha Krzeszewskich. To było zaraz po Bożym Narodzeniu 2002 roku p?^» -Ja się zapytałam - wspomina Hanna Mochecka - czy na spotkanie zapoznaw- ?g| cze nie stać ją na wynajęcie lokalu? A nie, żeby na stojąco, w kurzu poddasza, gdzie cji nula lodowaty wiatr. - To wyście powinni mnie zaprosić do któregoś z mieszkań bo tu wszystko jest moje - odparowała. - Ta kamienica i cztery następne, wedle nu- (~) merów: 30, 36, 38, 42. I jeszcze przy Hożej, Wspólnej. Wszystko dostaliśmy z mężem w spadku po cioci Florentynie Krzeszewskiej.

Hł Zrobiło się nieprzyjemnie, bo gdy zaczęła mówić: ciocia to, ciocia tamto, ja py- »3fc tam: - A gdzie państwo byli, gdy pani Flora była chora i potrzebowała opieki? Wte-O dy Karakułowa znów na mnie naskoczyła, co to za pytanie, ona sobie nie życzy ta-kich poufałości, chyba się nie orientuję, z kim mam do czynienia, jest właścicielką JT^ kilku domów w Warszawie, wkrótce odzyska plac w Ursusie; ten, na którym dziś ^3 stoi fabryka ciągników.

- Krzyczała - dodaje mieszkająca piętro wyżej Barbara Grzeszykowska - że podnosi nam czynsz. Chciała wejść do każdego mieszkania, zobaczyć jak jest urządzo-^ ne, bo od tej pory, zapowiedziała, nie wolno już niczego zmieniać bez jej zgody. Od-jfrj pychała nas, ale nie pozwoliliśmy jej przekroczyć progu. A gdy nazajutrz dozorczyń przyniosła nowe umowy, nikt nie podpisał. Była w nich mowa o windach, antenach zbiorczych, których jak świat światem, na Tykocińskiej nie widziano. Potem usiłowała nas podjudzać przeciwko sobie. Nie udało się.

Niby jeden zero dla nich, ale niepokój został. I trochę nadziei. A może tylko te czarne brajtszwance na Krzeszewskiej były prawdziwe? Może udawała, że ma papiery właściciela? Na nią i jej męża Mirosława? Przecież nikomu ich do ręki nie dała. Trzeba sprawdzić - zdecydowali.

Najlepsza będzie do tego Hanna Mochecka. Jest radną, niejedną trudną sprawę na warszawskim Targówku przepchnęła. A poza tym, nikt w urzędach jej nie zarzuci, że występuje w swoim interesie, gdyż mieszkanie ma wykupione.

Kilka dni później skrzyknęli się z całej uliczki, bo Hanka (zasiedziali mieszkańcy

znają się od dziecka, mówią sobie po imieniu) miała dla nich ważne wiadomości. - Jest gorzej, niż myślałam - zaczęła. - Ci Krzeszewscy dostali kamienice w testamencie pani Flory, spisany przez nią w 1982 roku, na kilka miesięcy przed śmiercią. Na wszystko są orzeczenia sądowe. Oni te dokumenty załatwiali przez 12 lat. Krok po kroku. Mochecka wyjęła notatki: Rok 1990 - postanowienie Sądu Rejonowego dla Warszawy-Pragi o nabyciu spadku po zmarłym w 1951 roku Rochu Krzeszewskim, 288

mężu Florentyny przez jego żonę i bratanka Franciszka K. z Bedlna. Sądowi wystarczył wypis z przedwojennej hipoteki potwierdzający, że w 1902 roku Roch nabył działki budowlane przy ulicy Tykocińskiej.

- Ciekawe - zauważył ktoś z obecnych - czy o tej spadkowej sprawie wiedziała Jola...

- Ale gdzie ją znaleźć?

Jola, dziś koło siedemdziesiątki, mieszkała ze swoją ciotką Florentyną Krzeszewską przez 16 lat, aż do wyjazdu do Wrocławia na studia. A i potem, razem z siostrami, Elżbietą i Martą, były na każde zawołanie owdowiałej krewnej. I do końca życia ciotki w 1983 roku tylko one z rodziny pojawiały się na Tykocińskiej.

Radna znów sięgnęła do swoich notatek z dokumentów w dzielnicowej radzie. Wynikało z nich, że następnie Mirosław K. wystąpił o sądowe ustanowienie prawa do spadku po zmarłym ojcu Franciszku. Poszło gładko. Potem jest 6 lat przerwy, jakby zainteresowany spadkiem po Florentynie bał się zrobić następny krok. Ale w końcu informuje Sąd Rejonowy dla Warszawy-Pragi, że jest jedynym spadkobiercą po zmarłej Florentynie. Na dowód przedstawia testament. Pomyślnie dla siebie postanowienie dostaje kilkanaście minut później.

- Czy wiadomo, jak brzmiał ten testament? - zapytała lokatorka, która od 1945 roku była sąsiadką Florentyny i zapamiętała słowa starszej pani, że gdyby kiedyś państwo zwracało majątek zabrany dekretem 1945 roku, to ona wszystko ofiaruje kościołowi.

- Wiadomo - zapewniła radna. Zdobyła kopię odręcznie napisanej ostatniej woli Florentyny Krzeszewskiej z 1982 roku: - „(...) Będąc świadomą, zapisuję cały swój majątek na rzecz mojego kuzyna Mirosława Czesława K. syna Franciszka”. Uwiarygodniony przez sąd testament utorował drogę bedlniakom do stołecznego Urzędu Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast. Domagają się unieważnienia orzeczenia Prezydium Rady Narodowej, jakie Florentyną Krzeszewską otrzymała w 1965 roku. Wtedy odebrano jej prawo własności tak do gruntu, jak i nieruchomości. Prezes Urzędu stwierdził 16.05.2001 r., że wywłaszczenie w czasach PRL nastąpiło z pogwałceniem prawa. W ślad za tą decyzją burmistrz Gminy Warszawa-Targówek cofnął skutki dekretu z 1945 roku i przyznał dzieciom Franciszka K. - Mirosławowi, Jerzemu i Krystynie prawa użytkowania wieczystego gruntu pod kamienicą przy ul. Tykocińskiej 40. Administracja Domów Komunalnych Targówek przeniósła na spadkobierców prawa własności budynku. Na marginesie swej decyzji burmistrz nieśmiało zaznaczył, że w latach 1982-1983 kamienica przeszła remont kapitalny, m.in. została nadbudowana jedna kondygnacja. Część mieszkań sprzedano dotychczasowym użytkownikom.

- To już z nami koniec. Ja na tak wysoki czynsz, jak ta w karakułach zapowiada, na pewno obrazami nie zarobię - zmartwił się artysta malarz z sąsiedniej kamienicy, która też przeszła w ręce spadkobierców z Bedlna.

289

Mocheckiej nie dawała spokoju jedna myśl. Zastanawiała się na głos: - Jak to się mogło stać, że pani Flora właśnie Mirosławowi zapisała cały swój majątek? Czy to jakaś rodzinna tajemnica? Kto na Tykocińskiej słyszał o krewnych z Bedlna? Na naszej krótkiej uliczce nie dało się przemknąć niepostrzeżenie. Gdy ktoś szedł do mnie, a ja wcześniej wybrałam się na miasto, zaraz wychylała się z okna głowa sąsiada, aby poinformować, o której godzinie przekreślałam klucz w zamku.

- Nie ma innego wyjścia - powtórzyła Barbara Grzeszykowska - musisz Hanka znaleźć tę Jolę. Tylko ona może coś wiedzieć.

???

Doktor Jolanta Kisielewska jest anestezjologiem w jednym z warszawskich szpitali. I tam wpadają sobie z Mochecką w ramiona. Bratanica pani Florentyny ze zdumieniem wysłuchuje opowieści swej dawnej koleżanki z podwórka. Nigdy nie słyszała o krewnym z Bedlna.

- Przecież ja mam w domu testament cioci - mówi.

Jeszcze tego samego dnia radna dostaje do rąk pożółkły już papier z inwokacją w górnym rogu: „Jezu ufam Tobie”. Czyta: - „Spadkobierczynią moją ustanawiam bratanicę Jolanę Elżbietę Kisielewską, córkę Gustawa i Marii, aby wykonała mą ostatnią wolę i uszanowała moje intencje, obdarzając niżej wyszczególnione zgromadzenia religijne oraz charytatywne, a mianowicie:

1. Jeżeli będzie można otrzymać odszkodowanie za plac, ewentualnie za zburzony dom przy ul. Wspólnej 75 (hipoteka nr ...) zapisuję je na Katolicki Uniwersytet Lubelski.

2. Odszkodowanie za oficynę upaństwowioną 1 x 1956, częściowo zburzoną przy ul. Hożej 1a (hip....) zapisuję na Katolickie Seminarium Diecezjalne w Warszawie.

3. Dom przy ul. Tykocińskiej 30 (hip....) Praga Północ zapisuję dla osób starszych nie otrzymujących renty, mieszkających pod adresem S.S. Albertynki, Warszawa, ul. Kawęczyńska.

4. Dom przy ul. Tykocińskiej 36 (hip ) zapisany mnie przez męża Rocha Krzeszewskiego w testamencie z dnia 28.VIII 1950 roku zapisuję czcigodnym 0.0. Karmelitom Bosym Dzieło Misyjne Wrocław.

5. Połowę domu przy ul. Tykocińskiej 38 (hip...) zapisanego mnie przez męża Rocha Krzeszewskiego zapisuję czcig. S.S. Zgromadzeniu Św. Alberta Albertynkom z siedzibą ul. Kawęczyńska 4a".

Podpis i data - 3 VI 1979 r."

- Nie wykonałam testamentu - tłumaczy Jolanta Kisielewska, bo odzyskanie majątku byłoby dla mnie bardzo kosztowne. Porozumiałam się w tej sprawie z prawnikami władz kościelnych, którzy poradzili poczekać na ustawę reprivatyzacyjną.

Radna Mochecka wie, co ma teraz zrobić - zawiadamia Prokuraturę Rejonową Pra-ga-Północ. Prosi o wdrożenie postępowania w sprawie o domniemanie sfalszowania

290

testamentu. Musi się dobrze nachodzić, nim przekona organy ścigania, że są powody do alarmu. Na szczęście, zmienia się prokurator i od tej pory jest już z górki.

Przed wszystkim zostały zamówione ekspertyzy rzekomego testamentu Flory z 1982 roku. Specjaliści z kilku niezależnych ośrodków badawczych byli zgodni, że wiek liter na papierze może być określony jedynie wówczas, gdy minie mniej niż 18 miesięcy od ich zapisania. Zatem jednakowo brzmiące słowa z roku 1982 i z 1979 będą nie do rozróżnienia. Trzeba szukać innych tropów.

Ostatecznie biegli doszli do wniosku, że podpis Krzeszewskiej z 1982 roku, choć wygląda na autentyczny, został sfalszowany na podstawie jej prawdziwego podpisu z roku 1922, kiedy jako młoda wówczas kobieta parafowała akt notarialny. Testament prawdopodobnie został sporządzony poprzez zeskanowanie poszczególnych liter, które wyszły spod ręki Florentyny, ułożenie z nich w programie komputerowym tekstu, następnie przekopiowanie wydruku na kartkę przez szybę. Litera nie występujące w podpisie, a potrzebne w tekście testamentu usiłowano dopasować do pierwowzoru.

I to była pierwsza wpadka fałszerza.

Następnie potknął się na drobnym błędzie. Zapomniał, że pismo każdego człowieka nie jest w ciągu jego życia stabilne. Zmieniają się skoki linii, kąt nachylenia liter. Tymczasem rzekomy testament z 1982 roku nie był odwzorowywany na próbce pism ofiarodawczyni z końca 70., gdy miała już trzęsącą się starczą rękę, co widać na kartkach pocztowych, adresowanych do bratanicy Joli.

Zatem sfalszowany - ale przez kogo? Kazano Mirosławowi K. napisać pod dyktando kwestionowany testament. Mozolił się bardzo, stawiał kulfony, sadił grube błędy ortograficzne. W czasie przesłuchania określił swoje wykształcenie jako podstawowe, ale wyglądało na to, że chyba

nie ukończył nawet siedmiu klas. Stało się jasne, że to nie on podrobił testament. Pytanie kto, pozostało bez odpowiedzi. Do sądu wpłynął akt oskarżenia przeciwko Mirosławowi K... O to, że w 1996 roku posłużył się sfałszowanym testamentem twierdząc, że jest jedynym spadkobiercą po zmarłej Florentynie.

Szykował się trudny, poszlakowy proces. Lokatorzy kamienic przy ul. Tykocińskiej na warszawskiej Pradze nie zamierzali opuścić ani jednej rozprawy.

Tymczasem oszustom zaczął się usuwać grunt spod nóg. Pod znakiem zapytania stało przyznane już odszkodowanie za place i kamienice w Śródmieściu Warszawy, przy ulicach Wspólnej i Hożej. Samozwańców zgubiła chciwość. Gdyby zadowolili się kwotą, którą akceptował Urząd Mieszkalnictwa, mieliby miliony złotych w kieszeni. Ale oni chcieli jeszcze więcej, odwołali się, wchodząc w sądowy spór ze Skarbem Państwa. Nim doszło do wyroku, wypłynęła sprawa sfałszowania testamentu. Wówczas prezes Urzędu Mieszkalnictwa zawiesił postępowanie administracyjne i anulował swoje poprzednie decyzje; postanowiono rozpatrzyć wszystko od nowa.

Zachłanne ręce krewniaków z Bedlna zawłaszczyły natomiast rodzinny grobowiec Rocha i Florentyny Krzeszewskich. Zabytkowy obiekt, wyremontowany z kwesty na cmentarzu Bródzińskim, krył trumny jeszcze z ub. wieku. „Spadkobiercy” usunęli ludzkie prochy. Administracja cmentarza wpisała Mirosława jako właściciela.

???

O

CU

?

Młyny sprawiedliwości miały powoli, zwłaszcza w sądach warszawskich. Dwie pierwsze rozprawy odroczone ze względu na nieobecność oskarżonego. Kolejna spada z wokandy, gdyż pozwany zmienił adwokata. Mirosław K. robi wszystko, aby odwlec wyrok. W międzyczasie sprzedaje jeden ze spadkowych domów swojej córce. Lokatorzy z Tykocińskiej solidarnie stawiają się na każdą rozprawę. - Tu chodzi o prawdę - zarzeka się malarz Kozłowski - o wolę zmarłej, którą jacyś przyszywańcy sponiewierali. Na Targówku wszyscy wspominają panią Florentynę z szacunkiem. Tyle w życiu przeszła i jeszcze po śmierci ktoś chce ją skrzywdzić.

Konkretna w robocie Mochecka przynosi od Jolanty Kisielewskiej kopię testamentu męża pani Flory. Treść tego dokumentu spisanego w 1950 roku w obecności notariusza wskazuje, że „przyszywańcy” go nie znali. W przeciwnym razie inaczej wyglądałaby ich pokrętna droga do zawłaszczenia cudzego majątku. Niestety, nie wykazał się dociekliwością sąd, gdy swą pieczęcią ustanawiał Mirosława K. spadkobiercą majątku Florentyny. Notariusz zapisał bowiem: „Ob. Roch Krzeszewski, aczkolwiek chory na ciele, jest zdrowy na umyśle i podyktował swój testament w osnowie następujący:

1. Na wypadek mojej śmierci zapisuję na własność żonie mojej Florentynie (...) nieruchomości w Warszawie: położoną przy ul. Wspólnej nr 75, położoną przy ul. Tykocińskiej nr 36, niepodzielną połowę nieruchomości przy ul. Tykocińskiej nr 38 oraz cały majątek ruchomy i wszelkie należności, jakie przypadają będą na mnie od osób trzecich.
2. Na własność wnuczce mojej Wiktorii Annie Florentynie Matyaszko zapisuję nieruchomość przy ul. Tykocińskiej nr 40.
3. Niepodzielną drugą połowę nieruchomości przy ul. Tykocińskiej nr 38 zapisuję na własność w równych częściach siostrzenicom moim: Stanisławie z Jędrzejczaków Kilanczyk, Ewie z Jędrzejczaków Ossowskiej - córkom Leokadii z Krzeszewskich Jędrzejczak i Helenie Kwiatkowskiej, córce Łucji z Krzeszewskich. Na wyżej wymienione wkładam obowiązek konserwacji grobu rodzinnego znajdującego się na Cmentarzu Bródzińskim na Pradze”.

- Zatem - tłumaczy radna - oszuści dostali od administracji kamienice, które pan Roch podarował w testamencie komu innemu.

Radna poszukiwała Wiktorii Matyaszko. Jednakże, mimo usilnych starań, trafiła tylko na jeden ślad - zapis chrztu w kościele.

Tymczasem K. z Bedlna sprzedał kolejne domy przy ul. Tykocińskiej swoim córkom i ich mężom.

292

Wreszcie dochodzi do procesu. Oskarżony chce, aby rozprawa toczyła się przy drzwiach zamkniętych, sąd nie widzi powodu do aż tak daleko posuniętej dyskrecji. W ławach dla publiczności siadają prawie wszyscy mieszkańcy kamienic przy ulicy Tykocińskiej. Mirosław K. nie ucieknie od ich nieżyczliwych spojrzeń, kpiących uśmiechów, zdumionych min. Ta widownia będzie weryfikowała każde jego słowo. A także przyprowadzonych świadków.

Lokatorzy domyślają się, dlaczego zarówno adwokat, jak i żona oskarżonego pilnują, aby nie powiedział czegoś, co mu zaszkodzi w procesie. Z daleka widać, że to człowiek prymitywny, sprawia wrażenie, jakby nie rozumiał, czego sąd od niego chce. Mecenas jest wyraźnie spięty, gdy jego klient podrywa się, aby spontanicznie odpowiedzieć sądowi; przytrzymuje go ręką i z przylepionym do twarzy uśmiechem szepcze do ucha coś, co wygląda jak reprimenda.

Oskarżony sprawia wrażenie porażonego niemotą, zaś jego żona wręcz przeciwnie, wyrzuca z siebie lawinę słów.

-Jak to było z testamentem od cioci? - pyta sąd.

- Ano - opowiada pani Irena - wybraliśmy się kiedyś do znajomych w Warszawie, to był rok 1982, tuż przed Bożym Narodzeniem. Mąż mówi, że przy okazji odwiedzi ciotkę Florę. Przygotowałam paczkę, wiadomo, jakie wtedy były czasy, wszystko na kartki. I pojechał na Tykocińską - sam, bo ja tej ciotki nie znałam, tylko jej męża, gdy za moich panięńskich czasów przyjeżdżał do Bedlna pooddychać wiejskim powietrzem. Czekam, czekam, już się zrobiło ciemno, a mojego Mirka nie widać. Wreszcie dzwonek do drzwi. Wrócił. I gdy na chwilę zostaliśmy sami, szepnął mi: chodź na spacer, coś ci pokażę. Na dworze wyjął z kieszeni kopertę. Przeczytaj, prosię... (pomruki z ław - „Przecież było ciemno, środek zimy, chyba pod latarnią czytali”).

- .. Ja się patrzę - ciągnie niezrażona Irena Krzeszewska - a to testament.

- Czy ten? - upewnia się sędzia, pokazując „Ostatnią wolę” Florentyny z datą 1982 rok. - Tak. Ja, proszę wysokiego sądu, nie przywiązywałam do tego papierka wagi. Powiedziałam, że bardzo ładnie, ale co nam z tego przyjdzie, przecież place i kamienice w Warszawie są upaństwowione. Mąż chciał od razu testament podrzeć i wyrzucić do kosza, ale mówię: - Schowaj na pamiątkę. I po powrocie do domu włożyliśmy kopertę do skrytki. Aż gdzieś w roku 1995, może trochę później, obejrzelśmy program telewizyjny, w którym jakiś pan ogłosił, że w Warszawie powstało stowarzyszenie kamieniczników i żeby się tam zgłaszały osoby zainteresowane zwrotem własności zagrabionej przez komunistów. Pojechaliśmy na spotkanie. Tłok był wielki, przyszło około 500 osób. Sami poszkodowani. Tak jak my, mieli przedwojenne kamienice, ale na papierze. Mecenas, którzy też tam byli, uczyli nas, jak postępować, żeby odzyskać swoją własność. Przeszliśmy, proszę wysokiego sądu, ciernistą drogę, bo wszędzie, w sądach i urzędach trzeba było wykazać rodzinne korzenie.

- Kim byli rodzice spadkodawczyni? - pyta sędzia.

03 - ....

- Tego to ja nie wiem.

- Czy pani pisała listy do Florentyny Krzeszewskiej, może zachowała się jakaś korespondencja?

- Raz na jakiś czas posłało się kartkę. Ale za to często dzwoniłam do cioci (w ławach ironiczne uśmieszki, dogadywania. Niby szepsem, ale niesie po sali: - „Chyba na pocztę, bo pani Flora nie miała telefonu”). Ostatnie pytanie tego dnia: - Kto to jest pani Jolanta?

- Dokładnie to nie powiem.

Na kolejnej rozprawie Mirosław K., nadal potwierdzając swą niewinność, opowiada, jak wyglądało przekazanie mu testamentu.

- Zwyczajnie, włożyła mi do kieszeni kopertę, powiedziała, że taka była wola wujka Rocha. I jeszcze dodała, że może mi się to kiedyś przyda.

- A czy pani Florentyna była osobą wierzącą?
- Trudno powiedzieć. Chyba tak, jak to na starość, proszę wysokiego sądu.
- A jak wyglądało jej mieszkanie?
- Same stare graty.
- Proszę opisać dokładniej. Na przykład, czy była łazienka, jak urządzona.
  - Nic specjalnego. Kafelki, terakota (z ław dla publiczności dochodzą do stołu sędziowskiego pomruki oburzenia. I komentarze: „On tam nigdy nie był!”).
- Sąd chce wiedzieć dokładnie, w jaki sposób Florentyna Krzeszewska zawiadomiła oskarżonego, że przekaże mu testament. Mirosław K. jest na to pytanie przygotowany, ma świadków.

???

Stawia się Piotr P., lat 66, jest sąsiadem Mirosława K. Mówi, że w latach 50. często widział pana Rocha w Bedlnie.

- Latem, proszę wysokiego sądu, sąsiedzi przyjmowali gościa z Warszawy w ogrodzie pod jabłonią. A ja jako dziecko podglądałem zza płotu. Zapamiętałem, jak się nazywa ten starszy pan, bo gospodarze często wznosili toast za jego zdrowie i wtedy padało nazwisko Krzeszewski (Szum w ławach. - „Co on za bzdury plecie! Pan Roch, taki dystyngowany, człowiek starej daty, nie napiłby się wódki pod drzewem!”).

Kolejny świadek - Zygmunt G., w tym samym wieku, co poprzedni. Też z Bedlna. Opowiada, że jego tato i ojciec Mirka, znaczy oskarżonego Mirosława, służyli w latach 50. w wojsku na Cytadeli w Warszawie i na każdej przepustce jeździli na Tykocińską. Zygmunt G. wie o tym, bo jego tato często opowiadał przy kielichu, jak to było, gdy go wzięli w kamasze (sędzia zwraca uwagę publiczności, że na sali rozpraw obowiązuje cisza).

Na kolejnej rozprawie świadek Zdzisław B. zeznaje, że w roku 1982 roku pracował w firmie zabawkarskiej, rozwoził towar do chałupniczek. Gdy był w Warszawie

294

u jednej z kobiet, przyszła babuleńka, pamięta, że miała na imię Flora. Poprosiła, aby szybko zawiadomił w Bedlnie jej krewnego Mirosława K., bo ona musi się z nim natychmiast widzieć. Świadek nie pamiętał adresu, pod którym mieszkała ta chałupniczka.

Ale Sławomir S., kolejny sąsiad oskarżonego, znał dalszy ciąg prośby „babuleńki”. Zeznał pod przysięgą, że w 1982 roku właśnie siedział u Mirosława K. w kuchni, gdy wszedł pewien młody człowiek i powiedział gospodarzowi, że ma się zgłosić do Warszawy do jakiejś pani Flory w pilnych sprawach rodzinnych.

? ??

Żadna z tych opowieści nie wytrzymała konfrontacji z zeznaniami mieszkańców - byłych i obecnych - domu przy ulicy Tykocińskiej. Najważniejszy świadek - Jolanta Kisielewska, która likwidując po śmierci ciotki jej mieszkanie, przeglądała szuflady, okazała sądowi znalezione tam różne dokumenty, zapiski, a także notes z telefonami. Choć roiło się w nim od różnych nazwisk, nie było krewnych z Bedlna. - Przechowuję dużo listów, które ciocia otrzymywała od znajomych i nigdy nie przewinęło się w nich nazwisko oskarżonego - powiedziała pani doktor.

Świadek Henryk Żelażewski, który z Florentyną Krzeszewską przyjaźnił się przez wiele lat i po sąsiedzku zaglądał do niej niemal codziennie, nigdy nie widział mężczyzny siedzącego w ławie oskarżonych. Nawet w pobliżu mieszkania starszej pani. Wie, że na pewno nie wyjeżdżała z mężem do Bedlna. Jeśli już udawała się na wieś, to do rodzinnego domu świadka, który w ten sposób spłacał dług wdzięczności. Bowiem pani Flora pomogła mu zadomowić się w Warszawie, a następnie, gdy ciężko zachorowała jego żona po porodzie, pielęgnowała noworodka.

Zarówno Żelażewski, jak i inne osoby stojące za barierką dla świadka, jednomyślnie zeznawały, że w mieszkaniu pani Florentyny nie było wanny, glazury i tym podobnych „luksusów”. Żyła bardzo skromnie, do mycia miała miskę, gotowała na starej kuchence elektrycznej. Pan Henryk czuł się w obowiązku łątać przepalające się sznury. A co do religijności Florentyny Krzeszewskiej, to określenie oskarżonego, że „chodziła do kościoła, jak to człowiek w starszym wieku” świadczy o

zupełnej nieznajomości tej kobiety.

Zeznał ks. prof. salezjanin Marian Graczyk: - Znałem panią Florę od 1971 roku, gdy już nie mogła chodzić, nosiłem jej komunię. Była głęboko wierząca, oczekiwała ode mnie dysputy na tematy biblijne. Dużo czytała, zadawał pytania głębokiej treści. Do końca życia zachowała jasność umysłu. Parę razy mówiła mi, że chce przekazać swój majątek na KUL oraz seminarium Archidiecezjalne w Warszawie. Niestosownością jest nazywanie jej babuleńką.

? ? ?

Lokatorzy walczyli w sądzie o prawdę, bo bali się samozwańców, pazernych właścicieli kamienic, ale też targała nimi złość, że kobieta, która żyła wśród nich przez

295

prawie 40 lat i nikt nigdy nie mógł powiedzieć na nią złego słowa, jest poniewierana po śmierci. Bo jakże to - nie uszanować ostatniej woli, ukraść majątek, który był przeznaczony dla kogo innego?

Z tego, co opowiadają, wyłania się obraz osoby nieprzeciętnej. Hanna Mochec-ka mówi, że jeśli jeszcze dzisiaj ktoś samotny, stary, niedołączony, a mieszkający przy Tykocińskiej może liczyć na to, że sąsiadki każdego dnia przyniosą mu zupę, poprawią poduszkę na łóżku, jest to zasługa pani Flory. Uczyla przykładem.

- Moi rodzice, którzy się z nią przyjaźnili, zawsze mi powtarzali, że mamy na Targówku anioła dobroci - mówi radna. - To prawda - przytakują bratanice Flo-rentyny Krzeszewskiej: Jolanta, Elżbieta i Marta.

- Ale myliłby się ten - zauważa Elżbieta - kto by sądził, że z naszej kochanej cioci spływała sama słodycz. To była silna kobieta, wcale nie lukrowana, z mocnym charakterem, jak czołg, gdy dążyła do swego celu. I wcale nie tak znów otwarta wobec obcych. Życie bardzo ją mocno doświadczyło. Wśród nielicznych fotografii, jakie przetrwały pożogę Powstania Warszawskiego znajduje się małe zdjęcie w kolorze sepii. Widać na nim idące energicznym, równym krokiem dwie kobiety w eleganckich kostiumach i modnych kapeluszkach-kubelkach. Żakiet tej starszej jest ciemny, stosowny do wieku, rozjaśniony dodatkami. Twarz ocieniona rondem roześmiana, szczęśliwa. Młodsza, bardzo urodziwa, ma ten sam szeroki uśmiech. Elegancki angielski kostium z miętko układającej się wełny zdradza rękę pierwszorzędneho krawca. Od obu kobiet bije radość i aura rozumienia się w pół słowa. Chciałoby się im życzyć, aby przez całe życie przeszły szczęśliwie tym samym zgodnym, mocnym krokiem. Podpis na odwrocie zdradza przekorność autorki. Brzmi zagadkowo: „Tyran-ka bezrobotna, nie ma kogo tyranizować”.

Tak w roku 1937 pisze o swej matce Danuta Krzeszewska córka Florentyny. Właśnie zdała maturę w renomowanym Prywatnym Liceum Nazaretanek i wybiera się na filozofię na Uniwersytet Warszawski im. Piłsudskiego. Po latach jej szkolna koleżanka, Ilona Korompay, tak wspomina dom rodzinny Danuty przy ul. Wspólnej 75: - Często tam byłam, razem odrabialiśmy lekcje. Mieszkanie bardzo obszerne, pięć pokoi dostatnio urządzonych, ale bez przesady. Ład i umiar panował we wszystkim. Pani Florentyną rozpoczynała dzień nuceniem psalmów. Budziła Danusię, dawała polecenie Władzi - pomocy domowej i spieszyła na mszę na godz. 7 do kościoła św. Barbary. Następnie odwiedzała tych spośród swoich lokatorów, którym trzeba było pomóc. Bardzo często dawała im pieniądze na opłacenie czynszu, aby nie sprowadzili sobie na głowę komornika. Danusia szła w ślady matki. Do szkoły brała teczkę wypchaną słodyczami i kanapkami z drugim śniadaniem. Potem w bramie wsuwała czekoladkę dziecku dozorczy, które nie znało słodyczy, bo ojciec popijał, to znowu wkładała obłożone wędliną kromki chleba staremu kalece, wyczekującemu na nią od rana. Nim doszliśmy do szkoły, po śniadaniu nie pozostał nawet okruch. Przez całą drogę towarzyszyły nam zdrowaśki obdarowywanych.

296

???

panuta była oczkiem w głowie rodziców. Wcześniej przeżyli tragedię - dwie córki zmarły w dzieciństwie. Śmierć kilkuletniej Krysi, a także nagłe wymarznienie 800 drzew w sadzie pod



Warszawą sprawiły, że Roch Krzeszewski zrezygnował z prowadzenia wielkotowarowego gospodarstwa na wsi. Kapitał zainwestował w nieruchomości, chomości. W 1922 roku kupił na wynajem okazałą kamienicę w centralnym punkcie stolicy przy ul. Hożej 1a, tuż przy placu Trzech Krzyży. Budynek był, jak na owe czasy, bardzo nowoczesny. Miał sześć wysokich pięter, windę i inne udogodnienia CI techniczne, wcale wówczas nie takie powszechne (dziś w tym miejscu jest tylko plac, nadal ogromnej wartości). Sami Krzeszewscy osiedli w swej drugiej śródmiejskiej kamienicy, przy ul. Wspólnej 75, w pobliżu parku.

- Pan Roch - wspomina sędziwa Ilona Korompay, świadek na procesie Mirosława K. - był demokratą. Zdaje się, że pod wpływem twórczości Żeromskiego rozpoczął wznoszenie „szklanych domów” na wynajem dla robotników po prawej stronie &2 Warszawy, na Targówku. Mieszkania miały być tanie, ale z wygodami. Osobiście pilnował tej budowy. Wstawał codziennie przed szóstą, odśpiewywał godzinki do Najświętszej Marii Panny i jechał na drugą stronę Wisły, na Tykocińską. Miejsce na budowę czterech kamienic było starannie wybrane. Patriotą Roch wyobrażał sobie, że z okolic Tykocińskiej będzie promieniowała nowa cywilizacja na warszawską Pragę.

To był dobry adres. Choć wokół gęstwa ogrodów, docierał do nich głuchy dźwięk dzwonu przy ul. Radzymińskiej, sygnalizujący odjazdy pociągów z dworca Warszawa Wileńska. Właśnie ukończono budowę wąskotorówki, która łączyła Targówek z podwarszawskimi miasteczkami, żyjącymi z pracy w stolicy: Zaciszem, Markami, Drewnicą, Radzyminem.

Krzeszewscy czuli się odpowiedzialni za rozwój dopiero co odrodzonej Polski. Jolanta Kisielewska odnalazła po śmierci ciotki w jej papierach poświadczenie Ministerstwa Skarbu II RP wydane 8 lipca 1920 roku, gdy trzeba było wspomóc armię, wycieńczoną wojną bolszewicką: „Zaświadcza się, że Wielmożna Pani Florentyna Krzeszewska złożyła w dziale rachunkowym tutejszego Ministerstwa następujące przedmioty i monety: 3 złote pięćorubłówki, 7 obrączek złotych ze złota dukatowego z inicjałami, 3 złote pierścionki, dwa sygnety złote starej roboty, dwa złote kolczyki, złotą dewizkę męską, złoty zegarek damski, złoty zegarek firmy Patek, łańcuszek złoty damski długości dwa i pół łokcia, zegarek srebrny o 3 kopertach, medal srebrny z napisem (...), łyżeczki srebrne 83 sztuki, 88 sztuk półrubłówek, bilon srebrny wyliczony” itd.

W 1930 roku Krzeszewscy kupili rozległy plac pod budowę kościoła i parafii przy ul. Tykocińskiej. Florentyna dosłownie traktowała napis na warszawskim kościele św. Michała: „Bogu z Jego darów”. W 1923 roku dała spore kwoty biednym siostrzyczkom zakonnym Skrytkom w Chotomowie, w 1926 roku otworzyła mężowski portfel dla ks. proboszcza Marcelego Ryniewicza, który sam w obdarzonej sutannie, grosz po

297

N groszu, zbierając na budowę kościoła przy ul. Łazienkowskiej. Nieraz widziała go, jak z wielką torbą na plecach przemierzał wysypiska w poszukiwaniu kawałka blachy czy gwoździ przydatnych na budowie.

Świątynia powstała, ale ksiądz zmarł z wycieńczenia.

H  
PM

???

Wybucho wojna. Danuta nadal nosi ciężki warkocz w rzadko spotykanym kolorze popielaty blond, ale już jako studentka trzeciego roku filozofii. Jest młodszą asystentką w katedrze prof. Władysława Tatarkiewicza. Zna cztery języki. Już po wojnie profesor tak ją będzie wspominał: „Cechowała ją niepojęta szybkość rozwoju, niespotykana w tych młodych latach dojrzałość i szerokość umysłu. Najgłębsze jej zainteresowania leżały w granicach filozofii i sztuki. W Zagadnieniach filozofii opracowała rozdział o estetyce, podjęła pracę o filozoficznych założeniach A. Huxleya. Zespoiliły

się w niej i spotęgowały wszystkie własności tego grona: najprzedniejsza kultura umysłu otwartego na wszystko i wszystko rozumiejącego, polot myśli żadnym dogmatem nieobciążonej, głęboki stosunek do życia, a zarazem zupełna, godna filozofa o nie niedbałość, a z tym wszystkim - mimo zrozumienia i odczucia uroków życia, beznadziejny smutek, piętno nieszczęścia, jakby instynkt pokolenia, któremu sądzona była zagłada".

I wielka odwaga. Gdy we wrześniu 1939 roku płonie uniwersytecka biblioteka, studenci siedzą ze swymi wykładowcami w schronie. Nikt nie odważa się pod gradem pocisków ratować cennych książek. Danuta jako jedyna wybiega na nieosłonięty dziedziniec. Ta determinacja pociąga innych. Panna Krzeszewska dostaje Krzyż Walecznych.

A potem Florentyną wielokrotnie słyszy w domu: - Matku (bo tak pieściotliwie zwracała się do niej córka), trzeba pomóc. No, nie ma wyjścia. I mieszkanie przy Wspólnej staje się schronieniem dla sióstr Nazaretanek, ks. Mieczysława Stypu-łowski, który był w AK i musiał uciekać z Łodzi, dwóch rodzin żydowskich lekarzy poznanych przed wojną w sanatorium w Truskawcu i innych jeszcze osób, które pojawiały się i znikają, ulokowane w bezpiecznym miejscu.

Gdy wybucha powstanie, Danuta wraz narzeczonym, Tadeuszem Rosenhauchem (pseudonim Graszewski), który jest lekarzem, opiekują się chorymi w Wojskowym Szpitalu Maltańskim. Do budynku szpitala przy ul. Senatorskiej wtargnęły 14 sierpnia 1944 roku oddziały własowców i Niemców. 280 rannych oraz 800 pogorzalców z Woli i Starówki znalazło się na ulicy. Pielęgniarki i lekarze przeprowadzili lub przenieśli na noszach chorych przez Ogród Saski do szpitala wojskowego w podziemiach gmachu PKO przy ul. Jasnej, dla lżej rannych zmontowano łóżka w gmachu przy ul. Zgoda. Danuta była z nimi.

Poszła do powstania za wiedzą matki. Dla obu było to oczywiste. Florentyną wysłała znacznie starszego od niej męża na wieś i jako komendantka terenowej ochro-

298

ny przeciwlotniczej czuwała nad bezpieczeństwem mieszkańców kamienicy przy ul. Wspólnej 75. Któregoś dnia zobaczyła przez okno, że w ich kamienicę wymierzone jest działo (warszawiacy nazwali je krową, bo przed uderzeniem ryczało). Wybiegła na korytarz, ściągnęła lokatorów do schronu. Z piwnic było przejście pod inne budynki. Zostało przekopane wcześniej, na żądanie Florentyny. Dzięki temu 15 sierpnia wszyscy wydostali się na ulicę, kilka minut przed runięciem ich domu. Florentyna znalazła dach nad głową u sióstr Zmartwychwstanek przy ul. Mokotowskiej, gdzie znajdował się powstańczy szpital. Wśród konających była młoda kobieta z trzymiesięcznym synkiem. Gdy umarła, pani Flora zaopiekowała się niemowlęciem. Odchuchała je, karmiąc kleikiem ze zmielonych ziaren pszenicy, 13\* które dostawała od zakonnice (zdobycie mleka było niemożliwe). Już po powstaniu znalazła się ciotka chłopczyka i zabrała dziecko, jak własne. W nowych rękach M dziecko zmarło. ^

Ale to wszystko zdarzyło się kilka tygodni później. ŁO

W ???

Trwa powstanie. 4 września okolice ul. Jasnej są szczególnie mocno ostrzeliwane z moździerzy. W szpital trafia pocisk artyleryjski, upada między piętami. Gmach płonie. Ranni ewakuowani są do budynku firmy wydawniczej Gebethnera i Wolffa oraz na skwerek przed szpitalem. Tadeusz z Danutą wnoszą ranną. Giną wraz z nią.

Gdy do Florentyny dociera tragiczna wiadomość, łapie dwie poduszki i biegnie na Jasną. Cudem wyciąga spod gruzów ciała córki i jej narzeczonego, podkłada im pod głowy jaśki. Ale za chwilę jest następny nalot i na dziedziniec spada ściana kamienicy, grzebiąc odszukane zwłoki. Florentyna po raz drugi szuka w gruzach, tym razem bezskutecznie. Szukała i po wojnie, gdy w Warszawie trwała ekshumacja zwłok. Gdy już straciła nadzieję, przypomniała sobie o poduszkach. Zaczęła kraść wśród robotników ekip sanitarnych pytając, czy może widzieli unoszące się w powietrzu pierze. Komuś utkwili w pamięci fruujące białe piórka.

Ciała Danuty i Tadeusza wygrzebała w ostatniej chwili, tuż przed wejściem buldożerów. Pochowała ich razem na Powązkach. Po roku Rosenhauchowie postanowili przenieść prochy syna na cmentarz żydowski w rodzinnym Krakowie. Florentyna była przy ekshumacji zwłok. Wełniany samodzielowy kostium, który Danuta miała na sobie, zachował wszystkie kolory.

Po powstaniu Krzeszewska wyszła razem siostrami zakonnymi do Pruszkowa. A potem wróciła z mężem do Warszawy, ale już nie do Śródmieścia, tylko na peryferyjną ul. Tykocińską. Akurat w jednej z ich niegdyś upaństwowionych kamienic był wolny pokój z wnęką kuchenną. I tak zostali lokatorami we własnym domu. Płacili czynsz, przestrzegali regulaminu wywieszzonego na klatce. Gdy z pustymi rękami zjawili się na Targówku, jeden z sąsiadów dał im garnek, drugi miskę do mycia. Stara szafa została po poprzednich mieszkańcach.

299

- Nigdy nie żaliła się na swój los - twierdzą zgodnie mieszkańcy kamienicy przy ul. Tykocińskiej. Mówiła, że ta bieda nie obchodzi jej. Tak jak nie obchodziło jej przed wojną bogactwo. - Trzeba sobie radzić, powtarzała. - Nie mam pieniędzy na ciastko? To kupię kawałek najtańszego sera i posypię cukrem.

???

Ale chwilami musiało być jej bardzo ciężko. Gdy Jolanta Kisielewska likwidowała mieszkanie cioci po jej śmierci, w szufladzie znalazła spisana „Prośbę o wytrwanie”: „Dobry Boże. Proszę Cię o tę łaskę, abym w największym cierpieniu umiała powiedzieć: Bądź wola Twoja, tak, Ojcze. Chcę pamiętać o tym, że ten wielki krzyż, który mi dałeś, jest dowodem twojego zaufania do mnie. Proszę pokornie, daj mi siły do wytrwania, bo ty najlepiej znasz moją słabość i nędzę”.

Już do końca życia musiała się liczyć z każdą złotówką, bo z powstania wyszła tak, jak stała, nieruchomości zabrano im dekretem, a mąż już w podeszłym wieku na żadną etatową pracę nie mógł liczyć. Nianczyła dzieci w rodzinie zaprzyjaźnionej jeszcze sprzed wojny.

Gdybyż jeszcze te zarobione grosze przeznaczala na swoje potrzeby. Ale nie. Wyznawala zasadę, że musi wspomóc biedniejszych od niej, mniej zaradnych.

- W mieszkaniu cioci był ruch jak na dworcu. Jedni przychodzili, inni wychodzili - śmieje się pani Elżbieta, siostra Jolanty Kisielewskiej. Przy drzwiach stał taboret, na nim paczki, z którymi biegaliśmy na pocztę. Albo sąsiad pan Henryk, póki ciocia się na niego nie obraziła, gdy po raz kolejny reperując jej stary sznur do maszyny elektrycznej wyrzucił go do śmieci i sprezentował nowy. Miała pretensje, że wydaje pieniądze na luksusy, a przecież można było jeszcze pokleić i za zaoszczędzone złotówki kupić coś biednym dzieciom, którymi zajmowali się polscy franciszkanie w Indiach.

Paczki, obszyte białym płótnem, z adresem wypisanym kopiowym ołówkiem, szły do misjonarzy w różne egzotyczne strony świata. Wolno było wysłać do 10 kg, więc wszystkie produkty były skrupulatnie ważone i starannie dobierane, ciasteczka pieczone według specjalnej receptury, żeby się nie zepsuły w czasie długiej podróży, zazwyczaj drogą morską.

Osobne wsparcie dostawały zakony w Polsce. Florentyną, mimo zerwania kontaktów z wielkomijską Warszawą, miała mnóstwo znajomości. Zwłaszcza w kręgach kościelnych. Należała do Towarzystwa Przyjaciół KUL-u, spotykała się z wykładającymi tam profesorami. Gdy wyjeżdżała z Warszawy, stęskniony mąż pisał jej listy wierszem: - „Czekałem na Ciebie wczoraj/ Czekałem od rana do rana/ Wiodła mnie w pole tęsknota/ Miłością pijana. (...)/ Powiem ci prosto i szczerze/ Ty moje dziwne kochanie, /Choćbym wieki miał czekać, /Dość sił mi na to stanie./ Bo cóż mam czynić mój Boże, jak tylko czekać do końca/ Wszak tyś moim zachodem i wschodem mojego słońca”. Podpisywał się - Roszek. Florentyną przeżyła go o ponad 30 lat.

300

W kamienicy lokatorzy zwracali się do niej jak do właścicielki; gdy ktoś chciał przeprowadzić generalny remont, pytał panią Florę, czy zezwala. A ona odpowiadała, że bardzo proszę, dzięki

temu mieszkanie będzie miało większą wartość. Było to jak puszczenie oka do kogoś, kto rozumie bez słów. Tak naprawdę, nikt nie wierzył, że wróci stare prawo własności. Lokatorzy chcieli w ten sposób wynagrodzić krzywdę Dobrej Pani - jak ją nazywali między sobą - która, gdy chorowali, zawsze miała pod ręką lecznicze zioła i robiła im zastrzyki, żeby nie wydawali na pielęgniarkę. Stale ktoś pukał do jej drzwi ze swoim żartowaniem, a Flora znajdowała sposób, jak wybrnąć z kłopotu. Tylko w wigilię chciała być sama. Nawet bez bratanicy Jolanty. Nikt z rodziny nie wie, jak Florentyna Krzeszewska spędzała ten szczególny wieczór. Czy szykowała kolację, stawiała puste talerze dla swych drogich zmarłych? Bo że była z nimi, to mówiła wprost do bratanic. Na stole zawsze stała fotografia roześmianej Danusi w czarnej sukience.

Nie bała się śmierci. Gdy kardynał Wyszyński ciężko zachorował, za jego zdrowie ofiarowała Bogu swoje życie. Potem mówiła: - Moja ofiara została odrzucona.

Nosiła w sobie stały ból, że Danuta odeszła bez ostatniego sakramentu i będzie musiała przejść przez czyściec. Zaprzyjaźniony ksiądz pocieszał, że jeżeli ktoś ginie za ojczyznę, od razu jest zbawiony.

???

Oskarżony Mirosław K. uchwycił się ostatniej deski ratunku - zażądał trzeciej ekspertyzy grafologicznej, tym razem na dowód, że sfalszowany testament otrzymał z rąk Florentyny. Brzmiało absurdalnie, mimo to sąd zgodził się na kolejną kosztowną ekspertyzę. Różne kartki zapisane ręką ciotki zostały odesłane do analizy. Prof. Tadeusz Tomaszewski z Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, biegły sądowy, badał poszczególne litery przy pomocy lampy emitującej promienie ultrafioletowe, a także mikroskopu stereoskopowego, stokrotnie powiększającego obraz. Szczegółowa opinia przesłana do sądu na kilkunastu stronach maszynopisu potwierdziła wcześniejsze ustalenia prokuratury.

Sąd uznał, że oskarżony, który do końca twierdził, że jest niewinny, co najmniej współdziałał w zleceniu podrobienia testamentu. Podwyższył karę, jakiej domagał się prokurator. Zamiast dwóch lat z warunkowym zawieszeniem, trzy lata bezwzględne pozbawienia wolności.

Lokatorzy kamienicy przy ul. Tykocińskiej odetchnęli z ulgą. Nabrali przekonania, że nad wszystkim czuwa z góry pani Florentyna. Szkoda tylko, że jak zwykle, nie zadbała o pieniądze. Oskarżony przedstawił się w sądzie jako biedny rolnik z minimalną emeryturą, w związku z tym sąd zwolnił go od kosztów. Tymczasem oni zobaczyli w Bedlnie na posesji tego rzekomo wegetującego w nędzy chłopca luksusowy zajazd z hotelem. Swoje usługi Mirosław K. ogłasza w internecie.

301

Wyrok nie jest prawomocny. Mirosława K. nadal jest sądowo uznanym właścicielem majątku, pozyskanego mocą rzekomego testamentu. Działa się rzecz paradoksalna - żeby spełnić ostatnią wolę Florentyny K., jej bratanica musiała wnieść sprawę cywilną o zmianę postępowania dotyczącego stwierdzenia nabycia spadku. To zapowiada długą drogę procesową.

Tymczasem lokatorom, którzy nie chcą płacić czynszu nowemu właścicielowi - ich zdaniem złodziejowi - grozi eksmisja. Równocześnie nie mogą się doprosić konta depozytu sądowego, gdzie mogliby lokować swoje należności, żeby potem nie trzeba było zakładać kolejnej sprawy o odzyskanie kwot wpłaconych niewłaściwej osobie.

Gmina powinna się bić o te kamienice - mówi Grzeszykowska, przewodnicząca powołanego przez mieszkańców stowarzyszenia do obrony ich praw - zwłaszcza o dom pod numerem 40., który w testamencie przypadł wnuczce Rocha. Do uprawomocnienia się wyroku ani Mirosławowi K., ani jego zięciowi, który ten budynek bezprawnie od teścia nabył, nie wolno czerpać zysków z czynszów. Tymczasem ludzie, którzy podszyli się pod spadkobierców, odebrali duże odszkodowania od gminy za mieszkania, wcześniej sprzedane lokatorom.

?x.b\og. Ma czas i satysfakcję - w interesach zastój, a wpisy internautów żywo reagujących na jego refleksje są zdumiewająco liczne. Inna rzecz, że nie bardzo chce mu się dziś myśleć o biznesie.

Jutro jedzie do Krakowa, gdzie w przyklasztornym kościele siostr Norbertanek weźmie ślub z Danutą Korycką, jego wieloletnią towarzyszką życia. - To będzie bardzo dla nas ważna, ale dyskretna uroczystość - zapowiada Gudzowaty, nie kryjąc radości. - Czytała pani mój list do Wielkiego Elektryka?

Czytałam na blogu biznesmena. To wyznanie 72-letniego niegdyś agnastyka, który przewartościował swój światopogląd i próbuje, już z pozycji wąpiącego, ułożyć się z ... Wielkim Elektrykiem od światłości.

Ale nie o tym będziemy rozmawiać. Interesuje mnie całkiem inna strona charakteru człowieka, ciągle z pierwszej dziesiątki najbogatszych Polaków w rankingu tygodnika „Wprost” - jego gotowość do walki z przeciwnikiem.

Świadczy o tym liczba procesów, które wytoczył pomawiającym go w opinii publicznej, czy też podstępnie szkodzącym jego interesom.

Ile ich było? Policzmy najważniejszych wśród pozwanych (każdy do osobnej sprawy): Konstanty Miodowicz, Marian Błędnik, Witold Michałowski, Piotr Naimski, Lech Kaczyński, Tomasz Wróblewski, kierownictwo rosyjskiego Gazpromu.

- Nie mam natury piniacza - tłumaczy prezes Bartimpexu - ale nie mogłem milczeć, gdy chcieli mnie wdeptać w ziemię tylko dlatego, że się dorobiłem. Oszczerców nie interesowała moja praca, a wyłącznie stan konta. A przecież nic mi w życiu nie podano na tacy.

???

Kiedyś w Moskwie, a także na Syberii, był noszony na rękach. To odległa epoka Związku Radzieckiego, rok 1973. Gudzowaty był wtedy pełnomocnikiem ds. eksportu Państwowej Centrali Handlu Zagranicznego Textilimpex. Wydelegowali go do Moskwy, aby sprzedawał polską konfekcję i bistor z łódzkich fabryk. Koszmarne „ela-stiku” upchnął Moskwie za 30 min dolarów, Rosjanie płacili bawełną. Potem, jako dyrektor Kolmexu, centrali handlującej głównie maszynami kolejowymi, upłynniał na wschodzie wagony. W barterze za gaz.

O tym, jak się dogadywał z Rosjanami, powstały legendy. Te umowy, podpisywane z dyrektorami w saunie, imprezy promocyjne nad Bajkałem organizowane z ułańską fantazją... Z okazji 8 marca prezenty w postaci złotych krzyżyków cerkiewnych dla szanownych małżonek rosyjskich oficjeli...

Towar za towar, ale rozliczany w twardej walucie. Jeszcze w grudniu 1990 r., gdy Kraj Rad już się rozpadał, załatwił barterowy kontrakt na sprzedaż w głębi Rosji kilku tysięcy wagonów (obiecał towarzyszom dostarczyć cysterny kolejowe, bez których nie mogli się obejść, pod warunkiem, że potrafią skłonić Moskwę, aby zamówienie

305

wprowadziła na listę zobowiązań rządowych). Za cysterny Polska dostała miliard metrów sześciennych gazu.

Prawdziwy talent zaprezentował w okresie, kiedy Rosjanie stosowali wskaźnik rubel za dolara. Zaproponował w negocjacjach ten sam przelicznik w odniesieniu do polskich towarów i oni się zgodzili. Gudzowaty wrócił do Warszawy z opinią nieprawdopodobnie sprytnego negocjatora.

Zaraz też odezwali się zawistnicy. Ktoś puścił plotkę do mediów, że szef Kolme-xu ma w umowie o pracę premię w wysokości dwóch promili od zysków. Skoro więc załatwił duży kontrakt, to znaczy, że dobrze na nim zarobił. - Jak to się ma do nędznych kwot „na pasku” górników? - zapytał komentator z czołowego dziennika.

I Gudzowaty stracił państwową posadę. Jak potem wielokrotnie opowiadał w wywiadach, będąc bezrobotnym, godzinami leżał na tapczanie i słuchał przeboju radiowej jedyńki „Wio koniku, a jak się postarasz?”. Aż któregoś dnia się zerwał, wyszedł na taras, nasiusiał na własne grządki i raz na zawsze pożegnał etatowe posady.

Otworzył prywatną firmę Bartimpex - do handlu przetartym już szlakiem z Rosjanami. Był rok 1991, w imperium za Bugiem brakowało żywności. Zaproponował Moskwie kontrakt na 100000 ton pszenicy.

Zarobione pół miliona dolarów wpakował w wystawę polskich towarów w Pałacu Geologa w

Tiumeniu, mieście za kołem podbiegunowym u nasady półwyspu Jamał, gdzie są ogromne złoża gazu ziemnego. To był show, jakiego w tym mieście nigdy nie widziano. Po eskpozycji oprowadzały urodziwe polskie hostessy, a czterdzieści tancerek znad Wisły (czyli „z zapada”) uwodziło ze sceny zgromadzonych handlowców. Śpiewała pełną piersią Zdzisława Sośnicka. Kolorowa ekipa odwiedziła też inne szare socrealistyczne domy kultury pod biegunem.

W czasie tej podróży Gudzowaty spotkał się w saunie w Orenburgu z Remem Wiachiriewem, szefem koncernu gazowego Gazprom.

Wkrótce potem Gazprom zażądał od Polski natychmiastowej zapłaty za dostawy gazu. Nie było mowy nawet o miesięcznej zwłoce. A tymczasem państwowy importer Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo (PGNiG) miał nie tylko deficyt w kasie, ale i spory - 280 mln dolarów - dług wobec Rosjan. Dyrektor Gazpromu nie rzucał słów na wiatr. Przez tydzień kurek od gazowej rury był prawie zamknięty...

Wtedy to Gudzowaty zaoferował się jako pośrednik w międzynarodowych rozmowach. Zaproponował Moskwie (Gazprom był poniekąd agendą Kremla) dostawy żywności i innych towarów. Na pieniądze od PGNiG zgodził się poczekać nawet rok. I gaz ze wschodu popłynął... A polskie fabryki maszyn, porcelany, konserw, zup w proszku, mebli itd. dzięki eksportowi via Bartimpex - nie splajtowały. Władza w Polsce to doceniła.

Jeszcze w 1994 roku Jan Olszewski przypominał w Sejmie rolę Aleksandra Gudzowatego w rozwiązaniu gazowego kryzysu z zimy 1992 r.: - Oto znalazł się człowiek opatrnościowy, któremu trzeba w tym miejscu oddać hołd - grzmiał poseł

304

\_ bo potrafii z Gazpromem załatwić to, czego nie mógł dokonać właściwy minister, ba, cały rząd, łącznie ze mną, wówczas premierem.

? ? ?

Ale wróćmy do roku 1993. Jest już po porozumieniu się Wałęsy i Jelcyna w sprawie budowy przez terytorium Polski 650 km gazociągu jamalskiego.

Polski odcinek ma wybudować spółka EuRoPol Gaz, w której współnikami są po połowie państwowy importer i dystrybutor gazu PGNiG oraz rosyjski Gazprom. Tuż przed ostatecznym uzgodnieniem statusu przyszłej spółki okazuje się, że umowa zawiera błąd prawny. Mianowicie, obowiązujący ówczesnie kodeks handlowy przewidywał, iż spółka akcyjna musi mieć co najmniej trzech założycieli.

PGNiG na trzeciego założyciela (4% akcji w EuRoPol Gazie) proponuje spółkę Gas Trading, w której jedną czwartą udziałów ma Bartimpex Aleksandra Gudzowatego. Przedstawiciel polskiego rządu porozumiewa się ze stroną rosyjską, Wiachiriewiew się zgadza.

Gas Trading, podobnie jak Bartimpex, miał być pośrednikiem w handlu rosyjskim gazem. Mógł sprzedawać rocznie PGNiG do 2 mld metrów sześciennych i zarabiać na marży dzięki upustom, jakie dostawał od Rosjan.

Budowa pierwszej nitki gazociągu jamalskiego (druga nadal pozostała tylko w projektach) skończyła się we wrześniu 1999 roku. Do tego czasu Bartimpex miał interesy z „wielką rurą” na kilku frontach: jako udziałowiec (przez Gas Trading), bezpośredni wykonawca gazociągu oraz warszawskiej siedziby EuRoPol Gazu, pośrednik handlowy i dostawca.

Aleksander Gudzowaty stał się miliarderem. Dziś mówi, że do zasobności portfela nie przywiązywał zbytnej wagi. Taką postawę wyniósł z domu. Jego ojciec studiował przed wojną filozofię w Rzymie, ale w PRL był magazynierem w Widzewskiej Fabryce Maszyn. Matka pracowała jako pielęgniarka. Sam był zaskoczony, gdy nagle w rankingu stu najbogatszych Polaków we „Wprost” uplasował się w roku 1993 na drugiej pozycji.

-1 w tym momencie - ocenia dziś Aleksander Gudzowaty - upatrzyła mnie na swój cel „łoża minus pięć”.

Proszę o konkrety, może będzie mi łatwiej rozszyfrować tajemnicze hasło. - Nie wszystko mogę ujawnić - gospodarz na to - ze względu na swoje bezpieczeństwo. Ale kilka zweryfikowanych już

przez prokuraturę przykładów...

Oto Konstanty Miodowicz, ówczesny szef kontrwywiadu, wysłał do premiera Waldemara Pawlaka nieprawdziwą opinię UOP o Bartimpexie, rzekomo powiązany z rosyjską mafią, handlującym czerwoną rtęcią, materiałem używanym w reakcjach jądrowych. Anatemę z biznesmena zdjął dopiero nowy szef UOP Gromosław Czempiński.

- Odetchnąłem - wspomina Gudzowaty - ale ledwo na miesiąc. Bo wtedy do premiera Pawlaka przyszedł drugi donos na mnie, tym razem od Mariana Błędnika.

305

Kim byi Błędnik? - nieudany konkurent Gudzowatego w handlu z Rosjanami. Kiedyś pracowali biurko w biurko w Textilimpeksie, obaj byli kandydatami na fq placówkę w Kraju Rad. Ale tylko jeden pojechał. Błędnik nigdy nie wybaczył swemu koledze kariery w Moskwie. Ponownie próbował się z nim zmierzyć jeszcze raz w latach 90., gdy założył firmę do handlu z Rosją. Ale znów przegrał z Gudzowatym i musiał się ze wschodniego rynku wycofać. W 1994 r. wysłał list do premiera Waldemara Pawlaka z informacją, że w EuRoPol Gazie „języczkiem u wagi decydującym o większości głosów” stał się Gas Tra-ding. A to narusza międzynarodowe porozumienie, wedle którego miało być tylko dwóch partnerów. Błędnik straszyl: „W praktyce może dojść do tego, że polski odcinek rurociągu stanie się zagranicznym korytarzem na terytorium naszego kraju”. Konkurent Gudzowatego zaproponował renegotjowanie składu akcjonariuszy EuRoPol Gazu i wprowadzenie do niego dwóch innych polskich firm - w tym jego własnej.

Do renegotjacji składu akcjonariuszy w EuRoPol Gazie nie doszło, bo w 1994 r. Gazprom zagroził poprowadzeniem rury przez Bałtyk lub Czechosłowację. A dwa lata później, za rządów Cimoszewicza, szefowie PGNiG i Gazpromu zawarli kontrakt „stulecia” o dostawach gazu z Rosji do Polski do 2022 roku. Dla Gudzowatego była to gwarancja stabilnych dochodów, co uwidoczniło się na liście najbogatszych Polaków we „Wprost”. Zajmował tam pierwsze miejsce. W tym czasie „Home & Market” szacował wartość majątku właściciela Bartimpexu na ponad miliard dolarów. A amerykański miesięcznik finansowy „Global Finance”, który opublikował listę 600 najbardziej wpływowych ludzi świata, umieścił Gudzowatego jako jednego z trzech Polaków.

W 1995 r. Gudzowaty wpłacił na kampanię prezydencką Wałęsy 20 mld starych złotych. Lewicowa „Trybuna” sugerowała, że skoro Bartimpex tyle zarobił na handlu z Rosją, żeby finansować „elektryka z Gdańska”, to ma zapewne liczne powiązania z politycznymi oligarchami Rosji. I czy tylko z politykami? Może po prostu - to tylko zawoalowana sugestia - jest agentem na usługach rosyjskich służb?

Ci z prawej strony sceny politycznej też kopali. Ale biznesmen oddawał ciosy. Gdy Antoni Macierewicz oświadczył w TVP, że materiały dotyczące Aleksandra Gudzowatego zostały przez WSI zniszczone tuż przed powstaniem komisji weryfikacyjnej, wytoczył mu sprawę o zniesławienie. I wygrał.

Ale zwycięstwo w sądzie nie powstrzymało „łóży” przed atakami. Gudzowaty: - Z kilku źródeł dostałem ostrzeżenia, że jeśli nie wycofam się z rynku paliwa, do Polski przyjedzie dwóch płatnych morderców z Ukrainy, aby mnie zabić. Zawiadomiłem UOP. Niespecjalnie się tym przejęli. Musiałem sam zadbać o swoją ochronę i na własną rękę szukać na Ukrainie tych kilerów.

Na listę swych wrogów wpisuje Witolda Michałowskiego, wydawcę fachowego pisma „Rurociągi”, z zawodu inżyniera, który pracował przy budowie rurociągu „Przyjaźń”. Adwersarz twierdzi, że Gudzowaty stoi na czele lobby związanego

306

z Gazpromem, które jest groźne, bo zmusiło polskich urzędników do zawarcia nie- ^  
korzystnego dla Polski kontraktu stulecia z klauzulą „bierz albo płać”. \*Q

???

Gudzowaty pozwał Michałowskiego do sądu o ochronę dóbr osobistych i wygrał.

E-t <

Gdy premier Jerzy Buzek tuż po powstaniu jego rządu w 1997 r. stwierdził, że Polska nie powinna być uzależniona wyłącznie od jednego dostawcy gazu, Gudzowa ty zaproponował, że zbuduje 28 km gazociąg z Szczecina do Berlina (dokładnie do Bernau), który połączy nas z systemem gazowym UE. Inwestycją mieli się zająć Bartimpex i niemiecka firma Ruhrgas, powiązana kapitałowo z Gazpromem.

Ale rząd Jerzego Buzka zaczął bezpośrednio rozmowy z Norwegami. Gudzowa -> ty, widząc, że interes wymyka mu się z rąk, nie ukrywał irytacji. Coraz głośniej mówił, że jego firma jest dyskryminowana.

W

W czerwcu 2000 r. nadarzyła się okazja do wywleczenia tych pretensji na międzynarodowym forum podczas Światowego Kongresu Gazowego w Nicei. I wtedy Piotr Naimski - ówczesny doradca premiera, a następnie wiceminister gospodarki - powiedział prezesowi firmy Ruhrgas, że dopóki w projekcie Bernau-Szczecin będzie Bartimpex, nie uzyska on poparcia rządu. - „Z Gudzowatym mieliśmy już problemy na wschodzie, nie chcemy ich teraz mieć na zachodzie” - miał też stwierdzić były szef UOP.

Po powrocie do Warszawy biznesmen złożył w warszawskim sądzie prywatny akt oskarżenia przeciwko Naimskiemu, zarzucając mu „rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji o firmie i dyskredytowanie jej w oczach opinii publicznej”. W procesach przed Sądem Rejonowym dla Warszawy-Śródmieścia i późniejszej apelacji toczono spór o to, czy Naimski prezentował w Nicei stanowisko rządu, czy też z szefem niemieckiej firmy rozmawiał prywatnie. Po sześciu latach pozwany został uniewinniony, choć sąd przyznał, że wypowiedź doradcy premiera Buzka mogła dyskredytować Bartimpex, ale nie można jej uznać za zniesławiającą. Wyrok został podtrzymany w apelacjach łącznie z Sądem Najwyższym.

- „Loża minus pięć” odniosła sukces - rozgoryczony Gudzowaty podsumował sprawę rurociągu Bernau-Szczecin - storpedowała projekt budowy i wyeliminowała mnie z obrotu gazem.

Znow zapytałam, co konkretnie kryje się pod tą dziwną nazwą. - Że windą w dół na poziomy minusowe - westchnął. A potem sypnęły się oskarżenia jak lawina: - Cały czas mojemu biznesowi towarzyszą ludzie ze służb specjalnych i politycy. Dla tej swoistej mafii doskonałą pożywką jest polski, ogólnie ciągle słaby, biznes. Oni mogą działać tylko destrukcyjnie. Nawet, gdy wyrzucili mnie z rynku gazowego, nie potrafili zająć tego miejsca. Przecież deklaracja z lipca 2000 r., podpisana przez premierów Polski i Norwegii, na dostawę pięciu mld metrów sześciennych norweskiego gazu rocznie, pozostała tylko na papierze. Ktoś nabijał rząd polski w butelkę.

307

-Tak, mam poczucie krzywdy - wyznai mi wprost Aleksander Gudzowaty. - Człowiek, który płaci tak wysokie podatki jak ja, choćby z tego powodu powinien być przez państwo szanowany. Miałem przekonanie, że postępuję prawidłowo. A byłem podstępnie atakowany. Na domiar złego pojawiły się groźby wobec mojej rodziny. Gdy dostarczyłem prokuraturze na to dowody, przyczepiono mi łatkę obse-sjonata na tle służb specjalnych.

???

Jeszcze raz się poderwał do walki o te 28 km gazociąg. To był rok 2004, czas nerwowych rozmów o dywersyfikacji źródeł gazu (po zakręceniu przez Rosjan kurka w rurach na Białorusi).

- Do przyszłego roku konsorcjum Bartimpeksu oraz niemieckich partnerów Gaz-promu chce poprowadzić gazociąg z Bernau pod Berlinem do Szczecina - zapowiedział Aleksander Gudzowaty na konferencji prasowej. - Ale dla zabezpieczenia kredytu na budowę potrzebny jest kontrakt na odbiór gazu przez PGNiG. Razem z moim niemieckim partnerem mamy nadzieję, że nowy rząd w Polsce [właśnie premierem został Marek Belka - H.K.] zgodzi się wreszcie na tę rurę.

Mniej więcej dwa tygodnie później jeden z ogólnopolskich dzienników podał, że w 2003 r. Gudzowaty miał dostać propozycję ułatwień dla budowy gazociągu Ber-nau-Szczecin za 3 min doi.



łapówki dla syna ówczesnego premiera Leszka Millera. Dochodzenie prokuratorskie wprawdzie umorzono, ale na okładce „Wprost” ukazał się wymowny kolaż: zdeptana skóra białego niedźwiedzia z głową Gudzowatego. Tytuł: „Koniec świata Gudzowatych”. W domyśle - socimperatorów, którym w pełnym splendorze bogactwa udało się przeskoczyć z socjalizmu do kapitalizmu.

A analogia z syberyjskim niedźwiedziem była o tyle trafiona, że trudno takiego kolosa dobić od razu jednym strzałem. Polowanie na Gudzowatego to wiele nagonek, zasadzek, trwających do dziś. Ci, którzy brali udział w osaczaniu wiedzieli, gdzie jest środek tarczy - Gas Trading.

Janusz Steinhoff, wicepremier i minister gospodarki w rządzie Jerzego Buzka, nie pozostawiał Gudzowatemu złudzeń, gdy oświadczył w rozmowie z dziennikarzem „Gazety Wyborczej” w pierwszych dniach swego urzędowania: - Mam nadzieję, że to nie szef Bartimpeksu, prywatnej firmy konkurencyjnej wobec państwowego PGNiG, będzie teraz kreował politykę energetyczną państwa. Do tej pory nie jest jasne, dlaczego ta spółka zyskała 4% akcji EuRoPol Gazu”. Gudzowaty wysłał do redakcji „Gazety Wyborczej” dementi. Tłumaczył, że to nie Rosjanie narzucili Polsce pośrednictwo Bartimpeksu, spółki prywatnej i Gas Tradingu, spółki polsko-rosyjsko-niemieckiej, ale konieczność prawna. Dzięki udziałom Gudzowatego polski kapitał w EuRoPol Gazie uzyskał większość i, co ważne, możliwa stała się uproszczona procedura pozyskiwania gruntów pod budowę rurociągu. Gdyby było inaczej, trzeba by było starać się o około 3 tysiące indywidualnych zezwoleń MSWiA na wykup poszczególnych działek.

308

W odpowiedzi redakcja poinformowała czytelników, że prokuratura przygotowuje akt oskarżenia przeciwko dwóm ministrom w rządzie Suchockiej - Kazimierzowi Adamczykowi i Wacławowi Niewiarowskiemu. Zarzuca im się, że w 1993 r. zaakceptowali statut spółki EuRoPol Gaz, chociaż był niezgodny z polsko-rosyjskim porozumieniem rządowym.

q

Wkrótce potem nastął rząd Millera i właściciel Bartimpeksu zaczął szukać sprzymierzeńców wśród lewicy. Niebezpieczeństwo wyeliminowania Gas Tradingu z interesu zostało zażegnane, ale chwilowo. Wszak szykował się proces owych ministrów. Przepiękna, o które ich oskarżono były zagrożone karą do dziesięciu lat ^ więzienia. OQ

pA  
fjj  
h~I

Prawnicy Gudzowatego zdawali sobie sprawę, że jeśli sąd udowodni oskarżonym winę, tym samym uzna włączenie trzeciej spółki do PGNiG za bezprawne. M

?< ?-i

? ? ?

Choć w roku 2000 było jeszcze daleko do końca procesu oskarżonych ministrów, Aleksander Gudzowaty nie wychodził z sądów. Nie odpuszczał, gdy w mediach ktoś godził w jego reputację. q

Między innymi nie darował Lechowi Kaczyńskiemu, ówczesnemu prezydentowi ^ stolicy, który w Radiu Zet, a następnie TV Puls, odnosząc się do śledztwa w sprawie M udziałów Bartimpeksu w PGNiG powiedział: „Układ, który powstał wokół tej inwe- ^ stycji jest chory i paranoiczny (...). Bo to, żeby polskie przedsiębiorstwo - wszyst-ko jedno, prywatne czy państwowe - reprezentowało w większym stopniu intere- ^ sy drugiej strony niż Polski, to rzecz, która zakrawa na paranoję”. Gudzowaty uznał, O że zostało naruszone jego dobre imię i skierował pozew do sądu.

Lech Kaczyński przegrał w sądzie rejonowym z szefem Bartimpeksu. Gdyby się to powtórzyło w drugiej instancji, musiałby odejść z ratusza i złożyć urząd prezydenta miasta. A już przymierzał się do ogólnopolskiej kampanii prezydenckiej...

Niespodziewanie Gudzowaty przebaczył swemu adwersarzowi. - Niech nasza ugoda stanie się przykładem dla innych - mówił, potrząsając ręką Kaczyńskiego w świetle kamer sali konferencyjnej hotelu Hyatt. Prezydentura kandydata PiS przestała być zagrożona. Na Bartimpeksie też już media

nie mogły wieszać psów, bo w razie czego groziła im powtórka z procesu prezydenta Warszawy. Gudzowaty trochę odetchnął, choć zmartwienia się nie skończyły - rok 2003 firma zakończyła stratą. Deficyt był skutkiem odmowy Gazpromu, aby Bartimpex mógł płacić za gaz wysyłką żywności do Moskwy.

Gudzowaty odwołał się do sądu arbitrażowego przy Krajowej Izbie Gospodarczej. Domagał się od Gazpromu około 50 mln dolarów odszkodowania za zerwanie umowy barterowej. Przeciwnik procesowy odpowiedział pozwem, w którym zażądał 47,2 mln dolarów zapłaty za dostarczony gaz. Ostatecznie właściciel Bartimpeksu wyszedł z sali sądowej z tarczą.

309

Ledwo wykonano wyrok, zaczął się (rok 2002) proces oskarżonych ministrów: Ka zimierza Adamczyka i Wacława Niewiaromskiego. Do przesłuchania było kilkuset świadków.

Gudzowaty: - Ciągłe się mnie poniewiera za udziały w Gas Trading. Jestem traktowany jak oszust, który kuchennymi drzwiami wkradł się do PGNiG. A przecież za-padł prawomocny wyrok, zatwierdzony przez wszystkie instancje sądowe, który uznał tych ministrów za niewinnych. Czyli - nie przywieziono mnie do PGNiG

w tecze z Moskwy. Gas Trading objął 4% akcji w EuRoPol Gazie zgodnie z prawem. I z korzyścią dla strony polskiej - bo tym samym objęła większość udziałów.

???

Nawet jeśli interesy nie szły dobrze, miejsce w pierwszej dziesiątce rankingowej listy najbogatszych Polaków było magnesem dla kolorowych pism podglądających rezydencje miliarderów. Włości Gudzowatego bardzo dobrze nadawały się na rozkładówki do takich magazynów. Nie tylko pałacowe wnętrza w Mariowie, ale też dziwne obiekty na terenie parku: kaplica ekumeniczna z witrażami na cztery strony świata, symbolizującymi największe religie, piramida bez ścian do naładowania się energią, towarzystwo otoczonych szczególną miłością gospodarza zwierząt

- lam, danieli, pawi, osłów. I, co oczywiste, psów oraz koni.

Niektórym tabloidom udawało się nawet podpatrzeć Gudzowatego w jego arkadii prowansalskiej nad Morzem Śródziemnym. To wszystko nie mogło ujść bezkarnie.

Tygodnik „Newsweek Polska” wydawany przez Axel Springer Polska jako cover story 7 marca 2004 roku opublikował artykuł pod tytułem: „Bogacze na stos” autorstwa Stanisława Zunderlicha. Na okładce było zdjęcie Gudzowatego, jako lidera rankingu najbardziej znieawidzonych polskich miliarderów. Listę dopełniali: Jan Kulczyk, Zygmunt Solorz, Wanda Rapaczyńska, Ryszard Krauze, Piotr Niemczycki, Mariusz Walter, Zbigniew Niemczycki, Henryk Stokłosa i Sobiesław Zasada.

- Krętacze, skorumpowani, powiązani z mafią. Trzeba rozliczyć ich z majątku

- do takich wniosków doszła redakcja, interpretując badanie przeprowadzone na jej zlecenie przez Agencję Badania Rynku Sesta.

Ankieterzy przepytali w ciągu dwóch dni zaledwie 200 (!) mieszkańców Warszawy (renomowane polskie agencje badania opinii publicznej prowadzą je na grupie co najmniej 1000 osób). Pytania były postawione w taki sposób, by nie można było udzielić odpowiedzi pozytywnej. Respondentom przedstawiono 30-osobową listę opracowaną przez dziennikarzy „Newsweek Polska”. Badani mieli wybrać co najmniej 10 osób, które znają lub o których słyszeli. Potem opiniowali, jak „bogacze doszli do majątku”: ciężką pracą, dzięki szczęściu, kręactwu lub matactwu, wykształceniu lub wiedzy, układom, dziedziczeniu lub pochodzeniu z bogatej rodziny. Następnie oceniali wskazaną osobę - czy jest nieuczciwa, ma skłonności do korupcji, jest powiązana ze światem przestępczym oraz czy manipuluje mediami.

310

By znaleźć się na czarnej liście dziesięciu najbardziej nielubianych Polaków, kandydat musiał być wymieniony przez co najmniej 40 osób. ,Q

Redaktor Zunderlich ocenił wyniki ankiety dotyczące Gudzowatego (nazwanego nkrólem gazu") następująco: „Jest najbardziej nieuczciwym, skłonnym do korupcji biznesmenem w kraju, (...) może mieć powiązania ze światem przestępczym, manipuluje mediami, działając na szkodę Polski".

C/3

W Gudzowatego uderzał też redakcyjny komentarz do ankiety. Zwłaszcza taki fragment: „Polscy bogacze są zapatrzeni w mit Rockefellera. Sęk w tym, że do- H4 strzegają tylko jedno oblicze swojego idola - że zgromadził fortunę. Ale Rockefeller (.. •) był też przekonany, że jego majątek musi służyć dobru publicznemu. A ja- C/3 każ to misję realizują polscy biznesmeni, przypominający postaci z Komedii ludzkiej Balzaka? Czytają samouczki, pozwalające rozeznąć się w winach, uczą się palić cygara, jeżdżą luksusowymi samochodami, kupionymi w leasingu, budują rezydencje. Który z nich uświadamia sobie, że posiadanie majątku nakłada na człowieka powinności moralne".

O

Właściciel Bartimpexu poczuł się pomówiony. Wszak od lat wspiera wiele akcji charytatywnych. W 1997 r. założył Fundację Crescendum Est Polonia, która finansuje stypendia dla najzdolniejszych młodych ludzi. - Działam zgodnie z prawem, ^ każdy dochód mam udokumentowany, płacę podatki w Polsce. Nie posiadam firm zarejestrowanych za granicą, gdzie w fiskusie obowiązują niższe stawki. W mojej firmie każdy nowoprzyjmowany dostaje 23 stronicową książeczkę Kodeks etyki i za- !SJ sad postępowania grupy Bartimpex. Dalej jest 12 punkowa ankieta z pytaniami do ^ kandydata, jak się zachowa w konkretnej sytuacji. Odpowiedzi mają istotny wpływ O na ostateczną decyzję o zatrudnieniu danej osoby. A mimo to zostałem potraktowany jak oszust.

„Król gazu" wystąpił do Sądu Rejonowego dla m. st. Warszawy z prywatnym aktem oskarżenia przeciwko Tomaszowi Wróblewskiemu, wówczas redaktorowi naczelnemu tygodnika „Newsweek Polska". Pełnomocnikiem Gudzowatego został adwokat Wojciech Tomczyk. W uzasadnieniu pozwu mecenas przedstawił okoliczności powstania artykułów zniesławiających jego klienta:

Zastępca redaktora naczelnego tygodnika „Wprost" Anna Moczulska 24 lutego 2004 r. wysłała e-mail do Tomasza Bieńkowskiego wiceprezesa Agencji Badania Rynku Sesta: „Panie Tomku, pomysł radykalnie się uprościł. Teraz chodzi nam o wybranie z listy 30 najbogatszych dziesięciu najbardziej nienawidzonych bogaczy. Nie interesuje nas status respondentów, więc chyba wystarczy najprostsza ankieta telefoniczna. Interesuje mnie tylko, (...) jakie pytania Państwo zadacie badanym. Załączam listę 30 nazwisk".

Ten e-mail, to konsekwencja decyzji kolegium redakcyjnego, na którym postanowiono egzemplifikować najnowsze wyniki badań OBOP o stosunku (na ogół nieprzyjaznym) Polaków do ludzi bogatych.

311 I

Uczestnicy zebrania: redaktor naczelny Tomasz Wróblewski, szefowie działu sp0-łecznego: Jacek Maziarski i Anna Moczulska, typując ową trzydziestkę wybrali oso-W\* by wyraźnie kojarzące się z bogactwem i takie, które niekoniecznie były tak p0. strzegane, np. Zbigniewa Bonka czy Krzysztofa Penedereckiego. Inne nazwiska wskazane w e-mailu Anny Moczulskiej to nieznani szerzej biznesmeni, działający wyłącznie na rynku lokalnym. Czyli - lista została tak sprytnie ułożona, że respondentom narzucono wybór.

To nie koniec manipulacji. Gdy Sesta dostarczyła do redakcji raport pod tytułem „Badanie opinii na temat najbardziej nielubianych spośród najbogatszych Polaków" zastępca naczelnego, przygotowując cover story do najnowszego wydania, zmieni-ła tytuł raportu w ten sposób, że zamiast „najbardziej nielubiani" wstawiła „najbardziej nienawidzeni".

Nie tylko „odmalowani" biznesmeni byli oburzeni manipulcjami kierownictwa „Newsweeka". Na skandaliczne cover story zareagowała prestiżowa Organizacja Firm Badania Opinii i Rynku, przede wszystkim oceniając sondaż Sesty: „Agencja dopuściła się błędów metodologicznych w przygotowaniu kwestionariusza wywiadu. Badania tzw. jakościowe nie mogą być przeprowadzane w formie wywiadów face to face".

Dwa miesiące później redaktor naczelny Tomasz Wróblewski wyraził ubolewanie w imieniu redakcji. Przyznał, że w redakcji zmieniono tytuł raportu Sesty. Osobno przeprosił Aleksandra Gudzowatego.

Ale biznesmen nie wycofał aktu oskarżenia.

???

- Wydaje się - napisał w pozwie mecenas Wojciech Tomczyk - że działanie redakcji było nakierowane na osiągnięcie zupełnie innego celu - skompromitowanie określonej grupy osób, stworzenie atmosfery nagonki i samosądów poprzez skumulowanie szeregu oszczerstw.

Zdaniem adwokata redaktorzy „Newsweeka” mieli pełną świadomość bezprawności takiej publikacji listy oraz wizerunku Gudzowatego. Wypełnia to znamiona przestępstwa zniesławienia.

Rozpraw w Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy było zaledwie pięć; między pierwszą a drugą upłynął prawie rok. Tomasz Wróblewski nie przyznał się do popełnienia zarzucanego mu czynu, wyjaśniając, że w tygodniu, gdy w redakcji powstawał numer pisma, o którym mowa w pozwie, był w USA. Zastępowała go Ewa Wilcz-Grzędzińska.

Sędzi Monice Podgórskiej-Suleckiej to wystarczyło, aby uznać, iż „sprawstwo oskarżonego nie zostało dowiedzione”. Sąd uniewinnił redaktora Wróblewskiego. Orzekł też, że dla rozstrzygnięcia sprawy „zbędnym stało się ustalenie, czy przedmiotowa publikacja nosiła znamiona pomawiające”.

312

pełnomocnik Gudzowatego złożył apelację (jest już rok 2008). Zarzucił sądowi obrazę przepisów postępowania, gdyż nie chciał powołać na „Newsweek Polska”, który mógłby zeznać, że tylko re-’ za publikacje materiałów prasowych. Poza innej (w roku 2004) odpowiedzi Tomasza órej redaktor naczelny nie kwestionował, a decyzja o koncepcji i zawartość numeru

ości czynu (czyli w roku 2007) Wróblewski H już wtedy redaktorem naczelnym „New-wania kwestionowanego numeru, całą od-’jską. Wiedział, że nic jej nie grozi,

my przez oskarżonego - na-ność szczególnie wnikliwe-.szcza, gdy na skutek zane-proces nabiera charakteru lko oświadczenie T. Wró-komentarza redakcyjnego zeznań żadnej z przeszł-nikowania się pozwalają raficzną.

pekt kwestionowanej pu-oligarchów nie po-nniak przv-

Od sand

CIGNASTUUOSP

zbył się 80% akcji Banku Współpracy Europejskiej, powołanego do obsługi rosyjskich transakcji. Stracił też krajowy rynek biopaliw.

O-\* > O

W O EN

<

M

\*J

\$K»\*ą

CJ

03

V -4

Y—i

•CSJ

o

Pełnomocnik Gudzowatego złożył apelację (jest już rok 2008).

Zarzucił sądowi obrazę przepisów postępowania, gdyż nie chciał powołać na -q świadka m.in. wydawcy „Newsweek Polska”, który mógłby zeznać, że tylko redaktor naczelny jest odpowiedzialny za publikacje materiałów prasowych. Poza g-< tym sąd nie ujawnił na rozprawie głównej (w roku 2004) odpowiedzi Tomasza ^ Wróblewskiego na akt oskarżenia, w której redaktor naczelny nie kwestionował, że wyłącznie w jego gestii pozostawała decyzja o koncepcji i zawartość numeru f^J pisma. Hi

Gdy doszło do przedawnienia karalności czynu (czyli w roku 2007) Wróblewski diametralnie zmienił linię obrony (nie był już wtedy redaktorem naczelnym „New- c/5 sweeka”) - całkowicie odciął się od redagowania kwestionowanego numeru, całą od- ^ powiedzialność zrzucił na Ewę Wilcz-Grzędzińską. Wiedział, że nic jej nie grozi, M wszak nie była oskarżona.

Mecenas Tomczyk był oburzony. - Zmiana linii obrony przez oskarżonego - na-pisał w apelacji - zawsze powinna implikować konieczność szczególnie wnikliwie- ^ go przeprowadzenia postępowania dowodowego. Zwłaszcza, gdy na skutek zane-gowania przez oskarżonego popełnienia danego czynu proces nabiera charakteru q poszlakowego. Sąd tego nie zrobił. Dla sądu liczyło się tylko oświadczenie T. Wró- ^ blewskiego, że nie czytał owego cover story, jak również komentarza redakcyjnego hj (podpisanego jego nazwiskiem), choć nie wynikało to z zeznań żadnej z przesłu- ^ chiwanych osób. A przecież współczesne warunki komunikowania się pozwalają -CS3 kontrolować bieg sprawy bez względu na szerokość geograficzną.

Pełnomocnik Gudzowatego wskazał też na polityczny aspekt kwestionowanej pu- O blikacji. Bowiem przygotowana przez „Newsweek” nagonka na oligarchów nie pojawiła się tylko dlatego, że OBOP przeprowadził jakieś badania. Ów wstępniak przygotowywał grunt dla wypowiedzi Mariusza Kaminskiego przed objęciem urzędu szefa CBA. Brzmiała ona tak: „Niech Gudzowaty, Kulczyk i Krauze, pierwsze pozycje ze znanego rankingu w „Newsweeku” nie liczą na względy. Przyjrzymy się, jak powstały ich fortuny”.

W lipcu 2009 r. Sąd Okręgowy w Warszawie wydział IX Karny Odwoławczy odrzucił apelację od niekorzystnego dla Aleksandra Gudzowatego wyroku sądu rejonowego. Mecenas Wojciech Tomczyk skierował kasację do Sądu Najwyższego. Nie ma jeszcze rozstrzygnięcia.

???

Od czasu słynnej czarnej listy w „Newsweeku” pole działalności biznesowej Aleksandra Gudzowatego znacznie się zawężyło. W 2006 roku sprzedał akcje firmy CignaSTU ubezpieczającej gazociągi oraz przewóz towarów do Rosji. Rok później pozbył się 80% akcji Banku Współpracy Europejskiej, powołanego do obsługi rosyjskich transakcji. Stracił też krajowy rynek biopaliw.

315

Z dużych przedsięwzięć biznesowych pozostał miliarderowi jeszcze tylko Bar-Q timpex, mający swe udziały w EuRoPol Gazie.

Wielkie więc poruszenie w firmie wywołała wypowiedź premiera Rosji Władimira Putina na temat umowy gazowej rządów Polski i Rosji z 1993 r.: - „Okazało się, że fizyczna osoba ma 4%, chociaż cały projekt sfinansował Gazprom. Trzeba przyrzeć się korupcyjności tej decyzji, i to z obu

stron, bo nie można było jej podjąć bez zgody Rosjan". Słowa Putina cytowały międzynarodowe agencje prasowe

Wzburzony Gudzowaty napisał dla mediów oświadczenie: - „Zostałem przez Władimira Putina niezasłużenie zaatakowany, i to w bardzo niewybredny sposób. Kto miał taki tupet, by premiera Rosji wprowadzić w błąd?”.

Ale sprawy o zniesławienie już nie założył. Wkrótce potem do Moskwy poleciała delegacja rządowa, aby negocjować z Gazpromem nowy kontrakt gazowy. Rosja zawarcie porozumienia na dostawę paliwa uzależniała od tego, czy Polska zgodzi się na anulowanie długu. Pojawiło się gorące pytanie: - Czy w imię niezaogniania stosunków z monopolistą darujemy Rosjanom niewywiązywanie się z płatności za przesyłkę gazu na polskim terytorium i na tym skończą się ustępstwa, czy też jeszcze bardziej pójdziemy Putinowi na rękę? I trzeba będzie poświęcić firmę Gudzowatego?

Aleksander Gudzowaty już wie - to koniec jego dużych interesów z gazem. Postanowił uporządkować swoje sprawy osobiste. Punkt numer jeden - zawarcie ślubu kościelnego z matką jego dziecka. Dyskretny, żadnych dziennikarzy.

A jednak zjawił się fotoreporter i to wcale nie z polującego na celebrytów magazynu kobiecego. W zajadle walczących z kościołem „Faktach i Mitach” ukazał się artykuł red. Anny Tarczyńskiej pt. „Kardynał do wynajęcia?”. Wyeksponowano w nim informację, że metropolita krakowski ks. Stanisław Dziwisz dostał od Aleksandra Gudzowatego 50 000 zł za odczytanie listu pochwalnego do nowożeńców.

Redakcja podaje rzekome źródło informacji - anonimowego księdza z Krakowa. Autorka asekurancko zastrzega się, że nie wierzy w te banialuki. Zatem informacja o rzekomej cenie za list metropolity jest niezweryfikowana. Intencje redakcji są czytelne - utwierdzenie swych czytelników w przekonaniu, że człowiek bogaty może w polskim Kościele kupić wszystko, nawet z pogwałceniem kanonicznego prawa. Tekst roi się od obraźliwych sformułowań pod adresem nowożeńców i metropolity krakowskiego.

Aleksander Gudzowaty nie zwlekał z podjęciem decyzji o skierowaniu do sądu pozwu w celu ochrony dóbr osobistych jego i małżonki.

Domaga się publicznego przeproszenia i zasądzenia od wydawcy „Faktów i Mitów” 100000 zł na rzecz Fundacji Crescendum Est Polonia.

Tak oto zaczyna się ósmy proces miliardera, który nie będąc piniaczem, bije rekordy zakładanych spraw w sądzie.

Z

Ygmunt B. patrzy z ławy oskarżonych na sędziego współczującym wzrokiem, jakby chciał zapytać: „W czym mogę pomóc?”. Gdy podchodzi bliżej, aby zapoznać się z fragmentem akt, jego krok jest dostojny, głowa dumnie uniesiona. Prawie każdej jego wypowiedzi towarzyszy otwarty, przyjazny ruch ręki.

Oskarżony, z zawodu technik budowlany, lat 54, przedstawiał się chorym jako profesor, kierujący zespołem naukowców specjalistów od nowatorskich metod zwalczania komórek rakowych. Miał gabinety we Włochach i na Ursynowie, a swój rzekomy lek o nazwach antyra i derax (jak wyjaśnił w sądzie, różniły się tylko gęstością), produkował w wynajętych garażach i piwnicach.

Mikstura, w którą uwierzył również cierpiący na raka krtani solidarnościowy bard Jacek Kaczmarski nie była tania: dzienna porcja kosztowała około tysiąca złotych, a należało ją zażywać przez wiele miesięcy. Prokuratura ustaliła, że w rzeczywistości był to płyn ze sfermentowanych buraków, czosnku i różnych ziół.

W ciągu sześciu lat uprawiania szamańskiego procederu, Zygmunt B. wyłudził od ciężko chorych co najmniej 1877 000 złotych. Policji udało się dotrzeć do 32 ofiar lub ich rodzin.

Oszust został zatrzymany dopiero po sześciu latach działalności, gdy jedna z „leczących się” u niego kobiet zgłosiła się na policję w Gorzowie Wielkopolskim.

Prokurator postawił B. zarzut wielokrotnego narażenia chorych na niebezpieczeństwo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu. Taki skutek miało nakłanianie ich do odstawienia leków zalecanych przez

onkologów i przerwania chemioterapii. Ponadto Zygmunt B. jest oskarżony o prowadzenie działalności lekarskiej bez stosownych uprawnień oraz pranie brudnych pieniędzy. Grozi mu kara do 10 lat więzienia.

Oskarżony nie przyznał się do żadnego z zarzutów. Twierdzi, że dzięki jego naukowym badaniom udało się uratować „wiele ludzkich istnień”. A Jackowi Kaczmarowskiemu, który przyszedł do niego w bardzo ciężkim stanie, przedłużył życie o dwa lata. Z tego powodu oczekuje gratulacji, a nie wyroku.

- Bowiem powiedziano na forum ONZ - wygłosił w sądzie - że kto ratuje jedno życie, jakby cały świat uratował (siedząca obok mnie starsza kobieta, której syn po wykryciu u niego raka płuc leczył się tylko antyrą - niestety już nie żyje - szepnęła: „Złodziej, nawet nie wie, że cytuje Stary Testament”).

???

- Moja metoda badawcza - wyjaśnia na rozprawie Zygmunt B. - nad uzyskaniem leku przeciwko rakowi była niekonwencjonalna. Nie zawierała chemikalii.

Sędzia Piotr Schab: - Co oskarżony rozumie pod pojęciem chemikalia?

B.: - To są te wszystkie związki, z których robi się chemioterapię. Ja do produkcji leku używałem tylko surowców naturalnych.

Niechętnie wylicza, jakich konkretnie. Twierdzi, że nie wszystkie zioła, jak określa składniki antyry, pamięta. Na pewno były to: czosnek, huba, nagietek, arnika,

317

owoc bzu, żywokost, liście pięciornika, kłącze tataraku, babka lancetowata, szyszki chmielu, łopian, bratek. I wiele, wiele innych. O burakach, bazie swego „leku” nie wspomina.

W jakich proporcjach? Na wycucie.

Oddzielnie przygotowywał zestaw z ziół suchych i oddzielnie z moszczu, potem „to się łączyło”.

- W jakich proporcjach? - sędzia powtarza pytanie.

- Nie pamiętam dokładnie. Sięgałem do opracowań moskiewskiego prof. Borysewa (nie wyjaśnia, kto zaczął). Ale też do innych przepisów zielarskich. Pełno ich w księgarniach, w bibliotekach. Miałem dostęp do ksiąg z XVI, XVII i XVIII wieku. To znaczy do ich streszczeń, bo to przecież starodruki.

Sędzia wypytuje, jak powstawała antyra.

Dowiadujemy się, że mieszaninę suchych ziół i soku z moszczu trzeba było kisić. Przez co najmniej trzy lata. Gdy B. uznał, że kwasowość jest osiągnięta (sprawdzał „na język”), przerywał fermentację. Potem w wirówce do prania półprodukt nabierał konsystencji torfu, który następnie dojrzewał przez sześć miesięcy. I po tym czasie esencja wszystkich związków, jak powiada, potrzebnych do zwalczania raka była gotowa.

Sędzia chce dokładnie wiedzieć, jakie to były związki.

B. się złości: - Jak to, jakie? Lecznicze.

- To znaczy?

- Mikroelementy, sole mineralne.

- W jaki sposób pan sprawdzał występowanie tych elementów?

- Co miałem badać, przecież wiem, co tam wkładałem. Ale na temat ściślej technologii nie będę mówił, bo to tajemnica handlowa.

Według wyjaśnień oskarżonego, na sporządzenie gotowego leku trzeba prawie czterech lat.

Właśnie w tym naturalnym dochodzeniu do doskonałości miała tkwić tajemnica cudownego środka na zabijanie komórek rakowych. Tymczasem badanie próbek antyry sprzedanej jednemu z pacjentów wykazało obecność kwasu mlekowego.

- Skąd się tam znalazł? - pyta sędzia.

B. najpierw kluczy, zasłania się niepamięcią, w końcu przyznaje, że chciał przyspieszyć fermentację metodą stosowaną w przemyśle spożywczym przy kiszeniu ogórków. Dolewał kwasu mlekowego. Ale to przecież nic szkodliwego. Kwas mlekowy jest dobry, czyści krew. A antyrę

poddał badaniom laboratoryjnym, wyniki są pozytywne.

- Badaniom na co? - sędzia jest dociekliwy.

- Czy nie zaszkodzi po spożyciu.

- I taki wynik wystarcza do rozprowadzania specyfiku jako leku na nowotwory? - Na pierwszym etapie tak. Prowadziłem też badania laboratoryjne dla udowodnienia tezy o podobieństwie struktur pleśni i nowotworu. Sprawdziłem

318

działanie mojego leku na owadach. Zanurzałem zieloną muszkę w antyrze i ona brą- J^J  
zowiała, co znaczy, że ją wypaliło. To samo działo się z pleśnią, która jak rak roz- pq  
rasta się w kształcie pajęczyny

Sędzia upewnia się: - Według pana struktura raka jest podobna do struktury pleśni?

B. zniecierpliwiony: - Przecież mówiłem! Pleśń polana tym preparatem była nisz- O  
czona, znaczy się, on działał.

- Ale pan nie miał zgody różnych organów, m.in. Głównego Inspektoratu Sani- ^  
tarnego na produkcję leku. <4j

- Nie szkodzi, to by się dało przeskoczyć - oskarżony bagatelizuje problem, G

- Można zarejestrować jako „suplement diety” i ja zamierzałem tak zrobić.

- Ale GIS pewnie chciałby się zapoznać z technologią nowego specyfiku. Jak za- ,  
mierza pan ten problem rozwiązać? H3

- Każda firma ubiegająca się o koncesję ujawnia tylko część swej technologii,  
reszta jest ukryta ze względu na konkurencję. B4

CO

???

Sędzia przygląda się załączonej do akt wizytówce oskarżonego. - Pan tu wydruko- ^JJ  
wał informację - zauważa - że metoda leczenia pochodzi ze starożytnego Egiptu. 3

Na czym to polega? ^

B. odmawia udzielenia wyjaśnień. Może powiedzieć tylko tyle, że przez wiele lat  
pobierał nauki od mistrzów medycyny naturalnej Wschodu, zwłaszcza chodziło \*  
o ściąganie energii z kosmosu. To z tego powodu pacjenci zwracali się do niego per <\* {  
panie doktorze, czy profesorze. Q

Następne pytania dotyczą leczenia choroby nowotworowej. pcj

Sędzia: - Jak pan ordynował antyrę? ^

Oskarżony: - W zależności od masy ciała pacjenta. No i od stopnia zaawansowania choroby.

- A po czym pan poznawał zaawansowanie choroby?

- Chorzy często mieli wypisane w papierach ze szpitala, że to już ostatni etap raka. To bzdura, że  
nakłaniałem moich pacjentów do przerywania konwencjonalnego leczenia. Gdy przychodzili do  
mnie, nie było już co przerywać, bo zwykła medycyna ich skreśliła. Najczęściej przeszli chemię,  
która nic nie dała. Tylko ja jeszcze mogłem pomóc.

Sędzia chce wiedzieć, na jakich przesłankach oskarżony opierał swą diagnozę, że leczenie  
konwencjonalne zostało zakończone.

Dla B. jest to oczywiste: Jeżeli ktoś ma skierowanie do hospicjum, znaczy, że już położyli na nim  
krzyżyk. Tymczasem on uratował 20% spośród tych, którzy byli w stanie terminalnym, po  
nieskutecznej chemii i napromienieniu. Wśród chorych z mniejszym zaawansowaniem raka miał  
jeszcze większe sukcesy - co drugi wracał do zdrowia.

319

uleczył, nie pamięta jej nazwiska, cierpiała na wole. Sędzia: - Co to jest wole?

- Taka narośl, o tu - oskarżony dotyka swej szyi.

- Czy pan wie, co powoduje tę chorobę?



- W tej chwili wyleciało mi z głowy. W każdym razie, ponieważ byłem bliskim znajomym syna tej pani, on mnie poprosił o antyrę. Po dwóch tygodniach wole się zmniejszyło i kobieta wyzdrowiała. Później wiele razy udało mi się wyleczyć chorych na raka albo przynajmniej przedłużyć ich życie o dalsze trzy miesiące, co zawodowi onkolodzy uznaliby za sukces. Ale ja miałem większe plany - nie trzy, ale sześć miesięcy - wtedy pisaliby o mnie w fachowych biuletynach.

Pamięta chorą na raka płuc, jej nazwisko również wyleciało mu z głowy, miała przerzuty do węzłów chłonnych. Była taka słaba, że nie mogła się nawet pochylić. - Zatrzymałem rozwój śmiertelnego mięsaka - twierdzi. - Ale prawdopodobnie już wtedy, gdy przyszła do mnie, miała przerzuty do mózgu. Gdy to odkryłem, sam jej powiedziałem, aby zgłosiła się do onkologa. Nie wiem, co się z nią potem działo, zdaje się, że dali jej jeszcze jakieś naświetlania.

- Czy którykolwiek z pana pacjentów mówił, że ten preparat go wyleczył? - po raz kolejny docieka sędzia.

B. - ponownie robi unik: - Gdy człowiek wyzdrowiał, to już się do mnie nie zgłaszał, bo i po co. Ja tych nazwisk nie zapisywałem. Ale skąd by ludzie wiedzieli o leczniczych właściwościach antyry? Właśnie ze słyszenia, że uratowałem albo przynajmniej przedłużyłem komuś życie. Wielu pacjentów przyszło za namową Jacka Kaczmarek; byli wśród nich również sędziowie i wysoko postawione osoby z Izraela.

O słynnym pieśniarzu, kojarzącym się z „Solidarnością” stanu wojennego, znachor mówi jako o swym najlepszym przyjacielu:

- W Centrum Onkologii powiedzieli Jackowi, że ma przed sobą trzy miesiące życia. On wierzył, że ja go z tego wyciągnę, brał antyrę przez dwa lata. Gdy minął rok, wiele gazet napisało o mojej cudownej substancji. Jacek został propagatorem tego preparatu. Byłem bliski całkowitego wyleczenia go, guz w krtani już się rozpadał, wydzielając bardzo nieprzyjemną woń. Ale poszedł do szpitala na przeczyszczeni rurki, którą miał w gardle i nie obudził się z narkozy.

???

Sędzia bez słowa komentarza przechodzi do kolejnego zarzutu postawionego oskarżonemu - czerpania korzyści materialnych z uprawianego procederu.

- Pan powiedział kiedyś rodzinie pacjenta, że ten produkt leczący raka nie jest na kieszeń emerytów czy rencistów. To znaczy, że cena jednego opakowania była wysoka?

320

B. - Niczego nie sprzedawałem. O emerytach mówiłem w takim sensie, że na razie nie mam produkcję na małą skalę i z tego względu kosztowną. Ale gdy ją rozwinę, cena wytwarzania antyry bardzo się obniży i lek będzie dostępny dla wszystkich. ^ To jest logiczne myślenie biznesowe. - Badania naukowe kosztują - zauważa sędzia - skąd pochodziły pieniądze?

B. jest przygotowany na takie pytanie. - Dorobiłem się w PRL - wyjaśnia.

Chociaż z zawodu jest budowlańcem, a żona Urszula (też siedzi na ławie oskarżonych) elektromonterem, handlowali w „szczęce” przed Halą Mirowską w Warszawie. Towar był od pośredników z byłego Związku Radzieckiego. Najlepiej szedł ^ im kawior z Astrachania, brali go kupcy niemieccy. Tonami. Zygmunt B. nie ma z tego okresu żadnej dokumentacji celnej czy bankowej. Pieniądz, jak twierdzi, szedł Jg z ręki do ręki. Gdy upadła komuna, miał schowane 2 miliony dolarów.

Nie pamięta nazwy banku, w którym wymieniał tę walutę.

Wszystkie oszczędności wpakował w produkcję leku na raka. I wszystko stracił, ^ gdy policja zabrała mu na zmarnowanie 1,5 tysiąca wielkich słoików z półproduktem J^j antyry. I to w momencie, gdy pewne osoby za granicą chciały rozpocząć produkcję specyfiku na szeroką, przemysłową skalę, w fabryce z prawdziwego zdarzenia.

Dodatkowo chciał wspomóc finansowo tę inwestycję prowadzeniem robót budowlanych, miał już prawie w ręku kontrakt na kilkaset tysięcy złotych, ale wspólnik go oszukał. Teraz jest bez grosza. 52\$

- W akcie oskarżenia - przypomina sędzia - wymieniono prawie milion dzie- ^ więćset tysięcy złotych, które pan uzyskał ze sprzedaży chorym antyry.

B. demonstruje wzburzenie. Oto ludzka niewdzięczność. Żadnych opłat nie żądał. \* Jeśli coś położyli z własnej chęci na stole, mówił: „Bóg zapłać”. Owszem, dawał ogło- P, szenia do prasy, że ma „fenomenalny preparat nowej generacji niszczący raka. Bar- ^ dzo sprawdzony na wielu przykładach”. Rozrzucał też podobnej treści ulotki na oddziałach onkologicznych w szpitalach. Ale i bez tego ludzie dzwoniли, napraszałi się.

A teraz oczerniają. Chociaż, z drugiej strony, nie dziwi się, że rodziny pacjentów obciążęły go w śledztwie. Jeśli przesłuchanie wyglądało tak, jak u niego, gdy straszono go nawet bronią...

Sędzia pyta o przypadek Anny G., Zygmunt B. nie przypomina sobie takiej pacjentki. Wobec tego zapoznaje się z załączonym do akt listem tej kobiety, pisany w czasie, gdy przyjmował chorych. Błaga o obniżenie ceny antyry lub rozłożenie jej na raty, bo nie ma tyle pieniędzy na ratujący życie lek.

- To mi nic nie mówi - stwierdza stanowczo oskarżony.

Sędzia zarządza przerwę. Zygmunt B., zadowolony, że mógł mówić, co chciał, wychodzi ze swym adwokatem na korytarz. Stara się szybko zejść z oczu oskarżycielom posiłkowym. Gdy się mijają, nie pada ani jedno słowo, jednak rozpacz na twarzach osób, których bliscy uwierzyli w cudowną moc antyry, ich widoczna nawet w ubiorze żałoba, zapowiada, że na sali sądowej padną dramatyczne zeznania.

321

- Obym tylko dożyła - martwi się ubrana na czarno Czesława W., która już dwa razy podchodziła w czasie rozprawy do sędziego z prośbą o wysłuchanie jej przed innymi świadkami. Niestety, musi poczekać na swoją kolej.

Na korytarzu ta wiekowa już kobieta pokazuje mi zniszczone od ciągłego, nerwowego wyjmowania z torebki kartki, na których opisała swoją matczyną tragedię. Jej syn, ekonomista na poważnym stanowisku, zachorował na raka. Gdy wyczytał w prasie o uzdrowieniu Kaczmarek, pojechał do gabinetu „profesora” Zygmunta B.

- Ten oszust - płacze zrozpaczona matka - kazał synowi odstawić chemię i pje trzy razy dziennie antyrę. Zapożyczyliśmy się na 100000 złotych, bo jedna porcja leku kosztowała 240 złotych. Syn brał to świństwo ponad cztery miesiące, ale było z nim coraz gorzej, w końcu pogotowie zabrało go do szpitala, gdzie umarł. Gdy zadzwoniłam do B. i powiedziałam mu, że to co robi, jest zbrodnią, nawymyślał mi.

Inna kobieta, która już zeznawała, dyskretnie podaje mi karteczkę. Prosi w niej, abym w reportażu z procesu nie ujawniła jej danych. Rozmawiamy po wyjściu z gmachu sądu.

- Taki wstyd - ona szepcze. - Jestem po farmacji, prowadzę aptekę w dużym mieście, a nabijałam kieszenie znachorowi. Człowiek w rozpaczycy traci głowę. Mąż umierał i gdy ten oszust przyjechał do niego do szpitala i po zjrzeniu w oczy powiedział, że choroba się wycofuje, bardzo chciałam w to wierzyć...

Ostatnie słowa świadka dusi płacz. Od dwóch lat jest wdową.

???

B. po złożeniu wyjaśnień w pierwszym dniu procesu nie chce dłużej w nim uczestniczyć. Nie interesuje go, co będą mówili przed sądem pokrzywdzeni. Na kolejnej rozprawie wychodzi zaraz po przesłuchaniu jego pracownicy. Ostentacyjne trzaśnięcie drzwiami wywołuje gwałtowny protest jednego ze świadków oskarżenia. - Chcę temu oszustowi spojrzeć w oczy - krzyczy kobieta w żalobie.

Ale sędzia nie może zatrzymać oskarżonego, który odpowiada z wolnej stopy. Na miejscu pozostał jego adwokat.

Jeśli Zygmunt B. oczekiwał, że Joanna J., młoda kobieta z Pruszkowa, która przez sześć lat kupowała dla niego na targu warzywa - główne składniki rzekomego leku na nowotwory, będzie osłaniała przed sądem swego pracodawcę, to się pomylił.

- Robiłam tak, jak szef kazał. Obierałam buraki, marchew, chrzan, czosnek. Następnie dodawałam zioła - zeznaje bezbarwnym tonem.

Jakie? Zwyczajne, nie było tam zagranicznych. Wie stąd, że Zygmunt B. kupował je od plantatorów w dużych papierowych workach; na każdym były napisy po polsku.

- Wszystko mieszałam patykiem i wlewaliśmy do słoików. W każdej pokrywie była dziurka na rurkę - taką, jakiej się używa przy robieniu w domu wina.

322

jak diugo zaczyn fermentował? Pół roku, czasem rok. (Jej szef twierdził na pierw- ^ szej rozprawie co innego: na sporządzenie gotowego „leku” trzeba było czekać czte- prj ry lata. Właśnie w tym naturalnym dochodzeniu do doskonałości miała tkwić ta-jemnica cudownego środka na zabijanie komórek rakowych).

- Pan Zygmunt wahał i mówił, które słoje można otwierać. Czasem ja wybierałam. Po odwirowaniu przelewaliśmy płyn do buteleczek. - Joanna J. przedstawia pą poszczególne czynności w fabryce antyry.

- Czy to był lek na raka? <stj

- Tak zostało powiedziane - świadek wbija wzrok w podłogę.

Ale na pytanie sędziego, czy poznała takie osoby, którym antyry pomogła, robi & \ wątpiącą minę. - Ja tam nie wiem. Mogę tylko powiedzieć, że na antyry i derax, któ- jgj re zresztą niczym się nie różniły, był duży zbyt. Szef otwierał coraz to nowe miej-sca składowania słoiz z półproduktem.

Mimo podejrzeń, że chlebobawca jest oszustem, pracownica Zygmunta B. roz-rzucała na oddziałach onkologicznych w szpitalach ulotki o „fenomenalnym prepa- ^ racie nowej generacji niszczącej raka, bardzo sprawdzonym na wielu przykładach”,

- Wstydziłam się, ale co było robić? Po maturze nie mogłam znaleźć w Warsza- ! ^ wie pracy - zeznaje przed sądem. 525

Najgorsze było dla niej to, że szef kazał podchodzić do chorych spacerujących na korytarzu kliniki, zagadywać. Gdy już ktoś taki się pożalił na nieszczęście, które go ?5 spotkało, wręczała mu materiał reklamowy, gdzie była wizytówka B. jako profesora, dyrektora prywatnego ośrodka badawczego. -<

Musiała też umieszczać ulotki pod wycieraczkami samochodów.

- Pan Zygmunt chciał, abym wyszukiwała droższe auta, ale ja wkładałam jak le- ci, żeby jak najszybciej pozbyć się tej makulatury. <jjj^

Teraz nazywa to makulaturą, choć na początku wierzyła, że szef prowadzi bardzo ważne badania i wszyscy w laboratorium muszą pilnować, aby inni naukowcy nie podkradli unikalnej receptury. Dlatego pracownicy chyłkiem opuszczali zakład. Mieli uważnie się rozglądać, czy nikt ich nie obserwuje, nie robi zdjęć.

Pomysłem szefa w reklamowaniu antyry nie było końca. Chciał na przykład, aby pracownica, niby to przypadkowo, przechodziła przez korytarz, gdy odprowadzał do drzwi rodzinę chorego. Miała potwierdzić własnym przykładem to, co mówił pacjentowi w gabinecie: że jej chorą na raka matkę wyleczyła antyry. Gdy Joanna J. odmówiła wykonania polecenia, wymógł na niej, aby napisała na forum internetowym, że ma w rodzinie kogoś, komu jego cudowny lek uratował życie. ? ? ?

Wszyscy świadkowie zeznający przed sądem czuli się ofiarami misternej siatki kłamstw rzekomego profesora. Wpadli w nią niepostrzeżenie dla samych siebie.

323

Prawniczka Monika M., która walczyła o życie swego chorego ojca uwierzyła, że B. jest profesorem biochemii, który badając właściwości unikalnych afrykańskich ziół wynalazł genialną miksturę niszczącą komórki rakowe. Mówił, że ten preparat skut-kuje nawet w przypadkach, gdy medycyna jest bezradna. Z jedynym wyjątkiem - nie leczy raka wątroby. Na razie, bo jego zespół

naukowców ma szansę pokonać i ten problem.

Owszem, zapytała, dlaczego nie opatentował antyry. Tłumaczył, że chciałby do-prowadzić kompleksowe badania do końca, żeby nikt się nie podszył pod jego wynalazek i nie rozpoczął produkcji antyry na skalę przemysłową. Zwłaszcza środowisko naukowców żydowskiego pochodzenia czyhało na jego pomysł.

To wszystko brzmiało tak optymistycznie, że Monika M., mimo swego ciężkiego zmartwienia, uśmiechnęła się, słysząc, jak profesor ironizował: Ach, z czegoż będą żyli onkolodzy, gdy moja antyrya wejdzie do aptek!

Jej samopoczucie poprawiło się jeszcze bardziej, gdy przed wejściem do domu, gdzie mieścił się gabinet Zygmunta B. spotkała dwie młode kobiety, które zwierzyły się jej, że chorowały na raka i dzięki leczeniu u tego cudownego profesora po nowotworze nie ma ani śladu.

Poczta pantoflowa - to obok ulotek był najprostszy i najbardziej skuteczny sposób Zygmunta B. na ściąganie kolejnych ofiar swej szarlatanerii.

Anna K. dowiedziała się o antyrze od ciotki w Białymstoku, która z kolei słyszała od znajomej, że do B. jeździ po jakiś nadzwyczajny lek córka kogoś z jej rodziny.

Były też inne tropy: Hanna J. z Ostrowa Wielkopolskiego, z zawodu ekonomist-ka, przeczytała w piśmie „Wilkakora” (notabene propagującym leczenie nowotworów pewnym ziołem z Ameryki Południowej) wywiad z Jackiem Kaczmarskim, który jako pacjent prof. Zygmunta B. zachwalał antyrę. J. pomyślała, że może to być ratunek dla jej siostry chorej na raka kości udowej, która mimo trzech poważnych operacji, miała coraz większe trudności z chodzeniem. Gdy jeszcze obie kobiety natknęły się w szpitalu na reklamę laboratorium profesora B., postanowiły szukać u niego ratunku.

Fryzjerce Hannie K., której mąż cierpiał na nowotwór kręgosłupa, klientka dała telefon do kogoś, kto znał bliżej pewnego lekarza pierwszego kontaktu w przychodni. A ten przekazał adres gabinetu Zygmunta B. jako lekarza biochemika, współpracującego z prof. Borysewem w Moskwie. Tylko prosił o zachowanie jego pośrednictwa w tajemnicy.

Już samo zdobycie zastrzeżonego telefonu do gabinetu B. było jak złapanie Pana Boga za nogi. Wszyscy pokrzywdzeni w tej sprawie tak to odczuwali. A Zygmunt B. ich w tym utwierdzał.

Reginie K., której 18-letni syn cierpiał na nowotwór jądra powiedział, że ma szczęście, iż do niego trafiła (z polecenia Jacka Kaczmarskiego), gdyż może wyleczyć tylko trzy osoby w ciągu roku, tak skomplikowana jest produkcja jego antyry.

324

33

niędzy, zorganizowała społeczną zbiórkę na drogie leki od „profesora”.

Również zrozpaczona stanem swej siostry Hanna J. odetchnęła z ulgą, gdy to-  
O

warzyszka Zygmuntovi B. pracownica, w chwili podawania pacjentowi próbnej dawki antyry (jeśli w czasie picia robiło mu się gorąco, był to znak, że lek zniszczy raka) potwierdziła listę osób uleczonych. <\*<

A prawdziwym balsamem na serce było zapewnienie, że „nie takich stawiał na ^ nogi”. Dopiero na sali sądowej dowiedzieli się, że identyczną deklarację B. składał ?y każdemu, kto znalazł się w jego gabinecie. ^-jj

B. nie wypierał się zresztą tych słów przed sądem. - Wiele razy udało mi się wy-  
leczyć chorych na raka - twierdził. - Byli wśród nich sędziowie, znany dziennikarz ^  
z TVN i wysoko postawione osoby z Izraela. Ja tych nazwisk nie zapisywałem, bo  
i po co. jq

Tylko niektórzy z pacjentów chcieli wiedzieć, dlaczego wydrukował na swej wi- JA\*  
zytówce informację, że jego metoda leczenia pochodzi ze starożytnego Egiptu. I na ^  
czym miałyby polegać? ją

B. zasłaniał się ochroną jego genialnej receptury przed konkurencją. Andrzejowi ^  
P., który dotarł do B. z chorą na raka matką zwierzył się, że jego firma zatrudnia 52\$  
wielu biochemików, ale się nie ujawniają, bo nie chcą być zniszczeni przez lekarzy ^

i koncerty farmaceutyczne. -1;

- Mówił tajemniczo - wspominał świadek - że przez wiele lat pobierał nauki od mistrzów medycyny naturalnej Wschodu. Twierdził, że do wynalezienia antyry doszedł w badaniach laboratoryjnych nad podobieństwem struktur pleśni i nowo-tworu.

Ale nie to było dla rodzin chorych najważniejsze. Liczyła się chęć „profesora” spieszenia im z pomocą. Musiało być coś magnetycznego w jego zachowaniu, że tak mu wierzone. Ujmujący sposób bycia, zatroskanie na twarzy, gdy pochylał się nad chorym. Wspominali o tym świadkowie, niektórzy ciągle jeszcze zdumieni, że stali się ofiarami oszusta.

Gdy w swym gabinecie B. cicho pytał: „W czym mogę pomóc?”, odbierali te słowa jak tonący deskę ratunkową. Zwłaszcza, że wielu wyniosło przykre doświadczenie z kontaktów z onkologami.

Córka Anny K. miała wszczepioną w szpitalu MSWiA endoprotezę. Bóle po operacji nie ustępowały, lekarze nie znajdowali istotnej przyczyny aż takich dolegliwości, w końcu zniecierpliwieni uznali, że mają do czynienia z pacjentką hipochondryczną, roszczeniową. Matka chorej nie dała jednak za wygraną. Poszukała pomocy w Instytucie Onkologii. I tam stwierdzono złośliwy nowotwór, na który był tylko jeden sposób - amputacja nogi aż do biodra. Chora chciała poznać szczegóły

325

Q H

H a,

tak poważnej ingerencji w jej organizm. Usiyszała od kierującego ją na operację docenta, że nie będzie wyjaśniał, bo i tak nie zrozumie. Jeśli zdecyduje się na amputację, o terminie zabiegu zostanie powiadomiona. Należy czekać.

W międzyczasie matka chorej dowiedziała się o Zygmuncie B. Pojechała z córką do słynnego „profesora”. Zapytały o radę w sprawie operacji. B. był stanowczo przeciwny. Powiedział, że pracował w Instytucie Onkologii na oddziale chirurgii i było to traumatyczne przeżycie. Rany pooperacyjne wręcz gnęły, w salach panował straszliwy fetor. Nikt nie miał szans na powrót do zdrowia.

- To przesądziło - zeznała Anna K. - że córka nie zgodziła się na amputację. Zawierzyła Zygmuntovi B., który ją zapewniał, że bez skalpela postawi ją na nogi. Odmówiła też - na jego polecenie - brania antybiotyków. Robiła natomiast podczas kuracji antyrą badanie USG u lekarza polecanego przez „profesora”. Zygmunt B. widział na zdjęciach wyraźne cofanie się nowotworu. Córka Anny K. zmarła po trzech miesiącach zażywania „cudownego” preparatu. Farmaceutka Dorota Cz. trafiła do znachora po załamaniu, jakie przeżyła, gdy nowotwór złośliwy w mózgu jej męża odrósł po operacji. Co prawda, jeszcze przed zabiegiem chirurg uprzedzał, że może dojść do takiej sytuacji. Telefon do B. dostała od brata mieszkającego w Zakopanem. A jemu ten kontakt zostawił pewien wczasowicz, który przyjechał na narty. Kazał się powołać na niego.

Zygmunt B. był bardzo niezadowolony, że chory zdecydował się na operację. Powiedział, że trudno, ingerencji skalpela nie da się już cofnąć, natomiast można i trzeba zrezygnować z radioterapii. Antyra traci swe cudowne właściwości, gdy równocześnie stosuje się naświetlanie.

- Zapytałam - zeznała świadek w sądzie - na czym polega działanie tego preparatu. Profesor odpowiedział, że jest to wzbogacona biomateria z roślin. W organizmie działa selektywnie, wzmacnia zdrowe komórki, a niszczy chore. Po destrukcji organizm sam wydalą obumarłe komórki rakowe.

Świadek nie dociekała, co to jest ta „wzbogacona biomateria”.

- Byłam w strasznym stresie. Tłumaczenie o selektywnym działaniu antyry wydawało się logiczne. A poza tym ujęło nas, że B. tak bardzo przejmował się stanem mojego męża.

Ledwo dojechali do domu, on już dzwonił, pytał jak się chory czuje po wypiciu pierwszej porcji antyry. Zapewniał, że po 100 uderzeniowych dawkach będzie zdrowy. Tylko żeby pod żadnym pozorem nie brać chemii. Później godzinami rozmawiał telefonicznie z mężem Doroty Cz., aby

podtrzymać go na duchu. Cierpliwie tłumaczył, dlaczego jego preparatu nie stosuje się w szpitalach - bo jest zbyt kosztowny, na razie tylko dla wybranych. Ale wkrótce, we współpracy z pewnym instytutem w USA ruszy produkcja antyry na skalę przemysłową.

To było tak krzepiące, że przez moment Cz. naprawdę czuł się lepiej, wierzył że odzyska sprawność w nogach, którą utracił po operacji.

326

Jednak wkrótce potem pojawiły się pierwsze, jeszcze mało wyraźne, napady pa- \*^ dawkowe. Zygmunt B. tłumaczył, że tak nerwowo działają zrosty w mózgu, po- pt; wstające po złuszczeniu się komórek rakowych.

- Dziś wiem, że był to rozwój choroby, prowadzący do śmierci. Może udałoby się ją powstrzymać, gdyby mąż nie zrezygnował z chemii - powiedziała, ocierając łzy, wdowa Dorota Cz. pą

Jej rozpacz była tym większa, że wcześniej wysłuchiwała zeznań Reginy B., matki 18-latkę chorego na nowotwór jądra. Owszem, dawała swemu Mariuszowi antyrę, ale równocześnie, w tajemnicy przed Zygmuntem B., chłopiec był poddawany w szpi- Q talu chemioterapii.

- Syn żyje - zakończyła swe zeznanie Regina B. - a ja dziękuję Opatrzności, że ^ nie posłuchałam tego szarlatana do końca, gdy odciągał mnie od kliniki onkolo- ^ gicznej opowieścią, jak wykończyli Jacka Kaczmarskiego.

Regina B. była jak dotąd jedynym świadkiem wśród poszkodowanych, która nie dała się namówić na zrezygnowanie z konwencjonalnej terapii stosowanej w le- \ r—ł

„nie podałby chemii nawet swojemu kotu, bo to jest trucizna”. J^JJ

czeniu nowotworów. Inni ulegali sugestii rzekomego profesora, gdy mówił im, że Jat

52!

???

-S3Ć,

Zygmunt B. potrafił uspić czujność nawet dociekliwych pacjentów.

Katarzyna J., specjalistka od zarządzania, trafiła do oskarżonego z mamą chorą na raka płuc. Znachor przekartkował dokumentację lekarską, chwilę podumał, utrzymując w napięciu oczekujące ratunku kobiety i wreszcie obwieścił, że „poradzimy sobie, nie takie przypadki wyleczyłem”. Uprzedził tylko, że kuracja jest, niestety, droga, bo zioła sprowadza z Afryki.

Katarzyna J. była tak szczęśliwa słysząc, że mama wyzdrowieje, iż nie zwracała uwagi na koszty. Okazało się, że za trzy fiołki zużywane dziennie trzeba zapłacić 750 złotych, a musiała kupić antyrę na co najmniej 10 dni. Nie żałowała jednak wydanych pieniędzy (wzięła pożyczkę z banku), bo matka już po wypiciu pierwszej dawki poczuła się lepiej. Zniknęły stany depresyjne, zaczęła układać plany na przyszłość.

Aby zyskać pewność, że rak się cofa, Katarzyna J. po miesiącu brania antyry zrobiła mamie rentgen płuc. Bez uzgadniania z „profesorem”. Wynik był dramatyczny - nastąpiły przerzuty na drugie płuco. Wtedy zwierzyła się klinicznemu onkologowi z aplikowania chorej antyry. Lekarz poradził jej, aby zapytała Zygmunta B., jakich ziół używa w produkcji swego specyfiku.

Kilka dni czekała, aż B. wreszcie podyktował jej przez telefon skład antyry. Była to bardzo długa lista ziół - same nazwy łacińskie. Onkolog uznał, że pojedynczo zażywane nie powinny zaszkodzić, ale nie ręczy za miksturę po fermentacji. Co do jednego był pewny - nie jest to sposób na zniszczenie komórek rakowych.

NA

O

## I

## U

- Lekarz był oburzony postępowaniem producenta antyry - powiedziała przed sądem Katarzyna J. - ale rozumiał ją, bo ludzie łapią się różnych możliwości ratowania bliskiej osoby. Nawet nie wspomniał, że o hochsztaplerstwie powinno się zawiadamiać organy ścigania.

Podawała matce antyrę przez 2,5 miesiąca. Potem stan zdrowia chorej pogorszył się na tyle, że trzeba było ją zawieźć do szpitala. B. odradzał, zarzucał córce brak konsekwencji. Uprzedzał przecież, że kuracja musi potrwać; teraz cały jego wysiłek pójdzie na marne. I w tej nierozważnej decyzji córki widział potem przyczynę śmierci jej matki.

O wiele bardziej zdecydowanie zwalczała działania rzekomego profesora Ewa K., psycholog kliniczna w warszawskim Centrum Onkologii. Gdy zobaczyła B. w domu chorego na nowotwór 30-letniego Kuby, jak wlewa konającemu już, do ust ową antyrę, nie zapanowała nad nerwami, wybuchła gniewem. Niestety, oszust przyjechał na zaproszenie zrozpaczonej matki, notabene lekarki.

Kuba wkrótce zmarł i Ewa K. jedyne, co mogła zrobić, to przestrzegać innych pacjentów, aby nie ufali hochsztaplerowi. Zwłaszcza, gdy namawia do zrezygnowania z chemioterapii, na co miała dowód w postaci nagranej na dyktafon rozmowy pewnej chorej z B. w jego gabinecie. Ale nie znajdowała posłuchu.

Mąż Hanny K. zmarł z powodu pęknięcia wrzodu na dwunastnicy. Choć jego organizm bardzo źle znosił antyrę, ufał w ozdrowieńczą moc specyfiku. Za poradą B. zrezygnował z chemioterapii. Gdy czasem u tego chorego odzywały się wątpliwości, czy słusznie robi, rezygnując z medycyny konwencjonalnej, B. tłumaczył mu, że przecież on też jest lekarzem, profesorem, choć nie lubi używać tytułów naukowych. Cenią go za granicą, zapraszają na międzynarodowe sympozja. Ma duże sukcesy w leczeniu raka. Jeśli tylko znajdzie wolną chwilę, umówi państwa K. na rozmowę z kimś, kto był w znacznie gorszym stanie i został antyrą wyleczony (nigdy do takiego spotkania nie doszło).

Również Krystyna W., której syn cierpiał na guza mózgu, dała się zwieść opowieściom B. o cudownych uzdrowieniach. Choć była zaskoczona, że znachor nie chce zapoznać się z kliniczną dokumentacją choroby syna, bada jego stan jedynie dotknięciem głowy. Kupiła 65 buteleczek antyry, po 1000 zł jedna. Syn wypił połowę z tego, zmarł. Gdy po pogrzebie swego jedyne dziecko wykrzyczała znachorowi prosto w twarz, że jest oszustem, Zygmunt B. odpowiedział, żeby skierowała pretensje do Pana Boga.

Rzekomy profesor zwykł mówić: „postawię pana na nogi, ale to będzie drogie leczenie”. Opłaty za buteleczkę z tym samym, rzekomo życiodajnym płynem różniły się w zależności od widzimi się znachora. Mogła wynosić 1000 zł, 500, 480, a nawet tylko 6 dolarów.

Joanna J. (ta od mieszania patykami półproduktu) zeznała w sądzie, że za zestaw buteleczek na jeden dzień kuracji kasowała od interesantów 720 zł. Szef sprzedawał

płyn co najmniej na 10 dni. Widziała, jak klienci płacą jednorazowo 20 000-30 000 zł. Często przyjeżdżali rano, gdy B. jeszcze nie było w gabinecie i wtedy antyrę wydawali im pracownicy z produkcji. I oni odbierali koperty z pieniędzmi dla szefa. Na procesie poszkodowani podliczali, ile pochłonęła kuracja antyrą. Anna K. matka chorej na raka Joanny kupowała buteleczki przez trzy miesiące, aż do śmierci córki. Było to 11 porcji, każda za 4800 złotych. Andrzej P. wydał w sumie 140000 zł, co może potwierdzić dokumentami z banku, bo na kupno specyfiku wziął kredyt. Chora żona zmarła. Katarzyna J. wydała na bezskuteczne leczenie mamy 65250 złotych. Dorota Cz. - około 100000 złotych. Gdy kuracja trwała wiele miesięcy (B. przestrzegał przed jej przerwaniem, bo „wtedy wszystko pójdzie na marne”), rodziny niektórych chorych prosiły o rozłożenie płatności na raty, bądź obniżenie ceny antyry. W takiej sytuacji znalazła się Regina B., którą jednodniowa porcja preparatu kosztowała 500 zł. Po kilku tygodniach już nie miała pieniędzy. Prosiła B. o litość. „Profesor” wspaniałomyślnie kazał jej napisać podanie do SMB - fundacji o takiej nazwie, której jest prezesem. Obiecał poparcie prośby. Odpowiedź przyszła pozytywna - można zejść z ceny zestawu do 200 zł. Regina B. nie miał odwagi zapytać, co ten skrót - „SMB” oznacza. Ani gdzie jest siedziba owej fundacji. Ale Zygmunt B. nie dla wszystkich swych pacjentów był taki łaskawy. Powiedział kiedyś rodzinie pacjenta, że produkt z jego laboratorium nie jest na kieszeń emerytów czy rencistów. A Hannie Z., która w gabinecie B. zostawiła 100 000 złotych, a on namawiał ją na kupowanie kolejnych porcji antyry poradził, że jeśli nie

O  
p,  
???

- Zamykam przewód sądowy - oznajmił sędzia Piotr Schab i prokurator mógł ogłosić, jakiego oczekuje dla oskarżonego wyroku. Po podliczeniu wszystkich kar wyszło siedem lat pozbawienia wolności oraz grzywna.

Znachora na sali sądowej nie było. Od dłuższego już czasu nie raczył przychodzić na rozprawy - reprezentował go adwokat. Mecenaz w mowie obrończej podkreślał socjologiczne tło sprawy, która jego zdaniem dotyczy sprzedaży nadziei. Niestety, za duże pieniądze.

- Taki proceder - twierdził - otacza nas ze wszystkich stron. Z telewizora płyną oszukańcze informacje o suplementach diety, powodujących natychmiastowe schudnięcie, cudownych kremach na odzyskanie młodości, pigułkach na seksualny wigor itd. I jest na to społeczne przyzwolenie. Zygmunt B. do przestępczej działalności został zachęcony przykładem - szedł drogą wytyczoną przez potężne koncerny farmaceutyczne.

Pełnomocnik oskarżonego wprawdzie nie negował obciążających jego klienta zeznań poszkodowanych, ale zwracał uwagę sądu, że B. do swego gabinetu nie ciągnął

329

•Ni

chorych siłą. On tylko odpowiadał na pragnienia ludzi, chcących kupić nadzieję na wyzdrowienie ich bliskich. Iluzoryczną, gdyż w rzeczywistości zdawali sobie sprawę, że sytuacja jest beznadziejna.

- Trudno mi to tak nazwać, ale powiem - zastrzegł się adwokat - mieszanki ziołowe były na wagę ofiarowanych miesięcy życia. Dlatego Zygmunt B. tak wysoko je cenił.

Usprawiedliwiając oskarżonego, mecenaz uderzał w lekarzy, którzy w większości nie negowali



postępowania B. Tak zachowywał się laryngolog, który leczył pieśniarza Kaczmarskiego. Prawdopodobnie uznał, że dodatkowa, alternatywna kura-cja choremu nie zaszkodzi. A Kaczmarski, który brał antyrę do końca życia i żarliwie reklamował wytwórcę tego specyfiku, dzięki wierze w ziołową terapię zyskiwał siły do walki z nowotworem.

Owszem, zdarzyło się, że któryś z onkologów nazwał antyrę sokiem z ogórków i buraków, ale i on nie powiedział choremu wprost - odstawić. Możliwe, że lekarze postępowali tak z litości dla zrozpaczonych rodzin osób chorych na raka, które nie były w stanie beczynnie patrzeć na powolne umieranie ich bliskich.

Z faktu, że oskarżony, który udając profesora, biochemika, czy po prostu lekarza, nie potrafił w sądzie nawet podać proporcji ziół w jego miksturach, mecenas wysnuł wniosek, że Zygmunt B. nie był cynicznym oszustem. Zdaniem adwokata jego klient nadal wierzy w antyrakowe właściwości swego preparatu i ubolewa, że na skutek procesu tyle poszło na zmarnowanie. Gdyby nie miał tego przekonania, nie marnowałby setek młynków podczas mielenia półproduktu. Mógł przecież z tym samym skutkiem sprzedawać zabarwioną wodę.

Mecenas wyraził ubolewanie, że podczas procesu nie padło pytanie o kondycję natury człowieka. Zygmunt B. uwierzył, że jest cudotwórcą. Nie on pierwszy w dziejach świata. - Nie chciałbym - apelował do sądu - aby mego klienta potraktowano jak zwykłego naciągacza. Sprzedawanie ludziom nadziei, to nie jest typowe oszustwo.

Zarzut, że B. udawał lekarza, mecenas potraktował jako „raczej uboczny”. Kolejny - że narażał ofiary swego przestępczego działania na utratę życia - jako nieuzasadniony.

- Zygmunt B. nie czuje się przestępcą, a to nakłada na mnie obowiązek wystąpienia z wnioskiem o uniewinnienie - zakończył.

Sędzia odroczył wydanie wyroku o kilka dni ze względu na, jak wyjaśniał, zawłości prawne tkwiące w istocie postawionych zarzutów.

???

Odczytano wyrok - siedem lat więzienia. Ponadto Zygmunt B. musi zwrócić niektórym poszkodowanym (jeśli o to wystąpili do sądu) wyłudzone od nich pieniądze wraz z odsetkami. To jest długa lista, zawierająca kilkadziesiąt nazwisk. Sumy - od kilkunastu tysięcy złotych do kilkuset.

330

Oskarżony, który do końca procesu utrzymywał, że jest niewinny, na ogłoszenie wyroku nie przyszedł.

- Mamy do czynienia z oszustwem - uzasadnił surowy wyrok sędzia Piotr Schab. \_ Oskarżony reklamował preparat jako rewelacyjną metodę sprawdzoną na wielu osobach, ale nie potrafił przedstawić choćby jednej, którą wyleczył. Oszukiwał dla pieniędzy, i to dużych. Jediną właściwie okolicznością łagodzącą jest wiek oskarżonego.

Sąd był zgodny z prokuratorem co do wysokości kary; kontrowersje dotyczyły prawnej kwalifikacji czynu. Oskarżyciel domagał się 7 lat więzienia nie tylko za oszustwo, ale też za inne przestępstwa: narażenie pacjentów na niebezpieczeństwo (poprzez nakłanianie ich do rezygnacji z tradycyjnego leczenia), leczenie bez uprawnień, pranie brudnych pieniędzy.

Sąd uwolnił Zygmunta B. z tych trzech ostatnich, bowiem: dwie mogły mieć zastosowanie tylko wobec kogoś, kto naprawdę jest lekarzem. A co do prania brudnych pieniędzy, nie udało się w toku procesu ustalić ich źródła. Prawdopodobnie pochodziły z przestępczej działalności, ale prokuratura tego nie weryfikowała.

Q K

3

o

m  
a

W M  
isa  
Si  
53 c-3

O

dezwał się dzwonek u furtki. Profesorowa wyszła na ścieżkę prowadzącą 0(j jej willi między rabatami. Był słoneczny lipcowy ranek i kobieta z uśmiechem wypatrywała, któż to ją niespodziewanie odwiedza w tej podwarszawskiej arkadii Koło parkanu stał młody mężczyzna w skórzanej czarnej kurtce, obok niego moto cykl harley. Ktoś od Magdy\*? - idąc w kierunku furtki pomyślała o córce, która na stałe mieszkała w Niemczech.

Nieoczekiwany gość miał arogancką, butną minę. Bąknął swoje nazwisko, p0 czym zatoczył ręką szeroki łuk w kierunku lewej części ogrodu, mówiąc: „Jestem nowym właścicielem tej nieruchomości, jutro będę odmierzać swoją część, radzę nie przeszkadzać, bo ze mną nie wygracie”. I chciał otworzyć furkę.

W tym momencie podszedł do ogrodzenia Jan G., 78-letni emerytowany profesor politechniki. Uprowadził intruza, aby nie robił następnego kroku, bo może się to źle skończyć.

Gdy psy leniwie podniosły się ze swych legowisk, harleyowiec szybko odjechał ale wkrótce zjawiał się z geodetą. Wtedy profesor wezwał policję i zażądał od intruza dokumentu potwierdzającego, że rzeczywiście posesja jest jego własnością. Młody mężczyzna okazał tylko akt notarialny na część parceli, w którym - co profesor po dokładnym obejrzeniu zauważył - numer repetytorium na stronie pierwszej nie zgadzał się z numerem na ostatniej. Nie był to oryginał, lecz kopia. Zawiadomiona policja kazała najeźdźcom opuścić teren.

Profesorowa zatelefonowała do córki - niech ratuje rodzinne gniazdo. Ojciec jest załamany, przecież na kupno tej parceli i budowę domu wydał oszczędności całego życia.

Do przyjazdu Magdy Jan G. już trochę rozeznał się w nowej sytuacji. Przede wszystkim, sprawdził wpis parceli do ewidencji gruntów w gminie - z przerażeniem zobaczył, że obok jego nazwiska jako właściciela domu i połowy nieruchomości, druga część jest przypisana do spadkobierców Ferdynanda Ludwika Króla\* - Jana Króla i jego zamężnej siostry Jadwigi.

Profesor zawiadomił prokuraturę o popełnieniu oszustwa. Przesłuchano odpowiedzialną za wpisy urzędniczkę. Stwierdziła, że w 2001 roku zgłosił się do gminy znany warszawski adwokat z wnioskiem o ujawnienie w ewidencji gruntów jako nowych właścicieli rodzeństwa Królów, spadkobierców Erwina - jedyne go brata Ferdynanda Ludwika Króla. Mecenas przedstawił dokumenty: postępowania spadkowe i osobliwe pismo z sądu ksiąg wieczystych, gdzie w pierwszym akapicie potwierdzono zniszczenie przedwojennej księgi wieczystej nieruchomości, którą zakupił w 1936 roku Ferdynand Ludwik Król, a w drugim podaje treść owego nie istniejącego wpisu.

Innych dokumentów, stwierdzających czarno na białym co naprawdę dziedziczą Królowie, nie było.

Potem wypadki potoczyły się szybko. Po złożeniu przez profesora zawiadomienia o przestępstwie, sporna część parceli została błyskawicznie odsprzedana. Jak się

później okaże, za jedną trzecią wartości i z wpisaną hipoteką. Zakładanie księgi wie- O  
czystej dla nowej właścicielki, Beaty T., trwało zaledwie trzy dni.

Następnie jej adwokat wezwał pismem procesowym Jana G. do „wydania nieru- Q  
chomości w ciągu pięciu dni; w przeciwnym razie wystąpi z powództwem o eks-ct;  
misję i odszkodowanie”. Profesor wytropił, że nekający go mecenasi to ta sama ^  
? ? ?

kancelaria. A harleyowiec, który zamierzał kupić od Beaty T. ową działkę, jest wła- ?4  
ścicielem dużej agencji nieruchomości w Warszawie.

. H  
ex

- Wszystko się wyjaśni, odkreśli, dajcie mi tylko trochę czasu - Magda pociesza załamanych  
rodziców i zaczyna przeglądać domowe archiwum. Do tej pory niewiele wie- ^ działa o historii  
rodzinnego domu. Była przekonana, że stoi na jednej dużej działce. \*2j Sprowadziła się do niego,  
gdy miała kilkanaście lat, bo choć ojciec kupił parcelę ^ w 1975 roku, czyli zaraz po urodzeniu się  
jedynej córki, budowa domu ciągnęła się -1 do 1992 roku.

- Tato, nie mogę znaleźć w twoich papierach dokumentu kupna - to było pierwsze  
zaskoczenie Magdy.

Profesor dysponował wyciągiem z księgi wieczystej na pół parceli. Co do drugiej części  
(faktycznie granicy między nimi nie było) pokazał umowę, spisaną na kratkowanej kartce papieru z  
datą 15 września 1975 roku:

„Niniejszym zaświadczam, że sprzedałam p. doc. dr. Janowi G. (...) nieruchomość w ... położoną  
przy ul. (...) obejmującą działki leśne nr 392 i 394 wraz ze wszystkim, co się na nich znajduje...  
(dalej jest informacja, że działka nr 392 ma księgę wieczystą i w oparciu o nią nastąpiło przeniesie  
własności. Natomiast sytuacja działki o numerze 394 jest bardziej skomplikowana).

„Wobec braku pomiarów geodezyjnych, które zaginęły z ksiąg hipotecznych zaznaczam, że  
sprzedana nieruchomość ogrodzona jest siatką drucianą częściowo zniszczoną i graniczy z... (tu  
szczegółowy opis). Zaznaczam, że teren ten dziedziczę po mojej siostrze Janinie z domu Z. Podpis -  
Stanisława K.”.

- Tato, czyli tę część naszego ogrodu, gdzie nie ma zabudowań kupiłeś nieformalnie?!

- Nie mogłem inaczej. Trudno było parcelę rozdzielać. Miały wspólny ogród, płot, pośrodku jedną  
furtkę. Wszyscy w okolicy wiedzieli, że całość należała do Janiny Z. Kupowałem od jej siostry, a  
jakimi drogami działka trafiła w jej ręce, nie wnikałem. Zapłaciłem za wszystko 190000 zł,  
wówczas duże pieniądze. Podatek gruntowy płaciłem jeden, myślałem, że jest od całości. W gminie  
okazało się, że tylko od tej części, na której stoi nasz dom.

Magda jedzie do Archiwum Państwowego m.st. Warszawy. Udaje jej się potwierdzić informacje,  
że w 1936 roku tę nieruchomość zakupił od hrabiego Branickiego niejaki Ferdynand Ludwik Kroi.  
Niestety, księga wieczysta zaginęła. Z aktu

333

kupna sporządzonego przez notariusza Adama Branickiego wiadomo, że nowy wła-ściciel mieszkał  
w Warszawie (jest podana ulica). Więcej informacji typu: data urodzenia, imiona rodziców nie  
zamieszczono.

Magda pyta ojca, czy słyszał od siostry Janiny Z. o Ferdynandzie Królu. Nigdy Ponownie udaje  
się do gminy. Chce wiedzieć, skąd zjawili się spadkobiercy. Okazuje się, że dokumenty dotyczące  
dziedziczenia przyszły z Dolnego Śląska. Trop prowadzi do sądów w województwie dolnośląskim.

Trzeba by zobaczyć te akta. Dla Magdy to trudna wyprawa, bowiem dopiero co przeszła ciężką  
chorobę. Ale determinacja w dotarciu do prawdy dodaje jej sił.

Zatem - kierunek Wrocław.

? ? ?

Musi się przekopać przez akta sądowe gromadzone od dziewięciu lat.

Zaczyna się od tego, że w 1993 roku Sąd Rejonowy dla m. Wrocławia Wydział Cywilny

pozytywnie rozpoznał sprawę z wniosku Jadwigi Kroi o stwierdzenie nabycia spadku po mężu Erwinie zmarłym 20 lat wcześniej.

Żona Erwina umiera w 1995 roku. W tym samym roku jej dzieci - Jadwiga i Jan zgłaszają we wrocławskim sądzie, że ich ojciec miał jedyne brata Ferdynanda Ludwika. Chcą odtworzyć krewnemu akt urodzenia, gdyż USC we Wrocławiu z niewiadomych przyczyn odmówił.

Wnioskującym wiadomo, że stryj Ferdynand zmarł w czasie wojny. Brak jednak jakichkolwiek na to dokumentów. Mają tylko zaświadczenie z USC w B. pod Łodzią, że akt urodzenia Ferdynanda Ludwika Króla nie istnieje. A oni twierdzą, że stryj na pewno się tam urodził.

Dochodzi do rozprawy. Pani Jadwiga (z zawodu nauczycielka, co w oczach sędziego dodaje jej wiarygodności) podaje, że po wojnie rodzina bezskutecznie szukała Ferdynanda. Nie wie, czy był żonaty. Jej brat Jan nigdy nie widział stryja.

Tylko na podstawie zeznań wnioskodawców i aktu małżeństwa dziadków, bez okazywania jakichkolwiek dowodów potwierdzających istnienie Ferdynanda Ludwika Króla, sąd uznał sprawę za dostatecznie wyjaśnioną. Ustalono treść metryki Ferdynanda: urodzony 08.05.1905 r. w B. Imię ojca: Gustaw Adolf; imię matki: Julianna. Nazwisko panieńskie matki: Buff.

Rok później Jan i Jadwiga z pomocą warszawskiego adwokata specjalizującego się w odzyskiwaniu kamienic w Warszawie, występują do Sądu Rejonowego w K. z wnioskiem o uznanie za zmarłego Ferdynanda Ludwika Króla.

Jan Kroi zeznał na rozprawie, że z Ferdynandem miał kontakt tylko we wczesnym dzieciństwie. Dokładnie pamiętał, że stryj mieszkał w Warszawie, podał nazwę ulicy. W rodzinie mówiło się, że ten krewny do końca życia pozostał kawalerem. Chyba był na wojnie; rodzice opowiadali, że walczył na wschodzie, a potem, podobnie jak Erwin, w armii Andersa. Później ślad po stryju zaginął. Jan pamięta, że ojciec

334

szukał swego brata zaraz po wyzwoleniu, również za pośrednictwem Czerwonego Krzyża - ale bezskutecznie.

Jadwiga ostatni raz widziała stryja tuż przed napaścią hitlerowców. Od ojca wiedziała, że spotkał się z Ferdynandem w czasie wojny na terenach radzieckich.

Sąd nakazał zamieścić w „Kurierze Polskim” wezwanie do zaginionego Ferdynanda Ludwika Króla rodem z B., aby się zgłosił w ciągu trzech miesięcy, bo w przeciwnym wypadku zostanie uznany za zmarłego. Gdy upłynął stosowny termin, sąd uznał sprawę za wyjaśnioną: Ferdynand Ludwik Kroi zmarł 9 maja 1946 roku o godzinie 24. Taką datę wpisano do aktu zgonu.

Magda wertując akta sądowe zauważyła, że dane osobowe Erwina są rozbieżne z przedstawianymi w akcie urodzenia Ferdynanda, stworzonym w 1995 roku. Erwin ma matkę Juliannę Słowińską, ojca Jana Króla. Ferdynanda natomiast urodziła Julianna Buff, a jego ojcem jest Gustaw Adolf. Mimo to sąd uznał Ferdynanda za członka „tych” Królów.

Po tym orzeczeniu w sprawie nastąpiła cisza. Krewni jakby się zadowolili samym aktem zgonu, nie zrobili następnego kroku. Dopiero w 1999 roku od Jadwigi i Jana wpłynął do Sądu Rejonowego w K. osobliwy wniosek - o zmianę danych Erwina Króla.

Imię jego ojca zostało poprawione z Jana na Gustawa Adolfa, nazwisko panieńskie matki, z Słowińskiej na Buff..

Jak to uzasadniono? W protokołach z rozpraw nie ma wyjaśnienia. Sąd, mimo rażącej rozbieżności, uznał obu mężczyzn za braci z tej samej matki i ojca.

Od tego momentu sprawa spadkowa ruszyła z kopyta.

W maju 2000 roku Jan Kroi zeznał przed sądem, że jego ojciec, choć mieszkał na drugim końcu Polski, w celu odzyskania nieruchomości kilkakrotnie jeździł do podwarszawskiego miasteczka.

- W latach 90. - wspominał - ja też kilka razy się tam wybrałem. Parcela po stryju to właściwie kawałek lasu. Ale oddzielnie ogrodzony, z bramą wjazdową. Działka sąsiednia, na której znajdował się budynek mieszkalny, była tuż za płotem. Kiedyś zadzwoniłem do gminy i uzyskałem potwierdzenie, że jedynym właścicielem figurującym w ewidencji gruntów jest Ferdynand Ludwik

Kroi.

Trzy miesiące później sąd w K. uznał sprawę za dojrzałą do rozstrzygnięcia: spadek po Ferdynandzie dziedziczą jego jedyni krewni, Jadwiga i Jan. Jako dowody załączono postanowienia spadkowe po Erwinie, jego żonie, odpisy aktów urodzenia Ferdynanda i jego brata Erwina.

Na mocy tego prawomocnego orzeczenia, adwokat spadkobierców wystąpił do podwarszawskiej gminy o wpisanie do ewidencji gruntów prawowitych właścicieli parceli: Jana Króla i jego siostrę Jadwigę .

Profesor i jego rodzina nadal o niczym nie wiedzieli.

???

335

f~4

Magda postanawia na stałe przeprowadzić się do Warszawy. Trzeba pomóc stare mu ojcu w sprawach sądowych. Wprawdzie harleyowiec więcej już się nie pokazał,

--T—j i— -"T y"»"m|

ale dziewczyna nie może spać spokojnie. Przecież gdzieś na Dolnym Śląsku toczy się przed sądem proces, w którym jacyś ludzie twierdzą, że należy im się połowa ogrodu rodziców (tak naprawdę już nie są „jacyś” - poznała ich na rozprawach w K. Jan Kroi, mówiąc przed sądem o Ferdynandzie Ludwiku Królu, raz po raz wyrażał się o nim „kochany stryj Fredzio”, a i w rozmowie z Magdą na wspomnienie F.L. Króla używał tego pieśczętliwego zdrobnienia).

Za namową córki emerytowany profesor wystąpił do Sądu Rejonowego dla War-szawy-Praga Południe o stwierdzenie, że nabył sporną działkę przez zasiedzenie. Trzeba długo czekać na rozpoczęcie procesu. Tymczasem - jest rok 2005 - stan zdrowia profesora się pogarsza. Musi używać wózka inwalidzkiego. Przed sądem reprezentuje go córka.

Na rozprawę o zasiedzenie stawia się Jan Z. od urodzenia mieszkający w tej samej miejscowości, co profesor. Świadek jest kuzynem nieżyjącej już Janiny Z., której siostra sprzedała profesorowi sporną parcelę. Opowiada, że jego ciotka i Ferdynand Ludwik Kroi byli przed wojną zaręczeni, zamierzali się pobrać. Zachowało się ich zdjęcie ze spaceru po Warszawie: ona młodzianka, o prezencji panienki z dobrego domu (szary kostium, biała bluzka z kołnierzykiem zapiętym pod szyję, krótkie skręcone włosy, w sam raz do noszenia beretu), siedzi na ławce obok pani w średnim wieku, ubranej równie nobliwie. Może to jej matka? Dziewczyna uśmiecha się lekko, jej rozmarzone spojrzenie skierowane jest przed siebie. On stoi obok i patrzy tylko na nią. Smukły, z początkami łysiny, przystojny.

Nim jednak doszło do ślubu, w 1936 roku kupili sąsiadujące ze sobą dwie nieruchomości. Ogrodzili wspólnym płotem, kazali zrobić jedną bramę. To miało być ich siedlisko.

Potem wybuchła wojna. Ferdynand wstąpił do Wehrmachtu. Na odchodne powiedział narzeczonej, że jeśli nie wróci, jego działka należy do niej. Pożegnali się i od tej pory słuch o nim zaginął.

Po wyzwoleniu Janina założyła rodzinę, zmieniła nazwisko. Nie szukała przedwojennego narzeczonego. Może nie mogła mu wybaczyć hitlerowskiego munduru? Aż do swej śmierci w 1956 roku zarządzała całą parcelą. Następnie nieruchomość przejęła jej siostra Stanisława R. Postanowieniem sądu z 1974 roku stała się jedyną jej właścicielką.

A dlaczego w latach 50. nie uregulowano praw spadkowych? Zdaniem Jana Z. na przeszkodzie stała antykomunistyczna działalność członków jego rodziny zaraz po zakończeniu wojny. Poza tym - brat Janiny walczył w dywizjonie 301 i pozostał w Anglii. Te fakty „obciążały” obie siostry, wołały nie przypominać się ówczesnej władzy.

- Czy możliwe było - dociekał sąd - aby siostra pani Janiny sprzedała profesorowi dwie działki jako swoje, choć miała prawa tylko do jednej?

- Nasza matka - zeznawy dorosłe dzieci pani R. - była kobietą o wysokim morale. Na pewno wzięła pieniądze tylko za jedną nieruchomości, tę z księgą wieczystą. g

Magda nie była zbyt zbulwersowana mijaniem się z prawdą potomków Stanisławy R., oczywistym dla jej rodziców; wszak widziała pisemne jej oświadczenie o zbyciu dwóch nieruchomości i wycenę sprzedawanych parceli. Była pewna, że ojciec, płacąc 190 000 zł, kupił całość. Dla niej istotne było to wszystko, co po raz pierwszy usłyszała o Ferdynandzie Ludwiku Królu, a mianowicie, że wstąpił do armii niemieckiej. Czy w tej sytuacji rzekoma rodzina z Dolnego Śląska „stryjka Fredzia” mówiła prawdę? C/3

-? ? ? fc!

Poszukiwania zaczyna od internetu. Jako informatyk porusza się tam z dużą biegłością. Znajduje drzewo genealogiczne rodu Królów. Na jednej z gałęzi rodowych U widnieje Ferdynand (bez drugiego imienia) urodzony w 1899 r. w W. koło Grodziska Mazowieckiego. - Skoro Ferdynand był w Wehrmachcie - zastanawia się Magda - to powinnam odnaleźć więcej informacji o nim w bazach archiwów niemieckich.

Wpisuje do wyszukiwarki interesujące ją hasła w różnych wersjach i dowiadyuje się, że niejaki Ferdynand Kroi, żołnierz hitlerowskiej armii, został pochowany w Warszawie, w zbiorowej mogile na Cmentarzu Północnym. Jedzie tam. Odszukuje nazwisko: Ferdynand Kroi ur. 1899, zmarł w 1944. Trapi ją niepewność, czy ten Ferdynand, którego odnalazła, miał na drugie Ludwik. Ponieważ archiwa mieszkańców W. znajdują się w Grodzisku Mazowieckim, tam szuka aktu urodzenia Ferdynanda. Dociera do metryki (po rosyjsku), a w niej, cennej informacji: nie miał brata, tylko siostry! A co najważniejsze, na drugie dostał na chrzcie Ludwik. Tłumaczy dokument na polski i do sprawy o zasiedzenie dołącza sugestię, że w postępowaniu spadkowym doszło do oszustwa. Sąd Rejonowy w Warszawie ignoruje te dowody, tłumacząc, że rozprawa dotyczy zasiedzenia, a nie postępowania spadkowego. Sąd uznaje, że profesor działał w złej wierze. Wprawdzie nawet tzw. zła wiara umożliwia zatrzymanie własności, ale musiałyby minąć 30 lat od przejęcia działki. A Janowi G. brakowało roku, aby znalazł się w takiej szczęśliwej sytuacji. Zasiedzenie zostało bowiem przerwane przez Beatę T., gdy wystąpiła z powództwem do profesora o wydanie nieruchomości.

Sąd Rejonowy w Warszawie oddalił wniosek profesora o zasiedzenie. W uzasadnieniu stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że Ferdynand Ludwik Kroi zmarł 6 maja 1946 roku, spadek po nim odziedziczył jedyny brat Erwin, a następnie jego dzieci Jadwiga i Jan. W 2002 roku założyli oni dla tej części parceli księgę wieczystą. Rok później dokonano wpisu aktem notarialnym. Następnie rodzeństwo Krolow odsprzedało działkę Beacie T. Miało do tego prawo, wszak

357

profesor w żadnej mierze nie był właścicielem drugiej części parceli, bowiem nig. dy za nią nie zapłacił.

Magda wnosi apelację - sprawa ponownie wraca do sądu rejonowego „ze względu na bardzo dużą ilość dowodów wskazujących na możliwość podstawienia spadkobierców”. Ale czekanie na rozprawę to już nie miesiące, lecz lata.

Córka profesora nie siedzi beczynnie. Postanawia nadal zbierać informacje o Ferdynandzie.

Następny krok wykonuje całkowicie w ciemno, pod wpływem impulsu: a może ten Ferdynand studiował przed wojną na Politechnice Warszawskiej? Ponieważ sama jest absolwentką tej uczelni napisała, jak do swoich, czego szuka.

Po tygodniu odzywa się telefon. - Mamy takiego - mówi chętna do pomocy archiwistka, ale on nie skończył studiów. Zachowało się 7 podań o urlopy dziekańskie i ponowne przyjęcie. Z

zyciorysami. Początkowo student Kroj pięknie je kaligrafował, z biegiem lat stracił tę umiejętność.

Magda starannie ogląda pożółkłe papiery. Porównuje sposób stawiania liter z podpisem Ferdynanda Ludwika Króla na akcie kupna parceli od notariusza Branickiego. Widzi duże podobieństwo. Miarodajnie jednakże mógłby się wypowiedzieć tylko grafolog.

W międzyczasie przychodzą z Bundesarchiv dokumenty Ferdynanda Ludwika Króla z jego zdjęciem i szczegółowymi informacjami: Syn Ludwika i Katarzyny Haebe, ur. 11.01.1899 r. w W., chrzczony w tamtejszej parafii ewangelicko-augsburskiej. Miał tylko siostry: Joannę, Apolonię, Amalię, Adolfinę. W latach 1910-1915 uczęszczał do szkoły realnej w Warszawie. W latach 1916-1918 uczył się w Charkowie, następnie studiował na Politechnice Warszawskiej. Wówczas mieszkał kolejno przy ulicach (...). Wiadomo też, jaki miał wzrost (164 cm), wagę (60 kg), kolor oczu (szare), uszczerbki w zębach.

Natomiast w danych z Deutsche Dienststelle podana jest data, miejsce i przyczyna śmierci Ferdynanda Ludwika Króla, strzelca wyborowego z niemieckiego batalionu policyjnego kompanii Monnek: 02.08.1944 r., na ul. Górnośląskiej w Warszawie, w czasie walki z powstańcami.

Zatem wszystkie dane osobowe Ferdynanda z archiwów polskich, niemieckich, z Politechniki Warszawskiej i aktu urodzenia - zgadzają się.

Magda dociera do przedwojennej księgi wieczystej kamienicy na warszawskim Mokotowie, gdzie przed wojną mieszkał Kroj. Niestety, takie nazwisko tam nie figuruje, choć ten adres Ferdynanda widnieje w akcie notarialnego zakupu nieruchomości od hrabiego Branickiego. Wypytuje o wojenne losy budynku w Muzeum Powstania Warszawskiego. Wiadomo tylko tyle, że mieściła się tam od 1939 r. główna siedziba gestapo.

???

338

Na rozprawie o zasiedzenie córka profesora porównuje dane osobowe „jej” Ferdynanda z danymi przedstawionymi przez spadkobierców. Na swój użytek, tego drugiego, z odtworzoną w sądzie metryką i aktem zgonu, nazywa fantomem. Wygląda to tak:

Ferdynand nr 1 (ten od Magdy) urodził się 11.01.1899 r. Ferdynand fantom - 08.05.1905 r. Pierwszy w W. na Mazowszu, drugi w B. woj. łódzkiej. Imiona rodziców tego pierwszego: Ludwik, Katarzyna. Drugiego - Gustaw Adolf i Julianna. Nazwisko panieńskie matki u pierwszego: Haebe. U fantoma - Buff.

Pierwszy miał wyłącznie siostry, drugi, jak podają rzekomi spadkobiercy, tylko brata Erwina. Pierwszy studiował na Politechnice Warszawskiej; co do wykształcenia fantoma zabiegający o spadek nie mają żadnej wiedzy.

Gdy Niemcy zajęli Polskę, pierwszy służył w Wehrmachcie; drugi, jak sugeruje jego rodzina, był w armii Andersa.

Pierwszy zginął 02.08.1944 r. w walce z powstańcami na ulicy Górnośląskiej, drugi - 09.05.1946 r., miejsce śmierci nieznanne.

Pierwszy ma grób na Cmentarzu Północnym w Warszawie; co do drugiego nie ma w tym względzie żadnych danych (kochająca rodzina nie zadbała o postawienie stryjkowi chociaż krzyża?).

Magda zadaje na rozprawie pytania:

Czy mogło istnieć dwóch Ferdynandów Ludwików Królów o tym samym adresie w Warszawie, równocześnie kupujących od hrabiego tę samą nieruchomość? Dlaczego od pięćdziesięciu dwóch lat nikt nie interesował się sporną dziś nieruchomością? Dlaczego Erwin Kroj, skoro od roku 1945 był przekonany, że ma parcelę po nie żyjącym jedynym bracie (rzekomo oglądał ją przez płot) nie odtworzył aktu urodzenia Ferdynanda, ani nie przeprowadził postępowania spadkowego?

Na dowód, że Ferdynand kupujący od Branickiego ziemię w owej podwarszawskiej gminie to ten sam, który wcześniej pisał podania o urlopy dziekańskie na Politechnice, Magda okazuje na rozprawie 6 dokumentów z archiwum uczelni. Adwokat strony przeciwnej wybiera dwa pierwsze,

pisane kaligrafią. Na ich podstawie grafolog nie może stwierdzić, czy litery na pismach studenta i na akcie notarialnym nakreśliła ta sama osoba. Magda nie daje za wygraną i występuje o wykonanie ekspertyzy wszystkich dokumentów z politechniki i aktu notarialnego do wybitnego grafologa, biegłego sądowego prof. Tadeusza Tomaszewskiego z Uniwersytetu Warszawskiego. Sąd wniosek o powołanie tego specjalisty ignoruje; profesor wykonał więc obszerną, liczącą 18 stron ekspertyzę na zamówienie prywatne.

Konkluzja jego badań: wszystkie teksty „zostały nakreślone przez tego samego wykonawcę”.

Ekspertyza jeszcze nie wpłynęła do sądu, gdy Jan Kroi oznajmia na rozprawie, że jego zdaniem było dwóch Ferdynandów Ludwików o tym samym nazwisku. I on dochodzi spadku po urodzonym w B. Skoro profesor Jan G. doszukał się właściciela

339

rodem z W., to znaczy, że spór toczy się o dwie różne osoby. Zatem rodzina Magdy

Q nie ma w sprawie interesu prawnego.

W" Takie stanowisko zajął też sąd.

Ale Magda nie poddaje się. Aby udowodnić, że drugiego Ferdynanda Ludwika

W Króla nigdy nie było, zaczyna poszukiwania genealogiczne od strony Erwina i jego rodziny.

„Czepia się” dwóch informacji, które podał w sądzie Jan. Otóż na pytanie, dlaczego niektóre dane osobowe jego nieżyjącego już ojca we wniosku spadkobierców z 1999 roku były inne niż w pierwotnej metryce wyjaśnił, że Erwin sfalszował za życia swoje dane, chciał w ten sposób zatuszować przed służbami bezpieczeństwa pobyt w Anglii.

Ponadto, Jan przedstawił akt małżeństwa Erwina z parafii rzymskokatolickiej z Wyszogrodu.

Magda jedzie zatem do Wyszogrodu, gdzie Erwin Kroi przed wojną brał ślub i gdzie urodziła się dwójka jego dzieci: Jan i Jadwiga. Dzięki pomocy kierowniczkii USC odnajduje kopię aktu małżeństwa, akty urodzeń dzieci. W księdze parafialnej nie ma wzmianki, że nastąpiła zmiana obrządku.

Od dyrekcji Szkoły Podstawowej w Wyszogrodzie dowiaduje się, że Erwin miał, owszem, brata - ale Gwidona, a nie Ferdynanda. Pojawia się kolejna zagadka; w 1958 roku Gwido, podobnie jak Erwin, zmienił sobie dane w akcie urodzenia. Od tej chwili nazywa się Kroi. A matka jest z domu Sowińska. Dlaczego? Trudno znaleźć wyjaśnienia dla tych decyzji. Zapewnienia Jana Króla, że jego ojciec chciał zatuszować pobyt w armii Andersa, nie trzyma się logiki, gdyż Erwin w księdze meldunkowej podawał jako poprzednie miejsce zamieszkania Anglię. Niczego nie ukrywał.

Magda zwraca się do Ministry of Defence w Anglii (gdzie zachowało się archiwum żołnierzy Andersa) o ujawnienie jej dokumentów Erwina Króla. Otrzymuje odpowiedź, że człowiek, o którego jej chodzi, służył w Wehrmachcie, a wyjechał do Anglii dopiero po wojnie, po wyzwoleniu przez Andersa żołnierzy niemieckich zamkniętych w obozie jenieckim we Włoszech.

Jeszcze jedno oświadczenie Jana złożone na sali sądowej nie wytrzymuje weryfikacji: że Erwin po wojnie szukał brata Ferdynanda przez PCK. Anna dostaje z tej instytucji odpowiedź na piśmie: „W imiennej ewidencji spraw prowadzonych przez PCK takie zgłoszenie nie figuruje”.

???

W siódmym roku walki córki profesora o zachowanie rodzinnego gniazda, zaczęły się pojawiać pierwsze sukcesy.

Przede wszystkim państwo G. wygrywają sprawę o zasiedzenie.

Ale są i przegrane. Jak ta przed Sądem Rejonowym Warszawa-Praga o uchylenie aktu urodzenia Ferdynanda (powstałego w wyniku zabiegów Jana i Jadwigi Królów).

340

po półtorarocznym czekaniu na pierwszą rozprawę, Magda wysłała do sądu prośbę O  
0 przyspieszenie terminu ze względu na kalendarz wokand w kwestii postępowa- jsq nia  
spadkowego po Ferdynandzie Ludwiku Królu. Całkowity brak odpowiedzi skłó- Q nil ją do



złożenia skargi do prezesa sądu. W rewanżu jej wniosek o uchylenie aktu urodzenia F.L Króla został całkowicie oddalony na posiedzeniu niejawnym.

W uzasadnieniu napisano, że podnoszone uwagi, jakoby Ferdynand urodził się {SS} z innych rodziców, w innej miejscowości i innego dnia to nic innego, jak „drobne uchybienia”. Ponadto sędzia nie wiedział, który akt ma być w końcu uchylony i zasugerował drogę administracyjną prostowania ewentualnych błędów popełnionych w czasie procesu sądowego. CO

Natomiast złożony w Sądzie Rejonowym w K. na Dolnym Śląsku wniosek o uchylenie postępowania spadkowego został oddalony „ze względu na brak interesu prawnego ze strony prof. G.”. Orzeczenie wydała ta sama sędzia, która w roku 1996 roku uznała Ferdynanda Ludwika Króla rodem z B. za zmarłego. Magda złożyła w imieniu swego ojca apelację. ^

Zawiadomiła też o całej aferze z wydarciem majątku jej rodziców przez podstawionych spadkobierców Prokuraturę Rejonową w Warszawie. Po kilkakrotnych interwencjach zainteresowano się w końcu tą sprawą.

Również Prokuratura w Kamiennej Górze rozpoczęła śledztwo, po zgłoszonym przez Magdę zawiadomieniu o przestępstwie spadkowym popełnionym przez Jana

1 Jadwigę Królów, którzy „zapomnieli” o istnieniu brata Gwidona.

Choć nikt już nie zabierze ogrodu - dumy profesorowej G., Magda nie odłożyła jeszcze na półkę swych detektywistycznych tropów. Na portalu „Nasza klasa” odkryła córkę Gwidona Króla. Dorosła dziś kobieta kategorycznie zaprzecza istnieniu w jej rodzinie Ferdynanda.

Zdobyła też metryki dzieci Julianny z domu Buff i Augusta Karola Króla. Są to: Natalia ur. w 1901 roku; Artur ur. w 1903 r. i Alfred ur. 1905 r. Wbrew temu, co Jan i Jadwiga Królowie twierdzili w sądzie, nie było Ferdynanda! No i Erwina.

\* Nazwiska zostały zmienione

Er\*

co

co

co

I 1

P

iacii pan podatki? - pyta w czasie procesu pruszkowskiego gangu adwokat innego oskarżonego. - Nie pamiętam.

- Ale PIT-y wypełniał pan?

- Coś tam było, gdy fikcyjnie zatrudniłem się w Mercedes Benz jako szef ochrony.

- To był PIT wyłącznie z miejsca pana zatrudnienia, nie obejmował innych dochodów, prawda? - naciska pełnomocnik.

- No tak.

Mecenas nie ustępuje: - Jaki majątek zgromadził pan na rok 1999 i jakie było źródło jego pochodzenia?

- Nie pamiętam. Mój stan faktyczny, to posiadanie domu w Komorowie, dwóch aut i paru groszy.

- Willa jakiej wartości?...

- Nie jestem rzeczoznawcą.

- To proszę ją opisać. Jaka powierzchnia? Czy są marmury, basen, z czego jest ogrodzenie.

- Czterysta trzydzieści metrów kwadratowych. Jest basen. I marmury.
- Marki samochodów...
  - Mercedesy klasy S. Ale prosiłbym, żeby mnie nie pytano o sprawy finansowe, bo to nie było tematem śledztwa.

Tej rozmowy nie mogli usłyszeć dziennikarze. Odpowiadający na pytania adwokata, to najbardziej znany świadek koronny w Polsce, Jarosław S. pseudonim „Masa”. Nie życzył sobie na sali rozpraw obecności pismaków, jak nazwał reporterów sądowych. Kilkadziesiąt tomów akt przeczytałam, gdy wysłano je do archiwum.

Ze wszystkich przesłuchań przebija wielka pewność siebie, żeby nie powiedzieć buta, Jarosława S. Czuje się bezkarny, wszystkie przestępstwa zostały mu darowane. Wie też, że za nim stoją prokuratorzy, którzy oparli akt oskarżenia przede wszystkim, a właściwie wyłącznie, na zeznaniach tego świadka koronnego. Na sali sądowej on jest najważniejszy. Popisuje się.

- Czy byłby pan łaskaw trochę pogłównkować w sprawie ściągania haraczy przez pruszkowską mafię? - prosi sędzia.

„Masa”: - Gdym był łaskaw pogłównkować, to bym pogłównkował w toku śledztwa.

- Proszę jednak pana, aby pan był uprzejmy pogłównkować.

- W tej chwili, proszę wysokiego sądu, nie jestem w stanie pogłównkować.

A gdy adwokat jednego z oskarżonych (siedzi ich na ławie czterdziestu dwóch - godna reprezentacja gangu pruszkowskiego) pyta: - Na jakiej podstawie pan twierdzi, że oskarżony R. ksywa „Bolo” nakłaniał pana do zabicia N., znanego pod pseudonimem „Dziad”?, „Masa” nie kryje rozbawienia:

- Bo wysłał mnie tam z bronią. Chyba nie po to, abym ustrzelił doniczki w oknie domu pana N.

345

co  
mmm  
>

co  
\*i a  
JSJ

.  
Im  
CO 5\*4

Po czym wpada w irytację: - Proszę wysokiego sądu, pan mecenas mówi niewyraźnie, ja połowy z tego nie rozumiem. Bardzo bym prosił, aby ktoś mi tłumaczył te pytania, bo to jest po prostu bełkot...

I tak to wyglądało każdego z osiemnastu dni, kiedy na pytania sądu i adwokatów odpowiadał Sławomir S. Wyluzowany, bo wówczas nie musiał się bać o swoje życie. Nad bezpieczeństwem cennego świadka koronnego czuwał sztab ludzi.

Na salę rozpraw konwojowało go 96 antyterrorystów. Co kilka minut policjanci mieli obowiązek meldować specjalnym szyfrem zwierzchnikom, do którego miejsca dotarli. Szczegółowo rozpisana operacja przewidywała, że jeśli dowódca konwoju w określonej sekundzie nie połączy się z centralą i nie odpowie na wywołanie, zostanie wszczęty alarm.

Miejsce procesu też nie było zwyczajne. Teren po byłej jednostce wojsk nadwiślańskich został

otoczony betonowym ogrodzeniem, umocowanym zwojami drutu kolczastego. Wybudowano dwie stalowe śluzy. Dziedziniec dla samochodów - „więźniarek” - otoczył ponad 4-metrowy mur. W drzwiach wejściowych zamontowano detektor metalu, tzw. bramkę pirotechniczną. Wszystkie pomieszczenia zostały naszpikowane kamerami. Sala rozpraw miała okna tylko od strony publiczności. Czterdziestu dwóch oskarżonych weszło na salę rozpraw korytarzami pod ziemią - bez kontaktu z publicznością, świadkami, sędziami. Czekwały na nich boksy osłonięte poczwornie klejonymi szybami trzycentymetrowej grubości. Adwokaci mogli porozumiewać się z oskarżonymi tylko przez interkom.

Okolice budynku sądu obstawili policyjni komandosi z kompanii antyterrorystycznej.

Jedyne, na co mogli sobie pozwolić oskarżeni wobec świadka koronnego, to obrzucić go na sali rozpraw jak najgorszymi wyzwiskami.

Z notatek policjantów: W trakcie zeznań świadka koronnego oskarżony S. używał takich określeń, jak: k... i tak będziesz gryzł piach, ch..., zdrajco, zginiesz, ale przedtem cię wyrucham. I wykonywał gest świadczący o chęci wykorzystania seksualnego. Natomiast oskarżony P. wstał z ławy i zaczął krzyczyć do świadka koronnego: - Ty ruro, wczoraj sąd mi zwrócił uwagę, gdy powiedziałem, że „Masa” to bandzior, teraz powiem, że to największy pedał i on wszystkim obciąga”.

???

Od wielu lat żyje w strachu. Jego kolejne mieszkania są kryjówkami, do których jest przeprowadzany w pośpiechu, pod osłoną nocy i gotowych do strzału policyjnych pistoletów. Razem z nim biegną żona i dzieci oraz ich osobisty terapeuta. Miejsce ukrycia, to najpilniej strzeżona tajemnica w programie ochrony świadka koronnego. Adresu nie znają nawet prokuratorzy, którzy chcą go przesłuchać. Dokąd ich dowieziono, dowiadują się na miejscu.

346

Jarosław S. „Masa” nie przeszedł operacji plastycznej, ale ci, którzy widzieli go nie-dawno twierdzą, że jest nie do poznania. Z potężnego mężczyzny - stąd pseudonim Q - został wiór. Schudł kilkadziesiąt kilogramów. Nosi mocno krzaczastą brodę. Ze t>3 swojej kryjówki wychodzi tylko na przesłuchania.

Co jakiś czas wśród niedobitków „Pruszkowa” rozchodzi się alarmująca wieść, że „Masa” krąży po okolicy. Podobno dzwonił do któregoś z gangsterów, pozostawiających jeszcze na wolności. Panika, bo skoro świadek koronny się odzywa, to znaczy, że będzie sypał. Ktoś nawet widział S. rozpartego w ulubionej przez mafię restauracji w Ursusie.

Oficerowie ze sztabu ochrony świadka koronnego śmieją się z tych pogłosek:

- „Masa” nie jest samobójcą. Jeśli chce zadzwonić, jedzie kilkadziesiąt kilometrów od miejscowości, w której akurat ma swoją bazę. Gdy przypadkowo zobaczy na ulicy kogoś, kto go zna, natychmiast zapada decyzja o zmianie adresu kryjówki.

Jego rodzina myślała, że skończy prowadzić życie na walizkach wraz z uprawomocnieniem się wyroku. Sąd Najwyższy oddalił kasację w procesie mafii pruszkowskiej. Przystępcy o pseudonimach „Malizna”, „Bolo”, „Kajtek”, „Parasol” i „Wańka” pozostali w więzieniach, skazani na odsiedzenie sześciu, siedmiu lat. Wyroki zapadły niskie, bo oskarżonym nie udowodniono popełnienia zorganizowanych morderstw.

Ale rola ich niedawnego kumpla nie skończyła się wraz z ogłoszeniem w dzienniku telewizyjnym, że „świadek koronny »Masa« zamknął Pruszków”.

W czasie procesu stało się jasne, że macki najstłynniejszego w Polsce gangu sięgają daleko poza ich główne siedliska. Dlatego S. jest wzywany na inne mafijne procesy toczące się w innych miejscach w Polsce. Grupa pruszkowska była powiązana z podobnymi gangami w Olsztynie, Łodzi, Poznaniu, Trójmieście. Tych rozpraw jest nadal tyle, że dla oszczędności czasu byłego gangstera często wozi się śmigłowcem. Zdarzają się miesiące - twierdzi adwokat skazanego „Bola” - gdy najstłynniejszy świadek koronny nie ma ani jednego wolnego dnia w kalendarzu. - Obwożą go po kraju jak niedźwiedzia w klatce - mówi mecenas.

Czasem sąd korzysta ze zdobyczy najnowszej elektroniki. Na procesie łódzkiej „ośmiornicy” „Masa” zeznawał z wielkiego ekranu, który stanął w sali rozpraw. Podobny sprzęt z kamerą i monitorem ustawiono w utrzymywanym w tajemnicy miejscu pobytu świadka koronnego. Kontakt między obiema „końcówkami” zapewniało cyfrowe łącze telefoniczne.

Nowe dane osobowe S. dostanie dopiero po zakończeniu wszystkich procesów w sprawie pruszkowskiej. Może nawet wtedy zmienić płć. Będzie miał zagwarantowaną pracę lub wyjazd za granicę.

Ale to nieprędko nastąpi. Na razie jest skazany na nieodłączne towarzystwo an-tyterrorystów, nawet posiłki jedzą wspólnie. Dzienna dieta to 40 złotych. S. to nie wystarcza, dokłada ze swojego portfela.

-< ???

Prokuratorzy nie mają wątpliwości, że warto inwestować w najsłynniejszego świadka koronnego, bo wie dużo. Nie tylko rozbił „Pruszków”. To dzięki „Masie” szczeciński sąd poznał tajemnicę zastrzelenia w 1999 r. w Szwecji młodzieńczej Moniki Hanssen Mordercą okazał się Jacek N., „Kato” z gangu pruszkowskiego, prawa ręka bossa szczecińskiego podziemia Marka M., „Oczki”. „Kato” miał zgładzić narzeczonego dziewczyny, gdyż ten, od lat związany z mafią, zamierzał wycofać się z nielegalnych interesów. Ale chybił. Na linii strzału znalazła się Monika. Szczecińscy zleceniodawcy wydali na niego wyrok śmierci. Wynajęli mieszkanie w Niemczech, do którego mieli zwabić przyszłą ofiarę. Wszystkie ściany okleili folią, bo „przy krojeniu - tłumaczyli w sądzie - jest jak w jatce”. Dzięki aresztowaniu „Kato” uratował życie.

„Masa” wsypał też Krystiana. Sz. ps. „Młody Simon”, syna szefa śląskiej mafii. Sprawa dotyczy wydarzenia sprzed lat, kiedy „Młody Simon” był studentem prywatnej Wyższej Szkoły Administracji w Warszawie. Gdy z zajęć wracał do domu w Katowicach, wiózł amfetaminę i marihuanę, kupione od gangstera „Rympałka”. Narkotyki sprzedawano w śląskich dyskotekach, kontrolowanych przez „żołnierzy” Zbigniewa Sz. - „Starego Simona”, ojca owego niepozornie wyglądającego studenta, w rzeczywistości organizatora nowego kanału przemytu narkotyków z Pruszkowa.

Policja już deptała Krystianowi Sz. po piętach, gdy wyjechał za granicę. Wrócił cztery lata po śmierci ojca, który w ramach porachunków z gangsterami zginął od kuli w Będzinie, pod własną knajpą „Zielone Oczko”.

„Młodemu Simonowi” nie groziło więzienie, choć ciążył na nim zarzut handlu narkotykami i udziału w porwaniu biznesmena. Katowicki sąd wystawił mu gwarantujący nietykalność list żelazny. Proces ciągnął się długo, ale nawet po ogłoszeniu wyroku (trzy lata) Krystian Sz. nie trafił za kratki. Każdego popołudnia można go było spotkać w „Zielonym Oczku”, a wieczorem w innych znanych katowickich lokalach. Lubił się bawić, a potem po pijanemu szarżować po ulicach swoim dżipem.

Sąd odraczał skazanemu wykonanie kary, bo: urodziło mu się dziecko albo został jedynym żywicielem rodziny, gdyż konkubina musi spłacać kredyt za mieszkanie, następnie z powodu bólu kręgosłupa.

Dopiero obciążające zeznania świadka koronnego zmusiły sąd do wystawienia „Młodemu Simonowi” nakazu stawiwnia się w mysłowickim areszcie.

Najsłynniejszy w Polsce świadek koronny przyłożył też rękę do uwięzienia tzw. II ligi „Pruszkowa”. Po wyłapaniu i osadzeniu głównych watażków, przyszedł bowiem czas na tych, którzy stali w cieniu bossów: „Bysia”, (szefa podległej „Masie” podgrupy tzw. bryndziaków), „Burzyna”, „Petracha”, „Kotleta” - dwudziestu sześciu bandytów. Zostali oskarżeni o handel narkotykami i bronią. Tym razem prokurator nie miał trudności ze znalezieniem, poza koronnym, innych świadków. Stawiły się ofiary: m.in. dręczony restaurator, u którego gangsterzy za darmo się stołowali (do-

póki nie wpadł na pomysł, aby w tym samym czasie gościć policjantów), właściciel stacji benzynowej, w której od lat tankowali za darmo.

Kilka miesięcy później CBS uderzyło w odrodzony zarząd pruszkowskiej mafii po raz drugi. Został zatrzymany ze swoimi ludźmi Adam D. ps. „Młody Wańka”, syn siedzącego już w więzieniu Leszka D. Prokuratura wysłała do sądu akt oskarżenia przeciwko 57 „pruszkowiakom”. Na tym nie koniec. W czasie przesłuchania „Młody Wańka” ujawnił krajową siatkę nowych powiązań mafii. Oficerowie śląskiego CBS wkroczyli do kilkunastu mieszkań i firm w Piekarach Śląskich, Bielsku-Białej, Opolu, Częstochowie i Warszawie. Zatrzymano 14 osób. Do niejako tradycyjnych już zarzutów doszedł nowy: odrodzona mafia zaczęła wykupywać firmy, które wprawdzie miały złe wyniki finansowe, ale ciągle jeszcze dobrą reputację: płaciły podatki, nie miały zaległości w ZUS-ie, nie figurowały w rejestrze dłużników. W rękach nowych właścicieli-oszustów, przedsiębiorstwa te zerowały na uśpionej czujności kontrahentów. Zamawiały np. drogie meble, uzgadniając za nie odroczone terminy płatności, po czym sprzedawały towar i nie spłacały zobowiązań. Tak między innymi zostały oszukane znana fabryka w Swarzędzu oraz firma Kler.

?

???

„Masa” o mało co nie zmierzył się ponownie na sali sądowej z gangsterami „Pruszkowa”, którzy po odsiedzeniu dwóch trzecich wyroku liczyli już dni do wyjścia.

Zaszły nowe okoliczności. Zbigniew Ziobro pod koniec sprawowania rządów w Ministerstwie Sprawiedliwości niespodziewanie zwołał konferencję prasową, aby ogłosić, że wszczyna śledztwo na podstawie dotychczasowych zeznań „Masy”. Prokuratorzy zadowolili się wyrokami tylko za przestępstwa typowo bandyckie. Nie ruszono innych wątków, zwłaszcza dotyczących powiązań gangsterów z politykami i władzą poprzedniego układu. Również majątki członków mafii są nie zajęte do dziś.

Na konferencji została wyciągnięta na światło dzienne opowieść „Masy” o tym, co zdarzyło się w czerwcu 2000 r., tuż po zaprzysiężeniu go na świadka koronnego: Wywieziony z aresztu w przebraniu antyterrorysty, mógł przez kilka minut pobyc z rodziną we własnej willi w Komorowie, a następnie, razem z nieodłącznymi oficerami z programu ochrony świadka koronnego wsiadł do strzeżonego samochodu, aby dojechać do innej kryjówki.

I wtedy w kieszeni dowódcy odezwała się komórka. „Masa” podsłuchał, jak oficer tłumaczył komuś po drugiej stronie linii, że nie zrobi tego, co mu każą.

O co chodziło? O wywiezienie świadka koronnego na szosę katowicką i pozostawienie go tam samego, bez samochodu. Po co? Żeby wpadł w ręce zdradzonych gangsterów.

Niesubordynowany policjant sprawił, że o dziwnym telefonie dowiedział się ówczesny minister sprawiedliwości, Lech Kaczyński. - Uratował świadkowi koronnemu życie - stwierdził na konferencji Zbigniew Ziobro.

349

I zadał publicznie pytanie: - Komu mogły zaszkodzić zeznania „Masy”?

W atmosferze kampanii przedwyborczej do sejmu zabrzmiało to sensacyjnie. Minister uderzył pięścią w stół, zapłonęły mu w świętym oburzeniu policzki, a obecni na konferencji młodzi reporterzy pospieszenie przygotowali sensacyjnego newsa

Trudno mieć do nich pretensje - minister prokurator generalny ani słowem nie wspomniał, że serwuje odświeżane kotlety.

Jego poprzednik na tym stanowisku Lech Kaczyński (w latach 2000-2001) również zapowiadał obnażenie korupcyjnych układów poprzedniej (lewicowej) władzy z gangsterami. W gazetach padły nazwiska. Skończyło się na przeproszeniach pomówionych, m.in. Zbigniewa Siemiątkowskiego.

Zabiegający w tym czasie o status świadka koronnego „Masa” w swojej długiej spowiedzi przed prokuratorami rzeczywiście ujawnił kilka tego rodzaju spraw. Po paru dniach jednak wycofał się tłumacząc, że to tylko obilo mu się o uszy, podsłuchał rozmowę „starych” (tzw. zarządu „Pruszkowa”) albo ma informacje od osób trzecich. Żeby jednak wiedzieć, co ostatecznie „Masa”

zeznał prokuratorom (a nie było to tematem rozprawy sądowej) informatorzy ministra powinni byli przeczytać akta sprawy pruszkowskiej do końca. Czyli kilkadziesiąt tomów. To wymaga sporo czasu. Następnie należałoby poszukać dalszego ciągu niektórych z tych spraw w stenogramach sejmowych poprzednich kadencji (były wnoszone jako interpelacje), a także na łamach gazet w rubrykach ze sprostowaniami. Są też wątki nierozwikłane do końca, których tajemnice zabrał „zmarły w niewyjaśnionych okolicznościach” do grobu. Wreszcie, należałoby przypomnieć publicznie, że chodzi o domniemane przestępstwa z czasów, gdy resortem sprawiedliwości kierował Lech Kaczyński. Dlaczego wtedy nie została uruchomiona machina sprawiedliwości? Albo w okresie, gdy pod godłem państwa zasiadł prokurator generalny Zbigniew Ziobro, który dawno już mógł nadać bieg doniesieniom „Masy” sprzed lat.

W prokuratorskich zeznaniach Jarosława S. znajduje się na przykład taki trop: - „Ponieważ był problem ze znalezieniem w Warszawie dla „Pruszkowa” dobrze położonego lokalu na nową dyskotekę, spotkałem się z Mieczysławem J. i on powiedział, że może załatwić lokal przez Tyszkiewicza [wówczas przewodniczący Rady Warszawy, z rekomendacji Unii Wolności. Zginął zamordowany przez znajomego o podejrzanej reputacji - red.]. Nie wiem czy Tyszkiewicz wziął łapówkę, ale zapewniliśmy mu 15% udziału w zyskach dyskoteki”.

Gdy Jarosław S. obciążał w śledztwie Mieczysława J., na prokuratorze nie zrobiło to specjalnego wrażenia, gdyż ten „finansista” pruszkowskiego gangu siedział już za kratkami. Został aresztowany pod zarzutem kierowania 15-osobową grupą przestępczą, w której była jego konkubina - Iwona Z., wówczas zastępca dyrektora biura ds. informatyki gminy Warszawa-Centrum. Według prokuratury razem z J. uczestniczyła - posługując się sfałszowanym czekiem na 410000 zł - w oszustwie na szkodę firmy Optimus.

350

Natomiast sprawa Tyszkiewicza odżyła dopiero na kilkanaście dni przed słynną H konferencją ministra Ziobry. Został bowiem zatrzymany Paweł B., jeden z architektów - o tów tzw. układu warszawskiego - samorządowej koalicji SLD-PO rządzącej Warszawą do 2002 roku. B. był burmistrzem Woli, potem zastępcą prezydenta w gminie Centrum. Nadzorował duże przetargi na komputeryzację miejskiego systemu Pj informacji. Tam współpracował z Bogdanem Tyszkiewiczem i z tej racji należał do ścisłego otoczenia ówczesnego prezydenta Warszawy Pawła Piskorskiego. Partyjną karierę zaczynał w Porozumieniu Centrum, partii braci Kaczyńskich, potem związał się z Unią Wolności i Platformą Obywatelską, następnie został bezpartyjny. Z kolei objawił się jako doradca spółki Biuro Miss Polonia; razem z władzami z Ratusza czuwał nad zorganizowaniem w Polsce wyborów Miss Świata.

Minister Ziobro miał problem, gdy zaszła potrzeba wyjaśnienia dziennikarzom, człowiekiem jakiego układu jest aresztowany.

Nie był też nowym wątkiem z zeznań słynnego świadka koronnego o automatach do gry. W 2000 roku, gdy prokuratorem generalnym był Lech Kaczyński, „Masa” ujawnił, że w Warszawie właściciele lokali, którzy chcieli wstawić na salę tzw. jednoręcznych bandytów, płacili „Pruszkowowi” 1000 marek za miejsce i od 100 dolarów miesięcznie, w zależności, ile było tych automatów. Nie wszyscy dystrybutorzy automatów musieli płacić haracz. - „Któregoś dnia - twierdzi S. - »Parasol« wezwał mnie i dał mi listę sześciu firm, które mieliśmy zostawić w spokoju. Powiedział, że są finansowane przez SLD”.

W ciągu ośmiu minionych lat wiele gazet żywiło się tą aferą. Żadne dochodzenie nie zostało jednak wszczęte. „Masa” nie miał wiarygodnych informacji. Ziobro, szukając w archiwach haka na prominentów starego układu, wznicił tylko tumany kurzu.

Niczym nowym nie była zapowiedź kontroli, a może nawet dochodzenia prokuratorskiego w urzędach skarbowych, wyjątkowo niechętnych prześwietlaniu majątków gangsterów. Domagała się już tego, wskazując na wysokie koszty wprowadzenia instytucji świadka koronnego, Barbara Piwnik, minister sprawiedliwości w rządzie Leszka Millera. Bezskutecznie.

Mafijne majątki dawno zostały ukryte przed niepożądanymi kontrolerami; pracował nad tym

sztab wynajętych przez gangsterów prawników i finansowych doradców. Czołowy herszt gangu w Wołominie ps. „Dziad” zwierza się w swej biografii (którą napisał w więzieniu), że urząd skarbowy, owszem, „prześwietlał” go. - „Za każdym razem musieli mi oddać dwa razy tyle podatku, ile zapłaciłem. W końcu przestali mnie wzywać”.

???

- Prywatna inicjatywa - zeznał „Masa” w 2000 roku - chętnie pożyczala u mafii nieograniczone kwoty. Nie wymagaliśmy żyrantów i papierów z banku, ale nie każdy,

351

nawet z listy najbogatszych w Polsce opublikowanej we „Wprost”, mógł takie pie. niądze dostać.

5

.I-I

?-i

Ireneuszowi Sekule, gdy był prezesem Głównego Urzędu Celnego, pożyczali pieniądze z dostawą do domu. Wszyscy w „Pruszkowie” wiedzieli, że prezes jest „na ty” z bossem mafii Wybrzeża - „Pershingiem”. Ale nawet Sekuła musiał kiedyś oddać mafijne pieniądze. Gdy okazało się to niemożliwe, popełnił samobójstwo. Być może, że z czyjąś pomocą.

:

Sekuła był człowiekiem lewicowego układu. To nazwisko przydało się b. ministrowi sprawiedliwości, gdy w doniesieniach „Masy” tropił powiązania gangsterów z postkomunistami. Ale pojawił się pewien problem - „Pruszków”, korumpując ludzi władzy, nie patrzył na ich legitymacje partyjne. Równie zażyła i interesowna jak z lewicowym Sekułą była znajomość „zarządu” z posłem Tadeuszem K. z Radomia (najpierw PC, potem BBWR), założycielem fundacji Bezpieczeństwo, sponsorującej za pieniądze przestępców radomską policję. Gdy rządziła prawica, K., jako członek Politycznego Komitetu Doradczego przy Ministrze Spraw Wewnętrznych wybronił wielu gangsterów przed aresztowaniem. M.in. na prośbę „Pershinga” poręczył za Stanisława M., aresztowanego pod poważnymi zarzutami. Dwa lata później Tadeusz K. zginął w wypadku drogowym pod Puławami.

A jak usytuować w „zbiorowym” układzie stałego bywalca salonów „Pershinga” - niezależnego senatora Gawronika? Zwłaszcza w kontekście jego interesów ze śląskim posłem AWS Markiem Kolasińskim? Z zeznań „Masy” wiadomo, że w 1998 r. Kolasiński był winien senatorowi sporo pieniędzy, sprzedał mu więc swoją firmę Ital-marCa, handlującą głównie winem mszalnym. Obydwaj kontrahenci, a także zasilający ich finansowo „Pershing” od początku potraktowali firmę jako przykrywkę w staraniach o zezwolenie na otwarcie wzdłuż zachodniej granicy sieci placówek, zajmujących się zwrotem podatku VAT. Przekupieni celnicy podbijali fikcyjne faktury z nadrukiem ItalmarCa, według których RP opuściły tysiące kartonów papierosów oraz butelek wódki. Na podstawie tych dokumentów senator otrzymywał dziesiątki milionów złotych tytułem zwrotu podatku VAT.

Dziś z tej trójki żyje tylko dwóch. „Pershing” został zastrzelony pod koniec 1999 roku. Mordercę wynajęli szefowie „Pruszkowa”. Gawronik, skazany na 8 lat więzienia, niedawno wyszedł na wolność. W celi pisał wiersze na poetyckie konkursy dla skazanych. Marek Kolasiński na kilka dni przed wygaśnięciem poselskiego immunitetu umknął przed deptającymi mu po piętach policjantami. Po niespełna roku CBS namierzyło go w słowackim kurorcie narciarskim. Nie pomogły protesty, że jest niewinny. Został skazany nieprawomocnie na 9 lat więzienia i milion złotych grzywny. Powiedział wtedy do dziennikarzy, że padł ofiarą spisku politycznego.

W kolejnym procesie - o wyłudzenie 4 mln kredytu z banku - otrzymał wyrok: 3 lata pozbawienia wolności.

Innych skorumpowanych biznesmenów „Masa” sobie nie przypomina.

3 52

???

ta

W\* oskarżających zeznaniach świadka koronnego znalazło się też nazwisko Andrzej W., oficera z byłego kierownictwa Komendy Głównej Policji, wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną. - „Brał ode mnie pieniądze - zeznał „Masa”, który od 1994 roku jest tajnym informatorem policji - za informacje o przygotowywanych aresztowaniach członków mafii. Kiedyś, nie doczekawszy się mnie w knajpie c/3 „La Cucuracha”, gdzie miałem mu wypłacić dołę, opróżnił butelkę wódki i z kilkoma policjantami podjechał pod mój dom. Żona podniosła słuchawkę i usłyszała: - Otwierać k..., policja! Na monitorze kamery zobaczyła naczelnika W. z pistoletem w dłoni. Usiłowała skontaktować się z komendą, ale W. już wtargnął na posesję, na szczęście wywalił się na schodach i można go było rozbroić”.

O tej historii „Masa” opowiedział na sali sądowej w 2003 roku. Andrzej W. wszystkiemu zaprzeczył.

W zeznaniach świadka koronnego można doszukać się też innych nazwisk funkcjonariuszy policji, którzy byli na mafijnych listach płac. Dziś są już albo na emeryturze, albo zmienili zawód. Gdyby za rządów ministra sprawiedliwości Lecha Kaczyńskiego te doniesienia zostały nagłośnione, może i doszłoby do czystki kadrowej w służbach mundurowych, przynajmniej na Mazowszu. Bo „Masa” opowiadał historie bulwersujące. Niejaki G. z komendy w Pruszkowie, który dorabiał sobie do pensji, biorąc od mafii pieniądze za informacje o akcjach policyjnych, często wypowiadał się w telewizji, jak to bezwzględnie policja walczy z gangsterami. Inny funkcjonariusz o nazwisku H. miał w domu magazyn narkotyków. Nie bał się najazdu policji - jego ojciec był wysokim stopniem oficerem policji w Pruszkowie i zawsze go ostrzegano, żeby schował trefny towar, bo będzie miał rewizję. Kiedyś nie chciało mu się wynieść paczek z amfetaminą, bo miał nimi zastawiony cały pokój, więc wpuścił policjantów do mieszkania, a ci musieli udawać, że nie widzą, o co się potykają.

Na niewiele też przydały się po latach zeznania pomocniczego świadka koronnego w sprawie „Pruszkowa”, Igora Ł. ps. „Patyk”.

Ten zawodowy złodziej samochodów (pochwalił się prokuratorowi, że w ciągu trzech lat ukradł 500 aut o wartości 50 mln zł, m.in. mercedesa posłanki Barbary Blidy) również twierdził, że mafia miała wtyczki w Komendzie Stołecznej Policji. „Patyk” opowiadał o policjantach z komisariatu na Ursynowie, którzy w 1998 r. wywieźli z policyjnej obławy ukrytego w radiowozie członka pruszkowskiej mafii o ps. „Żaba”; o funkcjonariuszu, który, aby dostać się na policyjny „dołek”, gdzie miał za zadanie przerzucić telefon komórkowy zatrzymanej osobie, zgarnął z ulicy przypadkowego przechodnia i osadził go w areszcie; policjancie z Mokotowa, który za 7500 dolarów sprzedał nazwisko świadka incognito i treść jego zeznań.

„Patyk” przyznał się do wręczenia ok. 20000 dolarów łapówki dziesięciu policjantom. Podał obowiązujące w czasie procesu „Pruszkowa” stawki: udostępnienie

353

I/3

i



telefonu komórkowego podczas zatrzymania złodzieja samochodu - 100 doi.; in. formacje o rozmieszczeniu patroli - 100-200 doi.; odstąpienie od skonfiskowania tzw. łamaków (narzędzia do wyłamywania zamków w autach - 200 doi.; informacja, czy jest się na liście poszukiwanych lub podejrzanych - 300 doi.; przerzucenie komórki do celi - 500 doi.; puszczenie wolno po przyłapaniu w kradzionym aucie - 400000 doi.; nierozpoznanie złodzieja podczas tzw. okazania - 2000 doi.; przekazanie informacji o planowanym przeszukaniu: 1000-2500 doi.; nielegalne zwolnienie z policyjnej izby zatrzymań - 10000 doi.; odstąpienie od ścigania - 5500 doi.; informacja, kto jest świadkiem incognito i udostępnienie jego zeznań - 7500 dolarów.

Dla prokuratora smakowity materiał, ale mocno nieświeży. Akurat ci funkcjonariusze, na których donieśli świadkowie koronni, zostali ukarani. Poza jednym wyjątkiem - wspomnianym naczelnikiem Andrzejem W. - były to płotki.

„Masa” scharakteryzował ich, nie owijając w bawełnę: - „Miałem do czynienia tylko z samymi przekupnymi jełopami. Stale siedzieli u mnie w kieszeni. Gdy popiłem do tego stopnia, że nie mogłem utrzymać pionu za kierownicą, wchodziłem w Pruszkowie na komendę, kopałem w dyżurkę i kazałem się wieźć radiowozem na sygnale do hotelu Polonia w Warszawie. Kosztowało mnie to dwójkę (dwa tysiące zł) na łeb”.

???

„Masa” opowiadał dużo i chętnie, świadczą o tym zapisane tomy akt. Ale, czy walcząc o status świadka koronnego zawsze mówił prokuratorom prawdę? Przy takim słowotoku trudno weryfikować każdą informację. Zresztą, z niektórych świadków koronny wycofał się na sali sądowej.

Tak było w znanej sprawie ułaskawienia „Słowika” przez prezydenta Wałęsę. W prokuraturze Jarosław S. opisał rozmowy na ten temat prowadzone w gronie gangsterów, którzy ustalili, że „należy nawiązać kontakt z wysokimi rangą urzędnikami Kancelarii Prezydenta”. „Słowik” miał zebrać na ten cel 150000 dolarów.

Świadek koronny twierdził też, że już po ułaskawieniu „Słowika” odbył się w Aninie bankiet, gdzie najważniejsi z zarządu „Pruszkowa” wznosili toasty za Wałęsę, Falandysza i Wachowskiego. Jednakże, gdy „Słowik” zaprzeczył wszystkiemu w sądzie, „Masa” nagle przypomniał sobie, że tę historię zna tylko ze słyszenia.

Takich wpadek słynnemu świadkowi koronnemu zdarzyło się więcej. Mimo to w kręgach prokuratorskich nie wypada mówić o nim: gangster. A jeśli już, to koniecznie z dodatkiem: „skruszony”.

Ten epitet mocno przylgnął do Jarosława S. - stał się jakby drugim członem jego nazwiska. A przecież „Masa” nie przyszedł do prokuratury na kolanach. I na żadnej z osobiście parafowanych kartek jego wielotomowego zeznania, nie ma pokajania się gangstera. „Masa” zawarł z prokuratorami kontrakt - uratują jego głowę, on za to wyda kumpli od rozbojów. Postanowił ich sypać, bo bał się o swoje życie. Zarząd „Pruszkowa” wydał na niego wyrok śmierci. I to nie były czeze pogroźki.

Oto bieg wypadków:

Koniec listopada 1999 r., gangster „Pershing” odbiera telefon od kupionego przez mafię policjanta. - „Polują na ciebie (funkcjonariusz ma na myśli szefów „Pruszkowa”), lepiej, żebyś nie jechał na narty. „Masa” będzie następny”. Jarosław S. dowiaduje się o tym godzinę później i przerażony od razu dzwoni do gangstera „Malizny”, pytając czy to prawda. - A jak ty k.... uważasz? - słyszy w odpowiedzi.

Piątego grudnia „Masa” dostaje z Zakopanego wiadomość, że przed chwilą na Polanie Szymoszkowej ktoś zastrzelił „Pershinga”, gdy wysiadał ze swego mercedesa. Dziewczyna, z którą przyjechał, 21-letnia studentka ze Szczecina, zaraz po strzałach wyjęła z komórki zamordowanego kartę SIM i przełamała ją, by utrudnić odtworzenie zakodowanych tam numerów telefonów.

„Masa” wpada w panikę. Gdy „Pershing” wyprowadził się z Pruszkowa na Wybrzeże, Jarosław S. był częstym jego gościem, imponowało mu towarzystwo, w jakim obracał się niedawny kumpel od „haraczowania”: artyści, estradowcy. Zarząd „Pruszkowa” orientował się, że „Masa” wiele wie o

lewych interesach „Pershinga”. Z niektórymi jego firmami - pralniami brudnych pieniędzy - jest powiązany. A bossowie chcą właśnie przejąć te interesy. I w drodze do góry pieniędzy usuną każdą przeszkodę. Choćby się nazywała „Masa”.

S. ucieka do znajomych w Bytomiu. 31 grudnia 1999 r. wygarnia go z tej kryjówki warszawskie CBŚ. Zostaje zatrzymany w areszcie pod zarzutem wyłudzenia od właściciela sklepu z elektroniką ok. 500 000 dolarów haraczu. „Masa” jeszcze nie wie, że to tylko pretekst. Choć trochę dziwi się - tylko jeden zarzut, taki błaży? Więcej ma na sumieniu. Ale nie musi długo łamać sobie tym głowy. Wkrótce wszystko się wyjaśnia. W jego celi zjawiają się dwaj prokuratorzy, od pewnego czasu krążący wokół sprawy „Pruszkowa”. To już jest otwarta rozmowa: albo zezna wszystko, co wie o mafii i wtedy dostanie ochronę przed mścicielami, albo wkrótce opuści areszt, ale nikt mu nie zagwarantuje, że nie padnie od kuli zaraz po przekroczeniu więziennej bramy.

Prokuratorzy nie oczekują natychmiastowej odpowiedzi. „Masę” czeka jeszcze wizyta żony. Opowiada mu z płaczem, że gdy jechała z synem odebrany ze szkoły, „starzy” (tak określają między sobą władze pruszkowskiej mafii), gonili ją samochodem. Tym razem udało się zmylić pościg. Ale co zdarzy się jutro?

- Powiedz mojemu adwokatowi, że będę śpiewał - decyduje się gangster.

Warszawski sąd rejonowy zaprzysięga Jarosława S. na świadka koronnego 17 czerwca 2000 roku. Ale wcześniej były jego zeznania. I w ich konsekwencji aresztowania „zarządu” pruszkowskiej mafii. Nie obeszło się bez pewnego falstartu. O czwartej rano „Malizna”, „Żaba” i „Słowik” otrzymują telefon od gangstera „Kajtka”, aby uciekali. Udaje im się wyrwać z obławy. „Masa” komentuje tę nieudaną akcję krótko: - „Policja spier... A mówiłem, żeby postępowali według moich wskazówek”.

Mimo wszystko jest to sukces: pod aresztancki klucz idą najgroźniejsi: „Wańka”, „Bolo” oraz „Parasol”. Całej trójce prokurator stawia zarzut udziału w związku

355

UJ

F>5

o charakterze zbrojnym. Za pozostałymi bossami gangu prokuratura wysyła listy gończe. Skutecznie. Najdłużej na wolności pozostaje „Słowik”, bo uciekł za granicę. Mija półtora roku. Świadek koronny jedzie na proces. Jest maj 2003 rok. „Masę” czeka przykra konfrontacja z dawnymi kumplami od napaści i wypitki. Adwokaci oskarżonych dążą do jednego - odebrania S. statusu świadka koronnego. Byłoby to możliwe, gdyby udało się go obciążyć zarzutem morderstwa. „Słowik” przygotowuje w celi kasetę, którą jego żona zanoszą do prokuratora. Jest tam nagrane jego oświadczenie, że w 1996 r. „Masa” zlecił zabójstwo „Kielbasy”, członka „Pruszkowa”, notabene jego najbliższego przyjaciela. Ponadto oskarżeni twierdzą, że świadek koronny organizował zabójstwo szefa polskiej policji Marka Papa-ły. Ale prokurator nie daje temu wiary. „Masa” jest wiarygodny, bo skruszony.

JM

? ? ?

Z zawodu kierowca po szkole zasadniczej. Ale nie rwał się do siedzenia za kółkiem. Próbował sil w boksie, był ochroniarzem w nocnych klubach. W jego rodzinnym Piastowie pod Warszawą tacy młodzi mężczyźni jak on - z rodzin na zasiłku dla bezrobotnych, trzymają się razem, godzinami szlifując bruki na miejscowym deptaku. Ich przepustką do świata przestępczego był w połowie lat 90. handel walutą pod kantorami. Jeśli potrafili oszukać klienta, wciskając mu paczkę pociętych gazet zamiast dolarów, zdobywali mir wśród swoich. Nie uważali tego procederu za przestępczy. „Masa” zdziwił się w sądzie, gdy adwokat oskarżonego zarzucał mu łamanie prawa: - „Przecież nawet dzielnicowy się u mnie zaopatrywał”.

Ale wkrótce wystawanie pod kantorami przestało się opłacać, „Masa” i jego kumple coraz dłużej nudzili się. Wyrośniętego nad wiek mięśniaka, jak się wtedy mówiło o Jarosławie S., dostrzegł „Barabasz”, znany już przestępca z Pruszkowa. Właśnie organizował szajkę napadającą na tiry, a także do włamań, ściągania haraczy i długów.

- To był czas - wyznał po latach „Masa” - kiedy im większa fura, im czarniejsza kurtka ze skóry, tym bardziej charakterny gangster. Takemu się czapkowało.

On poczuł się wyróżniony przez „Barabasza”. Co złupili, przepijali w „Uroczej” - restauracji przy rynku w Pruszkowie. Fasonem było wydać ostatni grosz, aby nazajutrz z kijem basebolowym w rękę ruszyć na nową grabież. Do gangsterskich anegdot przeszła opowieść, jak splukany „Barabasz” za rachunek w knajpie zapłacił kawałkiem złotej obrączki. Obcęgami odciął jedną trzecią i dał kelnerowi.

To w „Uroczej” Jarosław S., który doczekał się ksywy „Masa”, przeszedł „na ty” z większością policjantów Pruszkowa. Wieczorami wspólnie okupowali stoliki. Im bliżej było północy, im więcej opróżnionych butelek po wódce na stole, tym większa komitywa z mundurowymi.

< 356

„Barabasz” nie zdążył nauczyć swego zdolnego ucznia wszystkich znanych mu gangsterskich chwytów - roztrzaskał się samochodem na drzewie w czasie szaleńczej jazdy po pijanemu. Ale tajemnice okradania przemytników spirytusu, odsłonił. Młodego S. wprowadził ostatecznie do pruszkowskiego gangu „Kiełbasa”, u którego dorabiał jako ochroniarz.

„Masa” opowiedział prokuratorom, jak załatwiali przemytników, proponując im odkupienie trefnego towaru. Żeby uśpić czujność swej ofiary, umawiali się z nią w restauracji i tam pokazywali paczkę pieniędzy na zakup towaru. Uspokojony „kontrahent” telefonował do swego współnika z poleceniem wyjechania z tzw. dziupli z towarem. Gdy ciężarówka była w drodze, „żołnierze” pruszkowskiego gangu napadali na kierowcę, wyrzucali go zakneblowanego do rowu, a towar wraz z samochodem odjeżdżał w siną dal. Oszukany przemytnik albo dowiadywał się całej prawdy, albo dostawał tzw. kanapkę (pocięte gazety obłożone dwoma banknotami) i zła wiadomość docierała do niego trochę później. - „Mnie honorarium wypłacał „Kiełbasa” - zeznał „Masa” jako świadek koronny - około 125 000 dolarów za jeden przejęty transport”.

Z czasem usprawnili metodę zawłaszczania nielegalnego spirytusu. Zaproponowali przemytnikom, że wezmą ich pod swoje skrzydła. Za to oczywiście trzeba będzie się opłacać... Ograbiani próbowali niekiedy zrzucić ze swoich pleców ciężką łapę „Pruszkowa”.

- Pewien przemytnik - opowiadał „Masa” - zapłacił raz albo dwa i zniknął. Szukaliśmy go. Ktoś nas poinformował, że jego znajomy paser robi interesy z tym facetem i właśnie dwa zapakowane tiry dojeżdżają do dziupli w Raszynie. Poczekaliśmy tam na szubrawca. Na dzień dobry „Słowik” wałnął go pięścią w twarz. Wykręcił mu palce. Potem wsadzili go do bagażnika, zawieźli do domu „Kiełbasy”. Najpierw dostał deskę. W pewnym momencie Czarek wyszedł i wrócił z wiertarką elektryczną. Powiedział złodziejowi, że przewierci mu dupę i kolana. Spietrany przemytnik przyznał się do sprowadzenia kilkunastu tirów za naszymi plecami. Zaproponował, że odda dług na raty. Dzielił się tymi pieniędzmi - ja dostałem kilka tysięcy dolarów. Na koniec, gdy zostało do spłacenia tylko 80000 dolarów, powiedział, że już nie ma kasy i musi zarobić na kolejnym przemyśle. Jak się uda, podzielimy się forszą na pół. Ale zrobił nas w bambuko, bo wpadł na granicy, poszedł za kratki.

Około roku 1993 „Pruszków” zaczął handlować narkotykami. Na jaką skalę, można się zorientować po osądzonej już w Warszawie sprawie tzw. szlaku kokainowe-go. Do Polski wracał z Wenezueli statek „Jurata”. Po drodze zawinął do portu koło Liverpoolu. Tam w 48 beczkach ze smołą, brytyjscy celnicy znaleźli kokainę wartości 370 mln dolarów. Policja potajemnie wydobyla narkotyki i porozumiała się z Centralnym Biurem Śledczym. Puste już beczki przypłynęły do Gdyni. Wyładowano je i przewieziono pod Warszawę, gdzie natychmiast zgłosili się bossowie gangu z Pruszkowa. Narkotyki miały trafić na zachód Europy. Tym razem się nie udało.

557

W 1994 roku zarząd „Pruszkowa” - do którego „Masa” już należał - w czasie narady w hotelu pod Międzyzdrojami postanowił prać brudne pieniądze w legalnych interesach. Najbardziej opłacało się prowadzenie nocnych klubów i agencji towarzyskich, gdzie można było upłynniać podrobiony alkohol. „Masa” otworzył w Pruszkowie restaurację „La Cucuaracha”. Na ogół stoliki stały puste, ale właściciel wykazywał ogromne obroty. „Malizna” zarejestrował firmę doradztwa podatkowego w nobilej dzielnicy Warszawy - na Saskiej Kępie.

Poza tym pruszkowiaczy, za przykładem „Persinga”, który właśnie wyniósł się na Wybrzeże, gdzie założył jedną z największych w kraju tłoczni płyt kompaktowych (głównie z muzyką disco polo), zaczęli po piracku produkować miliony płyt z muzyką w rodzaju „Biały Miś”. Mafia nie zgłaszała piosenek do ZAIKS-u, ale opłacała telewizyjnych prezenterów muzycznych, którzy lansowali towar z nielegalnych wytwórni. Związki z mediami zacieśniały się. Doszło do tego, że w warszawskim klubie „Dekadent” odbyła się wspólna uroczysta kolacja zarządu „Pruszkowa” oraz dziennikarzy Teleekspressu.

Nadal wymuszano kijami bejsbolowymi haracze od właścicieli lokali, hurtowni, sklepów. - Dolna granica haraczu - zeznawał w prokuraturze „Masa” - to 1000 dolarów miesięcznie. Tyle żądali od skromnej hurtowni serów w Milanówku. Firma Multiplay, zajmująca się dystrybucją automatów do gry, musiała opłacać się 20000 dolarów miesięcznie.

„Masa” nie oszczędzał się w egzekwowaniu haraczy, dzięki czemu wkrótce awansował w hierarchii. - Po aresztowaniu „Rympała” - zeznaje - wezwał mnie zarząd: „Wańka”, „Szwarc”, „Malizna”, „Parasol” i „Słowik”. Oznajmili, że teraz będę odpowiedzialny za zorganizowanie ludzi do zbierania opłat z agencji towarzyskich i restauracji. System był taki, że każdy dowódca grupy połowę zdobytych pieniędzy dzielił między swoich żołnierzy. Następnie, połowę swojej doli oddawał mnie, a ja z kolei połowę z tego musiałem wpłacić starym. Miesięcznie zostawało mi na czysto kilkadziesiąt tysięcy złotych. Tak samo dzieliliśmy zysk z handlu narkotykami.

Gdy tuż przed zaprzysiężeniem „Masy” prokuratura podliczyła przestępstwa kandydata na świadka koronnego, do których dobrowolnie się przyznał, lista okazała się długa. Były na niej m.in.:

- Udział w napadzie stulecia na warszawskim Ursynowie w 1995 r.;
- Ściąganie przez prawie 10 lat haraczy (np. od właściciela kantoru w hotelu Warszawa S. wziął 120000 dolarów; od właściciela warszawskiej restauracji „Bambola” - 70000 doi.; z dyskoteki Trend tylko w ciągu dwóch lat - ok. 50000 doi.);
- Nielegalny zakup broni w dużej ilości;
- Oszukanie hurtownika Wojciecha K. na 400 000 zł;
- Paserstwo na handlu co najmniej 350 kradzionymi samochodami, co dało zysk ok. 650000 doi.;
- Oszustwa, rozboje, wymuszenia, w wyniku czego zdobył co najmniej 750000 zł.;
- 

„Masa” nie bil się z tego powodu w piersi. Obciąża! kryminogenne środowisko. - „Wychowałem się w takim społeczeństwie, gdzie szło się siedzieć za stanie na kra- Q węzniku”. Ochoczo opowiadał prokuratorom (jego zeznania to prawie monolog), jak Cj3 wyglądał zwykły dzień członka mafii:

- Codziennie spotykaliśmy się w warszawskim lokalu P., biznesmena z listy naj- f-^j bogatszych we „Wprost”. Mieliśmy z nim różne interesy. Potem przedsiębiorca roz- e/3 mawiał z

klientami, a my na zapleczu omawialiśmy, kogo napaść, żeby zarobić.

Drugim stałym tematem była „rozkminka” - czyli rozprawienie się z kimś, do kogo akurat mieli pretensje. Raz był to odmawiający zapłacenia haraczu budylnik z Ożarowa. Wywieźli go do lasu, podstawili głowę pod samochód i w tym czasie buksowali kołami. Po kwadransie już się nie stawał. Albo przypadkowy, szukający zaczepki pijaczek, który akurat stanął na drodze charakternemu „prusko-wiakowi”.

- Kiedyś do „Kielbasy” zadzwonił „Szwarc” - opowiada „Masa” - żebyśmy podjechali do Warszawy w pobliżu ronda Wiatraczna, bo taki jeden ubliżył jego kumplowi. No to wsiedliśmy w piętnastu w nasze mercedesy. Kumple mieli kije bejsbo-łowe. Ja swojego nie wziąłem, bo jestem bardzo silny, nie jest mi potrzebny. Podjechaliśmy pod kamienicę, do której wszedł pijaczek. „Kielbasa” wyważył drzwi. Przewróciły się na kobietę, która pewnie nasłuchiwała, kto idzie. Zrobiliśmy kompletną rozpiarduchę. Tam był jakiś bełkoczący po pijaku dziadek, to „Kielbasa” nie sprawdzając kto, nawymyślał kumplowi, złapał telewizor i nabił mu go na głowę, aż poszły iskry. Potem Zbyszek zdjął staremu spodnie i wepchnął w d... świecę. Nikt z nas nie miał z tego powodu kłopotu.

Za broń łapali szybko, jak na westernowych filmach.

- Siedzimy kiedyś u P. - wspomina „Masa” - i „Kielbasa” niechcący wyciągnął z kieszeni naładowany pistolet typu Colt 38. Broń wystrzeliła i pocisk uderzył w podłogę, potem rykoszetem odbił od trzech ścian. Myśleliśmy, że już po nas. Albo że trafi w klientów, którzy byli w sąsiednim pokoju.

Były też „rozkminki” z konkurencją w gangsterskim fachu. Na przykład takie zdarzenie pod Makro-Cashem:

Syn „Sajmona” (duża figura w mafijnym światku) chciał kupić 2 kg amfy od ludzi z gangu „Dziada”. Do spotkania nie doszło, bo „Młody Sajmon” w ostatniej chwili wycofał się z interesu. Wtedy ludzie „Dziada” orzekli, że niesolidny kontrahent musi zapłacić karę. „Pruszków” miał z „Wołominem” od dawna na pieńku (kiedyś razem napadali). Przyczyną konfliktu było porwanie przez „Dziada” jednego z zarządu „Pruszkowa”. Za uwolnienie go trzeba było zapłacić ponad 100000 dolarów.

„Młody Sajmon” poszukał pomocy u „Masy”. Ten zebrał swoich żołnierzy i siłą odebrali narkotyk dealerowi „Dziada”. Potem wrzucili go do piwnicy, gdzie siedział kilka dni związany sznurem, aż szczur odgryzł mu pół palca.

359

- Ci, którzy nie przestrzegali mafijnych reguł - tłumaczy! „Masa” prokuratorom - wychodzili z grupy w skarpetkach i nie mogli już zarobić pieniędzy. A poza tym płacili karę, od której nie było odwołania.

Niedzyscyplinowanym mówiło się: - Jesteś winny na dzień dobry dychę papieru. To znaczy 10 tysięcy dolarów. Gdy ktoś chciał się wymigać, miał tylko jedno wyjście: przechodził do „Dziada” w „Wołominie”. Ale musiał się bać, że dosta nie kulkę od tych, których zdradził. Bo w obu gangach obowiązywał zasada: wet za wet. Gdy „Wariat” - brat „Dziada” - próbował porwać pruszkowskiego gangstera „Wańkę”, ludzie „Pruszkowa” tak długo na niego polowali, aż go dopadli pod nocnym sklepem i zastrzelili. Przy okazji, od podkładanych bomb zginęło kilkadziesiąt osób.

W rewanżu „Dziad” podłożył bombę pod restaurację „Multi Pub” na Saskiej Kępie, gdzie spotykała się grupa „Pershinga”.

W swojej autobiografii „Dziad” chwali się, że w jego zakładzie kamieniarskim zrobiono już ponad siedemdziesiąt nagrobków dla zastrzelonych mafiosów.

Nie żyjący już „Dziad” napisał w więzieniu trzy książki. Założył nawet własne wydawnictwo. Ostatnia publikacja nosi tytuł Krwawy napad na Kredyt Bank. Autor czyni wyznanie: - „Nie bawię się w jakieś klocki, że liście fruwać, słońce zachodzi, wiatr gałęziami rusza. Tylko jadę po kolei, zwięźle: kto porwał, kto zabił, kto zastrzelił. Kto dostał. Tam jest szczegółowo opisane, dlaczego brat wyszedł, jak go kiedyś zamykali. No wiadomo, sędzia wziął kwaciarnię w Śródmieściu.

Wszystko nazwiskami leci".

? # ?

Ze swego ukrycia „Masa” zapewnia (w wywiadzie dla „Życia Warszawy”, co prawda nieautoryzowanym), że zawsze zamiast gangsterki wołał biznes.

- „W gangu zarabiałem, a inwestowałem gdzie indziej. Zostałem współwłaścicielem dyskoteki na warszawskiej Woli. Miałem też udziały w znanej firmie produkującej soki owocowe.

Złożył pozew cywilny przeciwko dwóm bytomskim biznesmenom, swym niegdysiejszym wspólnikom. Twierdzi, że nie zapłacili mu za luksusowe mercedesy wartości miliona złotych, które w roku 2000 zostawił w ich komisie, obawiając się, że prokuratura zajmie mu majątek.

Pozwani odpowiadają, że rozliczyli się z „Masą”. Proces nieprędko się skończy, bo sąd nie ma adresu świadka koronnego. Wszystkie powiastki procesowe musi wysyłać na adres: „Zespół Ochrony Świadka Koronnego. Centralne Biuro Śledcze. Komenda Główna Policji”. Bardzo kłopotliwe jest też pojawienie się powoda w sądzie. Trzeba zamienić gmach w twierdzę, odwołać wszystkie wokandy.

W składanych zażaleniach „Masa” pisze, że nie obchodzą go techniczne kłopoty wymiaru sprawiedliwości. Jako świadek koronny musi przestrzegać prawa i nie mo

że - jak niegdyś - odbierać swojego kijem bejsbolowym. A poza tym - zawsze chciał robić legalne interesy.

Tyle, że ta droga do legalu, jak mówi, była slalomem wśród paragrafów.

Załatwili na przykład w Państwowym Urzędzie Regulacji Energii, dla kontrolowanej przez siebie firmy z Dąbrowy Górniczej, koncesję na obrót paliwami. Zdobycie takiego dokumentu to Mount Everest dla wielu przedsiębiorców, gdyż każdy wniosek jest szczegółowo weryfikowany.

„Pruszków”, jak zeznaje „Masa”, po prostu dał łapówkę. I wcale nie zamierzał handlować benzyną. Mafія wystawiała fikcyjne faktury, aby zarobić grube miliony na zwrocie VAT. Ten przekręt mieli przeciwiczony.

Kiedyś, na przykład, sprzedali potężny transport czapek wojskowych dla ukraińskiej armii. Pech chciał, że w drodze, jeszcze w Polsce, samochody stanęły w ogniu. Jedna z katowickich firm ubezpieczeniowych wypłaciła z tego tytułu „Pruszkowowi” ponad milion złotych odszkodowania. A potem wydało się, że pożar był sfingowany, zamiast czapek spłonęły stare szmaty kupione na wagę.

Handlowali też bronią. Marek C., gangster o pseudonimie „Baca”, działający wprawdzie na Podbeskidziu, ale w ścisłym kontakcie z „Pruszkowem”, przerzucał karabiny kałasznikowy i pistolety maszynowe typu skorpion, na stronę czeską. „Baca” miał przygotowany dla swych klientów specjalny katalog z ofertami. Otwierało go zdjęcie siedmiu jego żołnierzy rozpartych na fotelach mercedesa cabrio. Każdy trzymał w ręku inny karabin.

„Masa” dostarczył prokuratorom kilkadziesiąt zdjęć gangsterów. Bardzo dużo fotografii twarzy z profilu i en face, ale także z uroczystości rodzinnych, wspólnych pobytów na wczasach (w Polsce ulubionym miejscem pobytu pruszkowskiej mafii był ośrodek rządowy w Łańsku), popijaw w restauracjach.

Na amatorskich fotografiach widać wnętrza willi nowobogackich - pałacowe żyrandole z kryształów, obrazy na całą ścianę (często z motywem „pod Matejkę”). Wielkie szafy z egzotycznego drewna pełne kaset filmowych. Dzięki spisowi zarekwizowanych przedmiotów w czasie rewizji po rozbiciu „Pruszkowa” wiadomo, co „zarząd” oglądał. Powtarzają się tytuły: „Batman Forever”, „Ostatni Mohikanin”, „Powrót Jedi”, „Okup”, „Ktoś musi zapłacić”, „Tygrys Malezji”, „Uprowadzenie Marianny”, „Piękna i bestia”.

Kobiety gangsterów są zdumiewająco do siebie podobne - młode, zgrabne, z tlenionymi włosami, obwieszane złotem. Ubrane w stylu Aleksis z telewizyjnego serialu „Dynastia”. Lubią się fotografować oparte o zderzaki wielkich limuzyn, stojących na ich posiadłościach, koniecznie z basenem w tle. Natomiast ich dzieci wyglądają jak książątka z Disneyowskich bajek. Tylko mężczyźni nie dbają o swój wygląd. U wielu tłuste brzuchy wylewają się spod smokingów, czy z dresów z lampasami. Nawet na zdjęciach z sylwestrowych przyjęć w warszawskim hotelu

„Victoria” niektórzy z zarządu „Pruszkowa” wznoszą noworoczny toast w dresie i adidasach.

361

brał”. Tylko do polityki bym się nie brał”.

W ogóle o politykach nie chce mówić. Bo - „bandziory mnie nie dosięgną, ale politycy na pewno. Mają do tego narzędzia”.

„Masa” już raz, choć nikt go wtedy nie pyta! o zgodę, służył politycznej sprawie, jako króliczek z kapelusza prestidigitatora. To był sierpień 2000 roku. Gdy tylko sypnął kumpli mafii, sprawa „Pruszkowa” znalazła się w klipie wyborczym Mariana Krzaklewskiego, startującego w wyborach na prezydenta III RP. Następnym, który go wyciągnął z prokuratorskiej teczki na światło był minister Ziobro. „Masa” nie mógł zaprotestować nawet króliczym piskiem.

Lista bliskich „Masie” poległych gangsterów

ToZoc^ " ZaStrZel°ny W 1994 We -auracji

- Czesław K. ps. „Cerber” („kasjer” „Dziada”) - zginął 13 marca 1995 roku.

w zamachu bombowym

warszawskiej Pradze.

- Wojciech K. ps. „Kiełbasa” - zastrzelony w 1996 roku na ulicy w Pruszkowie, gdy wychodził z zakupami ze sklepu mięsnego. Zginął z ręki kompanów, bo, jak mówi były „żołnierz” gangu, chciał wyrosnąć za wysoko.

- Wiesław K. ps. „Szwarceneger” - zastrzelony w Gdańsku w 1997 roku.

- Artur G. ps. „Kręciłapka” - zginął w 1997 roku

w zamachu bombowym na

- Andrzej G. ps. Junior” - zastrzelony w 1998 roku w podziemnym przejściu pod warszawskim hotelem „Marriott”. Przejściu

- Janusz K. ps. „Malarz” - zastrzelony przed w grudniu 1998 roku.

swoim domem w Międzyzlesiu

362

Wiesław N. ps. „Wariat” - zastrzelony w 1998 roku prawdopodobnie przez ludzi „Pruszkowa”. Zabójca podobno dostał 250000 dolarów.

„Nikoś” - zastrzelony w kwietnia 1998 roku, bo nie chciał się podporządkować ludziom „Pruszkowa”. Wykonawcy egzekucji nie odnaleziono. Policjant z CBS, który niegdyś tropił „Mikosia”, widywany był w marynarkach ofiary, bowiem związał się z wdową po „Mikosiu”.

Marian K. ps. „Klepek” i Ludwik A. ps. „Lutek” - zastrzeleni wraz z trzema innymi gangsterami z grupy wołomińskiej w kwietniu 1999 roku w barze „Gama” na warszawskiej Woli.

Zbigniew Sz. ps. „Simon” - zginął w 1999 roku od kuli w Będzinie, pod własną knajpą „Zielone Oczko”.

Andrzej K. ps. „Pershing” - zabity 1999 roku z polecenia „Pruszkowa”. Uważany za ojca chrzestnego mafii pruszkowskiej, przeniósł się kilka lat wcześniej na Wybrzeże, gdzie prowadził na pozór legalne interesy: otworzył restaurację i zainwestował w centrum rozrywki. W rzeczywistości chodziło o pranie brudnych pieniędzy, pochodzących z przestępstw.

T) Bartłomieja Wyszłaka\* obudzi dzwonek u furtki jego rodzinnego domu w Węgr. JDrowie. Było parę minut po godzinie szóstej, ostatni dzień września 2004 roku. Dopiero świtało. Zaspany jeszcze 25-letni Bartek wyrzwał na podwórko przez szpałt rękę w okiennej roletcie; zobaczył przy parkanie trzech nieoczekiwanych gości. W szarówce dnia błyszczały żółte litery POLICJA na odblaskowych kamizelkach dwóch

29 funkcjonariuszy. Trzeci mężczyzna miał cywilne ubranie.

IZ/ - Tata! - krzyknął do ojca. - Jacyś mundurowi. Mam ich wpuścić?

\*^ - Poczekaj, tylko się ubiorę, wyjdę do nich.

Senior Jerzy Wyszlak podszedł do furtki i wtedy jeden z mężczyzn pokazał mu

js^ nakaz przeszukania domu. Gospodarz niewiele mógł przeczytać, bo ołowiane chmury zasłoniły wschodzące słońce. Na pytanie, o powód tej rewizji usłyszał, że

f\*4 jako właściciel sklepu motoryzacyjnego jest podejrzany o paserstwo metalami ko-  
C/J lorowymi.

JZD Wówczas wpuścił policjantów na dziedziniec.

W holu jeden z nich założył chirurgiczne rękawiczki. Kazał obu Wyszlakom, za-skoczonym dziwnym zachowaniem się policjantów, usiąść przy stole w kuchni. Gdy w chwilę potem ojciec z synem zostali skrepowani taśmą, nie mieli już złudzeń, że h-^ są ofiarami bandytów przebranych za funkcjonariuszy. Syn właściciela sklepu usi-pj| łował zerwać pęta, ale wtedy najwyższy z napastników, wyróżniający się sumia-stymi wąsami, strzelił w stronę szamoczącego się mężczyzny. Na szczęście nie trafił, pocisk potoczył się po podłodze, a związany Bartłomiej przewrócił się razem z krzesłem. Nikt go nie podniósł.

Gorszy los spotkał jego ojca. Napastnicy wywlekli Jerzego Wyszłaka do piwnicy i tam - jak później zeznawał - bijąc metalowym młotkiem po nogach żądali ujawnienia szyfru sejfu. Opierał się, póki nie usłyszał, że chcą włączyć grzałkę elektryczną. Po otwarciu skrytki skradli stamtąd 150000 zł. Odjechali samochodem vento w kolorze szarym.

Gdy tylko młodemu Wyszlakowi udało się rozerwać taśmę, zawołał sąsiada, a ten wezwał policję. Jęczącego z bólu właściciela sklepu zabrało pogotowie. W szpitalu stwierdzono czterokrotne silne uderzenie czymś twardym w okolice stawów nóg i rąk.

Następnego dnia policjanci z miejscowej komendy okazali Wyszlakom album ze zdjęciami domniemych przestępców. Na żadnej z fotografii nie rozpoznali twarzy napastników (nie sporządzono koniecznego w takiej sytuacji protokołu - dlatego w późniejszym śledztwie, a także na sali sądowej nie można było ustalić, kto był na fotografiach).

Wyniknęły też niejasności co do liczby bandytów - poszkodowani mówili o trzech. Dwóch przebranych za policjantów, trzeci w cywilnym ubraniu, ale nie pamiętali nawet koloru odzieży. Natomiast przechodzień, spacerujący 30 września przed godziną 7 rano z psem koło domu napadniętych, widział tylko dwóch „poli-

364

cjantów”. Usłyszał też, jak jeden z rzekomych funkcjonariuszy (włosy ciemny blond, twarz bez zarostu, niewysoki) powiedział do swego towarzysza, odczepiającego ta-blicę rejestracyjną w stojącym obok polonezie: - „Nie zdejmuj k.. .teraz tego”.

Istotna informacja dotarła tego dnia od pewnego sierżanta z Węgrowa, który ja- »Ą dąc do pracy autobusem PKS zauważył w miejscowości Stara Wieś samochód mar- PJJJJ ki suzuki na polnej drodze. Wsiadało do niego dwóch wysokich mężczyzn objuczonych torbami. Kilka dni później ów policjant znalazł w pobliżu tego miejsca ^ porzucony samochód vento, z szarą karoserią, z którego wydobywał się ostry zapach octu. Ustalono, że pojazd miał sfalszowane



tablice rejestracyjne.

W komendzie policji skojarzono ten fakt ze zgłoszoną 10 września kradzieżą & pojazdu tej marki przez mężczyznę, który dopiero co kupił go w Holandii. Kiedy 30 września okazano mu cuchnący octem samochód, rozpoznał swoją własność. i\* Tylko znaleziona na tylnym siedzeniu granatowa czapka bejsbolówka nie należą- < ją ła do niego.

r—1

Gdy Jerzy Wyszlak opuścił szpital, zaczęły się częste wezwania na policję, gdzie O oczekiwano, że pomoże w ustaleniu sprawców napadci.

Spotkanie z ekspertem od portretu pamięciowego sprawców zakończyło się fiaskiem, bowiem ani właściciel sklepu, ani jego syn nie pamiętali twarzy bandytów. W czasie kolejnej wizyty w miejscowej komendzie musieli przyjrzeć się tzw. tablicy pogładowej z fotografiami różnych mężczyzn. Tym razem wskazali na poszukiwanego listem gończym Roberta M. z Białej Podlaskiej. Ale nie byli do końca pewni. „Tak na 70 procent” - zanotował funkcjonariusz. Szybko się okazało, że jest to fałszywy trop.

Nic nie dało daktyloskopijne badanie kawałków taśmy, którą byli skrupowani obydwaj Wyszlakowie - nie odbiły się na nich żadne linie papilarne. Podobnie jak na łusce z wystrzelonego naboju. Śledztwo w sprawie napadu w Węgrowie zakończyło się w 2004 roku nie przynosząc oczekiwanych rezultatów.

???

W tym czasie policja w Białej Podlaskiej szukała też sprawców innego rozboju. Ofiarami była rodzina Baliszuków ze wsi M. pod Terespolem.

O Baliszukach wiadomo było w okolicy, że siedzą na pieniądzach. Nie były to groszowe oszczędności odłożone z marnej pensji Jerzego Baliszuka pracującego w przygranicznych zakładach taboru kolejowego. „Życzliwi” od dawna donosili w anonimach policji, że ów kolejarz wspólnie ze szwagrem handluje z Ruskimi, skupując alkohol, papierosy, a wszystko bez znaków towarowych. To z tych lewych pieniędzy postawił okazały dom, ma dwa samochody, a córkę stać na studia na prywatnej uczelni. Niech więc policja się tym zajmie.

1 oto 21 października 2004 roku od rana w M. nie mówiło się o niczym innym, niż o napadzie na willę kolejarza.

365

Była 6 rano, w kuchni Baliszuków paliło się światło, bo żona kolejarza, Barbara, szykowała się pracy.

Nagle usłyszała dzwonek u furtki i głos w domofonie: - „Proszę otworzyć, policja. Mamy nakaz rewizji”. Odchyliła firankę - przy parkanie stało w szarówce trzech mężczyzn w kamizelkach odbłaskowych. Za nimi samochód polonez z kimś w środku. Wystraszona, obudziła męża, który miał zwolnienie lekarskie w związku z urazem nogi. Szybko się ubrał, wyszedł z kluczami na podwórko. Ona czekała na niespodziewanych gości w przedpokoju.

Ledwo przekroczyli próg, Baliszuk usłyszał od rzekomego policjanta (wysokiego, z czarnymi wąsami): „ch..., sprzedali cię”. Dostał silny cios w brzuch, wykręcili mu ręce, oczy zakleili taśmą. Poczul łufę koło skroni. Ale nikt nie strzelił. Tylko gospodarz podskoczył, jakby porażony prądem. Gdy się przewrócił, jeden z bandytów zawinął go w chodnik.

Do Barbary Baliszuk podszedł mężczyzna, którego wygląd w protokole policyjnym określiła jako „świński blondyn”. Nałożył jej na ręce kajdanki, pchnął na fotel, oczy i usta zakleił taśmą. A potem zrzucił unieruchomioną kobietę na podłogę.

Żądali pieniędzy. Baliszuk pokazał, gdzie leży portfel z 22 000 zł; zabrali gotówkę, krzycząc, że to za mało. - Gdzie jest sejf, gadaj, bo ci zgwałcę żonę i córkę, wołał „ten z wąsami”, biegnąc po splądrowanym już mieszkaniu - jak wnioskował po charakterystycznym głosie napastnika zawinięty w chodnik kolejarz.

Baliszuk zaklinał się, że więcej pieniędzy nie ma.

Wtedy zaczęli się pastwić nad jego żoną. Barbara dostała w twarz cios pięścią, wybili jej dwa

zęby, uderzali po nogach tłuczkiem do mięsa. Gdy narzucili kobiecie koc na głowę, jeden z napastników zdarł z niej bieliznę, obnażył się.

Córka Baliszuków, 19-letnia Aneta, zobaczyła przez okno swego pokoju na poddaszu dwóch „policjantów” stojących przy furcie. - Zbiegłam do kuchni w chwili, gdy nad rodzicami pastwiło się czterech zbirów - zeznała w czasie przesłuchania. - Jeden z nich - jasny blondyn („świński”, jak się wyraziła) o spiczastym nosie, wciągnął ją siłą na górę, rzucił na łóżko. Leżała na brzuchu, ręce miała skute, słyszała dochodzące z dołu krzyki: „K..., gdzie są pieniądze!”. Po chwili wbiegł do pokoju mężczyzna z czarnymi wąsami i taśmą zakleił jej oczy. Mocnym, wręcz tubalnym głosem wykrzykiwał to samo pytanie, co na dole: - Gdzie są pieniądze?! Kręciła głową na znak, że nie wie.

- Podnieśli mi nogi, ściągnęli majtki, na głowę zarzucili koszulę nocną. Któryś obmacywał mi piersi. - Zaraz zobaczymy, jaką ma p...dę - powiedział. Gdy się broniłam, dostałam kilka razy w twarz. Poczułam pistolet, przyłożony do pośladków.

Bandytom nie udało się wyciągnąć od kolejarza więcej pieniędzy niż te, które ukradli z portfela. Ich łupem stała się też złota biżuteria kolejarzowej oraz jej tele-

366

fon komórkowy. Dom opuścili przed godziną siódmą. Wtedy Baliszuk doczołgał się S do tarasu i zaalarmował sąsiada. Pierwsza jego prośba brzmiała: - Ściągnij tu me- ^ go szwagra, on zdecyduje, czy wzywać policję. ^

Szwagier uznał, że trzeba zawiadomić posterunek i pogotowie ratunkowe. Le- ją karz na wiadomość o zgwałceniu Anety odwiózł ją do szpitala na badanie gineko- 5^ logiczne.

Gdy przyjechali policjanci, dowiedzieli się, że napastnicy byli polonezem koloru ^ zgnięta zieleń. Zmaltretowany kolejarz niewiele mógł powiedzieć o wyglądzie ban- p4 dytów: mężczyzna w samochodzie, którego twarzy nie widział, miał krótkie, jasne ^ włosy. Był po cywilnemu, ale jak wyglądało jego ubranie, Baliszuk nie zapamiętał. ?3 Gdy szli od furtki do domu zauważył, że drugi bandyta ma około 170 cm wzrostu ł~" i jest raczej pyzaty. Trzeci - wyraźnie wyższy od pozostałych, wyróżniał się szpa- J3\* kowatymi włosami i czarnymi sumiastymi wąsami z siwym nalotem. Nie zapamię- ».ją tał żadnych cech charakterystycznych twarzy ani głosu. Czwarty mężczyzna, który Pfj jako ostatni wysiadł z samochodu, szedł za nimi.

Informacja o zdarzeniu została przekazana wszystkim policjantom w okolicy i tego samego dnia do prowadzących postępowanie wpłynęła notatka od funkcjonariusza z Siedlec, że w Zawadach zatrzymał do kontroli drogowej zbyt szybko jadący samochód golf kierowany przez Jacka W. Jego pasażerem był Dariusz S. Obaj notowani za przestępstwa kryminalne. W samochodzie nie znaleziono niczego podejrzanego. W tym samym dniu policjant zameldował, że w czasie służby widział na drodze poloneza koloru zgnięta zieleń, a w nim czterech pasażerów. Jeden z nich miał ciemne włosy i także wąsy. Samochód ten znaleziono dwa dni później w lesie koło miejscowości M. Pobrano ślad z kierownicy do zbadania DNA.

???

Podczas badania ginekologicznego Anety Baliszuk lekarka nie dostrzegła obrażeń typowych dla gwałtu. Dziewczyna wróciła do domu. W trakcie sprzątania kuchni znalazła nie znaną jej torbę z pistoletem.

Kilka godzin później policjanci z Białej Podlaskiej przyjechali do Baliszuków, aby odebrać tę broń i sporządzić portrety pamięciowe bandytów. Nim jednak przystąpili do pracy, pokazali ofiarom napadu tzw. zdjęcia sygnalityczne mężczyzn, których można było podejrzewać o napad (podczas procesu sądowego nie udało się ustalić, na czyje fotografie spoglądali Baliszukowie). Ani córka, ani jej matka nie rozpoznały w albumie oprawców. Natomiast na portretach pamięciowych sporządzonych na podstawie sugestii ofiar, według Barbary, napastnik z wąsami nie był wysoki, zdaniem Anety, wręcz krępy, natomiast Jerzy Baliszuk zapamiętał go jako zwalistego mężczyznę.

Trzy tygodnie po rozboju w M. śledczy pomyśleli o szukaniu śladów kryminalistycznych na tłuczku do mięsa, którym, jak twierdziła Baliszukowa, została pobita.

367

Ale wszelkie linie papilarne były już zatarte. Podobnie jak na resztkach taśmy sa. moprzylepnej.  
W Nowy Rok 2005 Baliszukowie życzyli sobie, aby bandyci, którzy ich napadli zostali złapani.

???

U  
i—i

Adam Kozłowski miał w podwarszawskich Markach skład sprzętu budowlanego. Dla własnej przyjemności hodował konie.

Piątego stycznia 2005 roku wieczorem, tuż po kolędzie, pojechał do stadniny sprawdzić, czy zwierzęta są nakarmione. Właśnie wsłuchiwał się w rżenie ulu-bionego ogiera, gdy do stajni wtargnęli mężczyźni w kominiarkach. Na oczach koniuszego przewrócili Kozłowskiego na ziemię, związali mu ręce, skrupowali nogi. - Nie drzyj mordy - jeden z bandytów uciskał właściciela stadniny, gdy wlekli go do samochodu, którym szybko odjechali. Kilka minut później Artur, 20-letni syn Adama Kozłowskiego odebrał telefon od dobrego znajomego ojca, że ojciec został porwany.

Przez całą noc rodzina Kozłowskich szukała adresu detektywa Rutkowskiego. Nie zdążyli nawiązać kontaktu, gdy rano 6 stycznia ktoś zatelefonował do Artura, żeby przygotował 100000 dolarów. - Będzie kasa - powiedział - ojciec wróci żywy.

- To niewykonalne - płakał do słuchawki syn porwanego - mogę uzbierać najwyżej 70000 zł.

Ktoś po tamtej stronie słuchawki zapowiedział, że zadzwoni ponownie. I nie radzi powiadamiać policji.

Dzień później znów ten sam schrypnięty głos w telefonie: - Teraz będzie mówił Adam Kozłowski. Powie ci, co masz robić.

- Odniosłem wrażenie - zeznał na policji Artur - że jest to nagranie z taśmy magnetofonowej. Ojciec prosił, abym słuchał panów, którzy go porwali. Potem włączył się do rozmowy ten schrypnięty i zapytał, ile już mam pieniędzy na okup. Odpowiedziałem, że 80000 zł. On na to, że taka suma go nie interesuje. Zaproponowałem 120000 złotych, ale że potrzebuję 3-4 godziny na pożyczanie brakującej sumy. Zgodzili się.

Syn wpłacił żądany okup, a porywacze oddali mu ojca.

Gdy Adam Kozłowski doszedł do siebie, opowiedział śledczym, co się z nim działo od momentu uprowadzenia ze stajni.

Skrupowanego porywacze zawieźli na jakąś posesję i zostawili na podwórku. Sami poszli do pomieszczenia, które wyglądało na opuszczony warsztat. Była już noc, Kozłowski nie mógł się zorientować, gdzie jest. W pewnej chwili zobaczył przechodzącego za parkanem mężczyznę - błagał go, aby pomógł mu wydostać się na drogę. Ten zaczął wypytywać, o co chodzi i wtedy wybiegli porywacze z kijami. Bili porwanego po głowie, aż upadł, a podnosząc się, zerwał kajdanki. Usiłował do-

368

biec do furtki, równocześnie rzucając kamieniami w kierunku swych oprawców. Ale S} apali go, wrzucili do furgonetki, został dotkliwie pobity. Dojechali do budynku na ty, pustkowiu. To było jego więzienie. Nogi i ręce miał skrupowane, leżał na wyrku twa-rzą w dół, mocz oddawał pod siebie. Nic nie widział, ale domyślił się, że ktoś go pil- jg\$ nuje, bo skrzypiała podłoga. Bardzo marzył - ściana, której dotykał, była pokryta szro- W nem. Stracił rachubę czasu.

Ósmego stycznia kazali mu wypić trzy szklanki wódki na czczo i zawieźli do la- ^ su. Pijanego posadzili pod drzewem, po czym odjechali. Gdy wytrzeźwiał, po kilku P-1 godzinach dotarł do drogi. Wtedy już wiedział, że przeżyje.

Niespełna dwa tygodnie po uprowadzeniu Kozłowskiego niejaki Mirosław Sz. fcs

przyznał się do udziału w tym przestępstwie i doprowadził policję do wsi Boża Wo-  
la, gdzie przetrzymywano porwanego. Nad tym, aby nie uciekł, czuwał Daniel K.,  
człowiek z marginesu społecznego, karany już za pobicia i kradzież. .jaj

Sz. ujawnił też kolejne ważne nazwisko z listy piętnastu porywaczy: Dariusz S. Twierdził, że to  
on wraz ze swym kolegą, prowadzącym punkt skupu Jarosławem Z., O wpadli na pomysł porwania  
biznesmena z Marek. Oskarżył też swego współnika o zamiar zabicia Kozłowskiego (już po  
wplaceniu okupu), aby zatrzeć ślady. Ostatecznie pieniądze z okupu miały trafić za pośrednictwem  
Grzegorza P. (to ten, który negocjował z młodym Kozłowskim wysokość okupu za ojca) do mafii z  
Marek.

Odlóżmy sprawę Kozłowskiego na bok, bo choć nazwiska niektórych oskarżonych pojawiają się w  
śledztwie dotyczącym napadu na Wyszlaków, Baliszuków i Rurano-wiczów, było to osobne  
postępowanie i inny skład sędziowski w Sądzie Okręgowym dla Warszawy-Pragi wydawał wyrok.  
Zapadł on w 2007 roku. Wszyscy sprawcy znaleźli się za kratkami.

Ale na razie jesteśmy w 2005 roku.

???

W materiałach dochodzeniowych Prokuratury Okręgowej w Warszawie, dotyczących przestępstw w  
Węgrowie, pod Terespołem i w Markach coraz częściej pojawiały się te same nazwiska sprawców.  
Zwłaszcza, że śledczy nader chętnie słuchali skorego do „współpracy” Mirosława Sz. A on, chcąc  
skorzystać z nadzwyczajnego złagodzenia kary, gorliwie wyjaśniał.

Twierdził, że o napadzie na Baliszuków dowiedział się od Roberta F., który lubił się przechwalać,  
gdy tylko sobie podpił, jak „oprawiał” swe ofiary, m.in. używając paralizatora. Napad pod  
Terespołem miał „wystawić” Marek P., w jego stajni były przechowywane ubrania policyjne i  
nakazy rewizji.

Głównie w oparciu o te zeznania funkcjonariusze Komendy Miejskiej w Białej Podlaskiej  
przygotowali tablice poglądowe z fotografiami domniemanych bandytów i w połowie lutego 2005  
roku wezwano poszkodowane rodziny z Węgrowa i spod Terespoła na ponowne rozpoznanie  
sprawców. Dzieje się to kilka miesięcy

569

I

po napadzie, gdy ofiary mają już za sobą wielokrotne okazywanie im fotografii do-c/j  
mniemanych sprawców.

W komendzie Baliszukowie i Wyszlakowie oczekiwali na zaproszenie do pokoju śledczego na  
korytarzu i skracając sobie czas, opowiadali, co przeżyli.

W odróżnieniu od poprzednich okazań, to było dla policji nader owocne. Bali-szukowa bez wahań  
rozpoznała S., jako oprawcę z czarnymi wąsami, który uderzył ją pięścią, wybił dwa zęby. Wybrała  
też fotografię Mirosława Z. (zaklejał jej taśmą usta i oczy) oraz jednego z braci F., jako najbardziej  
agresywnego, który przystawił jej pistolet do czoła i wołał: „Dawaj pieniądze, stara k...”.

Jerzy Baliszuk też wskazał na S. i F., ale miał trochę wątpliwości. Również zawahał się przy  
fotografii Mirosław Z., mówiąc, że może jest podobny do bandyty, ale tamten miał „dziobatą  
twarz”, że nie chciałby nikogo pomawiać, i że dobrze by-

?

loby zobaczyć tych ludzi na żywo - zauważył na koniec.

Natomiast Aneta Baliszuk była prawie pewna, że zgwałcił ją typ nr 2, czyli Mirosław Z. W  
przypadku Dariusza S. i F. zawahała się. Następnie poszkodowani mogli spojrzeć przez lustro  
weneckie ma osoby, które wytypowali, wymieszane z innymi, nie mającymi nic wspólnego z  
napaścią. Wysoki, postawny Mirosław Z. z sumiastymi wąsami wyróżniał się w otoczeniu łysych i  
zniszczonych alkoholizmem bezdomnych, których „wypożyczono” z noclegowni. Aneta Baliszuk  
od razu wskazała na niego, mówiąc: - To on mnie zgwałcił. Na pewno.  
Jak odnotowano w protokole, dostała spazmów.

Gdy przyszła kolej na jej matkę, kazali Z. zawołać : „Oddaj stara k... pieniądze”. Powtórzył, a kobieta krzyknęła: - „Tak, to ten, poznaję jego głos”. Pani Baliszuko-wa rozpoznała też wśród przedmiotów zabranych z mieszkania podejrzanego swój zegarek i złotą biżuterię.

Tego samego dnia na Mirosława Z. jako bandytę, który napadł na jego ojca, wskazał też młodszy Wyszlak.

???

Czterdziestosiedmioletni Mirosław Z. był wówczas właścicielem warzywniaka w jednej z hal targowych w Warszawie. Po śmierci żony wychowywał samotnie dwie córki w wieku szkolnym. Nigdy nie był karany.

Szesnastego lutego 2005 roku czyścił swój samochód ze śniegu, gdy nagle ob-skoczyli go policjanci, przewrócili w błoto, skuli. Potem prowadzili ubrudzonego, w kajdankach, ulicą, gdzie wiele osób znało go od urodzenia. W mieszkaniu, na oczach dzieci i matki, dostał kilka ciosów w brzuch, bo ciągle twierdził, że zaszła pomyłka. Gdy do jego przerażonej matki trzeba było wzywać pogotowie, dziewczynki usłyszały, że pójda do domu dziecka.

Jak wynika nie tylko z zeznań Z. na procesie, ale i z dokumentacji lekarskiej, policjanci znęcali się nad nim w czasie przesłuchania. Skutemu, kazali usiąść na krze-

370

śle, założyli na głowę czarny worek plastikowy, po czym został kopnięty w klatkę piersiową tak, że spadł na podłogę. I z tej pozycji odpowiadał na pytania, co robił w październiku 2004 roku pod Terespołem. Ponieważ zaprzeczał, aby kiedykolwiek znalazł się w tamtych stronach, bili go dalej. W pewnym momencie trzeba było zawieźć przesłuchiwanego na pogotowie. Tam lekarze uznali, że pacjent kwalifikuje się do szpitala.

W klinice lekarz po zrobieniu USG najpierw sprzeciwił się wysłaniu go do aresztu, ale uległ argumentom policjantów, że miejsce groźnego bandyty i gwałciciela jest za kratami. Doktor chyba miał jednak wyrzuty sumienia, bo pod diagnozą: „Brak przeciwwskazań do zastosowania aresztu” podpisał się nieczytelnym zygzakiem.

Z celi oskarżony napisał do prokuratora: - „Nie przyznaję się ani do napadu, ani do gwałtu. Jestem normalnym facetem, nie erotomanem. Modlę się, aby te kobiety doznały olśnienia, bo mnie bardzo oczerniają. Zegarek i kolczyki zabrane z mojego mieszkania są starszej córki, natomiast sygnet kupiłem na bazarze, on jest z tombaku. Nie chcę się zapoznawać z aktami, ja nic nie mam do czytania w obcej sprawie. Proszę o ponowne przeprowadzenie konfrontacji. Stanę twarzą w twarz, niech te panie mi się przyjrzą. W wigilię 2003 roku kupiłem samochód, zacząłem handlować warzywami z moim dobrym znajomym Jackiem W. Wiem, że był karany za rozbój. Za jego pośrednictwem poznałem Dariusza S., który czasem coś u mnie kupował. 21 października ub. roku pożyczyłem przyjacielowi samochód, bo chciał coś przewieźć. Nie pamiętam, co tego dnia robiłem, pewnie handlowałem na bazarze. Jestem tam znany pod ksywą »Mistrzu«”.

Następnego dnia po aresztowaniu Z. w jednym z tabloidów ukazał się artykuł pt.: „Zwyrodniały”. I wielkie zdjęcie zdjęcia Mirosława Z. (podano pełne nazwisko) z podpisem: - „Najbardziej brutalny z bandy”. Z artykułu wynikało, że Z. zgwałcił matkę i córkę, paraliżując je lufą pistoletu. Starszej wybił młotkiem wszystkie zęby. Dzięki wysiłkom policjantów z wydziału terroru kryminalnego Komendy Stołecznej Policji jest już za kratkami.

W kolejnym tekście, który ukazał się dwa dni później w wydaniu weekendowym, redakcja znów wyeksponowała zdjęcie i nazwisko mężczyzny o pseudonimie „Mistrzu”. Z podpisem: - „Nie ma jakichkolwiek zahamowań, czerpie radość z zadania niewinnym ludziom bólu i stosowania przemyślnych tortur - tak mówią o nim policjanci z wydziału terroru kryminalnego”.

Autor kolejny raz, opisując Z. i jego współników w zbrodni, podparł się anonimową wypowiedzią funkcjonariusza Komendy Stołecznej Policji. Na koniec ujawnił, że Z. należał do mafii niejakiego „Salaputa” z Marek.

Rodzina Baliszuków była zaskoczona po lekturze artykułu. Zwłaszcza Jerzego poniosły nerwy, bo jego zdaniem Mirosława Z. nie było w bandzie, która napadła na ich dom. Oburzony, zadzwonił z

pretensjami na komendę policji w Białej Podlaskiej.

371

Jeszcze tego samego dnia wieczorem przyjechali do jego domu funkcjonariusze wraz z powiatowym prokuratorem. Baliszukowie pochyłili się nad powiększonymi zdjęciami nowego podejrzanego - Roberta D. Były po obróbce komputerowej w wersjach z brodą, bez brody, z wąsami, bez wąsów...

Anecie Baliszuk już na pierwszy rzut oka D. wydał się najbardziej podobny do mężczyzny, który ją zgwałcił. Odwołała to, co wcześniej mówiła o Z. Gdy jeszcze raz przyjrzała się krzaczastym brwiom Roberta D. i jego bliznom na twarzy po trądziku, nie miała już wątpliwości, że to on ją skrzywdził.

Natomiast jej matka odwołała oskarżenie Z. o kradzież złota. Biżuteria, znaleziona w czasie rewizji w domu właściciela stoiska warzywnego w niczym nie była podobna do jej własności. Dwa dni później zwolniony z aresztu Mirosław Z. wrócił do domu jako niewin-

\*

nie posądzony. Ale jego dramat się nie skończył. W dzielnicy, w której mieszkał, egzemplarze tabloidu z jego zdjęciami podpisanymi: „zwyródnialec, gwałciciel”, z tytułem: „Musi zgnieć w więzieniu”, krążyły od domu do domu, a w nocy ktoś je przyklepał na stoisku, gdzie sprzedawał. Poszła też wieść, że nie puścili go do domu za darmo, pewno się wykupił pieniędzmi z rozbojów. Stali klienci zaczęli go omijać szerokim łukiem. Musiał zamknąć budkę, choć o inną pracę było trudno.

???

To nie koniec konfrontacji u Baliszuków. Gdy kobiety przyznały się do pomyłki z Mirosławem Z., poproszono je o ponowne obejrzenie zdjęć poglądowych, na których byli Marek P., Dariusz S. i Mariusz Z.

Aneta wskazała na zdjęcie Dariusza S., mówiąc: - „To ten, który mnie skrepował i krzyczał, gdzie są pieniądze”. Stwierdziła, że wyróżniał go „krogulczy nos”.

Także jej matka była przekonana, patrząc na fotografie Dariusza S., że to on ją bił. Natomiast pistolet do głowy przykładał jej Mariusz Z.

Najwięcej wątpliwości, jak zwykle miał Jerzy Baliszuk, ale i on w przypadku Dariusza S. nie wahał się. Był przekonany, że z ręki tego przestępcy został porażony prądem.

Te zeznania - zwłaszcza kobiet - przesądziły, o oskarżeniu przez prokuratora Dariusza S. o napad pod Terespołem i znęcanie się nad ofiarami.

Osadzony w areszcie, nie przyznawał się do rozboju, a po kilku dniach chciał się powiesić. W porę go odratowano.

Zatrzymany też został Marek P., właściciel stadniny koni w Warszawie. Pierwszego dnia zaprzeczał, że miał coś wspólnego z napadem na Baliszuków. Następnie napisał dziwny list do prokuratora z prośbą o przedłużenie mu aresztu (właśnie upływało 48 godzin od zatrzymania). Gdy podanie o pozostawienie go w celi zostało rozpatrzone pozytywnie, opowiedział, że w szopie jego stajni gang ukrywał mundury policyjne. Zgodził się na to ze strachu, bo grozili mu pobiciem, spalaniem. Na tablicy poglądowej rozpoznał Roberta D. jako tego, który razem z Ro-

372

bertem F. i Dariuszem S. spakowali któregoś dnia owe mundury oraz kilka par kajdanków.

- Z ich rozmowy domyśliłem się, że wezmą jeszcze Mariusza Z. i pojedą w okolice Białej Podlaskiej. Wcześniej kazali mi napisać na maszynie „prokuratorski nakaz przeszukania”. Podpisałem się pod tym, ale nieczytelnie - dodał na koniec.

Śledczy ponownie wezwali ofiary napadów, aby przyjrzały się portretom domniemanych przestępców.

Dziewiętnastego grudnia 2005 r. Barbara Baliszuk wskazała na zdjęcie Roberta F. jako tego, który

przykładał jej pistolet do głowy i „biegał z paralizatorem po mieszkaniu jak wściekły”. Również Aneta pokazała go przez lustro weneckie. Jerzy Baliszuk na nikogo nie wskazał, bo obawiał się, że posądzi kogoś niewinnego.

Aresztowany F. przyznał się do napadu pod Terespołem. Postawiono mu też zarzut gwałcenia kobiet.

Policja ustaliła, że czwartym bandytą w domu Baliszuków był Dariusz S., który był też oskarżony o uprowadzenie Kozłowskiego.

???

Czwartego lutego 2005 roku Renata Ruranowicz wróciła do domu około ósmej wieczorem, po zamknięciu sklepu w Izabelinie. Ledwo zdjęła kurtkę, ktoś zastukał do drzwi. Otworzyła, nawet nie patrząc przez wizjer. W progu stało trzech policjantów. Powiedzieli, że szukają skradzionego towaru. Był napad w Grójcu na hurtownię, prawdopodobnie brał w tym udział jej brat Robert. Zachnęła się, że rewizja ma być u niej, zażądała pokazania legitymacji. Wtedy przewrócili ją, zakneblowali, ręce i nogi związali taśmą. Gdy ciągnęli ją do piwnicy, słyszała krzyk matki mieszkającej w drugiej części willi.

Początkowo nie odpowiadała na pytania napastników, gdzie przechowuje pieniądze, ale gdy przystawili jej pistolet do głowy, wyznała, że są na górze, w kryształowym wazonie. Pobiegli tam.

Udało się jej trochę uszkodzić samoprzylepną taśmę na rękach, ale nie wyswobodziła się z więzów, gdyż jeden z przebranych za policjanta bandytów wrócił do piwnicy, krzycząc, aby ujawniła następne skrytki z pieniędzmi i złotem. Mimo że bił ją młotkiem, uparcie twierdziła, że nie ma już w domu ani grosza. Okłamała go mówiąc, że zaraz będzie wymiotować, niech się odsunie. Zostawił ją leżącą na betonie i poszedł do swych kumpli demolujących mieszkanie. Wtedy wyskoczyła przez okno na ciemne podwórze, dobiegła boso do szosy. Szczęśliwie już drugi samochód zatrzymał się na jej rozpaczliwe gesty. Jechał nim pewien poseł. I on zawiózł Renatę Ruranowicz na najbliższy posterunek.

Razem z funkcjonariuszami wróciła do domu, gdzie już zdążył dojechać jej brat. Uspokoił ją, że rodzicom nic się nie stało. Twierdził, że widział wybiegającego

373

CO

<

C/3

z domu obcego mężczyznę. Kobieta poinformowała policjantów, że bandyci zrabowali 20 000 zł i złotą biżuterię.

Następnego dnia policyjny ekspert sporządził na podstawie relacji poszkodowanych cztery portrety pamięciowe. Okazano im też tablice poglądowe z 16 zdjęciami domniemanych sprawców.

Była tam m.in. fotografia Roberta D. Ani Renata Ruranowicz, ani jej brat nie zauważyli podobieństwa tego mężczyzny do napastników. Na następnych tablicach Ruranowicz wskazywała na Dariusza S., choć policji było wiadomo, że nie mógł uczestniczyć w napadzie, gdyż w tym czasie przesłuchiowano go w Komendzie Stołecznej Policji.

Miesiąc później jej brat Robert zauważył na tablicy pogładowej Roberta D. jako tego, który uciekał w chwili, gdy wjeżdżał na podwórko rodziców. Jego zastrzeżenia odnosiły się tylko do wieku bandyty. Tamten, widziany na żywo nocą, wyglądał na młodszego.

Robert D. został zatrzymany. Następnego dnia Renata Ruranowicz mogła go zobaczyć przez weneckie lustro. Tym razem widziała pewne podobieństwo, jak złamany nos, choć miała wrażenie, że mężczyzna, który się nad nią znecał, był bardziej rudy. Robert D. nie przyznał się do żadnego z napadów: w Izabelinie, pod Terespołem i w Węgrowie.

Czternastego kwietnia 2005 roku okazano Ruranowiczom Huberta D. Nie rozpoznali go. Ale mężczyzna sam się przyznał do rozboju w Izabelinie. Jednak następnego dnia na rozprawie w Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Śródmieścia, gdzie zdecydowano o jego areszcie odwołał wszystko, co mówił w czasie przesłuchania. Twierdził, że poprzednie wyjaśnienia były wymuszone biciem. Z akt sprawy nie wynika, aby wywołało to jakąkolwiek reakcję sędziego.

Prawie rok później Renata Ruranowicz została wezwana na ponowne okazanie policyjnych zdjęć, wśród których znajdowała się fotografia Huberta D. Ponownie nie rozpoznała nikogo. W innym albumie, który oglądała, znajdowało się zdjęcie Dariusza S. Już pokazywano jej tę fotografię tuż po napaści i wtedy nie dostrzegła podobieństwa owego mężczyzny do napastników. Po upływie roku od dramatycznego zdarzenia wskazała na Dariusza S. jako tego, który „chodził po moim domu i sprawdzał, czy nikogo więcej nie ma. Później ciągnął mnie do piwnicy”.

Następnie okazano jej fotografię Piotra K. - stwierdziła, że w piwnicy przystawił jej do głowy lufę karabinu.

Zarówno Piotr K., jak i Dariusz S., mimo że nie przyznali się do popełnienia przestępstwa, zostali aresztowani.

???

Dwudziestego czwartego lutego 2005 roku ojciec i syn Wyszlakowie mogli zobaczyć przez lustro weneckie kilku mężczyzn, wśród których stał podejrzany Robert D. Mło-

374

demu Wyszlakowi żaden z okazanych nie kojarzył się z napastnikami. Natomiast jego ojciec twierdził, że D. jest ładnie podobny do bandyty w przebraniu policjanta, który przewrócił go na ziemię, okleił ręce i nogi taśmą i mocno bił.

Okazano też Wyszlakom Dariusza S. O ile na pierwszych tablicach pogładowych

- gdzie też było aktualne zdjęcie tego mężczyzny - ani ojciec, ani syn nie widzieli jego podobieństwa do napastników, to w pół roku później Jerzy Wyszlak rozpoznał S. jako szczególnie okrutnego oprawcę...

Podobnie było z Mariuszem Z. Dopiero po kilku miesiącach Wyszlak senior poznał go na policyjnym zdjęciu jako tego, który wchodził do domu ostatni. Ale nie utkwiła mu w pamięci wzrokowej szeroka blizna w pobliżu oczu podejrzanego. Również Bartłomiej Wyszlak nie zauważył tej charakterystycznej szramy.

???

W Prokuraturze Okręgowej w Warszawie zapadło postanowienie o połączeniu postępowań przygotowawczych dotyczących rozbojów w Węgrowie, Izabelinie i koło Terespoła. Akt oskarżenia był gotowy 13 lutego 2006 roku. Przed sądem mieli stanąć: Robert D., Mariusz Z., Dariusz S., Marek P., Robert F., Jacek W., Hubert D., Dariusz S., Piotr K. Żaden z oskarżonych nie przyznał się w śledztwie do popełnienia zarzucanego mu przestępstwa.

Proces sądowy (przewodniczącą składu sędziowskiego została sędzia Barbara Piwnik) wykazał wiele nieprawidłowości na etapie śledztwa.



Przykłady: świadek Robert K., który w śledztwie obciążył Roberta D., że jakoby chwalił mu się - gdy przez dwa lata siedzieli w jednej celi - sadystycznym okrucieństwem w gwałceniu i maltretowaniu ofiar napadu pod Terespołem, sam podważył swoją wiarygodność. Na pytanie sędzi, ile miał postawionych zarzutów karnych w ostatnich latach, odparł lekko - nie wiem dokładnie, chyba około stu. Handel narkotykami, wymuszenia, podkładanie ładunków wybuchowych. Samych podpaleń chyba z dwadzieścia. W więzieniu wypisują mi na ścianach, że jestem konfidentem.

Zaskakujące zeznanie złożyła na rozprawie Renata Ruranowicz: - Wychodzi na to, że zrobiłam z siebie idiotkę. Co innego mówiłam w śledztwie, co innego teraz - wyznała.

Miała na myśli rozpoznanie Roberta D. Raz dostrzegła, że wyróżnia go skrzywiony po złamaniu nos, to znów zaprzeczyła, aby miał coś charakterystycznego w wyglądzie.

Wątpliwości budziły też zeznania poszkodowanej o ucieczce bosą z piwnicy domu. Była zima, na drodze lód, a na zdjęciu, które zrobiono, gdy dotarła na posterunek nie widać, aby miała pokaleczone stopy.

Z kolei Jerzy Wyszlak opowiedział sądowi, jak wyglądało w Komendzie Stołecznej Policji rozpoznawanie bandytów. Na tę chwilę czekał wraz z synem dość długo

375

w korytarzu, siedząc obok rodziny Baliszuków. Wymieniali się wrażeniami o nieszczęściu, które ich spotkało. Zapewne dlatego wszystko potem w ich zeznaniach się wymieszało, poplątało. Nie tylko co do wyglądu przestępców, ale i takich szcze-05 GOLÓW, jak czym ich bito. Jerzy Wyszlak powiedział w śledztwie, że młotkiem, ale teraz prostuje - dostał po nogach kluczem francuskim. To pod Terespołem był w użyciu młotek.

- A dlaczego początkowo w śledztwie wskazywał w albumie z poglądowymi zdjęciami na Mirosława Z., jako najbardziej podobnego do oprawcy? - dociekała sędzia.

- Bo słyszałem - wyjaśnił - jak policjanci między sobą rozmawiali o tej fotografii. I wymieniali nazwisko. Później jednak doszedłem do wniosku, że nie był to Z.

- Z biegiem czasu niektóre rzeczy się zmieniły - brzmiała refleksyjna uwaga starszego Wyszlaka na pytanie, czy potwierdza odczytane mu zeznania z śledztwa.

Barbara Baliszuk błędne wytypowanie Mirosława Z. jako najbardziej agresywnego napastnika w jej domu tłumaczyła zasugerowaniem się artykułem w gazecie.

Jej córka Aneta nie odpowiedziała na pytanie sądu, czy przeczytana wcześniej publikacja wpłynęła na rozpoznanie przez nią Dariusza S. Nie miała natomiast wątpliwości co do jednego - gwałcił ją Robert D. Nie mogła sobie tylko przypomnieć, czy zgłaszała, że napastnik miał krzywy nos.

Natomiast jej ojciec twierdził, że wbrew temu, co mu odczytano na sali sądowej z protokołów śledztwa, na pewno nie powiedział, patrząc przez lustro weneckie na Mirosława Z., że to na sto procent człowiek, który napadł na ich dom.

Co do Dariusza S., którego wcześniej określali w rodzinnych rozmowach jako „świńskiego blondyna", to nie pamiętał, czy najpierw zobaczył jego fotografię podczas okazania na policji, czy w tabloidzie.

???

Zbiorowa amnezja dotknęła w sądzie wezwanych na świadków funkcjonariuszy policji. Policjant operacyjny, który typował sprawców, nie rozpoznał, kto siedzi w ławie dla oskarżonych. Na pytanie, czy Hubert D. odpowiadał chętnie w czasie przesłuchania w śledztwie, czy też trzeba było go przekonywać do udzielenia odpowiedzi, funkcjonariusz zeznał: - Gdy mówił, że czegoś nie pamięta, to dla przypomnienia podawało mu się jakieś fakty z zeznań innych świadków, albo z technik operacyjnych (słowa te zostały skwitowane zbiorowym śmiechem oskarżonych).

Na pytanie sędzi, jak zareagował na skargę D., że w czasie przesłuchania był pobity przez policję do utraty przytomności - świadek odpowiedział, że nie przywiązywał do tych opowieści wagi.

Z kolejnych zeznań śledczego wynikało, że pomyłono Roberta D. z Robertem F., choć, co

przyznał, ci mężczyźni w ogóle nie są do siebie podobni. Policjant nie po-

376

trafił też odpowiedzieć na pytanie, na jakiej podstawie ustalił, kto dokonał napadu S na rodzinę Ruranowiczów. ^

O

???

t2S

W maju 2009 roku proces przed Sądem Okręgowym Warszawa-Praga dobiegł koń- w ca. Prokurator domagał się po 15 lat więzienia dla Roberta D. i Dariusza S.; 12 lat dla Mariusza Z.; 10 lat dla Roberta F., po 8 lat dla Marka P., Huberta D., Dariusza S., f^j Piotra K., a 6 lat dla Jacka W. f^

Tymczasem sąd uniewinnił oskarżonych od podstawowego zarzutu dokonania ^ rozbojów. Wywołało to wielkie poruszenie na sali sądowej. Przewodnicząca składu ?> sędzia Barbara Piwnik długo tłumaczyła, dlaczego tylko taki mógł zapaść wyrok.

Oto najważniejsze z argumentów pisemnego uzasadnienia (211 stron zapisanych 3\* małą czcionką!):

Jeśli jest bodaj podejrzenie, że wyjaśnienia oskarżonych lub zeznania świadków były składane z pogwałceniem swobody wypowiedzi, obowiązkiem sądu jest o w pierwszej kolejności ustalenie, czy istotnie do tego doszło, a dopiero potem można rozważać, czy dowody są wiarygodne.

Na przykład w przesłuchaniu podejrzanego przez prokuratora nie może uczestniczyć policjant, który uprzednio to robił. Również wielokrotne nieuzasadnione przesłuchiwanie tej samej osoby na te same okoliczności może być traktowane jako wymuszanie na niej zeznań.

Mirosław Sz., na którego zeznaniach w dużej mierze został oparty akt oskarżenia, nie był przesłuchiwany w żadnym z oddzielnie toczących się postępowań w powiatowych prokuraturach zajmujących się sprawami Baliszuków, Wyszlaków i Ruranowiczów. Mimo to, jego wyjaśnienia (jako podejrzanego o uprowadzenie Kozłowskiego, czym zajmowała się prokuratura w Warszawie), rzutowały na czynności śledczych w terenie. W tej sytuacji Mirosława Sz. przesłuchiwano jako świadka w sprawie, w której równolegle był podejrzany.

Gdy 33-letni Sz. zaproponował warszawskiej prokuraturze „współpracę”, nie miał czystej kartoteki. Był karany jeszcze przed zatrzymaniem w sprawie o uprowadzenie Kozłowskiego. Zabiegając o status świadka koronnego, starał się zrobić na prokuraturze wrażenie osoby świetnie zorientowanej w światku przestępców. Ale podczas procesu stało się widoczne, że w jego wyjaśnieniach było bardzo dużo sprzeczności, których w materiale dowodowym nawet nie próbowano rozwikłać.

Przesłuchanie Sz. trzy miesiące po zatrzymaniu, w kwietniu 2005 r., w którym po raz pierwszy przyznaje się do ukrywania w domu narkotyków i amunicji („dotychczas nie mówiłem o tym policji, bo nie było wiadomo, jak zostanie potraktowana moja skrucha i współpraca”), wskazuje, jak dalece instrumentalnie traktował on składanie wyjaśnień. Od tego dnia jak najęty „nadawał” o przestępstwach

377

\*^ swoich i kumpli. Mówił o napadach na TIR-y, od kogo brał mundury policyjne, który z funkcjonariuszy zdradzał mu informacje o terminach nalotów policyjnych i da-tj| nych świadka incognito do innego zdarzenia, w które był zamieszany, jak we ?<j współpracy z policją podrzucał gangsterom z Pruszkowa trefny samochód, aby skierować na nich podejrzenie.

?

Sz. słusznie liczył na zwolnienie go z aresztu.

- To oczywiście, że chęć odzyskania wolności sprawia, że taka osoba będzie bardziej skłonna kierować się oczekiwaniami prokuratora niż ujawnieniem prawdy - napisała sędzia w analizie

materiału dowodowego opartego na zeznaniach Sz. Jednakże wyjaśnienia tego świadka i zarazem podejrzanego nie były konsekwentne, zawierały wręcz sprzeczności i to o charakterze istotnym, dotyczącym choćby znajomości z P., czy zakresu kontaktów z Dariuszem S., Robertem D. i Z. Kwestie te nie zostały wyczerpująco wyjaśnione na etapie śledztwa. Wyjaśnienia Sz. zawierały w zasadzie ogólniki dotyczące jakichś zdarzeń, które ewentualnie mogły być dopasowane do przestępstw popełnionych na szkodę osób z rodziny Baliszuków i Wy-szlaków. Nawet bowiem jeśli mówił o napadzie w Białej Podlaskiej, to interpretowano to jako napad pod Terespołem, choć nie zgadzały się także inne szczegóły wynikające z zeznań pokrzywdzonych.

Sz. jako świadek twierdził, że dowiedział się o napadzie w trakcie picia z Robertem F., który rozповідаł, że za wszystkim stał P. i ofiarom działy się rzeczy straszne. Ale nie był w stanie określić, kiedy miał o tym usłyszeć. Nie potrafił też jednoznacznie przedstawić zdarzeń łączących się z poznaniem P., F., czy Roberta D., choć brał w nich udział. Jednego dnia mówił np., że policja znalazła w piwnicy broń od F. oraz mundury potrzebne do napadów metodą „na policjanta”, ale nie był w stanie określić, co dokładnie składało się na ten ubiór. Według innej jego wersji, F. miał broń zgubić...

I te nieprecyzyjne twierdzenia były podstawą oskarżenia F.

Mirosław Sz. ewidentnie też dopasowywał treść kolejno składanych wyjaśnień do zmieniających się oczekiwań przesłuchujących go. Jednakże prokurator nie starał się oddzielić prawdy od fałszu.

Również zeznania Roberta K., który też miał obiecać w śledztwie skorzystanie z art. 60 kk. (choć to sąd może zastosować nadzwyczajne złagodzenie kary), wzbudziło wiele wątpliwości w toku procesu sądowego. Z oczywistych względów nie był to człowiek prawy, czy choćby prawdomówny - przez 6 lat działał w zorganizowanej grupie przestępczej.

Prowadzący postępowanie w sprawie napadów nie przesłuchiwał świadka K. osobiście, a jedynie dołączył do akt kserokopie protokołów przesłuchań tego mężczyzny, gdy był podejrzanym. Przed sądem K. nie potwierdził wielu ustaleń, opartych na jego wcześniejszych wyjaśnieniach, które były zaledwie strzępami informacji dotyczących bliżej nieokreślonych wydarzeń. Nie wiadomo, czy tak było naprawdę, czy

378

też śledczy mieli do czynienia z typową konfabulacją osób karanych, które chcą podnieść własną pozycję w świecie przestępczym.

Nie bez znaczenia jest fakt, że o K., który siedział w więzieniu z Robertem D. mówiło się, że jest konfidentem. D. był grypsującym. Złamanie zasad więziennej podkultury, np. kontaktowanie się z konfidentem, mogło spowodować wykluczenie z grona grypsujących. K. nie mógł więc uzyskać od D. istotnych informacji. Świadek zresztą nie pamiętał, czyjego towarzysz z celi opowiadał mu w szczegółach o chociaż jednym napadzie. W tych warunkach zeznania K. są dla aktu oskarżenia bezwartościowe.

Zwłaszcza, że Robert D. nie przyznał się w śledztwie do rozbojów. Podał, że we wrześniu i październiku 2004 r., gdy był napad na Wyszlaków i Kaliszuków, pracował w warszawskiej firmie, ma alibi. Odmówił składania dalszych wyjaśnień, ponieważ po zatrzymaniu był brutalnie bity w pokoju przesłuchań. Jego stan po przesłuchaniu wymagał interwencji lekarza.

Na pobicie po tzw. okazaniu skarżył się też Mariusz Z.

- Wy tłumaczono mi ręcznie, żebym się przyznał, nie mówiąc nawet konkretnie, do czego - powiedział na sali sądowej.

Podobnie potraktowali przesłuchujący Roberta D. Jak wynika z protokołu zatrzymania, informował policjantów, że jest chory na serce, musi mieć stale pod ręką nitroglicerynę. Lekarz więzienny tym się nie zainteresował. Natomiast na pogotowiu stwierdzono u D. obrzęk jąder i zasinienie pośladków.

Nie przyznał się do napadu na Baliszuków Jacek W. - to ten, którego w okolicach Siedlec zatrzymała kontrola drogowa, gdy samochodem pożyczonym od Mirosława Z. wioził Dariusza S. W. konsekwentnie twierdził, że odebrał S., swego dobrego znajomego, z motelu, gdzie w tajemnicy

przed żoną spędził kilka godzin z pewną Ukrainką. Wiarołomnego małżonka zostawił koło Dworca Zachodniego w Warszawie, a sam pojechał na bazar. Tam dowiedział się o napadzie pod Terespołem.

Również Dariusz S. nie przyznał się do uprowadzenia Kozłowskiego i napadów na Baliszuków oraz Wyszlaków. - Postanowiłem, że wyjaśnienia złożę dopiero w trakcie procesu - oświadczył na pierwszej rozprawie.

Skąd ta nieufność do prokuratora? Twierdził, że na komendzie stołecznej manipulowano nim. Był wielokrotnie okazywany przez weneckie lustro - ale nie wiedział komu i w jakiej sprawie. Za każdym razem dowiadywał się od policjantów, że rozpoznano go „na 100 procent”...

Trzeciego lutego 2005 roku S. został zatrzymany pod zarzutem uprowadzenia dla okupu Kozłowskiego. Po dwóch godzinach przesłuchania oskarżono go też o udział w napadach w Węgrowie i pod Terespołem. Jak wyjaśnił w sądzie, sposób prowadzenia z nim rozmów, gdy znalazł się w areszcie w Białej Podlaskiej doprowadził go do załamania psychicznego. Próbował odebrać sobie w celi życie; odratowano go. W toku śledztwa prokurator nie dociekał, skąd ten desperacki krok.

Marek P., właściciel stadniny koni, również znalazł się w areszcie z powodu podejrzenia go o uprowadzenie Kozłowskiego. Dwa dni później prokuratorskie zarzuty zostały rozszerzone o zorganizowanie grupy przestępczej i zlecenie jej rozboju u Baliszuków. Miał też zaopatrywać bandytów w policyjne mundury i samochód.

Początkowo P. odżegnywał się od posądzenia go o jakiegokolwiek przestępstwo. Po kilku dniach przyznał, że w stajni miał schowane w sianie mundury, kajdanki i maszynę do pisania. Ale on nie napadał. Te trefne rzeczy ukrywali u niego bandyci z mafii mokotowskiej. Zagrozili mu, że jeśli ich wyda, spalą stajnię. Bał się też płacenia wysokiego haraczu.

W czasie kolejnego przesłuchania wyjaśnił, że w październiku 2004 roku przyjechał do niego wieczorem Robert D. z Dariuszem S. po mundury. Zawiózł ich do Białej Podlaskiej. Równocześnie wyruszył w tamtą stronę Z. z Robertem F. Spo-tkali się na poboczu drogi i wszyscy czterej przesiedli do poloneza, zabierając torbę z mundurami. Polonez pojechał w kierunku Terespoła. Po 30 minutach zadzwonił D., wskazując miejsce, gdzie ma na niego czekać. Marek P. zrobił tak, jak mu kazano.

Odwoził też bandytów do Węgrowa. Dostał za to 500 zł, które Robert D. odliczył z pliku pieniędzy, które miał w kieszeni.

W toku dalszych wyjaśnień Marek P. zaprzeczył temu, co mówił na komendzie w Białej Podlaskiej. W czasie przesłuchania był bardzo senny. Cierpi na cukrzycę, a w areszcie w Białej Podlaskiej nie miał przez trzy dni leków. Policjanci powiedzieli mu: albo się dogadujemy i zostajesz jeden dzień, albo idziesz siedzieć. Twój adwokat jest daleko. Tak jak mu kazali, napisał do prokuratora w Białej Podlaskiej prośbę o zatrzymanie go w areszcie. Podporządkowanie się oczekiwaniom przesłuchujących uważał za jedyną szansę na powrót do domu.

Po jakimś czasie odwołał wyjaśnienia złożone w czasie pierwszego przesłuchania.

Hubert D. początkowo przyznał się do napaści na Ruranowiczów razem z braćmi S. oraz K... Opowiedział taką historię: Do przestępstwa nakłonił go Dariusz S., którego poznał w 2003 roku po wyjściu z więzienia, gdy szukał pracy. Ten nowy kumpel podsunął mu pomysł łatwego zarobku - rozboje metodą „na policjanta”. Gdy pod koniec stycznia 2005 roku znów się spotkali, S. miał dla niego robotę; pojedą z kumplami odebrać 50 tysięcy złotych od niesumienego dłużnika w Izabelinie. Jeśli stanie na czatach przed tym domem, dostanie 1000, a może i 2000 zł. Hubert D. się zgodził.

Czwartego lutego czekał na nich na przystanku, podjechali polonezem. W samochodzie byli S., D. i K.; wszyscy w cywilnych ubraniach. Po drodze zatrzymali się w lesie, aby przebrać się w policyjne mundury. Przed domem, gdzie mieszkał dłużnik, kazali mu obserwować, czy ktoś nie nadchodzi. Zauważył, że D. wyjął mały pistolet. Po 15 minutach przybiegli zdenerwowani, że uciekła kobieta, której w piwnicy domu pilnował S. Pieniądzy nie odzyskali, a K. zwiął do lasu.

Następnego dnia - wyjaśniał do protokołu Hubert D. - spotkał na ulicy K. Powiedział mu, że do Warszawy dojechał pociągiem. Nie miał biletu, a ponieważ złapali go kontrolerzy, wykupił się złotem, które miał z rabunku w Izabelinie.

Na rozprawie sądowej Hubert D. odwołał swoje wyjaśnienia złożone przed prokuratorem. Twierdził, że w śledztwie został zmuszony biciem do podpisania protokołu przesłuchań.

Wyjaśnienia Huberta D., złożone dwa miesiące po napadzie na Ruranowiczów, jedynie pozornie obfitują w szczegóły o tym zdarzeniu. W zestawieniu z zeznaniami pokrzywdzonych widać duże rozbieżności. Nie zgadza się kolor poloneza ani to, którzy z napastników mieli być ubrani w części mundurów i jakie. Także opis miejsc, gdzie obok samochodu oczekiwał K. nie odpowiada wyglądowi posesji Ruranowiczów. Trudno też uwierzyć w wersję o ucieczce pieszo K., gdy zorientował się, że jego kumple odjechali samochodem. Przecież mogli go zabrać z innego dowolnego miejsca - mieli telefony komórkowe. Jeśli rzeczywiście szedł pieszo do najbliższego przystanku kolejowego, to znaczy, że pokonał zimą w nocy około 60 km! Kolejna nielogiczność w akcie oskarżenia: po co K. miałby się wykupywać u kolejarzy skradzionym złotem, skoro, jak wynika z zeznań Ruranowiczowej, zabrano jej dużo gotówki. I to właśnie K. rabował pieniądze.

Również zestawienie mało logicznej wersji zdarzeń D. (następnego dnia zresztą odwołanej) z wyjaśnieniami pozostałych oskarżonych nie daje dowodów na ich udział w napadzie.

Nie bez znaczenia jest i to, że u żadnego z oskarżonych (również w sprawie napadu na Wyszlaków) nie znaleziono żadnej rzeczy pokrzywdzonych, ani też większej gotówki.  
? ? ?

Wiele wątpliwości sądu budził sposób typowania sprawców napadu. Zwłaszcza w Węgrowie i pod Terespołem. Z zeznań funkcjonariusza Różyckiego wynikało, że opierał się on na wyjaśnieniach Sz. Relacje tego świadka wskazywały, jak dalece dowolne, bez dokładnego zapoznania się z faktycznie zebrany materiał, były poczynania policjantów przy tzw. typowaniu. Pomyłki w dokumentach, będących podstawą aktu oskarżenia, były rażące. Dezynwoltura przesłuchujących dotyczyła m.in. takich faktów, jak marka czy kolor użytych do przestępstwa samochodów.

„Okazania” w Komendzie Stołecznej Policji odbywały wbrew regulaminowi. Ba-liszukowie spotkali się na korytarzu z Wyszlakami i wspólnie obgadywali wygląd napastników. Obok siedzieli przykuci do kaloryferów podejrzani, oczekujący na przeprowadzenie okazania. Ofiary napadu wcześniej widziały zdjęcia wytypowanych przez policję sprawców w albumie pogładowym.

Zastępowanie przesłuchań „rozpytaniami”, nawarstwiło wątpliwości, których nie wolno rozstrzygać na niekorzyść oskarżonych.

Niedoróbką w materiale dowodowym był też niesprawdzony wątek powiązań Jerzego Baliszuka ze światem przestępczym. A skoro nie ustalono możliwego kręgu osób, które miały „sprzedać” Baliszuka, to wskazywanie w sposób dość dowolny na P. nie może zastępować prawidłowo gromadzonych dowodów. Pod znakiem zapytania jest prawdziwość zeznań Anety Baliszuk. Najpierw wskazała na Mirosława Z., jako swego gwałciciela; na widok tego oprawcy ponoć dostała spazmów. Potem, jeszcze w śledztwie, odwołała swoje rozpoznanie. Przed sądem zeznała: - Może było tak, że na komendzie płakałam, ale nie pamiętam. To dość osobliwe dla kobiety, która w wieku 19 lat miała być brutalnie zgwałcona. Jeśli w ogóle do gwałtu doszło.

Wiele też błędów popełniono w czasie śledztwa dotyczącego napadu na Wyszlaków. Nie przesłuchano kobiety mieszkającej za płotem, która przez okno swego mieszkania obserwowała, któż to o świcie dobija się do sąsiadów. Na sali rozpraw powiedziała, patrząc na oskarżonych, że widzi ich po raz pierwszy.

BO

Jerzy Wyszlak nie tylko nie potrafił bezpośrednio po zajściu podać rysopisów bandytów, ale wprost stwierdzał, że dwóch na pewno nie rozpozna, a co do trzeciego, to się poważnie waha.

Tymczasem po kilku miesiącach (i spotkaniach z Baliszuka-mi) oglądając na komendzie zdjęcie Z. nagle poznał go jako tego, który wchodził do jego domu ostatni.

Jest to tym bardziej nieprawdopodobne, że Z. ma widoczną bliznę nad okiem, a żaden z pokrzywdzonych pytany o cechy charakterystyczne napastników o tej szramie nie mówił.

Na pierwszych okazanych tablicach poglądowych było też aktualne zdjęcie Dariusza S., ale obaj Wyszlakowie nie wskazali na podobieństwo do wizerunku przestępców. Dopiero po upływie prawie roku Jerzy Wyszlak rozpoznał Dariusza S. jako swego oprawcę...

Nie można wszakże o te pomyłki winić tylko pokrzywdzonych. Na ich rozpoznaniach zaciążyły warunki, w jakich mieli zdecydować o winie okazywanej im osoby. Trudno nie ulec sugestii nawet przy daleko posuniętej dobrej woli, gdy poszczególne komendy policji przesyłają sobie zdjęcia już podpisane nazwiskami.

Szczególnie było to rażące, gdy szukano sprawców napadu na Ruranowiczów. Typowali ich policjanci różnych jednostek i w rezultacie wygląd Roberta D. w oczach pokrzywdzonych zmieniał się i odpowiadał trzem różnym rysopisom na trzech różnych portretach pamięciowych. Raz był brunetem z siwizną na skroniach, kiedy indziej rudawym, to znów kruczoczarным. Zmieniał mu się owal twarzy, kształt zarostu. Z materiału dowodowego nie wynika, że na pewno nosił wasy i brodę. Jego prawdziwe zdjęcia z 2003 roku, a więc jeszcze przed napadami, tego nie potwierdzają.

Uniewinniając oskarżonych (wyrok nie jest prawomocny) sędzia Barbara Piwnik stwierdziła, że akta prokuratorskie, łącznie z ich uzupełnieniem w toku postępo-

wania przed sądem pierwszej instancji, nie dają podstaw do udowodnienia ponad wszelką wątpliwość, że Robert D., Mariusz Z., Dariusz S., Robert F. i Marek P. uczestniczyli w napadach. Bezsporne jest, że wszyscy są ze środowisk przestępczych, podobnie jak wielu świadków. Ale odnoszą się do nich takie same reguły prawa, jak do każdego innego obywatela. Może nawet w jakimś zakresie typowanie sprawców było trafne, jednakże dopóki wina nie zostanie udowodniona ponad wszelką wątpliwość, dopóty takiej osobie nie można przypisać popełnienia przestępstwa.

\* Nazwiska poszkodowanych zostały zmienione.

Janusz Cz. sam się wkopał przed prokuratorem, bo chciał uniknąć więzienia.

W 2000 roku brał udział w skoku na bank PBK w Warszawie przy ul. Jasnej. Sześciu ich było, licząc ochroniarza w tymże banku. Z pomocą tego ostatniego próbowali dowiercić się do skarbcza. Ale nie mieli odpowiedniego sprzętu. Ten, którym dysponowali - siłą zabraną pewnemu właścicielowi firmy usługowej - okazał się szmelcem. Na domiar złego pozostali ochroniarze nie chcieli połknąć wlewanego im do gardła soku z proszkiem nasennym. Trzeba było ich pobić i zwięzać, co zabrało gangsterom trochę czasu; nie wyrobili się z rozbijaniem skarbcza. Policja złapała ich na gorącym uczynku.

Janusz Cz. zeznał, że poszedł na robotę przymuszony przez szefa, znanego wołomińskiego gangstera ksywa „Klepak”.

Oskarżony o napad kusił prokuratora obietnicą, że jeszcze wiele mu powie o podwarszawskiej mafii, jeśli dostanie status świadka koronnego. Taki, jakim się pysznił słynny „Masa” z „Pruszkowa”. 30-letniemu Januszowi Cz. imponowało to wszystko, co towarzyszyło skruszonemu gangsterowi z konkurencyjnej dla „Wołomina” bandy.

Na przykład: konwojowanie na salę rozpraw przez dziewięćdziesięciu sześciu an-tyterrorystów. Widowskie zabezpieczenia miejsca procesu: komandosi z kompanii antyterrorystycznej, kamery we wszystkich pomieszczeniach, przez które przechodził świadek koronny. Boksy dla oskarżonych osłonięte poczwornie klejonymi szybami trzycentymetrowej grubości. Adwokaci porozumiewający się z ze swym klientem tylko przez interkom.

Janusz Cz. wiedział, że za otwarcie takiego parasola nad nim będzie musiał coś prokuratorowi opowiedzieć. Nie wystarczy zrzucenie całej winy na „Klepaka”. Od kandydata na świadka koronnego nie oczekuje się powściągliwości.

Wykalkulował sobie, że rzuci prokuraturze na żer byle co - więc wspominał, że poza udziałem w

napadzie chciałby się przyznać do tworzenia jednoosobowych firm w celu wyłudzenia podatku VAT albo naciągnięcia na pożyczki firm leasingowych. Takich fikcyjnych firm z lewymi fakturami stworzył ponad pięćdziesiąt. Każda pod innym szyldem.

- W interesach - ujawnił Janusz Cz. - zazwyczaj posługiwaliśmy się tzw. słupami, ludźmi z ulicy; najbardziej opłacało się przygarniecie bezdomnego z Dworca Centralnego. Taki za 100 zł godził się podpisać każdy dokument. A gdy się go umyło, ubrało, dostał nowe zęby, to jako prezes spółki negocjował w banku kredyt. Tylko, że wtedy miał nakazane, aby się nie odzywał. Wszystko, co trzeba, referował za niego podstawiony asystent.

???

Nie spodziewał się, że wzbudzi swą opowieścią aż takie zainteresowanie.

384

Śledczy zamienił się w słuch, bo wiedział, że na trop podobnych przestępstw raz po raz wpadają prokuratury w innych rejonach kraju. Można więc doszukiwać się głębszych, systemowych przyczyn.

Oto w Bielsku-Białej pewien stolarz, właściciel bankrutującego warsztatu, gdy brakowało pieniędzy, sprzedał swoje nowoczesne maszyny do obróbki drewna miejscowej firmie leasingowej. Dostał 180000 zł. Ale linia technologiczna nie wyjechała za bramę, bo przedsiębiorca natychmiast wziął ją w leasing od wspomnianego nabywcy urządzeń. Zgodnie z umową, za używanie już nie swoich maszyn płacił miesięczne raty. Wkrótce jednak przestał i wtedy swoją „złota kurę” - wspomniane urządzenie do obróbki drewna - ponownie sprzedał firmie leasingowej, tyle że w innym mieście. Bardziej hojnej, bo za te same maszyny dała ponad 433 000 zł. Wypróbowany manewr właściciel stolarni powtórzył czterokrotnie. Prokuratura podliczyła, że w sumie wyłudził co najmniej 2100000 zł.

Inaczej nabrała klientów za pomocą magicznego słowa „leasing” firma Krzysztofa P. z Opola. Oferowała w leasingu samochody z fabryki w Nysie. Kontrahenci chętni wpłacali kaucję gwarancyjną, która miała być jednocześnie pierwszą ratą i dawała prawo do wyjechania niespłaconym jeszcze samochodem jak własnym za bramę zakładu. Gdy jednak po uiszczeniu tego rachunku zgłaszali się po odbiór pojazdu, na miejscu dowiadywali się, że w fabryce nie słyszano o takiej firmie leasingowej i oczywiście nie wpłynęły żadne pieniądze.

Innym razem firma pana P. ogłosiła w prasie atrakcyjny przetarg na samochody ciężarowe. Trzeba było wpłacić kaucję w wysokości 10% wstępnej ceny. Wielu zainteresowanych taką okazją spełniło ten warunek. W rzeczywistości żadnych ciężarówek firma nie miała.

Oszuści albo naciągali interesantów pod fałszywym szyldem rzekomej firmy leasingowej, albo też żerowali na dobrym imieniu firm renomowanych. Taki los spotkał m.in. Europejski Fundusz Leasingowy, Polish Leasing Company SA „Leasco”, Towarzystwo Finansowo-Leasingowe, Lubelskie Towarzystwo Leasingowe SA, Daewoo Leasing.

???

Janusz Cz. opowiedział dokładnie prokuratorowi jak nabierano klientów w firmach „Klepaka”. Z woli znanego gangstera dostał gabinet prezesa. Nim wszedł w orbitę wołomińskiej mafii, był w rodzinnych Markach synem znanego producenta obuwia, głównie eksportowanego na wschód. Jego rodowe nazwisko dużo znaczyło w branży (fabryczka ojca zatrudniała ponad 200 osób). Ale z czasem rynek na terenach byłego Związku Radzieckiego okazał się niestabilny i firma ojca zaczęła podupadać. Mistrz szewskiego kopyta senior Cz. nie miał już dawnej siły przebiccia, zwłaszcza wobec zalewu obuwniczej tandety z Chin. Klęskę przeżywał tak mocno, że przyczyniła się do jego śmierci.

385

JH

Spadkobierca upadającej fortuny Janusz Cz. usiłował wyprzedawać zalegające w magazynach obuwiu. Kręcił się z tym niechodliwym towarem na warszawskim Stadionie 10-lecia, szukał kontaktów. Tak poznał Dariusza A., stałego bywalca największego bazaru Europy. Zwierzył mu się z kłopotu. A., który nie wiadomo z czego żył, bo zawsze miał wolny czas i niczym nie zajęte ręce, podsunął Januszowi Cz. pomysł zawiązania spółki pośredniczącej w docieraniu klientów do firm leasingowych. Miał już dla niej nazwę - „Marwol”.

- Dlaczego „Marwol”? - zapytał przytomnie Janusz Cz.

- Od imienia Małgorzata (to imię kobiety „Klepaka”). Ona jest tam przewidziana jako udziałowiec - padła zdecydowana odpowiedź. Janusz Cz. pojął, w czyje dostał się ręce. Ale, jak tłumaczył prokuratorowi - musiał iść na układ, bo nie mógł sobie wyobrazić, jak to jest, gdy człowiek ma tylko drobne w portfelu.

Spółka „Marwol” stała się klientem firm leasingowych. Żeby uzyskać pożyczki, jej prezes przedstawiał biznesplan, z którego wynikało, że jego wprawiona na przykład w robieniu butów firma (specjalizacja zmieniała się w zależności od tego, na jaki haczyk naciągano pożyczkodawcę) odzyska zdolność produkcyjną, jeśli kupi nową linię technologiczną. Są chętni do sprzedania takich maszyn, bardzo dobrych, proszę, tu dokumentacja, potrzeba tylko na początek trochę pieniędzy.

Wszystko to brzmiało wiarygodnie i firmy leasingowe bez oporów załatwiały pieniądze w bankach, a te płaciły dostawcom linii produkcyjnej. Zazwyczaj dopiero po kilku miesiącach, gdy okazywało się, że wpłynęła tylko pierwsza rata za leasing, poszkodowani pośrednicy poznawali całą prawdę: wszystko, co wiązało się z „Marwolem”, było fałszywe. Zarówno dokumenty dotyczące rzekomej wartości maszyn (w rzeczywistości urządzenia pochodziły z lat 50., a ich tabliczki znamionowe były podrobione), jak i dostawcy tych linii - tak naprawdę firmy-krzaki powiązane z gangsterami „Wołomina”. Produkcja butów, czy czegokolwiek innego, w ogóle nie wchodziła w rachubę.

Ofiarami przekrętów zostali też ci drobni przedsiębiorcy, którzy zawierzyli prezesowi Cz., że pomoże im dostać kredyt. Tacy jak Ewa G. z Pajęczna, notabene absolwentka uczelni ekonomicznej, kierunek zarządzanie.

- Nasza rodzinna firma miała trudności - zeznała potem na procesie - daliśmy więc ogłoszenia do gazet, że szukamy inwestora, który by wpompował w to przedsiębiorstwo 500000 zł. Odezwała się firma „Indol”, z adresem na warszawskiej Pradze. Jej prezes zaproponował bardzo korzystną transakcję: wypożyczenie, z możliwością późniejszego kupna, rozlewni oleju wartości 150000 zł.

W czerwcu 2000 r. pojechałam z bratem Jackiem do Warszawy do biura „Indolu” przy ulicy Zamojskiego. Trochę mnie zaskoczyło byle jakie urządzenie siedziby. I to, że prezes jeździ polonezem. Ale pomyślałam - może i dobrze, że stronią od blichtru. Najważniejsze, że uratują naszą firmę.

Zgodziliśmy się na przedstawione warunki. Stało na tym, że jeżeli zbierzemy 10000 zł,



następnego dnia po ich wpłaceniu na konto „Indolu” zostanie urucho-

386

miony system leasingowy. Myśmy się wywiązali z umowy. Firma nie i, co gorsza, W zniknęła. W prokuraturze dowiedziałam się, że ubiliśmy interes z tzw. słupami.

CO

???

Nim jednak doszło do procesu o oszustwa leasingowe, pewna zbieraczka grzybów ^ w podwarszawskiej Wólce Radzywińskiej natknęła się na dwa świeżo zasypane, podejrzenie wyglądające doły...

W jednym z nich, grzebiąc kijem, natrafiła na coś, co przypominało ludzką po- Eh stać. Zawiadomiła policję.

To były groby dwojga młodych ludzi - kobiety i mężczyzny. - Zamordowani kil- 55 ka dni wcześniej strzałem między oczy - stwierdził lekarz po wykonaniu sekcji zwłok. Kobieta miała jasne, długie włosy, a pod pępkiem dziwny tatuaż w formie stylizowanego krzyża z kluczem.

Mordercy starannie usunęli wszelkie ślady umożliwiające identyfikację - ofiary były nagie, bez jakichkolwiek dokumentów, na trawie nie pozostawiono nawet peta. Policja bezskutecznie szukała zabójców, nie mając jeszcze żadnego tropu.

Tymczasem oskarżony o napad na bank i wieloletnie oszustwa leasingowe Janusz Cz. nadal składał w prokuraturze wyjaśnienia. Twierdził, że za wszystkimi przekrętami stał boss wołomińskiej mafii Jacek Klepacki „Klepak”, który zarobił na tym 12 mln zł.

Jako świadek koronny - został nim w grudniu 2001 roku - Cz. był bardzo usłużny; zarzucał prokuratorów informacjami. Niektóre brzmiały wręcz groteskowo, gdy opowiadał, jak działały oszukańcze firmy, którym prezesował. Na przykład w biurze „Indolu” na warszawskiej Pradze siedział tylko jeden pracownik - „słup”, który przedstawiał się różnymi nazwiskami, gdy zadzwonił telefon, „w zależności od sytuacji”. Cz. podawał dane z kradzionych dowodów osobistych, którymi się posługiwali. Była to długa lista; w końcu się pogubił, nie pamiętał, kto jak się podpisywał na bankowych dokumentach.

Lewych dowodów, które (Cz. nazywał je „białkami”, używając żargonu złodziejskiego) mieli na pęczki, bo znosił je do biura niejaki P. ksywa „Karp”. P. kręcił się po parkingu przed Dworcem Centralnym i oferował kierowcom popilnowanie karoserii ich samochodów przed zarysowaniem. Właściciele pojazdów od razu wyciągali 2 zł, byleby tylko odszedł.

P. dostał od „Klepaka” pieniądze, adresy zaufanego dentysty i gabinetu kosmetycznego, gdzie kryminalistom likwidowano tatuaże. Miał trzy tygodnie na doprowadzenie siebie do porządku. Potem przyjechał do Bozowskiego, jednego z założycieli kolejnej oszukańczej firmy, i ten uczył go podstawowych terminów ekonomicznych, przydatnych w rozmowie z bankami. Na koniec urządzili popijawę. Koło północy Bozowski zadzwonił do Janusza Cz. z meldunkiem, że już wyszkolił recydywistę „Karpia” na prezesa firmy „Prestal”, ale wyszedł pewien problem - on ma jeszcze za uchem znak cwela, którego nie chce usunąć.

387

To do banku będzie wchodził w kapeluszu - miał odpowiedzieć Janusz Cz.

Cz. wyznał prokuratorowi: - Wchodziłem praktycznie we wszystko. Miałem wszędzie kontakty - od dygnitarzy do lekarzy załatwiających wariackie papiery. „Klepak” mi ufał. Legalizowanie kradzionych samochodów ułatwiały znajomości u dealerów. Przynosiłem im przygotowane kopie fałszywych dokumentów na różne marki. Jeśli urząd rejestracyjny zaczynał coś węszyć, chciałem potwierdzić autentyczność papierów, podłączałem się pod budkę telefoniczną - że niby z prywatnego mieszkania właściciela. Albo wynajmowałem na kilka dni jakąś dziuplę, byle ze stacjonarnym telefonem.

Dzięki informacjom od świadka koronnego, policja wsadziła do aresztu kolejne „słupy”. W pewnej chwili prokurator uznał, że można już się dobrać do szefa mafii w Wołominie „Klepaka”. Wydał nakaz rewizji. Janusz Cz. - świadek koronny został przez śledczych wtajemniczony w termin operacji, mógł się bowiem okazać pomocny. I - natychmiast ostrzegł tajnymi kanałami „Klepaka”, co umożliwiło gang-sterowi ucieczkę.

Dlaczego Cz. złamał umowę z prokuraturą? Wyjaśnił to na procesie jeden z oskarżonych „słupów”: - „Wołomin” obiecał za przysługę milion dolarów.

Nie ma dowodów, że Janusz Cz. dostał pieniądze. Jedno jest pewne - od tej chwili bardzo się bał konkurencyjnej mafii z Pruszkowa. W odróżnieniu od policji oni wiedzieli, kto uchronił „Klepaka” przed aresztem. Świadek koronny był tak wystraszony, że niezorientowana w czym rzecz prokuratura załatwiła mu - jako cierpiącemu na depresję - szpitalne łóżko. I właśnie z telewizora na szpitalnym korytarzu dowiedział się, że poszukiwany listem gończym „Klepak” został zastrzelony w przydrożnym barze w Mikołajkach.

Osiem miesięcy później wydało się, kto ostrzegł bossa z Wołomina przed aresztowaniem. Janusz Cz. stracił status świadka koronnego. Wtedy zrobił kolejny szalony krok, niewątpliwie wywołany strachem, że zginie tak marnie, jak jego mocodawca.

Nagrał na wideo, że „odszczekuje” wszystko, co zeznał przed sądem, gdy występował jako świadek koronny w sprawie o napad na bank. Powiedział do kamery, że osoby, które obciążył w swoich zeznaniach, tak naprawdę są mu osobiście nieznane. Nigdy nie widział Jacka Klepackiego ps. „Klepak”, ani „Goebbelsa” i innych, których ksywy rozszyfrowywał w śledztwie. Zeznania przeciwko „Klepackowi” i jego „żołnierzom” zostały siłą wymuszone przez policjantów. Cz. podał ich nazwiska, funkcje.

Były świadek koronny trafił za kratki. Został głównym oskarżonym w procesie ośmiu osób, którym prokurator zarzucił wyłudzenie w ciągu niespełna roku 3 900 000 zł oraz usiłowanie wyłudzenia 6,4 mln zł. Wśród pokrzywdzonych były firmy leasingowe oraz Prosper Bank (dziś Kredyt Bank). 32-letni Janusz Cz. odpowiadał też za próbę wyłudzenia 8 mln kredytu inwestycyjnego ze Wschodniego Banku Cukrownictwa.

???

388

???

Niespodziewany zwrot w śledztwie przyniosło zeznanie Wioletty C, konkubiny „Karpia”. To młoda kobieta, matka czteroletniego syna chorego na padaczkę, odkąd tyl-ko dorosła, stale była poniewierana.

Ojciec po stracie roboty w upadłym PGR-ze pił, awanturował się, a w końcu odszedł. Matka wkrótce potem zmarła na raka. Wioletta bez wykształcenia, pracy, za namową koleżanki znalazła się w agencji towarzyskiej. Jak zeznała potem w śledztwie, nienawidziła tej roboty - uciekła do Warszawy. Wałęsała się po dworcach i tam zobaczył ją „Karp”. Zabrał do rudery, gdzie pomieszkiwał. Była przez niego traktowana jak rzecz; który z kumpli miał ochotę na młode ciało, przywiązywał ją do łóżka i wykorzystywał.

Wioletta znalazła się razem ze swym konkubentem na miejscu zbrodni (została tam zawieszona pod przymusem). Słyszała strzały i była przekonana, że zabił Janusz Cz. Gdy uświadomiła sobie, co się stało, uciekła do Słupska. „Karp” groził, że jeżeli piśnie bodaj słowo na temat tego, co widziała, coś złego stanie się jej synkowi.

Zeznania Wioletty C. ułożyły się w logiczną całość. - „Nie wykazuje skłonności do konfabulacji” - ocenił biegły psycholog.

Wkrótce potem i „Karp” przerwał znowu milczenie „słupów”:

-Nie widziałem, kto strzelał do dziewczyny, ale wyprowadzał ją szef, czyli Cz. Ona strasznie krzyczała. Po chwili przyszedł do nas i powiedział, że już po wszystkim i żeby teraz trzymać mordy

krótko.

Podejrzany już bez oporów pokazał na tablicy pogładowej inne osoby, które były w miejscu zbrodni. Tłumaczył: - „Ja tych mężczyzn rozpoznałem już wcześniej, ale nie chciałem o nich mówić, bo chciałem zobaczyć, co będzie ze mną. Szef mi powiedział, że gdy będę się wycofywał, to mnie odstrzeli”.

Wkrótce trafili do aresztu wszyscy robiący za „słupy” Janusza Cz. Zgodnie twierdzili, że tam, w lesie, szef każdemu dał coś do roboty, pod groźbą „skrócenia o głowę”. Jeden niósł szpadle, drugi worek z niegaszonym wapnem, trzeci reklamówkę z sukienką zdartą z Ilony. Ale ofiar nie dotykali, krwi na rękach nie mieli.

Ktoś przypomniał sobie, że dzień przed zbrodnią słyszał w biurze ich lewej firmy ostrą kłótnię między Januszem Cz. a Krzysztofem S. Poszło o 300 000 złotych. - „Janusz w obecności Krzysztofa zadzwonił do recydywisty o ksywie »Wujek«, aby szykował broń”.

Jeden z podejrzanych gorączkowo szukał dla siebie alibi. Napisał z aresztu do swej narzeczonej: „Najdroższa Jolu, przedstawiono mi zarzut, że zabiłem dziewczynę i jej chłopca. Nie zabiłem. Kurwa, Polska to piękny kraj, ale bez przesady, abym ja był zatrzymany w takiej sprawie. Przecież wtedy byłem u ciebie. Pamiętasz?”.

Ostatecznie i Janusz Cz. się załamał. Poinformował pisemnie śledczego, że gdy będzie miał zagwarantowane nadzwyczajne złagodzenie kary, odniesie się do wszystkich postawionych zarzutów.

Tym razem prokuratura nie wyszła mu naprzeciw.

390

???

Zbliżaj się termin rozprawy głównej w Sądzie Okręgowym Warszawa-Praga.

CO

Oskarżony o zabójstwo Cz. usiłował wpłynąć na świadków, aby odwołali swe zeznania. Ale oni już widzieli swojego szefa na pozycji przegranego, zdawali sobie sprawę, że grozi mu dożywocie. Nie musieli się obawiać zemsty, zwłaszcza, że nie żył „Klepak”.

Jeden z nich, Robert G. poinformował sąd, że tuż przed poprzednią rozprawą po- ^ deszła do niego Ewa, siostra Janusza Cz. i powiedziała, że ma wszystko odwołać, co EH zeznał w śledztwie, w przeciwnym razie jego brat Wojtek nigdy nie wróci do do-mu. „A lasy wokół Warszawy są rozległe”.

Obawiając się o brata powiedział na rozprawie, że źle się czuje, sędzia odroczy! §?j rozprawę. Pojechali z Ewą do kawiarni „Paragraf, gdzie zadzwoniła po mecenasa, który broni Janusza. Cz. ^

- Ten adwokat - twierdził Robert G - dał mi kartkę z pytaniami, jakie zada w są- , dzie i gotowymi odpowiedziami. Miałem się nauczyć na pamięć. Zeznania, które zło- |%3 żyłem wcześniej w prokuraturze mam odwołać tłumacząc, że byłem zastraszany. Ostrzegł mnie, że w przeciwnym razie będę oskarżony o zabójstwo.

Robert G. mówił, że w kawiarni jeszcze nie zdecydował, jak postąpi na rozprawie. Ale gdy tylko wrócił do domu i stanął za ladą w swoim sklepie, przyszedł Zbyszek W. (jeden ze „słupów”) i bez pytania wziął z kasy 20000 zł.

- Zagroził mi, że w sądzie mam się trzymać instrukcji adwokata Janusza Cz. Powiedział: - Ty frajerze, kto cię schowa, jak go zakapujesz?!

Na to zeznanie Cz., ubrany w czerwony drelch niebezpiecznego przestępcy zareagował oburzeniem. - Jestem człowiekiem uczciwym, który pracował ciężko na kawałek chleba. Nie mordowałem ludzi - powiedział. Jego adwokat nawet nie usiłował się tłumaczyć z oczywistego dla niego pomówienia.

Zeznawała też Wioletta, wywołując na początku spore zamieszanie - weszła na salę, zobaczyła oskarżonego i zemdląła. Sąd musiał zarządzić przerwę. Gdy kobieta doszła do siebie tłumaczyła, że tuż przed rozprawą, na korytarzu, podszedł do niej nieznany mężczyzna i szepnął, aby odwołała

wszystko, bo inaczej „skrącą ją o głowę”.

Ona jednak potwierdziła, co zapisano w policyjnym protokole.

???

W czerwcu 2006 roku zapadł wyrok skazujący Janusza Cz. na dożywocie za zamordowanie Ilony. Z braku oczywistych dowodów oskarżony został uniewinniony od zabicia narzeczonego dziewczyny.

Obie strony procesowe wniosły apelacje. Sąd wyższej instancji podtrzymał wyrok w sprawie o zabójstwo Ilony i nakazał ponowne przeprowadzenie procesu w sprawie zamordowania Krzysztofa S.

391

M W M

<

m

?..

w

-

ca

Sąd apelacyjny podniósł: „Nie ma bezpośrednich dowodów wskazujących na sprawstwo Janusza Cz. w przypadku zabitego mężczyzny. Ale istnieją poszlaki, czyli dowody pośrednie. I tym tropem powinien się toczyć ponowny proces”.

W osiem lat po zabójstwie w Wólce Radzywińskiej do prawomocnego wyroku jeszcze daleko.

\* Nazwiska uczestników procesu zmienione.

M

Michał J. chciał być dziennikarzem. Cel wydawał się być na wyciągnięcie ręki. Skończył politologię, z rodzinnego Wołomina do Warszawy, gdzie wszelkiego rodzaju redakcji w bród, niecała godzina jazdy kolejką.

A jednak nigdzie nie czekano na niego z etatem. Może by się zaczepił, gdyby miał skromniejsze wymagania, zgodził się na terminowanie w dziale miejskim albo kontaktu z czytelnikami, i z tego poziomu powoli piał się w górę... Ale jego rozsądzała ambicja, chciał od razu zostać reporterem śledczym. Miał swego mistrza w tym fachu - redaktora P. ze stołecznego dziennika, który dotarł do mafii pruszkowskiej, zrobił wywiad ze słynnym gangsterem (pseudonim „Masa”), a później świadkiem koronnym.

Michał był szczęśliwy, gdy któregoś dnia jego kolega z podwórka pracujący w „Super Expressie” powiedział mu, że zna P. i mogą w trójkę wypić piwo.

Po tym spotkaniu politolog wrócił do domu z teczką artykułów pana P. wyciętych z gazety. Czytał je wielokrotnie, aż prawie nauczył się ich na pamięć.

Mistrz okazał się nie tylko przystępny, ale od razu miał dla Michała zadanie. Chciał, aby mu pomógł w przygotowywaniu listy tysiąca gangsterów z okolic Warszawy, która miała zawisnąć na specjalnie do tego celu zainstalowanej stronie internetowej. Nie mógł lepiej trafić.

Dwudziestosiedmioletni J. interesował się międzynarodowym i lokalnym światem przestępczym. Na własnej stronie internetowej publikował „listy gończe” za członkami mafii. Przygotowywał się do pisania pracy naukowej na temat korupcji w polityce.

- Wołomińska mafia to był jego konik - twierdzą zgodnie bliscy Michała. Czy miał na to wpływ zawód jego ojca-policjanta, atmosfera w domu, że na zło trzeba śmiało reagować? A może był to skutek zapatrzenia się na red. P.? Jak się okaże w czasie procesu, ten dziennikarz najbardziej cenił w kontakcie ze swoim uczniem adres politologa - mieszkał bowiem w gnieździe słynnej mafii. ? ? ?

Pierwszego września 2006 roku wieczorem ciotka Michała, która zajmowała pokój w tym samym budynku co siostrzeniec z narzeczoną Karoliną, wyjrzała po wieczornych wiadomościach na podwórko, zaintrygowana trzaśnięciem furtki. Zobaczyła samochód stojący tuż za płotem. Siedziało tam dwóch chłopaków. Po chwili z mieszkania szybko wyszedł Michał i z nikim się nie witając, wsiadł do auta.

Kobieta spojrzała na okna sąsiedniego mieszkania. Nie paliły się światła. Znaczyło to, że Karolina jeszcze nie wróciła z pracy. Może Michał pojechał po farby do marketu? - pomyślała. W nadchodzący weekend zamierzał malować mieszkanie. Termin ślubu z Karoliną był już wyznaczony.

Następnego dnia rano dziewczyna Michała zdenerwowana, że jej chłopak nie wrócił na noc, poderwała się na dźwięk telefonu. Usłyszała obcy męski głos. Ktoś, kto się nie przedstawił, chciał wiedzieć, czy rozmawia z Karoliną. Potwierdziła i wtedy usłyszała: - Mamy Michała. To jest porwanie. Jak myślisz, ile jest warte jego życie?

393

ES3

Nie zdążyła wykrztusić słowa, gdy rozmówca ją ostrzegł: powiadomisz policję, upierdolimy mu łeb. A teraz daję słuchawkę twojemu kochasiowi.

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze - usłyszała rozedrgany głos narzeczonego. - Zbierz pieniądze na okup. Idź do Pawła, on pożyczycy. Chodzi o 5000 złotych.

Potem w tle ktoś krzyknął: - Koniec z tymi rozmowami! I cisza.

Tego dnia były jeszcze nękające ją anonimowe SMS-y. Ostatni: „Ile masz pie-niążków kotku?”. I zaraz potem odezwała się jej komórka. Mężczyzna, którego głos już poznawała, mówił rozwlekle. Tak, jakby był zamroczony, że żądają już nie 5000, ale 15000 złotych.

Karolina nie wiedziała, o jakiego Pawła chodzi. Znała właścicielkę hurtowni w Wołominie, która miała chłopaka o takim imieniu. Ten Paweł miał brata zamie-

szanego w mafijne przestępstwa, słyszała, że został świadkiem koronnym.

Pobiegła do hurtowni, opowiedziała, co się stało. Z ostatniej rozmowy z Michałem wywnioskowała, że Paweł będzie wiedział, co zrobić. Ale ta para w niczym jej nie pomogła.

Mniej więcej w tym samym czasie na numer komórki Michała dobijał się jego przyjaciel Artur. Za którymś razem telefon odebrał mężczyzna, mówiąc: „Spadaj gościu. Michał leży spętany”.

Wieczorem do ojca Michała zadzwonił porwany syn. Zdążył tylko tyle powiedzieć, że ma na strychu ich domu schowane 7000 złotych, niech pójda na okup. Potem ktoś wyrwał mu aparat i

krzyknął: - Zbieraj gościu szybko pieniądze, bo będzie gienza. Jeszcze się odezwiemy.

Nie odezwali się. Michał również zamilkł. Jego rodzice jeszcze nie wiedzieli, że na zawsze.

Dziesięć dni później pewien emeryt spacerował w pobliżu mulistej glinianki w podradzywińskiej wsi Ciemme i zobaczył unoszący się przy brzegu czarny worek foliowy, porozrywany drutami z siatki ogrodowej, która owijała obły kształt. Przyjrzał się bliżej - były to zwłoki mężczyzny. Jego ręce i nogi krępował drut kolczasty.

Ustalono tożsamość zmarłego - Michał J. Sekcja zwłok wykazała, że był brutalnie zmasakrowany, ale żył, gdy go wrzucano do wody. O tragicznej śmierci politologa napisano w miejscowym tygodniku „Wiadomości Podwarszawskie”. Na internetowej stronie gazety sypnęły się wpisy czytelników. Między innymi:

- Michał był wspianiałym kolegą. Nie mogę uwierzyć, że ktoś odebrał mu życie i to w tak bestialski sposób... Chodziliśmy razem do podstawówki, byliśmy w harcerstwie. Zawsze będę pamiętać jego zaraźliwy śmiech i poczucie humoru (Monika).

- Z naszego Michała było dobre, inteligentne i bardzo wrażliwe na ludzką krzywdę dziecko. Mam nadzieję, że ci, którzy go zabili, zgniją w więzieniu opuszczeni przez Boga i ludzi (ciocia Wanda).

394

Wychowawca z zakładu poprawczego zgłosił policji w podwarszawskich Markach, że mimo rozpoczęcia roku szkolnego do placówki nie wrócił Łukasz W. z tej miejscowości; trzeba się zorientować, dlaczego. Funkcjonariusze pojechali pod wskazany adres. Łukasza nie zastali, jego matka wiedziała tylko tyle, że jest na mieście. Ponieważ chłopak wszedł w konflikt z prawem, m.in. z powodu narkotyków, przeszukano jego pokój. Znalaziono ukryty telefon komórkowy, jak się potem okazało, własność Michała J.

Analiza połączeń telefonicznych z tego aparatu 2 i 3 września wskazywała na związek z porwaniem Michała trzech młodych mężczyzn: Łukasza W. i Damiana S. z Marek oraz Mariusza W. z Wołomina. Po przesłuchaniu wszyscy zostali aresztowani.

Mariusz W. wypierał się wszystkiego. Owszem, był w Markach, bo zgubił dokumenty od swego samochodu, ale nie zna ani S., ani W.

Łukasz W. też się wypierał tej znajomości, ale rozpoznał Mariusza na zdjęciach porównawczych, które mu przedstawiono na policji. W czasie kolejnego przesłuchania przyznał się do uprowadzenia politologa. Ale twierdził, że nie wie, kto zlecił tę „robotę”. Był wówczas „trochę naćpany”, w samochodzie, którym wieźli porwanego, całą drogę spał. W każdym razie pomagali mu Mariusz W. i Damian S. Michała J. zamknął w pewnym mieszkaniu, chyba zażądał od jego dziewczyny 10000 zł okupu.

Najwięcej śledczy dowiedzieli się od najmłodszego z trójki podejrzanych, Damiana.

Jego pierwsza wersja zeznań w śledztwie brzmiała tak: jest sobota 2 września 2006 roku, koło południa. Dopiero co wstał, zjadł śniadanie, zastanawiał się, co robić, bo nuda, w Markach nic się nie dzieje. Ucieszył się, gdy zobaczył przez okno parkujący samochód marki Ford. To przyjechał nim kolega Łukasz W. Ale nie sam - z kumplem Mariuszem. Mieli do Damiana pilną sprawę. Łukasza aż nosiło z podniecenia.

- Ktoś wystawił trupa, jest nagrana robota, tylko trzeba gościa uwalić - powiedział Mariusz i zaraz dodał, że będą z tego pieniądze.

Nie wyjaśnili mu konkretnie, co to za robota. Ale zastanawiali się na głos, jak to zrobić. Mariusz uważał, że trzeba tego kogoś związać, schować do samochodu, po czym wywieźć.

-Ja myślałem, że oni żartują - twierdził Damian S. na policji. - Ale nie było czasu na gadanie, bo zaraz odjechali.

Wieczorem Łukasz zjawiał się ponownie. Był zdenerwowany. - Widziałem - zeznał Damian S. - że palec prawej ręki miał rozharatany. Powiedział mi w tajemnicy, że porwali typa, a ten go ugryzł. Z bólu i wściekłości Łukasz rozbił mu butelkę na głowie.

Starszy o kilka lat i pokaźniejszej postury Łukasz zawsze dominował nad Damianem. I tym razem wydał mu rozkaz: - Weź dwie kanapki, nalej wody do butelki, bo pójdziemy w jedno miejsce.

395

Nie podaś adresu. Damian był zaskoczony - tak twierdził w śledztwie - gdy okazało się, że to kilkanaście metrów od jego domu. Stała tam rozpadająca się chałupa, w której żył samotnie pewien znany w okolicy pijaczyna Tadeusz Z. Nigdy nie zamykał swojej nory, bo nie było co ukraść, a w razie niepogody znajdowali tam schronienie miejscowi menele. Tym razem nie było go w domu.

Weszli do zagraconego pokoju, Łukasz W. otworzył tapczan i wyciągnął stamtąd młodego mężczyznę. Mocno pobitego. Miał opuchniętą twarz, ręce pocięte nożem, na oczach samoprzylepna taśmę. W. owinał szyję porwanego przewodem od ładowarki do telefonu, a koniec przywiązał do klamki u okna. Każde poruszenie się ofiary powodowało, że pętla się zaciskała.

Mężczyzna był bardzo wystraszony, pytał, kiedy go wypuszczą. Łukasza to rozwścieczyło, zaczął bić go kulą ortopedyczną, która stała w kącie izby i szczypać se-yi katorem po całym ciele. W pewnej chwili wziął od Damiana telefon komórkowy i kazał porwanemu wybrać numer do jego dziewczyny; miał jej powiedzieć, aby zorganizowała pieniądze na okup. Tyle pierwsze zeznanie 19-letniego Damiana S.

Policja zebrała linie papilarne w melinie Tadeusza Z. W laboratorium stwierdzono ślady obecności w tym budynku Łukasza W. i prawdopodobnie Damiana S. W plamkach krwi na tapczanie i podłodze odkryto DNA uwięzionego Michała J.

Wszystkim trzem przesłuchiwanym prokurator postawił zarzut porwania Michała J. dla okupu. Mariusz W. i Łukasz W. zostali ponadto oskarżeni o zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem, którego dokonali wspólnie z nieustalonym mężczyzną.

???

Na stronie internetowej „Więści Podwarszawskich” o swym bólu pisze ojciec zamordowanego:

- „Minął tydzień od pogrzebu Michała. Czekałem z jego Mamą 40 dni na wydanie ciała Syna. I na wynik badań porównawczych DNA. Co tydzień dowiadywałem się, że jeszcze nie teraz, później. Ta huśtawka niepewności doprowadzała do szaleństwa. Z jednej strony bardzo bałem się, a z drugiej, chciałem mieć to już za sobą. Teraz nie ma wątpliwości... Chodzę na cmentarz prawie co dzień. Stojąc przed piramidą kwiatów, dokonuję rachunku sumienia. Zamordowano wspaniałego chłopaka, czułego syna (jego Mama walczy z rakiem, a On pomagał jej i był na każde wezwanie) i wraz z Nim zabito naszą przyszłość. Kiedy wybiegam myślami w przyszłość, to tam nie ma nic. Oboje z żoną jesteśmy jak drzewa, co nie dają owocu. Ból jest tym większy, że już kiedyś pochowaliśmy Córkę Katarzynę.

Zawsze byłem przeciwnikiem kary śmierci. Dziś nie zmieniłem poglądów. Jestem jednak za karą bezwzględnego dożywocia, bez możliwości wyjścia na wolność do momentu zgonu. Takich „ludzi” trzeba izolować od społeczeństwa na zawsze. W celi bez okna, w tzw. pojedynce. Niechby nie wiedzieli, czy to noc, czy dzień i ile lat

596

siedzą. Nie jestem fanatycznie religijny, ale uważam, że nikt nie ma prawa odbierać komukolwiek życia. Oni wzięli na swoje dusze grzech zabójstwa”.

Są też inne wpisy pod tekstem redakcji o zarzutach prokuratorskich postawionych porywaczom.

„Najwyższy czas wrócić do kary śmierci, gdyż w więzieniu za nasze pieniądze ci zbrodniarze będą mieć lepiej niż niejedna ofiara ich przestępstwa. Poza tym uważam, że za mord ze szczególnym okrucieństwem należy stosować publiczne tortury”. (Jan)

„Zero przebaczenia. Niech zginą w taki sam sposób jak on”. (Jarzab) „Dla takich zbrodniarzy i kara śmierci to zbyt mało, to nie ludzie, bez sumień”. (Aleksandra)

„Żadna kara nie jest w stanie dorównać temu, co przeżyła ofiara zbrodni. Ja również jestem za

publicznymi torturami. Oko za oko, ząb za ząb". (Gusia)

„To, co się stało, jest przerażające, jak sobie pomyślę, ile Michał cierpiał, zanim zginął... Od tego wydarzenia jestem za karą śmierci albo publicznym linczem. Myślę, że nikt nie chce żyć obok takich zwyrodnialców. Rodzinie i bliskim Michała składam najszczerze kondolencje. Życzę także najwyższej kary dla sprawców". (Kasia)

„Michał chodził do szkoły średniej rok niżej ode mnie. Pamiętam go jako uśmiechniętego, pełnego energii. Co do oprawców i kary śmierci, to za piękne by było tak po prostu odebrać im życie. Nie bądźmy tacy jak oni. Nie mordujmy ich. Wystarczy pozrywać paznokcie i pozostawić na tydzień bez jedzenia, w celi metr na metr, bez światła, bez okna, bez niczego, w pustce ciszy. Później dać coś do zjedzenia i poucinać palce, znowu przerwa. Później, nogi, ręce uciąć. Wypalić oczy i taką roślinkę pozostawić przy życiu. Wegetacja jest lepszą karą niż kara śmierci". (Sławek) ? ? ?

Kim są sprawcy?

Damian S. - uczeń pierwszej klasy szkoły zawodowej w Markach. Jako nieletni miał już sprawy o demoralizację i paserstwo. Przydzielono mu kuratora. Ojciec jest alkoholikiem. Matka bezrobotna (z zawodu tkaczka) dostaje zasiłek 450 zł; żeby dorobić, wyjeżdża w sezonie zbioru pomidorów do Włoch. Damian ma młodszego brata Kamila.

Mariusz W. - ukończona szkoła zawodowa, w domu dobra sytuacja materialna. Siedział już w więzieniu, karany za rozbój i narkotyki. Po zawarciu małżeństwa ze studentką resocjalizacji przestał - jak twierdzi - ćpać. Ma roczne dziecko.

Łukasz W. - 6 klas szkoły podstawowej. Zaczął pić alkohol w wieku 11 lat. Kilkakrotnie zatrzymany w izbie wytrzeźwień. Leczony w ośrodku odwykowym z powodu przedawkowania narkotyków. Rodzice się rozwiedli. Ojciec nadużywał alkoholu, miał ograniczone prawa rodzicielskie. Matka podobnie, ale z czasem odzyskała prawa do syna.

397

co

Łukasz od dziewiątego do siedemnastego roku życia był w domu dziecka, a następnie w zakładzie poprawczym. Gdy uzyskał pełnoletność, trafił do „poprawczaka” o wzmożonym rygorze. Latem 2006 roku uciekł stamtąd na przedłużone wakacje. Nigdy nie pracował zarobkowo.

Oskarżeni przeszli szczegółowe badanie psychiatryczne w ośrodkach klinicznych. Damian S. nawet kilkakrotnie, bo jego obrońca przyznanie się do winy i obciążenie kolegów tłumaczył upośledzeniem umysłowym 19-latką. - Zachodzą poważne wątpliwości, co do tego, czy oskarżony



miął zdolność do samodzielnego formułowania twierdzeń zawartych w protokołach z przesłuchania w postępowaniu przygotowawczym - twierdził.

Ale specjalistyczne badania wykluczyły chorobę psychiczną, jakkolwiek poziom inteligencji oskarżonego został określony na pograniczu lekkiego upośledzenia umysłowego. Nie daje to jednak podstaw do kwestionowania jego poczytalności. Zdaniem biegłego psychiatry trudności Damiana S. w wyrażaniu się wiążą się z jego postawą obronną.

Również psycholog w pełni podtrzymał swą wcześniejszą opinię. Nie ma żadnych danych ani przesłanek co do tego, aby badany nie był zdolny do samodzielnego formułowania myśli w czasie przesłuchania.

Osobowość Mariusza W. została zdiagnozowana jako zaburzona, uzależniona od środków odurzających - przez dłuższy czas brał on heroinę i amfetaminę. Cechuje go lekceważenie norm społecznych, ubożenie uczuciowości wyższej, podwyższony poziom agresji. Ale w czasie porwania Michała J. zdawał sobie sprawę z tego, co robi.

Na życzenie prokuratora biegły wyjaśnił sens terminu „ubożenie uczuciowości wyższej”: To się wyraża w relacjach z innymi osobami. Egocentryzmem, instrumentalnym traktowaniem osób, ograniczoną możliwością wczuwania się w ich przeżycia. Skłonnością do impulsywnego rozwiązywania sytuacji konfliktowych.

Nieprawidłową osobowość stwierdzono też u Łukasza W. Również ten oskarżony nie cierpi na chorobę psychiczną, nie zauważono u niego zmian organicznych w mózgu (wykonano tomografię), choć nadużywał narkotyków. Poziom inteligencji przeciętny, stała tendencja do posługiwania się agresją - w ten sposób rozwiązuje konflikty i tak zaspokaja swoje potrzeby. Agresja nie pojawia się w sytuacjach wyjątkowych. To są utrwalone sposoby zachowania. W literaturze fachowej o takim zachowaniu mówi się jako o przemieszczaniu agresji (może ją skierować na kogoś niewinnego). Takie zachowanie akceptowane jest w środowisku z pogranicza prawa.

???

Tuż po Wielkanocy 2008 roku ojciec Michała J. zawiadomił na portalu wychodzącego w Wołominie tygodnika, że za kilka dni w Sądzie Rejonowym w Warszawie odbędzie się rozprawa główna oskarżonych o porwanie i zabicie jego syna.

Byłoby mu lżej, gdyby w ławach dla publiczności zobaczył kolegów Michała. On jest oskarżycielem posiłkowym.

Natychmiast po tej prośbie pojawiły się nowe wpisy. Nadal dominowała spontaniczna dyskusja o karze śmierci, ale... nie było już jednomyślności, jak dwa lata wcześniej, gdy Wołomin obiegała tragiczna wiadomość o męczeńskiej śmierci politologa.

Zaczęła „Bezstronna”: „Sprawiedliwa kara śmierci - owszem, ale dla naprawdę winnych, a nie oszkalowanych. Skoro policja chce się popisać, to niech pracuje jak trzeba, bo taka sprawa zasługuje na wyjaśnienie, nie tylko dla niego, ale i dla pomówionych, a aniołem to ten Michał ksywa »Karzełek« nie był”.

Natychmiast spotkała się z ripostą: „Pani Bezstronna, a jaką sprawiedliwość ma Pani na myśli? Czy jest coś takiego, jak sprawiedliwy osąd takiego czynu i to jeszcze w polskim sądzie? Cierpienie niewinnych osób, które wychowały morderców - dobre sobie. Dlaczego choć jeden z morderców nie wypuścił Michała, dlaczego nie zawiadomił policji, dlaczego w bagażniku samochodu jednego z morderców była krew ofiary? Jest wiele pytań, na które chcę znać odpowiedź. Jestem matką i nie wyobrażam sobie stracić dziecko, nie mówiąc o takiej stracie, z jaką spotkali się Państwo J.

Teraz były imieniny Michała i na jego grobie znowu te same znicze, od rodziny. Deklaracje kolegów i koleżanek o zachowaniu go na długo w pamięci składane były pod wpływem chwili. Wiem, że każdy ma swoje sprawy, ale nie mieć chwili czasu, by zapalić znicz na pomniku? Nie ma dnia, bym nie myślała o Michale i jego rodzicach. Rodzinom morderców życzę wszystkiego, co najgorsze! (matka)

W sukurs Bezstronnej spieszy **SPRAWIEDLIWA**: - A może to akurat nie oni, a bynajmniej nie wszyscy, to zrobili. Bardzo możliwe, że podajesz rękę prawdziwemu zabójcy na co dzień i o tym

nie wiesz... Ja nikogo nie bronię, ale niech naprawdę winni poniosą karę. I to najwyższą, bo na taką zasługuje taki czyn.

???

Pierwszy dzień procesu. Żaden z oskarżonych nie przyznaje się do winy.

Nawet do tego, co zostało zaprotokołowane w śledztwie.

Damian S., który ma trudności z wyartykułowaniem prostego zdania, mówi, że nie rozumie, „co tam gada prokurator”. Podczas przesłuchania policja biła go, więc podpisał każdy podsuwany papier. Nikomu tego nie zgłaszał, bo „chcieli mnie jeszcze bardziej tłuc”. Do rudery, gdzie podobno był przetrzymywany Michał J. (ale on tego nie widział), poszedł, aby popić.

- Skąd taka zmiana w wyjaśnieniach? Dlaczego oskarżony nie potwierdza swoich zeznań składanych na policji? - dopytuje się sędzia Cezary Puławski.

- Bo nie - odpowiada wyglądający jeszcze na dzieciaka Damian S. I szuka wzrokiem wsparcia u Łukasza W.

399

A ten śmieje się szeroko do małego Damiana. Jego mina zdaje się mówić - dalej tak trzymaj.

On sam nie tylko nie przyznaje się do porwania i dręczenia ofiary, ale nawet nie wie, w jaki sposób znalazł się w melinie pijaka. - Byłem pod wpływem alkoholu, proszę wysokiego sądu. A trafiłem pod ten adres, bo w Markach jest znany, gdy się szuka kompanów do wypicia. Pewnie myślałem, że i tym razem ich tam spotkam. Ale tam byli jacyś mężczyźni, których nie znałem. Obiecali dać mi pieniądze za pilnowanie kogoś w drugim pokoju. W ruderze nie było prądu, więc nie widziałem, czy ten ktoś był związany. Usiadłem w ciemnościach i zaraz mnie zmorzyło. Obudziłem się, gdy przyszedł Damian.

Z dalszych wyjaśnień oskarżonego wynika, że od swego młodszego kolegi dowiedział się, że jakiś chłopak jeździ po okolicy i szuka dokumentów swojego sa-mochodu. Za oddanie zguby oferuje znalazcy pieniądze.

- Pomyślałem, że może coś pewniejszego wpadnie mi do kieszeni, więc zrezygnowałem z pilnowania tego gościa.

O zabójstwie J. ksywa „Karzelek” dowiedział się na komendzie. Przyznał się do porwania, aby nie mieć zarzutu morderstwa, bo z doświadczenia wie, jak jest w więzieniach. Domyśla się, dlaczego Damian S. obciążył go w śledztwie: policja mu wszystko ułożyła. Nie ma co do tego wątpliwości, bo jego również funkcjonariusze z dochodzeniówki namawiali, aby w zeznaniach oskarżył Mariusza W., to nie spędzi reszty życia w więzieniu.

- Mówili mi, że dobrze wiedzą, że nie mam nic wspólnego ze śmiercią Michała. Mariusz W. przedstawia w sądzie taką wersję wydarzeń: owszem, był w Markach, ale u Kamila, młodszego brata Damiana S. Chodziło mu o zgubione dokumenty do samochodu. Nie wie, o jakiej ruderze mówił śledczy. Nie zna Łukasza W.; o jego istnieniu dowiedział się od policjanta, który chciał pogrążyć tego podejrzanego.

Po złożeniu wyjaśnień oskarżeni zapowiadają, że w dalszym toku procesu nie odpowiedzą na żadne pytania prokuratora i sędziego.

Matki, które po rozprawie biegają za konwojentami, gdy ci odprowadzają oskarżonych do aresztu, mają bezradność wypisaną na twarzach. Głośno złorzeczą na widok dziennikarzy z mikrofonami w ręku.

Tymczasem proces się toczy. Przed sądem staje Tadeusz Z. - ten pijaczyna, w którego mieszkaniu przestępcy schowali porwanego Michała.

Świadek wygląda, jakby noc spędził w śmietniku, ale jest trzeźwy. Tak, zna oskarżonych. Również tego, który nie mieszka w Markach, ale w Wołominie, czyli Mariusza W. Dom po rodzicach, w którym mieszka, ma dwa pokoje z kuchnią, ale do jednego nie zagląda, to właściwie graciarnia. Oczywiście od lat nikt tam nie przebywał, przecież by zauważył. Nazwisko Michała J. nic mu nie mówi.

- Czy na początku września przyjmował pan gości? - pyta sędzia. 400

- Nie powiem, byli koledzy. Wypiło się jedno czy dwa piwa. Raczej nikt nie został na noc.  
- Czy kiedykolwiek był ktoś siłą przetrzymywany w pana mieszkaniu? - pyta wprost sędzia  
W odpowiedzi wzruszenie ramion. - Ja o niczym nie wiem.

- A czy wie pan, że w pana domu znaleźliśmy ślady krwi Michała J.7 - naciska prj  
prokurator.

- Nie wiem.

- Panie Z. - prokurator się denerwuje. - Pan jest w sądzie, proszę nie żartować. Q W pokoju,  
którego pan ponoć nie używał, zabezpieczono różne przedmioty i na każ-dym była krew osoby  
porwanej. Potrafi pan to wyjaśnić? jg«

- Raczej nie.

- Co pan robił drugiego i trzeciego września?

- Chyba leżałem w domu, bo miałem złamane żebra, spadłem z rusztowania. Ale nie byłem u  
lekarza, kości same się zrosły. Tak dokładnie to nie pamiętam, co robiłem. Nieraz było tak, że  
nadużyłem alkoholu. Ale we wrześniu w ogóle nie piłem, bo leżałem. Cały miesiąc. Koledzy  
przychodzili, częstowali, ale ja ani kropli.

- Sąd ma protokół z dnia zatrzymania świadka, to było piętnastego września, wydmuchał pan dwa  
promile.

- Może byłem po dwóch piwach.

- Czy na początku września 2006 roku zdarzyło się, że ktoś został pobity w pana mieszkaniu?

- Raczej nie.

- Czy ma pan w domu kule ortopedyczne?

-Jedna jeszcze została. Drugą sprzedałem w punkcie skupu złomu.

- Czy miał pan sekator?

- Raczej nie. Miałem młotek.

Ojciec Michała, który nie opuszcza żadnej rozprawy i czernią odświętnego garnituru przypomina  
o swej żalobie po stracie syna, dzieli się po kolejnej rozprawie refleksjami na blogu „Wieści  
Podwarszawskich”:

„Pokonałem jedną z największych moich obaw. Spojrzałem w oczy domniemanych zabójców  
Michała. »Czas leczy rany« - tyle powiedzenie. Znów odbyła się rozprawa sądowa. Kolejne  
oglądanie uśmiechniętych gąb trzech oskarżonych i kolejny raz wspomnianie tego, co się zdarzyło.  
Tak jakbyśmy debatowali nad tym, czy żaba ma sierść. Najliczniejsza publiczność na rozprawach to  
rodziny oskarżonych. Ze strony Michała tylko ojciec i stary kumpel mojego „Karzelka”. Poza tym -  
spokój, cisza, dziewczyny w przerwach całują swoich chłopców, siedzących w ławie oskarżonych.  
Dobroduszny i drobiazgowy pan sędzia pozwala, by chłopcy w czasie rozprawy gadali ze sobą albo  
układali się do snu na oparciach. Sielanka. A przecież to tu ma być albo nie być tych, których  
oskarża się o zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem.

401

Myślałem, że każdej rozprawie będzie się przysłuchiwał tłum kolegów mego syna. Zobaczą znane  
mi twarze, zdeterminowane do potwierdzenia swoich deklaracji sprzed dwu lat. A tu... sielanka.  
Młodzi śpią, ich narzeczone cicho śmieją się w ostatnich ławkach. I tylko zadumać się trzeba:  
naprawdę zamordowano mi syna, okreconego w siatce utopiono żywcem? Koledzy i przyjaciele  
»Karła«, gdzie jesteście?”

Zrozpaczony ojciec nie doczekał się reakcji na jego pytanie. Natomiast pojawiły się wpisy  
wątpiących w winę oskarżonych:

„Czy są jakieś dowody, że to oni zrobili? Może to tylko pomówienie??? Prasa lu-  
bi popelinę siać”. (Renata)

Janusz J. w odpowiedzi: Zawsze piszę o domniemanych zabójcach. Ja nikogo nie oceniam i nie  
skazuję. Chcę tylko sprawiedliwego osądu czynu. I dla tych, co są podejrzanymi, i dla »drugiego

dna«, które jest na sto procent. Czy kiedykolwiek prawdziwa prawda będzie uwolniona? Kto to wie".

???

Sąd przesłuchuje świadków, którzy mogą wiedzieć, co Mariusz W. robił wieczorem 2 września 2006 roku.

Zeznaje Sylwia K. Nie jest pewna tej daty, ale prawdopodobnie było to 2 września - o zmierzchu widziała Mariusza z jego żoną na festynie w Klembowie. Rozmawiała z nimi, gdy kupował piwo.

Kolejny świadek Karol G. (przedstawia się jako menedżer drajwer, co konkretnie oznacza, że chodzi z towarami po domach) też widział oskarżonego na festynie.

- A dlaczego akurat tego uczestnika zabawy sobie przypomniał po dwóch latach?

- pyta sędzia.

- Bo żona Mariusza chciała, abym sobie przypomniał.

Na portalu „Wieści...” coraz nowe wpisy z apelami, aby nie osądzać, póki nie zapadnie wyrok.

Ale są też głosy wspierające ojca ofiary:

„Ludzie, dlaczego trzymacie stronę zwyrodnialców? Te »niewinne« osoby są doskonale znane policji. Dlaczego mam nie osądzać tych »niewiniątek«, oni nikogo nie pytali o zdanie, czy mogą zabić człowieka. Wszystkiego, co najgorsze dla rodzin skazanych morderców! Nie wstydę się, że ich osądziłam, chciałabym ich dostać w swoje ręce”. (Rena)

???

Jest jeszcze jeden trop, który chcą sprawdzić sędziowie w poszukiwaniu „drugiego dna” morderstwa Michała. Od początku przecież sprawie towarzyszy hipoteza, że może było to zabójstwo na zlecenie. A jeśli tak, to kto za nim stał? Może ci młodzi mężczyźni, którzy siedzą na ławie oskarżonych, tragicznego dnia przymuleni alkoholem i narkotykami, to tylko narzędzia mordercy Michała? A jeśli politolog zginął, bo zbyt interesował się wołomińską mafią? Sąd decyduje się na przesłuchanie

402

a

trzech najważniejszych w tej bandzie: samego bossa Roberta R., jego zastępcy Da- O riusza B. i „księgowego” Piotra O. Dostęp do świadków jest ułatwiony, bo wszyscy są w areszcie, gdyż przeciwko nim toczy się sprawa karna (o zabójstwo). O. jest świadkiem koronnym.

„Księgowy” „Wołomina” patrzy na ławę oskarżonych i stwierdza, że nie zna żadnego z siedzących tam mężczyzn. Natomiast, owszem, wie, kim był Michał J. ksy- pr} wa „Karzelek”. Uczestniczył w spotkaniu politologa, redaktora Rafała P. i Roberta R. w kawiarni na warszawskiej Starówce. Chodziło o to, że szef mafii miał pretensje K do dziennikarza o jego artykuły na temat zorganizowanej grupy przestępczej w Wołominie. Twierdził, że jest tam wiele kłamstw albo informacji zbędnych, które na f-ł przykład naprowadziły morderców na ukrywającego się poprzedniego bossa Wołomina Jacka K. (został zastrzelony nad jeziorem w Mikołajkach).

Dziennikarz nie chciał powiedzieć, kto jest jego informatorem. Jak twierdził świadek, dogadał się z R., że będzie go informował, o czym pisze, zanim opublikuje artykuł. P. uprzedzi też członków mafii o szykowanych na nich nalotach policji. W zamian szef „Wołomina” miał przekazywać do redakcji informacje o innych grupach przestępczych. Łącznikiem w tych kontaktach został dobrze znany redaktorowi Michał J.

Te uzgodnienia miały ściśle obowiązywać obie strony - świadek potajemnie nagrał je na dyktafon.

Ze spotkania pamięta jeszcze tyle, że redaktor P. był blady ze strachu, a Michał go zapewniał, że nic mu nie grozi.

Udzielił też odpowiedzi na pytanie sędziego: - Nie wiem, czy Michał czerpał z tych kontaktów jakieś korzyści. On był przez naszą grupę traktowany na dystans, nie należał do „Wołomina”. Ale lubiliśmy z nim pogadać, bo był wesoły, dowcipny. Mógł chodzić do tej samej knajpy co my.

Na pytanie adwokata oskarżyciela posiłkowego: - Tak, wiem, że „Karzelek” nie żyje. Zabili go narkomani. Moim zdaniem dlatego został porwany. Żądanie pięciu tysięcy złotych okupu czy nawet

piętnastu to tylko przykrywką dla rodziców i policji. Sprawcy chcieli mieć czas na przesłuchanie porwanego i potem go zlikwidowali. Komuś na tym bardzo zależało.

Na pytanie prokuratora: - Nie wiem, z czego Michał się utrzymywał. Słyszałem, że szykowała mu się sprawa o handel narkotykami. On chyba przez jakiś czas brał marihuanę od naszych hurtowników. W Wołominie nie byłoby takiej możliwości, aby kupował towar od kogoś innego. Wszedłby w konflikt z grupą i zostałby sprzedany. On szybko się sparzył i przestał handlować.

Zdaniem świadka „Karzeł” dobrze wywiązywał się z roli łącznika między „Wołominem” a warszawską redakcją. Spadła liczba artykułów niekorzystnych dla „Wołomina”. Otrzymywali też od redaktora P. ksero artykułów, które się nie ukazały oraz pewne informacje o przekrętach wewnątrz grupy wołomińskiej, które miał od policjantów.

403

Założona przez redaktora i Michała strona internetowa też była pod kontrolą bos-sa „Wołomina”. Michał radził się Roberta R., co może ujawnić, aby nie zaszkodzić grupie.

Przyprowadzony przez konwojentów z więzienia Robert R. nie rozpoznaje oskarżonych. Co do ofiary: - Raz czy dwa widziałem tego „Karzełka”. Znam nazwisko P. - to dziennikarz, pośrednio sprawca moich kłopotów. Przypisywał mi różne przestępstwa. Przypuszczam, że od tego zaczęła się nagonka CBS na mnie. Mogło tak

być, że za pośrednictwem Michała umawiałem się z P. Owszem, doszło do spotkania w kawiarni na Starym Mieście. Nie przypominam sobie, aby był tam Piotr O. i Michał J. Nie zawierałem z redaktorem porozumienia, że przestanie pisać o grupie wo-

łomińskiej i w zamian będzie otrzymywał informacje o innych mafiach. Pojechałem na to spotkanie, aby żądać sprostowania tego, co P. powypisywał o nas. Myślałem też, żeby mu dołożyć. Ale rozbawił mnie, był taki wystraszony, a równocześnie przymilny. Gdy doszliśmy do konkretów, odpowiedział, że po publikacji nic już nie może zrobić, bo takie informacje dostał z policji. Uzgodniliśmy, że w przyszłości będzie do mnie dzwonił i konsultował. Ponadto pokaże mi tekst przed oddaniem do druku. Potem jeszcze raz się z nim spotkałem, wypytał mnie o różne rzeczy. Raz w jego artykule wystąpiłem pod inicjałami jako „współpraca”.

Świadek potwierdził, że większość kontrolowanych informacji dla P. o grupie (konsekwentnie używał tego określenia w stosunku do mafii wołomińskiej) docierała za pośrednictwem Michała.

Z akt własnej sprawy karnej wie, że zarówno Michałowi J., jak i P. groziło aresztowanie w sprawie „Wołomina”.

- Można powiedzieć, że ja uratowałem P. dupę. Nim doszło do spotkania na Starym Mieście, ostrzegałem go listownie, aby nas nie szkalował. Ubliżałem mu. On to wszystko pokazał prokuratorowi, przedstawił się jako moja ofiara. I mu się upiekło.

Również przyprowadzony z aresztu Dariusz B., członek zarządu „Wołomina” (kolejny oskarżony w innej sprawie, o zabójstwo), nie miał wątpliwości, że „Karzeł” handlował narkotykami.

- Myślę, że pracował dla P., który dawał mu na narkotyki, a Michał sprzedając je, próbował dowiadywać się o różne sprawy mafii.

Kolejny świadek nazwał zamordowanego J. wprost - był dealerm narkotyków w Wołominie.

- Wiem, bo miałem sprawę w sądzie, gdyż od „Karła” kupowałem narkotyki. Obaj byliśmy oskarżeni. Na sali rozpraw dowiedziałem się, że Michał nie żyje. Ja zostałem prawomocnie skazany.

- To nie było dokładnie tak - tłumaczył mi po rozprawie ojciec Michała J. - Syn miał w swym życiu pewien epizod z używkami. Gdy się o tym dowiedziałem, doszło między nami do męskiej rozmowy i on skończył z tym. Utrzymywał się z reklam zamieszczanych na tej stronie internetowej, o której była mowa w sądzie.

404

Został też wezwany przed sąd dziennikarz śledczy Rafał P. Od razu skorzystał z prawa dziennikarza

do osłaniania swych informatorów i nie ujawnił, skąd otrzymywał informacje do artykułu o mafii w Wołominie. Nie miał pewności czy pseudonim „Karzeł” był przypisany Michałowi J., bo nie bardzo pamiętał tego mieszkańca Wołomina. Przypomniał sobie dopiero z pomocą prokuratora, który już go przesłuchiwał w śledztwie. Wtedy zeznał:

- Dla mnie on nie był członkiem grupy przestępczej, ja go znałem jako studenta z Wołomina. Zastanawiałem się, skąd taka osoba ma kontakty ze zorganizowaną grupą przestępczą i wie, co tam się dzieje. Michał zdał mi na przykład relację z pierwszej ręki o przebiegu słynnego wśród członków mafii wesela jej bossa Roberta R.

P. potwierdził, że kiedyś Michał J. pośredniczył - bardzo zresztą wystraszony - w spotkaniu z Robertem R. Ale nie doszło do żadnych ustaleń z szefem mafii. Ani wtedy, ani w czasie następnych rozmów, których mogło być trzy, cztery. We wszystkich J. był milczącym świadkiem.

Dziennikarz śledczy zaprzeczył, aby boss „Wołomina” cenzurował jego artykuły. Owszem, raz dostał od R. kasetę wideo, na której zarejestrowano spotkanie „Klepaka”, poprzedniego szefa grupy, z Januszem Cz., członkiem tego gangu, wówczas świadkiem koronnym. To było nagranie bez głosu, kręcone w lesie z ukrycia. Miało świadczyć, że Janusz Cz. gra na dwa fronty. Materiał przekazał policji z wydziału kryminalnego.

Padło jeszcze kilka pytań od sędziego:

- Czy tę kasetę dostał pan za pieniądze? -Nie.

- Czy Robert R. zwracał się do pana z prośbą albo poleceniem opisywania innych grup przestępczych w taki sposób, jakby on to widział?

- Nie. Nigdy bym się na to nie zgodził.

- Do czego służyły panu kontakty z Michałem J.?

- Michał pomagał mi w robieniu tzw. Listy Gangstera, która miała być zamieszczona na stronie internetowej. Weryfikował dane, sugerował osoby, które powinny się tam znaleźć. Listę - około tysiąca nazwisk - przekazałem policjantom z CBS. Po jakimś czasie dałem sobie spokój z aktualizacją listy, bo nie miałem na to czasu. Nie wiem, czy Michał pracował nad ciągiem dalszym. I czy tę listę do czegoś wykorzystywał.

Na koniec świadek oświadczył, że od 2008 roku nie zajmuje się już „Wołominem”, bo był stroną w jednym z dochodzeń związanych z tą mafią. A poza tym...

- Po moim przesłuchaniu pojawiła się pewna wątpliwość, czy przypadkiem Michał J. nie był po drugiej stronie i czy nie brał pieniędzy od grupy. Ja osobiście wykluczyłem tę możliwość.

???

405

Ojciec zamordowanego na portalu „Wieści Podwarszawskich”:

„Sprawa Michała rozwija się jak bandaże na rannym. Za każdym zwojem inna rana. Teraz zatacza kręgi o domniemanych przywódców gangu wołomińskiego. Dowiadujemy się sensacyjnych wieści o przyjaciółach Michała z gangu. Zeznają nowi świadkowie, z różnych poziomów, m.in. redaktor poczytnej gazety. Sprawa rozbiega się jak plama z rozlanej krwi. Oby sędziom wystarczyło siły, by dociec, kto rozlał tę krew, kto był nie tylko ręką zabijającą, ale i mózgiem kierującym narzędziami. Pytania, pytania. Tak naprawdę jesteśmy dopiero na początku tej bardzo zagmatwanej sprawy. Gdzieś na końcu tego tunelu jest jakieś światelko. Oby było latarnią, oświetlającą wszystkie piętra”.

Artykuł w „Wieściach...” relacjonujący, na jakim etapie jest proces i że w śledztwie Damian S. dokładnie przedstawił porwanie oraz dręczenie Michała J. przez jego dwóch kolegów, już w dniu publikacji został na portalu gazety skomentowany przez anonimowych internautów. Oto charakterystyczny głos:

„Wymiotować mi się chce, jak czytam. »Porażka!« Co to za bzdury? Jakie przyznanie się!!!!???? Kto się, kurwa przyznał. I jak ludzie mogą pisać takie brednie, skoro nie mają pojęcia, o sprawie. Gazeta sobie opisała, że złapali morderców i miliony innych pierdoli, a ktoś sobie przeczyta i już!!! Co wy, kurwa, wszyscy sędziowie jesteście, czy co...? Co wy możecie wiedzieć!!!!!!! A może z

policją współpracujecie, że tak wszystkiego pewni jesteście!!! Że to tak na pewno oni okrutni mordercy, he he. Może warto poczekać na jakieś wyroki, a nie osądzać. Czy ktoś zastanawia się, dlaczego właśnie to tak długo trwa??? Powiem wam, bo oprócz tego, że to oczywiście ze względu na pracę naszych sądów, to najważniejsze jest to - NIE MAJĄ DOWODÓW!!! Tak że jak ktoś nie ma zielonego pojęcia o tej sprawie, to niech ściśnie dupsko i się odpiardoli!!!!!!!!!!".

???

Czwarty rok od aresztowania oskarżonych. Bardzo zmienili się od pierwszej rozprawy. Teraz, gdy idą na salę sądową konwojowani przez groźnie uzbrojonych policjantów, dowcipkują. I z tym głośnym rechotem wchodzą na salę.

Najmłodszy z nich, Damian S., chyba urósł przez te lata, a na pewno zmęźniał. Już się nie trzęsie ze strachu, a i mówi trochę składniej, nie tylko knajackim slangiem. Podczas rozprawy już nie trzeba go sadzać daleko od pozostałych oskarżonych, bo mogliby mu zrobić krzywdę. Teraz patrzą na Damiana jak na kumpla. Skąd ta łaskawość? Bo odwołał obciążające ich zeznania. I nadal konsekwentnie twierdzi, że śledczy biciem zmusili go do podpisania nieprawdy w protokole. Jego opowieści, jak był maltretowany, rozrastają się z rozprawy na rozprawę. Ma to chyba przećwiczone w celi, bo już nie brakuje mu słów.

-Jak wyglądało maltretowanie na komendzie, konkretnie proszę - wypytuje sędzia.

406

Oskarżony S.: - Gdy tylko usiadłem, dostałem na dzień dobry w twarz.

pa

- Dlaczego?

- Trzeba by ich zapytać. Potem przesłuchujący kazał mi poszukać czegoś w szufladzie jego biurka. Włożyłem rękę, a on wtedy kopnął w tę szufladę. Poczulem M straszny ból. Nie zgłaszałem prokuratorowi, bo na komendzie mnie uprzedzili, że ^ jeśli powiem, będzie jeszcze gorzej, ścisną mnie psychicznie i fizycznie.

Sędzia: - Czy przed zatrzymaniem miał pan uraz tej dłoni?

- Nie przypominam sobie. P^i

- Piątego czerwca dwa tysiące ósmego roku powiedział pan na rozprawie: „Bili Q mnie aż do podpisania protokołu. Przed zatrzymaniem miałem złamaną rękę, poli- »~\* cjanci mi ją wykręcali.

- Ja tylko wiem, że gdy byłem na wolności, miałem rękę zdrową. Prokurator: - Czy podczas przyjmowania do aresztu zgłaszał pan uraz prawej ręki?

- Prosiłem o rentgen, to mi dali maść, pięć tubek wysmarowałem, nie pomogło. Sędzia: - Mamy rentgen dłoni oskarżonego wykonany w lutym dwa tysiące dziewiątego roku. Nie stwierdzono zmian pourazowych.

Na następną rozprawę zostali wezwani funkcjonariusze z komendy policji w Wołominie, którzy mieli kontakt z oskarżonym tuż po jego zatrzymaniu.

Naczelniczka wydziału kryminalnego jest pewna - mimo upływu trzech lat - że zarówno w komendzie, jak i w areszcie Damian S. nie uskarżał się na bóle ręki. A spotykała się z nim kilkakrotnie. Jednakże te czynności operacyjne nie były protokolowane.

Podobnie policjant wydziału dochodzeniowo-śledczego. Na pytanie obrońcy oskarżyciela prywatnego czy wywierał presję w stosunku do osoby, która odmówiła składania wyjaśnień, świadek zaprzeczył dodając, że nigdy nie był z przesłuchiwanym sam. Zawsze towarzyszył mu drugi funkcjonariusz, a ponadto w pomieszczeniu była kamera.

Tata Michała pisze po tej rozprawie w internecie: „Termin za terminem. Moje nerwy i lęk przed każdą rozprawą. Śmiechy rodzin oskarżonych podczas procesu. Jeden z domniemych sprawców już tak się znudził, że zakomunikował sądowi (z pomocą swej pani adwokat): dajcie sobie spokój i wypuście mnie do domu, bo ja tu trawię czas na darmo. Udawani niby-świadkowie do zapewnienia alibi, udawana skrucha w liście oficjalną pocztą jednego podejrzanego do drugiego, chory na rzekomy uraz ręki, który nie jest chorym... A Michał tam w dole, w podwójnych, plastikowych workach. Modlitwy Jego Mamy. Zabita rodzina. Zabita przyszłość. Marność i tylko

marność".

„Czy jest już wyrok w tej sprawie?" - na portalu dopytuje się MC.

Odpowiada mu Znajoma: „Jeszcze nie. Oby dostali dożywocie, bez widzeń, o spleśniałym chlebie i brudnej wodzie, bez gazet, TV, bez toalety, w celi metr na metr... Ale to nierealne... a szkoda. Nadal jestem pełna nienawiści do morderców. Michał żyje w mojej pamięci".

407

???

Trzydziestego marca 2010 roku zamknięto przewód sądowy. Prokurator zażąda! dla oskarżonych Mariusza W. i Łukasza W. dożywocia. Dla Damiana S. ośmiu lat więzienia. Oskarżyciel posiłkowy i jego pełnomocnik poparli ten wniosek. Adwokaci wszystkich oskarżonych domagali się uniewinnienia. Następnego dnia sędzia Cezary Puławski odczytał wyrok: Mariusz W. i Łukasz W. po osiem lat więzienia, Damian S. spędzi za kratkami pięć lat.

Upadł jeden z najpoważniejszych zarzutów prokuratorskich - zabójstwo.

- Sąd co prawda skazał oskarżonych, ale tylko za porwanie Michała J. i próbę wymuszenia okupu - uzasadniał sędzia tak niski wyrok. - Nie udało się ustalić losów ofiary po opuszczeniu domu w Markach, gdzie była przetrzymywana. Można mnożyć wersje, spekulować. Ale materiał dowodowy przedstawiony przez prokuraturę nie dał żadnych podstaw do skazania oskarżonych za zbrodnię zabójstwa.

Janusz J. był wstrząśnięty. - Nie spodziewałem się tego - powiedział mi. - Miałem nadzieję, że sąd wskaże, kto jest winny. Dobrze, że moja żona tego nie doczekała.

Przeprosił, że nie jest w stanie dłużej rozmawiać. Poznaliśmy się bliżej w czasie procesu. Wiedziała, że od lat walczy z chorobą nowotworową żony. Na kilka tygodni przed ogłoszeniem wyroku spotkała ją jeszcze jedno nieszczęście - przez nieuwagę dotkliwie poparzyła się gorącym płynem. Ból był tak silny, że nie mogły go stłumić nawet silne narkotyki. Gdy zmarła, ojciec Michała został zupełnie sam. Wszyscy jego najbliżsi: syn, córka, żona leżeli pochowani na wołomińskim cmentarzu.

- Ludzie boją się dotknąć cudzego cierpienia - skarżył mi się. - Póki nie zdarzyło się nieszczęście, nasz domek pod lasem był celem wielu odwiedzin. Żyliśmy w przekonaniu, że jesteśmy szanowani i lubiani. Ale od dłuższego czasu nawet przyjaciele omijają nas szerokim łukiem. Mam wrażenie, że nie wiedzą, jak się zachować.

Co czuł ojciec Michała, ten współczesny Hiob po usłyszeniu wyroku, zwierzył się anonimowym internautom: „To było wczoraj. Godzina 11.45, sala sądowa znana mi od prawie czterech lat. Dzwonek podrywa wszystkich - wchodzi sędziowie. I już po sprawdzeniu obecności padają słowa: Wyrok w imieniu Rzeczypospolitej... Moje serce szamocze się jak gołąb w klatce, po plecach płynie strumień potu. Padają jakieś liczby, paragrafy i... po słowach: »Damiana S. na 5 lat, Mariusza W. na 8 lat, Łukasza W. na 8 lat«, sędzia każe nam usiąść. Wpatruję się w zapisane na kartce cyferki. I jedna myśl. To wszystko? Tyle dostali? Sędzia jeszcze uzasadnia wyrok. I nagle słyszę słowa: »ofiara знаła niemal całą przestępczą grupę wołomińską, miała kontakty z grupą markowską, kontaktowała grupę z redaktorem P. Sąd i to musiał wziąć pod uwagę«...

I zaraz potem cała trójka obrońców żąda zwolnienia do domu swoich klientów. A w mojej głowie karuzela jak po secie spirytusu. Na pytanie sądu, czy zgadzam się na wyjście tej trójki na wolność, jestem w stanie zaprotestować. Tylko jednym słowem „nie".

408

Potem przyszły te myśli: Czy prokuratura zaważyła sprawę w całej rozciągłości? O Apelacja nadzieją na sprawiedliwość? Q

„A tu Święta Wielkanocne za pasem. Zapalę znicze na grobie żony, syna i córki. ^ I co im powiem?". H

25



Internauci też nie mogą się pogodzić z tak niskimi wyrokami. Ktoś kto ma nick ^ MC dwukrotnie powtarza pytanie: „Czy to znaczy, że nie dostali dożywocia? W takiej sprawie to niemożliwe. Za zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem tylko taka kara?”.

Włącza się Znajoma: „Mord ze szczególnym okrucieństwem potraktowany przez sąd jak jakieś pobicie! Jestem wstrząśnięta, przecież to jest kpina!!! Brak mi słów, dla polskiej tzw. Sprawiedliwości”.

t<3

Sekunduje jej Paweł: „Nie bardzo rozumiem takiego toku myślenia sądu. Wiadomo, że do każdego szczegółu się nie dotrze. Ale skoro wiadomo, kto porwał i więził, to powinien odpowiadać i za śmierć”.

Ostatni wpis jest próbą wyciszenia emocji. „Wyroki wyniknęły z niedociągnięć policji i prokuratury, zaniedbania wielu czynności na etapie śledztwa, a także z niezatrzymania faktycznych morderców. Oby przyszedł dzień, że prawda ujrzy światło dzienne - dla spokoju duszy Michała, Jego cierpiącego ojca i naszego bezpieczeństwa...”.

K

olejarz Zbigniew W. czekał, aż zagotuje się w czajniku woda na herbatę. Jego kuchenne okno wychodziło na oficynę, w której wynajmował kawalerkę młody mężczyzna. Ostatnio trochę popili, poznał nazwisko sąsiada - Artur Z. Szybko przeszli na ty, umówili się, że Artur pomoże mu położyć tapety. Uczynny był z niego chłopak. Ale nawet po dużej wódce kolejarz nigdy nie pytał, z czego właściwie żyje, skoro nie wstaje rano do roboty. To nie była jego sprawa. Może matka mu pomaga? Podobno wyjechała za robotą do Anglii.

30-letniego W. bardziej interesowały kobiety, które zagnieżdżały się u Artura na kilka dni. Ze stanowiska przy kuchennym oknie znał dokładny rozkład podrywów sąsiada; zazdrościł mu takich możliwości. Ale ostatnia zdobycz - jasnowłosa Mai-gośka nie dała się tak szybko przegonić. Gdy Zbigniew W. zaszedł kiedyś do nich, zauważył w kawalerce nowe porządki. Było wysprzątane, na ścianie zdjęcie papieża, pralka przykryta serwetką. Artur chyba się ustatkował - planował ze swoją kobietą otwarcie we wsi baru szybkiej obsługi.

W ten sierpniowy ranek 2005 roku Zbigniew W. miał okno otwarte, więc wyraźnie usłyszał gwałtowne hamowanie dwóch samochodów przed oficyną. Wskoczyło z nich czterech potężnych antyterrorystów w czarnych kominiarkach. Dobięgli do mieszkania Artura. Krzyczeli: - Otwierać, policja!. Któryś kopnięciem wywalił drzwi. Do kuchni kolejarza dotarły wołania: - ...na podłogę! Po chwili zobaczył popychaną przez policjantów Gośkę, tylko w krótkiej koszulce. Artur, też półnagi, jedynie w slipach, był ponaglany do opuszczenia podwórka potężnymi kopniakami funkcjonariuszy. Zbigniew W. z przerażeniem obserwował ich brutalność. W spokojnej wsi pod Nasielskiem takie zachowanie policji było wstrząsające.

???

Ochroniarze twierdzy modlińskiej (w jej murach, pamiętających czasy Napoleona, znajdują się dziś różne magazyny) usłyszeli wołanie o pomoc i zaraz potem odgłos strzału. Pobiegli w tamtym kierunku. Ale wokół była cisza. W tym czasie inny pracownik agencji ochrony zobaczył uciekających z parku kilku mężczyzn. Wydawało mu się, że ich rozpoznał (później przesłuchującemu go policjantowi podał nazwiska: Maciej Ś., Piotr T., Rafał M. i Józef M. - miejscowy element przestępczy - jak ich określił).

Wszystko to wyglądało tak niepokojąco, że ochroniarze nie zrezygnowali z penetrowania terenu; przeczesując kolejne zarośla doszli do odkrytego dołu. Były w nim nieruchome nagie ciała - mężczyzny i kobiety. Nie żyli. Obok leżał szpadel, rękawiczki, sznurowadła i zakrwawiony nóż. Żadnych porzuconych dokumentów identyfikacyjnych. Pies doprowadził do parkingu za parkiem, tam stracił trop.

Po kilku dniach nazwisko zamordowanego mężczyzny było już policji znane dzięki badaniom daktyloskopowym. To Artur Z. notowany w kartotekach kryminalnych.

Handlarz narkotykami. A kobieta - Małgorzata R. była jego dziewczyną. Mieszkali razem, co potwierdził ich sąsiad kolejarz .

Śledczy docierają do rodzin ofiar. Ale trudno im się rozmawia. Siostra zamordowanej wie tylko tyle, że Gośka po zwolnieniu z pracy w nowodworskiej „Pollenie” zaczęła się spotykać z jakimś Arturem, zamieszkali pod Nasielskiem.

- Ona była skryta, nie wtajemniczała mnie w swoje problemy, często zmieniała numery telefonu.

Podobnie siostra Artura nie utrzymywała kontaktu z bratem. - Nie pytałam go, gdzie pracuje, bo zawsze mnie zbywał śmiechem, że daje sobie radę, to co miałam naciskać. Dorosły był - zeznała. Również matka Artura Z. nie wiedziała, czym syn się zajmował. Policjantom pokazała zdjęcia syna z jego dzieciństwa. Jaki ładny był: oczy piwne, włosy w lokach.

???

Śledczy namierzają posługującego się telefonem komórkowym zamordowanej Małgorzaty. To 25-letni Krzysztof M. z Warszawy, lump. Przesłuchiwany przyznaje, że w sierpniu ukradł komórkę koledze Józkowi M. Akurat odwiedził go w Modlinie i jakoś tak go skusiło, bo przez chwilę był sam w pokoju. Zamierzał sprzedać telefon pod Hałą Mirowską.

Nigdy nie słyszał o poprzedniej właścicielce telefonu. Zamordowana? Nie, on nie da się w to wrobić. Owszem, ma przeszłość kryminalną, siedziało się w roku 1997 i później, w latach 2000-2004, ale to nie znaczy, że można na niego zwalić wszystkie niewyjaśnione przestępstwa.

Teraz też jest podejrzany wraz z dwoma kumplami o rozbój na stacji gazu w Ka-zuniu. Nikomu nic się nie stało, chcieli tylko pieniądze z kasy. Właściciel od razu otworzył szufladki, ale niewiele tam było, sam bilon, w sumie około 130 złotych. Podzielili łup na trzy kupki, dostał 40 złotych.

Krzysztof M. szeroko i chętnie opowiada, w jakich okolicznościach wchodził w konflikt z prawem, bo chce zostać świadkiem koronnym i skorzystać z nadzwyczajnego złagodzenia kary.

Wtajemnicza prokuratora w szczegóły walki dwóch band na terenie Nowego Dworu i okolic. Są bowiem grupy braci K. i Rafała Ł. ksywa „Zwierzak”. Człon tej drugiej stanowią: Józef M., Maciej Ś. („Śledź”), Marcin O. („Orzech”), Piotr T. („Skwara”) i Piotr K. („Kopany”).

Jemu bliżej pod komendę „Zwierzaka”, ale nie jest tam traktowany jako pełnoprawny członek bandy, nie dostaje na przykład wypłaty ze wspólnego kotła.

Tak, zabierali go na akcje. Może o jednej opowiedzieć, z końca 2004 roku. Umorzonych z braku wykrycia sprawców.

On wtedy dopiero co wyszedł z więzienia. Pojechali na porwanie do małej miejscowości pod Olsztynem. Uprowadzony nazywał się Tadeusz W. Miał stację

411

j^j benzynową. Zawieźli go do Nowego Dworu i związanego, z zaklejonymi oczami, ukrywali ponad tydzień w opuszczonym budynku. Rozmowy o wykupie - 600000 złotych - były prowadzone z synem porwanego - Tomaszem.

- Nie wiem, ile w końcu dał - odpowiedział Krzysztof M. na pytanie prokuratora -ja zarobiłem za pilnowanie 17000 złotych.

Przesłuchano właściciela stacji paliw. Tak, przeżył straszne dni. Dwóch się nad nim znęcało, głównie psychicznie. Opowiadali mu, jak się topi żywych jeszcze ludzi, aby nie wypłynęli. Że trzeba wbić gwoździe w płuca i serce.

Po kilku dniach pozwolili mu porozmawiać przez telefon z synem. Błagał: - To-muś, sprzedaj stację i zorganizuj pieniądze na okup, wyciągnij mnie.

Ale synowi nie udało się znaleźć tak szybko kupca. Wtedy porywacze kazali mu wytypować znajomych, którym dobrze się powodzi i dzwonić do nich z prośbą o pomoc. Pierwszy z listy odpowiedział, że będzie się za ofiarę porwania modlił. Drugi, że niestety nie ma zbędnej kasy. Dalej było już podobnie, aż do końca listy.

- Gdy przedstawiłem moim oprawcom fiasko starań - zeznawał W. - wrzucili mnie do dołu; pytali, czy mam jeszcze grunt pod nogami, bo zaraz się wszystko za-rwie. Z nerwów dostałem drgawek mięśni twarzy, które nie przeszły mi do dzisiaj.

Syn porwanego też przeżył traumę: - Ciągłe do mnie dzwonili - wspominał - czy zebrałem pieniądze. Miałem już pożyczone 120000 złotych. Łaskawie zeszli z poprzedniej kwoty, ostatecznie włożyłem do torby 109000 zł, 800 euro i 1500 dolarów. Potem spośród moich kolegów wybrali Bartka jako tego, który da im pieniądze. Ich scenariusz był następujący: spotykam się z Bartkiem w pewnym punkcie trasy wylotowej z Warszawy na Katowice. On przesiada się do mojego samochodu, jedziemy w kierunku Warszawy, oczywiście bez obstawy policyjnej. Porywacze mieli się odezwać w trakcie jazdy.

Zrobiliśmy jak kazali. I rzeczywiście, w komórce mojego kolegi wyświetlił się telefon o nieznanym mi numerze. Jakiś męski głos wypytywał o jego dane, szczegóły rodzinne. Zorientowałem się, że taką wiedzę mógł im przekazać tylko ojciec.

W okolicach warszawskiego Dworca Zachodniego ten osobnik ponownie zadzwonił. Pytał, dlaczego to tak długo trwa. Kazał jechać w stronę Gdańska. Potem otrzymałem polecenie zaparkowania przy najbliższej restauracji. Znowu telefon - z informacją, że w koszu na śmieci jest komórka Nokia. Od tej chwili mam się kontaktować tylko przez aparat z kubła na odpadki. Kolejny rozkaz: podjechać pod dworzec Warszawa Gdańska i tam zaparkować. Po godzinie jest dyspozycja: syn porwanego zostaje w samochodzie, Bartek ma kupić bilet do Legionowa.

- Zabrałem reklamówkę z okupem - zeznał kolega Tomka W. - Nabyłem w kasie bilet i wtedy zostałem poinformowany, o której mam wsiąść do pierwszego wagonu. Gdy pociąg ruszył, zadzwonił telefon, abym wystawił reklamówkę przez okno. Zrobiłem to - w tym momencie do wagonu od strony peronu podbiegli dwaj mężczyźni w kapturach, jeden z nich wyrwał mi torbę. Było ciemno, nie widziałem ich twarzy.

412

Dojechał do Legionowa, stamtąd już taksówką do Warszawy. Po godzinie ode- W zwał się syn porwanego, że jego ojciec jest już w domu.

Z przesłuchania Tadeusza W.: - W dniu, gdy miałem wrócić do domu, przyjechał szef tej bandy, kazał rozciąć mi pęta, sprawdzić, czy widzę po odklejeniu taśmy, c) Ostrzegli mnie, abym nigdzie nie zgłaszał porwania, bo kulka w łeb. Byłem wolny, ^ choć za wysoką cenę - żeby spłacić pożyczki na okup, musiałem sprzedać swoją fir- ?2j mę.

Prokuratura umorzyła śledztwo w sprawie wymuszenia rozbójniczego z powo-du nie wykrycia sprawców. Wznowila je po wyznaniach skruszonego gangstera M. Jj3

- Drugie porwanie było metodą „na policjanta” - wyjaśniał dalej kandydat na świadka koronnego. - W tym celu dostałem od „Zwierzaka” odznakę policyjną. Upro- tli wadziliśmy jakiegoś chłopaka. Ale to nie za bardzo się opłacało. Rodzice porwane- ^ go okazali się golcami. Dostałem wtedy tylko 2 tysiące złotych. Er\*

3

o

<

W czasie kolejnego przesłuchania oskarżony Krzysztof M. przyznał się do napa- J-J du w 2005 roku - wspólnie z Rafałem Ł. - na hurtownię komputerów. - Szybko nam poszło. Właściciel był akurat sam w pokoju. „Zwierzak” wycelował do niego z pistoletu, krzyknął: „Na podłogę!”. Skrępowaliśmy faceta taśmą.

Zabrali sprzęt o wartości 168600 zł i samochód ciężarowy.

Ponadto Krzysztof M. i Józef M. pozbawili wolności właściciela hurtowni - w celach rabunkowych - i weszli w posiadanie 200 000 euro. &i

Próbowali też obrabować kobietę, która pobierała 150000 zł w warszawskim banku, ale podniosła taki krzyk, że musieli uciekać.

To wszystkie jego grzechy. Bo z zabójstwem tej pary w Modlinie nie ma nic wspólnego.

Krzysztof M. jest z siebie zadowolony. Odwrócił uwagę prokuratora od morderstwa w twierdzy. Oskarżyciela interesują tylko narkotyki - kto je sprzedaje w Modlinie i okolicy. Podpowiada nazwiska. Na przykład: co przesłuchiwanemu wiadomo o Arturze G. ps. „Haski”.

Proszę bardzo - może odpowiedzieć. We wrześniu 2005 roku pojechał z G. i panią Iwoną, matką „Zwierzaka”, do Szwecji. Mieli ze sobą 2 kg amfetaminy. Kupiec był umówiony, cena uzgodniona - 100000 koron szwedzkich. Ale nie udało się opylić całego towaru. Iwona Ł. przywiozła tylko 65 000 koron. „Zwierzak” zrobił im awanturę. Jeszcze tego samego dnia Krzysztof M. znalazł się w Holandii. Ł. kazał, a „jemu się nie odmawia. Jest gwałtowny, zawsze z bronią, mógłby zrobić krzywdę”.

Pojechali po 7 kg marihuany od dealera Araba. Ale po powrocie okazało się, że kontrahent dosypał lewy proszek. Za karę, że dali się oszukać, musieli ponownie ryzykować podróż z trefnym towarem.

413

?< :  
SS3

EH  
CO N

ME

CO

Śledczy mają więc na Artura G. haka - handel narkotykami. Biorą tego „żołnierza” Rafała Ł. na przesłuchanie; szczególnie interesuje ich, co robił 5 sierpnia 2005 roku. „Haski” nie pamięta, ale wie na pewno, że dwa dni później zawoził „Kopanego”, „Orzecha” i jakąś dziewczynę o imieniu Malwina do hotelu w Płońsku. Następnego dnia wzięli kurs na Szczytno i tam w motelu czekał na nich „Zwierzak” ze swoją Ewelina. Co robili? Odpoczywali nad wodą. Przecież było lato.

W listopadzie 2005 roku „Haski” został aresztowany pod zarzutem handlu narkotykami. Jego dziewczyna jeździła pod więzienie na warszawskiej Białołęce i wywoływała narzeczonego umówionym hasłem. A gdy tylko wróciła do domu, odwiedził ją ukrywający się Rafał Ł. i dokładnie wypytywał, co Artur miał jej do przekazania.

20-letnia Malwina mieszkała z Piotrem K. w wynajmowanym lokalu. Gdy po wyjaśnieniach podejrzanego Artura G. policjanci przyszedli do tej pary z nakazem rewizji, dziewczyna schowała dwie karty SIM pod kołdrę. Ale wypadły na podłogę i funkcjonariusz je zabrał.

Malwina nie potrafiła odpowiedzieć na proste pytanie, skąd jej chłopak ma pieniądze na życie (ona nie pracuje, nie uczy się), za co kupił niedawno samochód renault clio. - Ja się tym nie interesuję - twierdziła, wzruszając ramionami. A czy wie coś o zabójstwie w twierdzy modlińskiej? Tak, czytała o tym w „Tygodniku Nowodworskim”.

Niewiele też się dowiedzieli śledczy od siostry Rafała Ł... - Nie wiem, gdzie on teraz mieszka - zeznała 19-letnia Izabela. Po tym, jak ktoś brata postrzelił, wyprowadził się, ojcu też nie dał adresu. Kim są rodzice? Tata palaczem w klubie garnizonowym, mama właścicielką sklepu spożywczego w Nowym Dworze Mazowieckim. Teraz nie ma jej w Polsce, wyjechała do Londynu do koleżanki. Nic nie wiem na temat innych interesów mamy, a zwłaszcza handlu narkotykami.

Ojciec Rafała Ł. okazał się bardziej skory do rozmowy z funkcjonariuszami. Skarżył się, że jego słowo u syna nic nie znaczy. - Straciłem swoje dziecko - wyznał ocierając łzy - od czasu, gdy pierwszy raz go aresztowali. To było w roku 2001, chłopak miał wtedy siedemnaście lat. Odsiedział półtora roku i z za krat wyszedł całkiem inny człowiek. Zepsuty. Nigdzie nie pracował, a miał

pieniądze na wszystko. Wynajął pokój przy tej samej ulicy, przy której mieszkamy, ale gdy czegoś chciał od matki, jeździł na podwórko luksusowym samochodem, choć zabrano mu prawo jazdy. Ostatnio zmienił adres, nie wiem, na jaki. Słyszałem, że mieszka z jakąś Ewelina.

Aldona, starsza siostra Eweliny zachowywała się w czasie przesłuchania równie powściągliwie, jak inne dziewczyny z towarzyskiego kręgu „Zwierzaka”. A może naprawdę niewiele wiedziała o siostrze, gdy ta wyprowadziła się z domu? - Odkąd zamieszkała z Rafałem, jest bardzo skryta - zeznała - rzuciła zawodówkę, na każde pytanie ma jedną odpowiedź: A co cię to obchodzi? Nie pozwalała mi używać, czy choćby wziąć do ręki jej komórkę, jakby nie wiem, jakie tajemnice tam się kryły.

414

W listopadzie 2005 roku za handel narkotykami, napady na tiry i porwania dla okupu trafił do aresztu nie tylko Artur G. Prokuratura postawiła podobne zarzuty Piotrowi K. („Kopanemu”) oraz Rafałowi Ł. („Zwierzakowi”), który bez oporów potwierdził, że przywiózł do Polski 500 kg marihuany i amfetaminy.

23-letni Piotr K., z zawodu tokarz, ale nie pracujący, oficjalnie na utrzymaniu matki rencistki, początkowo nie przyznawał się do żadnego z listy przestępstw. A skąd miał nowy samochód reault? Kupił go za pieniądze od mamy. Ofiarowała mu swe oszczędności pod choinkę. W jego mieszkaniu znaleziono większą kwotę pieniędzy. - To mojej dziewczyny - wyjaśnił.

Jednakże wystarczyło kilka dni w areszcie i „Kopany” zaczyna mówić, co się działo 5 sierpnia w twierdzy Modlin. Zastrzega się - on nie ma na rękach krwi ofiar - brał tylko udział w uprowadzeniu tej pary z mieszkania. Chce skorzystać z dobrodziejstwa art. 60 kk. o świadku koronnym.

Prokurator zarządza wizję lokalną. Piotr K. krok po kroku przedstawia tragiczne wydarzenie:

Po Artura i Goškę przyjechali dwoma samochodami, w szczęściu: Józef M., Rafał Ł., Piotr T., Marian O., Maciej Ś. i on, Piotr K. Wyciągnęli ofiary z oficyny, wepchnęli do samochodu, dojechali do polany w twierdzy Modlin. Co działo się później, on nie wie, bo odjechał razem z „Orzechem” i „Skwarą”. „Zwierzak” kazał im umyć samochód, łącznie z tapicerką, na której zostało trochę krwi po uderzeniu stawiającego się Artura. O tym, że uprowadzeni nie żyją, dowiedział się z gazet.

Prokuratura daje oskarżonemu nadzieję, że jeśli opowie wszystko o bandzie Rafała Ł., będzie mógł skorzystać z art. 60 kk. On gotów jest sypać kumpli - śledczy może protokołować.

Tak, był w grupie nowodworskiej. Od początku, gdy jeszcze nie podzieliła się na bandy braci K. i „Zwierzaka”. W 2000 roku został zatrzymany za nielegalne posiadanie broni. Odsiedział za kratkami rok. Grzegorz i Dariusz K. pomagali mu wtedy, posyłali paczki. Gdy wyszedł, został już zaprzysiężonym członkiem grupy nowodworskiej. Wpadł w jednej z akcji, znów go zamknęli. Wtedy jeszcze żołnierzami braci K. byli m.in. Rafał Ł., Józef M., Maciej Ś. i Piotr T. W śledztwie nikogo nie wydał i dlatego, gdy już był na wolności, boss gangu Grzegorz K. ksywa „Gieno” zrobił go skarbnikiem. Zbierał haracze od prostytutek na trasie, od restauratorów, dzielił pieniądze z okupów za porwania. Gdy „Gieno” zamknęli, skarbnik był tym, do którego szły spod celi grypsy. Bo Grzegorz K. nadal nimi kierował, choć z za krat.

Śledczy chcą poznać przyczynę porwania Artura Z. i jego dziewczyny.

- „Zwierzak” zamierzał od nich wydusić - odpowiada Piotr K. - jak miał na nazwisko niedoszły zabójca, który kilka dni wcześniej strzelał do niego z dwóch pistoletów naraz na klatce bloku. Artur Z. chodził na akcje z braćmi K. i przechwalał się na mieście, że przechowuje broń tego, który chybił.

415

H

CS

?

Vi

^^'

- A dlaczego „Zwierzak” miał zginąć? - zapytał oficer dochodzeniowy.

- To dłuższa historia - wyjaśnia „Kopany”. - Trzeba się cofnąć kilka lat, do czasów, gdy gang braci Grzegorza K. („Gieno”) rządził Nowym Dworem. Gdy inne grupy mafijne wchodziły na jego teren, robiło się gorąco.

Ze słów Piotra K wynika, że dla „Giena” nie było bandyckim honorem tolerowanie takiej samowoli. Gdyby nie zareagował, straciłby poważanie „Wołomina”, z którym miał różne interesy.

Musiał pokazać, na co go stać. Na miejsce demonstracji wybrał pub EB w Nowym Dworze Mazowieckim.

W czerwcu 2000 roku w dniu zakończenia nauki w szkołach, rynek tego podwarszawskiego miasteczka zatrzęsł się od eksplozji bomby podłożonej pół metra pod powierzchnią tarasu w pubie EB. Siła rażenia ładunku była tak wielka, że szczątki ofiar zbierano w promieniu kilkudziesięciu metrów. W pubie zginąć mieli gangsterzy, którzy nie chcieli się podporządkować braciom K.: Dariuszowi ps. „Kary” i Grzegorzowi ps. „Gieno”.

Wybuch nastąpił przed planowanym czasem, gdy kilku młodych mężczyzn, przygotowując lokal do popołudniowej uroczystości, przestawiało stoliki. Jeden z nich zauważył pęknięcia w konstrukcji tarasu. Nieświadomy pułapki poruszył zapalnik... W rezultacie zginęły cztery przypadkowe osoby, między innymi właściciel pubu.

Gdy doszło do procesu w sprawie eksplozji w nowodworskim pubie EB, oskarżani nie przyznali się do zarzutów. Twierdzili, że ze sprawą nie mieli nic wspólnego.

- Jaki gang? „Twierdza Modlin” to mit. Zostałem wrobiony w te zarzuty - przekonywał sąd Grzegorz K., zdaniem prokuratora zleceniodawca zabójstwa ludzi z konkurencyjnej bandy.

Inny oskarżony gangster zapewniał, że na co dzień zwykł nosić kamizelkę kuloodporną, z wrodzonej przezorności.

W trakcie długiego śledztwa prokurator zebrał dowody, że zamknięty w areszcie w Białolece Grzegorz K. ps. „Gieno” bez przeszkód kierował swoim gangiem za krat. Wysyłał dziennie nawet dziesięć grypsów - wydawał w nich polecenia swoim „żołnierzom” rozprawiania się z konkurencyjną bandą, obrzucania jej członków granatami, namawiał do uprowadzenia jednego ze świadków, który zeznawał na jego niekorzyść.

Między innymi przechwycono gryps z grudnia 2003 roku wysłany do Jana G., by dał aresztantowi alibi w sprawie wybuchu w pubie EB. „Gieno” z góry dziękował za przysługę.

Grzegorz K. uniknął wyroku w sprawie śmiertelnych ofiar w pubie EB z całkiem innego powodu. Po prawie pięciu latach tymczasowego aresztu został decyzją Sądu Okręgowego (a następnie Sądu Apelacyjnego) zwolniony i miał odpowiadać z wolnej stopy. Któregoś dnia wyszedł z domu prosto pod lufę zabójcy; nie przeżył. Podejrzenie padło na „młode wilczki”, czyli oddzielnie już harującą grupę Rafała Ł.

W kwietniu 2005 roku doszło do rozłamu w bandzie z powodu rozliczeń finansowych, jak również podejrzenia, że zabójstwo Konrada O., przyjaciela „Zwierzaka”, to zlecenie Dariusza K. Z grupy braci K. odeszli: „Zwierzak”, „Kopany”, „Orzech”, Józef M. i Piotr T. Na swego bossa wybrali Rafała Ł. c\_5

3

Od pogrzebu „Giena” przywódca modlińskich odszczepieńców poruszał się po ulicach rodzinnego miasta bardzo ostrożnie z obawy o swoje życie. I przyszedł taki wieczór, gdy „Zwierzak” upadł ranny od kul z dwóch pistoletów pod drzwiami mieszkania rodziców. Strzały nie były śmiertelne i Rafał Ł, gdy tylko doszedł do siebie, chciał poznać nazwiska niedoszłego zabójcy. Dotarło do niego, że handlarz narkotykami jest Artur Z., który czasem chodził na akcje z braćmi K., przechwala się na mieście, że przechowuje broń tego, który chybił, strzelając do „Zwierzaka”. Przywódca „młodych wilczyków” postanowił za wszelką cenę wyciągnąć od Z. nazwisko niedoszłego zabójcy.

Artur Z. i mieszkająca z nim Małgorzata R. zostali siłą wywiezieni do dzikiego parku wokół twierdzy Modlin. Wcześniej „Zwierzak” dał broń maszynową Józkowi M. Porwany mężczyzna był torturowany. Gdy mimo to nie chciał mówić, oprawcy wrzucili go do własnoręcznie wykopanego dołu. „Zwierzak” przeładował pistolet...

Wtedy Artur Z. ujawnił, że zamach na Rafała Ł. zlecił brat „Giena” Dariusz K. ps. „Kary”. Gdy bandyci nagrywali to wyznanie, w pewnym momencie broń w ręku Piotra T. wypaliła i pocisk trafił Artura Z. w plecy. Ten zaczął krzyczeć, wołać pomocy. Wówczas Piotr T. wskoczył do dołu i dźgał porwanego nożem w plecy. W tym czasie Rafał Ł. sprowadził pod wykopany dół Małgorzatę.

Piotr K. opowiedział w śledztwie, jak zginęła porwana dziewczyna:

- „Zwierzak” ciągnął Goškę od samochodu w taki sposób, że trzymał rękę na jej karku, aby nie mogła podnieść głowy. Doszli do dołu, gdzie leżał jej Artur - żył jeszcze, ale ciężko oddychał, z ust płynęła mu krew. Prosił Macieka Ś. („Śledzia”), żeby go dobił. „Śledź” z bliska oddał strzał. Ale broń się zacięła, Maciek musiał poprawić i potem jeszcze raz. Dziewczynę Józek M. najpierw wepchnął do dołu, „Zwierzak” pokazał Krzysztofowi M. taki gest: palec na ustach, ręka na gardle. Wtedy Krzysiek przewrócił ją na plecy, usiadł na niej okrakiem i dusił sznurówką. Ona ciągle żyła, więc krzyknęła do tych, co stali nad dołem, aby rzucili mu nóż.

- Gdy stawał nogą na jej krtani - Piotr K. płakał w czasie składania wyjaśnień - ja się odwróciłem, nie mogłem patrzeć. Słyszałem taki trzask, jak przy łamaniu kości.

Józef M. też dusił, stając butem na krtani kobiety. A Rafał zakrywał jej usta. Na koniec „Śledź” podciął ofierze gardło. Gdy już było po wszystkim, zdjęli z porwanych ubrania. Po chwili przybiegł zdenerwowany Piotr T., żeby szybko zasypywać, bo w parku są jacyś mundurowi i idą w tę stronę.

Uciekli. Rafał Ł. z Krzysztofem M. do mieszkania swego ojca, który podwiózł ich „na metę” do Płońska. Po drodze widzieli samochody policyjne na sygnale. Następnego dnia wszyscy pojechali ze swymi dziewczynami na Mazury.

W grudniu wpadli w ręce policji w Olsztynie.

H

~m ?

>4

- A dlaczego „Zwierzak” miał zginąć? - zapytał oficer dochodzeniowy.

- To dłuższa historia - wyjaśnia „Kopany”. - Trzeba się cofnąć kilka lat, do czasów, gdy gang braci Grzegorza K. („Gieno”) rządził Nowym Dworem. Gdy inne grupy mafijne wchodziły na jego teren, robiło się gorąco.

Ze słów Piotra K wynika, że dla „Giena” nie było bandyckim honorem tolerowanie takiej samowoli. Gdyby nie zareagował, straciłby poważanie „Wołomina”, z którym miał różne interesy.

Musiał pokazać, na co go stać. Na miejsce demonstracji wybrał pub EB w Nowym Dworze Mazowieckim.

W czerwcu 2000 roku w dniu zakończenia nauki w szkołach, rynek tego podwarszawskiego miasteczka zatrzęsł się od eksplozji bomby podłożonej pół metra pod powierzchnią tarasu w pubie EB. Siła rażenia ładunku była tak wielka, że szczątki ofiar zbierano w promieniu kilkudziesięciu metrów. W pubie zginąć mieli gangsterzy, którzy nie chcieli się podporządkować braciom K.: Dariuszowi ps. „Kary” i Grzegorzowi ps. „Gieno”.

Wybuch nastąpił przed planowanym czasem, gdy kilku młodych mężczyzn, przygotowując lokal do popołudniowej uroczystości, przestawiało stoliki. Jeden z nich zauważył pęknięcia w konstrukcji tarasu. Nieświadomy pułapki poruszył zapalnik... W rezultacie zginęły cztery przypadkowe osoby, między innymi właściciel pubu.

Gdy doszło do procesu w sprawie eksplozji w nowodworskim pubie EB, oskarżani nie przyznali się do zarzutów. Twierdzili, że ze sprawą nie mieli nic wspólnego.

- Jaki gang? „Twierdza Modlin” to mit. Zostałem wrobiony w te zarzuty - przekonywał sąd Grzegorz K., zdaniem prokuratora zleceniodawca zabójstwa ludzi z konkurencyjnej bandy.

Inny oskarżony gangster zapewniał, że na co dzień zwykł nosić kamizelkę kuloodporną, z wrodzonej przezorności.

W trakcie długiego śledztwa prokurator zebrał dowody, że zamknięty w areszcie w Białolece Grzegorz K. ps. „Gieno” bez przeszkód kierował swoim gangiem za krat. Wysyłał dziennie nawet dziesięć grypsów - wydawał w nich polecenia swoim „żołnierzom” rozprawiania się z konkurencyjną bandą, obrzucania jej członków granatami, namawiał do uprowadzenia jednego ze świadków, który zeznawał na jego niekorzyść.

Między innymi przechwycono gryps z grudnia 2003 roku wysłany do Jana G., by dał aresztantowi alibi w sprawie wybuchu w pubie EB. „Gieno” z góry dziękował za przysługę.

Grzegorz K. uniknął wyroku w sprawie śmiertelnych ofiar w pubie EB z całkiem innego powodu. Po prawie pięciu latach tymczasowego aresztu został decyzją Sądu Okręgowego (a następnie Sądu Apelacyjnego) zwolniony i miał odpowiadać z wolnej stopy. Któregoś dnia wyszedł z domu prosto pod lufę zabójcy; nie przeżył. Podejrzanie padło na „młode wilczki”, czyli oddzielnie już harującą grupę Rafała Ł.

416

W kwietniu 2005 roku doszło do rozłamu w bandzie z powodu rozliczeń finansowych, jak również podejrzania, że zabójstwo Konrada O., przyjaciela „Zwierzaka”, Q to zlecenie Dariusza K. Z grupy braci K. odeszli: „Zwierzak”, „Kopany”, „Orzech”, Pjj Józef M. i Piotr T. Na swego bossa wybrali Rafała Ł. c\_»3



Od pogrzebu „Giena” przywódca modlińskich odszczepieńców poruszał się po ulicach rodzinnego miasta bardzo ostrożnie z obawy o swoje życie. I przyszedł taki wieczór, gdy „Zwierzak” upadł ranny od kul z dwóch pistoletów pod drzwiami mieszkania rodziców. Strzały nie były śmiertelne i Rafał Ł., gdy tylko doszedł do siebie, chciał poznać nazwiska niedoszłego zabójcy. Dotarło do niego, że handlarz narkotykami Artur Z., który czasem chodził na akcje z braćmi K., przechwala się na mieście, że przechowuje broń tego, który chybił, strzelając do „Zwierzaka”. Przywódca „młodych wilczków” postanowił za wszelką cenę wyciągnąć od Z. nazwisko niedoszłego zabójcy.

Artur Z. i mieszkająca z nim Małgorzata R. zostali siłą wywiezieni do dzikiego parku wokół twierdzy Modlin. Wcześniej „Zwierzak” dał broń maszynową Józkowi M. Porwany mężczyzna był torturowany. Gdy mimo to nie chciał mówić, oprawcy wrzucili go do własnoręcznie wykopanego dołu. „Zwierzak” przeładował pistolet...

Wtedy Artur Z. ujawnił, że zamach na Rafała Ł. zlecił brat „Giena” Dariusz K. ps. „Kary”. Gdy bandyci nagrywali to wyznanie, w pewnym momencie broń w ręku Piotra T. wypaliła i pocisk trafił Artura Z. w plecy. Ten zaczął krzyczeć, wołać pomocy. Wówczas Piotr T. wskoczył do dołu i dźgał porwanego nożem w plecy. W tym czasie Rafał Ł. sprowadził pod wykopany dół Małgorzatę.

Piotr K. powiedział w śledztwie, jak zginęła porwana dziewczyna:

- „Zwierzak” ciągnął Goškę od samochodu w taki sposób, że trzymał rękę na jej karku, aby nie mogła podnieść głowy. Doszli do dołu, gdzie leżał jej Artur - żył jeszcze, ale ciężko oddychał, z ust płynęła mu krew. Prosił Maćka Ś. („Śledzia”), żeby go dobił. „Śledź” z bliska oddał strzał. Ale broń się zacięła, Maciek musiał poprawić i potem jeszcze raz. Dziewczynę Józek M. najpierw wepchnął do dołu, „Zwierzak” pokazał Krzysztofowi M. taki gest: palec na ustach, ręka na gardle. Wtedy Krzysiek przewrócił ją na plecy, usiadł na niej okrakiem i dusił sznurówką. Ona ciągle żyła, więc krzyknęła do tych, co stali nad dołem, aby rzucili mu nóż.

- Gdy stawał nogą na jej krtani - Piotr K. płakał w czasie składania wyjaśnień - ja się odwróciłem, nie mogłem patrzeć. Słyszałem taki trzask, jak przy łamaniu kości.

Józef M. też dusił, stając butem na krtani kobiety. A Rafał zakrywał jej usta. Na koniec „Śledź” podciął ofierze gardło. Gdy już było po wszystkim, zdjęli z porwanych ubrania. Po chwili przybiegł zdenerwowany Piotr T., żeby szybko zasypywać, bo w parku są jacyś mundurowi i idą w tę stronę.

Uciekli. Rafał Ł. z Krzysztofem M. do mieszkania swego ojca, który podwiózł ich „na metę” do Płońska. Po drodze widzieli samochody policyjne na sygnale. Następnego dnia wszyscy pojechali ze swymi dziewczynami na Mazury.

W grudniu wpadli w ręce policji w Olsztynie.

417

???

Trzy lata po odkryciu dołu ze zwłokami kobiety i mężczyzny w parku twierdzy Modlin, zakończył się proces ich morderców

Krzysztof M. przyznał się, że był przy zabójstwie (w śledztwie temu zaprzeczał). Ale nie chciał zamordować. Dlatego w pewnym momencie przestał dusić Małgorzatę R. Wcześniej, gdy stała nad swym grobem, poczęstował ją papierosem. To, że później zacierał ślady zabójstwa, tłumaczył uzależnieniem od narkotyków.

Sąd nie uznał odstąpienia od dalszego duszenia Małgorzaty jako okoliczności łagodzącej. Oprawcy bardzo się spieszyli i dlatego zabójstwo dokończył Józef M.

Bardzo pewny siebie Rafał Ł. (wyraźną satysfakcję sprawiało mu, gdy na sali sądowej mówiono o nim - szef gangu), na którym ciążył oskarżenia o dwa inne zabójstwa zaprzeczył, że kierował zamordowaniem Artura Z. i Małgorzaty R. Przyznał "SC.

się tylko do porwania tych dwojga, a wcześniej biznesmena W. Sąd nie dał temu wiary, gdy tłumaczył swoje zachowanie w parku wokół twierdzy paniką (pojawił się ochroniarze i ofiary

porwania mogły powiedzieć im, co się stało). Zdaniem sądu decyzja przywódcy bandytów o pozbawieniu życia dwojga młodych ludzi nie wyniknęła z chaosu. Gdyby tak było, zostawiliby w spokoju Małgorzatę, która nie widziała sprawców, bo od początku miała zasłonięte oczy. Piotr T. przedstawiał się jako ofiara nie znoszącego sprzeciwu „Zwierzaka”. W podobny sposób usiłował pomniejszyć swoją winę Józef M. W opinii biegłych psychologów, którzy nie stwierdzili u obydwo oskarżonych osobowości zdominowanych, takie usprawiedliwienia wynikały ze strachu przed karą.

W ostatnim słowie oskarżony 22-letni Rafał Ł. powiedział krótko: - Zrozumiałem, co zrobiłem i chciałbym to wszystko naprawić.

Krzysztof M. wyznał: - Przestępstwa, które popełniłem, były dla mnie ogromnym ciężarem. Poczuję ulgę, gdy mnie zatrzymano.

Józef M.: - Mój udział w grupie „Zwierzaka” podyktowany był brakiem perspektyw na lepsze życie. Ale ja nie zabiłem tych w dole. Jeśli sąd mnie skáže, będzie miał mnie na sumieniu.

Zwalisty nafaszerowany sterydami Piotr T. odczytywał swe ostatnie słowo z kartki z głośnym płaczem: - Piszę tę mowę i nie wiem, jak zacząć... Przysięgam, że choć brałem udział w porwaniu i karę przyjmę za to z wielką pokorą, nie wiedziałem, że to się skończy takim nieludzkim morderstwem.

Otoczony ciasno przez antyterrorystów Piotr K. (jako współpracujący z prokuraturą, musiał być szczególnie chroniony) wypowiedział się krótko: - Chciałbym szybko wrócić do społeczeństwa. Doświadczony sędzia Janusz Jankowski ponad dwie godziny uzasadniał wyrok. Rafał Ł., Krzysztof M. i Józef M. zostali skazani na dożywocie. Piotr T. 25 lat pozbawienia wolności. Marian O. („Orzech”) na 15 lat. Piotr K. 2,6 roku więzienia. - Sąd nie miał żadnych wątpliwości wymierzając oskarżonym kary dożywocia - powie-

418

dział sędzia. - Jeśli popatrzeć na ich życie i sposób działania, to jakie prognozy możemy mieć na przyszłość? Ta sprawa pokazała bezwzględność działania młodych ludzi, dla których jedyną zasadą jest brak zasad. P~j

W jak drastyczny sposób działali oskarżeni wobec swych ofiar, których bliżej nie znali i które im nie zrobiły, świadczą choćby protokoły z sekcji zwłok (sędzia cy- H tował wstrząsające opisy śladów tortur). To wyrok surowy - powiedział - ale nasi- 25 łąjąca się bezwzględność w działaniach członków zorganizowanych grup przestępczych wymaga stosowania surowych kar.

Najłagodniej został potraktowany Piotr K., bowiem swoimi wyjaśnieniami świadomie przyczynił się poznania przez śledczych wszystkich okoliczności morderstwa. - Może ktoś powie, że to niesprawiedliwe, wszak brał udział w porwaniu. Ale takie J:R4 osoby współpracujące z prokuraturą wiele ryzykują, bo bezwzględność gangów nie ^ jest tajemnicą - stwierdził sędzia. TH

CO

Wśród skazanych nie było Macieja S. ps. „Siedź”, który skutecznie ukrywał się przed policją. Był poszukiwany listem gończym w całej Europie. W policyjną zasadzkę wpadł na Malcie, dwa miesiące po zakończeniu procesu przed sądem Okrę- ją gowym Warszawa-Praga. Początkowo podawał się za kogoś innego, ale w końcu się przyznał. Jego proces przed Sądem Okręgowym Warszawa-Praga trwa.

Tymczasem Ewelina wysłała do skazanego nieprawomocnym wyrokiem Rafała Ł. J^J czułe liściki: „Gdy noc ciemna otula mnie swym płaszczem/ tęsknota do drzwi pu- PU ka/kochającego serca szuka/Milion gwiazd lśni na niebie, /czemu tak daleko jesteśmy od siebie”.

p

&j Uczestnicy dyskusji

W Barbara Piwnik - Sędzia Sądu Okręgowego Warszawa-Praga w Warszawie, orzekająca w sprawach karnych. W latach 2001-2002 minister sprawiedliwości i prokurator generalny.

Józef Krzysztof Gierowski - psycholog, prawnik. Profesor nauk medycznych w katedrze Psychiatrii Uniwersytetu Jagiellońskiego Collegium Medicum oraz w krajowym Instytucie Ekspertyz Sądowych. Autor ponad 300 publikacji naukowych.

H

j2\$ Od autorki:

1

fl^ Reportaże w tomie „Warszawa kryminalna”, spięte Państwa dyskusją w swoisty spo-pc^ sób, niczym kłamrą, dotyczą procesów zakończonych w stołecznych sądach w ostatnich dziesięciu latach. Tematy z wokandy zostały tak dobrane, aby stanowiły panoramę nowych - po transformacji politycznej, ekonomicznej i społecznej - problemów kryminalnych w dużej aglomeracji. Są na przykład strzelające do siebie gangi, sfalszowane testamenty dla zdobycia drogich kamieni, zabójstwo młodej wykształconej „singelki”, która przeniosła się do Warszawy z małej miejscowości, aby zrobić karierę (i zrobiła ją), ale była samotna i szukała znajomości na portalu internetowym, są oskarżeni lekarze na skutek intrygi politycznej (mieli być egzem-q»| plifikacją korupcji szerzącej się w tym środowisku). Jest dramatyczne, głośne na ca-g^i łą Polskę pozbawienie życia dziecka, przez świadome utopienie go w Wiśle, a tak-że korupcyjne przestępstwa urzędników potocznie szufladkowane w sądzie jako Pl popełnione przez tzw. białe kołnierzyki.

Eh

C/3

pr^ ???

Każda z opisanych spraw dotyczy losów konkretnego człowieka, który znalazł J\*P się na ławie oskarżonych. Moim celem było rzetelne zrelacjonowanie procesu sądowego. Państwa natomiast proszę o wizerunek Warszawy kryminalnej na znacznie szerszym tle, które widzi naukowiec, a równocześnie biegły sądowy i sędzia z prawie 30-letnim stażem.

EH 03

Profesor: Transformacja dotyczyła wszystkich obszarów i mechanizmów naszego życia, społecznego funkcjonowania. Te głębokie zmiany dotknęły też prawa,

^ przestępczości, sędziów i wszystkich, którzy uczestniczą w wymierzaniu sprana wiedliwości.

p I Okresy przełomu sprzyjają temu, aby do naruszenia porządku prawnego do- chodziło częściej w formach, które z różnych względów były niemożliwe w innym systemie. Gdy w pierwszych latach transformacji badałem problem zabójstw i przestępczość nieletnich, statystyki wskazywały na wyraźny ich wzrost. W tej

420

Dziś, w roku 2010, przestępczość zorganizowana nadal zmienia oblicza. Już nie trzeba dokonywać włamań do mieszkań, żeby ukraść sprzęt RTV i złotą biżuterię, czy napadać na tira z ładunkiem proszku do prania, żeby osiągnąć zysk. Pieniądze są gdzie indziej.

63

W4

Zmienił się nawet wizerunek przysłowiowego gangstera. Zeszczupłał, zniknęły grube złote łańcuchy, dresy i białe skarpetki. Może jeszcze niewielu ma dyplom ukończenia wyższej uczelni, ale to też się zmienia. Współczesny przestępca potrafi czytać przepisy prawa, korzysta z powszechnie dostępnych publikacji z tego zakresu, zapewne też coraz częściej z porad prawnych. Bywa, że jest dobrze postrzegany w miejscu swego zamieszkania, gdzie może być pracodawcą, udzielić wsparcia potrzebującemu sąsiadowi lub organizacjom charytatywnym. Kiedy więc taki „dobroczyńca” trafi na ławę oskarżonych, nie zawsze jest łatwo o świadków. I to nie z obawy przed

rzejmieszkiem, jak najczęściej próbuje się przedstawiać, lecz raczej ze zwykłej kalkulacji w rodzaju: był dla mnie dobrym sąsiadem, jest mi potrzebny, bo np. daje pracę, to cóż, że wyłudził VAT albo przemycił kilka cystern

U

spirytusu.

I tak dochodzimy do instytucji świadków anonimowych czy koronnych.

o

Profesor: Sprawdziły się te instytucje?

Sędzia: W mojej ocenie nie, a prowokują organy ścigania do pójścia na łatwiznę, co nie zawsze przynosi dobry skutek. Pozornie bowiem jedynie przesłuchanie świadka to czynność nieskomplikowana, sprowadzająca się do zadania kilku pytań. Nic bardziej mylnego. Przesłuchanie jest sztuką umiejętności zarówno słuchania, jak i obserwowania przesłuchiwanego. Jest to więc proces komunikacji interpersonalnej, podczas której pomiędzy przesłuchującym a przesłuchiwanym dochodzi do wzajemnego oddziaływania, obie strony wpływają na przebieg i wynik takiej czynno-

ŁJ.J

ści. Jeżeli więc przesłuchiwany jest przestępca z długim „zawodowym” stażem, nawykły do manipulowania ludźmi (świadek koronny) lub policjant pracujący jak to się określa „pod przykryciem”, będący niejednokrotnie świadkiem anonimowym, który opanował do perfekcji sztukę oszukiwania rozmówcy, wprowadzania w błąd otoczenia - a przesłuchującym osoba młoda, niedoświadczona zawodowo, a do tego nie zawsze posiadająca predyspozycje i kwalifikacje do przeprowadzenia przesłuchania, to efekt nie trudno sobie wyobrazić.

Czy podziela Pan mój pogląd, że przesłuchanie jest sztuką wymagająca wiedzy i starannego przygotowania?

Profesor: Jak najbardziej. W moim przekonaniu to podstawowa umiejętność świadcząca o profesjonalizmie prawnika - sędziego czy prokuratora. Nabiera ona szczególnego znaczenia, gdy przesłuchuje się osobę występującą w charakterze świadka

422

koronnego czy anonimowego. Moi koledzy adwokaci sygnalizują mi od lat, iż wiarygodność zeznań takich świadków budzi często ich wątpliwości, a wszelkie próby i wnioski wykorzystania w takich sytuacjach doświadczonych biegłych psychologów (np. pracowników Instytutu Ekspertyz Sądowych w Krakowie) są traktowane przez wymiar sprawiedliwości niechętnie. ^  
^  
W

Sędzia: Już w latach 2001-2002, będąc ministrem sprawiedliwości, zwracałam uwagę na konieczność rozważnego korzystania z instytucji świadka koronnego, za co ^  
P\$

l i odsądono mnie publicznie od czci i wiary. Minęło osiem lat i kolejne przykłady zwią- ^

zane ze stosowaniem tej instytucji nie są zbyt budujące. JM

W założeniu ustawy świadkowie koronni dysponują rozległą wiedzą o przestępcach i przestępstwach, której nie da się zdobyć innymi metodami dopuszczalnymi prawem. Skoro tak, to dlaczego po ponad dziesięciu latach obowiązywania pa \* •  
ustawy i przy tak wielu osobach korzystających „z przywileju” bycia świadkiem ko- lJj  
c-3

tor.

ronnym nadal niewykrytych pozostaje wiele zabójstw o charakterze wskazującym aq  
na tło porachunkowe w środowisku przestępczym, które też niejednokrotnie kwi-

towano z lekceważeniem, że „jak się wystrzelają, będzie spokój”?

Sprzeciwiam się takim ocenom. Po pierwsze, nikt nie ma prawa pozbawiać życia człowieka, a po drugie, za zabójstwami „porachunkowymi” stoją poważne przestępstwa związane z władzą i pieniędzmi. q

Ph

Instytucja świadka koronnego nie okazała się panaceum na trudności śledcze, jak zakładano. A może to kwestia braku umiejętności słuchania, tak ważnej u przesłuchującego? Prokurator, policjant, sędzia, jeżeli potrafią słuchać, potrafią także prze-

^  
Ph|

p?łJ  
słuchiwać, a to znajduje odzwierciedlenie w kompletności i dokładności zeznań uzyskiwanych w toku postępowania. Brak tego przygotowania jest od razu widoczny, co przestępca-świadek potrafi natychmiast wykorzystać.

W

Powstaje przy tym problem tych przestępców, którzy utracili status świadka koronnego. Jaką wiedzę na temat „kuchni śledczej” i stosowania tej instytucji zabierają ze sobą, co im wiadomo także o tych, którzy twarze ukrywają pod kominiarkami, jakie „wiano” wnoszą do środowiska przestępczego, wracając do swojego poprzedniego trybu życia? Są to pytania, na które dziś nie słyszę odpowiedzi, ale też chyba nikt ich poważnie nie zadaje.

Profesor: Dla młodych prokuratorów i policjantów jest czas PRL-u i po jego upadku. To zbyt daleko idące uproszczenie, nie uwzględniające możliwości zachowania pewnej ciągłości, konsekwencji, a nawet tradycji rozwiązywania problemów dotyczących szeroko ujmowanego „wymierzania sprawiedliwości”. Nie służy to skuteczności w działaniu tych organów. Nie wszystko, co dotyczy PRL-u należy bezwzględnie odrzucić i potępić. Prawda o funkcjonowaniu wymiaru sprawiedliwości w owym okresie jest zdecydowanie bardziej złożona i skomplikowana.

423 I

!

Sędzia: Blisko 25 lat sędzę na tym samym terenie - w Warszawie, w Sądzie Okręgowym (dawniej Wojewódzkim) i czasem odnoszę wrażenie, że wielu osobom przeszkadza moje doświadczenie i dobra pamięć. Przez te lata zmienił się ustrój, zmieniało się prawo, zmieniali się oskarżeni, także w dosłownym tego słowa znaczeniu - postarzeli się ci, w których sprawach orzekałam, kiedy zaczynali swe przestępcze kariery. Ta wiedza z przeszłości sprawia, że niejednokrotnie w toku kolejnego postępowania, wydawałoby się, że nieprzylegające do siebie fakty układają się w logiczną całość.

Skąd się więc bierze to, że obecnie, nie tylko zwykli świadkowie, ale też zeznający w charakterze świadków policjanci, nawet z elitarnego CBS mają niezwykle problemy z pamięcią, jeśli chodzi o zdarzenia sprzed dwu, trzech lat? Mam żywo w pamięci oficera operacyjnego CBS, który pytany o pseudonimy czołowych członków znanej grupy przestępczej z wyższością w głosie odparł, że nie zna, dodając: „Ja nie kolekcjonuję wspomnień z pracy”.

Profesor: Coraz rzadziej występuję jako biegły. Jeśli już, to w bardzo trudnych sprawach, raczej jako konsultant. Ale przed laty byłem częstym gościem na sali sądowej. Nie mam wrażenia, że sądy w poprzedniej formacji były dyspozycyjne, nierzetelne. Znam wielu sędziów, którzy bardzo rzetelnie wykonywali swój zawód. I nie pamiętam z minionych czasów sprawy kryminalnej, o której mógłbym powiedzieć nie to, że nie popełniono błędów, ale że na przykład wywierano pewną presję na strony, czy też że proces zakończył się zgodnie z życzeniem decydentów.

Sędzia: Albo opinii publicznej.

Profesor: Tak. Ale czy oczekiwania dzisiejszego sądu, bądź prowadzących postępowania przygotowawcze, związane z rzetelności biegłych: psychiatry czy psycholo-

ga, są tak samo daleko idące jak kiedyś, to już bym się zastanawiał.

Sędzia: Czy nie jest obecnie tak, że i opinie sądowo-psychiatryczne, i psychologiczne są krótsze, irtujaco lakoniczne, niezbyt pomocne tym, którym przychodzi wymierzać opiniowanemu karę. Coraz częściej napotykam tego rodzaju opinie, gdzie we wnioskach końcowych zawarte są głównie stwierdzenia w rodzaju, że oskarżony to np. kawaler, niekarany (lub karany), pracujący (lub nie), po odbytej służbie wojskowej (lub nie), a następnie pada stwierdzenie o pełnej poczytalności w czasie popełniania karalnego czynu. Czy to nie jest trochę mało?

Profesor: Poziom opinii sądowo-psychologicznych, podobnie zresztą jak i psychiatrycznych, jest w Polsce bardzo zróżnicowany. Poczynając od nie spełniających

424

często podstawowych wymogów diagnostycznych ekspertyz wydawanych przez niektórych indywidualnych biegłych z tzw. listy, aż po profesjonalne, odpowiadające światowym standardom opinie specjalistyczne wydawane na przykład przez vj Pracownię Psychopatologii Sądowej UJ Collegium Medicum, czy Instytut Ekspertyz Sądowych w Krakowie. Pożądana byłaby merytoryczna kontrola biegłych i ich opinii. Inicjatywę taką podjął kilka lat temu zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Psychologicznego, ale środowisko prawnicze tego nie doceniło. ^ p, ?-?>

Jednym z ważniejszych obszarów zastosowania psychologii dla potrzeb praktyki prawnej jest odtwarzanie i ocena procesów psychicznych sprawcy leżących u podstawy jego przestępczych zachowań. Do tych kwestii odnosi się przede wszystkim psychologia motywacyjna, której głównym zadaniem jest odpowiedzieć na pytanie o przyczyny ludzkiego postępowania, także tego społecznie nieakceptowanego, naruszającego ustalony porządek etyczny i prawny. U podłoża większości teorii motywacji leży założenie, że każde ludzkie zachowanie ma swoją przyczynę. 33 p

Kolejna grupa zagadnień dotyczy wybranych właściwości i mechanizmów procesu motywacyjnego, do których należą: kierunek, nasilenie, poziom regulacji czynności, uruchamiane przez sprawcę mechanizmy obrony, czy też stopień samokontroli. Diagnoza ta jest przydatna przede wszystkim w opiniowaniu w sprawach o poczytalność i zasadność stosowania środków zabezpieczających. Także w sytuacjach, w których kwalifikacja prawna czynu uwzględnia występowanie określonych kategorii psychologicznych, jak „stan silnego wzburzenia”, „motywacja zasługująca na szczególne potępienie”, czy „przeżycia związane z przebiegiem porodu, znacznym zniekształceniem dziecka lub szczególnie trudną sytuacją osobistą matki” prowadzące do dzieciobójstwa. j^jj pq q Pn q ^ j\*\*

Rozpatrujący konkretną sprawę karną organ procesowy zobowiązany jest z mocy najogólniejszych zasad prawnych odpowiadać na pytanie, kim jest człowiek, który naruszył porządek prawny i dlaczego zachował się w określony sposób. W

Nieumiejętne posługiwanie się metodą testową jest nadzwyczaj częstym ołędem sztuki psychologicznej. Nadszedł czas na opracowanie zasad tworzenia kompleksowych opinii psychiatryczno-psychologicznych oraz systemowego podejścia do okoliczności, w których zaburzony psychicznie sprawca narusza porządek prawny. Q

Sędzia: A więc, póki co, cofamy się! W czasach, które oboje pamiętamy - ja orzekająca w sprawach o zabójstwo sędzia i Pan Profesor - opiniujący biegły, nie do pomyślenia było, aby w sprawie, gdzie oskarżonemu zarzucano usiłowanie lub dokonanie zabójstwa, cała opinia sądowo-psychiatryczna i końcowe wnioski sprowadzały się do kilku ogólników. Czy można sobie przy tym wyobrazić, że

nie byłoby pytań np. ze strony sądu?

425

Profesor. Pytania powinny paść niezależnie od perfekcji sporządzonej opinii. Byłem

na setkach procesów i za najciekawszy, ale też i najtrudniejszy uważałem etap, gdy dochodziło do, nazwijmy to umownie, obrony opinii. Gdy trzeba było odpowiedzieć na różne wątpliwości wszystkich stron.

6-t ,|, | rinrf-r.-iirtiMfciitoni ———>T M

SĘDZIA: Sprecyzujmy zatem: Po co to sądowi jest potrzebne?

Profesor. Najprościej mówiąc, bo ocenia człowieka. Muszę jednak poczynić pewne zastrzeżenie - abyśmy nie dokonywali zbyt pochopnych osądów. Za chwileczkę padnie tu zdanie, być może w pewnym zakresie prawdziwe, że sądy są dziś pozbawione potrzeby tego wnikliwego rozpatrzenia sprawy. Bo ja niestety miewam czasami taki niepokój, czy młodzi sędziowie stosują się do etycznego kodeksu w swej pracy...

SĘDZIA: Dlaczego nie zadawać pytań, dotyczących etyki osób wykonujących tak istotne społeczne funkcje?

Profesor: Słusznie. Transformacja poważnie naruszyła standardy, jeśli chodzi o etykę, moralność. W nowej finansowo-gospodarczej rzeczywistości ludzie częściej niż kiedyś gotowi są do łamania takich czy innych zasad, przepisów. Nawet w sytuacjach, gdy jest oczywiste, że oszustwo się wyda. Pytałem o to ryzyko znajomych adwokatów, gdy przychodzili do mnie w sprawach swoich klientów, którzy wyłudzili ze skarbu państwa miliony złotych. Mecenas rozważali, czy dałoby się podważyć stan psychiczny oskarżonego. Dla mnie sprawa była oczywiście do odrzucenia, ale wiem, że wielu biegłych nie oparłoby się finansowej pokusie.

.i.

Mam przed oczami adwokata, który zjawił się w moim gabinecie, powołując się na naszego znajomego i w trzecim zdaniu nadmienił o bardzo wysokiej gratyfikacji za uznanie niepoczytalności jego klienta. Pomysł karkołomny, bo cóż to za szef dużego przedsiębiorstwa, który zarządza, będąc chorym psychicznie. A mecenas odpowiadał, że ryzyko wykrycia przestępstwa jest niewielkie; facet zdążył ukryć pieniądze. Kara, jeśli biegły pójdzie oskarżonemu na rękę, nie będzie wysoka. Jest zresztą w kalkulowana w koszty całego przedsięwzięcia.

SĘDZIA: Warto też zastanowić się, dlaczego tak rzadko są wykrywane przestępstwa sprawców w tzw. białych kołnierzykach. Jakimi ludźmi są sprawcy przestępstwa prania brudnych pieniędzy i gdzie są procesy dotyczące tego procederu?

Profesor: Chciałbym przeczytać na ten temat rzetelny raport, któremu mógłbym zaufać. Niestety, nie znam takiej pracy.

|

426

Sędzia: Kto ma te rzetelne raporty sporządzać, jaką wiedzę wykorzystując? Zosta- j?j la przecież zerwana swego rodzaju ciągłość chyba we wszystkich zawodach. Żeby ^ wysnuwać prawidłowe wnioski, trzeba nie tylko mieć rozległą wiedzę teoretyczną, ^ ale też kojarzyć fakty z przeszłości.

Sędziowie odchodzą z zawodu, bo zapewne niejednen ulega wyobrażeniu, że gdy j^jj zostanie adwokatem czy radcą, jego dochody będą znacznie wyższe. Nie zawsze tak c%

się dzieje i wówczas dochodzi jeszcze frustracja, wynikająca nie tylko z tego powodu, P"\*  
że znaczące pieniądze nie przychodzą łatwo, ale też dlatego, że nie wykonuje za-  
wodu, do którego mentalnie i psychicznie się przygotowywał. tą

Kto też obecnie, wobec gwałtownie zachodzących w ostatnich latach zmian, ma H  
rzetelnie badać problematykę związaną ze ściganiem przestępczości i sprawowa- ^  
niem wymiaru sprawiedliwości? \*~3

(3

Powołany do tego instytut zajmuje się robieniem coraz ładniejszych wykresów Są i wydaje  
kolejne albumy, ale przecież nie o to chodzi, gdy chcemy poznać zachodzące faktycznie procesy.

Nie chcę wyjść na osobę zgorzkniałą, bo taką nie jestem, ale mam zbyt wiele ^ przykładów na  
to, że wychowani w „nowych czasach” uważają że wszystko to, co było przedtem, jest złe, skażone  
komuną. Dziś chodzi też głównie o to, żeby jlj każdy produkt się dobrze sprzedał. A sensacja i  
radykalne poglądy spełniają ten p-» warunek.

?i. Eh

Profesor: Dobrze wiemy, że tak nie było. Na moim zawodowym podwórku wiele ra- ^  
zy próbowałem szukać odpowiedzi na pytania o źródło tego, co się stało w sądowej PM  
psychiatrii, co odpowiada za to, że dziś jest więcej byle jakich, niekompetentnych  
opinii, a zdecydowanie mniejsza grupa psychiatrów gotowych do rzetelnej, opinio- W  
dawczej pracy. Przecież kiedyś opiniowanie nobilitowało psychiatrę. A sekcja Psy- ^  
chiatrii Sądowej Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego organizowała zjazdy, W  
szkolenia - na jednym z takich paneli miałem przyjemność poznać Panią - z proku-  
ratorami, sędziami, pracownikami akademickimi. Postulaty takiej reprezentacji by- ?d  
ły traktowane bardzo poważnie. O

Dziś ta sekcja praktycznie nie istnieje. Powstało nowe Polskie Towarzystwo Psychiatrii Sądowej,  
dla którego głównym wątkiem przewodnim w działaniu jest skądinąd słuszna kwestia nędznych  
stawek dla biegłych.

Większość psychiatrów straciła motywację i zainteresowanie do pochylania się nad oskarżonym,  
którego los właśnie się decyduje. Dziś rola biegłego sądowego jest mało atrakcyjna. Ci, którzy  
mogliby nim być, mają mnóstwo bardziej korzystnych możliwości zarobienia dodatkowych  
pieniędzy. Po cóż się męczyć w sądzie i pisać opinię, za którą wypłacą kilkaset złotych, jeśli co  
druga z firm, za byle jaki wykład zapłaci wielokrotność tej sumy.



O  
PM  
O  
:»  
W PM  
EH  
fi  
^ i

C\*-3

Sędzia: A człowiek, okoliczności w jakich popełnia przestępstwo stały się bardziej złożone, skomplikowane, stąd też dobry biegły psycholog, a często i psychiatra są bardzo potrzebni.

PROFESOR: Niebezpieczeństwo polega na tym, że są sędziowie gotowi zaakceptować bylejaką ekspertyz biegłych. A poza tym - dziś wielu sędziów, o paradoksie, ma mniejsze niż ich starsi koledzy z poprzedniej epoki kompetencje do merytorycznej oceny tych opinii.

Sędzia: W ostatnich czasach mam też wrażenie, że powstała jakaś niewidzialna przeszkoda w komunikowaniu się między uczestnikami postępowania karnego - procesu sądowego. Coraz częściej jest tak, jak byśmy mówili różnymi językami. Nie wiem, czy to tylko kłopoty z koncentracją, czy chodzi o głębszy problem, dotyczący postaw społecznych. Mniej nawet dotyczy to trudności z uzyskaniem odpowiedzi na pytania stawiane oskarżonym. Ale nie tylko ja, wielu moich kolegów sędziów również ma ten sam problem, kiedy dochodzi do próby uzyskania od świadków odpowiedzi na kluczowe dla sprawy pytania. Niejednokrotnie dociekania sądu wywołują wręcz agresję.

Nie tak dawno wysoki funkcjonariusz policji pytany o kwestie ważne dla czynienia prawdziwych ustaleń w sprawie odpowiedział, że czuje się zaszczuty pytaniami sądu.

Kto, jak kto, ale to właśnie taki świadek winien rozumieć istotę zasad procesowych regulujących proces karny.

Abstrahując od powyższego przykładu - nie wiem, czy niepokój przesłuchiwanym nie wynika aby z tego, że coraz więcej ma coś do ukrycia. Dawniej relacje między ludźmi były bardziej czytelne: pokrzywdzony był pokrzywdzonym, przypadkowy świadek był przypadkowym. Dziś, gdy sprawy niejednokrotnie mają tło porachunkowe, także związane z przestępczością zorganizowaną, sędzia musi mieć świadomość możliwości takich powiązań, uwarunkowań i konsekwencji z tego płynących dla czynienia prawdziwych ustaleń w sprawie. W praktyce zaś sędzia nie może dojść do porozumienia ze świadkiem, czy biegłym, bo ten nie znając swojej roli na tyle, by czuć się w niej pewnie, zaczyna reagować nerwowo, uciekać od udzielania jednoznacznych odpowiedzi. Sędzia zaś nie może ustąpić, wszak w końcowym efekcie decyduje o czymś życiu.

PROFESOR: Dotknęła pani kwestii pewnego standardu etycznego. Ludzie trochę się zagubili w nowej rzeczywistości, z wielkim trudem przychodzi nam wskazać autorytety. A przecież tak naprawdę nic się nie zmieniło, nadal obowiązuje dziesięcioro przykazań.

428

Sędzia: I przychodzi taki „zagubiony” człowiek na salę rozpraw, gdzie sąd wydaje wyrok w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej. Dla oskarżonego często ta Rzeczpospolita jest pojęciem abstrakcyjnym. Pytany, czy był karany, odpowiada że był „jakiś” wyrok. TG

Kiedyś w sądzie panował klimat powagi, dochodzenia do prawdy. Pracy też było dużo, sędziowie też mieli swoje problemy osobiste, ale atmosferę w sądach tworzyli ludzie inaczej ukształtowani. Pierwsze strony gazet nie były wyrocznią, jaki wyrok w danej sprawie powinien zapisać, a prokurator nie odważyłby się na sali rozpraw powiedzieć, że nie zna sprawy, bo przyszedł w zastępstwie. Nie było też wszechobecnego dziś pośpiechu, presji, aby orzekać szybko, gdyż wszyscy potrzebują newsa na wieczorne wydanie wiadomości. I w takiej atmosferze sędzia, na którym ciąży wielka odpowiedzialność, walczy o zachowanie autorytetu.

BF,  
^\*  
PFL  
N

Profesor: Zatrzymajmy się na chwilę przy tym sędzim. Zwłaszcza w takim miejscu jak Warszawa. Powiedziała Pani, że nie ma ciągłości zawodowej. A więc utrwalałych zasad funkcjonowania.

Sędziowskie doświadczenie jest niezbędne, wszak za każdym razem ważą się losy człowieka. Na biegłym już nie ciąży aż taka odpowiedzialność. On wyroku nie wydaje, choć nie powinno to oznaczać, że opinię biegłego można kupić. A nie tak odległy jest czas, gdy za korupcyjne pieniądze opinii sądowo-psychiatrycznych było sporo, paradoksalnie zdecydowanie więcej niż w okresie komuny.

Inna rzecz, że organy ścigania wykorzystały to patologiczne zjawisko do politycznych interesów, wykazania związków „wykształciuchów”, w tym lekarzy, z przestępczością zorganizowaną. Niestety, egzemplifikacji szukano na chybił trafił. W Warszawie ofiarą takich manipulacji stała się bardzo uczciwa, dobrze mi znana ordynator ze Szpitala Psychiatrycznego w Tworzech. Zapłaciła za to prawie rocznym aresztem. Szczęśliwie jej proces dobiega końca i wszystko wskazuje na to, że będzie uniewinniona.

O

Sędzia: Pozostanę przy swoim. Twierdzę, że 10-15 lat temu mniej było opinii powierzchownych, nierzetelnych. Oczekiwania sądów i sposób sporządzania przez biegłych opinii były zbieżne. Pamiętam opinię sądowo-psychiatryczną przygotowywaną także przy udziale Pana Profesora liczącą ponad 100 stron maszynopisu, w sprawie, gdzie oskarżony stanął pod zarzutem popełnienia dwóch zabójstw. W takiej opinii dla sądu i stron są istotne nie tylko końcowe wnioski, choć niejednokrotnie okazuje się, że uprawnieni do zapoznania się z nią czytają jedynie te końcowe wnioski.

A przecież ustawodawca wiedział, co czyni, pisząc o opinii, wydawanej przez biegłych, a nie o wnioskach. Tylko analizując całość opinii, śledząc tok rozumowania biegłego można dokonać oceny poprawności wniosków.

429

Profesor: Mówi pani o stustronicowej opinii. Dziś takie dysertacje są ewentualnie. Odnoszę wrażenie, że biegłego nie za bardzo interesuje motyw działania sprawcy (pacjent), którego ma zbadać. Widzę czasami opinie skandaliczne, skopiewane z opisu innych przypadków, tylko dane osobowe pacjenta są zmienione.

Niedawno musiałem interweniować w takiej sprawie. Proszę mnie koledzy, którzy leczą uzależnienia od alkoholu, aby zrobić coś z opiniami pewnego biegłego o kilku pacjentach. Zobacz, mówią, jak są napisane. Patrząc, a tam z wyjątkiem danych osobowych we wszystkich przypadkach ta sama treść, słowo w słowo włącznie z bzdurną interpretacją testu Rorschacha. [Test plam atramentowych. Na jego podstawie stawiane wnioskuje się o nieświadomych treściach psychicznych, cechach osobowości i zaburzeniach psychicznych - przyp. red.]. Na marginesie - umiejętność posługiwania się tym testem wymaga ponad stu godzin nauki i specjalnych szkoleń. W Polsce opanowało tę sztukę zaledwie kilka osób. Na szczęście to, co wychodzi z Zakładu Psychologii Sądowej w krakowskim Instytucie Ekspertyz Sądowych spełnia najwyższe standardy. Tym bardziej sprzenie-

PCJ wierzenia się zasadom etyki zawodowej wymagają od naukowców ciągłego monitorowania. I trzeba o tym głośno mówić, ale nie na zasadzie sensacji. Ja mam jednoznacznie negatywny stosunek do wielu mediów z powodu ich niechęci do przedstawienia odbiorcom treści bardziej skomplikowanych, których nie da się zamknąć w dwóch zdaniach komentarza,

fs .rfi.i , .ii...-,iAi, r

03

Sędzia: Czy zgodzi się Pan Profesor, że każda osoba oskarżona ma nadzieję, że zostanie sprawiedliwie oceniona? Jest naturalne oczekiwanie każdego człowieka, że będzie wysłuchany, nim ktoś dokona osądu jego uczynków. Uczciwość prowadzącego postępowanie przygotowawcze, jak też orzekającego sędziego, to także ściśle przestrzeganie obowiązującego prawa, szacunek dla prawa.

Czy młodzi prokuratorzy, sędziowie myślą dziś o tym, jak ich decyzje w po-

i I

szczególnych sprawach mogą być oceniane za lat 20 czy 30? Nie wydaje mi się, choć przykłady z ostatnich lat wskazują, że należy liczyć się także z taką możliwością. Historia kołem się toczy - mawiamy. Będąc konformistą dziś możemy zyskać spokój, ale czy zapewnimy go sobie w przyszłości? Znane są przykłady, gdy okazywało się, że skazany, i to na karę najwyższą, miał guz mózgu. Czy tego również nie można było ustalić we właściwym badaniu i właściwym czasie?

Profesor: Mówimy tu o różnych nieprawidłowościach, ale dla mnie ważne są proporcje. Czy to wynaturzenie czegoś wewnątrz systemu wymiaru sprawiedliwości, a może sięgają one dalej? Brakuje mi rzetelnej diagnozy konkretów. Znam na przykład, jeśli chodzi o opiniowanie sądowo-psychiatryczne rzetelną analizę z dwóch konkretnych sądów okręgowych.

430

Z badań Ewy Habzdy-Siwiek przeprowadzonych kilka lat temu wynika jedno- :'  
znacznie, iż diagnoza stanu psychicznego sprawców czynów zabronionych nie speł- / ,  
nia najczęściej podstawowych standardów diagnostycznych; jest powierzchowna,  
przeprowadzana z naruszeniem ustawowo określanych warunków badania sądowo- JVV  
-psychiatrycznego (ustawa o ochronie zdrowia psychicznego wymaga, by odbywa- |JJ  
ły się one w warunkach zakładu psychiatrycznej opieki zdrowotnej). Te badania obej- PR:  
mowały także próbę opisu wpływu wspomnianej diagnozy na rozstrzygnięcia  
procesowe. Jest on niestety niewielki, uwzględniany w toczących się postępowa- &3  
niach niechętnie i sporadycznie. Badanie stanu psychicznego sprawcy traktowane '  
jest przez wielu prawników jako swoista formalność, nie mająca istotnego znacze-  
nia procesowego.

Niskiej jakości opinii sądowo-psychiatrycznych i psychologicznych sprzyjają tak- \*~3  
że zasady, które regulują kwestie wynagradzania za sporządzane opinie. Sądy nie- PGF  
jednokrotnie nie wywiązują się terminowo ze swoich finansowych zobowiązań, czy JJ\*  
też jednostronnie je zmieniają. Zapowiadane od lat nowe regulacje ustawowe do- PCJ  
tyczące między innymi obiektywizacji zasad wynagradzania biegłych poprzez przy- ?2  
jęcie stawek godzinowych, nie mogą doczekać się ostatecznej realizacji. Stan ten PR4  
sprzyja „chałturzeniu”, niskiej jakości wydawanych opinii, zniechęca bardziej do- §j  
w\*

świadczonych biegłych do sporządzania ekspertyz, sankcjonuje i usprawiedliwia CM  
działania pozorne i powierzchowne. O tym, iż status biegłego nie jest dziś zbyt wy- Q  
soki, świadczą także opinie zawierające nierzetelne i nieprawdziwe diagnozy, wy- D\*  
dawane na zamówienie tych podejrzanych, oskarżonych czy skazanych, którzy dys- JJ J  
ponują dużymi możliwościami finansowymi. Mówiąc wprost - psychiatria sądowa PN)  
nie jest niestety wolna od korupcji. Nagląca jest więc potrzeba podjęcia przez śro-

dowisko psychiatrów i psychologów sądowych takich inicjatyw organizacyjnych, które z jednej strony zapewnią możliwość godziwej rekompensaty za sporządzone opinie, z drugiej, pozwolą na napiętnowanie tych biegłych, którzy łamią podstawowe zasady etyczne czy prawne. Wymaga to stworzenia bardziej skutecznego systemu nadzoru i kontroli nad biegłymi, zaostrożenia systemu kwalifikacji ich kompetencji merytorycznych i moralnych. O

ŁQ  
|3  
^

Sędzia: Zmieniło się społeczeństwo w ciągu ostatnich dwudziestu lat. A więc zmienił się też sąd, atmosfera na salach rozpraw. Dostrzegam duży wpływ oddziaływania na masową wyobraźnię telewizyjnego serialu Sędzia Anna Mana Wesołowska i niestety nie jest to dobre. Nie znając zasad postępowania przed sądem ci, którzy oglądają odcinki serialu wyobrażają sobie, że tak wygląda prawdziwy sąd i kiedy znajdują się już w nim, zaczynają zachowywać się wedle wzorców dostrzeżonych na szklanym ekranie. Tylko, że życie i obowiązujące przepisy prawa, ich stosowanie, to nie jest fikcja. Czy media tak bardzo zawładnęły wyobraźnią, że wiedza z nich czerpana jest ważniejsza niż słowa sędziego, także te zawarte w uzasadnieniach orzeczeń?

431 !

Problemem jest, że medialne informacje o toczących się przed sądami sprawach nie idą w parze ze znajomością akt tych postępowań przez wypowiadających się na ten temat. Sama tego doświadczałam nieraz, a sędzia ponizany nie ma możliwości odpowiedzieć, bronić się. Ocenę materiału dowodowego będzie przedstawiał dopiero po ogłoszeniu wyroku, ale często w pustej sali i przy całkowitym braku zainteresowania tych, którzy już w mediach wydali wyrok. I w sprawie i na sędziego.

Profesor: Żyjemy w czasach ogromnej presji mediów. Ten wrzask odbija się również na atmosferze tworzenia nowych przepisów prawnych. Obserwowałam z niepokojem, co się dzieje w związku z, nazwijmy to umownie, postulatem chemicznej kastracji pedofilów. To ewidentny przykład, jak nie należy poprawiać prawa w klimacie nacisku. Włożyłem wiele wysiłku, aby ustawa miała właściwy kształt i co wy-ljj szło? Prawnego znaczenia nabrała bzdura - jak należy za pomocą psychoterapii ob-niżyć siłę popędu seksualnego.

W ogóle cały proces tworzenia prawa w naszej rzeczywistości nie przebiega pq zgodnie ze standardami, które powinny być zachowane. Emocje społeczne są naj-' gorszym klimatem i motywacją do tego, żeby znaleźć sposób na tych nieszczęsnych seksualnych przestępców. Bo więzienie to tylko izolacja. Są na świecie pewne wzory, systemy i modele jak postępować w takich przypadkach - my, specjaliści, znamy je. Tymczasem zmieniającym kodeks karny wydawało się, że jeśli upchną na oddziałach terapeutycznych zakładów karnych seksualnych przestępców, problem FM będzie rozwiązany. A nam wiadomo, że nie będzie. Być może jest to miejsce, gdzie g\_j należałoby rozpocząć pewne oddziaływanie terapeutyczne, ale tylko rozpocząć. To, co stworzono, czemu nadano rangę ustawy, nie będzie funkcjonować. Nie mówiąc y już o tym, że nie ma niemal nikogo w kraju, kto by wiedział, jak taką terapię, żeby spowodowała obniżenie seksualnego popędu, prowadzić w praktyce. Kodeks karny nie jest miejscem, gdzie się mówi lekarzom, jak mają leczyć.

H

Sędzia: Oczywiście warto korzystać ze sprawdzonych na świecie metod, chociaż jeśli chodzi o rozwiązania prawne, należy to czynić rozważnie. To, co sprawdza się w społeczeństwie o utrwalonej demokracji, żyjącym w poszanowaniu stabilnego prawa, w naszych warunkach może przynosić odwrotny od zamierzonego efekt. Podobnie bywa z rozwiązaniami, z których w innych krajach się wycofują, a my po nie dopiero sięgamy.

Czasem też chcemy prześcignąć innych, jak to np. stało się z daleko idącymi przywilejami dla świadków koronnych, zawartych w obowiązującej u nas ustawie.

Profesor: Jeśli chodzi o dziedziny psychiatrii, czy psychologii, myśmy, w początku lat 90. XX wieku uważnie penetrowali zagraniczne metody, doświadczenia. I dobrze

wiedzieliśmy, że nie da się przejąć pewnych instytucji, czy pewnego rozwiązania, BP ?\*\*

na przykład holenderskiego, w całości. Wszystko to uwzględnialiśmy. g-j

Z pełną świadomością, iż z wielu względów niemożliwe jest mechaniczne prze- ^  
jęcie wzorów, a zwłaszcza systemów funkcjonujących w różnych państwach Unii, pą  
można i należy podjąć próbę inkorporacji do polskiego modelu psychiatrii sądowej jjH  
konkretnych, wypróbowanych i sprawdzonych rozwiązań i elementów modeli, któ- prj  
re mogą i powinny funkcjonować w polskiej rzeczywistości. Wymaga to dokonania "  
pewnej selekcji informacji i konkretnych rozwiązań organizacyjnych uwzględniają- flfl  
cych kulturową specyfikę naszego kraju, jego możliwości finansowe czy kadrowe. 3

Działania takie muszą charakteryzować się specyficznym pragmatyzmem i reali- P-  
zmem zmuszającym do wskazania tego, co niezbędne i konieczne, aby w podsta-  
wowych wymiarach sprostać standardom europejskim. W efekcie możliwe będzie pą  
stworzenie swego rodzaju meta systemu czy meta-modelu o stosunkowo wysokim 7]\*  
poziomie ogólności. Wymaga to uchwycenia i wskazania tego, co jawi się jako naj-  
\mm9

ważniejsze i niezbędne do tego, aby w stosunkowo krótkim czasie i przy ograni- pej  
czonych możliwościach organizacyjno-finansowych mogło dojść w Polsce do stwo- \*5  
, . . . , . CS

rżenia nowoczesnego systemu psychiatrii sądowej. ftj

Ale nasze propozycje, a także zastrzeżenia gdzieś się rozplynęły, znikły, powstał g  
nowy przepis w kodeksie karnym (art. 95), który cofnął nawet pewne możliwości  
terapii ze starego kodeksu. Q

Ir' \*\* C/3

Sędzia: Obawiam się, że obecnie dość łatwo zrobić z kogoś przestępcę seksualnego, np. oskarżyć  
współmałżonka w czasie, gdy toczy się postępowanie rozwodowe lub wszystko do takiego  
postępowania zmierza. Podobnie zagrożona może być sytuacja g\_j wymagających nauczycieli.

Czy prześcigające się w sensacjach media nie podsuwają też różnych pomysłów, ^ a chęć  
zaistnienia choć przez chwilę w środkach masowego przekazu nie wygrywa z zasadami i zwykłą  
uczciwością? Dotarcie do prawdy bywa trudne, a ocena zeznań świadków oraz emocje wymagają  
wiedzy z zakresu psychologii.

Profesor: To są problemy, które wszędzie na świecie jakoś się rozwiązuje. U nas często pojawiają  
się falami, bo media pracują na emocjach swych odbiorców.

Sędzia: Z uznaniem słuchałam ostatnio doniesień o staranności w pracy policjantów, którzy  
wyjaśniali sprawę seryjnego gwałciciela w okolicy Zielonej Góry. Dziś mało kto chce tak dociekać  
prawdy już na etapie postępowania przygotowawczego.

Zapomina się o tym, że jedną z naczelnych zasad postępowania karnego jest zasada  
obiektywizmu, nakazująca organom prowadzącym to postępowanie badać i uwzględniać  
okoliczności przemawiające zarówno na korzyść, jak i niekorzyść

oskarżonego czy podejrzanego. Ten przypadek z Zielonej Góry może napawać optymizmem.  
CO

Profesor: W naszym Instytucie leżą dziesiątki akt takich spraw, w których zwrócono się do nas o  
ocenę wiarygodności zeznań pokrzywdzonych. W przytoczonym przykładzie być może doszło do

dwóch, czy trzech napaści z przyczyn seksualnych, ale w tak dużym mieście to musiało się zdarzyć ze względów statystycznych. Mo-W tywacja rzekomych ofiar do wywoływania fałszywego alarmu była różna, ale ogólnie łączyła je chęć zainteresowania sobą dziennikarzy. W ich zeznaniach były zła-mane podstawowe zasady psychologii, nic się nie chciało złożyć, ale to też wymagało szczegółowego zbadania.

Jeszcze bardziej niebezpieczna jest sytuacja, gdy nie można dojść do prawdy. A prokurator, gdy nie wie, jaka jest prawda, boi się, że postawią mu zarzut niekompetencji. Woli upierać się przy jakiejś niepotwierdzonej materiałem dowodowym wersji.

Pani mówi o czymś, co jest patologią w funkcjonowaniu wymiaru sprawiedliwości, w etyce zawodowej. Dla mnie też jest to żenujące, że co chwilę spotykam się z sytuacją, kiedy podstawowe zawodowe standardy odkładane są na bok, a dzieje się coś, co narusza je w poważnym zakresie. Ale nie może być tak, że wszystko wokół nas jest patologiczne. Szukam czegoś, co jest zrównoważeniem tak pesymistycznej oceny. Wierzę, że są tacy sędziowie, którzy rzetelnie sądzą.

fm Sędzia: Ja też wierzę, że są znakomicie przygotowani do zawodu sędziowie, którzy g\_i nie bacząc na trudności, o których rozmawialiśmy, wykonują swe obowiązki perfekcyjnie. Czasami myślami wracam do czasów, gdy Sąd Najwyższy był sądem II in-stancji dla spraw rozpoznawanych w Sądzie Wojewódzkim jako sądzie I instancji. Dawało to chyba lepszą możliwość wglądu sędziom SN w bieżące problemy, z jakimi na co dzień muszą radzić sobie sędziowie sądów powszechnych. A że tych trudności i problemów sędzia ma coraz więcej, jest to oczywiste, choćby patrząc na lawinowo rosnącą liczbę przypadających na niego spraw i ich coraz bardziej złożony charakter.

Powtórzmy więc tylko za Monteskiuszem: „Nie pytam, jakie są prawa, ale jacy są sędziowie”.

Spisała: Helena Kowalik

Zebranie materiałów do Warszawy kryminalnej zajęło mi prawie cztery lata. W stołecznych sądach mniej więcej tyle trwa osądzenie jednej sprawy karnej. Inna rzecz, że wydanie nieprawomocnego wyroku nie kończy procesu. Są jeszcze apelacje, ewentualna kasacja wyroku w Sądzie Najwyższym.

Moja perspektywa przy pisaniu książki to widok z ławy dla publiczności. Przede wszystkim w sali rozpraw, ale też na korytarzu sądowym, przy stoliku z aktami w sekretariacie wydziału karnego, w pokoju widzeń aresztu.

Dla obserwatora proces na sali sądowej, to nie tylko żmudne dochodzenie do prawdy, ważenie winy, miejsce czyjegoś dramatu, ale też swoiste theatrum odgrywane przez siedzące naprzeciw siebie strony. Oskarżeni walczący o jak najłagodniejszy wyrok mogą w swej obronie kłamać i często robią to. Ich adwokaci mają organiczną potrzebę manipulowania świadkami, wszak przyświeca im jeden cel - obrona klienta, co niekoniecznie znaczy trzymanie się prawdy.

Prokuratorzy teoretycznie wiedzą, że ich decydująca rola w sprawie skończyła się wraz z napisaniem aktu oskarżenia i teraz wszystko to będzie weryfikowane na sali sądowej. W praktyce często albo nerwowo reagują na wytknięcie im przez sąd błędów popełnionych w postępowaniu przygotowawczym, albo zachowują się tak, jakby w czasie samego procesu nie mieli już nic do zrobienia. Brakuje w aktach ważnych dokumentów, niech sąd uzupełni. Trzeba przesłuchać z tego powodu dodatkowo kilkudziesięciu świadków, to też robota dla sądu. Ważne, że sprawa została z prokuratury wypchnięta, zaliczona.

Na ponad trzydzieści spraw, które obserwowałam, tylko w dwóch w ławie oskarżyciela od początku do końca siedziała ta sama osoba w todzie z czerwonymi wypustkami. Dziewięciu różnych prokuratorów (i tylko raz referent sprawy) na procesie dr Urszuli Ludwikowskiej przed Sądem Rejonowym w Pruszkowie, to wcale nie rekord.

Obroncy trafnie nazywają takich oskarżycieli słupami. Słupy przezornie nie zadają pytań, bo nie znają akt, nie orientują się, czy doszło do jakichś zwrotów w czasie długiego procesu, nie mają żadnych wniosków. Gdy nadchodzi czas na wystąpienie o karę, mają ją napisaną przez szefa na obwołucie akt podręcznych.

Doświadczeni sędziowie warszawscy twierdzą, że jeszcze 10-15 lat temu takiego lekceważącego stosunku do sądu ze strony organów ścigania nie było. Decydujący był moment, gdy po zmianach w kodeksie postępowania karnego w praktyce uniemożliwiono sądom zwrot do prokuratury źle przygotowanych spraw. A tych przybywało, również z powodu szukania tzw. haków na politycznego przeciwnika.

Obrona też już wygląda inaczej. Na sali sądowej jest coraz więcej młodych aplikantów zastępujących renomowanych adwokatów ze znanych kancelarii. Z powodu braku czasu i gonienia za zarobkiem nie mają zbyt wiele okazji podejrzeć w pracy swych mistrzów, wprowadzają więc swoje zwyczaje. Nie tylko nie garną się do aktywnego uczestnictwa w rozprawie (oczywiście są wyjątki), ale często podczas

przewodu sądowego zamiast przynajmniej słuchać stron, są zajęci pisaniem na laptopie. Nie wiadomo, czy to prywatna korespondencja, czy notatki z rozprawy. Daremne jest też oczekiwanie na ich popisy oratorskie. Nerwowość raczkującego w za-isj wodzie pełnomocnika, dyskretne wysyłanie pod pulpitem ławy SMS-ów, częste

^ spoglądanie na zegarek czy na drzwi, w których powinien pojawić się kolejny sub-

I—{

stytut na podmiarę, to częsty widok na sali sądowej.

Wiecznie spieszący się młodzi adwokaci raczej nie mają zaprzyjaźnionych dziennikarzy wśród sprawozdawców sądowych i chyba im na takiej reklamie nie zależy. Sprawiają wrażenie, jakby nie identyfikowali się ze swymi klientami. Ciągle gdzieś biegną.

I w oku tego cyklonu sędzia, który w momencie, gdy założy łańcuch z godłem Polski traci nazwisko - jest reprezentantem państwa i w jego imieniu orzeka. Nie ma tu miejsca na pogłębioną charakterystykę tego zawodu, ale do jednego problemu chciałabym się jednak odnieść - powszechnie mówi się o opieszałości sądów, zwłaszcza w Warszawie. To często niesprawiedliwa opinia. Przyczyny są bardziej złożone.

Owszem, bywa, że oskarżeni mają pecha - zachoruje sędzia albo pójdzie na urlop macierzyński niekiedy po latach trwania procesu, wobec zmiany składu sędziowskiego, trzeba wszystko zaczynać od nowa. Ale znacznie częściej przedłużający się proces jest efektem braków w zgromadzonym materiale dowodowym lub błędów popełnionych na etapie postępowania przygotowawczego. W takiej sytuacji najprościej byłoby zwrócić akta prokuraturze, niech jeszcze nad sprawą popracuje. Jednakże to wymaga zgody sądu apelacyjnego, który zazwyczaj każe wnosić sprawę na wokandę. I wszystko uzupełnia się w biegu.

Są też sprawy, które kryją w sobie wątki nie podchwyczone w czasie śledztwa. Jeśli trafią w ręce dociekliwego sędziego, z natury rzeczy proces wydłuża się o nowe okoliczności, których wyjaśnienie jest niezbędne do wydania sprawiedliwego wyroku. Obserwowałam to na rozprawach pewnej oskarżonej z warszawskiej Pragi, która, gdy dowiedziała się, że gangsterzy wydali śmiertelny wyrok na jej męża, notabene również członka mafii, kazała zabić wykonawcę wyroku. Osądzenie sprawy wymagało od sędzi poznania i zweryfikowania wielu wydarzeń dotyczących przestępczości zorganizowanej w Warszawie, a pominiętych lub zlekceważonych na etapie dochodzenia.

Kodeks karny jest ten sam, procedura taka sama, ale to ludzie decydują o losie oskarżonego. I wszystko zależy od tego, jak dalece odpowiedzialnie traktują swój zawód. Czy chcą dociekać prawdy? Wyjaśniać niejasności, mimo zniecierpliwienia stron?

Widziałam proces - o dziwo w sądzie wojskowym, który dotąd kojarzył mi się z rygorystycznym przestrzeganiem przepisów - gdzie sędzia bardzo szybko przechodził do odczytania zeznań świadka z śledztwa, nie zadając sobie trudu dociekania wcześniej, co mu wiadomo w sprawie i dopiero potem skonfrontowania z tym, co zeznał przed prokuratorem.

podwładnych) na upokarzanie świadków zeznających na jego niekorzyść, co dawało ten skutek, że zeznania kończyły się na jednym zdaniu.

Takie zachowania są możliwe również dlatego, że dziś rozprawy toczą się bez publiczności. Wieści z sal sądowych nie docierają też do szerszej opinii za pośrednictwem mediów, bo nie ma ich na rozprawie.

Owszem, czasem dziennikarze przychodzą na rozpoczęcie procesu, a po kilku latach na ogłoszenie wyroku. Jeśli sprawa jest medialna, w użycie idą kamery, są fotoreporterzy. Ale prawdziwych sprawozdawców sądowych można policzyć na palcach jednej ręki. Bo ile redakcji stać na regularną obsługę jednego procesu przez cztery albo i więcej lat? Poza tym proces sądowy to nie fajerwerk. Gdy trwa żmudne przesłuchiwanie świadków, często niewiele wnoszących do sprawy, podsypiają ławnicy, czasem chrapią konwojenci. To już znacznie ciekawiej jest na korytarzu sądowym.

Gdy konwój prowadzi oskarżonych w czerwonych kombinezonach, ambicją ich dziewczyn jest rzucić się na szyję swojego chłopaka nim zareaguje groźnie wyglądający antyterrorysta. Taki wyczyn nie ma nic z intymności - to dawka adrenaliny, konkurencja sportowa, przez gapiów przyjmowana z aprobatą. Zwłaszcza, że narzeczone, konkubiny groźnych kryminalistów bardzo odstają wyglądem od zwykłych interesantów w gmachu sądu. Na korytarzu robią wiele hałasu, biegając w butach na wysokich szpilkach i głośno rozmawiają przez telefon. Aby spodobać się swemu mężowi, latem paradują z gołymi, opalonymi w solarium brzuchami (w środku pępka klejnocik-błyskotka). Noszą szorty tak podcięte, że niewiele z nich zostało, i bluzki z ogromnymi dekoltami. A gdy spętani łańcuchami mężczyźni idą na salę rozpraw, pary wykrzykują do siebie knajackim żargonem.

Od tej rubasznej, demonstracyjnej wesołości młodych przestępców jakże odstają zachowania ich rodziców, którzy czekają na rozpoczęcie procesu. Ci nie nadrabiają minami, są autentycznie przygnębieni i jeśli mają okazję wyzalić się obcemu (jestem pod ręką) przekonują, że ich dziecko jest niewinne. Nawet jeśli doszło do zabójstwa, to dlatego, że młody człowiek wpadł w złe towarzystwo. Widać, że dawno stracili kontakt z dorosłym synem, mogą się tylko domyślać, skąd ma pieniądze, skoro nie pracuje i żadnego zawodu się nie wyuczył. Ale korytarz sądowy to nie konfesjonał, to nie miejsce na wyliczanie grzechów wychowawczych. Dla matek jest ważne, aby zakuty w kajdany mięśniak z byczym karkiem i bicepsami po sterydach zjadł w czasie przerwy w rozprawie kanapki z szynką. Więc biegną za konwojem z pełną reklamówką objajająca się im po nogach, proszą zdyszani funkcjonariusza, aby okazał się człowiekiem, przymknął oko...

Zrozpaczonych rodziców widziałam też w sytuacji, gdy starali się o przepustkę na widzenie. Niektórzy, wyglądem zdradzający, że zawsze byli na dnie drabiny społecznej, z widocznym wstydem podawali urzędnicze, kim jest dla nich aresztant.

437

Mimoходом obserwowałam te reakcje, czytając akta w sekretariacie V Wydziału r/} Karnego Warszawa-Praga. Pracujące tam panie Wiesława Winiarek i Monika Perkowska starały się oszczędzić interesantom stresu. Życzliwie uśmiechnięte, odrywały się od swych wymagających skupienia obowiązków i pomagały napisać podanie, zadzwoniły gdzie trzeba.

Jak jest to ważne również dla wizerunku instytucji wymiaru sprawiedliwości przekonałam się, gdy chciałam przed Bożym Narodzeniem podać paczkę pewnemu osadzonemu w areszcie na warszawskim Służewie. Po odczekaniu w kolejce trzech godzin na obskurnym korytarzu bez jednego krzesła, zostałam wywołana przez młodą funkcjonariuszkę jako numer i do końca bytności w tej pakamerze nie miałam nazwiska, nawet wówczas, gdy głośno strofowała mnie, że w kartonowym pudle nie ma foliowej torby do przepakowania zawartości. Paczkę musiałam podać klęcząc na podłodze, bo na tej wysokości był otwór, przez który się ją wpychało do zamkniętego przed obcymi pomieszczenia.

Prawdopodobnie, gdybym powiedziała, że jestem dziennikarką i zbieram maleli riał do reporterskiej książki, weszłabym na widzenie bez tych kilku godzin podpierania ściany



nieogrzewanego baraku. Ale wtedy rzeczywistość w mojej książce byłaby lukrowana. A ja chciałam napisać tak, jak bym to zeznawała pod przysięgą.

Helena Kowalik

Pragnę serdecznie podziękować sędziom: Barbarze Piwnik, Elżbiecie Gajow-niczek i Dorocie Radlińskiej za dyskretną naukę szacunku dla prawa oraz Maciejowi Gierosowi z sekcji prasowej Sądu Okręgowego w Warszawie za to, że był mi przewodnikiem w gąszczu sądowych sygnatur.





-•'i

-•'i

-•'i

















I

I

I











V

V

.3

.3





















--i

--i

--i

--i



>~3

>~3





























... 1

... 1

... 1

>4

>4

































3

3

280

\*4

•x ???

\*4

•x ???

\*4

•x ???





300

382

382





398

314

398





410

324



$\Gamma^*$

$\Gamma^*$

$\Gamma^*$

I \*



